

# Jack McDEVITT

POSZUKIWACZ

SOLARIS



**McDEVITT JACK**

**Alex Benedict #3 Poszukiwacz**

**JACK McDEVITT**

**Przełożyła**

**Jolanta Pers**

**SOLARIS**

**Stawiguda 2008**

**GTW**

**Poszukiwacz**

**tyt. oryginału: Seeker**

**Copyright © 2005 by Cryptic, Inc.**

**ISBN 978-83-89951-91-5**

**Projekt i opracowanie graficzne**

**okładki**

***Tomasz Maroński***

**Redakcja *Iwona Michałowska***

**Korekta *Bogdan Szyrna***

**Skład *Tadeusz Mieszko***

**Wydanie I**

**Agencja „Solaris”**

**Małgorzata Piasecka**

**11 – 034 Stawiguda, ul.**

**Warszawska 25 A**

**Tel. /fax 089 5413117**

**e-mail: [agencja@solaris.net.pl](mailto:agencja@solaris.net.pl)**

**sprzedaż wysyłkowa:**

**[www.solarisnet.pl](http://www.solarisnet.pl)**

***Dla T. E. D. Kleina i Terryego***

**Carra w dowód uznania**

**PODZIĘKOWANIA**

**Chciałbym wyrazić swoją wdzięczność Michaelowi Sharze z American Museum of Natural History, Davidowi DeGraft” z Alfred University oraz Walterowi Cuirle, za porady i pomoc techniczną, jak również Jerry'emu Oltonowi za przeczytanie wczesnej wersji manuskryptu i podzielenie się uwagami, Ralphowi Vicinanzie za nieustanne wsparcie i jak zawsze, mojej żonie i domowej redaktor, Maureen McDevitt.**

# PROLOG

**Uprasza się naszych gości o niewychodzenie dziś na stoki poza Trasą Błękitną. Na terenach narciarskich nadal istnieje zagrożenie lawinowe. Sugerujemy pozostanie w schronisku lub spędzenie dnia w mieście.**

## RIMWAY

Wescott wiedział, że to już koniec. Margaret też nie miała wielkich szans. Jak również jego córka. Postąpił zgodnie z sugestią i nie wychodził na zewnątrz, a teraz leżał pod tonami lodu i skały. Słyszał szlochanie i krzyki, cichnące gdzieś w otaczających go ciemnościach.

Drżał z zimna. Jego prawe ramię przygniotła spadająca belka. Nie czuł już bólu. Ani ramienia.

Pomyślał o Delii. Jej życie dopiero się zaczęło i prawie na pewno już skończyło. Po policzkach popłynęły mu łzy. Tak bardzo chciała tu przyjechać.

Zamknął oczy i próbował myśleć o czymś innym. Wyobraził sobie, że znów jest na pokładzie „Sokoła”, gdzie poznał Margaret. To były piękne lata. Wiedział, że nadejdzie kiedyś dzień, w którym zamarzy o tym, by tam wrócić i przeżyć to jeszcze raz.

„Sokół”.

Mój Boże. Zrozumiał, że jeśli Margaret nie udało się wydostać z budynku, odkrycie zaginie razem z nimi. Delia wiedziała o tym, ale była jeszcze za mała, by zrozumieć.

*Nie powiedzieli nikomu. Poza Mattie. Mattie wiedziała.*

Naparł na kłodę, próbując się uwolnić. Spróbował zmienić pozycję i oprzeć się o kłodę stopami. Musiał przeżyć, żeby im powiedzieć. Na wszelki wypadek...

*Boże, błagam.*

Krzyki i płacze dookoła cichły, czasem tylko rozległ się jakiś jęk. Jak długo tu był? Miał wrażenie, że od chwili zaważenia się schroniska minęło wiele godzin. Gdzie byli ratownicy?

Wsluchiwał się we własny ciężki oddech. Podłoga zatrzęsała się; wstrząsy zanikły, by po chwili znów powrócić. Wtedy, po wstrząsach, kiedy wszyscy zebrani w jadalni doszli do wniosku, że już po wszystkim, nagle usłyszał huk. Spojrzeli po sobie, niektórzy zaczęli uciekać, inni siedzieli, przerażeni, światła zgasły, a ściany zapadły się. Przypuszczał, że podłoga się oberwała i teraz tkwił uwięziony w piwnicy. Nie był tego jednak pewien. Ale to i tak nie miało znaczenia.

Usłyszał w oddali wycie syren. Nareszcie.

Naparł na belkę, pod którą uwięzło jego ramię. Nie czuł go już. Wycofał się do wnętrza własnej głowy i wyglądał na zewnątrz, jak obserwator ukryty w jaskini. Pod nim grunt zadrżał jeszcze raz.

Tak bardzo chciał wierzyć w to, że Margaret przeżyła. Pełna życia, energiczna, przewidująca Margaret, która nie dała się nigdy zaskoczyć. To niemożliwe, żeby ją to dopadło, żeby ją zmiotło w tej strasznej chwili. Poszła do pokoju po sweter. Wyszła tuż przed tym, kiedy to się stało. Poszła po schodach na górę i znikła z jego życia na zawsze.

I Delia. Została w pokoju. Miała zaledwie osiem lat. Dąsała się, bo nie pozwolił jej wyjść samej, choć ogłoszono, że Trasa Błękitna jest bezpieczna. Nieważne, poczekajmy, aż. nie będzie żadnego niebezpieczeństwa. Ich pokój był na trzecim piętrze, od frontu. Może nic jej się nie stało. Modlił się o to, żeby obie stały teraz gdzieś na zewnątrz, na śniegu, martwiąc się o niego.

Kiedy ogłoszono ostrzeżenie, poinformowano, że schronisko jest bezpieczne. Bezpieczne i stabilne. Nie wychodźcie na zewnątrz, a wszystko będzie dobrze. Lawiny tu nie schodzą.

Uśmiechnął się w ciemnościach.

Siedzieli w jadalni z najnowszą znajomą. Nazywała się... Breia Jakaśtam. Pochodziła z ich rodzinnego miasta. Margaret wstała, powiedziała coś w stylu, żeby nie zjedli we dwoje wszystkich jajek, zaraz wróci. Kilku narciarzy stało przy drzwiach frontowych i narzekało, że z tym ostrzeżeniem to przesada, a Trasa Błękitna jest dla początkujących. Dwie pary siedziały pośród rosnących w doniczkach roślin i popijały drinki. Potężny mężczyzna, który wyglądał na sędziego, schodził po schodach. Młoda kobieta w szarozielonej bluzie siadła przy pianinie i zaczęła grać.

Margaret powinna była zdążyć dotrzeć do pokoju, zanim nastąpił pierwszy wstrząs. Zgromadzeni w jadalni spojrzeli po sobie z otwartymi szeroko ze zdumienia oczami. Potem nadszedł drugi i strach w pomieszczeniu stał się nieomal namacalny. Nie przypominał sobie, żeby ktoś krzyczał, ale ludzie wstawali gwałtownie z krzeseł i ruszali do wyjścia.

Breia, ciemnowłosa kobieta w średnim wieku, nauczycielka na urlopie, wyjrzała przez okno, usiłując zobaczyć, co się dzieje. Wescott nie miał najlepszego widoku i nie widział za wiele, ale włosy stanęły mu dęba, kiedy wciągnęła gwałtownie powietrze i z przerażeniem szepnęła „Uciekajcie”. Bez słowa zerwała się z krzesła i zaczęła biec.

Na zewnątrz wyłoniła się ściana śniegu i zaczęła sunąć w stronę schroniska, jej ruch był płynny, rytmiczny, taneczny, kryształowa fala spływająca z góry, ogarniająca drzewa i głązy, a na końcu solidną kamienną ścianę, która wyznaczała granicę terenów schroniska. Gdy patrzył, zagarnęła też jakiegoś człowieka. Nie wiedział, mężczyznę czy kobietę, stało się to za szybko. Kogoś, kto próbował uciekać.

Wescott siedział w milczeniu, wiedząc, że nie ma dokąd uciec. Pociągnął łyk kawy. Jakby zatrzymał się czas. Recepcjonista, który był symulacją, znikł. Tak samo gospodarz i dwóch odźwiernych. Narciarze przy drzwiach rozpięchli się.

Wescott wstrzymał oddech. Tylne ściany i dwie boczne wpadły do jadalni. Poczuł ostry ból i



**miał wrażenie, że spada.**

**Gdzieś trzasnęły drzwi.**

**Coś mokrego spływało mu po żebrach. Łaskotało, ale nie mógł tam sięgnąć.**

**Breia nie wydostała się z jadalni. Pewnie była parę metrów od niego. Nie mógł mówić. Miał wrażenie, że w płucach nie ma powietrza. Ale wyszeptał jej imię.**

**Usłyszał jakiś głos, daleko od niego.**

**–Tutaj.**

**Ale to był głos mężczyzny. I chrzęst butów po śniegu.**

**–Spróbujmy go wydostać, Harry.**

**Ktoś kopał.**

**–Pośpieszcie się. Breia się nie odzywała.**

**Próbował krzyczeć, próbował dać im znać, gdzie jest, ale był za słaby. I nie było to potrzebne. Margaret wiedziała, że znalazł się w tarapatach, bo przecież była gdzieś na zewnątrz, z ratownikami, próbując go odnaleźć.**

**Było coraz ciemniej. Przestał czuć stertę gruzu, na której leżał, i przestała go obchodzić tajemnica, jaką dzielili z Margaret, przestała go obchodzić belka, która go przygniotła. Margaret nic się nie stało. Na pewno tak było.**

**I wymknął się ze swego więzienia.**

# JEDEN

...Najpełniej jednak doznaliśmy poczucia historyczności tego zabytku (egipskiego grobowca), gdy zobaczyliśmy grafitti nabazgrane na jego ścianie przez ateńskich zwiedzających, gdzieś koło roku 200 n.e. Gdy zrozumieliśmy, że to miejsce było dla nich tak zabytkowe jak wykonany przez nich napis dla nas.

Wolfgang Corbin, *Wandal i niewolnica*, 6612 n.e.

## 1429, TRZYDZIEŚCI JEDEN LAT

### PÓŹNIEJ

Stacja była dokładnie tam, gdzie przewidywał Alex, na trzynastym księżycu Gideona V, gazowego giganta, który nie charakteryzował się niczym specjalnym poza tym, że okrążał coś, co było raczej martwą gwiazdą niż słońcem. Znajdowała się na niestabilnej orbicie, więc – jak przewidywali eksperci – za kilkaset tysięcy lat miała zanurzyć się w chmurach i zniknąć. Ale na razie należała do nas.

Stacja była skupiskiem czterech kopuł i płataniną radioteleskopów i czujników. Nic specjalnego. Wszystko, kopuły, osprzęt elektroniczny i otaczające stację skały, miało odcień ciemnego, łaciatego pomarańcza, oświetlonego tylko przez gazowego giganta koloru błota i podobnej barwy pierścienie. Łatwo było się domyślić, dlaczego nikt z Agencji nie zauważył stacji podczas żadnej z rutynowych wizyt. Gideon V był dopiero trzecią odkrytą stacją Celian.

–Rewelacja – rzekł Alex, stając przy iluminatorze z rękami na piersi.

–To miejsce? – spytałam. – Czy fakt, że je odkryłeś?

Uśmiechnął się skromnie. Oboje wiedzieliśmy, że nie umie przejawiać pokory.

–Benedict kontratakuje – powiedziałam. – Jak na to wpadłeś?

Nie powiedziałabym, żeby Alex kiedyś wyglądał na zadowolonego z siebie, ale tego dnia niewiele mu brakowało.

–Niezły w tym jestem, nie?

–Ale jak ci się to udało?

Przez całą drogę okazywałam brak wiary w jego możliwości, a teraz miał swoją chwilę tryumfu.

–To było łatwe, pani Kolpath. Pozwól, wyjaśnię.

Oczywiście, udało mu się to tak jak zawsze: dzięki wyobraźni, ciężkiej pracy i niezwyklej dbałości o szczegóły. Szperał w listach przewozowych, książkach historycznych i pamiątkach oraz wszystkim, co tylko wpadło mu w ręce. Wyeliminował niektóre możliwości i doszedł do wniosku, że Gideon V miał idealne, centralne położenie dla działań eksploracyjnych, jakie prowadzili Celianie. Tak poza tym, to planetę opatriono rzymską piątką nie dlatego, że była piątą planetą w układzie. Była jedyną, a pozostałe zostały w całości połknięte lub wydarte z orbit przez przelatującą w pobliżu gwiazdę. Miało to miejsce jakieś ćwierć miliona lat temu, więc nie było żadnych świadków. Na podstawie eliptycznej orbity pozostałej planety można było jednak wyliczyć, że kiedyś istniały inne. Kwestią sporną była jedynie ich liczba. Niektórzy z astrofizyków przypuszczali, że były jeszcze cztery planety, inni uważali, że było ich koło dziesięciu.

Tak naprawdę nikt nie wiedział. Ale stacja, kilkaset lat świetlnych od najbliższej zamieszkaney planety, była dla Rainbow Enterprises prawdziwym skarbem. Celianie, w okresie szczytowego rozwoju, byli romantycznym narodem, zajmującym się filozofią, dramatem, muzyką i eksploracją. Podobno żadni inni ludzie nie zapędzili się dalej w głąb Skupiska Aureliańskiego. Gideon V miał położenie centralne w ich obszarze poszukiwań. Alex był przekonany, że bywali o wiele dalej, na terenie Zlewiska, jeśli tak, jeszcze wiele czekało na odkrycie.

Kilka wieków temu Celianie doznali gwałtownego upadku. Wybuchła wojna domowa, rządy na ich ojczystej planecie pogrążyły się w chaosie, w końcu z kłopotów wyciągnęli ich inni członkowie tak zwanego Paktu. Koniec zawieruchy oznaczał jednak też koniec złotego wieku. Stracili zapał, stali się konserwatywni, bardziej interesowały ich wygody niż eksploracja. Dziś są pewnie najbardziej zachowawczym społeczeństwem planetarnym w całej Konfederacji. Są dumni z dawnej świetności i próbują obnosić się z nią jak z aureolą. *Tacy jesteśmy*. Ale w rzeczywistości najwyżej tacy byli.

Byliśmy na pokładzie „Belle Marie”, jakieś dwadzieścia tysięcy kilometrów od gazowego giganta, kiedy w polu widzenia pojawiły się kopuły. Alex zarabia na życie pośrednictwem w handlu artefaktami i czasem sam znajduje jakieś zapomniane miejsca. Jest w tym dobry i niekiedy mam wrażenie, że telepatycznie wyczuwa jakąś ruinę. Kiedy ktoś mu o tym mówi, a ludzie czasem to robią, tylko się uśmiecha skromnie i mówi, że to wyłącznie kwestia szczęścia. Wszystko jedno – dzięki temu Rainbow Enterprises przynosi niezłe zyski, a ja mam tyle pieniędzy, że w życiu bym sobie o to nie posądzala.

Trzynasty księżyc był duży, trzeci co do wielkości spośród dwudziestu sześciu i największy z pozbawionych atmosfery. Były to właśnie dwa powody, dla których przyjrzelśmy mu się w pierwszej kolejności. Duże księżyce stanowią najlepszą lokalizację dla baz, bo grawitacja jest tam dość silna i nie trzeba tworzyć jej sztucznie. Najlepsze jednak są duże, ale bez atmosfery. Atmosfera jest przyczyną zbędnych komplikacji.

W naszym przypadku próżnia ma jeszcze jedną zaletę: wszystko się w niej lepiej przechowuje. Jeśli sześć wieków temu Celianie coś tam zostawili, powinno być w idealnym stanie.

Gdyby na ciemne pierścienie Gideona padło jakieś światło słoneczne, byłyby przepiękne. Były poskręcane i podzielone na trzy lub cztery osobne części. Tego jednak nie byłam pewna. To zależało od kąta widzenia. Trzynasty księżyc znajdował się tuż poza najbardziej odległym z pierścieni. Poruszał się na orbicie kilka stopni poniżej i powyżej ich płaszczyzny, więc gdyby padało tam jakieś światło, widok byłby kuszący: prawie na krawędzi. Sam gazowy gigant, widziany ze stacji, nigdy nie zmieniał położenia, wisząc w połowie drogi nad horyzontem, nad kilkoma niskimi wzgórzami. Zaznaczał swą ponurą, mroczną obecność, niezbyt widoczny w miejscu, gdzie nie było gwiazd.

Wprowadziłam „Belle Marie” na orbitę i przeszliśmy do lądownika.

Księżyc na północy i na równiku pokrywały liczne kratery, zaś na południu rozciągały się równiny upstrzone wąwozami i kanionami. Było tam kilka łańcuchów górskich: wysokie, smukłe szczyty z czystego granitu. Kopuły znajdowały się w połowie odległości między równikiem a biegunem północnym, na stosunkowo płaskim terenie. Pole anten rozciągało się na zachód od stacji. Od wschodu były góry. Pośrodku kompleksu porzucono jakiś pojazd naziemny na gąsienicach.

Kopuły wyglądały, jakby były w dobrym stanie. Opadaliśmy na tle czarnego nieba, a Alex patrzył na nie z rosnącą satysfakcją. Widać było sześć księżyców. Były blade, widmowe, ledwo widoczne w delikatnym świetle centralnej gwiazdy. Ktoś, kto nie wiedział, że tam są, mógł ich nie zauważyć.

Ostrożnie opuściłam lądownik. Kiedy wylądowaliśmy, wyłączyłam silniki i grawitacja powróciła. Alex czekał niecierpliwie, a ja postępowałam zgodnie z czymś, co on określał jako nadmiar kobiecej ostrożności. Zawsze rwie się do pracy – dalej, ruszajmy się, nie mamy całej wieczności do dyspozycji. Odgrywanie takiej roli sprawia mu przyjemność. Ale nie lubi też niemiłych niespodzianek. I na tym polegała moja rola – na usuwaniu ich. Kiedyś przebiłam się przez dno krateru do leja krasowego i Alex do dziś nie pozwala mi o tym zapomnieć.

Wylądowaliśmy stabilnie. Obdarzył mnie wielkim uśmiechem: dobra robota i takie tam. Gadka na temat brania się do pracy została najwyraźniej odłożona na później: teraz siedział, gapił się przez iluminator i napawał się chwilą. Kiedy trafiasz na jedno z takich miejsc, którego nikt nie odwiedzał od stuleci czy nawet tysiącleci, nigdy nie wiesz, co tam znajdziesz. W niektórych montowano śmiertelne pułapki. Podłogi się zapadały, a ściany przesunęły. W jednej ze stacji wskutek awarii bardzo wzrosło ciśnienie, a kiedy zespół Agencji próbował wejść do środka, wszystko eksplodowało.

Zawsze jednak mamy nadzieję, że znajdziemy otwarty właz i mapę terenu. Jak na Lyautey.

Rozpięłam pasy i czekałam na Aleksa. Wreszcie wziął głęboki oddech, rozpiął uprząż, obrócił fotel i wstał, po czym sięgnął po butle z powietrzem. Sprawdziliśmy radio i obejrzelśmy skafandry. Kiedy był gotowy, wypompowałam powietrze i otworzyłam właz.

Wyszliśmy po drabince na powierzchnię. Grunt chrzęścił pod stopami. Piasek i odłamki żelaza. Dostrzegliśmy całe mnóstwo odcisków butów i śladów gąsienic. Nietkniętych od stuleci.

–Te najdalsze są ostatnie, tak? – spytał Alex.

–Nie byłabym zdziwiona – odparłam. Bardziej interesował mnie widok. Tuż nad górami widać było kawałek pierścieni i dwa księżyce.

–Coś nie gra – powiedział Alex.

–Co takiego?

Kopuły były ciemne i ciche. Na równinie, rozciągającej się w stronę południowego horyzontu, nic się nie poruszało. Na niebie nie widać było niczego niezwykłego.

W ciemnościach nie widziałam zasłoniętej hełmem twarzy Aleksa, ale odniosłam wrażenie, że patrzy w kierunku najbliższej kopuły. Nie, dalej, na inny moduł, najbardziej wysunięty na północ, a zarazem największy ze wszystkich czterech.

Właz był otwarty.

Och, nie w tym sensie, że kłapa stała otworem. Ktoś ją rozciął. Wyciął wielką dziurę, którą powinniśmy byli zobaczyć, lądując – gdybyśmy się uważnie przyjrzeni.

Alex mruknął coś do mikrofonu na temat wandalii i ze złością ruszył w kierunku kopuły. Poszłam za nim.

–Uważaj, ciężenie jest tu niskie – powiedziałam, gdy się potknął, ale zdołał utrzymać równowagę.

–Cholerni złodzieje! – Alex wyrzucił z siebie serię przekleństw. – Jak to się mogło stać?

Trudno było uwierzyć w to, że ktoś nas ubiegł, bo artefakty z Gideona V nigdy dotąd nie pojawiły się na rynku. W zapisach historycznych nie było też wzmianki o odnalezieniu bazy.

–To musiało się stać niedawno – powiedziałam.

–Chcesz powiedzieć, że wczoraj? – spytał.

–Może nie wiedzieli, co znaleźli. Może po prostu weszli, rozejrzeli się i odlecieli.

–To możliwe, Chase – odparł. – A może to się stało całe wieki temu. Kiedy jeszcze ludzie

pamiętali o tym miejscu.

Miałam nadzieję, że się nie myli.

Zwykle tak jest, że kiedy archeolodzy znajdują splądrowane stanowisko, plądrowanie miało miejsce w ciągu kilkuset lat od porzucenia danej budowli. Po jakimś czasie ludzie zapominają o różnych miejscach i giną one w pomroce dziejów. Czasem się zastanawiam, ile unosi się w próżni statków, o których zapomniano, dryfujących, unieruchomionych awarią silników.

Powinnam zaznaczyć, że nie jesteśmy archeologami. Zajmujemy się po prostu handlem, oferując towary nabywcom, a czasem, jak w tym wypadku, próbujemy dotrzeć do pierwotnych źródeł towaru. Jeszcze chwilę temu byliśmy przekonani, że trafiliśmy na żyłę złota. Teraz jednak Alex wstrzymywał oddech, gdy się zbliżaliśmy do wejścia.

Właz został rozcięty palnikiem. Był przekrzywiony na bok. I było na nim bardzo mało kurzu.

–To musiało się stać niedawno – mruknął Alex.

Muszę wyznać, że Alex czasem traci panowanie nad sobą. W domu, w obecności innych ludzi, jest wzorem uprzejmości i opanowania. Ale w takich miejscach jak powierzchnia księżyca, z dala od społeczeństwa, czasem ukazuje swoje prawdziwe oblicze. Ruszył w kierunku urwanego włazu, podniósł kamień, wymruczał coś pod nosem i cisnął kamieniem prawie na orbitę.

Stałam koło niego jak uczeń wezwany na reprimendę do dyrektora szkoły.

–To pewnie moja wina – powiedziałam.

Wewnętrzny właz także był otwarty. Za nim rozciągało się ciemne wnętrze.

Spojrzał na mnie. Szyba hełmu była nieprzezroczysta, więc nie widziałam jego wyrazu twarzy, ale nietrudno było go sobie wyobrazić.

–Co masz na myśli? – spytał.

–Powiedziałam o tym Windy.

Windy była dyrektorką do spraw PR Agencji i naszą wieloletnią przyjaciółką.

Alex nie był jakoś znacząco wyższy ode mnie, ale w tej chwili odniosłam wrażenie, że nade mną góruje.

–Windy nikomu by nie powiedziała.

–Wiem.

–Powiedziałaś jej, używając niekodowanego połączenia?

**–Tak.**

**Westchnął.**

**–Chase, jak mogłaś zrobić coś takiego?**

**–Nie wiem. – Usiłowałam powstrzymać się od płaczu. – Nie sądziłam, że to może być problem. Rozmawiałyśmy o czymś innym i tak jakoś samo wyszło.**

**–Nie mogłaś się powstrzymać?**

**–Nie mogłam.**

**Postawił but na klapie i mocno popchnął. Nie ugięła się.**

**–Cóż – powiedział. – Nic już na to nie poradzimy.**

**Wyprostowałam się. A niech mnie zastrzeli, jeśli to ma mu poprawić humor.**

**–To się już nie powtórzy.**

**–W porządku – mówił tonem, który oznaczał „co się stało, to się nie odstanie”. – Zobaczmy, co zniszczyli.**

**Ruszył przodem.**

**Kopuły były połączone tunelami. Do podziemnych pomieszczeń prowadziły schody. Takie miejsca wyglądały upiornie, oświetlone tylko latarkami. Cienie ściagały się po grodziach i cały czas odnosiło się wrażenie, że poza polem widzenia coś się porusza. Przypomniałam sobie, jak czytałam o tym, że Casmir Kolchevsky został zaatakowany w takim miejscu przez robota ochrony, którego niechcący uruchomił.**

**Wandale byli bezlitośni.**

**Maszerowaliśmy przez pomieszczenia dowodzenia, salę gimnastyczną, potem prywatne kwatery mieszkalne. Była tam kuchnia i jadalnia. Wszędzie, gdzie szliśmy, powyciągano szuflady i wysypano ich zawartość. Szafki były rozcinane albo rozrywane. Tę stację po prostu splądrowano. Nie zostało wiele rzeczy, które można by sprzedać albo przekazać jakiemuś muzeum. Stąpaliśmy ostrożnie po rozbitym szkle, dyskach danych i przewróconych stołach. Odzież czasem potrafi przetrwać w próżni bardzo długo. Znaleźliśmy jednak tylko parę sztuk i większość z nich padła ofiarą chemikaliów, których użyto do produkcji tkaniny. Albo były zupełnie nieciekawe i nikt by ich nie chciał. Nie ma znaczenia, skąd pochodzi koszulka. Nikt się nią nie zainteresuje, chyba że nosił ją legendarny generał albo słynny dramaturg. Skafandry, oczywiście, to co innego – jeśli mają naszywkę, albo wyszyte nazwisko właściciela czy napis „BAZA GIDEON”, mogą być sporo warte. Znaleźliśmy tylko jeden, bardzo wystrzępiony. Miał**

napis wykonany celiąskimi znakami, otaczającymi wysoki, wąski szczyt.

–Godło stacji – powiedział Alex.

Splądrowali też centrum dowodzenia. Zabrali urządzenia elektroniczne. Powyrywali panele, by dostać się do urządzeń. Także tu szukali przedmiotów z oznaczeniami bazy. Wyglądało to, jakby wszystko, co nie spełniało ich wymagań, zostało wyciągnięte i rzucone na pokład.

Kiedy skończyliśmy, Alex był wściekły. Potraktowano w ten sposób wszystkie cztery kopuły i pomieszczenia pod ziemią. W panującym wszędzie chaosie był tylko jeden wyjątek. Znaleźliśmy wspólną salę, wyścieloną odpadkami. Cały pokład był zaścielony projektorami, czytnikami i kryształami danych, które przez sześć wieków zdążyły wyschnąć. W jednym kącie leżał rozbity dzbanek i trochę lodu, w drugim częściowo poszarpany dywan. Na środku pomieszczenia stał jednak mały stolik, a na nim leżała książka rozłożona tak, by się ją wygodnie czytało komuś, kto siedział na jedynym krześle.

–Cóż – powiedziałam – może to nie będzie kompletna katastrofa. Za to powinniśmy dostać jakieś pieniądze.

Albo i nie.

Bo było to zeszłoroczne wydanie *Przewodnika antykwariusza*.

–Wygląda na to, że wandal nas oczekiwał – powiedział Alex. – I przesyła nam pozdrowienia.



# DWA

Powiedziałem mu, że jest idiotą. Że kupczy historią, traktując ją jak kolekcję świecidełek, którymi będą się bawić ludzie niemający pojęcia, kim był Mike Esther. A kiedy skończy, kiedy ostatni kryształ zostanie zabrany z muzeum i sprzedany jubilerom, nic już nie zostanie po ludziach, którzy zbudowali nasz świat. Uśmiechnął się, potrząsnął głową, a kiedy się odezwał, odniosłem wrażenie, że łamie mu się głos.

–Przyjacielu – powiedział – po nich i tak już nic nie zostało.

Haras Kora, *Kroniki Binacqy*, 4417 n.e.

Winetta Yashevik zajmowała się w Agencji kontaktami z archeologami, poza tym pracowała jako szef do spraw PR. Windy była jedyną osobą, której ujawniłam nasze zamiary, i wiedziałam, że nie przekazałaby tej informacji żadnym konkurentom Aleksa. Była prawdziwą fanatyczką. Jej zdaniem traktowaliśmy zabytki jak zwykły towar i sprzedawaliśmy je prywatnym nabywcom. Uważała, że to wykroczenie przeciwko zasadom moralności, i zawsze dawała mi do zrozumienia, choć nigdy nie powiedziała tego wprost, że uważa mnie za osobę etycznie podejrzaną. Byłam czymś w rodzaju zbłąkanej owieczki. Zepsutej przez obłudę tego świata, niemogącej znaleźć drogi do domu.

Łatwo było jej obstawać przy takiej opinii. Urodziła się w bogatej rodzinie i nigdy nie musiała się martwić o pieniądze. Ale to już inna kwestia.

Kiedy zajrzałam do jej biura w siedzibie Agencji, na drugim piętrze budynku Kolmana, rozpromieniła się, zaprosiła mnie gestem do środka i zamknęła drzwi.

–Szybko wróciliście. Mam nadzieję, że nie znaleźliście tej bazy?

–Znaleźliśmy – odparłam. – Była dokładnie tam, gdzie zdaniem Aleksa miała być. Ale ktoś był tam przed nami i wdarł się do środka.

Westchnęła.

–Złodzieje są wszędzie. Cóż, tak czy inaczej, gratulacje. Teraz wiecie, jak czuje się cała reszta, kiedy ty i Alex dotrzecie do jakiegoś znaleziska. – Zamilkła, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że nie zamierzała mnie urazić, to tylko taki żart, wiecie, jak to jest. Ale chyba odczuwała satysfakcję. – Udało wam się położyć łapę na czymkolwiek?

Zignorowałam obraźliwe konotacje tego wyrażenia.

–Ktoś to miejsce praktycznie wyczyścił.

Przymknęła oczy. Zobaczyłam, że zaciska usta, ale nic nie powiedziała. Windy była wysoka, ciemnowłosa, traktowała poważnie rzeczy, które były dla niej ważne. Nie uznawała

**półśrodków. Mnie tolerowała, bo przyjaźniłyśmy się od lat, od czasów, kiedy bawiłyśmy się lalkami.**

**–Nie wiesz, kto to mógł być?**

**–Nie. Ale to się stało niedawno. W ciągu ostatniego roku. Może nawet ostatnich paru dni.**

**Jej gabinet był duży. Na pokrytych boazerią ścianach wisiały zdjęcia z różnych misji i bogata kolekcja dyplomów. Winetta Yashevik, Pracownik Roku. Nagroda Harbisona za doskonałe wyniki. Dyplom uznania Zjednoczonych Obrońców za udział w programie Zabawki dla Dzieci. I zdjęcia z wykopalisk.**

**–Cóż – rzekła. – Bardzo mi przykro.**

**–Windy, próbowaliśmy ustalić, co się stało. – Wzięłam głęboki oddech. – Nie chciałabym, żebyś mnie źle zrozumiała, ale – o ile mi wiadomo – byłaś jedyną osobą, która wiedziała, dokąd lecimy.**

**–Chase – odparła spokojnie – powiedziałaś mi, żebym trzymała język za zębami, więc tak zrobiłam. Poza tym wiesz, że nigdy nie pomogłabym jakimś wandalom.**

**–Wiem. Ale zastanawiam się, jakim cudem ta informacja się wydostała? Czy ktoś jeszcze w Agencji o tym wiedział?**

**–Nie – odparła. – Jestem pewna, że nikomu o tym nie powiedziałam. – Zastanowiła się. – Poza Louie. – Miała na myśli Louie Ponzio, dyrektora.**

**–W porządku. W takim razie to oznacza, że ktoś nas podsłuchuje.**

**–To możliwe. – Wyglądała na zaniepokojoną. – Chase, obie wiemy, że nasz dyrektor nie zarządza najlepiej chronioną organizacją na tej planecie.**

**Ja akurat o tym nie wiedziałam.**

**–Być może w tym tkwi problem. Albo nie. Przepraszam. Nie powinnam była nikomu o tym mówić.**

**–W porządku. To pewnie coś z systemem łączności.**

**–Wszystko jedno. Posłuchaj, Chase...**

**–Tak?**

**–Nie chciałabym, żebyś zaczęła mnie traktować jak osobę, której nie można nic powiedzieć.**

**–Wiem. Nie ma problemu.**

–Następnym razem...

–Wiem.

Kiedy wróciłam, w naszym domu na wsi był Fenn Redfield, stary przyjaciel Aleksa, policjant. Alex powiedział mi, co się stało. Nie była to oczywiście oficjalna skarga. Składanie takowej nie miało sensu.

–Istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś nas podsłuchuje.

–Żałuję, ale nie mogę pomóc – odparł. – Powinniście bardziej uważać, kiedy coś mówicie na otwartym kanale.

Fenn był niski i krępy; wyglądał jak chodząca beczka o zielonych oczach i głębokim basowym głosie. Uwielbiał imprezy i wraz z Alekssem często grywał w karty z małą grupą znajomych.

–Czy podsłuchiwanie nie jest przypadkiem nielegalne? – spytałam.

–Niezupełnie – odparł. – Takiego prawa nie dałoby się wyegzekwować. – Zrobił minę sugerującą, że nad czymś się zastanawia. – Ale posiadanie urządzeń, które by to umożliwiły, jest nielegalne. Porozglądam się trochę, a ty powinieneś zainstalować system szyfrujący, Aleksie.

Brzmiało to nieźle, ale mogło okazać się niepraktyczne w przypadku zabiegania o zgłoszenia nowych klientów. Fenn zapewnił nas, że da nam znać, jeśli czegoś się dowie, co oznaczało, że możemy liczyć tylko na siebie.

Przed powrotem do biura poszliśmy na lunch. Alex uwielbia lunche. Uważa, że dobry lunch jest sensem życia. Wpadliśmy więc do „Paramount House” i nad kanapkami i sałatką ziemniaczaną zdecydowaliśmy, że zamontujemy system szyfrujący, który zabezpieczy rozmowy między mną a Alekssem, między biurem a naszymi ważniejszymi klientami. Oraz rozmowy z Windy.

Choć wyprawa do bazy na Gideonie V okazała się porażką, Rainbow Enterprises rozkwitała. Alex miał tyle pieniędzy, że nie wiedział, co z nimi robić. Fakt, że większość tego majątku była produktem ubocznym sławy zdobytej dzięki uczestnictwu w dwóch aferach: związanych z „Tenandrome” i „Polaris”, ale Alex byłby bogaty i bez tego. Był świetnym handlowcem i wszyscy mieli do niego zaufanie. Jeśli ktoś miał artefakt do wyceny, zawsze wiedział, do kogo się zwrócić: u Aleksa można było uzyskać rzetelną opinię. W naszej branży wszystko opiera się na reputacji. Dodaj jego prawdziwą uczciwość do wiedzy, nie mniejszej niż u jego konkurentów, i genialne wyczucie w przypadku kontaktów z ludźmi, a otrzymasz wzór na zyskowną firmę.

Biura Rainbow mieszczą się na parterze jego domu, starej posiadłości wiejskiej, która kiedyś – zanim wszędzie wkroczyła nowoczesna zabudowa i cywilizacja – służyła za gospodę dla myśliwych i turystów. Tradycja głosiła, że to gdzieś tu rozbił się Jorge Shale, który pierwszy

próbował lądować na Rimway. Alex, który tu się wychował, opowiadał mi kiedyś, że za młodu próbował szukać śladów tego wydarzenia – oczywiście po kilku tysiącach lat żadnych śladów być nie mogło, nawet jeśli miejsce określono trafnie. Jednak właśnie dzięki temu młody Alex zainteresował się historią, a szczególnie tym jej aspektem, który wiąże się z kopaniem i znajdowaniem artefaktów. Resztek. Strzępków innego czasu.

Jestem jego pilotem, dyrektorem ds. kontaktów z klientami i jedyną pracownicą. Oficjalnie zajmuję stanowisko asystentki zarządu. Mogłabym wybrać sobie dowolną nazwę stanowiska, łącznie z dyrektorem operacyjnym. Kiedy wróciliśmy z celińskiej bazy, był środek zimy. Poinformowaliśmy naszych klientów o powrocie i zaczęliśmy odpowiadać na pełne nadziei zapytania o artefakty. Czy raczej – spędziłam całe popołudnie na wyjaśnianiu, dlaczego wróciliśmy z pustymi rękami. Wyprawa okazała się kompletnym fiaskiem.

Był to jeden z tych dni szarych jak łupkowa skała, kiedy cały czas zanoszą się na to, że spadnie śnieg. Wiatr wiał z północy, wyjąc, gdy uderzał w dom. Byłam pogrążona w pracy, gdy Alex zszedł na dół ze swojego mieszkania. Miał na sobie grubą, szary sweter i czarne spodnie.

Alex jest średniego wzrostu; prezentuje się dość przeciętnie. W ogóle nie wygląda jakoś imponująco, dopóki w jego ciemnobrązowych oczach nie zapalą się światełka. Kiedyś napisałam, że starocie w rzeczywistości wcale go nie obchodzą – traktuje je wyłącznie jako źródło dochodu. Przeczytał to i strasznie się oburzył. Muszę przyznać, że trochę źle go oceniłam. Jest dalej wściekły z powodu – jak to określa – dewastacji bazy na Gideonie V. I to nie tylko dlatego, że ktoś tam dotarł przed nami.

–Znalazłem je – powiedział.

–Co takiego, Aleksie?

–Artefakty.

–Celińskie?

–Tak – odparł. – Co o tym sądzisz?

–Pokazały się na rynku?

Skinął głową na tak.

–Oferuje je na sprzedaż Blue Moon Action. – Uruchomił katalog i zobaczyliśmy dość imponującą kolekcję: talerze, kieliszki, bluzy, kombinezony robocze, wszystkie ze znajomym liternictwem i rysunkiem szczytu górskiego: logo bazy na Gideonie V. Było tam też trochę elektroniki. „Ten sprzęt magnetyczny będzie pięknie wyglądał w każdym salonie”, głosiła reklama. Na urządzeniu była nazwa producenta i data: siedemset lat temu.

Alex poprosił Jacoba o połączenie go z Blue Moon.

–Ciekaw jestem, co mają do powiedzenia. Przesunęłam się w okolice biblioteczki, żeby nie było mnie widać. Odebrała SI.

–Chciałbym rozmawiać z kimś z kierownictwa – rzekł Alex.

–Mogę połączyć z panią Goldcress. Czy mógłby pan podać nazwisko?

–Alexander Benedict.

–Proszę chwilę poczekać.

Pojawiła się blondynka w moim wieku. Biała bluzka, błękitne spodnie, złote kolczyki i bransoletka. Uśmiechnęła się sympatycznie.

–Witam, panie Benedict. Czym mogę służyć?

–Wystawili państwo na sprzedaż celińskie artefakty. Obok niej pojawił się fotel. Przysiadła.

–Zgadza się. Jeszcze nie zakończyliśmy zbierania ofert. Będziemy je zbierać do końca przyszłego tygodnia. – Zawahała się. – Którymi przedmiotami jest pan zainteresowany?

–Pani Goldcress, a czy mogę zapytać, jak weszliście państwo w posiadanie artefaktów?

–Przykro mi, ale nie mogę udzielić takich informacji. Wszystkie przedmioty mają jednak w pełni udokumentowane pochodzenie.

–Dlaczego nie może mi pani tego powiedzieć? Właściciel nie życzy sobie ujawniania swojego nazwiska.

–A więc państwo są po prostu jego przedstawicielem?

–Zgadza się. – Patrzyli na siebie przez pustą przestrzeń na środku biura, ona w fotelu, on oparty o moje biurko. – Poza tym w katalogu umieściliśmy tylko część dostępnych przedmiotów. Jeśli jest pan zainteresowany, pełna lista będzie dostępna na zamkniętym zlocie antykwariuszy, który odbędzie się w ten weekend. W Parmlee.

–Doskonale – odparł. – A czy w ten sposób będę mógł się z nim skontaktować?

–Z kim

–Z właścicielem.

–Przykro mi, panie Benedict, ale to byłoby nieetyczne, naprawdę nie mogę tego zrobić.

Jakby od niechcienia wyjął kartę do przelewów i położył ją na biurku.

–Byłbym ogromnie wdzięczny.

–Nie wątpię, i chętnie bym pomogła, ale naprawdę nie mogę.

Alex uśmiechnął się.

–Jak to miło, że w tej branży można nadal spotkać prawdziwych profesjonalistów.

–Dziękuję – odparła.

–A czy mógłbym prosić o przekazanie mu wiadomości?

–Oczywiście.

–Proszę przekazać, że proszę o kontakt.

–Oczywiście.

Rozłączyła się, a Alex wydal z siebie odgłos złości.

–Próżny wysiłek – mruknął. – Założę się, że się nie odezwie.

Sprawdziłam ten zjazd antykwariuszy.

–W tym roku gościem honorowym jest Bolton – poinformowałam. Ollie Bolton prowadził Bolton Brothers, historyczną firmę zajmującą się pozyskiwaniem antyków, już od ponad pół wieku. – Zaplanowano kilka wystaw.

Od Parmlee dzieli nas dwie i pół godziny jazdy pociągiem.

–Zrób rezerwację – powiedział. – Nigdy nie wiadomo, kto się pojawi na takiej imprezie.

Zjazd odbywał się w Ogrodzie Medalionów: wiaty, szklane przepierzenia i setki kwitnących roślin. Przyjechaliliśmy późnym popołudniem, zaraz po otwarciu wystawy antyków. Była tam kolekcja Rilby’ego, którą właśnie przenoszono do muzeum uniwersyteckiego, i kilka elementów elektronicznych liczących sobie ponad trzy tysiące lat, z pokładu „Taratino”, pierwszego statku, który – według zapisów – opuścił galaktykę. I oczywiście celiańskie artefakty.

Świadomość, że mogły – i powinny – być nasze, była bardzo bolesna. Poza przedmiotami, które widzieliśmy w katalogu, znajdowały się tam instrumenty muzyczne, komplety szachowe i do gry w sudzi, lampa i trzy oprawione zdjęcia, nadal ostre mimo upływu lat, wszystkie z bazą w tle. Na jednym była kobieta, na innym starszy mężczyzna, a na trzecim para dzieci, chłopiec i dziewczynka. Chłopiec miał na imię Jayle. Poza tym nie było żadnych innych informacji o tych ludziach.

Pani Goldcress także się zjawiała i była równie mało chętna do rozmowy jak za pośrednictwem

sięci, jak się miewa? Dziękuję, świetnie. Czy kiedyś była osobicie w miejscu, z którego pozyskano artefakty? Niestety, jest zbyt zajęta. Kiedy Alex zaczął się głośno zastanawiać, czy właściciel tej kolekcji jest tu obecny, odparła, że nie ma pojęcia.

Uśmiechnęła się do mnie uprzejmie w sposób, który sugerował, że miło byłoby, gdybym znalazła Aleksowi jakieś zajęcie, które nie wiązałoby się z marnowaniem jej czasu.

–Przekazała pani moją wiadomość właścicielowi? – spytał.

Staliśmy przed gablotą z celiańskimi artefaktami, a ona nie odrywała od niej wzroku.

–Tak – odparła – przekazałam.

–I co powiedział?

–Zostawiłam wiadomość SI.

–Mam ochotę dać jej w łeb – powiedział cicho, gdy odeszliśmy.

Uczestnikami zlotu byli handlarze antykami plus kilku naukowców i paru dziennikarzy. O siódmej wszyscy zebrali się w Sali Wyspiarskiej, gdzie miał się odbyć bankiet. Było tam koło czterystu osób.

Inni goście przy stole byli pod wielkim wrażeniem, gdy spostrzegli, że usadzono ich wraz z samym Aleksym Benedictem. Wszyscy chcieli usłyszeć coś o jego przygodach, a Alex, który uwielbiał takie sytuacje, z ochotą się zgodził. Jest sensownym facetem i raczej nie ma zwyczaju zadzierać nosa, ale lubi, kiedy ludzie mu mówią, jak świetnie sobie poradził i jakie wspaniałe rzeczy osiągnął. Rumienił się przy komplementach i próbował przypisywać mi część zasług, ale nie zauważali tego. Pewnie w swoim mniemaniu zachowywał się dość powściągliwie. Kiedyś powiedział mi, że pokora jest oznaką wielkości.

Po zakończeniu posiłku prowadzący spotkanie wstał, by wznieść kilka toastów. Świętej pamięci Maylo Rilbye'go, którego bezcenną kolekcję przekazał brat, reprezentowała młoda, energiczna bratanica. Wstała, a my wznieśliśmy kielichy. Wznieśliśmy też toast na cześć komisarza z muzeum uniwersyteckiego. I odchodzącego prezesa Stowarzyszenia Antykwariuszy, który po siedmiu latach rezygnował z tej funkcji.

Było trochę spraw administracyjnych do omówienia, aż wreszcie zaproszono gościa honorowego, Olivera Boltona, prezesa Bolton Brothers i słynnego człowieka. W przypadku Bolton Brothers intrygującym aspektem był fakt, że nie było żadnych braci Bolton. Nie było nawet siostry. Bolton założył tę firmę kilkadziesiąt lat temu, więc również nie był to przypadek odziedziczenia firmy po przodkach. Podobno kiedyś powiedział, że żałuje, iż nie ma rodzeństwa, a nazwa firmy służyła temu, by koić to poczucie straty. Muszę przyznać, że nie miałam pojęcia, o czym mówi.

Był wysoki, siwiejący, majestatyczny; ktoś, komu ludzie odruchowo robią miejsce. A równocześnie go lubią. Byłby skutecznym politykiem.

–Dziękuję, Ben, dziękuję – powiedział, gdy prowadzący skończył pięciominutowe wprowadzenie, złożone w całości z pochwał.

Podobno Ollie Bolton był odpowiedzialny za odzyskanie znaczącej liczby zabytków w ramach „Zaginionych stuleci”, co umożliwiło prowadzenie prac, które zmieniły opinię historyków na temat Czasów Niepokoju, jak i wiele innych osiągnięć.

Opowiedział o kilku swoich najważniejszych dokonaniach, przypisując zasługi za nie współpracownikom i przedstawiając ich w trakcie przemowy. Potem opowiedział parę rzeczy o sobie. Co przeżył, kiedy na Arakonie robotnicy wrócili do domów i zabrali ze sobą drabiny, a on został sam w grobowcu na noc. O nocy spędzonej w więzieniu na Bakudai, kiedy to oskarżono go o okradanie grobów.

–Z technicznego punktu widzenia mieli rację. Ale pomyślcie, że ta kryształowa misa, która teraz trafi do muzeum, nadal spoczywałaby ukryta pod piaskami pustyni.

Oklaski.

Czasem mówił tonem, w którym pobrzmiwała złość, pasja, poezja.

–Za nami piętnaście tysięcy lat historii. Większość z tego w środowisku, w którym zachowuje się wszystko. Ślady butów pierwszego człowieka na Księżycu nadal są widoczne. Wiem, że łączy nas wspólne umiłowanie przeszłości, zabytków, które przetrwały stulecia, które czekają na nas w mrocznych miejscach, gdzie nikt nie zagląda. Proszę państwa, spędzenie z wami wieczora to zaszczyt.

–Czemu nie jesteś choć trochę do niego podobny? – szepnęłam Aleksowi do ucha.

–Jeśli wolisz pracować dla Boltona, to mogę ci to załatwić.

–A dobrze płaci?

–Jakie to ma znaczenie? Podoba ci się bardziej niż twój obecny szef.

Zaskoczył mnie. Udawał, że żartuje, ale zauważyłam, że musiałam potrącić jakąś czułą strunę.

–Nie, dziękuję – odparłam. – Dobrze mi u ciebie.

Alex odwrócił wzrok i spojrzał na mnie dopiero po paru sekundach.

–Przepraszam – szepnął.

Bolton nadal puszył się przed publicznością.



–Przemawianie do związanej z handlem antykami społeczności Andiquaru to zawsze zaszczyt. O ile mi wiadomo, gościmy też kilka osobistości z dalej położonych miast naszej planety, a nawet z innych planet. – Przez kolejną minutę mówił o gościach, którzy przybyli z Przątek i z Ziemi. – Z ojczystej planety. – Oklaski. – Gdzie to wszystko się zaczęło. Znow oklaski.

Sądziłam, że będzie mówił wyłącznie o sobie, ale na to był za sprytny. Przeszedł za to do opisywania „pracy, którą wszyscy wykonujemy” i „pożytków, jakie ona wszystkim przynosi”.

–Piętnaście tysięcy lat to długi okres – powiedział. Podzielony latami wojen i buntów, mrocznych stuleci i społecznej zapaści, kiedy to przedmioty giną. Historii, o których nigdy nie zapomnimy. Jak historia kobiet z Filipin, które podczas zapomnianej wojny wystąpiły przeciwko żołnierzom wroga, by napoić i nakarmić swoich mężczyzn i sojuszników podczas Marszu Śmierci. Ach, widzę, że niektórzy z was wiedzą o Marszu Śmierci. Zastanawiam się jednak, ile z tych informacji byłoby dostępnych, gdyby nie prace Maryam Kleffner, która siedzi tam z tyłu. – Pomachał w tym kierunku. – Witaj, Maryam.

Wymienił jeszcze kilka osobistych osiągnięć.

–Praca historyka jest ciężka – rzekł. – Ich zasług nie można przecenić. A dziś gościmy tu takich ludzi jak Lazarus Colt, tu, na przedzie, Lazarus jest dziekanem wydziału archeologii na tutejszym uniwersytecie. Gdyby nie Lazarus i jego zespół, nadal nie wiedzielibyśmy, czy Mindanie na Khaja Luan byli istotami rzeczywistymi czy mitycznymi. Wspaniały rozwój cywilizacji przez tysiące lat, a potem gwałtowna zapaść i prawie o niej zapomniano.

–Prawie. – Miał publiczność w garści. Zamilkł, uśmiechnął się i potrząsnął głową. – Tu jednak mamy przykład działań, dzięki którym w historii zapisali się pięknie także i ci, którzy szukają antyków i sprzedają je. Rozmawiałem dziś z Lazarusem. Chciał jako pierwszy powiedzieć wam, że nigdy nie znaleźlibyśmy Mindan, nawet nigdy byśmy ich nie szukali, gdyby Howard Chandis nie odkrył zagrzebanego na stoku wzgórza naczynia na wino. Howard oczywiście jest tu dziś z nami.

Howard wstał i przez salę przetoczyły się oklaski.

Bolton przemawiał przez jakieś dwadzieścia minut. Zakończył z emfazą, podkreślając, że jednym z przyjemniejszych aspektów tego zawodu jest towarzystwo ludzi, z którymi się spotyka.

–Dziękuję wam wszystkim bardzo – rzekł, uklonił się i zamierzał zejść z mównicy.

Jeden z gości, chudy, mały człowieczek o czarnych włosach i wydatnych rysach, wstał. Rozległo się kilka szeptów, a kobieta przy sąsiednim stoliku mruknęła „Aha!”. Oklaski ucichły. Bolton i mały człowieczek patrzyli na siebie.

Ktoś obok niego próbował go zmusić, by usiadł. Człowieczek stawiał opór i wyprostował się. Bolton uśmiechnął się i próbował zgrywać sympatycznego.

–Ma pan jakieś pytania, profesorze Kolchevsky? – spytał.

Casmir Kolchevsky. Nieomal legendarny archeolog, którego zaatakował robot strażniczy.

–Tak – odparł.

Alex sięgnął po kieliszek z winem.

–To może być ciekawe – rzekł.

–Dlaczego? O co chodzi?

–On nie lubi ludzi naszej profesji. A przynajmniej tych, którzy wygrzebują spod ziemi własny towar.

–Przypisuje pan sobie wiele zasług – rzekł Kolchevsky. Nie był urodzonym mówcą jak Bolton i jego głosowi brak było mocy, ale nadrabiał to pasją. Odwrócił się, by objąć wzrokiem publiczność.

Miał pobrużdżoną, jakby smaganą wiatrem twarz, długą szczękę i oczy, które w tej chwili płonęły gniewem.

–Już myślałem, że nic mnie nie zaskoczy, ale oto jestem tu i słucham, jak państwo oddają honory temu złodziejowi, temu wandalowi! Stoi tu przed nami i przemawia, jakby był uczciwym człowiekiem. Jakby zrobił coś wielkiego. A wy mu klaszczecie, bo mówi wam to, w co sami chcecie uwierzyć. – Odwrócił się znów do mówcy. – To ja wam powiem, jakie są jego osiągnięcia.

Zauważyłam jakiś ruch przy drzwiach. Ochroniarze wkroczyli do sali i przedzierali się między stołami w stronę Kolchevsky'ego.

–To wy ograbiliście liczne stanowiska archeologiczne w Konfederacji i poza nią. A jeśli nie osobiście, to przez pośredników. – Ktoś złapał go za rękę i zaczął odciągać od stołu. – Proszę mnie zostawić – warknął Kolchevsky.

Wysoka kobieta w mundurze ochrony podeszła do niego wraz z dwojgiem innych i zaczęła coś mówić.

–Nie – rzekł. – Oczywiście, że nie możemy na to pozwolić, prawda? Stawienie czoła prawdzie nie starcza, tak? – Zaczął się szarpać z ochroną. Przybyły posiłki. Ktoś przy stole wdał się w bójkę z ochroniarzem. Ktoś inny upadł. Kolchevsky'ego już wtedy trzymali pod ramiona. – Sam wyjdę! – wrzasnął.

–Ale to jedna szajka złodziei. Nic więcej.

Zaczęli go wlec w stronę wyjścia, a on się nadal opierał. Mówię wam, spodobał mi się ten facet,

**nic nie poradzę.**

**Kilka minut po tym, jak wynieśli go na zewnątrz, usłyszeliśmy podniesione głosy. Bolton nawet się nie poruszył, tkwił dalej na mównicy. Kiedy wrzawa ucichła, poprawił marynarkę i uśmiechnął się do publiczności.**

**–To w ramach przedstawienia, proszę państwa. Zobaczymy, co będzie dalej.**

**Nastrój jednak trochę opadł. Snuliśmy się między gośćmi, a kiedy część oficjalna się zakończyła, zaliczyliśmy parę przyjęć. Alex był pewien, że klient pani Goldcress tam jest. Przecież gdzieś musiał być.**

**–Nie ma szans, żeby się oparł.**

**–Ale jak zamierzasz go znaleźć? – spytałam.**

**–On nas zna, Chase. Mam nadzieję, że jakoś się zdradzi, może za bardzo się nami zainteresuje. Może obserwował nas, kiedy rozmawialiśmy z jego agentką.**

**–Zauważyłeś kogoś?**

**–Zauważyłem wiele osób, które się nam przyglądały. Ale raczej tobie.**

**Pewnie w ten sposób nawiązywał do mojej najlepszej wieczorowej sukni barwy wiśni, która chyba jednak odslaniała więcej, niż to miałam w zwyczaju.**

**Jeśli jednak tam był, trzymał się od nas z daleka. I na koniec wieczora wróciliśmy do hotelu z pustymi rękami.**

**W dniu, kiedy wróciliśmy do domu, spałam do późna. Pojawiłam się w biurze przed południem, a Jacob wyświetlił listę osób, które do nas dzwoniły. Widniało tam nazwisko, którego nie rozpoznałam.**

**–To jakaś miejscowa dama – wyjaśnił Jacob. – Chce zamówić wycenę.**

**W branży antyków poważni kolekcjonerzy wolą załatwiać interesy twarzą w twarz, zwłaszcza jeśli podejrzewają, że mogą mieć jakiś cenny artefakt. Zresztą w takich przypadkach Alex zwykle odmawia dokonania wyceny na odległość. Ale przeważnie przynoszą nam przedmioty o bardzo małej wartości i nie trzeba ich oglądać z bliska, żeby zdać sobie z tego sprawę.**

**Dużo ludzi trafia do nas nieomal z ulicy. Zwykle są to osoby, które kupiły coś na wyprzedaży czyjegoś majątku albo odziedziczyły jakiś przedmiot i zaczynają się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest wart więcej, niż im powiedziano. I wtedy zakładają, że nie mają nic do stracenia, i dzwonią do nas. Oczywiście podchodzą do sprawy dyplomatycznie. Ja wprawdzie**

**nie jestem ekspertem w dziedzinie antyków, ale potrafię rozpoznać rzecz bezwartościową, kiedy ją zobaczę. Jeśli nie mam pewności, pytam Aleksa.**

**Dziewięćdziesiąt procent klientów z ulicy przynosi po prostu śmieci. To ostrożny szacunek. Kiedy więc kilka godzin później oddzwoniłam i obraz tej pani zmaterializował się w biurze, moja pierwsza myśl krążyła wokół tego, żeby szybko rzucić okiem na to, co ma, i splawić ją.**

**Była to drobna blondynka, nerwowa, niezbyt dobrze ubrana; miała problem ze spojrzeniem mi w oczy. Nosila złociste spodnie, które wyglądałyby lepiej na kimś o węższych biodrach. Marszczona biała bluzka miała spory dekolt i odsłaniała spory odcinek rowka między piersiami – gdyby ta pani go miała. Na szyi nosiła apaszkę w oślepiającym, czerwonym kolorze, a na jej ustach widniał uśmiech, który był zarazem agresywny i nieśmiały. Siedziała na wysłużonej dzielonej sofie – dostaje się taką za darmo przy kupnie pary foteli.**

**Powitanie było krótkie, choć niespecjalnie opryskliwe.**

**–Nazywam się Amy Kolmer – powiedziała. – Mam coś, co chciałabym wycenić. Zastanawiam się, czy to może być coś warte.**

**Sięgnęła poza zasięg obrazu i pokazała mi kubek, który podstawiała pod światło.**

**Był to bibelot, coś, co się kupuje w sklepikach z pamiątkami. Naczynie było szare. Na ściance wyryto zielonoszarego orła. W stylu, w jakim przedstawiono tego orła na rysunku, było coś staroświeckiego. Uchwycono go w locie, z rozpostartymi skrzydłami, z otwartym dziobem, jakby miał zaraz zaatakować. Trochę przerysowane. Może coś takiego było popularne w poprzednim stuleciu. Pod orłem było widać coś przypominającego szarfę z jakimś napisem. Litery były za małe, żeby dało się coś odczytać, ale nie wyglądało mi to na standardowy alfabet.**

**Odwróciła kubek, żebym zobaczyła wewnątrz. Był tam glob otoczony pierścieniami, z napisem pod nim i nad nim. Takie same symbole.**

**–Co pani o tym sądzi? – spytała.**

**–Wie pani może, co to za język? – spytałam.**

**–Nie mam pojęcia.**

**–A wie pani, co to jest?**

**Zrobiła zdumioną minę.**

**–Kubek.**

**–To znaczy, jaki kubek? Skąd on pochodzi?**

**–Dostałam go od mojego przyjaciela.**

**–Pani przyjaciela?**

**–Mojego byłego przyjaciela. – Zauważyłam, jak zwięzają się jej oczy, i zrozumiałam, że znajomość skończyła się źle. I teraz kobieta próbuje zamienić pamiątki po tym związku na gotówkę. – Kiedyś zauważył, że mi się podoba, więc mi go dał.**

**–Ładnie z jego strony – powiedziałam.**

**–Spodobał mi się ten orzeł. – Patrzyła na niego przez długą chwilę. – Dał mi go dzień przed tym, jak się rozstaliśmy. Pewnie miała to być nagroda pocieszenia.**

**–Może.**

**–Ten kubek jest wart więcej niż on. – Uśmiechnęła się. Był to jeden z tych uśmiechów, na widok którego przyszła mi do głowy myśl, że nie byłaby specjalnie zmartwiona, gdyby jej były przyjaciel spadł z mostu.**

**–A gdzie on go zdobył?**

**–Zawsze go miał.**

**Zrozumiałam, że wiele z niej nie wydobędę. Kusiło mnie, żeby jej powiedzieć, że ten kubek jest bezwartościowy, ale Rainbow miała pewien kodeks etyczny, który zabraniał takich rzeczy. Zwróciłam się do SI.**

**–Jacobie – spytałam – co to za język?**

**–Szukam – odparł.**

**Kubek nie miał żadnych cech charakterystycznych poza tym napisem, niczego, co pozwalałoby go jakoś zidentyfikować. Tylko że przez te wszystkie lata mojej pracy dla Rainbow widziałam już wiele dziwnych znaków i wiedziałam, że to może nic nie znaczyć.**

**Jacob wydał dźwięk przypominający chrząkanie. Oznaczało to, że jest zaskoczony. Gdyby nie aktywne połączenie z Amy Kolmer, pojawiłby się.**

**–To angielski – rzekł. – Środkowoamerykański.**

**–Naprawdę?**

**–Oczywiście.**

**–Czwarte tysiąclecie – próbowałam zgadnąć.**

**–Trzecie. W czwartym już nikt nie mówił po angielsku. Amy ożywiła się. Nie spodziewała się dobrych nowin, ale usłyszała wystarczająco dużo, żeby wzbudziło to w niej nadzieję. Spojrzała**

na puchar, potem na mnie i znów na puchar.

–To coś ma dziewięć tysięcy lat?

–Najprawdopodobniej nie. Inskrypcję sporządzono w starym języku. Ale to nie oznacza...

–Trudno uwierzyć, że zachował się w tak dobrym stanie przez tyle lat.

–A może wpadłaby pani do nas? Obejrzelibyśmy go z bliska.

Jacob oczywiście może sporządzić dla nas wirtualną kopię, ale Alex upiera się, że to nie to samo co wzięcie przedmiotu do ręki. Lubi nadawać wymiar duchowy wszystkiemu, co robi, pewnie gdyby spytać go wprost, przyzna, że to bzdura, ale są pewne cechy przedmiotów fizycznych, których komputer nie jest w stanie odtworzyć. Nie proście go o dalsze szczegóły.

Umówiłam się więc z Amy Kolmer na popołudnie. Przybyła przed czasem. Alex zszedł na dół i osobiście wprowadził ją do biura. Widać było, że jest zainteresowany.

Kobieta niespecjalnie mnie obchodziła. Kiedy z nią rozmawiałam, wyczułam, że jej zdaniem będę próbowała ją oszukać. Kiedy pojawiła się osobiście, zmieniła strategię: zaczęła odgrywać bezradną, ale pełną seksapilu kobietkę. Pewnie to obecność Aleksa tak na nią działała. Krygowała się, trzepotała rękami i skromnie wbijała wzrok w podłogę. *Och, ja biedna, życie jest takie ciężkie, ale może mam trochę szczęścia i znalazłam kogoś, kto mi pomoże.* Jeśli sądziła, że wskutek jej wysiłków Rainbow obniży cenę za pośrednictwo w ewentualnej sprzedaży, to nie знаła Aleksa.

Owinęła kubek w kawałek miękkiej tkaniny i włożyła go do plastikowej torby. Kiedy wszyscy zasiedliśmy w biurze, otworzyła torbę, rozwinęła kubek i ustawiła go przed Alekssem.

Alex przyjrzał mu się uważnie, zagryzł wargę, skrzywił się i umieścił go pod czytnikiem Jacoba.

–Jacobie, co możesz nam o nim powiedzieć? – spytał.

Lampa w górnej części czytnika mrugnęła. Światło zmieniło kolor na pomarańczowy. Potem na czerwony. Przygasło i znów rozbłysło. Przeszło przez całe widmo. Ten proces trwał około dwóch minut.

–Przedmiot jest wykonany z żywicy akrylonitrylowo-butadienowo-styrenowej. Koloru zasadniczo...

–Jacobie – przerwał mu Alex – ile to ma lat?

–Moim zdaniem przedmiot powstał w okresie trzeciego tysiąclecia. Najprawdopodobniej około 2600 n.e. Zakres błędu dwieście lat w jedną lub w drugą stronę.

–Co tam jest napisane?

–Na wstędze jest napis „Nadchodzi nowy świat”. Na dnie pucharu jest jakieś oznaczenie. „RFM171”. I jeszcze jedno słowo, którego nie jestem pewien.

–Więc pochodzi z jakiegoś biura?

–Ten napis prawdopodobnie oznacza „Rejestr Floty Międzygwiazdnej”.

–Więc pochodzi z jakiegoś statku?

–Och, tak. To nieomal pewne.

Amy chwyciła mnie pod ramię.

–Ile to jest warte?

Alex poprosił ją gestem o cierpliwość.

–Jacobie, to słowo to chyba nazwa statku.

–Myślę, że tak istotnie jest. Można je przetłumaczyć jako „Szukacz”. Albo „Badacz”. Coś w tym rodzaju.

Światła zgasły. Alex podniósł delikatnie przedmiot i umieścił go na biurku. Przyjrzał mu się przez szkło powiększające.

–Jest w zdumiewająco dobrym stanie – powiedział.

Amy była mniej powściągliwa.

–Dzięki Bogu. Mogłoby mi się wreszcie coś w życiu udać. – Alex uśmiechnął się. Już planowała, co sobie za to kupi. – Jakim cudem może być taki stary? – spytała. – Moje zasłony są prawie nowe, a już się rozlatują.

–To ceramika – powiedział. – Przedmioty z ceramiki mogą przetrwać lata.

Wyjął miękką ściereczkę i zaczął delikatnie przecierać kubek.

Spytała, ile będziemy w stanie zapłacić. Alex zrobił minę, którą zwykle przybiera, kiedy nie chce odpowiedzieć na jakieś pytanie wprost.

–My raczej nie kupujemy – odparł. – Poszperamy trochę. Potem zbadamy rynek. Ale jeśli będzie pani cierpliwa, uzyskamy niezłą cenę.

–Parę setek?

Alex uśmiechnął się z wyższością.

–Nie byłbym zaskoczony. Klasnęła w dłonie.

–To cudownie. – Spojrzała na mnie, potem znów zwróciła się do Aleksa. – Co mam teraz zrobić?

–Nie musi pani nic robić. Teraz nasz ruch. Najpierw musimy się dokładnie dowiedzieć, co mamy.

–Dobrze.

–Ma pani jakiś dowód własności?

Ha. Jej wyraz twarzy uległ zmianie.

–Ja to dostałam.

–Od byłego przyjaciela.

–Tak. Ale jest moje.

Alex skinął głową.

–Dobrze. Będziemy musieli sporządzić dokument, w którym oświadczy pani, że ma pani prawo sprzedać ten przedmiot.

–Nie ma problemu.

Miała nieco niepewną minę.

–Doskonale. Może pani po prostu zdeponuje go u nas, a my postaramy się czegoś dowiedzieć, i wtedy się z panią skontaktujemy.

–Co o tym sądzisz? – spytałam, kiedy wyszła.

Wyglądał na zadowolonego.

–Dziewięć tysięcy lat? Ktoś będzie zachwycony, płacąc niezłą sumkę za możliwość postawienia go na kominku.

–Sądzisz, że naprawdę pochodzi z jakiegoś statku?

Przyjrzał się kubkowi jeszcze raz przez szkło powiększające.

–Pewnie nie. Pochodzi z epoki, kiedy dopiero zaczynano budować statki międzygwiazdne. To



**raczej jakiś prezent reklamowy albo coś ze sklepiku z pamiątkami. Ale to nie ma znaczenia. Nie przypuszczam, żeby dało się ustalić, czy był na pokładzie jakiegoś statku czy nie.**

**Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby podróżował na pokładzie „Szukacza”, a najlepiej należał do kapitana. A już idealnie, gdybyśmy znaleźli tego „Szukacza” w archiwach i dowiedzieli się, że dokonał czegoś spektakularnego, a jeszcze lepiej, żeby się gdzieś rozbił, a jego kapitan jakoś zapisał się w annałach historii.**

**–Zajmij się tym, Chase. Zagon Jacoba do roboty i spróbuj się czegoś dowiedzieć.**

# TRZY

W idei zaginionego świata jest coś, co nas przyciąga nieomal mistycznie: marzymy o tym, że gdzieś tam jest Atlantyda, miejsce, gdzie zwykle problemy nie mają wstępu, gdzie wszyscy mieszkają w pałacach, gdzie codziennie jest impreza, wszystkie kobiety są piękne, a wszyscy mężczyźni – dzielni i szlachetni.

Lescue Harkin, *Pamięć, umysł i mit*, 1376

Trzecie tysiąclecie było dawno temu, a źródła historyczne na jego temat były bardzo niekompletne. Wiedzieliśmy, kim byli przywódcy polityczni, kiedy i w jaki sposób zaczynały się wojny (choć nie zawsze wiedzieliśmy dlaczego), znaliśmy najważniejszych artystów, prądy literackie i konflikty religijne epoki. Wiedzieliśmy, jakie groźby wysuwały poszczególne kraje pod adresem innych. Ale nie mieliśmy zbyt wielu informacji na temat tego, jak żyli ludzie, jak spędzali czas, co myśleli o świecie, w którym przyszło im żyć. Wiedzieliśmy o zabójstwach, ale nie zawsze znaliśmy przyczynę. Czasem nie wiedzieliśmy nawet, czy w danym przypadku zwykli obywatele pograżali się w żalu, czy oddychali z ulgą.

Dziewięć tysięcy lat to mnóstwo czasu. I chyba nikt, z wyjątkiem paru historyków, nie myśli tak naprawdę o tej epoce.

Jacob zaczął więc szperać za „Szukaczem”. Nic nie znalazł, zaczął więc wygrzebywać szczegółowe informacje o innych sławnych statkach międzygwiazdnych w nadziei, że znajdziemy coś o podobnej nazwie.

–Może źle przetłumaczyliśmy nazwę – podsunął. – Angielski był mało precyzyjnym językiem.

Przeszperaliśmy więc zapisy na temat „Mściciela”, który odegrał ważną rolę w pierwszej wojnie międzygwiazdnej między Ziemią a trzema jej koloniami na początku trzydziestego trzeciego stulecia. Jak również na temat „Lassitera”, pierwszego kosmicznego pirata. I „Karakii” z trzydziestego wieku, największego statku w tych czasach, który przewoził na Regulusa IV całe zaopatrzenie umożliwiające założenie tam kolonii. I „Chao Huang”, który zawiózł lekarzy na Maracaibo, kiedy wbrew wszelkim przewidywaniom ludzkich osadników zaatakowała miejscowa choroba. (Było to jeszcze w czasach, kiedy eksperci nadal wierzyli, że drobnoustroje mogą zaatakować tylko organizmy, które ewoluowały w tym samym biosystemie).

Znaleźliśmy mnóstwo informacji na temat „Tokio”, pierwszego statku międzygwiazdnego, który zniknął w nadprzestrzeni i już nigdy o nim nie słyszano. Były zdjęcia kapitana, pierwszego oficera i niektórych pasażerów. Oraz mesy i maszynowni. Wszystko. Z wyjątkiem informacji, co się z nim stało.

I na temat najsłynniejszego ze statków międzygwiazdnych, „Centaura”, który dokonał lotu nadprzestrzennego z Ziemi do najbliższej gwiazdy. Lot w jedną stronę trwał siedem tygodni.

**Pewnie się teraz uśmiechacie: cztery lata świetlne w siedem tygodni!**

**Nie było jednak żadnej wzmianki o „Szukaczu”. Ani „Eksplorercze”. Był „Podróżnik”. A nawet trzy statki o tej nazwie. Nie ma się co dziwić, że była to popularna nazwa. Był też nawet „Łowca”.**

**Z okresu trzeciego tysiąclecia nie przetrwało wiele zabytków. Większość z nich to ceramika, jak kubek Amy, albo tworzywo. Jedno z prawideł naszej branży głosi, że najtańsze rzeczy mogą przetrwać najdłużej.**

**Nie wiedziałam, kto jest ekspertem w tej dziedzinie, więc zajrzałam do rejestru i wybrałam go na chybił trafił. Był asystentem na uniwersytecie na Barcross i nazywał się Shepard Marquard. Wyglądał młodo, ale dużo pisał na temat tej epoki i cieszył się uznaniem kolegów po fachu.**

**Zadzwoiłam i nie miałam żadnych problemów ze skontaktowaniem się z nim. Był przystojny, wysoki, rudy, o powierzchowności bardziej ujmującej, niż można było wnioskować na podstawie zdjęć.**

**–Większość archiwów floty z tych czasów zaginęła – wyjaśnił. – Ale zobaczę, co się da zrobić. Poszperam w tym, co mam, i skontaktuję się.**

**Następnego dnia zwiedziłam wirtualnie kilka muzeów. Spędziłam dużo czasu na wędrowaniu pośród eksponatów z trzeciego tysiąclecia. Obejrzałam plastikową skrzynkę, w której kiedyś przechowywano przybory do makijażu, urządzenie elektroniczne, którego przeznaczenia mogłam się tylko domyślać, parę damskich butów na wysokich obcasach, kilka piór, lampę, sofę i arkusz zalaminowanego papieru, który podpisano jako „fragment gazety, część z ogłoszeniami”. Nie wiedziałam, co to jest gazeta, i nikt, z kim rozmawiałam, nie był mi w stanie tego wyjaśnić. (Marquard wyjaśnił mi później, że były to informacje drukowane na papierze i rozprowadzane na pewnym obszarze). Była tam męska czapka z daszkiem chroniącym przed promieniami słonecznymi. I metalowa moneta z orłem z jednej strony. Metalowe pieniądze. *Stany Zjednoczone Ameryki.***

***Bogu ufamy.* Była na niej data 2006, a w informacjach podano, że znana jest tylko jedna starsza moneta.**

**Pospacerowałam między eksponatami, a kiedy obejrzałam wszystko, co mnie zainteresowało, udałam się do czytelnicy i zaczęłam szperać w plikach danych.**

**Trzecie tysiąclecie było burzliwym okresem. Ziemia była przeludniona. Jej mieszkańcy nieustannie toczyli ze sobą wojny – z powodów politycznych, ekonomicznych, religijnych. Systemy polityczne były przeważnie zdeprawowane i często się rozpadały.**

**Epoka przemysłowa pozostawiła w spadku poważne problemy ekologiczne, a pogorszenie się globalnego klimatu zbiegło się z dojściem do władzy bezwzględnych przywódców. Najgorszym z nich był Marko III, któremu jego amerykańscy poddani nadali przydomek Wspaniałego.**

W połowie dwudziestego piątego wieku, kiedy to Marko więził lub mordował w zależności od nastroju, Diane Harriman dokonała przełomowego odkrycia związanego ze strukturą czasoprzestrzeni, a dwadzieścia lat później Shi-Ko Han i Edward Cleaver zbudowali napęd międzygwiazdny.

Jeszcze cztery lata i ludzkość odkryje pierwszą planetę nadającą się do zamieszkania. Nie zdziwiło mnie, gdy czytałam, że zgłosiło się wielu ochotników pragnących tam wyruszyć.

Wybierałam się już do domu, kiedy Jacob poinformował mnie o połączeniu przychodzącym.

–Chase – odezwał się znany głos. – Chyba mam to, czego pani szuka.

To był Marquard.

–Zidentyfikował pan „Szukacza” – powiedziałam.

–Tak – mówił jakimś dziwnym tonem. – A mogę spytać, dlaczego szuka pani tych informacji?

Powiedziałam mu o kubku. Wysłuchał w milczeniu, a kiedy skończyłam, zapadła cisza.

–Teraz pana kolej – powiedziałam w końcu. – Co pan dla mnie ma?

–Niespodziankę. Mogłaby pani wpaść do mnie do szkoły?

–A nie może mi pan po prostu powiedzieć?

–A może zjadłaby pani ze mną kolację?

Subtelny jak nosorożec.

–Doktorze Marquard, nie bardzo mam czas na podróż na Barcross.

Nie powiem, żebym nie miała na to ochoty. Ale to daleko.

–Mówmy sobie po imieniu. Mam na imię Shep. I daję słowo, że nie będziesz żałować.

Barcross to duża wyspa o kształcie rombu, pewnie najbardziej znana jako kurort dla singli. Wiele lat temu przeżyłam taki etap, kiedy bywałam tam dość często. Morze, światło księżyca, jak we śnie. W takim miejscu cały czas ma się wrażenie, że gdzieś tam czeka na nas miłość życia. Teraz bardziej realistycznie na to patrzę, ale i tak poczułam ukłucie żalu, kiedy opadałam nisko nad oceanem, patrząc na opustoszałe plaże i wille. Słońce właśnie zanurzyło się pod horyzontem i zaczynały się zapalać światła.

Wyspa to sztuczny twór. Zbudowano ją jako system tarasów opadających do wody, więc teoretycznie każdy ma widok na morze. Było już po sezonie. Ostatni twardziele snuli się po rampach i chodnikach. Większość sklepów i restauracji była zamknięta.

**Populacja mieszkańców liczyła jakieś czterdzieści tysięcy osób, kolejne czterdzieści mieszkało na okolicznych wysepkach. Uniwersytet zgromadził jakieś siedem tysięcy studentów, którzy przyjeżdżali tu z całego archipelagu i lądu stałego. Cieszył się dobrą reputacją, szczególnie pod względem poziomu nauk ścisłych. Jeśli ktoś planował zostać lekarzem, był to dobry wybór.**

**Miasteczko uniwersyteckie rozłożyło się na dwóch szerokich tarasach tuż poniżej budynków miejskich, które znajdowały się w najwyższym punkcie na wyspie. Przełączyłam śmigacz na autopilota, a ten wylądował na lądowisku obok dużej kopuły. W tym budynku znajdował się ośrodek studencki, kilka sklepów i restauracja. Restauracja nazywała się „U Beniamina”. Z dawnych czasów pamiętałam, że położona była niżej, bliżej plaży.**

**Marquard zaskoczył mnie, wyłaniając się z bocznych drzwi. Wmaszerował energicznie na lądowisko, otworzył wąż i wyciągnął rękę, by pomóc mi wysiąść. W czasach, kiedy kultura rycerska jest traktowana jak jeszcze jeden zabytek, nie był to najgorszy początek.**

**Barcross ma chyba najpiękniejsze miasteczko uniwersyteckie na całej planecie. Te wszystkie obeliski, domy o kształcie skorupy żółwia albo piramidy i piękny widok na morze. Tego dnia było jednak chłodno, a ostry wiatr wiał nam prosto w plecy, nakłaniając do schronienia się w środku.**

**–Miło mi cię poznać osobiście, Chase – powiedział, prowadząc nas w stronę „U Beniamina”. – Cieszę się, że przyleciałaś.**

**Miał na sobie szare spodnie, błękitną jak muszla koszulę i białą marynarkę. Był przystojny, wysoki, szykowny, z poczuciem humoru, może trochę za nieśmiały na towarzysza nocnych szaleństw.**

**Usiedliśmy i sięgnęliśmy po menu. „U Beniamina” nie zmieniła się specjalnie przez te parę lat. Sala jadalna była większa niż w czasach, kiedy znajdowała się blisko nabrzeża. Wybór potraw oczywiście też się zmienił. Ale było tu nadal przytulnie i skromnie, a wystrój nawiązywał do motywów morskich. Były tu żagle, koła sterowe i kompasy, a jedną ze ścian zastąpił hologram z latarnią morską i sztormem. Na pozostałych ścianach wisiały zdjęcia znanych postaci z branży rozrywkowej, na przykład klasyczne zdjęcie Cary Webber stojącej przed restauracją na nabrzeżu, z oceanem w tle. Wyglądała na zagubioną. Cary grywała głównie w romansidłach, ale zmarła młodo, co oczywiście zapewniło jej nieśmiertelność.**

**Zamówiliśmy wino i paluszki chlebowe. Kiedy robot odszedł, Marquard pochylił się nad stołem w moją stronę i powiedział, że jestem uderzająco piękna.**

**–Ale o tym już pewnie wiesz – dodał.**

**Zastanawiałam się, czy mam ochotę na spędzenie z nim długiego wieczoru. Podziękowałam i oparłam łokcie na stole, a podbródek na złożonych dłoniach.**

–Shep – spytałam – co masz na temat „Szukacza”?

–To błędny przekład, Chase. – Rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że jesteśmy sami – istotnie nie było nikogo poza grupą trzech czy czterech studentów pod oknem – i powiedział cicho:

–Statek nazywał się „Poszukiwacz”. Wypowiedział to słowo z naciskiem.

–„Poszukiwacz” – powtórzyłam.

–Zgadza się.

–Dobrze.

–Chase, ty chyba nie rozumiesz. To może być ten „Poszukiwacz”.

–Wybacz, Shep, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jaki „Poszukiwacz”?

–To jeden ze statków, którymi Margolianie odlecieli do swojej kolonii.

–Margolianie.

Uśmiechnął się, zdumiony moją ignorancją.

–Opuścili Ziemię w trzecim tysiącleciu. Choć pewnie lepszym określeniem byłoby „uciekli”. Nie poinformowali nikogo, dokąd lecą. Polecieli sami, zabierając jakieś pięć tysięcy ludzi. I słuch po nich zaginął. Zaginiona kolonia.

Atlantyda. Intava. Margolia. W mózgu zapaliło mi się światełko.

–To przecież mit, prawda?

–Nie. To się wydarzyło naprawdę.

–Los ojczyzny niespecjalnie ich obchodził.

–Chase, oni żyli w społeczeństwie, które nominalnie było republiką...

–...ale?

–Kontrolowało religie i używało szkół raczej do indoktrynacji niż nauki. Patriotyzm definiowano jako absolutne poparcie dla przywódcy i dla flagi. Wszystko inne było traktowane jako nielojalność. Nie wolno było kwestionować decyzji tych, którzy sprawowali władzę.

–A co się z działo z tymi, którzy jednak to robili? Lądowali w więzieniu?

–Ogień piekielny.

–Co?

–Obywatele mieli narzuconą przez boski byt powinność poddania się woli prezydenta. Oddania cesarzowi, co cesarskie.

–To znaczy trochę coś innego.

–Ten zwrot zmienił nieco znaczenie. Brak podporządkowania się ustrojowi politycznemu, a co za tym idzie społecznemu, był uważany za poważny występki przeciwko boskiej istocie.

–A nie było tam jakichś sceptyków?

–Pewnie. Ale nie zachowało się o nich za wiele informacji.

Trudno było uwierzyć, że kiedyś ludzie mogli tak żyć.

–Więc to jakiś słynny statek?

–Och, tak.

–I mówisz, że „Poszukiwacz” nigdy nie wrócił?

–Zgadza się. – Pochylił się w moją stronę, a światło świecy błysnęło na jego białych zębach. – Chase, jeśli ten kubek rzeczywiście pochodzi z pokładu „Poszukiwacza”, nic lepszego nie mogłoby się wam przydarzyć. – Pojawiło się nasze wino i paluszki chlebowe. – Mówisz, że ta kobieta zjawiała się nieomal z ulicy i zostawiła wam ten kubek? Bez słowa wyjaśnienia?

–Tak. Mniej więcej tak to wyglądało. – Pomyślałam, jak Alex się ucieszy.

–Pewnie nie masz go ze sobą?

Uśmiechnęłam się.

–Gdybym próbowała go wynieść z firmy, Alex dostałby zawału.

–I jesteś pewna, że ma dziewięć tysięcy lat?

–Tak wynika z odczytów.

–Niewiarygodne. – Podał mi kieliszek i uniósł swój. – Za Margolian – powiedział.

Istotnie.

–Co się z nimi stało?

**Wzruszył ramionami.**

**–Tego nie wie nikt.**

**–Wino było smaczne. Świece. Ogień na kominku. I dobre wino. I dobre nowiny. Takemu połączeniu trudno się oprzeć.**

**–Znikli bez śladu?**

**–Tak.**

**Kelner wrócił. Wolę lekkie posiłki, nawet kiedy ktoś stawia, więc wybrałam sałatkę owocową. Upewnił się, czy nie chcę nic więcej, i oświadczył, że grzywacze kordeliańskie są doskonałe.**

**–„Poszukiwacz” – mówił dalej Marquard – wystartował z Ziemi 27 grudnia 2688 roku, mając na pokładzie około dziewięciuset osób. Dwa lata później wrócił i zabrał kolejne dziewięćset.**

**–Był tam jeszcze jeden statek, prawda? – Powoli przypominałam sobie całą historię.**

**–Tak. Drugi statek nazywał się „Bremerhaven”. Każdy z nich odbył trzy loty. W sumie przewiozły do kolonii ponad pięć tysięcy ludzi.**

**–I nikt nie wiedział dokąd? Jak to możliwe? Przecież nie można nawet wystartować ze stacji, nie składając wcześniej informacji o trasie.**

**–Chase, mówimy o początkach ery lotów międzygwiazdnych. Nie było wtedy za wiele przepisów.**

**–Kto był właścicielem statku?**

**–Margolianie. Według zapisów statek po każdym locie przechodził remont.**

**–To chyba świadczy o tym, że nie był w najlepszym stanie?**

**–Nie wiem, jak wyglądało utrzymanie statku międzygwiazdznego w tych czasach.**

**–Nie szukano ich?**

**–Trudno powiedzieć. Zapisy nie są jasne. – Dopił wino i spojrzał na brzeg kieliszka, lśniący w świetle świec. – Chase, władze pewnie szukały zbyt intensywnie. Ci ludzie nie chcieli, żeby ich znaleziono.**

**–Dlaczego?**

**Na jego twarzy pojawił się sympatyczny uśmiech. Ależ on był przystojny. Siedział przez chwilę, podziwiając mój urok osobisty, moje wdzięki, czy też paluszki chlebowe. Skinął na**



kelnera, który pojawił się z misą orzechów i winogron.

–Uważano ich za wichrzycieli. Woleli nie rzucać się w oczy, a rząd nie miał nic przeciwko temu.

–Co to znaczy, że uważano ich za wichrzycieli?

–Byłaś kiedyś na Ziemi, Chase?

–Muszę przyznać, że nie. Od lat mam taki zamiar i jakoś nic z tego nie wychodzi.

–Powinnaś tam lecieć. Tam się wszystko zaczęło. Dla historyka podróż na Ziemię jest *de rigueur*. Kiedy tam polecisz, zobaczysz mnóstwo wspaniałych zabytków. Piramidy, pomniki, tamy. Wieża Kinoi. Mirabulis. Zajrzyj do Aten, gdzie Platon i jego koledzy dali początek cywilizacji. Odwiedź Londyn, Paryż, Berlin, Waszyngton i Tokio. Sankt Petersburg. Kiedyś tak słynne miejsca. Ośrodki władzy. Wiesz, jak to teraz wygląda?

–Już nie są stolicami.

–Z wyjątkiem Paryża. Mówią, że Paryż jest wieczny. Chase, Ziemia zawsze miała problem. Jest tam więcej ludzi, niż ta planeta jest w stanie wyżywić. Zawsze tak było. Od epoki wielkiego przemysłu. Jeśli ludzi jest za dużo, zawsze są jacyś głodni, zawsze gdzieś wybuchnie epidemia. Animosje etniczne zawsze się wzmagają, kiedy czasy są ciężkie. Gospodarka traci stabilność, rządy się niepokoją i zaczynają zaostrzać przepisy. Dochodzi do pogwałcenia wolności jednostki. Czego jak czego, ale dyktatorów to nigdy nie brakowało. Ludzie mają stare nawyki, dawne niechęci, zadawnione marzenia, przekazywane z pokolenia na pokolenie, i nigdy się ich nie pozbędą. Populacja planety liczy sobie teraz jakieś osiem miliardów ludzi. Kiedy Margolianie odlatywali, była ponad dwukrotnie liczniejsza. Wyobrażasz sobie, jak tam musiało wyglądać życie?

–Więc ci Margolianie byli jakoś uciskani? Próbowali znaleźć miejsce, gdzie mogliby wychowywać swoje dzieci?

–Nie. Oni znajdowali się na drugim końcu skali. Większość z nich była intelektualistami. Mieli też spore majątki. Ale – nie chcieli żyć w szkodliwym środowisku. Szkodliwym zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Rządził tam dyktator. Teokrata imieniem Carvalla, który był stosunkowo niegroźny jak na dyktatora. Ale tak czy inaczej był dyktatorem. Miał w garści media, szkoły, świątynie. Jeśli ktoś nie chodził do kościoła, musiał ponieść konsekwencje. Szkoły były ośrodkami indoktrynacji.

–Trudno uwierzyć, że ludzie godzili się na takie życie.

–Wychowano ich w atmosferze posłuszeństwa wobec władzy. W czasach Carvalli albo ktoś robił, co mu kazano, albo znikał.

**–Zaczynam rozumieć, dlaczego uciekli.**

**–Ich liderem był Harry Williams.**

**Zapewne było to kolejne nazwisko, które powinnam znać.**

**–Przykro mi – powiedziałam.**

**–Był potentatem działającym w branży łączności i przez wiele lat był związany z różnymi ruchami społecznymi i politycznymi, próbującymi zdobyć żywność dla głodnych dzieci i poprawić dostępność opieki medycznej. Ale wpakował się w kłopoty dopiero wtedy, gdy próbował zrobić coś w dziedzinie edukacji.**

**–A co się stało?**

**–Władzom nie spodobał się sam pomysł zasadniczy, który zakładał, że dzieci powinno się uczyć, by wszystko kwestionowały.**

**–Aha.**

**–Oskarżono go o brak patriotyzmu.**

**–Nie dziwi mnie to.**

**–Nazwano go ateistą.**

**–A rzeczywiście nim był?**

**–Był agnostykiem. Równie kiepsko.**

**–W tego rodzaju społeczeństwie pewnie tak. Mówiłeś, że panowały tam rządy teokratyczne?**

**–Tak. Głowa państwa była zarazem głową Kościoła.**

**–Co się stało z Williamsem?**

**–Spędził piętnaście lat w więzieniu. Albo siedemnaście, w zależności od źródła. Skazano go na śmierć, ale miał wpływowych przyjaciół.**

**–Udało mu się wydostać?**

**–Tak, udało mu się. Ale podczas pobytu w więzieniu doszedł do wniosku, że coś trzeba z tym zrobić. Rewolucja nie była możliwa. Więc najsensowniejsza była ucieczka. „Joseph Margolis miał rację”, powiedział podczas spotkania ze swoimi towarzyszami. „Nigdy nie będziemy w stanie niczego tu zmienić”.**

**–Więc przyjęli nazwę na cześć tego właśnie Josepha Margolisa?**

**–Zgadza się.**

**–A kim on był?**

**–Brytyjskim premierem. Bohaterem i chyba trochę filozofem.**

**–A dlaczego miał rację?**

**–Bo powiedział, że technologie łączności prowadzą do niewolnictwa. Że bardzo trudno zachować wolność jednostki. Lubił cytować wypowiedź Beniamina Franklina o narodzie amerykańskim: „Daliśmy wam republikę. A teraz zobaczmy, czy potraficie ją utrzymać”.**

**Zauważył, że nazwisko Franklina też nic mi nie mówi. Uśmiechnął się i już chciał wyjaśniać, ale nie dopuściłam go do głosu.**

**–Wtedy nie było kolonii, prawda?**

**–Były dwie małe. Ale obie pod kontrolą rodzimej planety. Nie było żadnych niezależnych.**

**–I rząd się na to zgodził?**

**–Zachęcali go do tego i oferowali pomoc. – Spojrzał przez okno na ocean. – Dobry sposób na pozbycie się wicherzycieli. Ale to oznaczało, że będą znali lokalizację kolonii. Williams chciał się wydostać spod ich wpływów. Więc chciał, żeby on i ci, którzy mają ochotę lecieć z nim, polecili tam sami.**

**–To niemożliwe – powiedziałam.**

**–Niektórzy z Margolian też tak uważali. Ale namówił ich, żeby spróbowali. Wierzyli, że stworzą gdzieś nowy raj. Dom dla ludzkości, wolny i bezpieczny. Idealne miejsce do życia.**

**–Parę takich prób już było – mruknęłam.**

**Skinął głowa.**

**–Zdarzało się. Ale oni byli zdesperowani. Wysłali więc ludzi na poszukiwanie odpowiedniej planety. Kiedy ją znaleźli, utrzymywali jej położenie w tajemnicy, kupili dwa statki i wyruszyli. Pięć tysięcy ludzi.**

**–Niesamowita historia – powiedziałam.**

**–Harry wyruszył z ostatnią grupą, trochę ponad cztery lata po odlocie pierwszych Margolian. Zachowała się jego wypowiedź w mediach: że tam, dokąd lecą, nawet sam Bóg ich nie znajdzie.**

**Kelner dolał nam wina.**

**–I rzeczywiście nikt ich nie znalazł – szepnęłam.**

**–O ile mi wiadomo, to nie.**

**Alex nie należał do szczególnie wylewnych osób. Gdyby wybuchł pożar, pewnie zasugerowałby dyskretnie, że rozsądnie byłoby udać się w stronę drzwi. Zatem wieści o tym, że kubek może być związany nie tylko ze słynnym statkiem, ale i wielką tajemnicą, nie spowodowały u niego wykonania tańca radości dookoła gabinetu. W jego brązowych oczach dostrzegłam jednak błysk satysfakcji.**

**–Jacobie! – zawołał.**

**Jacob odpowiedział kilkoma taktami z VIII symfonii Perrigrina. Majestatyczne takty, które zwykle towarzyszą wkraczaniu symów na scenę. Alex kazał mu to wyłączyć.**

**–Czym mogę służyć? – spytał Jacob najgłębszym barytonem, jaki był w stanie wydać.**

**Alex przewrócił oczami.**

**–Jacobie – rzekł – chcielibyśmy dowiedzieć się, czy obecnie są dostępne jakieś artefakty ze statków „Poszukiwacz” i „Bremerhaven”, albo czy w ogóle kiedyś pojawiły się na rynku.**

**–Byłyby dość stare – odparł Jacob. – Dajcie mi chwilę.**

**Rozmawialiśmy przez jakąś minutę o wszystkim i niczym, aż Jacob odezwał się znowu.**

**–Nie znalazłem niczego takiego. Żadnych przedmiotów związanych z którymkolwiek z tych statków. Istnieje sześć zweryfikowanych przedmiotów związanych z samymi Margolianami. I liczne przedmioty, których pochodzenie jest niepewne.**

**–Mógłbyś je wymienić? Te zweryfikowane.**

**–Jakieś urządzenie komunikacyjne. Pióro z wygrawerowanym nazwiskiem Jase Tao-Ki. Tao-Ki był ważnym członkiem tej grupy, a jego wkład był znaczny. Istnieje także tablica ścienna z podziękowaniami dla Margolian, wystosowanymi przez jakąś grupę zajmującą się opieką społeczną. Szpilka noszona w klapie, z ich symbolem i nazwą. Ich symbolem była pochodnia. Portret samego Henry'ego Williama. Egzemplarz *Wyścigu chwały* podpisany przez samą autorkę, Kay Wallis. To historia organizacji tej misji. Podpis wyblakł, ale jest nadal widoczny w ultrafiolecie. Wszystkie te przedmioty zostały na Ziemi. Po ich odlocie nie ma już nic.**

**–Kim była Kay Wallis? – spytał Alex.**

**–Jedną z założycieli organizacji. I jedną z pierwszych osób, które stanęły w jej obronie, kiedy ludzie zaczęli się wyśmiewać. W archiwach nie ma jednoznacznych informacji, ale wygląda na**

to, że umarła tuż przed startem ostatniego lotu. Nigdy nie opuściła Ziemi. – Zamilkł na chwilę, jakby czekał na jakiś komentarz, ale żaden nie padł. – W *Wyścigu chwały* Wallis wyjaśniła, dlaczego nie zgadzają się z niektórymi aspektami ideologii rządu. Zasadniczo chodziło im o to, że kolejne pokolenia są poddawane różnym ideologiom, które, jak się je już raz narzuci, tłumią niezależną myśl, prowadzą do różnych rodzajów wrogości i trudno ich się pozbyć. Wyjaśnia wszystko po kolei. Zacząć kontrolować grupy religijne. Rządy w ręce fachowców od zarządzania. Uznanie, że różnice zdań są czymś zdrowym. Zapewnić wszystkim takie warunki rozwoju, by nikt nie był pokrzywdzony.

–Jeśli rządy w Ameryce – bo to się działo w Ameryce, prawda? – były aż tak oparte na ucisku, jakim cudem udało jej się to wydać?

–Opublikowano to w Chinach – wyjaśnił Jacob. – Jednym z ostatnich bastionów demokracji na planecie.

–To ci Margolianie nie byli jakoś szczególnie uciskani.

Oczy Aleksa zwężyły się.

–Mieli środki finansowe. Ale jak się nie ma swobody działania, to jest to ucisk. – Nabazgrał coś w notesie. – Porozmawiajmy o artefaktach. – Zażądał kwot, jakie padły, gdy ostatnim razem margoliańskie artefakty zmieniały właściciela. Jacob poinformował, że dwie transakcje są chronione tajemnicą. Cztery pozostałe zostały wyświetlone.

–Nieźle – mruknął Alex.

Istotnie. Pióro Tao-Ki zostało sprzedane za równowartość moich kilkuletnich dochodów. A ja wcale źle nie zarabiam. Alex zatarł rękę.

–Doskonale. Będzie musiała dostarczyć dokument z dowodem własności, zanim to ogłosimy. – Oczywiście miał na myśl Amy.

–Zajmiesz się tym? – W grę wchodziły negocjacje, a to była jego specjalność.

–Zadzwoń do niej, jak będziesz mogła. Spróbuj się z nią umówić w „Hillside” na drinka.

Zadzwoiłam do Amy. Domyśliła się, że musiało się wydarzyć coś dobrego, i usiłowała wyciągnąć ze mnie jak najwięcej informacji, ale wyjaśniłam jej, że nadal zbieramy dane i Alex chciałby jej zadać kilka pytań. Nic więcej jej nie powiedzieliśmy i to było właściwe postępowanie. Kiedy spotkamy się w „Hillside” Alex ostrzeże ją, żeby nie rozgłaszała dobrej nowiny, dopóki nie będzie w stanie przedstawić niepodważalnego dowodu własności. Musieliśmy się jakoś zabezpieczyć, gdyż to my mieliśmy zorganizować sprzedaż.

–Będę tam – powiedziała.

**Alex umieścił kubek w sejfie. Wyświetliłam jego obraz i zadumałam się nad jego historią.**

**Pewnie ktoś go zabrał na pamiątkę w początkowych latach istnienia „Poszukiwacza”, zanim użyto go podczas margoliańskiej migracji. Albo też kiedy statek wrócił na Ziemię z pierwszej lub drugiej misji. To było mniej prawdopodobne, ale tak też mogło się zdarzyć. Gdyby rzeczywiście tak było, a my bylibyśmy w stanie to udowodnić, kubek stałby się niezmiernie cenny. Ale nie przypuszczałam, żeby sprawy zaszły aż tak daleko.**

**Wspomniałam o tym Aleksowi, ale powiedział mi, żebym się za bardzo nie ekscytowała.**

**–W dwudziestym siódmym wieku podróże z prędkością nadświetlną były wielką sensacją – powiedział. – Pewnie ktoś uzyskał prawa autorskie i produkował kubki, mundury i różne inne pamiątki z godłem statku, a potem sprzedawał je wszystkim chętnym.**

**Oryginalne znaki wyglądały bardzo egzotycznie. Marquard wymówił tę nazwę w standardowym i po angielsku. Przyznał, że nie jest pewien, jak to się powinno wymawiać. Z tego okresu nie zachowały się żadne nagrania audio, więc choć byliśmy w stanie odczytać pismo, nie wiedzieliśmy, jak ten język brzmiał.**

**Po-szu-ki-wacz. Akcent na przedostatnią sylabę.**

**Poszukujący innej przystani.**

**Dokąd oni polecili?**

***Tak daleko, że nawet sam Bóg nas nie znajdzie.***

**Istniało kilka prac na temat różnych aspektów tej historii, biografia Harry'ego Williamsa, analiza korzeni ruchu margoliańskiego, jakieś współczesne dzieła oskarżające Margolian i ciągoty elitystyczne, hipotezy na temat lokalizacji kolonii i przyczyn jej zniknięcia. Niektórzy sugerowali, że Margolianie robili dokładnie tak, jak powiedzieli. Odlecieli tak daleko, że nawet po kilku tysiącach lat nie można odkryć planety, którą wybrali.**

**–Powszechnie uważano, że coś złego stało się w kolonii i osadnicy wyginęli. Niektórzy sądzili, że przez kilka tysięcy lat Margolia przeszła przez podobne fazy, jakich doświadczyła główna cywilizacja, i rozwinęła się tak bardzo, że już nie chce się z nami kontaktować. Osobiście przychyliłam się raczej do teorii o wyginięciu.**

**Margolia stała się tematem kilku symulacji. Jacob jedną mi pokazał. Zatytułowano ją „Najeźdźca”, a wyprodukowano rok wcześniej. Bohater odkrywa, że Margolianie w tajemnicy wrócili do Konfederacji. Są wysoce rozwiniętym społeczeństwem, żyją wśród nas nierozpoznani i w rzeczywistości to oni sterują rządem. Uważają zwykłych ludzi za istoty podrzędnego gatunku i planują zamach. Kiedy protagonista próbuje ostrzec władze, jego dziewczyna znika, ludzie zaczynają ginąć, dochodzi do licznych pościgów po ciemnych ulicach i korytarzach stacji kosmicznej. Fabułę kończy wielka strzelanina, młoda piękność zostaje uratowana, a dobrzy**

**ludzie w Konfederacji zostają ostrzeżeni.**

**Nikt nie podał żadnego powodu, dla którego Margolianie mieliby przejmować władzę. Muszę jednak przyznać producentom jedno: podczas scen pościgu musiałam trzymać się fotela.**

# CZTERY

Pij do dna z kielicha życia;

Sącz jego ciemne wino w duszę,

Bo krąży wokół stołu tylko raz.

Marcia Tolbert, *Dni centauryjskie*, 3111 n.e.

Hillside było wyrafinowanym, eleganckim klubem przy bulwarze nadrzecznym. Z gatunku takich, gdzie nie umieszcza się cen w menu, bo nikogo to nie obchodzi. Była tam hostessa-człowiek, co jest standardem w większości lepszych restauracji, i kelnerzy-ludzie, co już nie zdarza się tak często. Mieli też pianistę.

Stoły ozdobiono niemałą liczbą jaśminowych świec. Ściany i stoły wykonano z bejcowanego na ciemno drewna. Szttychy w stylu zeszłego wieku nadawały temu miejscu nostalgiczną atmosferę. Po drugiej stronie sali zauważyłam kilku senatorów z żonami (a przynajmniej zakładałam, że to żony). Pewien dobrze znany lider w dziedzinie korporacyjnych pożytków rozpoznał Aleksa i podszedł się przywitać.

Amy weszła parę minut później i rozglądała się, jakby się zgubiła. Po chwili zauważyła nas i podeszła dziarskim krokiem.

–Dobry wieczór, panie Benedict – rzekła, nadal napawając się atmosferą tego miejsca. – Ładnie tu.

Alex wstał, odsunął dla niej krzesło i powiedział, że cieszy się, iż jej się podoba. Przywitała się ze mną i usiadła.

Miała na sobie odprasowany kostium barwy lawendy i muszę przyznać, że zrobiła coś ze swoim wyglądem. Włosy miała związane i doprowadzone do porządku. W jej oczach było widać czujność i trzymała się prościej niż wtedy, w biurze. Nie zachowywała się całkiem swobodnie, ale właśnie dlatego ją tu zaprosiliśmy. „Hillside” był lokalem, gdzie zapraszaliśmy klientów, których chcieliśmy zepchnąć do defensywy. A działa się tak wtedy, gdy Alex nie był pewien, że uda mu się uzyskać to, czego chce.

Amy natychmiast przeszła do rzeczy.

–Chase mówiła, że macie państwo dla mnie dobre nowiny.

Widać było, że jej wyobraźnia działa. Alex spojrział na mnie, odczytał mój wyraz twarzy i uśmiechnął się.

–Ten kubek jest związany z pewnym bardzo starym i słynnym statkiem międzygwiazdowym –



**powiedział. – Sądźmy, że jest sporo wart.**

**–Ile? – spytała.**

**–Droga pani, to już zweryfikuje rynek. Wolałbym nie zgadywać. – Wyjął kość. – Proszę wypełnić ten dokument w wolnej chwili. To oświadczenie, że pani jest jego właścicielką.**

**–A po co miałabym to robić? – spytała. – Jest mój. Podarowano mi go.**

**–Posiadanie to jakieś dziewięćdziesiąt procent. Ale w takich przypadkach czasem dochodzi do sporów. To formalność, ale może nam zaoszczędzić potem problemów.**

**Była zdenerwowana, ale wzięła kość i schowała ją do bocznej kieszeni.**

**–Odeślę go jutro.**

**–Doskonale – odparł Alex. – Jak tylko otrzymamy podpisany dokument, wystawimy kubek na sprzedaż i zobaczymy, co się będzie działo.**

**–Dobrze.**

**–Pochylił się do przodu i zniżył głos.**

**–A teraz, skoro nie znamy jego dokładnej wartości, ustalmy cenę minimalną.**

**–Ile?**

**Wymienił liczbę. Byłam już przy takich rozmowach, ale zapało mi dech. Przez całe moje dotychczasowe życie nie zarobiłam tyle pieniędzy. Amy przymknęła oczy i zobaczyłam, że po jej policzku płynie łza. Sama poczułam, że oczy mi wilgotnieją.**

**–Cudownie – odparła łamiącym się głosem.**

**Alex promieniał. Wyglądał jak istne wcielenie dobrej woli. Cieszymy się, że możemy pomóc. Oczywiście nasza prowizja wyniesie standardowe dziesięć procent od ceny sprzedaży. Znałam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że tę cenę minimalną ustalił dość ostrożnie.**

**Przez chwilę miałam wrażenie, że Amy zrobi coś dziwnego. Machanie chusteczką, dzielny uśmiech, chichot, przeprosiny. Przepraszam, to taki wstrząs.**

**–A teraz – odezwał się Alex – chciałbym, by pani zrobiła coś dla mnie.**

**–Oczywiście.**

**Pojawił się kelner i złożyliśmy zamówienia, choć Amy miała poważny problem ze skoncentrowaniem się na treści karty. Gdy odszedł, Alex pochylił się w jej stronę.**

**–Proszę nam powiedzieć, skąd go pani wzięła.**

**Wyglądała na niemile zaskoczona. Zwierzyna i myśliwi.**

**–Mówiłam panu, panie Benedict, dostałam go od mojego chłopaka.**

**–Kiedy to się stało?**

**–Nie pamiętam. Kilka tygodni temu.**

**Alex zniżył głos jeszcze bardziej.**

**–A będzie pani tak dobra i wyjawi nam jego nazwisko?**

**–Po co? Przecież powiedziałam, że kubek należy do mnie.**

**–Bo może gdzieś jest więcej takich przedmiotów. A ich właściciel nie zdaje sobie sprawy z ich wartości.**

**–Potrzęsnęła głową.**

**–Nie, wolałabym tego nie robić.**

**Ach, rozstania, rozstania. Alex wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.**

**–To może być dla pani bardzo korzystne. Zorganizujemy wszystko tak, żeby dostała pani znaleźne.**

**–Nie.**

**Spojrzał na mnie, wzruszył ramionami i zmienił temat. Rozmawialiśmy o tym, jak to przyjemnie, kiedy nagle spada nam jak z nieba deszcz gotówki, i o tym, że kubek to bardzo cenny artefakt. Pojawiły się nasze dania i rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o wszystkim i o niczym, aż Alex rzucił mi znaczące spojrzenie. Zrozumiałam, co sugeruje, i kilka minut później przeprosił, po czym wyszedł.**

**Czas na babskie rozmowy.**

**–Nieprzyjemne rozstanie? – spytałam głosem ociekającym współczuciem.**

**Skinęła głową.**

**–Nienawidzę go.**

**–Inna kobieta?**

–Tak. Nie miał prawa.

–Przykro mi – odparłam.

–Nie szkodzi. Parę razy już przymknęłam oko, ale jak widać, obietnice nic dla niego nie znaczą.

–Pewnie lepiej pani bez niego. To chyba palant.

–Już przebolełam.

–Dobrze – starałam się mówić tak, jakby to było coś nieistotnego. – Jeśli on ma więcej takich artefaktów, mogłaby pani nieźle na tym zarobić.

–Nie interesuje mnie to.

–Załatwilibyśmy to tak, żeby się nie dowiedział, skąd mieliśmy takie informacje. Nie brałaby pani w tym udziału. Nigdy się nie dowie.

Potrząsnęła głową. Zdecydowanie nie.

–A może coś takiego: jeśli on ma więcej takich artefaktów jak ten kubek, nie będziemy pani w to mieszać i skłonimy go do sprzedaży, nie mówiąc mu, ile są naprawdę warte. Potem podzielimy się zyskiem.

To było trochę nieetyczne i Alex nigdy by na coś takiego nie poszedł. Ja nie miałabym z tym problemu. Zaczęłam naprawdę odczuwać współczucie wobec Amy, więc opowiedzenie się po jej stronie przyszło mi naturalnie.

Zacząła się wahać.

–Jest pani pewna, że nigdy się nie dowie? Że to ja?

–Absolutnie. Zdarzały nam się już takie akcje.

Gdybyśmy wiedzieli, jak się nazywa, moglibyśmy trochę powęszyć, nie wzbudzając jego podejrzeń. A jakby się okazało, że gdzieś tam poniewiera się więcej pamiątek z „Poszukiwacza”, moglibyśmy ponegocjować trochę z Amy.

–Przecież kiedy tylko wspomnicie o kubku, będzie wiedział, że to ja.

–Będziemy uważali.

–To nie ma znaczenia. Będzie wiedział.

–Nie będziemy wspominali o kubku.

–W ogóle o nim nie mówcie.

–Dobrze. Nie będziemy o nim wspominać ani słowem. Zastanowiła się jeszcze przez chwilę.

–Nazywa się Hap. – Twarz jej stężała i wydawało mi się, że znowu się rozplacze. Istny wieczór szlochów. – W rzeczywistości nazywa się Cleve Plotzky. Ale wszyscy mówią na niego Hap.

–Dobrze.

–Jeśli mu powiecie, będę mieć kłopoty.

–Napadł na panią.

Unikała mojego spojrzenia.

–Mieszka w Andiquarze?

–W Aker Point.

Aker Point było małą miejscowością na zachód od stolicy. Większość ludzi, którzy tam mieszkali, nie była w stanie wykonywać żadnej pracy albo zadowalała się minimalnym zasiłkiem.

Widziałam, jak Alex zmierza wolno w naszą stronę, udając, że ogląda grafiki na ścianach. Doszedł do wniosku, że negocjacje się skończyły, ociągał się jeszcze przez minutę lub dwie, powiedział coś do kelnera i wrócił do stolika. Chwilę później pojawiły się następne koktajle.

Cleve (Hap) Plotzky jednak zarabiał na życie. Kradzieżą. Ale nie zrobił dużej kariery jako włamywacz. Tyle dowiedzieliśmy się z publicznie dostępnych danych. Nieźle radził sobie z montowaniem urządzeń, które wyłączały alarmy, ale zawsze popełniał jakiś błąd początkującego. Czasem dał się złapać, próbując upłynnić towar. Czasem przy robocie kichnął i zostawił swoje DNA. Czasem chełpił się swoimi umiejętnościami przy niewłaściwych ludziach. Miał też spore osiągnięcia w dziedzinie napaści, zwłaszcza na kobiety.

Pojechaliśmy więc na spotkanie z Fennem Redfieldem. Ten inspektor policji sam był kiedyś włamywaczem, tak skutecznym w wykonywaniu swego zawodu, że sąd w końcu podjął decyzję o zrobieniu mu prania mózgu. On oczywiście o tym nie wiedział. Wszystkie jego wspomnienia starsze niż piętnaście lat były fikcyjne.

Pozwolił Aleksowi przejrzeć archiwa sądowe dotyczące Hapa, ale nie pokazał nam raportów policyjnych.

–To wbrew przepisom – rzekł. – Żałuję, ale nie mogę pomóc.

Dokumenty nie opisywały szczegółowo, co zostało skradzione.

–A może tak – zaproponował Alex – my ci powiemy, czego szukamy, a ty nam powiesz, czy pośród rzeczy zrabowanych przez tego gościa było coś takiego?

Alex opisał więc kubek z angielską inskrypcją, a Fenn spojrział w raporty i udzielił odpowiedzi przeczącej.

–Niczego takiego tu nie wymieniono.

–Niczego podobnego nie ma na liście? Jakiegokolwiek naczynia?

Fenn wyjaśnił, że Hap Plotzky brał tylko biżuterię. I karty identyfikacyjne, jeśli jakieś znalazł. Oraz ewentualnie urządzenia elektroniczne, jeśli jakieś poniewierały się pod ręką. Ale garnki, naczynia i przedmioty kolekcjonerskie?

–Nie. Nigdy.

Kolejnym etapem miała być rozmowa z samym Plotzkym.

Przygotowaliśmy reklamę, która miała być szeroko rozpowszechniana. Jacob sporządził atrakcyjny żeński awatar: ciemnoskóra, długonoga brunetka, ciemne oczy, gibka, z wielkim biustem, usadowiona na tle wirtualnych zabytkowych skorup. Użyliśmy mojego głosu. Alex powiedział, że brzmi seksownie, ale zaraz uśmiechnął się, żeby dać mi do zrozumienia, że żartuje. I napisaliśmy przemowę.

–Witaj, Cleve – mówił awatar. – Czy masz może jakieś stare naczynia lub podobne przedmioty, które tylko zajmują miejsce na półkach? U nas błyskawicznie otrzymasz za nie gotówkę...

Użyliśmy jego imienia zamiast ksywy, bo chcieliśmy, by myślał, że to masowo rozsyłana reklama, a nie wiadomość skierowana specjalnie do niego. Przypuszczaliśmy, że facet nie jest szczególnie bystry.

–Przebije się przez SI? – spytałam.

–Jasne – odparł Alex. – Plotzky ma podstawowy model, bez żadnych dodatków.

Wysłaliśmy mu wiadomość.

Nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi, więc po kilku dniach przeszliśmy do planu B. Skoro Hap dał Amy kubek, nie miał pojęcia, ile może być wart. Jeśli zatem posiada podobne przedmioty, nie trzyma ich w sejfie. Pewnie po prostu leżą gdzieś na półkach. Musieliśmy tylko jakoś się do niego dostać.

Jacob połączył mnie z SI Hapa. Przedstawiłam się jako ankieterka z Centrum Badań Naukowych Caldwell'a i zapytałam, czy mogę rozmawiać z panem Plotzkym. SI objawiła się w

postaci awatara: dużej, niesympatycznej, nieokrzęsanej kobiety. Takiej, która chętnie wda się w bójkę, jak będzie okazja. Ten wizerunek wiele mi o Hapie powiedział. Dużo można wydedukować o ludziach w oparciu o wizerunek ich SI. Jeśli ktoś na przykład dzwoni do Aleksa, najpierw widzi doskonale ubraną, elegancką, uprzejmą postać – może to być mężczyzna lub kobieta w zależności od uznania Jacoba. Ale nikt nie ma wątpliwości, że to ktoś, kto kończył studia w Nowym Londynie.

–W jakim celu? – spytała, nawet nie próbując ukryć niechęci. – Czego pani chce?

–Prowadzę ankietę i chciałabym zadać panu Plotzky'emu parę pytań. Zajmę mu tylko kilka minut.

–Przykro mi – odparła. – Jest zajęty.

–Czy mogłabym zadzwonić później?

–Tak, ale też będzie zajęty.

Alex siedział poza zasięgiem kamery, żeby rozmówca nie mógł go zobaczyć. Machał do mnie zachęcająco. Nie trać cierpliwości.

–Płacimy za udział w ankiecie – powiedziałam.

–Tak? Ile?

–Dość. Proszę mu przekazać, że czekam.

Jej oprogramowanie przeanalizowało pomysł. Obraz zastygł. Siedziała z założonymi na piersi rękami i patrzyła prosto na mnie. Z miną, która domagała się uwagi. Minutę później jej obraz zamrugał i zgasł, a ja patrzyłam na samego Hapa.

–Tak? – odezwał się. – W czym problem? Wyglądał, jakby jeszcze przed chwilą spał. Wiedzieliśmy, że ma trzydzieści dwa lata, ale miał zniszczone, zmęczone rysy kogoś znacznie starszego.

–Przeprowadzam ankietę na zlecenie firmy z branży rozrywkowej. Chcemy określić, co najchętniej oglądają respondenci. To zajmie tylko parę minut.

–SI mówi, że za to płacicie.

–Tak – odparłam. – Przewidujemy skromne wynagrodzenie.

–Ile?

Powiedziałam mu.

**–Dobrze – odparł. – Co chce pani wiedzieć?**

**–Wypełnienie ankiety musi się odbyć w mieszkaniu respondenta. Mamy także do wypełnienia dokument na temat sprzętu.**

**–Mogę pani powiedzieć, co mam. Nie musi pani przyjeżdżać.**

**–Niestety, procedura jest taka, że to niemożliwe. Muszę mieć dowód, że wizyta się odbyła.**

**Skinął głową i przyjrzał mi się uważnie, jakby dopiero teraz mnie zauważył. Przytaknął i spróbował posłać mi powłóczysty uśmiech. Trochę krzywy i odpychający, ale odwzajemniłam miły gest.**

**Jego miejsce zamieszkania nie było aż taką norą, jak przypuszczałam. Plotzky mieszkał na dziewiętnastym albo dwudziestym piętrze, w jednym z pionowych miast, którym Aker Point zawdzięczało swoją złą sławę. W środku było dość ciasno, lecz czysto, z widokiem na rzekę Melony. Mieszkanie było dalekie od luksusu, ale ktoś, kto nie przywiązywał dużej wagi do otoczenia, mógł trafić znacznie gorzej.**

**Otworzył drzwi i próbował się uśmiechnąć. Była z nim kobieta o nieustępliwym spojrzeniu, niska, potężnie zbudowana, jak kula do kręgli. Przyszło mi do głowy, że powinien być jednak pozostać przy Amy. Przy tej nawet jego awatar dobrze wyglądał. Obrzuciła mnie podejrliwym spojrzeniem, jak kobieta, której przychodzi do głowy, że inna może jej odbić faceta.**

**Hap miał na sobie dres z napisem „MIESZKAM W CENTRUM I TO LUBIĘ” pod obrazkiem przedstawiającym kieliszek do wódki z bąbelkami. Był niski, miał szerokie barki i grube, czarne włosy, całe mnóstwo, rosnące chyba wszędzie. Wskazał mi krzesło, a ja posłusznie przysiadłam i wyjęłam notes.**

**Na żywo Hap Plotzky był bardziej sympatyczny. Może dlatego, że zjawiłam się u niego jako źródło dochodu, a może dlatego, żeby zrobić na mnie jak najlepsze wrażenie, mimo iż ten walec parowy nadal tkwił u jego boku. Mogłam się założyć, że przed moją wizytą próbował bezskutecznie pozbyć się jej z mieszkania, co pewnie wyjaśniało przyczynę jej niechęci.**

**–Więc co takiego chce pani wiedzieć, pani Kolpath?**

**Zapytałam go o ulubione programy i jego uczestnictwo w nich, czy wolałby jakieś inne poza tymi, które są dostępne, i tak dalej. Nagrywałam jego odpowiedzi i podziwiałam meble, dzięki czemu mogłam się dobrze przyjrzeć salonowi. Dekoracje były, powiedziałabym, dość oszczędne. Salon zasadniczo składał się z sofy, paru foteli i ścian o barwie cytryny. Na ścianie obok drzwi wisiała tania półka z tworzywa, ale były na niej tylko kości z danymi.**

**–Tak – mówił – uwielbiam seriale policyjne. Wszystko inne jest nic niewarte.**

**Najwyraźniej chciał wyeliminować z rozmowy swojego gościa, czy też współlokatorkę. Rzucił**

**mi chytre spojrzenie.**

**Zrobiło mi się go żal. Nie pytajcie czemu.**

**Kiedy skończyliśmy z listą pytań, wyjęłam monitor, który współpracował z SI w moim śmigaczu. Była to mała, czarna skrzynka z białymi i czerwonymi sygnalizatorami stanu. Nic więcej nie robiła i na pewno nie była w stanie robić tego, co twierdziłam, że robi, ale nie było szans, żeby Hap się o tym dowiedział.**

**–Hap, jeśli nie masz nic przeciwko, sprawdzę teraz parametry twojego systemu.**

**Przeszliśmy już na „ty”.**

**–Jasne – odparł.**

**Wycelowałam w kierunku projektorów i nacisnęłam przycisk. Monitor rozświecił się i światełka zaczęły się zapalać i gasnąć.**

**–Doskonale – mruknęłam. – Aha.**

**Jakbym właśnie zdobyła jakąś istotną informację.**

**W mieszkaniu była kuchnia otwarta na salon. Widziałam stąd stół, dwa krzesła i tabliczkę na ścianie, na której był napis „TERAZ JESTEŚ W MOJEJ KUCHNI. SIADAJ I ZAMKNIJ SIĘ”. Na innej napisano „JA TU RZĄDZĘ”. Nigdzie nie było śladów żadnych antyków.**

**Sypialnia – była tylko jedna – znajdowała się za drzwiami po mojej prawej stronie. Wstałam i pewnym krokiem pomaszerowałam w tym kierunku.**

**–Co, u licha? – krzyknęła kobieta. – Co pani robi?**

**–Tylko sprawdzam system projektorów, proszę pani.**

**–Hap przedstawił mi ją, ale nie zapamiętałam jej imienia.**

**–Muszę wszystko dokładnie sprawdzić.**

**Nie dostrzegłam niczego ciekawego. Niezaścielone łóżko. Kolejne puste ściany. Otwarta szafa. Duże lustro w obłupanej ramie.**

**Wycelowałam w projektory i znów uruchomiłam światełka.**

**–Co robi to urządzenie? – spytał Hap.**

**–Nie mam zielonego pojęcia – uśmiechnęłam się. – Mam tylko wycelować i wcisnąć. Ktoś inny pobiera dane i analizuje je.**



Odwzajemnił uśmiech, spojrział na monitor, skrzywił się przez sekundę, jakby zaczynał coś podejrzewać.

–Dziwi mnie, że Dora nic nie wspomina o przeprowadzanych testach.

SI miała na imię Dora.

–Powiedzieli mi, że są nieinwazyjne – odparłam. – Dora pewnie nawet niczego nie zauważyła.

–Czy to możliwe? – Spojrział na mnie, jakbym wpuszczała mu chochliki do mieszkania.

–Dzisiaj wszystko jest możliwe. – Wyłączyłam urządzenie.

–Bardzo ci dziękuję, Hap. – Pomaszerowałam z powrotem do salonu i sięgnęłam po swoją kurtkę. – Miło mi było panią poznać.

Hap odprowadził mnie do drzwi. Mógł polecić Dorze, żeby je otworzyła, ale wolał to zrobić sam. Jego towarzysze ten gest najwyraźniej się nie spodobał. Uśmiechnęłam się, życzyłam mu miłego dnia i wymknęłam się na korytarz. Drzwi zamknęły się, a po chwili usłyszałam zza nich podniesione głosy.

–Hap ma siostrę – rzekł Alex, kiedy mu powiedziałam, że moim zdaniem Hap nie posiada już więcej przedmiotów z pokładu „Poszukiwacza”.

–I co nam po tej informacji? – spytałam. – Że ma siostrę?

–Może ona będzie mogła nam powiedzieć, skąd wzięli kubek.

–To śmiałe przypuszczenie.

–Może. Ale niczego innego nie mamy.

–Dobrze.

–Ona mieszka na Morindzie.

–W czarnej dziurze?

–Na stacji.

Z pojawieniem się napędu kwantowego loty międzygwiazdne stały się o wiele łatwiejsze. Na odległości rzędu kilku tysięcy lat podróżowało się w mgnieniu oka. Po skoku wystarczyło odczekać jakiś czas, by napęd mógł się naładować, i można było lecieć dalej. Teoretycznie można było pokonać skokami całą drogę do Mgławicy Andromedy, co trwałoby około roku, tylko że urządzenia wymagałyby serwisowania i pewnie zużyłyby się, zanimby się tam dotarło. I trzeba by mieć ze sobą wystarczającą ilość tlenu, żywności i paliwa. Taka podróż byłaby jednak

możliwa po wprowadzeniu paru zmian. Tylko że nikt dotąd nie wymyślił dobrego powodu, żeby tam lecieć. Poza kilkoma politykami, którzy szukali jakiegoś pomysłu, który nie odstraszałby ludzi. Droga Mleczna jest nadal w dziewięćdziesięciu procentach nieznanym terytorium, trudno więc doszukać się sensu w misji do Mgławicy Andromedy. Poza chęcią pochwalenia się, że się udało. Tylko jeśli ktoś u władzy to czyta i planuje coś podobnego, proszę znacząco na mnie nie patrzeć.

–Pewnie chcesz, żebym z nią porozmawiała – rzekłam.

–Tak. Komunikacja na linii kobieta-kobieta najlepiej się sprawdza.

–Obiecaliśmy Amy, że nie pozwolimy, by rodzinka się dowiedziała o naszym zainteresowaniu kubkiem.

–Obiecaliśmy, że Hap się nie dowie. Chase, ta kobieta jest na Morindzie. Nie kontaktowali się ze sobą od lat.

–Mają jakąś matkę?

–Nie żyje.

–A ojca?

–Dawno temu znikł z pola widzenia. Niczego na jego temat nie znalazłem.

# PIĘĆ

**W czarnej dziurze jest coś takiego, że jej bliskie sąsiedztwo przyprawia o bezsenne noce.**

**Karl Svenson, *Ladacznice nieźle się bawią*, 1417**

**Morinda jest jedną z trzech czarnych dziur, jakie dotąd odkryto w kosmosie opanowanym przez Konfederację. Nazwy tej używa się także na określenie wielkiej, opancerzonej stacji kosmicznej znajdującej się na jej orbicie, gdzie schronienie znalazły tysiące naukowców i techników, zajmujących się mierzaniem, szperaniem, pomiarami temperatury i ciśnieniem różnych przedmiotów w bestię. Większość z nich, jak wynikało z materiałów informacyjnych, usiłowała opanować zaginanie przestrzeni. Było tam nawet kilku psychologów, którzy prowadzili eksperymenty na temat postrzegania czasu.**

**Nigdy tam nie byłam i nigdy dotąd nie widziałam czarnej dziury. Jeśli w ogóle można tak powiedzieć, bo czarnej dziury tak naprawdę nie można zobaczyć. Ta, jak na czarną dziurę, nie była jakaś szczególnie duża. Jej masa wynosiła może kilkaset razy więcej niż masa słońca Rimway. Otaczał ją pierścień świecącego pyłu, dysk akrecyjny, strzelający promieniami X i Bóg raczy jeszcze wiedzieć jakim promieniowaniem, a czasem nawet kawałkami skały.**

**Dlatego właśnie stacja jest opancerzona i wyposażona w projektory promieni Y. Większość zjawisk jest przewidywalna, ale eksperci twierdzą, że nigdy nic nie wiadomo. Nie przejmują się specjalnie skałami, zawsze można je rozbić w pył. Ale promieniowanie to już inna para kaloszy.**

**Wskoczyłam do układu jakieś 70 milionów kilometrów od dziury. Bliżej niż powinnam, ale to i tak nadal była bezpieczna odległość. Podróż kwantowa jest wygodna, bo trwa mgnienie oka. Jej wadą jest jednak mniejsza dokładność niż w przypadku starego napędu Armstronga. Różnica jest niewielka, ale istnieje, i wystarczy, żeby się zabić, jeśli nie zadbamy o wystarczającą ilość miejsca dookoła i zmaterializujemy się w środku planety albo za blisko czegoś na tyle dużego, że silniki nas od tego nie odepchną.**

**Lot na stację trwał trzy dni. Po drodze zorganizowałam zakwaterowanie, zadzwoniłam do mojego starego przyjaciela Jacka Harmona, który był tam na kontrakcie, dałam mu znać, że przyjeżdżam i chętnie dam się zaprosić na drinka, i sprawdziłam, czego można się dowiedzieć o siostrze Hapa.**

**Nazywała się Kayla Bentner. Była technikiem żywienia – odpowiadała za to, by przebywający na stacji byli zdrowo odżywiani. Jej mąż, Rem, był prawnikiem. Wiem, że w tym momencie zacznie się zastanawiać, po co prawnik na stacji kosmicznej, ale to duże przedsięwzięcie. Ludzie zawsze renegocjują kontrakty i wyklócają się o przydział czasu przy aparaturze. Poza tym żenią się i wychodzą za mąż, sporządzają testamenty, składają wnioski o separację. Czasem pozywają kogoś do sądu.**

**W takim miejscu prawnik jest stroną neutralną, facetem, do którego wszyscy mają zaufanie.**

**Zupełnie inaczej niż w domu.**

**Zastanawiałam się, czy nie dać Kayli znać, że przyjeżdżam, ale zdecydowałam, że lepiej będzie się nie wychylać. Wieczorem trzeciego dnia zadokowałam więc w wyznaczonym miejscu, zameldowałam się w hotelu, spotkałam się z Harmonem w małym bistro i spędziłam wieczór na wspomnianiu dawnych czasów, doskonale się bawiąc. Miałam nadzieję, że może Harmon zna Kaylę albo jej męża. To by mi wiele ułatwiło. Niestety, nie miałam tyle szczęścia.**

**Późnym rankiem zaczęłam się przed wejściem do biura służb pomocniczych, gdzie pracowała Kayla, i kiedy wyszła na lunch, poszłam za nią.**

**Były z nią jeszcze dwie inne kobiety. Udały się do restauracji o nazwie „U Joystry”, która nie była jakaś szczególnie elegancka. Stoliki stały bardzo blisko siebie, a personel zachowywał się, jakby należało jeść szybko i wynosić się. Meble, zasłony, zastawa – wszystko wyglądało na prowizorkę. Ale znajdowała się przy zewnętrznej powłoce stacji i miała okno na całą ścianę, z widokiem na dysk akrecyjny. Nie było zbyt wiele do oglądania, duży lśniący pierścień, który w innych okolicznościach byłby po prostu innym lśniącym pierścieniem, a w Ramieniu Oriona jest takich wiele, ale ten był jakiś złowieszczy, bo człowiek cały czas pamiętał o tym, co jest w środku.**

**Kayla wcale nie była podobna do brata. Była wysoka, smukła, poważna. Cywilizowana. Gdy się patrzyło w jej niebieskie oczy, wiedziało się, że tam ktoś jest. Wyglądało na to, że połowa ludzi w restauracji ją zna, pozdrawiali ją przechodząc.**

**Ona i jej przyjaciółki zostały zaprowadzone do stolika, a ja byłam następną w kolejce, zastanawiając się, jak się przedstawić, kiedy uda mi się do niej zbliżyć. Dosadzanie innych klientów było w godzinach szczytu na stacji powszechną praktyką.**

**–Czy ma pani coś przeciwko...?**

**–Skądże – odparłam. – Może te cztery panie, które właśnie weszły...**

**–Zajmę się tym.**

**Awatar kierownika sali był wysoki, smukły, z czarnym wąsikiem, i cały czas się uśmiechał, ale był to uśmiech z rodzaju przyklejonych. Nie wiem, dlaczego ludzie zajmujący się usadzaniem w knajpach nigdy sobie z tym nie radzili. Podeszedł do stolika, przy którym siedziała Kayla z koleżankami, i poprosił o pozwolenie. Kobiety spojrzały w moją stronę, jedna z nich skinęła głową, a Kayla machnęła ręką w moją stronę.**

**Podeszłam. Nastąpiła wymiana grzeczności. Przedstawiłam się jako Chase Dellmar.**

**–Skądś panią znam – rzekłam do Kayli, udając najgłębszy namysł.**

**Przyjrzała mi się i potrząsnęła głową.**

–Nie, chyba się nie spotkałyśmy.

Przycisnęłam do ust palec wskazujący i zmarszczyłam brwi jeszcze bardziej, zastanawiając się, skąd możemy się znać. Wymieniłyśmy kilka miejsc, w których pracowałyśmy. Brak wspólnych elementów. Chodziłyśmy też do innych szkół. Pewnie coś mi się wydawało. Zamówiłyśmy, pojawiło się nasze jedzenie, rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym. Kobiety pracowały w tym samym dziale. Miały jakiś problem z szefem, który zawsze przywłaszczał sobie pomysły innych, nie słuchał nikogo i nie spędzał wystarczająco dużo czasu na pracy z oprogramowaniem. Typowa opinia o kimś, kto się nie brata z podwładnymi, istna zbrodnia w małym środowisku. Zwykle ostrzeżenia dotyczące spoufalania się szefów z pracownikami nie odnosiły się do takich miejsc jak Morinda.

Odczekałam, aż skończymy jeść i rozliczymy rachunek. Wtedy doznałam oświecenia. Rozpromieniłam się, spojrzałam na Kaylę i rzekłam:

–Jest pani siostrą Hapa.

Zbladła.

–Zna pani Hapa?

–Kiedy się poznałyśmy, nazywałam się Chase Bonnier. Odwiedzałam was czasem.

Zmarszczyła czoło.

–Och, to było całe wieki temu. Pewnie pani nie pamięta.

–Och, nie – zaprotestowała. – Oczywiście, że pamiętam. Tyle czasu.

–Niewiarygodne, że spotykam panią w takim miejscu.

–Tak. Co za zbieg okoliczności, prawda?

–A jak się miewa Hap? Wieki go nie widziałam.

–Och, w porządku. Chyba. Też dawno go nie widziałam.

–Wyszłyśmy z restauracji i podążałyśmy za jej koleżankami.

–Miło panią znowu zobaczyć – powiedziała, z trudem usiłując przypomnieć sobie imię -... Shelley.

–Chase. – Uśmiechnęłam się uprzejmie. – Nie szkodzi. Nie spędziłyśmy razem dużo czasu. Nie sądziłam, że będzie pani mnie pamiętać.

–Ależ skąd, pamiętam. Po prostu muszę wracać do pracy i mam głowę zajęta czym innym.

**–Jasne – odparłam. – Rozumiem. A może wyskoczmy gdzieś na drinka? Na przykład dziś wieczorem?**

**–Och, sama nie wiem, Chase. Mój mąż...**

**–Niech idzie z nami.**

**–On nie pije.**

**–W takim razie zapraszam na kolację. Ja stawiam.**

**–Nie, nie mogę tak – cofała się.**

**–Ale czemu? Naprawdę chciałabym się z wami wybrać.**

**–Ma pani numer? – Podałam jej wizytówkę. – Zapytam męża i zadzwonię.**

**–Jasne. Mam nadzieję, że się zdecydujecie.**

**–Pewnie tak, Chase. Dzięki.**

**Spotkaliśmy się w tym samym miejscu, w którym byłam wcześniej z Jackiem. Wzięłam go ze sobą dla równowagi.**

**Remilon Bentner okazał się świetnym kompanem: łatwy w obejściu, wygadany, świetny rozmówca. Jak się okazało, on i Jack grywali w grę, która była popularna na stacji. Nazywała się „Rządy” i wymagała od gracza podejmowania decyzji związanych z polityką i inżynierią społeczną. Na przykład: zostają wynalezione implanty zwiększające inteligencję. Brak znanych skutków ubocznych. Czy udostępniemy je społeczeństwu?**

**–Ja tak zrobiłem – powiedział Rem – i czekało mnie parę nieprzyjemnych niespodzianek. Ludzie z wysokim IQ są przereklamowani.**

**–W jakim sensie? – spytałam.**

**Jack dopijał kawę.**

**–Powyżej pewnego poziomu, gdzieś w okolicach stu osiemdziesięciu, szczególnie młodzi ludzie wykazują destrukcyjne zachowania. Buntują się.**

**–Może dlatego, że są niecierpliwi? – podsunęłam. – Ich koledzy gorzej sobie radzą, więc ci bardziej inteligentni szybko się denerwują.**

**–Raczej dlatego – odparł Rem – że trudniej ich zaprogramować. Zastanawialiście się kiedyś, dlaczego ludzka inteligencja jest na takim poziomie, na jakim jest?**

–Bo głupsze małpy były zjadane przez tygrysy? – spytałam.

–Ale dlaczego nie jest wyższy? – spytał Jack. – Kiedy Kasavitch prowadził swoje badania na temat Fenicjan na początku zeszłego stulecia, doszedł do wniosku, że nie ma dowodów na to, by ludzie teraz byli bardziej inteligentni niż u zarania dziejów. Czemu?

–To akurat proste – wtrąciła Kayla. – Piętnaście tysięcy lat to za krótki okres, żeby pojawiły się jakieś skutki ewolucyjne. Kasavitch – tak się nazywał? – powinien cofnąć się o jakieś sto tysięcy lat i spróbować jeszcze raz. Wtedy zauważyłby różnicę.

–Nie przypuszczam – rzekł Bentner. – Istnieje górna granica.

–Dlaczego? – spytałam.

–Eksperci przypuszczają, że osoby przekraczające sto osiemdziesiąt zaczynają być problemem społecznym. Nie można ich kontrolować. Syndrom stada kotów. Władza bywa bezmyślna, bez względu na to, jaka jest struktura systemu politycznego. Ludzie z wysokim IQ nie tolerują tego. – Uśmiechnął się. – Stawia ich to w bardzo niekorzystnej sytuacji. Gdzieś w wieku siedmiu lat zaczynają dostawać niezłą nauczkę. Wyższa inteligencja, zamiast im pomagać, szkodzi. Dawno temu plemię miałoby tego dość i przestałoby ich chronić, a wtedy zajęłyby się nimi tygrysy.

–Chyba coś podobnego występuje wśród niemot – powiedział Jack. – Mają podobny przedział jak my. I taką samą górną granicę.

–Niemoty były obcą rasą. Jedyłą, jaką znaleźliśmy. I gatunkiem, który posługiwał się telepatią.

–Wydawało mi się, że w przypadku telepatów powinno być inaczej – podsunęłam.

Bentner potrząsnął głową.

–Najwyraźniej nie. Jack, co zrobiłeś? Zezwoliłeś na użycie implantów?

Jack wykonał przeczący gest.

–Nie. Przyszło mi do głowy, że całe społeczeństwo ludzi, którzy wiedzą wszystko, to nie jest dobry pomysł.

–Dobry wybór. Moje społeczeństwo po dwóch pokoleniach stało się niestabilne. Mam znajomego, którego państwo całkowicie się zawałiło.

–A wiedzieliście – rzekł Jack – że odsetek samobójstw wśród ludzi, którzy mają IQ na poziomie geniuszu, jest prawie trzy razy wyższy niż w całej populacji?

–Czyli jest jakiś powód, dla którego jesteśmy głupi.

–Zgadza się – wyszczerzył się Bentner. – I dzięki Bogu. – Uniósł kieliszek. – Za mierność – rzekł. – Niech rozkwita.

Kilka minut później wspomniałam mimochodem, że zbieram zabytkowe kubki. Nie wzbudziło to niczyjego zainteresowania. Zwróciłam się więc do Kayli.

–Coś mi świta, że wy taki mieliście.

–Co takiego?

–Zabytkowy kubek. Pamiętasz? Były na nim dziwne litery.

–Nic podobnego – odparła. – Niczego takiego nie pamiętam.

–Ale ja doskonale go pamiętam. Był szary, z zielonobiałym orłem. Z rozłożonymi skrzydłami.

Zamyśliła się. Ściągnęła usta. Potrząsnęła głową. Po czym zaskoczyła mnie.

–Tak, rzeczywiście. Stał na gzymsie nad kominkiem.

–Wiesz, zawsze mi się bardzo podobał.

–Nie myślałam o nim latami. Ale masz rację. Mieliśmy coś takiego.

–To były czasy, Kaylo. Nie wiem, dlaczego ten kubek tak zapadł mi w pamięć. Może dlatego, że kojarzy mi się ze szczęśliwymi latami.

–Czyżbyś teraz miała jakieś problemy?

–Nie, skądże, ale to po prostu był wiek niewinności. Wiesz, jak to jest.

–Jasne.

Piłyśmy herbatę i każda z nas pociągnęła łyk.

–Ciekawe, gdzie ten kubek jest teraz – powiedziałam.

–Dalej go macie?

–Nie wiem – odparła. – Ja go nie mam. Nie widziałam go od czasów dzieciństwa.

–Może Hap go ma.

–Możliwe.

–Wiesz – rzekłam – może skontaktuję się z nim, jak wrócę do domu. Miło będzie znowu się z nim spotkać.



**Rysy jej stężały.**

**–Nie spodoba ci się teraz.**

**–Dlaczego?**

**–Stał się podobny do ojca. – Potrząsnęła głową. – Och, dajmy temu spokój.**

**Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o pracy na stacji, a kiedy rozmowa przestała się kleić, znów wspomniałam o kubku.**

**–Wiesz, ten kubek zawsze mnie intrygował. Kaylo, nie wiesz przypadkiem, skąd on pochodził?**

**–Nie mam pojęcia – odparła.**

**–Hap nie sprawiał na mnie nigdy wrażenia kogoś zainteresowanego zabytkami.**

**–Och, wątpię, czy to było coś zabytkowego – rzekła.**

**–Ale masz rację co do Hapa. – W jej oczach pojawiło się coś mrocznego. – On interesował się tylko alkoholem, prochami i pieniędzmi. No i kobietami.**

**Dostrzegłam, że żałuje tego, co powiedziała, próbowałam więc przybrać współczujący wyraz twarzy i kontynuować rozmowę.**

**–Pewnie ktoś mu go dał.**

**–Nie. Stał na półce, odkąd pamiętam. Kiedy Hap i ja byliśmy jeszcze mali. – Zastanowiła się. – Przypuszczam, że on pewnie go nadal ma.**

**–Wiesz – rzekłam – o ile pamiętam, były tam jeszcze jakieś podobne przedmioty.**

**–Nie, Chase – odparła. – Nie przypuszczam. – Na stole pojawiły się nasze dania. – Jestem pewna, że mieliśmy tylko jeden. Teraz sobie przypominam, że mama coś wspominała o tym, iż dostała go od ojca.**

**W pewnym stopniu trochę pławię się w blasku sławy Aleksa. Może nie jestem aż tak sławna, by przyciągać łowców autografów, ale czasem trafi się jakiś maniak. Następnego ranka stałam w sklepiku z pamiątkami, by kupić sobie jakąś przekąskę i zabrać ją do pokoju, kiedy niski, dobrze ubrany mężczyzna w średnim wieku, z czarnymi włosami w nieładzie, spytał, czy jestem Chase Kolpath. Odniosłam wrażenie, że jest niezbyt przyjaźnie nastawiony. Po chwili zdałam sobie sprawę, że to ten sam facet, który zrobił na zjeździe rozróbę podczas przemówienia Olliego Boltona. Kolchevsky.**

**Oczywiście mogłam zaprzeczyć. Zdarzało mi się to już w przeszłości. Nie sądziłam jednak, żeby z tym facetem taki numer się udał. Przyznałam się więc.**

**–Tak właśnie myślałem.**

**Zaczęłam się ostrożnie wycofywać.**

**–Proszę mi nie brać tego za złe, pani Kolpath, ale jest pani inteligentną kobietą.**

**–Dziękuję – odparłam, łapiąc na chybił trafił sernik wiśniowy i machając kluczem w stronę czytelnika, by za niego zapłacić.**

**–Proszę nie uciekać. Chciałem przez chwilę porozmawiać. – Zakaszlał lekko. – Nazywam się Casmir Kolchevsky. Jestem archeologiem.**

**–Wiem, kim pan jest – odparłam.**

**Kolchevsky, mimo historycznego zachowania podczas zjazdu, był ważną osobistością. Prowadził ważne wykopaliska na Dellakondzie, w Baka Ti. Istniała tam kiedyś cywilizacja, która prosperowała przez prawie sześćset lat, a potem nastąpił jej upadek. Dziś zostało już tylko parę wiossek. O przyczynach jej upadku dyskutowano od dawna. Niektórzy naukowcy uważali, że zgubił ich rozwój techniki, który wymknął się spod kontroli, inni przypuszczali, że raczej doszło do jakiejś rewolucji kulturalnej, która spowodowała rozbitcie na małe, zwalczające się podgrupy, a jeszcze inni sądzili, że ich zastawa stołowa zawierała za dużo ołowiu, co doprowadziło do powszechnej bezpłodności. Kolchevsky zrealizował w Baka Ti większość prac w terenie i wykopał mnóstwo zabytkowych przedmiotów, które teraz znajdują się w muzeach. I wsławił się zarówno błyskotliwością, jak i wojowniczością.**

**–Doskonale. Nie musimy więc bawić się w ceremonie.**

**–Spojrzał na mnie jak na kocię ze złamaną nóżką. – Czytałem o pani – powiedział. – Ma pani niewątpliwy talent.**

**–Dziękuję, panie profesorze.**

**–Czy mogę spytać, dlaczego, na litość boską, pracuje pani dla Benedicta?**

**–Słucham?!**

**–Och, niechże pani da spokój. Wie pani, o czym mówię. Pani i pani wspólnik jesteście najzwyczajniejszymi hienami cmentarnymi. Proszę mi wybaczyć bezpośredniość, ale naprawdę mnie to bulwersuje.**

**–Przykro mi, że nie docenia pan naszej pracy, profesorze.**

**–Przyjdzie kiedyś dzień, droga pani, kiedy będzie pani wspominać te wszystkie lata i gorzko żałować.**

**–Profesorze, czy mógłby pan pozwolić mi przejść?**

–Oczywiście. – Nie ruszył się jednak. – Benedict – oznajmił, najwyraźniej dopiero się rozkręcając – to rabuś. Szabrownik. Przedmioty, które powinny być własnością wszystkich, zdobią domy bogaczy. – Obniżył głos. – Wie pani o tym równie dobrze jak i ja.

–Przykro mi, że pan to tak odbiera – powiedziałam.

–Sprawia pan wrażenie człowieka otwartego na inne poglądy, może po prostu uzgodnimy protokół rozbieżności i zostawimy to tak, jak jest? A teraz ponawiam prośbę: proszę zejść mi z drogi.

–Przepraszam – powiedział. – Naprawdę nie chciałem pani urazić. Zastanawiam się tylko, czy zdaje sobie pani sprawę z tego, jak powiązania z tym panem szkodzą pani reputacji?

–Zastanawiam się, profesorze, kto powołał pana na strażnika skarbów tego świata?

–Och, tak. No cóż, kiedy obrona nie starcza, przechodzimy to ataku. – Cofnął się. – To chyba nie jest satysfakcjonująca odpowiedź?

–To nie było satysfakcjonujące pytanie.

Postanowiłam, że spędzę jeszcze kilka dni z Jackiem. Zanim jednak udałam się na spotkanie z nim, wysłałam Aleksowi wiadomość, że nasza misja spaliła na panewce. Wrócę do domu z pustymi rękami. Nie wspomniałam ani słowem o Kolchevskym.

# SZEŚĆ

**Talent jest ważny, upór też się przydaje. Ale ostatecznie o wszystkim decyduje ślepy traf.**

**Morita Kamalee, *Spacery z Platonem*, 1388**

**Gdy dotarłam do domu, Alex czekał z wieściami. Odwiedził Fenna i dostał informacje o ojcu Hapa.**

**–Nazywał się Rilby Plotzky, dla kumpli Rile. I był włamywaczem, jak jego syn.**

**–Nie dziwi mnie to, z takim nazwiskiem. – Nie ma to jak umiejętności przekazywane z pokolenia na pokolenie.**

**–Zmienił się czy umarł w grzechu?**

**–Pranie mózgu.**

**–Aha.**

**–Spytałem, czy moglibyśmy z nim porozmawiać.**

**–Aleksie, przecież wiesz, że nigdy na to nie pozwalają. I nic dobrego by z tego nie wynikło.**

**Znów padało. Siedzieliśmy w biurze, patrząc na wielkie opadające płatki. Nie zanosilo się na to, żeby miało przestać. Poza lądowiskiem śnieg sięgał po uda.**

**–Pranie mózgu nie zawsze jest całkowite – rzekł Alex. – Czasem skutki można odwrócić.**

**–Na to też by nie pozwolili.**

**–Wiem. Już pytałem.**

**–I co powiedzieli?**

**–Że nie da się przebić przez, oficjalne filtry. Zaskoczyło mnie, że Alex w ogóle bierze pod uwagę taką możliwość. Jeśli Plotzky senior zaczął nowe życie pod nowym nazwiskiem, wszczepiono mu pełny zestaw fałszywych wspomnień i związanych z nimi nawyków. Był teraz przyzwoitym obywatelem. Przebicie się przez tę ścianę mogłoby mieć nieobliczalne skutki.**

**Najwyraźniej wziął mi za złe moją dezaprobatę.**

**–Chase, mówimy o przedmiotach o ogromnej wartości. Jakoś nie odczuwam wobec niego współczucia. Gdyby był cokolwiek wart, to nie wykonano by mu tego zabiegu. A poza tym zabieg zawsze można powtórzyć.**

**–Zakładasz, że on ten kubek ukradł?**

**–A sądzisz, że mógł być wielbicielem szlachetnego piękna?**

**Kariera włamywacza Plotzky’ego seniora zakończyła się prawie dwadzieścia lat temu, w roku 1414, kiedy to skazano go po raz trzeci, za siedemnaście przestępstw. Wtedy sąd orzekł pranie mózgu. Po raz pierwszy aresztowano go w 1389. Dowody wskazywały, że w ciągu tych dwudziestu trzech lat przez cały czas działał w swoim zawodzie.**

**–I w jaki sposób to wszystko ma nam pomóc? – spytałam.**

**–Spróbujemy ustalić, podczas którego włamania ukradł kubek.**

**–Jak? Dzięki raportom policji?**

**–Tak. Ze wszystkich niewyjaśnionych włamań w regionie Plotzky’ego. Pod warunkiem, że są dostępne. Wiesz, przepisy o ochronie danych.**

**–Trzeba więc będzie poszperać w mediach.**

**–Tak sądzę.**

**–Nie ma sensu. Pewnie go ukradł, bo przyciągnął jego wzrok. Na pewno nie miał pojęcia, ile jest wart. W przeciwnym razie nie trzymałby go na półce przez tyle lat. Gdyby ktoś zgłosił kradzież kubka liczącego dziewięć tysięcy lat, Plotzky wiedziałby, co ukradł.**

**–To dobry argument – rzekł Alex.**

**–Dobrze. Posłuchaj, nie lubię o tym przypominać, ale zaczynam odnosić wrażenie, że w ten sposób stajemy się współsprawcami. Pomagamy upłynnić skradziony towar.**

**–Tego jeszcze nie wiemy, Chase. To tylko domysły.**

**–Jasne. Rodzina włamywaczy z upodobaniem do antyków.**

**Najwyraźniej czuł się nieswojo. Sfrustrowany. Na zewnątrz wzmagał się wiatr, burza się nasilała.**

**–Zróbmy tak – powiedział. – Podamy Jacobowi parametry i każemy przeszukać wiadomości z mediów na temat zadanego okresu. Jeśli nawet nie znajdziemy włamania, podczas którego mógł zostać skradziony kubek, nic przecież nie tracimy?**

**W rzeczywistości nie było to aż tak nieprawdopodobne, na jakie wyglądało. Włamania to rzadkie zjawisko. Większość ludzi ma zaawansowane technicznie zabezpieczenia. A zachowania przestępcze są stosunkowo niezwykle. Żyjemy w złotym wieku, choć wątpię, czy wielu ludzi zdaje sobie z tego sprawę.**

Zacząłam rozmyślać o Margolianach i świecie, który był taki, że skłonił pięć tysięcy ludzi do ucieczki, do wejścia na pokład „Poszukiwacza” i „Bremerhaven” i ruszenia w nieznaną. Jak naprawdę żyło się w dwudziestym siódmym wieku? Wysoka przestępczość. Nietolerancja. Prześladowania polityczne. Problemy ekologiczne. Szaleństwa religijne. Co tylko chcecie.

–Jacobie – rzekł Alex – sprawdź relacje w mediach na temat włamań w regionie Andiquaru w latach 1389-1412. Szukamy odwołań do statku „Poszukiwacz” albo do kubka liczącego dziewięć tysięcy lat.

–Rozpoczynam poszukiwania – odparł.

Alex siedział na wielkiej, miękkiej, ręcznie wykonanej sofie, zwróconej przodem do biurka. Miał na sobie szary, bezkształtny sweter i wyglądał na rozkojarzonego. Wziął książkę, zamknął ją, podszedł do biurka i wyjrzał na śnieżycę.

–Zadzwoń do ciebie, jak Jacob skończy – powiedziałam w nadziei, że pójdzie na górę do swojego gabinetu.

–Dobrze – odparł.

Dziesięć minut później Jacob był gotowy.

–Brak wyników – odparł. – Żadnych trafień.

–W porządku. – Alex przymknął oczy. – Spróbuj coś na temat kradzieży antyków.

Światła przygasały i rozległ się cichy szum maszynierii w ścianach.

Przeglądałam najnowsze pozycje, które pojawiły się na rynku, szukając czegoś, co mogłoby zainteresować naszych klientów. Ktoś znalazł osiemdziesięcioletni, ręcznie wykonany zegar. Naszych klientów raczej by nie zainteresował, ale spodobał mi się jego wygląd. Nie kosztował dużo i ładnie prezentowałby się w moim salonie. Usiłowałam podjąć jakąś decyzję, kiedy Jacob znów zgłosił brak wyników.

–Dobrze. – Alex opadł z powrotem na sofę i założył ręce na piersi. – Musimy znaleźć coś na temat włamań do domów, gdzie mogły znajdować się antyki.

–Jak mielibyśmy to zrobić?

–Poczekaj chwilę. – Zaczął przeglądać otwarty notes. – Jacobie, sprawdź, czy możesz połączyć mnie z inspektorem Redfieldem.

Pośrodku biura pojawił się Fenn z kawałkiem swojego biurka.

–W czym mogę ci pomóc, Aleksie? – Wyglądał, jakby już od dawna był w pracy.

–W sprawie tego przypadku, o którym wczoraj rozmawialiśmy...

–Tak? – Zmarszczył brwi, jakby chciał nam dać do zrozumienia, że już za długo o tym słucha.

–Zastanawiałem się, czy mógłbyś nam coś zdradzić, a mianowicie, czy włamania ograniczały się do jakiegoś regionu.

–Poczekaj chwilę. – Wydał z siebie dźwięk, który miał oznaczać znudzenie. – Przypomnij mi, jak on się nazywał.

–Plotzky.

–Och, tak, Plotzky. – Wydał polecenie SI, przypomniał Aleksowi, że w tym tygodniu partyjka odbędzie się u niego, i odgryzł kęs kanapki. Po chwili spojrział na monitor. – Większość kradzieży miała miejsce w Anslet i Sternbergen. Kilka było w innych miejscach. W sumie dość duży rozrzut.

–Ale wszystkie bezpośrednio na zachód od Andiquaru?

–Och, tak. Plotzky nie podróżował dużo.

–Dobrze, Fenn. Dzięki.

Podczas końcowego procesu Plotzky został oskarżony o siedemnaście włamań z wtargnięciem. W dokumentach sądowych były nazwiska okradzionych. Prokuratorzy twierdzili, że w całej karierze dokonał ponad stu włamań.

–Musimy prześledzić wszystkie włamania w tej okolicy w czasach, kiedy działał Plotzky.

–Tego może być sporo.

–Może nie. Z archiwów nie wynika, żeby miał dużą konkurencję. – Wstał, podszedł do okna i spojrział na śnieg. – Jacobie?

–Tak, Aleksie?

–Ile włamań odnotowano w tym okresie?

Znów mrugające światełka.

–Naliczyłem dwieście czterdzieści siedem zgłoszonych przypadków.

–Wydawało mi się, że nie miał zbyt wielu konkurentów.

–Chase, mówimy o dwudziestu latach. – Alex potrząsnął głową, patrząc na nawałnicę za oknem. – Nie zanoszą się na to, żeby miało przestać padać. – Był to jeden z tych dni, kiedy

**człowiek ma ochotę tylko zwinąć się w kłębek przed kominkiem i spać. – Jacobie, podaj mi nazwiska poszkodowanych.**

**Z drukarki wysunęła się lista.**

**–Co teraz? – spytałam.**

**–Sprawdzimy ich wszystkich. Spróbujemy znaleźć ludzi, którzy mogli posiadać antyki.**

**–Łatwo powiedzieć.**

**–To było czterdzieści lat temu. Część tych ludzi może już nie żyć.**

**–Zrobisz, co się da.**

**„Zrobisz”? Nie „zrobimy”?**

**–Dobrze – odparłam. – Kto z nich mógł posiadać antyki?**

**–Pomyśl, jaka jest cecha wspólna naszych klientów.**

**–Forsa? – podsunęłam.**

**–Wolałbym raczej odpowiedź „doskonały gust”. Niemniej jednak, owszem, muszą posiadać pieniądze. Zdobądź ich adresy. I znajdź ludzi, którzy mieszkali w bardziej ekskluzywnych miejscach.**

**–Aleksie, mówimy o włamaniach. Włamywacze zwykle wybierają bardziej ekskluzywne miejsca.**

**–Niekoniecznie. W tych mniej ekskluzywnych korzysta się z mniej skutecznych systemów antywłamaniowych.**

**Alex zakasał rękawy i spędziliśmy kilka następnych dni na rozmowach. Większość ludzi, których wtedy okradziono, przeprowadziła się lub zmarła. Tropienie tych, którzy jeszcze żyli, albo krewnych, było niełatwym zadaniem.**

**Kilku namierzaliśmy. Czy pana rodzina posiadała kiedyś zabytkowy kubek z angielskimi znakami?**

**Niektórzy odpowiadali, że owszem, chyba było coś takiego. Ale nikt nie był w stanie dokładnie go opisać. I żadna z tych relacji nie wyglądała na godną uwagi.**

**–Aleksie – poskarżyłam się – muszą być jakieś lepsze metody.**

**Minęło kilka dni, niczego nie osiągnęliśmy i jego to też zmęczyło. Czwartego dnia zbliżaliśmy**



się do końca listy.

–To szukanie igły w stogu siana – powiedziałam. – Informacje o większości tych włamań pewnie nawet nie trafiły do mediów.

Przeżuwał kawałek chleba z miną, jakby myślami był gdzieś daleko, w ciemnościach. Światła w pokoju były przygaszone, a Jacob odtwarzał jakiś kawałek z *Szerpy*. Cicha melodia, unosząca się w złowieszczym klimacie wieczora.

–Plotzky nie wiedział, co ma. Może tak samo było w przypadku pierwotnego właściciela.

–To możliwe – odparłam.

–Może ofiara nie była kimś, kto kolekcjonuje antyki, ale zbieraczem kubków.

–Kubków, mówisz. Zbieraczem kubków.

–Jacobie – rzekł Alex – przyjrzyjmy się znowu temu kubkowi. Zbliżenie. – Kubek pojawił się na środku biura, miał rozmiary zbliżone do mojego wzrostu. – Obróć go, proszę.

Kubek zaczął się obracać. Zobaczyliśmy orła, szarfy, numer. Otoczoną pierścieniem planetę.

–Nie da się nie zauważyć, że ma coś wspólnego ze statkami międzygwiazdowymi.

–Dokładnie to samo sobie pomyślałem. Jacobie, wróćmy do tego okresu, kiedy dokonywano włamań. Ten sam region geograficzny. Czy jesteś w stanie znaleźć jakieś rodziny powiązane z flotą statków międzygwiazdowych?

–Rodziny, które ucierpiały z powodu włamania?

–Nie – odparł. – Mające jakiegokolwiek związki ze statkami międzygwiazdowymi.

W docelowym regionie znaleźliśmy dziewięć rodzin powiązanych z flotą. Pięć przeprowadziło się w międzyczasie. Z pozostałych czterech dwie były związane z wojskiem, a jedna z korporacją, która rekrutowała załogi dla stacji orbitalnych. Czwartym przypadkiem była ostatnia z rodu kobieta, która nadal była właścicielką rodzinnego domu, ale wyszła za mąż za dziennikarza i mieszkała we wschodniej części archipelagu. Nazywała się Delia Cable.

W czasach aktywności zawodowej Plotzky'ego nazywała się Delia Wescott. Jej rodzice, którzy wtedy, gdy nastąpiło włamanie, byli właścicielami domu, mieli na imię Adam i Margaret i zginęli w lawinie w 1398. Margaret była pilotem drugiej klasy i pracowała dla Agencji, a Adam był naukowcem, który zrobił karierę podczas wieloletnich misji.

Związek z Agencją przykuł uwagę Aleksa i Delia Cable natychmiast przeskoczyła na szczyt listy. Jacob zadzwonił do niej i zmaterializowała się w biurze.

Przy rozmowach za pośrednictwem sieci trudno określić coś takiego jak wzrost. Ludzie mają skłonności do manipulowania przy ustawieniach, więc projekcja bywa znacząco różna od rzeczywistości. Ale z oczami, poza zmianą koloru, nie da się wiele zrobić. Oczy Delii Cable były tak intensywne, że prawie wypełniły pokój. Wydaje mi się, że była wysoka. Miała wystające kości policzkowe i rysy, które kojarzyły się z modelkami. Długie, czarne włosy opadały jej na ramiona.

Alex przedstawił się i wyjaśnił, że reprezentuje Rainbow Enterprises. Miał kilka pytań dotyczących antyków.

Przybrała uprzejmy wyraz twarzy, choć dała nam do zrozumienia, że ma lepsze rzeczy do roboty niż rozmawianie z nieznanymi oraz żywi nadzieję, że nie chcemy jej niczego sprzedać.

Patrząc na jej ubrania, doszłam do wniosku, że na pewno nie cierpi z powodu niedostatku – miała na sobie miękką, szarą bluzkę od Brandenberga i dopasowaną do niej spódnicę, do tego białą apaszkę – niestety, nie widziałam butów. Miała doskonałą wymowę z kalubryjskim akcentem – świetne połączenie oderwania i kulturowej wyższości, jakich nabywa się na zachodnich uniwersytetach.

–Czy w posiadaniu pani rodziny był kiedyś bardzo stary kubek?

Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. Nie.

–Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

–To może zadam pytanie w inny sposób, pani Cable. Kiedy była pani dzieckiem, mieszkała pani w Andiquarze, prawda?

–Tak, w Sternbergen. To przedmieścia. Zanim zginęli moi rodzice.

–Czy kiedykolwiek włamano się wam do domu?

Wyraz jej twarzy zmienił się.

–Tak – odparła. – Była jakaś historia z włamaniem. A czemu pan pyta?

–Czy pani rodzina odzyskała skradzione przedmioty?

Zastanowiła się nad tym pytaniem.

–Nie mam pojęcia. To było bardzo dawno temu. Byłam wtedy małym dzieckiem.

–A może przypomina sobie pani stary kubek? Zwykły kubek normalnych rozmiarów, z dziwnymi symbolami? I rysunkiem orła?

**Zamknęła oczy i na jej ustach o surowym wyrazie pojawił się uśmiech.**

**Bingo.**

**–Zapomniałam o tym kubku na trzydzieści lat. Nie chce pan chyba powiedzieć, że go macie?**

**–Mamy pewne informacje na jego temat.**

**–Naprawdę? Skąd? W jaki sposób udało się panu powiązać go ze mną?**

**–To długa historia, pani Cable.**

**–Miło byłoby go odzyskać – rzekła. – Czy zamierzają państwo go zwrócić?**

**–Nie wiem, jaki jest jego status prawny. Sprawdzę to. Wykonała gest, który miał sygnalizować, że nie zamierza robić z tej sprawy afery.**

**–To nie jest jakaś istotna kwestia – rzekła. – Jeśli mogą go państwo zwrócić, to dobrze, ale jeśli nie, proszę się tym nie przejmować.**

**–Jeśli wolno mi spytać – rzekł – czy pani rodzice mieli jeszcze w domu podobne przedmioty? Inne antyki?**

**Zastanowiła się.**

**–Nie przypominam sobie niczego takiego. A czemu pan pyta? Czy to coś cennego?**

**Alex zdecydowanie wolał uniknąć angażowania firmy w jakieś prawne przepychanki.**

**–Nie można tego wykluczyć.**

**–W takim razie zdecydowanie będę się ubiegać o jego zwrot.**

**–Rozumiem.**

**–Ile jest wart?**

**–Nie mamy pojęcia. Wartość takich przedmiotów może się bardzo zmieniać.**

**–W takim razie co mam zrobić, żeby się starać o jego zwrot?**

**–Przypuszczam, że najlepiej byłoby skontaktować się z miejscową policją i zgłosić to.**

**–Dziękuję.**

**Nie podobał mi się kierunek, w którym to wszystko zmierzało.**

**–Jest pani pewna, że w domu nie było niczego podobnego?**

**–Oczywiście, że nie jestem pewna. Miałam wtedy siedem albo osiem lat. – Nie dodała „ty idioto”, ale było to słycać w jej tonie. – Niemniej jednak niczego takiego sobie nie przypominam.**

**–Dobrze. – Alex rozsiadł się wygodnie, próbując złagodzić napięcie. Nie podobała mi się ta kobieta i wołałabym, żeby Amy zgarnęła swoją działkę. W ogóle zaczynałam żałować, że się wpakowaliśmy w ten interes. – Z tego co wiem, pani rodzice zginęli podczas lawiny w 1398 roku?**

**–Zgadza się.**

**–Ma pani jakieś przypuszczenia co do tego, skąd wzięli ten kubek?**

**–Nie – odparła. – Zawsze tam był. Odkąd pamiętam.**

**–Gdzie go trzymali? Wybaczy pani to pytanie...**

**–W swojej sypialni.**

**–I jest pani pewna, że nie zdoła sobie przypomnieć, skąd go wzięli?**

**Przygryzła dolną wargę.**

**–Mam wrażenie, że przywieźli go z jakiejś podróży.**

**–Jakiej podróży?**

**–Z jednego z lotów. Pracowali wtedy dla Agencji. Latali razem na misje badawcze.**

**–Jest pani pewna? Że przywieźli go z jakiejś misji?**

**Wzruszyła ramionami.**

**–Nie dałabym sobie uciąć ręki, panie Benedict. Proszę pamiętać, że większość tych misji odbyła się przed moim urodzeniem. Odeszli z Agencji, kiedy miałam jakieś dwa lata.**

**–Który to był rok?**

**–Chyba 1392. Dlaczego pan pyta? Czy to ma jakieś znaczenie?**

**–Czy poza misjami Agencji były jeszcze jakieś inne loty?**

**–Tak. – Uśmiechnęła się. – Bardzo dużo podróżowaliśmy.**

**–A dokąd, jeśli można spytać?**

**Na obrazie pojawiła się niewielka kanapa. Delia przysiadła na niej.**

**–Nie wiem. Nie pamiętam żadnych szczególnych miejsc. Jakieś zupełnie odludzia. Chyba nigdy nawet nie wylądowaliśmy.**

**–Naprawdę?**

**–Tak. Zawsze wydawało mi się to dziwne. Raz poleciliśmy na jakąś stację. Dla takiego dzieciaka to była niezła zabawa.**

**–Na stację?**

**–Tak.**

**–Wie pani, gdzie to mogło być?**

**Zauważyłam, że znów się rozzłościła.**

**–Nie mam pojęcia.**

**–I jest pani pewna, że to była stacja?**

**–Oczywiście. Sztuczny twór. Cóż innego mogło to być?**

**–Jak duża była to stacja? Był tam duży ruch?**

**–Minęło zbyt wiele czasu – odparła. – Poza tym chyba nie opuszczałam statku.**

**–Dlaczego?**

**–Nie wiem. Pamięć płata figle. Chciałam opuścić statek. Ale rodzice... – Zamilkła, próbując coś sobie przypomnieć – To dziwne. Jeśli mam być szczerą, nigdy tego nie rozumiałam. Powiedzieli mi, że to nie jest dobre miejsce dla małych dziewczynek.**

**–Ma pani rację. To dziwne.**

**–Tak to zapamiętałam. Choć zawsze myślałam, że w rzeczywistości było jakoś inaczej. To nie ma sensu.**

**–Przyjrzała się pani tej stacji?**

**–Och, tak. Pamiętam ją. Wielki, długi cylinder. – Uśmiechnęła się. – Bałam się.**

**–Co jeszcze pani pamięta? Była tam jakaś niezwykła konstrukcja?**

–Niczego takiego nie pamiętam.

–Zacumowaliście na stanowisku?

–Nie wiem.

–A światła? Było tam widać jakieś światła? – Na niektórych stacjach reklamowano hotele i różne usługi za pomocą widocznych podczas zbliżania się napisów.

–Były tam światła, panie Benedict. Zapalały się i gasły w całej stacji.

–Aha.

Kiedy rozmawiali, Alex rzucił okiem na informacje na temat rodziny, które znalazł Jacob.

–Była tam pani z nimi, kiedy zeszła lawina, prawda?

–Tak. Miałam szczęście. Byliśmy na nartach w górach Karakas, kiedy nastąpiło trzęsienie ziemi i zeszła lawina. Zginęło kilkaset osób.

–To musiało być straszne doświadczenie dla małej dziewczynki.

Spojrzała w bok.

–Z całego hotelu przeżyło tylko kilka osób. – Wzięła głęboki oddech. – Włamanie, o którym pan mówi, miało miejsce jakiś rok przed tą podróżą.

Spojrzałam na ekran z danymi. Po katastrofie zamieszkała z ciotką na Wyspie św. Szymona.

–Pani Cable – spytał Alex – co się stało z rzeczami należącymi do pani rodziców? Wyposażeniem domu i tak dalej?

–Nie mam pojęcia – odparła. – Nigdy już ich nie widziałam.

–Rozumiem.

–Choć może nie do końca tak było. Moja ciotka Melisa, która mnie wychowała, zabrała trochę do siebie. Ale chyba nie było tego dużo.

Alex pochylił się.

–Czy mógłbym prosić panią o przysługę?

–Tak?

–Gdyby pani miała okazję przejrzeć rzeczy rodziców i sprawdzić, czy nie ma tam czegoś

choćby z grubsza przypominającego ten kubek. Czegokolwiek z angielskimi znakami. Czy czegokolwiek, co wygląda dziwnie.

–Dobrze.

–Dziękuję pani.

–Panie Benedict, jest coś jeszcze.

–Tak?

–Pamiętam, jak moja matka mówiła ojcu, kiedy zamierzali wyjść na zewnątrz, na stację – kiedy oboje myśleli, że nie słyszę – że się boi.

Poszperałam trochę na temat Wescottów. Adam uzyskał tytuł magistra w Turnbull, na małej uczelni na zachodzie, potem zrobił doktorat z astrofizyki w Yulee. Odrzucił propozycję pozostania na uczelni i wybrał karierę badacza w Agencji. Wielu naukowców z doktoratem podejmowało taką decyzję. Oznaczało to, że są mniej zainteresowani zdobywaniem sławy na własną rękę czy przeprowadzaniem poważnych prac badawczych w swoich dziedzinach niż lotami do gwiazd i odwiedzaniem planet, na których nikt dotąd nie postawił stopy. Rzadko przychodzi nam na myśl określenie „romantyk”, kiedy mówimy o naukowcach, ale sądzę, że można ich tak określić. Spędziłam dwa lata, pilotując statki Agencji, i paru takich spotkałam. Niepoprawni entuzjaści. Podczas każdej misji bada się zwykle od ośmiu do dziesięciu gwiazd. Leci się do jakiegoś układu, sporządza profil centralnej gwiazdy, zbiera więcej danych, niż ktokolwiek byłby w stanie przeczytać, a potem bada planety, jeśli jakieś są. Przyglądając się szczególnie uważnie tym, na których istnieje życie.

Obejrzałam zdjęcie Adama z uroczystości wręczenia dyplomów w Turnbull. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata i wyglądał na przystojnego: brązowe włosy, niebieskie oczy, pewny siebie uśmiech. Dzieciak, który może i był bardzo zdolny, a może nie, ale nie ulegało wątpliwości, że coś w życiu osiągnie.

Szperałam, gdzie się dało. Adam Wescott przy pracy w Centralnym Karmeliańskim Laboratorium Przetwarzania. Wescott wkraczający na pokład „Lumley” – to jego pierwszy lot międzygwiazdny. Adam w wieku trzynastu lat, odbierający Nagrodę Odkrywców, uśmiechający się, jakby wiedział, że będzie jednym z wielu. Ładnie wyglądał w szkolnym mundurku, wszystko schludnie na swoim miejscu, rozpromieniony, a jakiś dorosły, też umundurowany, wręczał mu tabliczkę. Odwrócił się i zobaczyłam przez sekundę publiczność, złożoną z jakichś piętnastu chłopców w tym samym wieku, schludnych i eleganckich w mundurkach, i trzykrotnie większej liczby dorosłych. Dumni rodzice Odkrywców, sponsorowanych, jak można było wydedukować na podstawie transparentu na ścianie, przez Towarzystwo Filozoficzne.

Zarejestrowano nawet jego przemówienie.

–Dziękuję, Harv – powiedział i natychmiast się poprawił:

–...panie Striker. – Uśmiech do publiczności. Wszyscy znamy kochanego starego Harva. Wyjął z kieszeni kawałek papieru, rozwinął go i skrzywił się. – Klub prosi, bym podziękował wszystkim rodzicom i panu Strikerowi oraz Towarzystwu i powiedział. – Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc. Bez was nie byłoby nas tu.

Nieźle sobie radził.

Potem Adam w średnim wieku, przy stole, jako obserwator, gdy Jay Bitterman odbierał Nagrodę Carfaksa. I Adam na przyjęciu urodzinowym jakiegoś polityka, z którym się przez jakiś czas przyjaźnił.

I ślub Adama. Miał dobry gust i poślubił swojego pilota, Margaret Kolonik. Margaret wyglądała wspaniale, zresztą jak każda panna młoda, promieniejąca szczęściem i innymi emocjami, świętująca ten najważniejszy moment. Ale w maszynowni wyglądałaby równie dobrze. Miała lśniące czarne włosy, takie same jak jej córka, doskonałe rysy i uśmiech, który rozświecał cały pokój.

Rutynowa procedura w Agencji przewiduje, że na poszczególne misje latają różni piloci i badacze. Misja trwa średnio osiem do dziewięciu miesięcy i przypuszczam, że czterdzieści lat temu było podobnie. Robi się tak, gdyż w misji bierze zwykle udział pilot i jeden lub dwóch naukowców, a ludzie przebywający ze sobą tak długo na ogół zaczynają działać sobie na nerwy.

Z dodatkowych informacji wynikało jednak, że zakochana para odbyła w sumie dziesięć kolejnych lotów. W dwóch ostatnich towarzyszyła im ich córka, Delia. Pewnie nie było problemu ze zorganizowaniem tego w ten sposób, jeśli komuś zależało.

Siedziałam w moim gabinecie i patrzyłam, jak Margaret Kolonik kroczy środkiem kościoła, by znaleźć się przy swoim mężczyźnie. Nie przypominała omdlewającego kwiatu. Z danych wynikało, że jej ojciec nie żył i do ołtarza prowadził ją wuj, otyły mężczyzna, który cały czas rozglądał się dookoła, jakby chciał zaraz uciec. Pomyślałam, że nie wygląda na kogoś, z kim byłaby blisko związana.

Ceremonia miała charakter religijny. Kapłan prosił Wszechmocnego o błogosławieństwo dla szczęśliwej pary, a oni powtarzali po nim przysięgę małżeńską. Drużba wyjął obrączkę, Adam włożył ją na palec żonie, a potem wziął ją w ramiona i pocałował.

Zazdrościłam im tej chwili. Lubię swoje życie i nie mam powodów do narzekania. Ale chyba nigdy nie doznałam takiej bezgranicznej radości, jaką zobaczyłam w oczach Margaret, gdy skończyli się całować i ruszyli nawą świątyni.

Drużbą był wieloletni przyjaciel Adama, Tolly Weinborn. Rozpoznałam go natychmiast i wróciłam do materiałów z ceremonii wręczenia Nagród Odkrywcy. Był tam, trzynastoletni, stojący na baczność, tak uważny, tak niewinny.

Tolly'ego udało mi się znaleźć błyskawicznie. Mieszkał w Barkessie, na północnym wybrzeżu,



gdzie zarządzał ośrodkiem usług publicznych – to takie miejsce, do którego ludzie udają się, kiedy wpakują się w jakieś tarapaty. Nie jest dostępny, powiedziała SI. Czy mógłby oddzwonić?

Czekając na kontakt, znalazłam sobie inne zajęcia, między innymi szukanie książek na temat Margolian i ich ucieczki z Ziemi. Znalazłam *Złotą lampę* autorstwa Allie Omar, w której analizuje ona przyczyny wielokrotnie występujących w historii ludzkości startów i zatrzymań, trzech kroków wstecz, zwrotów w lewo, skoków do przodu i licznych wpadek. Jej podstawowe pytanie brzmiało: co by się stało, gdyby ludzka rasa począwszy od dwudziestego siódmego wieku była w stanie wyeliminować walki wewnętrzne, destabilizację ekonomiczną, zapaść? Czy udałoby się nam uniknąć trzykrotnego nastania wieków ciemnych w czwartym, siódmym i dziewiątym tysiącleciu? Gdzie bylibyśmy teraz, gdyby założyć nieprzerwany, stabilny postęp?

Autorka nie udziela odpowiedzi na własne pytanie, zadowala się wyłącznie spekulacjami na temat tego, co by się stało, gdyby Margolianom się udało. Wynik końcowy: pod względem technicznym byliby jakieś trzy albo cztery tysiące lat przed nami. „Traktowaliby nas może nie jak barbarzyńców, ale zdecydowanie jak kogoś gorszego”.

We wczesnych latach podróży międzygwiazdnych ludzie obawiali się ewentualnego spotkania obcych, którzy mogli nas znacząco przewyższać. „W sferze techniki. Niewykluczone, że i etyki. A może w obu tych dziedzinach”. Baliśmy się, że w obliczu supercywilizacji, bez względu na to, jak życzliwe byłyby jej zamiary, ludzie mogą po prostu stracić ducha. Podobne skutki obserwowano na Ziemi, gdy rozprzestrzeniała się tam cywilizacja.

W przypadku Margolian te lęki były jednak całkowicie nieuzasadnione. Opuścili Ziemię i już nikt o nich nie słyszał. I na przestrzeni tych tysięcy lat jedynymi obcymi, jakich spotkaliśmy, byli telepaci Aszijurowie, niemoty, czasem przyjaciele, czasem rywale, a niekiedy wrogowie. Ku naszemu zaskoczeniu odkryliśmy, że pod względem technicznym jesteśmy na tym samym poziomie. A ponieważ nadal toczyli wojny ze sobą, a czasem z nami, mogliśmy odczuwać zadowolenie także z powodu tego, że nie okazali się lepsi od nas.

Nikogo innego nie było. Podczas wypraw do różnych układów gwiazdnych odkryliśmy wiele planet, na których rozkwitało życie, ale na żadnej z nich nie rozwinęła się inteligencja, przynajmniej taka, którą dałoby się wykryć. Gdybyśmy byli gotowi poczekać kilkaset tysięcy lat, pewnie dałoby się z kimś porozmawiać. Ale teraz, jak powiedział Art Benson, galaktyka składa się z wielu pustych pokoi.

Tolly nie oddzwonił, więc wieczorem próbowałam dopaść go w domu. Kiedy wymieniłam jego SI nazwisko „Wescott”, natychmiast zgodził się ze mną porozmawiać. Mimo upływu lat wyglądał dość młodo. Jego rysy, które nadawały dwunastolatkowi wygląd cherubinka, i sympatyczny wyraz twarzy w roku, gdy występował jako drużba, teraz sprawiały, że wyglądał jak ktoś znużony światem.

Przybrał na wadze i miał trochę zmarszczek, a jego włosy, kiedyś rudoblond, poszarzały. Nosił brodę, a w jego spojrzeniu było coś nawiedzonego. Może zbyt wiele lat w służbie publicznej. A

może za dużo smutnych opowieści.

Przedstawiłam się i wyjaśniłam, że prowadzę badania historyczne.

–Czy utrzymywał pan kontakty z Adamem po jego ślubie? – spytałam.

Nie mógł powstrzymać krzywego uśmiechu.

–Nie dało się z nim utrzymywać kontaktów. Za dużo podróżował.

–W ogóle się pan z nim nie widywał?

–Przygryzł wargę i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

–Może parę razy. Na początku.

–A kiedy odszedł z Agencji? Kiedy zakończył karierę?

Tym razem nie zawahał się.

–On nie zakończył kariery – odparł. – Odszedł z Agencji, ale on i Margaret nadal latali. Tylko już na własną rękę.

–Chce pan powiedzieć, że robili to na własny koszt?

–Tak.

–Ale dlaczego tak robili?

Wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Zawsze przypuszczałem, że wpadli na jakiś trop i cały czas szukali. Spytałem go raz o to.

–I co powiedział?

–„Świat jest za mały”.

–Ale dlaczego nie zostali w Agencji, skoro nadal chcieli latać?

–Powiedział, że Agencja narzucała im trasy lotów, a on chciał latać tam, gdzie ma ochotę.

–To miało jakiś sens, pana zdaniem?

–Jasne. Mieli mnóstwo pieniędzy. Oszczędzali przez wiele lat, a Margaret miała dostęp do jakiegoś funduszu powierniczego.

–Myślał pan kiedyś o tym, żeby polecieć z nimi?

–Kto, ja? – Na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. – Wolę stać mocno stopami na ziemi. Dobra, stara *terra firma*. Poza tym miałem pracę. Tak to już jest.

–Nigdy tego nie zaproponowali?

Potarł szczękę.

–Nic takiego nie pamiętam, Chase. Minęło tyle lat. Pewnie znalazłoby się dla mnie miejsce, gdybym poprosił.

–Wie pan, dokąd latali? Podczas tych prywatnych lotów? Latali do różnych miejsc? Czy zawsze w to samo?

Sięgnął po szklankę wypełnioną do połowy jakimś bezbarwnym płynem z kostkami lodu. Pociągnął łyk i odstawił ją.

–Zawsze zakładałem, że latają w różne miejsca.

–Ale nie pytał pan o to?

–A jaki sens miałyby latanie zawsze w to samo miejsce?

–Nie wiem – odparłam.

–Coś musiała pani mieć na myśli, zadając to pytanie.

Dałam mu do zrozumienia, że niczego szczególnego nie miałam na myśli.

–A dlaczego ma to dla pani znaczenie? – spytał.

–Próbujemy opracować historię ich misji. – Ta odpowiedź najwyraźniej go zadowoliła. – I nigdy panu nic nie powiedział o tych lotach?

–Nie widywałem się z nim za często. Nie, nie pamiętam, żeby cokolwiek na ten temat mówił. Może raz, kiedy wrócił i stwierdził, że dobrze być znowu w domu.

–A czy może zna pan kogoś, z kim mogę porozmawiać? Kogoś, kto może coś wiedzieć o ich ostatnich misjach?

Udzielenie odpowiedzi na to pytanie zajęło mu minutę albo i dwie. Wymienił kilka nazwisk. Kogoś, kto mógł coś wiedzieć, ale zmarł parę lat temu. Poza tym Margaret miała przyjaciółkę, z którą mogła o tym rozmawiać, ale ona też już nie żyła.

–Spróbujmy może inaczej. Czy Adam albo Margaret kiedyś wspominali, że coś znaleźli? Coś

**niezwykłego?**

**–Na przykład co?**

**–Na przykład stary statek. Naprawdę stary.**

**–Nie, nic mi o niczym takim nie wiadomo. – Potrząsnął głową. – No, może raz albo dwa o czymś wspomniał.**

**–Co takiego powiedział?**

**–Żartował. Powiedział, że znaleźli coś takiego, że buty wszystkim spadną, jak się dowiedzą.**

**–Ale nie powiedział, co to było?**

**–Mnie nie powiedział. Tylko się uśmiechnął i wspomniał, że kiedyś to ogłoszą i że to będzie największa niespodzianka w moim życiu. Ale on uwielbiał się wygłupiać. Wie pani, co mam na myśli.**

**Streściłam Aleksowi obie rozmowy.**

**–Doskonale – powiedział. – Robimy jakieś postępy. – Zatarł ręce i dodał, że świetnie sobie radzę.**

**Byłam innego zdania.**

**–Niby jak? – spytałam. – Jak dotąd widzę tylko, że narażamy na szwank interes naszej klientki.**

**–Jakoś jej to wynagrodzimy.**

**–Niby jak?**

**–Kup jej jakiś ładny prezent na urodziny. I powiedz, że tropimy duże znalezisko, w którym będzie mieć spore udziały, jeśli nam się uda.**

**–Ona nie należy do osób, które przejdą do porządku dziennego nad oddalającą się gotówką i zadowolą się jakąś mglistą szansą.**

**–Wiem. – Odetchnął głęboko. – W tym temacie spapraliśmy sprawę.**

**–My?**

**–Dobrze. Ja spaprałem. Chase, posłuchaj, zrobiliśmy, co musieliśmy zrobić.**

**–Mogliśmy upłynnić towar, zgarnąć prowizję i uszczęśliwić klientkę. A teraz, jak będziemy**

**mieli dużo szczęścia, dostaniemy jakąś skromną nagrodę. I nie podoba mi się, jak to wszystko skończy się dla Amy.**

**–Wiem. – Zrobił nieszczęśliwą minę. – Pani Cable wygląda na hojną osobę. Jeśli nic lepszego z tego nie wyjdzie, może wynagrodzi nam kłopot.**

**–Na pewno.**

**–Chase, ciąży na nas pewna odpowiedzialność etyczna. Nie handlujemy skradzionym towarem.**

**–Nie chciałabym tu być, kiedy będziesz to tłumaczył Amy.**

# SIEDEM

**Dokąd poszli? Na polanę czy wzdłuż rzeki? Wrócili do morza czy zniknęli za księżycem?**

**Australijska bajka dla dzieci, dwudziesty trzeci wiek n.e.**

**Zastanawialiśmy się, czy znów nie zabrać Amy do „Hillside”, ale baliśmy się, że zrobi scenę. Woleliśmy porozmawiać w biurze; potem zobaczymy, czy da się zaprosić na kolację.**

**Jedno mogę o niej powiedzieć: nie była głupia. Od razu, gdy tylko weszła do biura, wiedziała, że mamy dla niej złe wieści.**

**–Co się stało? – rzuciła w stronę Aleksa, nie bawiąc się w powitania i całkowicie mnie ignorując.**

**Alex zaprosił ją na sofę i usiadł za biurkiem. Może ma ochotę na coś do picia? Dzięki, nie.**

**–Z naszych informacji wynika, że kubek został skradziony – rzekł.**

**Jej nozdrza zadrżały.**

**–To jakieś szaleństwo. Hap mi go podarował. To był prezent w ramach przeprosin, kiedy się dowiedziałam, że kogoś ma. Przeklęty kubek.**

**Na początku usłyszeliśmy od niej coś nieco innego.**

**–To dziwne – rzekł Alex. – W takich sytuacjach raczej dostaje się kwiaty albo czekoladki.**

**–Tak. No cóż, Hap nie był takim zwykłym facetem. Z tego kubka zwykle pijałam, kiedy mieszkałam u niego, a Hap zawsze robił wszystko po swojemu.**

**–Pijała pani z niego? – Alex był przerażony.**

**–Tak. A to jakiś problem?**

**–Nie. – Alex rzucił szybkie spojrzenie w moją stronę.**

**–Nie, skąd.**

**Zapadła niezręczna cisza.**

**–Nie ukradłam go – powiedziała. – Prosiłam, żebyście się z nim nie kontaktowali. Mówi, że go ukradłam? To kłamstwo.**

**–W końcu na mnie spojrzała. – To całkiem w jego stylu. Teraz wie, że kubek jest coś wart, więc chce go odzyskać.**

–Hap o niczym nie wie – rzekł łagodnie Alex. – To nie Hap jest tu problemem.

–W takim razie kto? – spytała.

–Najprawdopodobniej Hap nie nabył go w sposób legalny.

–Chce pan powiedzieć, że Hap go komuś ukradł? To ma pan na myśli?

–Nie Hap. Raczej jego ojciec.

Poczerwieniała.

–Może powinniście po prostu mi go oddać i zapomnimy o całej sprawie.

–Możemy tak zrobić, jeśli pani chce. Ale osoba, która była jego właścicielem, wie, że my wiemy, gdzie on jest. Pewnie podejmie jakieś działania.

–Dzięki. Bardzo mi pan pomógł, panie Benedict. A teraz proszę o zwrot mojego kubka.

Ton Aleksa nie zmienił się.

–Tylko że druga strona będzie musiała udowodnić swoje prawa do kubka, jeśli chce go odzyskać. Nie wiem, czy zdoła to zrobić.

Amy patrzyła na Aleksa.

–Proszę oddać mi kubek.

–Jeśli tylko pani chce, proszę bardzo. Ale popełnia pani błąd.

Przeprosił nas i wyszedł z biura. Amy siedziała sztywno, jakby połknęła kij.

–Pewnie zdołamy wydrzeć jakieś znaleźne – rzekłam. Pokiwała energicznie głową.

–Naprawdę nie mieliśmy wyboru – mówiłam dalej. To było trochę asekuranckie, ale po części prawdziwe.

Była bliska łez.

–Proszę dać mi spokój.

Alex wrócił z kubkiem, pokazał go jej i włożył do pojemnika.

–Proszę go strzec jak oka w głowie.

–Nie musi się pan obawiać, nic mu się nie stanie.

**–Dobrze.**

**Wstała, a Alex otworzył jej drzwi.**

**–Pewnie policja skontaktuje się z panią.**

**–Tak – odparła. – Czemu mnie to wszystko nie dziwi?**

**–Nieprzyjemne uczucie – powiedziałam, kiedy wyszła.**

**–Prawo jest, jakie jest, Chase. Takie rzeczy się zdarzają.**

**–Nic takiego by się nie stało, gdybyśmy nie zaczęli przy tym węszyć.**

**Wziął głęboki oddech.**

**–Nasz kodeks etyczny wymaga od nas, żebyśmy sprawdzili, jeśli pochodzenie jakiegoś przedmiotu wydaje się nam niepewne. Jeśli zaczniemy handlować skradzionymi antykami, będziemy za to odpowiadać. Wyobraź sobie, że go komuś sprzedajemy, a potem objawia się pani Cable.**

**–Nigdy by się nie dowiedziała.**

**–Kubek pojawiłby się na otwartym rynku, Chase. Mogłaby się dowiedzieć. – Nalał kawy do dwóch filiżanek i podał mi jedną. – Nie. Robimy wszystko zgodnie z zasadami. – Powiedział to tonem, którym dawał mi do zrozumienia, że to koniec rozmowy. – Obejrzałem twoją rozmowę z Delią Cable.**

**–No i?**

**–Trochę poszperałem na ich temat. To znaczy na temat rodziców. Wiesz, jak zarabiali pieniądze, kiedy odeszli z Agencji?**

**–Nie mam pojęcia.**

**–Nijak. Margaret odziedziczyła jakieś środki, dzięki którym nie musiała pracować.**

**–Musiało tego być sporo, skoro było ich stać na wyjazdy na narty i loty diabli wiedzą gdzie.**

**–Najwyraźniej tak. Weszła w posiadanie tych pieniędzy w pierwszych latach małżeństwa. Mogli robić, co tylko chcieli. I w końcu zostawili spory spadek dla Delii.**

**–Dobrze. Czy to nas gdzieś zaprowadzi?**

**–Być może. Ile kosztuje wyczarowanie statku międzygwiazdowego?**



–Sporo.

–Oni to robili przez cały czas. Ale nie ma żadnych danych na temat miejsc, do których docierali. Z tego, co mówi Delia, wynika, że odbyli kilka lotów, ale nie pamięta, żeby schodzili ze statku. Ostatnie, co pamięta, to jakaś stacja. Czy to nie dziwne?

–Ludzie pracujący dla Agencji nie zawsze schodzą z pokładu.

–Ale wtedy już nie pracowali dla Agencji. To było po ich odejściu. Wiesz, że odeszli zaledwie sześć lat przed nabyciem przez Wescotta prawa do emerytury? Jak sądzisz, dlaczego tak wcześniej się wycofał?

–Mieli małe dziecko. Może styl życia, jaki prowadzą pracownicy Agencji, trudno było z tym pogodzić?

Zastanowił się.

–Może i masz rację – przytaknął. – Ale potem zaczęli latać na własną rękę.

–Wiem.

–Więc dokąd latali?

–Nie mam pojęcia.

–Może trzeba trochę przycisnąć Delię?

–Aleksie, ona była wtedy małym dzieckiem. Przypuszczam, że nie pamięta niczego za dobrze. Dla niej to były po prostu wycieczki.

–Chase, to było ponad trzydzieści lat temu. Przed wprowadzeniem napędu kwantowego. W czasach, kiedy dostanie się gdziekolwiek trwało tygodniami. Chciałoby ci się podróżować przez kilka tygodni z sześciolatką w kajucie?

–Może właśnie z sześciolatką na pokładzie byłoby zabawniej.

Mówił dalej, ignorując to, co powiedziałam.

–Od ich odejścia z Agencji nie minęło nawet sześć miesięcy, kiedy zaczęli latać na własną rękę. Za własne pieniądze.

–W porządku. Przyznaję, że to nie ma sensu. W takim razie co nam zostaje?

Spojrzał w jakiś punkt nad moim lewym ramieniem.

–To nie były wypadki turystyczne. Przypuszczam, że coś znaleźli. Podczas jednej z misji

**Agencji. Bez względu na to, co to było, chcieli zagarnąć to dla siebie. Więc nikomu o tym nie powiedzieli. Odeszli wcześniej. A potem tam wrócili.**

**–Chyba nie sugerujesz, że odkryli Margolię?**

**–Nie. Ale jej szukali. Dlatego właśnie odbyli kilka lotów.**

**–Mój Boże, Aleksie, to może być odkrycie stulecia.**

**–Kochana, największe odkrycie w dziejach. A teraz odpowiedz mi na jedno pytanie.**

**–Spróbuję.**

**–Kiedy lata się z naukowcami Agencji, kto określa cel misji?**

**–O ile dobrze ich zrozumiałam, robi to naukowiec. Jeśli jest ich więcej niż jeden, ten, który jest szefem. W każdym razie przedstawia plan ludziom od zatwierdzenia misji. W planie jest opisany obszar docelowy, cele, szczególne powody dla odbycia lotu. Jeśli oni to zatwierdzą, misja dojdzie do skutku.**

**–A jeśli po drodze zmienia zdanie? Zmiana planów?**

**–Jasne. Czasem tak bywało. Jeśli odkryją jakąś bardziej interesującą gwiazdę, to robią wycieczkę dodatkową.**

**–Oczywiście prowadzony jest dziennik misji.**

**–Oczywiście. Po zakończeniu misji składa się kopię w Agencji.**

**–Czy w jakikolwiek sposób się go sprawdza?**

**–Co masz na myśli?**

**–Skąd Agencja ma wiedzieć, gdzie rzeczywiście byli?**

**Dziwne pytanie.**

**–Cóż, statek wraca z danymi z układów, które odwiedzili.**

**–Ale SI także prowadzi zapisy?**

**–Jasne.**

**–Sprawdzali zgodność dziennika z danymi SI?**

**–Nic mi o tym nie wiadomo. Po co mieliby to robić? To znaczy dlaczego mieliby przypuszczać,**

**że ktoś kłamie?**

**–Tak tylko sobie gdybam. Gdyby ktoś znalazł coś, o czym nie chciałby nikogo informować, nie zgłosiłby tego Agencji i Agencja nigdy by się nie dowiedziała. Zgadza się?**

**–Pewnie tak.**

**–Chase, przypuszczam, że znaleźli „Poszukiwacza”.**

**–Masz na myśli tę stację kosmiczną? Ale Delia powiedziała, że tam były światła.**

**–Dziecięca pamięć.**

**–Pewnie zapamiętałaby, gdyby tam nie było światła. To dość niezwykła cecha.**

**–Może widziała odbicie ich światła nawigacyjnych.**

**–Może. Ale jeśli tak było – choć ani trochę w to nie wierzę – znaleźliby także Margolię.**

**–Niekoniecznie.**

**Siedziałam na sofie i poczułam, jak uchodzi z niej powietrze, kiedy rozsiadłam się wygodnie.**

**–To tylko kubek – powiedziałam. – Mogli go znaleźć wszędzie. Mógł gdzieś leżeć przez tysiące lat.**

**–Na czyimś strychu?**

**–Na przykład.**

**–Próbował stłumić śmiech, ale się poddał.**

**–Jeśli znaleźli „Poszukiwacza”, dlaczego nie znaleźli Margolii?**

**–Nie wiem. Odpowiedzi na to pytanie szukamy.**

**–Dlaczego nie zgłosili znalezienia statku?**

**–Gdyby to zrobili, statek przejęłaby Agencja. A potem wszyscy z całej Konfederacji zlecieliby się tam i zaczęliby szperać. Przypuszczam, że tego właśnie nie chcieli Wescottowie. A gdyby odkryli go później, na własną rękę, mogliby zagarnąć go dla siebie. – Wyglądał na podekscytowanego. – Więc załóżmy, że tak właśnie było. Najpierw należy znaleźć „Poszukiwacza”. Który pewnie znajduje się w jednym z układów, które odwiedzili.**

**–Ostatnia misja dla Agencji – powiedziałam. – Ile układów planetarnych odwiedzili podczas ostatniego lotu?**

–Dziewięć.

–Cóż, to powinno być dość łatwe. Margolia musiała być planetą podobną do Ziemi, w strefie, gdzie istnieje życie. Przeszukanie dziewięciu układów chwilę potrwa, ale jest realne.

–To chyba nie będzie takie proste.

–Czemu?

–Bo jeśli nasze założenia są słuszne, Wescottowie wiedzieli, gdzie jest „Poszukiwacz”. A mimo to najwyraźniej odbyli kilka lotów. Z tego, co mówi Delia, nie lądowali. Więc nie odnaleźli zaginionej kolonii. Dlaczego?

–Nie mam pojęcia.

–Z tego wynika, że kolonia nie znajduje się w tym samym układzie co „Poszukiwacz”.

–Może znaleźli to miejsce, ale po prostu nie chcieli wypuszczać Delii ze statku.

–Nie sądzisz, że coś by powiedzieli, gdyby znaleźli Margolię? Odkrycie stulecia? Ukrywanie tego nie miałyby sensu. Nie, bez względu na przyczynę „Poszukiwacz” i Margolia nie znajdują się w tym samym układzie.

–Czyli to oznacza, że musimy przeszukać dziewięć układów planetarnych, goniąc za statkiem?

–Tak.

–Cóż, możemy to zrobić, ale to trochę potrwa.

–Chase, nie możemy zakładać, że dokonali odkrycia podczas ostatniej misji. Mogli odkryć go wcześniej i dojść do wniosku, że najlepiej będzie przez jakiś czas nie robić nic. W końcu wyglądałoby to trochę podejrzanie: odchodzą z Agencji przedwcześnie, a zaraz potem, czy po paru latach, dokonują największego odkrycia w jednym z układów, który niedawno odkryli oficjalnie?

Liczba miejsc do przeszukania rosła.

–W ilu układach byli podczas poprzedniej misji?

–W jedenastu. – Podeszedł do okna. Był ponury, zimny dzień. Nadciągała burza. – Musimy trochę zawęzić liczbę opcji. Chyba powinniśmy pogadać z samymi Wescottami. – Złożył ręce i oparł na nich brodę. – Jacobie?

–Tak, Aleksie?

–Bądź tak dobry i wywołaj Adama i Margaret Wescottów. Ponieważ oboje od dawna nie żyli,

było oczywiste, że ma na myśli ich awatary. Które mogły, ale nie musiały istnieć.

Jeśli nawet nie było awatara, wystarczająco kompetentna SI mogła poskładać w całość różne zapisy na temat danej osoby i odtworzyć osobowość z pewnym marginesem błędu.

Od prawie trzech tysięcy lat ludzie tworzą swoje awatary jako „dar” dla potomności. Sieć jest ich pełna, a przeważnie są to twory ludzi, którzy przeżyli swoje życie i nie zostawili po sobie żadnych śladów poza potomstwem i tym, co po nich zostało w cyberprzestrzeni. Drugi typ awatara był oczywiście dość zawodny, gdyż ludzie starali się stworzyć w nich siebie w postaci idealnej. Zwykle byli uosobieniem dowcipu, cnoty i odwagi, cech, do których oryginał nigdy nawet się nie zbliżył. Wątpię, czy ktokolwiek kiedyś umieścił awatara w sieci, nie ulepszając znacząco wizji oryginału. Nawet wyglądały lepiej.

Ani Margaret, ani Adam nie pozostawili po sobie awatara, ale Jacob oznajmił, że ma dość informacji potrzebnych do stworzenia solidnych imitacji.

Margaret pojawiła się pierwsza, przy drzwiach. Jej krótkie, czarne włosy były ostrzyżone w stylu, który dawno już przeminął. Stała i rozglądała się jak ktoś, kto tu rządzi; dobra cecha w przypadku osoby, która jest pilotem i może napotkać na problemy tysiące lat świetlnych od domu. Miała na sobie ciemnoniebieski kombinezon z naszywką z napisem „Sokół”.

Adam zmaterializował się pośrodku pokoju chwilę później. Był elegancko ubrany: czerwona marynarka, szara koszula, czarne spodnie. Był trochę po czterdziestce, miał podłużną twarz i rysy, które sugerowały, że rzadko się uśmiechał.

Alex dokonał prezentacji. Pojawiły się krzesła dla obu awatarów; usiedli. Wymieniliśmy kilka uwag o pogodzie, o tym, jakie mamy ładne biuro i dom. Tak to się zawsze odbywa. Oczywiście dla awatarów nie ma to żadnego znaczenia, ale Aleksowi najwyraźniej jest potrzebne, żeby wprowadzić się we właściwy nastrój. Kilka razy już korzystał z różnych awatarów, żeby potwierdzić lub zaprzeczyć prawdziwości danych na temat istnienia czy lokalizacji jakichś antyków. Była w tym jednak jakaś metoda i gdyby go spytać, powie, że trzeba iść na całość i wmówić sobie, że to rozmowa z prawdziwymi ludźmi, a nie atrapami.

Wiejski dom Aleksa znajdował się na szczycie niskiego wzgórza, gdzie często wiały wiatry. Teraz z północnego wschodu nadciągały silne, zimne poddmuchy, okna dygotały, drzewa szumiały. W powietrzu czuło się śnieg.

–Burza nadciąga – powiedziała Margaret.

Drzewa były blisko domu i w wietrzne dni Alex bał się, że któreś wyląduje na dachu. Powiedział Margaret coś na ten temat i przeszedł do kwestii misji. Jak długo Adam pracował dla Agencji?

–Piętnaście lat – odparł Adam. – Brałem udział w tych projektach przez piętnaście lat. To do mnie należy rekord największej liczby lat w kosmosie.

–Ile czasu tak naprawdę spędził pan na statku? – spytał Alex.

–Adam spojrział na żonę.

–Większość. Średnio odbywałem jedną misję rocznie. Misja na ogół trwała od ośmiu do dziesięciu miesięcy. Czasem więcej, czasem mniej. Między lotami zwykle wykonywałem jakieś zadania naukowe albo laboratoryjne. Czasem po prostu brałem wolne.

–A pani nie zawsze była pilotem męża. Zresztą jest pani na to za młoda.

Uśmiechnęła się. Komplement sprawił jej przyjemność.

–Adam latał od czterech lat, zanim pojawił się na pokładzie „Sokoła”.

–To był przez cały czas pani statek?

–Tak. Objęłam „Sokoła” pierwszego dnia pracy w Agencji. W drugim roku pracy spotkałam Adama.

–Podczas naszej pierwszej misji postanowiliśmy się pobrać – oznajmił Adam.

Wymienili spojrzenia.

–Miłość od pierwszego wejrzenia – rzekł Alex.

Adam skinął głową.

–Miłość zawsze przychodzi od pierwszego wejrzenia – rzekł.

–Miałam szczęście – powiedziała Margaret. – To dobry człowiek.

Alex spojrział w moją stronę.

–Chase, czy podczas pracy w Agencji miałaś kiedyś ochotę poślubić kogoś z pasażerów?

–W życiu – odparłam.

Uśmiechnął się i zwrócił znów do Adama.

–Powiedział pan, że nikt nie spędził aż tyle czasu na statkach Agencji. Piętnaście lat lotów, zwykle w towarzystwie tylko jednej osoby. Nikt nawet nie zbliżył się do tego wyniku. Druga osoba osiągnęła wynik ośmiu lat.

–Baffle.

–Słucham?

**–Emory Baffle. On był drugi.**

**–Znał go pan?**

**–Spotkałem go. – Adam uśmiechnął się. – Był bardzo pracowity. Wiem, co państwo sobie myślą. Pan i pani Chase.**

**–Co takiego?**

**–Że jesteśmy aspołeczni. Ale to nieprawda.**

**–Nigdy tak nie uważałam – wtrąciłam.**

**–Proszę posłuchać: tak naprawdę oboje lubiliśmy towarzystwo. Zwłaszcza Margaret. Ale ja byłem bardzo oddany swojej pracy.**

**Margaret skinęła głową.**

**–Był najlepszy.**

**Większość pilotów nie pracuje długo w Agencji. Zatrudniają się, zdobywają doświadczenie i idą gdzie indziej. W innych miejscach są większe pieniądze i liczniejsze towarzystwo. Długie loty, w najlepszym razie z garstką ludzi na pokładzie, mogą być nużące. Kiedy dla nich pracowałam, nie mogłam się doczekać jakiegóś zmiany.**

**–Oboje lubiliście jeździć na nartach? – spytał Alex.**

**–Ja lubiłam – odparła Margaret. – Boże, to ja go namówiłam na wyjazd do Orinoco...**

**–Do tego kurortu dla narciarzy?**

**–Tak. Byliśmy tam już przedtem. Kilka razy. Adam nie jeździł zbyt wiele, ale doskonale mu to szło.**

**–Co się tak naprawdę stało w Orinoco?**

**–Nastąpiło trzęsienie ziemi. Co za ironia. Ostrzegali nas przed lawinami, nie pozwalali wychodzić na stoki. Warunki były kiepskie. A tymczasem doszło do trzęsienia ziemi.**

**–Nie było żadnego ostrzeżenia?**

**–Nie. Tam nigdy nie było takich problemów, więc nikt nie zwracał na to uwagi.**

**–Ile wtedy minęło czasu od waszego odejścia z Agencji? Wtedy, gdy wydarzył się ten wypadek?**

–Sześć lat.

–Dlaczego odeszliście?

Spojrzeni po sobie. I tu był zgrzyt. Jeśli Wescottowie coś ukrywali, jeśli nie udostępnili tego w sieci, awatary nie będą o tym wiedzieć.

–Po prostu uznaliśmy, że mamy dość. Że chcemy dać sobie z tym spokój. Wrócić do domu.

–Więc wyciągnęliście wtyczkę z kontaktu.

–Tak. Zamieszkaliśmy w Sternbergen. Niedaleko Andiquaru.

Alex siedział przez chwilę w milczeniu, bębniąc palcami po oparciu sofy.

–Ale zaraz po tym, jak odeszliście z Agencji, zaczęliście znowu latać.

–Tak.

–Dlaczego?

Adam, który dotąd raczej w milczeniu słuchał, jak Margaret odpowiada, tym razem zabrał głos.

–Tęskniliśmy za dawnymi czasami. Oboje kochaliśmy te samotne wyprawy. Wie pan, przelatywać koło tych wszystkich planet, nie, pan nie ma pojęcia, co to oznacza. Zaczęliśmy czuć się przykuci do ziemi.

–Wygląda na to – rzekł Alex – że to uczucie opadło was zaraz wtedy, gdy zamieszkaliście w Sternbergen.

Margaret uśmiechnęła się.

–Tak. Dość szybko to nastąpiło.

–Odkryliśmy, że nie możemy po prostu wyjść i siedzieć na werandzie – rzekł Adam. – Oboje kochaliśmy ten sposób zarabiania na życie. Tęskniliśmy za nim.

–To dlaczego nie zostaliście w Agencji do emerytury? Ona płaciłaby wasze rachunki.

–Tak – odparł Adam. – Mogliśmy tak zrobić. Ale chyba woleliśmy robić wszystko po swojemu, nie uzgadniając naszych projektów z nikim. Nie ubiegając się o zgodę. Mieliliśmy środki, które pozwalały nam robić to, co chcieliśmy, więc tak zrobiliśmy.

–Też tak sędzę – odezwała się Margaret. – Chcieliśmy, żeby Delia zobaczyła, jak tam jest.



–Była jeszcze malutka.

–Zgadza się.

–Chyba za mała, żeby coś zrozumieć.

–Nie – zaprotestował Adam. – Była wystarczająco duża, żeby zobaczyć, jak tam jest pięknie. Jak spokojnie.

–Mogła z wami latać na misje Agencji.

–I latała – odparła Margaret. – Latała z nami. Ale czuliśmy, że zorganizowanie tego po naszymu jest dla nas ważne.

Alex patrzył to na jedno, to na drugie.

–A może czegoś państwo szukali?

–Czego? – spytała Margaret.

–Na przykład Margolii.

Zaśmiali się oboje.

–Margolia to mit – powiedziała Margaret. – Nic takiego nie istnieje.

–Nie – odparł Alex. – To nie mit. To się naprawdę wydarzyło.

Zaprotestowali, twierdząc, że nie może mówić poważnie.

–A podczas lotów dla Agencji odkryli państwo coś niezwykłego?

–Pewnie – rozpromienił się Adam. – Znaleźliśmy dwa zbliżające się do siebie słońca w Obłoku Galicyjskim. Zderzą się za mniej niż tysiąc lat. A podczas następnej misji, także...

–Chwileczkę – rzekł Alex. – Miałem na myśli artefakty.

–Artefakty?

–Tak. Czy spotkali państwo jakieś artefakty? Cokolwiek pochodzącego z innej epoki?

–Raz. – Adam zasepił się. – Raz znaleźliśmy porzucony lądowik. Niedaleko Arkensfeldt. Pochodził z dellakondyjskiego statku. Miał kilkaset lat.

–Chyba nie o tym mówimy.

Adam wzruszył ramionami.

**–Z pilotem i pasażerem na pokładzie.**

**–Kiedyś mieli państwo w domu kubek, który mógł pochodzić z dwudziestego ósmego wieku według ziemskiego kalendarza.**

**Odpowiedzieli równocześnie. Adam powiedział, że nie pamięta żadnego starego kubka, Margaret, że nic podobnego nie było.**

**–Przypuszczamy, że mieli go państwo w sypialni. W waszym domu w Sternbergen.**

**–Nie przypominam sobie – rzekł Adam. Margaret energicznie potrząsnęła głową.**

**–Jestem pewna, że gdybyśmy coś takiego mieli, pamiętałabym o tym.**

**–Trudno – rzekł Alex. – Widocznie ich programowanie tego nie uwzględnia.**

**Moim zdaniem był to dowód na to, że Wescottowie mieli coś do ukrycia. Coś z tym zrobili, ale najwyraźniej nie wspominali o tym poza domem.**

**Tuż przed godziną zamknięcia firmy Jacob poinformował mnie, że zbliża się gość.**

**–Właśnie ląduje – powiedział.**

**W naszym kalendarzu spotkań nie było nikogo.**

**–Kto to jest, Jacobie? – spytałam.**

**–To pan Bolton. Chce się widzieć z Alekssem. Podeszłam do okna i wyjrzałam. Burza, która nadciągała przez cały dzień, wreszcie nadeszła. Padał lekki śnieg, ale wiedziałam, że będzie gorzej.**

**–Posadź go, Jacobie – powiedziałam. – Alex jest teraz zajęty.**

**Z szarego nieba opadał czarno-żółty firmowy śmigacz. Na kadłubie wymalowano wielkimi żółtymi literami logo BBA. Przycisnęłam klawisz interkomu.**

**–Szefie, Ollie Bolton przyleciał. Właśnie ląduje.**

**–Widzę go – odparł. – Zaraz schodzę.**

**Na środku biura pojawił się obraz. Bolton siedzący z tyłu śmigacza.**

**–Cześć, Chase – rzekł. – Miło cię znowu widzieć.**

**–Cześć, Ollie.**

**–Przepraszam, że tak bez zapowiedzi. Byłem w pobliżu.**

**Wspomniałam kiedyś, że Bolton był człowiekiem dużego formatu, o cechach, jakie zwykle wykazują politycy. Nigdy nie zapominał niczyjego nazwiska i szczyił się reputacją człowieka metodycznego i upartego. Jak powiedział mi kiedyś jego współpracownik, był kimś, kogo dobrze mieć u boku, kiedy coś nie idzie jak trzeba. A jednak było w nim coś, co mnie odpychało. Może poczucie, że jest w stanie zobaczyć rzeczy, jakie umykały innym ludziom.**

**–Co mogę dla ciebie zrobić, Ollie? – spytałam.**

**–Chciałbym pogadać chwilę z Alekssem.**

**–Już jestem. – Alex wkroczył do pokoju. – O co chodzi, Ollie?**

**–Nic wielkiego. Szkoda, że nie mogliśmy pogadać dłużej na zlocie.**

**Nadal stałam przy oknie. Śmigacz wylądował i otworzyły się drzwi.**

**–Szczerze mówiąc – rzekł Alex – myślałem, że masz pełne ręce roboty w związku z walką z prawdziwym wyznawcą.**

**–Kolchevskym? Tak, niestety, nie należy go lekceważyć. Od tego czasu wciąż mnie nęka.**

**–Serio? A o co mu chodzi?**

**–Walczy o wprowadzenie przepisów, które wyeliminują nas z tego interesu.**

**–Słyszałem o tym.**

**–Tym razem chyba poważnie się do tego zabrał.**

**–Nie uda mu się – rzekł Alex. – Zaspokajamy po prostu popyt społeczeństwa na kawałek historii.**

**–Mam nadzieję, że się nie mylisz.**

**Obraz zamigotał i zgasł. Bolton wysiadł ze śmigacza, włożył czapkę z białymi obszyciami i ruszył wolno chodnikiem, czasem zatrzymując się, by spojrzeć w groźne niebo. Postawił kołnierz, spojrzął w moim kierunku, pomachał mi i podszedł do frontowych drzwi, które otworzyły się przed nim.**

**Alex powitał go, wprowadził do biura i nalał mu drinka.**

**–Wizyta towarzyska? – spytał.**

**–Coś w tym rodzaju. Chciałem ci donieść, co robi Kolchevsky. Musimy stworzyć jakiś wspólny**

front.

–Chyba nie ma się czym przejmować. Ale oczywiście stoję po twojej stronie.

–Szczerze mówiąc, Aleksie, jest coś jeszcze. Już wracałem do domu, kiedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

–Słucham.

–To ma związek z tobą.

Usiedli po przeciwnych stronach niskiego stolika.

–W jakim sensie?

Bolton spojrział w moją stronę.

–A możemy porozmawiać na osobności?

Alex machnął ręką, jakby chciał odgonić ten pomysł.

–Pani Kolpath jest wtajemniczona we wszystkie aspekty mojej działalności.

–Doskonale – rozpromienił się Bolton. – Powinienem był o tym wiedzieć. – Pochwalił wino i powiedział coś o pogodzie, po czym rzekł: – Aleksie, konkurujemy ze sobą od tak dawna. I nie widzę dla żadnego z nas jasnych stron tej sytuacji. Proponuję zawarcie sojuszu.

Alex zmarszczył czoło.

–Nie sądzę, żeby...

–Wysłuchaj mnie, proszę. – Zwrócił się do mnie. – Pan Benedict ma duże szczęście, jeśli chodzi o odkrywanie pierwotnych lokalizacji znalezisk. – Wziął głęboki oddech i odchrząknął. – Ale to Bolton Brothers dysponuje środkami, które pozwoliłyby wykorzystać to w pełni. Gdyby połączyć siły Rainbow Enterprises z BBA, dysponowalibyśmy większymi środkami finansowymi. A ty dysponowałbyś siecią badaczy obejmującą całą Konfederację. Oczywiście, żaden z nich nie należy do twojej ligi, ale jakieś podstawowe prace mogą wykonywać. Wszystkim wyjdzie to na korzyść.

Alex siedział przez chwilę w milczeniu, po czym odezwał się.

–Ollie, doceniam twoją ofertę, ale naprawdę wolę pracować na własną rękę.

Bolton skinął głową.

–Twoja odpowiedź mnie jakoś nie zaskoczyła. Może potrzebujesz trochę czasu do namysłu?

**Wolisz spokojnie się nad tym zastanowić? To znaczy...**

**–Nie. Ollie, dziękuję, ale wolę pracować po swojemu. Poza tym naprawdę nie jestem ci potrzebny. Radzisz sobie doskonale beze mnie.**

**–Nie chodzi o to, żebym tego potrzebował – rzekł. – Po prostu podoba mi się pomysł pracy z tobą. Ramię w ramię z najlepszym w branży. – Rozsiadł się wygodnie. – Oczywiście Chase też zaproponowałbym odpowiednie stanowisko.**

**Alex wstał, dając mu do zrozumienia, że to koniec rozmowy.**

**–Dziękuję, ale nie. Naprawdę.**

**–Dobrze. Gdybyś jednak zmienił zdanie, Aleksie, skontaktuj się ze mną. Oferta jest nadal aktualna.**

**Na prośbę Aleksa sprawdziłam, jakie firmy wynajmowały statki nadświetlne w latach 90. Jedyna firma, jaka wtedy działała na Rimway, nazywała się StarDrive. Ale już upadła. Udało mi się wytropić byłego członka zarządu StarDrive, Shao Mae Tonkina, który teraz pracował w firmie zajmującej się dystrybucją żywności.**

**Dopadnięcie go zajęło mi większość dnia. Nie chciał ze mną rozmawiać, wykręcając się, że jest zbyt zajęty, aż mu powiedziałam, że pracuję nad biografią Bakera Stillsa, który był prezesem StarDrive. Tonkin był potężny. Być może był to największy człowiek, jakiego w życiu widziałam. Był trzykrotnie większy od statystycznego człowieka. Wyglądał jednak, jakby był zbudowany z mięśni, nie z tłuszczu. Miał ponury wyraz twarzy i małe oczka, lypiące spod grubych powiek. Być może jego przodkowie zamieszkiwali jakiś świat o niskiej grawitacji albo stację orbitalną. A może jednak za dużo jadł. W każdym razie pożyłby dłużej, gdyby zamieszkał w kosmosie.**

**Ale to nie jego rozmiary fizyczne i masa zrobiły na mnie takie wrażenie. Raczej potęga ducha, jakaś niezłomność. Zapytałam go o StarDrive.**

**–Zbankrutowała dwadzieścia lat temu – powiedział. Mówił tonem tak poważnym, że ktoś, kto mógłby podsłuchiwać, odniósłby wrażenie, że od tej rozmowy zależą losy świata. – Przykro mi, pani Kolpath, ale wszystko poza dokumentami finansowymi zostało zniszczone. Dawno temu. Mogę pani opowiedzieć o Bakerze wszystko, co jest pani potrzebne. – Był kompetentny, pracowity; doskonały przywódca. I tak dalej. – Ale nie mam już informacji na temat codziennej działalności. Zbyt wiele czasu minęło.**

**–Nie ma więc żadnych zapisów, na podstawie których można by ustalić, dokąd latali klienci czarterujący statki?**

**Sprawał wrażenie, jakby miał pięciosekundowe opóźnienie w rozmowie. Przemysłał moje pytanie, pocierając szyję końcami palców.**

–Nie. Nic takiego już nie istnieje.

–Ile statków liczyła firmowa flota?

–Kiedy likwidowaliśmy firmę, w 1408 roku, było ich dziewięć.

–Może pan wie, gdzie teraz są?

–Sądzi pani, że wszystko przechowały SI?

–Tak.

–Oczywiście. Niestety, nasza flota była pod koniec przestarzała. Był to jeden z powodów, dla których zakończyliśmy działalność. Musielibyśmy unowocześnić statki albo kupić nowe. Tak czy inaczej... – Wykonał dziwny ruch głową w bok, jakby chciał rozluźnić stawy szyi. – Więc zakończyliśmy działalność. Większość statków została poddana recyklingowi.

Zostały rozmontowane i przetopione.

–Co się stało z SI?

–Zostały zapisane i złożone w archiwum. O ile pamiętam, zgodnie z przepisami SI trzeba przechowywać przez dziewięć lat po zniszczeniu statku. – Zastanowił się przez dłuższą chwilę.

– Tak. Zgadza się. Dziewięć lat.

–A co się dzieje potem?

Wzruszył ramionami.

–Są niszczone. – Na czole pojawiła mu się zmarszczka, jak nadciągający chłodny front. – A mogę spytać, czemu to panią interesuje? Te informacje chyba nie są istotne dla biografii.

Wymamrotałam coś o badaniach statystycznych, podziękowałam mu i rozłączyłam się.

–Chyba zgubiliśmy ślad – powiedziałam Aleksowi.

Nie dawał się łatwo zniechęcić. Mimo niezbyt ciekawych wyników był w szampańskim nastroju. Potem dowiedziałam się, że skontaktował się z nim potencjalny klient, który wszedł w posiadanie Riordañskiego Brylantu, a jeśli należycie do tych nielicznych ludzi w Konfederacji, którzy o nim nie słyszeli, to przypomnę, że nosiła go kiedyś Annabel Keyshawn i mówiono, że ciąży na nim klątwa. W końcu znalazł się w naszej ofercie, w kategorii, w której były zaledwie trzy pozycje, co oczywiście miało pozytywny wpływ na jego wartość.

–Nie wyczerpaliśmy jeszcze wszystkich możliwości – powiedział.

Wiedziałam, że to kiedyś nastąpi.

**–W takim razie co robimy dalej?**

**Użycie liczby mnogiej miało w Rainbow wydźwięk pejoratywny.**

**–Agencja nie niszczy swoich archiwów – powiedział.**

**–Może dobrze byłoby sprawdzić, czy Wescottowie informowali o jakichś niezwykłych znaleziskach, zwłaszcza podczas ostatnich misji.**

**Zaczęłam już odczuwać znużenie tymi poszukiwaniami.**

**–Aleksie, jeśli znaleźli cokolwiek związanego z kubkiem, jak na przykład Margolę, nie sądzisz, że Agencja już by się tym zajęła?**

**Rzucił mi spojrzenie z gatunku „musisz się jeszcze wiele nauczyć”.**

**–Zakładasz, że zapoznała się z ich raportami.**

**–A przypuszczasz, że tego nie zrobiła?**

**–Chase, zakładaliśmy, że jeśli Wescottowie coś znaleźli, pominęli to w swoim raporcie.**

**–To chyba logiczne założenie. Nie sądzisz?**

**–Tak. Tak uważam. Ale nadal nie mamy pewności. Zawsze istnieje możliwość, że w jakimś raporcie znajdzie się coś, co będzie jakąś wskazówką. Tak czy inaczej, nic nie tracimy, sprawdzając.**

# OSIEM

**Czy rzeczywiście grupie Harry'ego Williamsa udało się stworzyć społeczeństwo, które wyzbyło się różnorodnych kretynizmów, jakie zawsze nas trapiły? Odruchowo udzielamy na to pytanie odpowiedzi przeczącej: to niemożliwe, natura ludzka jest niezmienna. Ten pogląd jednak nie uwzględnia faktu, że uczymy się na błędach, że potrafimy unikać inkwizycji, dyktatur, rozlewu krwi, jakie istniały w przeszłości. Że potrafimy powstrzymać wpajanie młodym osobnikom fałszywych wartości. Że ludzie potrafią uczyć się żyć rozsądnie. Gdyby byli w stanie stworzyć kolonię na wybranej planecie, a następnie przekazywać swoje ideały kolejnym pokoleniom, gdyby zdołali uniknąć zapomnienia tego, czym byli, może osiągnęliby sukces. Może nie kontaktowali się z nami przez sześć stuleci od chwili opuszczenia Ziemi, bo nie chcieli ulec skażeniu. Podoba mi się ta myśl.**

**Kosha Malkeva, *Droga do Babilonu*, 3376 n.e.**

**Biura administracyjne Agencji Badań Planetarnych i Astronomicznych mieściły się w grupie budynków ze szkła i plastali w północnej części Andiquaru, na brzegu rzeki Narakobi. Centrum operacyjne Agencji znajdowało się po drugiej stronie kontynentu, ale to tutaj ustalano politykę organizacji, zabawiano polityków, zatwierdzano misje i przydzielano zasoby. To tutaj podejmowano decyzje związane z personelem, tu przyjeżdżali naukowcy, by przedstawiać swoje misje i bronić ich. Tutaj znajdował się dział informacji publicznych, tu przechowywano archiwa.**

**Tereny Agencji mieściły się w parku, lecz zimą wyglądały trochę ponuro. Powstała kiedyś propozycja nakrycia całego kompleksu kopułą, ale utknęła w jakiejś komisji i w chwili, gdy piszę te słowa, nadal tam tkwi.**

**Miejsca dla gości były pełne, więc wylądowałam na parkingu, który znajdował się w odległości jakiegoś kilometra, i poszłam pieszo. Mieliliśmy chwilową poprawę pogody i było prawie ciepło, świeciło zamglone słońce, na żółtym niebie płynęło kilka chmurek. W parku było kilka osób z dziećmi, minęłam też dwóch panów w średnim wieku, którzy rozgrywali partię szachów na ławce, czasem lekko dygocząc. Przede mną wznosił się budynek Trainora, gdzie znajdowały się biura personelu. Z lewej strony, w grupie drzew, widniał Centralny Aneks, który przypominał raczej świątynię niż miejsce przeznaczone na badania naukowe. W Aneksie mieściło się muzeum Agencji i wystawy.**

**Skreśliłam w prawo, minęłam kamienne pomniki dawnej chwały, otoczyłam Wieczną Fontannę (która ma symbolizować myśl, że nigdy nie ustaniemy w badaniach wszechświata albo że wszechświat będzie trwał wiecznie, czy coś takiego), minęłam paru biurokratów, którzy kłócili się i wyglądali na rozszłoszczonych, i zbliżyłam się do budynku Kolmana, gdzie rezydował dyrektor Agencji i jego najbliżsi współpracownicy.**

**Pokonałam jedenaście stopni przed głównym wejściem. Alex powiedział, że oznaczają jedenaście statków nadświetlnych, które tworzyły pierwotną flotę Agencji. Dach podpierało**



osiem doryckich kolumn. Na drugim końcu portyku po schodach zbiegało dziecko z czerwonym latawcem, a jego matka przyglądała się.

Za frontowymi drzwiami był formalny, niewygodny hall, wypełniony roślinami, fotelami i stolikami. Był tam sklepiony sufit i długi rząd okien, prawdziwych i wirtualnych. Oślaniały je grube, srebrne kotary. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające statki Agencji przelatujące obok eksplodujących słońc i układów ze świetlistymi pierścieniami, oraz ludzi wysiadających z lądowików i z minami herosów gapiących się na obce krajobrazy. Jedna z tabliczek głosiła „PUTNAM LĄDUJE NA HELIOTROPIE IV”. A inna „STATEK JAMES P. HOSKINS CUMUJE NA GWIEZDNYM TAŃCU”. Całe to miejsce zaprojektowano tak, by przypadkowy gość poczuł się kimś mało ważnym.

I oto zobaczyłam Windy, pogrążoną w rozmowie z kimś, kogo nie znałam. Dostrzegła mnie, machnęła ręką i dała mi znak, że bym poczekała. Chwilę później podeszła.

–Wizyta towarzyska? – spytała.

–Tym razem nie. Chciałam uzyskać pozwolenie na przyjrzenie się paru zapisom.

–Mogę ci jakoś pomóc?

–Jasne – odparłam.

–Doskonale. – Uśmiechnęła się. – A tak przy okazji, czy udało się wam ustalić, kim był złodziej?

–Na Gideonie V? Nie. Nie mamy pojęcia.

–Sprawdziłam, jak to wygląda z naszej strony. Parę osób miało dostęp do mojego raportu.

–Rozumiem.

–Przykro mi. Istnieje szansa, że właśnie tu zrobiliśmy coś nie tak.

–Trudno, następnym razem będziemy wiedzieć.

–Strasznie mnie to wkurza.

–Daj spokój.

–Nie potrafię. Nie może tak być, że wycieka od nas informacja, dzięki której ktoś ma dostęp do stanowisk archeologicznych. – Zaciśnęła usta w wąską linię. Niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli zostanie złapany. – Co chciałaś zobaczyć?

Adam Wescott w sumie odbył czternaście misji dla Agencji, w ciągu piętnastu lat, od 1377 do 1392.

Zacęłam od ostatniej i cofałam się, przyglądając się misjom, które odbył razem z Margaret. Może była to przesada, ale nie chciałam, żeby mi coś umknęło.

Większość lotów Agencji ma cel ogólny. Wybiera się grupę gwiazd, leci, robi zdjęcia, odczytuje dane z czujników, mierzy wszystko, co znalazło się w zasięgu, i leci dalej. Adam interesował się szczególnie mechaniką gwiazd klasy G, które zbliżały się do fazy spalania helu. Trzy z jego misji, w tym ostatnia, skupiały się właśnie na tym zagadnieniu. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że nie przyglądano się innym aspektom gwiazdy centralnej czy nie badano układu planetarnego. Ale słowem kluczowym był hel. Dlatego też wszystkie gwiazdy na trasie misji były stare.

Prześledziłam wszystkie te układy. Przyglądałam się zdjęciom, szperałam po danych każdego słońca, sprawdzałam jego stałą grawitacyjną, zakresy temperatur, wszystko. I oczywiście oglądałam ich układy planetarne. Podczas wspólnej kariery Wescottowie odkryli cztery planety, na których rozwinęło się życie, jedną podczas pierwszej wspólnej misji, jedną podczas trzeciej i aż dwie podczas siódmej. Słuchałam ich głosów: jego niskiego głosu profesjonalnego badacza, zawsze spokojnego i metodycznego, jej – cichego i stłumionego, tak bardzo kłócącego się z jej władczyim wyglądem.

Wysłuchałam jednego ich dialogu, podczas którego zastanawiali się, czy nie odkryli śladów obcej inteligencji – był to las przypominający miasto. Zachowali profesjonalny ton, ale wyczuwałam iskrzenie w głosie. Kilka minut później uświadomili sobie, że oglądają coś zupełnie naturalnego. Ich rozczarowanie było oczywiste.

Pewnie gdzieś tam jest ktoś inny. Inny niż niemoty. Tylko że jest tyle różnych miejsc do sprawdzenia. Niektórzy eksperci uważają, że zanim znajdziemy jakąś trzecią rasę, rozwiniemy się w coś, co już nie będzie przypominało człowieka.

Nigdzie nie natrafiłam na wzmiankę o jakimś wraku czy Margolii.

Zrobiłam kopię nagrań. Teraz potrzebny mi był ktoś, kto się znał na procedurach Agencji.

Shara Michaels była astrofizykiem zatrudnionym przez Agencję jako analityk. Odpowiadała za udzielanie wyższej kadrze kierowniczej porad w sprawie złożonych wniosków: które warto zatwierdzić, które należy odłożyć i rozpatrzyć później, a które można spokojnie odrzucić.

Chodziłam z nią do szkoły, bywałam na imprezach, a nawet przedstawiłam jej przyszłego męża. Jak się później okazało, także przyszłego byłego męża, ale pozostałyśmy przyjaciółkami, choć ostatnio nie widywałyśmy się za często.

Kiedyś, dawno temu, była istną królową parkietu, kimś, kogo żaden mężczyzna nie pokazałby swojej dziewczynie. Jasne włosy ostrzyżone w elfim stylu, oczy koloru morskiej wody, talent do psot. Wszyscy ją uwielbiali.

Kiedy zjawiała się w drzwiach swojego biura, nadal świetnie wyglądała. Ale jej szelmowski styl

gdzieś znikł. Była wcieleniem profesjonalizmu. Uprzejma, ucieszyła się z mojej wizyty, podkreśliła, że powinniśmy się czasem spotkać. Był w niej jednak jakiś dystans, którego dawna Shara nie znała.

–Trzeba było zadzwonić – powiedziała, wskazując mi krzesło i zajmując drugie. – Mogłaś mnie nie zastać. Miałam zaraz wyjść.

–Nie planowałam dziś wizyty, Sharo – powiedziałam. – Masz parę minut?

–Dla ciebie? Jasne. Co się dzieje?

–Alex poprosił mnie o małe śledztwo. Przeszukiwałam archiwa.

–Dalej robisz za jego niewolnicę?

–Przeważnie. – Przez kilka minut gadałyśmy o wszystkim i o niczym, a potem przeszłam do sedna. – Potrzebna mi twoja pomoc.

Podawała coś do picia. Wino z wysp.

–Mów.

–Przeglądałam stare raporty z misji. Sprzed czterdziestu lat.

–Po co? – spytała. – Czego szukałaś?

–W Agencji pracowało kiedyś małżeństwo, Adam i Margaret Wescottowie. Istnieje szansa, że podczas jednej z misji znaleźli coś niezwykłego.

–Ludzie często znajdują niezwykle rzeczy podczas misji. – Miała na myśli planety o dziwnych orbitach albo giganty gazowe, powiedzmy, z niezwykłą mieszaniną węgla i metanu.

Spojrzałam na nią nad brzegiem kieliszka.

–Nie – powiedziałam. – Nie takie.

–W takim razie jakie?

–Na przykład artefakty. Wrak statku. Związanego z Margolią.

–Z czym?!

–Z Margolia.

Nadal uśmiechała się od ucha do ucha.

–Żartujesz.

–Sharo, jakiś tydzień temu pojawiła się u nas kobieta i przyniosła kubek, który może pochodzić z pokładu „Poszukiwacza”.

Zmarszczyła czoło, więc wyjaśniłam, o co chodzi. Gdy skończyłam, zrobiła rozbawioną minę. Jakby była rozczarowana, że jestem skłonna do pochopnego wyciągania głupich wniosków.

–Chase – powiedziała – każdy może wyprodukować taki kubek.

–Kochana, on ma dziewięć tysięcy lat. – Otworzyła szeroko oczy. – Zaczęliśmy go tropić i dotarliśmy do Wescottów. Włamywacz ukradł go im w 1390 roku.

–Ale nie wiecie, skąd Wescottowie go mieli?

–Nie.

–Pewnie go gdzieś kupili. Macie jakieś podstawy, by przypuszczać, że rzeczywiście pochodzi ze statku? Albo – nie mogła powstrzymać uśmiechu – z Margolii?

–Nie można tego wykluczyć.

–Ale szanse są niewielkie.

Jej biuro znajdowało się na trzecim piętrze. Ściany były udekorowane zdjęciami zderzających się gwiazd. To była jej specjalność. Napisała pracę na temat zderzeń gwiazd i była bardzo rozczarowana, że urodziła się za późno, by zobaczyć zderzenie Deltę Karpis i karła sześćdziesiąt lat temu.

Jeden z tych obrazów był szczególnie uderzający. Była to grafika komputerowa, przedstawiająca jakby od tyłu i z góry żółtą gwiazdę, która najwyraźniej miała uderzyć w jakąś białą masę. Chyba karła.

–Jak często zdarza się coś takiego?

–Zderzenia? Zawsze gdzieś jakieś występuje. Pewnie w tej chwili też. Gdzieś w obserwowanym kosmosie.

–Obserwowany kosmos to spora przestrzeń.

–Po prostu próbowałam odpowiedzieć na twoje pytanie.

–To i tak sporo – przyznałam. – W całym swoim życiu słyszałam tylko o jednym.

–Wtedy, kiedy miał miejsce incydent z „Polaris”.

–Tak.

Znów się uśmiechnęła, dając mi do zrozumienia, jak bardzo jestem niedoinformowana.

–Takie rzeczy dzieją się przez cały czas, Chase. Nie widzimy ich dookoła, bo odległości między gwiazdami są ogromne. I chwała Bogu. Gwiazdy nigdy się nie zbliżają. Ale jeśli przyjrzeć się skupiskom... – Zamilkła i zastanowiła się. – Gdyby nakreślić dookoła słońca sferę o promieniu jednego parseka, wiesz, ile gwiazd znalazłoby się w tej przestrzeni?

–Ani jedna – odparłam. – Nic nie jest tak blisko. Najbliższą gwiazdą była Formega Ti, sześć lat świetlnych od nas.

–Zgadza się. Ale jeśli przyjrzeć się skupiskom, na przykład Kolizoidy, to odkryjemy, że w tak małej przestrzeni jest pół miliona gwiazd.

–Żartujesz.

–Jak nigdy nie żartuję, Chase. I one wpadają na siebie przez cały czas.

Spróbowałam to sobie wyobrazić. Zastanawiałam się, jak niebo wygląda nocą w takich miejscach. Pewnie nigdy nie robi się ciemno.

–Chciałam cię o coś zapytać.

Poprawiła kosmyk włosów.

–Tak właśnie myślałam.

–Powiedzmy, że chcę lecieć na misję. Przychodzę do was z planem. Wy mu się przyglądacie, zatwierdzacie go, przydzielacie mi statek i pilota i ruszam. Tak to działa, prawda?

–To jest nieco bardziej skomplikowane, ale owszem, tak z grubsza wygląda.

–Dobrze. W przedłożonym planie opisuję, jakie układy gwiazdne chcę badać. Jest tam plan lotu, a jeśli istnieją jakieś specjalne powody takiej misji, też są tam opisane. Zgadza się?

–Tak.

–Przeprowadzono misje-rekonesansy. I wiem, że potem były misje szczegółowe, ze specjalistami.

Skinęła głową.

–Jak często się tak dzieje? Powiedzmy, że wracam z misji, na której z badałam tuzin układów; jakie są szanse, że ktoś tam wróci i zbada dokładnie jeden z nich?

–Zwykle szczegółowe badania przeprowadza się w przypadku połowy układów.

–Naprawdę? Aż tylu?

–Och, tak. Pewnie.

–Gdybym więc znalazła coś ciekawego i chciała zachować to w tajemnicy...

–...to nie powinnaś w ogóle wspominać o tym układzie w raporcie z misji. Podłożyć tam coś innego.

–Ale przecież zorientowalibyście się, tak?

Shara miała niepewną minę.

–To wcale nie jest takie oczywiste. Nie wiem, jakie były procedury trzydzieści albo czterdzieści lat temu. Ale nie ma powodu, żeby porównywać raport z misji z wnioskiem. Nikt nie ma powodu, żeby kłamać, a o ile mi wiadomo, nigdy nie pojawił się taki problem.

–Czy wnioski nadal są przechowywane?

–Z 1390? Wątpię.

–A możesz sprawdzić?

–Poczekaj chwilę.

Zadała pytanie SI i obie usłyszałyśmy odpowiedź.

–Wnioski są przechowywane przez trzy lata, a następnie niszczone.

–I tak przechowuje się je dłużej, niż myślałam – powiedziała. – Sądzisz, że Wescottowie znaleźli „Poszukiwacza” i sfalszowali raport?

–To niewykluczone.

–Po co mieliby to robić? Zgarnęliby wszystkie zasługi.

–Gdyby znaleźli „Poszukiwacza”, Margolia mogła być gdzieś blisko, prawda? Co zrobiłaby Agencja, gdyby poinformowali o swoim odkryciu?

Shara zastanowiła się.

–Och.

–Właśnie. Pewnie wysłałaby małą flotyllę statków w poszukiwaniu Margolii. I to wielkie

**odkrycie zostałyby pewnie dokonane przez kogoś innego.**

**–Tak przypuszczam. Owszem.**

**–I dlatego właśnie nie wspomnieli o nim w raporcie, Sharo. Chcieli być odkrywcami Margolii. Autorami największego odkrycia w historii. Musieli tylko zachować dyskrecję w sprawie „Poszukiwacza”. – Usłyszałam jakieś głosy na korytarzu. – Tylko że SI statku zapisuje, dokąd faktycznie poleciał statek.**

**–Tak.**

**–A zatem musieliby sfalszować także te zapisy.**

**–Tak.**

**–Moje doświadczenie podpowiada mi, że dokonanie takich zmian nie byłoby szczególnie trudne.**

**–Pewnie nie. Sądzę, że Margaret Wescott wiedziałaby, jak to zrobić. Oczywiście kary za coś takiego są surowe, jeśli kogoś na tym złapiemy.**

**–Ale prawdopodobieństwo złapania nie jest wysokie.**

**–Nie jest.**

**–Nie mamy dostępu do SI z ich misji?**

**–Nie – odparła. – Co jakiś czas są kasowane. Nie wiem dokładnie, ale na pewno częściej niż co trzydzieści lat.**

**–Co ciekawego wyszperałaś? – spytał Alex, kiedy zadzwoniłam do niego następnego dnia rano.**

**–Nic specjalnego – odparłam. Wyjaśniłam, a on powiedział, że tego się spodziewał. – Aleksie – dodałam – może nasz entuzjazm był nieco przesadzony.**

**–Może. Nie wiem. Mam jedno pytanie.**

**–Wal śmiało.**

**–Wiemy, które układy badali. A przynajmniej tak twierdzili.**

**–Zgadza się.**

**–Czy wiemy, jaka była kolejność układów gwiazdnych podczas każdego lotu? Dokąd polecieeli najpierw, gdzie byli później i tak dalej?**

**Spojrzałam na swoje zapisy i potrząsnęłam głową.**

**–Niestety, nie.**

**–Dobrze byłoby wiedzieć.**

**–Dlaczego? A jakie to ma znaczenie?**

**–Zawsze dobrze jest mieć pełny obraz tego, co się wydarzyło. – Podrapał się w skroń. – A tak przy okazji, Fenn mówi, że znaleźli więcej dokumentów na temat włamań. Między innymi na temat Wescottów. I w zgłoszeniu jest wzmianka o kubku.**

**–Zatem Amy będzie musiała go oddać.**

**–Obawiam się, że tak. Z tego jednak wynika, że Wescottowie zdawali sobie sprawę z niezwykłości kubka.**

**–Ale to nadal do niczego nie prowadzi.**

**–Może nie. – Zawahał się.**

**–O co chodzi? – spytałam.**

**–Amy dzwoniła, żeby mi powiedzieć, że rozmawiała z Hapem.**

**–Powiedziała mu, co się stało?**

**–Tak. To chyba taka mała zemsta. Powiedzieć mu, ile był wart kubek, żeby serce pękło mu z żalu.**

**–No i?**

**–Chyba się wkurzył. Zaczął grozić. Jej i nam.**

**–Nam? Powiedziała mu, że jesteśmy w to zamieszani?**

**–Z użyciem nazwisk. Nie przypuszczam, żebyśmy mieli powód do zmartwień, ale chciałem dać ci znać. Włącz systemy alarmowe.**

**Następnego dnia miałam wolne, ale nie byłam jeszcze gotowa, żeby odpuścić sprawę Margolii. Zjadłam wcześniej śniadanie i zasiadłam, by obejrzeć *Sanktuarium*, dreszczowiec sprzed trzydziestu lat o zaginionej kolonii.**

**Był to jeden z filmów przygodowych ze Sky'em Jordanem, bardzo popularnym w tych czasach bohaterem. W tej długiej serii Jordana grał Jason Holcombe, którego zawsze uważałam za jednego z najbardziej seksownych aktorów. W tym odcinku jego statek zbliża się**



niebezpiecznie do urządzenia obcych, które wysysa ze wszystkiego energię, i zostaje uratowany przez Solenę, piękną Margoliankę.

Grała ją popularna wtedy aktorka. Ale wycięłam ją, wstawiłam siebie na jej miejsce i powróciłam do napawania się akcją.

Solena opatruje rany zmaltretowanemu bohaterowi, wyciąga go ze zniszczonego statku, a potem, korzystając z pola siłowego niwelującego działanie artefaktu, rusza na ojczystą planetę.

Margolia to planeta pięknych miast o dziwacznej architekturze. Jej obywatele pływają się w całkowitym nierówności. (Nigdzie nie wyjaśniono, jak to wytrzymują). Wszystko wygląda wspaniale. Góry są wyższe, lasy zieleńsze, oceany większe niż wszystko, co można zobaczyć na Rimway. Świecą tam dwa słońca, które wyglądają, jakby poruszały się po niebie razem, są też trzy albo cztery księżycy i układ pierścieni.

Gdyby Wescottowie znaleźli coś takiego, na pewno chciałabym to zobaczyć.

Margolii zagrażają jednak Bajlokwie, horda złowrogich obcych. To Bajlokwie zainstalowali urządzenie wysysające energię. Mają jaszczurcze pyski, cały garnitur macek i złowieszcze czerwone oczy, które świecą w ciemnościach. Nie byłam w stanie wydedukować, jaką to przewagę ewolucyjną zapewnia taka cecha. Ale byli paskudni i na ich widok robiło się niedobrze, jak na widok większości potworów wykreowanych w ramach efektów specjalnych.

Mimo zaawansowanej techniki Margolianie zapomnieli już, jak się bronić, gdyż od bardzo dawna nie mieli kontaktu z resztą ludzkiej rasy. Nie mają okrętów bojowych i nie wiedzą, jak się je buduje. Nikt z nich nie zna już żadnych sztuk walki. (Najwyraźniej w pewnym momencie uznali, że dobrze będzie wyeliminować z oświeconego społeczeństwa wszelkie siły zbrojne). A na dodatek są przeciwni zabijaniu jako takiemu.

Pojawia się Tanguis Korr, ukochany Soleny. Tanguis jest zazdrosny o Sky'a i zaczyna spiskować przeciwko niemu.

Solenie udaje się przejrzeć podstęp i wiąże swój los z bohaterem, który w międzyczasie służy gospodarzom poradami technicznymi. Statki obcych szybko się zbliżają i trwa wyścig z czasem: trzeba zorganizować obronę. Zwiedzamy nowy statek Skya, który otrzymuje nazwę „Wojowniczy Orzeł”. Jest mały, ale oczywiście pędzi z zawrotną szybkością.

Solena zakochuje się w Skyu i wpuszcza go do swojej sypialni. Jest noc, następnego dnia ma nastąpić starcie z wrogiem, a Sky może już nie wrócić, prawdopodobnie nie wróci. On prosi, żeby trzymała się z daleka od walki, ona się nie zgadza. Na końcu łyż pływają jej po policzkach; rozpina guziki bluzki i zrzuca ją; każe mu wybierać:

–Jeśli mnie chcesz, obiecaj mi, że zabierzesz mnie jutro ze sobą.

No i co biedny gość miał zrobić?

Muszę wyznać, że moim ulubionym elementem tych symulacji jest obserwowanie, jak oddaje się temu przystojniakowi. Wiem, że kobiety często temu zaprzeczają, przynajmniej wtedy, gdy w pobliżu jest jakiś mężczyzna, ale patrzenie, jakie sztuczki odprawia ze mną Jason Holcombe, to niezła jazda.

Potem następuje gwałtowny zwrot akcji, gdy okazuje się, że Tanguis jest opłacanym przez Bajloków zdrajcą. Prawie udaje mu się zniszczyć powstającą właśnie w doku flotę, ale po desperackiej strzelaninie i ostrej walce z udziałem Skya statki bezpiecznie startują.

Publiczność wie, że Bajlokowie potrafią się teleportować na niewielkie odległości, ale Margolianie nie mają o tym pojęcia. W samym środku bitwy tamci materializują się na mostku „Wojowniczego Orła”.

Siedzę sobie, śledzę akcję, a tu jeden pojawia się tuż przede mną, rycząc, z obnażonymi kłami. Wrzasnęłam i spadłam z fotela.

–To rzeczywiście może wytrącić z równowagi – powiedziała Carmen, moja SI.

Siedziałam na podłodze i oglądałam bitwę, która toczyła się w moim salonie.

–Ludzie, którzy robią takie rzeczy, powinni mieć trochę umiaru.

Przespałam większość popołudnia, wieczorem poszłam na kolację z przyjacielem i wróciłam tuż przed północą. Wzięłam prysznic i byłam gotowa do snu, ale zatrzymałam się na chwilę przy oknie, by popatrzeć na rzekę i nocny krajobraz. Pomyślałam, jakie mam szczęście i ile rzeczy przyjmuję jako coś zupełnie naturalnego. Dobra praca, przyjemne życie, wygodne mieszkanie. Może nie była to Margolia, ale były tu tawerny i teatr z prawdziwymi aktorami. A jeśli komuś wystarczało oglądanie w każdy wieczór symulacji, czyja to była wina?

Zgasiłam światło, rzuciłam szlafrok na krzesło i wsunęłam się do łóżka. W pokoju było ciemno, jeśli nie liczyć kilku kwadratów księżycowego światła na podłodze i podświetlanej tarczy zegara na mojej toalecie. Owinęłam się kocem, rozkoszując się jego luksusowym ciepłem.

Jutro z powrotem do pracy.

Próbowałam nie przypominać sobie, jakie to zadania czekają mnie następnego dnia, bo wiedziałam, że nie będę mogła zasnąć. Nagle Carmen powiedziała, że mam gościa.

O tej porze? Natychmiast do głowy przyszedł mi Hap.

–To kobieta – powiedziała. Usłyszałam przy drzwiach jakieś głosy. Carmen i kogoś jeszcze. – Chase, ona mówi, że nazywa się Amy Kolmer.

To oznaczało złe wieści. Sięgnęłam po szlafrok.

**–Wpuść ją.**

# DZIEWIĘĆ

Percepcja jest wszystkim.

Źródło nieznane, ok. XX wieku n.e.

Amy była rozdygotana. Bluzka wychodziła jej z paska, włosy miała w nieładzie, a jej odzienie zdradzało przypadkowy dobór kolorów. Wyglądała, jakby ubierała się w biegu. Westchnęła, kiedy otworzyłam drzwi, dziękując Bogu, że zastała mnie w domu, spojrzała w głąb korytarza, po czym minęła mnie, wpychając się do środka. Oczy lśniły jej dziko.

–Był za mną – powiedziała. – Parę minut temu. Był tuż za mną.

Niosła coś zawiniętego w czerwony materiał.

–Hap?

–Któż by inny? – Podeszła do okna, stanęła z boku i wyjrzała. Poprawiła zasłony. – Przepraszam – powiedziała. – Wiem, że jest późno.

–Nie szkodzi. Nic pani nie jest?

–Nie miałam, dokąd pójść.

–W porządku. Proszę usiąść. Tu nic pani nie grozi. Jak mnie pani znalazła?

–Jest pani jedyną Chase Kolpath.

–W porządku. Dobrze. Dobrze pani zrobiła.

–Przyszedł do mnie. Walił do drzwi. Wrzeszczał coś o kubku. – Wytarła łzy i spróbowała się wyprostować.

–Co pani zrobiła?

–Powiedziałam, że należy do mnie. – Zaczęła się trząść. – Wyszłam tylnym wyjściem. Czasem wpada w szal i zaczyna się tak zachowywać. – Rozwinęła materiał i wyjęła kubek. – Jeśli można, wolałabym zostawić go u pani.

–Jasne. Jeśli pani chce.

–Tu będzie bezpieczny. Jeśli on go dopadnie, już po nim.

–Powiedziała pani, że Hap panią śledzi?

–Widziałam go parę minut temu. Kiedy szłam po chodniku. Nie wiem, jak mnie tu znalazł.

**Może ma to związek z tym, że kiedyś powiedziałaś mu, jak się nazywam, idiotko.**

**–Dobrze – uspokajałam ją. – Proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze. Zorganizujemy pani jakąś ochronę.**

**–On mówi, że ten kubek nie należy do mnie. Że wcale nie chciał mi go dać.**

**–Dlaczego pani nie zadzwoniła na policję?**

**–Zabiłby mnie, gdybym zrobiła coś takiego. Nie wie pani, do czego on jest zdolny, kiedy wpada w szal.**

**–Rozumiem.**

**–Po prostu wariuje.**

**Rozmyślałam o tym, jak to ludzie czasem potrafią napytać sobie biedy przez to, że nie umieją utrzymać języka za zębami.**

**–Proszę posłuchać – rzekłam w końcu. – Niech pani zostanie na noc. Jutro powiadomimy policję i poszukamy jakiejś pomocy.**

**Potrząsnęła gwałtownie głową.**

**–To na nic. Za parę dni go wypuszczą.**

**–Amy, nie może pani tak żyć. W końcu on zrobi komuś krzywdę. Jeśli nie pani, to komuś innemu.**

**–Nie. To nie tak. Po prostu musi się trochę uspokoić.**

**–Chase, mamy kolejnego gościa – odezwała się Carmen.**

**Amy zaczęła się trząść.**

**–Niech go pani nie wpuszcza.**

**–Proszę się uspokoić. Nie wpuszczę go.**

**–Będzie próbował się dostać.**

**Drzwi mają ręczny rygiel. Dodatkowe zabezpieczenie – nigdy do końca nie ufałam elektronice. Zatrzasnęłam go dokładnie w chwili, gdy zgasło światło.**

**–Zrobił to – powiedziała. – Ma takie urządzenie...**

–Rozumiem.

–Ono odcina zasilanie.

Natychmiast pomyślałam o Bajłokach i ich artefakcie wysysającym energię.

–Wiem. Proszę się uspokoić, wszystko będzie dobrze. Carmen?

Cisza.

–Wyłącza wszystko...

W drzwi uderzyła pięść. Łupnięcie było solidne.

–Otwieraj, Amy! – zawył Hap. Nie ulegało wątpliwości, że to on. – Wiem, że tam jesteś.

–Wynoś się! – odparła.

Znów łomot. Drzwi, ledwo widoczne w poświacie księżyca i ulicznej lampy, dosłownie się ugięły. Amy zeskoczyła z kanapy i skuliła się przy oknie. Ale byliśmy na trzecim piętrze. Tędy nie uciekniemy. I nie było tylnych drzwi.

–Proszę nie otwierać – jęknęła. Głos jej się łamał. Odniosłam wrażenie, że Hap używa młota kowalskiego.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że światła nie palą się w całym budynku.

–Niech się pani schowa w sypialni – powiedziałam. – Na bocznym stoliku leży komunikator. Niech pani dzwoni na policję.

Stała i patrzyła na mnie jak sparaliżowana.

–Amy... – zaczęłam.

–Dobrze – odparła tak cicho, że ledwo było ją słychać.

–Wynoś się! – krzyknęłam w stronę drzwi. – Zadzwoiłam na policję.

Hap odpowiedział wiązką wyzwisk.

–Otwieraj, zdiro! Bo jak nie, to ciebie też załatwię! Amy znikła w sypialni, a ja zamknęłam za nią drzwi.

Niestety, nie miały zamka. Hap walił dalej i zawiasy zaczęły puszczać. Rzuciłam kubek na sofę i przykryłam go poduszką. Dość kiepski schowek. Następnie, potykając się w ciemnościach, zaciągnęłam kotarę w przejściu do kuchni i zamknęłam drzwi od łazienki.

**–Mam paralizator! – krzyknęłam. – Spróbuj tu wejść, natychmiast oberwiesz.**

**Rzeczywiście miałam. W śmigaczu na dachu. Niezłe miejsce.**

**Odpowiedział kolejnym ciosem i drzwi ustąpiły. Spadły z zawiasów i uderzyły o ścianę. Hap wpadł do pokoju. Był wielki, niezgrabny i odrażający. Już sam jego widok mógł działać na nerwy. Nie przyjrzałam mu się dobrze, kiedy go odwiedziłam, w bardziej sprzyjających okolicznościach. Był o głowę wyższy ode mnie i ważył jakieś dwa i pół razy więcej ode mnie. Miał na sobie czarny sweter z wielkimi kieszeniami z boku. Były solidnie wypchane, a ja się zastanawiałam, czy ma tam jakąś broń. Choć chyba nie była mu potrzebna.**

**Włączył latarkę i zaświecił mi prosto w twarz.**

**–Gdzie ona jest? – spytał.**

**–Jaka ona?**

**Usłyszałam głosy na korytarzu i dźwięk otwieranych drzwi. Już miałam prosić o pomoc, ale Hap najwyraźniej czytał mi w myślach, bo potrząsnął głową.**

**–Nie rób tego – szepnął.**

**W drzwiach pojawił się sąsiad z przeciwka, Choi Gunderson. Czy wszystko w porządku?**

**Choi był chudy, wąty, niemłody.**

**–Tak, Choi – odparłam. – Wszystko w porządku. Spojrzał na zniszczone drzwi. I na Hapa.**

**–Co się stało?**

**–Mały wypadek – mruknął Hap. – Wszystko gra, dziadku.**

**–Zastanawiam się, czemu zasilanie nie działa – powiedział Choi i przez moment odniosłam wrażenie, że zamierza interweniować. Miałam jednak nadzieję, że tego nie zrobi.**

**–Nie wiem – odburknął Hap. – Wracaj do siebie i czekaj na ekipę. – Poświecił latarką na otwarte drzwi Choia.**

**Choi znów spytał, czy wszystko w porządku, po czym dodał:**

**–Zadzwoń do Wainwrighta. – Tak nazywał się administrator budynku.**

**Wycofał się i usłyszałam odgłos zamykanych drzwi.**

**–Dobrze – odezwał się Hap. – Nie jesteś aż tak głupia, na jaką wyglądasz. – Omiótł pokój światłem latarki. – Gdzie ona jest?**

–Hap – próbowałam mówić spokojnie. – Czego chcesz? Zaczął mówić, że doskonale wiem, czego chce, ale przerwał w pół zdania, gapiąc się na mnie.

–To ty przeprowadzałaś ankietę. Podeszłam krok bliżej.

–Tak.

–Ty jesteś tą zdzirą, która przyszła do mnie do domu. – Żyły wystąpiły mu na szyi.

–Zgadza się.

Zaprzeczanie nie miało sensu.

Zamierzałam powiedzieć coś jeszcze, sama do końca nie wiedząc co; próbowałam coś szybko wymyślić, ale przerwał mi na samym początku.

–Pomagasz jej mnie oszukiwać.

–Nikt cię nie oszukuje, Hap.

Chwyił mnie za rękę i cisnął mną o ścianę.

–Zajmę się tobą za chwilę – warknął.

Mrucząc, co zamierza zrobić „tym przeklętym zdzirom”, przetrzęsnał kuchnię, zrzucił łokciem jakieś szkło na podłogę, po czym zajrzał do łazienki i ruszył do sypialni.

Podrapał się pod pachą i otworzył drzwi na oścież. Musiał to zrobić ręcznie, bo zasilanie nadal nie działało. Poświecił do środka.

–Wyłaź, Amy! – wrzasnął.

Zapisała, a on ruszył za nią. Przyglądałam się, czy nie wyciąga jakiejś broni. Światło latarki tańczyło po ścianach mojej sypialni. Amy na zmianę błagała go i wrzeszczała.

Wywłókł ją z sypialni za włosy. Nadal trzymała w ręce mój komunikator.

–Policja już jedzie, Hap – oznajmiłam tak spokojnie, jak tylko potrafiłam. – Najlepiej zrobisz, jak się wyniesiesz.

Amy nigdy nie zdobyłaby nagrody w konkursie wymagającym myślenia. Potrząsnęła głową. Nie.

–Nigdzie nie dzwoniłam. – Po czym zwróciła się do Hapa:

–Nie chciałam, żebyś miał kłopoty.



–Już mi narobiłaś masę kłopotów, szmato. – Zabrał jej komunikator, rzucił na podłogę i rozdeptał. Potem włókł ją, wykręcając jej rękę do tyłu, zaciągnął ją do drzwi wejściowych i próbował zamknąć je kopniakiem. Otworzyły się natychmiast, a drugie kopnięcie nie pomogło, więc popchnął Amy w moją stronę, przymknął drzwi i zastawił je krzesłem. Kiedy już uznał, że efekt jest zadowalający i nikt nie przerwie nam imprezy, a także nikt się z niej nie wydestanie, zajął się z powrotem nami.

–A teraz, drogie panie, porozmawiajmy o kubku. Odłożył latarkę na niski stolik i rzucił Amy na sofę, nie spuszczając ze mnie wzroku. Był szybszy, niż myślałam.

–Miło panią znowu widzieć, pani Kolpath – powiedział.

–Zajmujesz się handlem antykami, prawda? I nigdy nie miałaś nic wspólnego z żadną ankietą, tak? To co robiłaś w moim mieszkaniu?

Jego pięści wyglądały jak wielkie piłki z mięsa. Jeśli dojdzie do bójki, po paru sekundach będzie po mnie. Usłyszałam jakieś głosy na korytarzu.

–Myślałam, że tam może być ich więcej. – Kłamstwo nie miało sensu.

–Kradzież kubka ci nie wystarczyła, co? – Złapał Amy za ramię i wykręcił je. Wrzasnęła. – Gdzie on jest, kochaniutka?

–Puść ją – zażądałam i ruszyłam w jego stronę, ale tylko wykręcił jej mocniej rękę. Po twarzy pociekły jej łzy.

Potrzebna mi była jakaś broń.

Na półce za nami znajdowało się masywne brązowe popiersie Filidora Wielkiego. Nie patrzyłam w tym kierunku, nie chciałam, żeby je zauważył. Ale wiedziałam, że tam jest. Gdyby się udało odciągnąć jego uwagę...

Pochylił się nad Amy.

–Gdzie jest kubek?

Rozejrzała się po pokoju, najwyraźniej nie wiedząc, co się z nim stało.

–Pewnie zostawiłam go w sypialni.

Szarpnął ją, aż wstała, i popchnął w kierunku otwartych drzwi.

–Dawaj go.

Ruszyła niepewnie. Słyszałam na korytarzu jakieś głosy. Poza Cholem moimi sąsiadami byli: młoda, nieśmiała kobieta i pan koło dziewięćdziesiątki. Od nich nie można było spodziewać się

**pomocy. Miałam tylko nadzieję, że ktoś zadzwoni na policję.**

**Amy wróciła i oświadczyła, że nie znalazła kubka. Nie ma pojęcia, co się z nim stało. Zanim ją uderzył, podniosłam poduszkę i pokazałam mu kubek. Hap zaprezentował szeroki uśmiech, demonstrując brzydkie zęby, przyjrzał się kubkowi, potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: „kto by pomyślał, że taki śmieć może być tyle wart”, po czym energicznie wepchnął go do kieszeni. Kubek uderzył o coś, a ja się skrzywiłam. Ten przedmiot przetrwał dziewięć tysięcy lat, żeby zostać rozbity przez jakiegoś barbarzyńcę.**

**–Ile to jest warte?**

**Mówił właściwie do ściany, do pustego miejsca między mną a Amy. Do kogokolwiek, kto miałby ochotę odpowiedzieć.**

**–Jakieś dwadzieścia tysięcy – odparłam.**

**–Dobrze. – Spojrzał na wypchaną kieszeń. – Dobrze. Staliśmy, a on się zastanawiał, co zrobić dalej. Nakazał Amy gestem, by siadła z powrotem na sofie, a ona wykonała polecenie. Hap skierował na mnie światło latarki. Zasłoniłam oczy ręką.**

**–Jeśli teraz wyjdiesz – zaproponowałam – zapomnimy o całej sprawie.**

**Jasne. Właśnie wtedy, gdy wymyśliłam, jak go załatwić.**

**–Taaa – odparł z uśmiechem zimnym jak lód. – Wiem, że zapomnisz, bo jeśli jeszcze kiedykolwiek wejdiesz mi w drogę, skrucę ci tę śliczną szyjkę. – Dał mi do zrozumienia, że to będzie dla niego ogromna przyjemność. – Dobrze – rzekł.**

**–A teraz powiem wam, co zrobimy. – Kolejny uśmiech. Zanim zorientowałam się, co się dzieje, zaliczyłam solidny cios w szczękę. Upadłam na podłogę.**

**–Wstawaj – warknął.**

**Miałam wrażenie, że światło miga, podłoga pode mną falowała.**

**–Chcesz jeszcze raz? – Uniósł stopę i wycelował w moje zębra. – Wstawaj. – Spojrzałam na niego. Filidor majaczył mi gdzieś w polu widzenia, ale był poza moim zasięgiem. Wstałam niepewnie, opierając się jedną ręką o sofę. W głowie mi się kręciło. – A teraz posłuchaj, co zrobimy, Kolpath.**

**Nie ulega wątpliwości: ten facet miał charyzmę. Musiałam przyznać, że Amy miała gust, jeśli chodzi o mężczyzn.**

**–Wykonasz jeden telefon. Nie wiem, do kogo. I przelejesz na moje konto dwadzieścia dwa tysiące. – Wyciągnął kartę.**

**–Tu jest numer. A ja ci odsprzedam mój kubek. Niezły, uczciwy interes.**

**Uznałam, że nie będę się z nim spierać.**

**–Wiesz, należy do mnie. Był w posiadaniu mojej rodziny, odkąd pamiętam. Przecież nikomu bardziej nie należą się te pieniądze.**

**Ależ oczywiście.**

**Pogrzebał w tej samej kieszeni, do której włożył kubek, i wyjął komunikator. Podał mi go.**

**–Dzwon.**

**–Nie pamiętam numerów kont. Potrzebuję SI. Uniósł pięść, a ja się cofnęłam, ale najwyraźniej doszedł do wniosku, że jeśli mnie ogłuszy, pieniędzy nie dostanie. Pogrzebał więc w drugiej kieszeni i wyjął ciemnoniebieski przedmiot przypominający wafel. Podłubał przy nim jakąś minutę i światło zapaliło się. Wskaźniki stanu Carmen zamrugały.**

**–To nie ma sensu – powiedziałam. – Policja wyśledzi, dokąd poszły pieniądze.**

**–Nie. – Uśmiechnął się, ciesząc się moją naiwnością. – To sieć. Pieniądze są w ciągłym ruchu. Nikt się nie dowie.**

**Zapewne chciał powiedzieć coś zupełnie innego, ale tak czy inaczej oznaczało to, że Amy i ja nie mamy przed sobą długiego życia. Znów poszperał w kieszeni i wyciągnął paralizator, po czym wycelował go w moją stronę.**

**–Jazda – powiedział.**

**–Carmen?**

**–Tak, Chase? – Mówiła innym tonem niż zwykle, niskim, prawie męskim głosem, dając mi do zrozumienia, że pomoże, jeśli tylko będzie mogła.**

**Wzięłam od niego kartę i podstawiłam ją pod czytnik.**

**–Przelejemy dwadzieścia dwa tysiące – powiedziałam.**

**–Czekaj chwilę – wtrącił Hap. – Ile masz na koncie?**

**–Nie potrafię powiedzieć bez sprawdzania.**

**Znów mnie uderzył. Tym razem byłam na to przygotowana i udało mi się trochę odchylić, a i tak o mało nie upadłam jak długa.**

**–Zostaw ją – jęknęła Amy. – Ona ci nic nie zrobiła.**

–Ile? – dopytywał się.

Nie wiedziałam, ale zdecydowałam, że podam mu żadaną sumę.

–Wystarczy. Jakies dwadzieścia cztery tysiące.

–Niech będzie trzydzieści. – Wbił mi w brzuch lufę paralizatora, złapał mnie za włosy i postawił mnie na równe nogi. – Problem w tym, Kolpath, że narobiłaś mi mnóstwo – kłopotu. – Okręcił moje włosy wokół pięści. – Przelej mi wszystko z konta. – Zdecydowanie przydałby mi się prysznic. I płyn do płukania ust. – Przelej wszystko tutaj. – Postukał palcem w kartę. Jeśli miałam jakiegokolwiek wątpliwości co do przyszłych losów moich i Amy, już je rozwiązał.

Stał przy sofie tak, żeby widzieć nas obie. Ale chyba jakoś specjalnie się nami nie przejmował.

–Z którego konta mam przelać środki? – spytała Carmen bezbarwnym, obojętnym tonem. Miałam tylko jedno. Najwyraźniej coś kombinowała. – Z rachunku Bajloków?

Bajkolowie? I Sky Jordan?

Jordan walczący z teleportującymi się potworami. Nikt mnie już nie przekona, że domowe SI nie są istotami myślącymi.

–Tak – odparłam przygnębionym tonem. – Tak zrobimy.

–Ile masz na tym koncie Bajloków? – spytał Hap.

–Czterdzieści dwa. Plus jakies drobne.

–Może powinienem to zobaczyć.

Stał zwrócony w stronę środka pokoju, obserwując nas i machając paralizatorem tak, żebyśmy obie w razie potrzeby znalazły się na linii ognia. Miał minę równocześnie złowrogą i pełną samozadowolenia, kiedy nagle na środku pokoju pojawił się Bajlok, warcząc i plując.

Hap podskoczył.

Potwór wił się i ryczał. Amy piszczała. Obcy otworzył paszczę i wysunął mackę, która sięgnęła w kierunku głowy Hapa. Hap strzelił raz, cofnął się i upadł, potknąwszy się o podnózek.

Powinnam była odebrać mu broń. Ale cały czas myślałam o Filidorze, więc porwałam go z półki, gdy Hap upadł. Projekcja mignęła przede mną, a ja z całej siły opuściłam statuetkę na głowę Hapa. Rozległ się głośny trzask, Hap zawył i uniósł ręce, żeby się zasłonić. Carmen wyłączyła VR, a ja przywaliłam Hapowi drugi raz. Polala się krew. Amy zerwała się z sofy, błagając mnie, żebym przestała. Jacyś ludzie w korytarzu dobijali się do drzwi. Czy wszystko w porządku?

**Próbowałam zadać Hapowi jeszcze jeden solidny cios, ale Amy opadła na kolana i zasłoniła go.**

**–Hap – zaszlochała – Hap, kochany, nic ci nie jest?**

**Może ja mało wiem o życiu, ale miałam ogromną ochotę, żeby jej też przywalić.**

# DZIESIĘĆ

Byłem tam, kiedy „Poszukiwacz” opuścił orbitę Ziemi, 27 grudnia 2688 roku. Zdecydowałem, że nie leczę. Patrzyłem więc, jak moja siostra i ludzie, który byli moimi przyjaciółmi przez całe dotychczasowe życie, wyruszają daleko, do jakiegoś miejsca, które nie ma nawet nazwy i którego położenia nie ujawniono. Gdy patrzyłem, jak wielki statek wysuwa się z doku i rusza w ciemność, wiedziałem, że już nigdy nie uwolnię się od nieustannego zadawania sobie pytania, czy moja decyzja była słuszna. I oczywiście wiedziałem, że już nigdy ich nie zobaczę.

*Autobiografia Clementa Estebana, 2702 n.e.*

Kiedy następnego dnia wkroczyłam do biura, Alex spytał, co się stało z moją wargą. Wtedy już miałam całkowicie dość „Poszukiwacza”, kubka i Margolian.

–Hap złożył mi wizytę.

–Co? – Alex spurpurowiał. – Nic ci się nie stało? Gdzie on teraz jest? Siadaj, proszę.

Musiałam wyglądać na nieźle osłabioną.

–Nic mi nie jest – odparłam. – Parę siniaków, to wszystko.

–Gdzie on teraz jest? Co za skurwiel.

To chyba był ten jedyny raz, kiedy Alex użył takiego określenia.

–Rozmawiałam dziś rano z Fennem. Hap jakiś czas posiedzi w więzieniu. Ta akcja to była ostatnia kropla. Dwa razy pobił Amy, parę swoich innych dziewczyn też. Może w końcu uznają, że kuracja nie przynosi skutku.

Opowiedziałam, co się stało. Alex uśmiechnął się radośnie, kiedy opisywałam mu akcję z Bajlokiem.

–Doskonale – powiedział. – To był świetny pomysł.

–Tak. Carmen na to wpadła.

–Carmen?

–Moja SI.

Przyjrzał się moim siniakom, powiedział, że ma nadzieję, iż Hap przez dłuższy czas nie będzie pojawiał się na ulicach, po czym usiadł przy mnie.

–A co z Amy?

Kiedy się pojawiaam rano, Alex zwykle wita się ze mną, przekazuje mi, jakie są najpilniejsze sprawy na ten dzień, i znika na górze, żeby zająć się szperaniem na rynku. Ale tym razem zachowywał się, jakby paplał, co mu ślina na język przyniesie. Mówił, jak się cieszy, że nic poważnego mi się nie stało, że nie mam poważniejszych obrażeń, że to musiało być straszne doświadczenie. Zerwał się z krzesła i po chwili przyniósł mi kawę i tosta.

Rzucił jeszcze parę uwag na temat tego, jak się cieszy, że nic mi nie jest, czy jestem pewna, że to nic poważnego, i czy przypadkiem nie powinnam pójść do lekarza. Ale zanim udało mi się przerwać ten monolog, przestał mówić o mnie i przeszedł do omawiania naszego śledztwa.

–Zanim damy sobie spokój z Margolianami – powiedział – dobrze byłoby, żebyś sprawdziła jeszcze jeden ślad. Jeśli oczywiście masz ochotę. – Odczekał chwilę, a ja musiałam przeanalizować jego słowa jeszcze raz, zanim zrozumiałam, że na zakończenie tych wszystkich dobrych życzeń Alex przydziela mi zadanie. – To już ostatni raz – obiecał. – Jeśli nic z tego nie wyjdzie, odpuszczamy.

–A czego potrzebujesz? – spytałam.

–Mattie Clendennon. Studiowała w szkole nawigacji razem z Margaret i długo trzymały się razem.

–Dobrze – odparłam. – Masz jej numer? Muszę najpierw z nią porozmawiać.

–To nie takie łatwe.

Kolejna wycieczka poza planetę, pomyślałam.

–Nie. – Spojrzał na mnie z poczuciem winy w oczach. A niełatwo wpędzić Aleksa Benedicta w poczucie winy. – Ona podobno jest trochę dziwna.

–Dziwniejsza od Hapa?

–Nie. Nic podobnego. Ale wygląda na to, że mieszka sama i nie ma ochoty z nikim rozmawiać.

–Nie korzysta z sieci.

–Tak. I należy do niej pojechać. – Wyświetlił zdjęcie. – Ma ponad osiemdziesiąt lat. Mieszka w Moczarach.

Trudno było uwierzyć, że Mattie Clendennon ma dopiero osiemdziesiąt parę lat. Była siwa i wyglądała na zagłodzoną; była po prostu wyniszczona. Zdjęcie pochodziło sprzed dwóch lat, więc zastanawiałam się, czy w ogóle jeszcze żyje.

Alex zapewnił mnie, że tak. Więc następnego dnia poleciałam liniowcem o dziwnej nazwie i wczesnym popołudniem wylądowałam w Paragon. Stamtąd pojechałam pociągiem do Wilbur

Junction, wynajęłam śmigacz i w ten sposób pokonałam ostatnie sto kilometrów dzielące mnie od Moczarów. Na przekór nazwie miejsce to znajduje się pośrodku Wielkiej Pustyni Północnej. Moczary były małym miastem, które przeżyło swoją świetność w poprzednim stuleciu, kiedy modne były sporty pustynne. Moda jednak przeminęła, turyści przestali przyjeżdżać, firmy zlikwidowano i zostało tu niecałe dwa tysiące mieszkańców.

Z pewnej odległości miasto wyglądało na wielkie. Stare hotele tłoczyły się na północy, dookoła parku wodnego. Instalacja antygrawitacyjna w centrum, gdzie tancerze i deskarze unosili się swobodnie w powietrzu, przypominała dużą, zakrytą misę, a na zachodnim skraju miasta wiatr świszczał wokół kopii egipskich budowli: piramid, sfinksa i stajni. Tutaj za dawnych dobrych czasów można było przylecieć z przyjaciółmi, wskoczyć na dromadera (rimwayską odmianę wielbłąda) i popędzić w stronę cudów starożytnego świata. Świątynia Ofiru stała zwrócona w kierunku wschodzącego słońca, Pałac Ogrodów Jafeta Straszego pysznił się w odległości kilku kilometrów – tam, jeśli byłeś niezłym jeźdźcem i zachowałeś czujność, mogłeś umknąć z łupami i życiem. To miejsce było ucieczką od wirtualnej rzeczywistości. Miejscem, gdzie przygody przeżywało się naprawdę. Mniej więcej.

Oczywiście to wszystko działo się, zanim się urodziłam. Szkoda, bo chyba lubiłabym tak spędzać czas. Teraz ludzie spędzają go za dużo we własnych salonach. Jak ktoś powiedział, doświadczamy wszystkich przeżyć z drugiej ręki. Nic dziwnego, że większość populacji ma nadwagę.

Na ulicy panował spokój. Przechodziło parę osób. Ani śladu dzieci.

Miałam adres. Ulica Nimroda jeden. Carmen nie była jednak w stanie odnaleźć tego miejsca. Nie miałam więc pojęcia, dokąd się udać. Było tam kilka lądowisk, ale wszystkie wyglądały na prywatne. Jeśli ktoś chciał wylądować, musiał to zrobić na pustyni.

Wylądowałam w pobliżu kamiennego budynku, który wyglądał jak rozbudowana pagoda, wysiadłam i zeskoczyłam na piasek. Słońce świeciło wysoko na niebie, jasne i bez jednego mrugnięcia, ale nie było gorąco, a wręcz chłodno. Tego się nie spodziewałam.

Próbowałam pytać o ten adres kilku przechodniów, ale tylko wzruszali ramionami i odpowiadali, że nie mają pojęcia. Jeden zaproponował, żebym zapytała w urzędzie miasta, i wskazał pagodę.

Wmaszerowałam tam pięć minut później i stanęłam w hallu, sprawiającym wrażenie miejsca, o którym historia zapomniała. Na oddalonej ścianie znajdowało się kilka wind. Wszędzie stały podniszczone krzesła i kanapy. Poza mną była tam jeszcze tylko jedna osoba, starszy pan na kanapie przeglądający notes.

Podeszłam do lady obsługi i pojawił się męski awatar, wyglądający na energicznego i chętnego do pomocy. Zaczesał do tyłu ciemne włosy, sympatyczne rysy, oczy odrobinę większe niż u człowieka.



**–Dzień dobry pani – powiedział. – Mam na imię Toma. W czym mogę pomóc?**

**Podalam mu adres. Zrobił zaskoczona minę.**

**–Nie mam niczego takiego w atlasie. Moze pani chwile poczekać? Muszę skonsultować się z moim przełożonym.**

**Nie było go przez jakas minute.**

**–Powiniennem był się domyslić – powiedział. – To za miastem, kompleks Nimroda. Czy raczej to, co było kompleksem Nimroda. Teraz należy do osoby prywatnej.**

**Dziewięć kilometrów na północny wschód od miasta. Jedno z miejsc, które w dawnych czasach odwiedzały karawany z turystami z Moczarów.**

**Mattie Clendennon mieszkała w pałacu. Wysokie kamienne ściany, wieżyczki na każdym z czterech rogów. Zwieńczone łukiem wejście, szerokie schody, wszędzie na straży rzeźby przedstawiające ludzi w starożytnych strojach. Ogromne okna. Łukowate świetliki. Flagi i gzymy. W środku był ogromny dziedziniec, a na nim jeszcze więcej rzeźb, krzewów i drzew. Fontanna spryskiwała chodnik mgielką. Jedyńa oznaką zapuszczenia był wypełniony piaskiem basen przy portyku po wschodniej stronie budynku.**

**Zastanawiałam się, czy nie wylądować na dziedzińcu, uznałam, że lepiej nie, i opuściłam śmigacz przy głównym wejściu. Wyciągnęłam komunikator i próbowałam się połączyć, ale nikt się nie zgłaszał.**

**Wysiadłam, owinęłam się ciasno kurtką, żeby ochronić się przed zimnym wiatrem, i postalam chwile, podziwiając budynek. Władze miejskie oficjalnie twierdziły, że różne kopie starożytnych zabytków w pobliżu są autentyczne, w takim sensie, że tak rzeczywiście wyglądała Niniwa, Hierakonpolis i Mykeny, i sprawiały takie wrażenie, jak za swoich najlepszych lat. Pałac Nimroda, zgodnie z moimi notatkami, należał do imperium asyryjskiego.**

**W rzeczywistości o imperium asyryjskim wiedziałam tyle, ile dowiedziałam się z wierszy Byrona.**

**Ruszyłam frontowymi schodami (które, jeśli wierzyć moim notatkom, miały takie same rozmiary jak oryginał), przeszłam pod łukiem i zatrzymałam się pod ozdobnymi, rzeźbionymi w drewnie drzwiami. Były wielkie, dwukrotnie wyższe ode mnie. Na poziomie wzroku miały żelazne pierścienie. Pociągnęłam za jeden z nich.**

**–Kto tam? – Głos kobiety. Wydało mi się, że to nie SI.**

**–Chase Kolpath. Szukam pani Mattie Clendennon.**

**–W jakiej sprawie? Nie znam pani.**

**–Pani jest Mattie Clendennon?**

**–A któż inny mógłby to być? Co za wiedźma.**

**–Chciałam zapytać, czy byłaby pani skłonna porozmawiać ze mną parę minut o Margaret Wescott.**

**Długa cisza.**

**–Margaret od dawna nie żyje. O czym niby miałybyśmy rozmawiać?**

**Drewniane drzwi nadal były zamknięte. Wyrzeźbiono na nich jakieś kotowate na polowaniu. I facetów w hełmach, z tarczami. Wszyscy mieli długie, szpiczaste brody.**

**–Mogę wejść do środka?**

**–Nie jestem sama – ostrzegła.**

**–Przecież nic pani nie zrobię, pani Clendennon.**

**–Jest pani za młoda, żeby mogła pani ją znać.**

**–Zgadza się. Nie znałam jej. Ale chciałam się czegoś o niej dowiedzieć.**

**–Jest pani dziennikarką?**

**–Nie. Sprzedaję antyki.**

**–Naprawdę? To dziwny sposób zarabiania na życie.**

**–Nie jest łatwo.**

**Kolejne długie milczenie. Jedne z drzwi stuknęły i otworzyły się.**

**–Dziękuję – powiedziałam.**

**–Proszę iść cały czas prosto, aż dotrze pani do korytarza. Potem proszę skręcić w lewo i przejść przez zasłonę.**

**Pomaszerowałam po kamiennej podłodze i wkroczyłam do zaciemnionego pomieszczenia. Miało ściany pokryte pismem klinowym, a kamienne cylindry zdobiące pomieszczenie przedstawiały królów przyjmujących hołdy, łuczników na szczytach wież, które wyglądały dokładnie tak samo jak te otaczające pałac, wojowników w walce na topory, lśniące istoty z niebios wręczające śmiertelnikom jakieś tabliczki. Wzdłuż dwóch ścian stały stojaki wypełnione bronią: toporami, włóczniami i strzałami. Koło wejścia stały tarcze.**

Przemieszczając się zgodnie z jej wskazówkami, minęłam kolejne drzwi prowadzące do szerokiego korytarza, pojechałam windą na czwarte piętro i skręciłam w lewo do poczekalni. Usłyszałam odgłosy kroków na kamiennej podłodze i pojawiła się Mattie Clendennon. Na zdjęciu nie była do siebie podobna. Myślałam, że zobaczę wyniszczoną, nieomal niepoczytalną staruszkę. Tymczasem Mattie była zupełnie normalna. Promieniowała energią i przemieszczała się po kamiennej posadzce jak kot. Była wysoka, wyniosła, o szarzielonych oczach i cienkich, wyrazistych rysach. Po jej ustach błąkał się uśmiech.

–Witam panią, pani Kolpath – powiedziała. – Rzadko mieszam tu gości.

Miała na sobie ubranie barwy piasku i traperską czapkę, taką, jaką czasem nosi się na wykopaliskach. Co ciekawe, ta ponadosiemdziesięcioletnia kobieta wcale nie wyglądała w tym absurdalnie.

–Miło mi panią poznać, pani Clendennon – powiedziałam.

Spojrzała na otaczające nas rzeźby.

–To tutaj znaleziono tekst eposu o Gilgameszu – powiedziała.

–Naprawdę? – Próbowałam wypowiedzieć to słowo tak, jakby jej informacja rzeczywiście zrobiła na mnie wrażenie, myśląc zarazem, że kobieta jednak ma coś z głową.

–Dostrzegła moją reakcję.

–Oczywiście nie dosłownie. To jest replika pałacu w Chorsabad, gdzie George Smith znalazł tabliczki.

Poprowadziła mnie długim korytarzem. Kamień ustąpił miejsca satynowym zasłonom, grubym dywanom i luksusowym meblom. Skręciliśmy do pomieszczenia, w którym były nowoczesne krzesła i sofa. Na dwóch oknach zaciągnięto zasłony, które filtrowały ostre słoneczne światło.

–Proszę usiąść, pani Kolpath, i powiedzcie mi, co panią sprowadza do pałacu Sargona.

–To niesamowite miejsce – powiedziałam. – Jak to się stało, że pani tu mieszka?

Jedna ze srebrzystych brwi powędrowała w górę.

–Komplement i przygana w jednym? Coś nie tak?

–Nie – odparłam. – Po prostu wygląda to mało zwyczajnie.

–A gdzie jest lepiej? – Przyjrzała mi się, jakby próbowała ustalić, czy może mnie uznać za przyjaciela, czy za wroga, po czym chyba podjęła korzystną dla mnie decyzję. – Mogę zaproponować pani coś do picia?

Zmieszała parę czarnych drinków, a ja podeszłam do okna i odsunęłam zasłonę. Moczarów, które powinny widnieć za horyzontem, nie było. Zamiast tego zobaczyłam miasto z minaretami i wieżyczkami.

–Bagdad w latach świetności – powiedziała. To była projekcja.

–Cudowny – powiedziałam.

–Powinna go pani zobaczyć nocą, kiedy zapalają się światła. – Podała mi drinka. – Doszłam do wniosku, że życie na Rimway za bardzo mi się nie podoba. Więc wróciłam do lepszych czasów.

Rozejrzałam się po pokoju, z klimatyzacją, ścianami z syntetycznych materiałów i aparaturą VR. Roześmiała się.

–Proszę mnie nie brać za idiotkę. Biorę, co najlepsze z obu tych światów. Bagdad jest romantyczny, ale należy go trzymać na dystans.

Skosztowałam drinka i pochwaliłam go.

–To mój ulubiony – odparła. Wykonała ruch, jakby zamierzała usiąść, ale zmieniła zdanie. – Pani Kolpath, coś pani pokażę.

Ruszyliśmy znów korytarzem, skręciłyśmy kilka razy, minęłyśmy parę pomieszczeń i weszłyśmy do ogromnej sali. Przez ciemność wdzierała się tu tylko jedna przefiltrowana smuga słonecznego światła. Wszędzie były gliniane naczynia i kamienne cylindry. Wszystkie rzeźbione.

–Każda grupa opowiada jakąś historię – powiedziała. – Tam spisano czyny Senacheryba. Z prawej, sławne czyny Esarhaddona. A tam – wyciągnęła latarkę, włączyła ją i skierowała promień na podium – jest Kryształowy Tron.

–Co to jest Kryształowy Tron?

–Tron Sargona, moja droga. Rodzice nie dbali o twoją edukację?

–Czasem też mi się tak wydaje.

Zaśmiała się i był to przyjemny dźwięk, przypominający brzęczenie kostek lodu.

–Jest pani czymś w rodzaju strażnika, prawda?

–Czymś w rodzaju. Choć w rzeczywistości zabezpieczeniami zajmuje się SI. – Uśmiechnęła się. – To tak na wypadek, gdyby jakieś myśli chodziły ci po głowie.

–Skądże – odparłam. – Nie mam pomysłu, co można by zrobić z kryształowym tronem.

Wróciłyśmy do salonu, gdzie przygotowała kolejnego drinka.

–A teraz powiedz, jaka to sprawa związana z Margaret cię tu sprowadza.

–Była pani bliską przyjaciółką, prawda?

–Margaret Wescott. – Rozejrzała się po pokoju, jakby próbując coś znaleźć. – Tak. Nigdy nie poznałam nikogo podobnego.

–W jakim sensie?

–Była niesamowitą kobietą. Wszystkim się przejmowała. Osoba, za której przyjaciółkę się uważała, mogła być – pewna, że Margaret zawsze przybędzie jej na ratunek w razie potrzeby.

–A Adam? Dobrze go pani знаła?

Zastanowiła się.

–W porządku facet. Jak większość mężczyzn: trochę powolny, zajęty sobą. Chyba nigdy nie potrafił docenić, jaki skarb mu się trafił. Mam na myśli ją.

–Uważał to za coś, co mu się po prostu należy?

Uśmiech.

–Och, tak. Adam był zbyt zajęty patrzeniem w gwiazdy, martwieniem się o rzeczy, które były daleko stąd, zbyt zajęty, żeby patrzeć na coś, co miał pod nosem.

–Ale nie traktował jej źle?

–Och, nie. Adam nie skrzywdziłby muchy. I kochał ją. Tylko że to była jakaś taka ograniczona miłość. Kochał ją, bo była fizycznie atrakcyjna, bo te same rzeczy sprawiały jej przyjemność, bo mieli wspólną pasję, badanie niepoznanego. I dlatego, że była matką jego córki. – Rozejrzała się znów po pokoju. – Ponuro tu jakoś. Może odsuniemy trochę zasłony, moja droga?

Zrobiłam, o co prosiła, i do pokoju wlało się światło słońca.

–O wiele lepiej – powiedziała. – Dziękuję ci. Poznałaś jej córkę, Delię?

–Tak.

–Bardzo sympatyczna. I tak bardzo podobna do matki. Zamilkła, najwyraźniej rozmyślając o przeszłości. Postanowiłam to wykorzystać.

–Czy Margaret kiedykolwiek zasugerowała pani, że ona i Adam mogli odkryć coś niezwykłego podczas swoich lotów?

–Och, tak – odparła. – Nie wiedziałaś o tym?

–Wiedziałałam, że coś znaleźli.

–Zawsze prosiła mnie, żebym zachowała to w tajemnicy.

–Co oni znaleźli? – spytałam.

Powróciła do teraźniejszości i przyjrzała mi się uważnie, jakby zastanawiając się, czy może mi zaufać.

–Nie wiesz?

–Nie. Wiem, że coś odkryli, ale nie wiem co. Czy oni znaleźli Margolę?

Wpatrywała się we mnie.

–Znaleźli „Poszukiwacza”.

–„Poszukiwacza”.

–Tak. – Skinęła głową. – Wiesz, o czym mówię? – Tak.

–Wracali do niego kilka razy i próbowali pozyskać jakieś informacje. Ale wszystko było zbyt stare.

–Tak przypuszczałam.

–Mieli nadzieję, że dzięki niemu znajdą drogę do Margolii.

–I nie udało im się.

–Nie. Ale nie mieli dość czasu. Właśnie pracowali nad tym problemem, kiedy pojechali na te przeklęte narty.

–Gdzie jest „Poszukiwacz”?

–Nie wiem. Powiedziała mi raz, ale nie pamiętam. To były współrzędne. A kto pamięta jakieś liczby?

–Jest pani pewna?

–Niestety.

–Nie zapisała ich pani?

–Może, ale minęło już tyle czasu. – Znów się uśmiechnęła.

–Przykro mi. Wiem, że nie to chciałaś usłyszeć.

–Nie szkodzi. Ale że oni rzeczywiście znaleźli „Poszukiwacza”...

–Tak.

–Czemu pani nikomu nie powiedziała?

–Chyba nie chcieli, żebym to zrobiła. I nie powiedziałabym tobie, gdybyś nie wspomniała o Margolii. Więc część historii już znałaś i doszłam do wniosku, że nic się nie stanie.

–Spojrzała na mnie uważnie. – Mam nadzieję, że się nie mylę.

–Nie mam zamiaru szargać niczyjej reputacji – odparłam.

–Przypuszczam, że weszli na pokład?

–Zgadza się.

–Powie mi pani, co zobaczyli?

–Wymarły statek. – Zniżyła głos, jakbyśmy znalazły się w świętym miejscu. – Z pełną obsadą.

–Załogi?

–Pasażerów. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Margaret, kiedy mi o tym mówiła.

Mój Boże, pomyślałam. Ile ten statek mógł pomieścić? Dziewięćset osób?

–Zginęli razem – powiedziała. – Bez względu na to, co tam się stało, zginęli razem.

Kiedy wróciłam do biura, czekała na mnie wiadomość od Delii Wescott.

–Mam coś, co może chciałaby pani zobaczyć. Ma pani ochotę wpaść na wyspę?

Delia mieszkała na Sirice, kilkaset kilometrów na południowy wschód od Andiquaru. Przekazała mi, jak się tam dostać, więc wsiadłam do pociągu jadącego na południe do Wakkaidy, nadmorskiego miasta na południu. Tam złapałam taksówkę i rozsiadłam się wygodnie na tylnym siedzeniu; po chwili pojazd zbliżył się do linii brzegowej, a następnie poleciał nad morzem.

Był już wczesny wieczór. Niebo było czyste i na wschodzie zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. Taksówka przeleciała nad kilkoma dużymi wyspami i włączyła się do lokalnego ruchu. Na horyzoncie pojawiła się Sirika. Nie wyróżniała się niczym szczególnym. Ot, miejsce dla ludzi, którzy mają dużo pieniędzy i wolą się izolować. Jej populacja liczyła zaledwie kilka tysięcy.

Domy na tej wyspie były absurdalnie duże i wszystkie miały kolumny, kolumnady i baseny. Wszystkie miały też hangary na łodzi, które wyglądały lepiej niż domy większości innych ludzi.

Skręciliśmy w kierunku willi na szczycie wzgórza. W porównaniu z domami sąsiadów wyglądała skromnie. Stała na środku wielkiego trawnika. Obok był elegancki domek dla gości. Zawisłam nad lądowiskiem i z komunikatora rozległ się głos Delii:

–Witam panią na Sirice, Chase.

W domu otworzyły się drzwi i na chodnik wypadła dwójka dzieci, chłopiec i dziewczynka. Delia szła za nimi.

Taksówka wylądowała, dzieci wznosiły radosne okrzyki, a ja wysiadłam. Delia przedstawiła mi je. Chciały zajrzeć do środka taksówki, więc kazałam jej chwilę poczekać, zanim zapłaciłam i pozwoliłam jej odlecieć. Potem odbiegły, ścigane ostrzegawczymi okrzykami matki, żeby nie odchodziły za daleko, bo kolacja prawie gotowa. Delia odprowadzała je dumnym spojrzeniem, aż znikły w kępie drzew.

–Z Andiquaru jest tu dość daleko – powiedziała. – Cieszę się, że się pani wybrała.

–Czytałam po drodze dobrą książkę – odparłam.

Weszliśmy do środka. Dom był urządzony dość pretensjonalnie. Wysokie sufity, dużo oryginalnych dzieł sztuki, marmurowe podłogi.

–Mój mąż musiał wyjechać w interesach – powiedziała. – Prosił, by przekazać, że jest mu przykro, iż nie może się z panią spotkać.

Zaprowadziła mnie do salonu. Był niewielki i przytulny, wyglądał raczej na miejsce rodzinnego wypoczynku. Dwa fotele, sofa, bejcowany na ciemno niski stolik, na którym stało jakieś metalowe pudełko. Grała muzyka. Rozpoznałam wykonawców: Bullet Bob i Rykoszety.

–Wiem, że bardzo się pani niecierpliwi i chce spytać, dlaczego prosiłam, żeby pani przyleciała – powiedziała.

–Kiedy zapytała mnie pani o „Poszukiwacza”, zadzwoniłam do mojej ciotki Melisy. Wychowała mnie po śmierci rodziców. Nie wiedziała nic na temat odkrycia, ale ona i mój ojciec nie utrzymywali ożywionych kontaktów. Zresztą ciotka Melisa nie interesowała się kosmosem.

–Zadzwoniłam do niej, zgodnie z obietnicą, i na początku powiedziała, że nie zostało jej nic godnego uwagi. Z rzeczy po moich rodzicach. Ale szukała dalej i parę dni później zadzwoniła do mnie, informując, że jednak coś znalazła. – Delia wskazała pudełko.

Spojrzałam na nie, a ona skinęła głową. Proszę otworzyć.



W środku była poskładana biała koszula, owinięta w plastikowe opakowanie. Miała taki sam emblemat z orłem jak ten, który widziałam na kubku.

–Piękna – powiedziałam.

–Melisa mówi, że teraz sobie przypomina: takich rzeczy było więcej. Ubrania, buty, elektronika. Dyski z danymi.

–Mój Boże. Co się z tym stało?

–Zostały wyrzucone. Mówi, że trzymała to przez parę lat, ale wyglądało na stare, a elektronika nie nadawała się do niczego, do niczego nie pasowała, więc ciotka nie widziała powodu, żeby to trzymać. Zachowała na pamiątkę tylko tę koszulę.

–Dysków też się pozbyła?

–Twierdzi, że wyrzuciła wszystko. – Westchnęła. Ja też. – A teraz proszę pozwolić mi przejść do drugiego powodu, dla którego chciałam z panią porozmawiać. – Zrobiła zmartwioną minę.

–Słucham.

–O ile się pani nie myli, o ile oni rzeczywiście odkryli „Poszukiwacza”, oznacza to, że o tym nie zameldowali. Okazuje się więc, że moi rodzice ukrywali informacje przed Agencją.

–Tak – odparłam. – Na to wygląda.

–To jakaś poważna sprawa?

–Nie wiem.

Powiedziałam jej, dlaczego moim zdaniem zachowali to w tajemnicy. Może byli przekonani, że należy chronić artefakt. Przedstawiłam to najlepiej, jak mogłam. Ale Delia nie była głupia.

–Bez znaczenia – odparła. – Jeśli tak było, sprawa wygląda paskudnie.

–Pewnie tak.

–Chase, nie chciałabym mieszać się w coś, co mogłoby zaszkodzić ich reputacji. – Zamilkła i rozejrzała się po pokoju.

–Rozumie pani, co mam na myśli?

–Tak.

–Więc nie wiem, co zamierzam z tym zrobić.

–Dołożę wszelkich starań, żeby ich ochronić.

–Ale wiele nie zdoła pani zrobić, prawda?

–Pewnie nie – przyznałam.

W drodze powrotnej oglądałam *Wniknięcie*, klasyczny horror, w którym obdarzeni doskonałymi możliwościami fizycznymi, a zarazem pozbawieni uczuć ludzie z Margolii przenikają do Konfederacji. Uznają, że jesteśmy zagrożeniem dla postępu, który definiują jako „wyższy” zestaw wartości moralnych. Wśród których najwyraźniej nie ma zakazu mordowania ludzi odkrywających ich tajemnicę albo po prostu wchodzących im w drogę.

Jeśli go widzieliście, na pewno pamiętacie rozpaczliwą pogoń między estakadami i wieżowcami Nowego Jorku, podczas której bohater, umykając przez kilkunastoma żądnymi krwi Margolianami, próbuje skontaktować się z władzami, żeby je ostrzec. Podczas ucieczki bohater stosuje różne triki, żeby się wymknąć, korzystając z oleju do smarowania, układów elektrycznych, automatycznej myjni i jeszcze paru innych urządzeń. Margolianie potrafią zalewać widza pustostwami i zginać metal i takie tam, kiedy jednak dochodzi do starcia, okazuje się, że właściwa ludziom Konfederacji dobra, stara pomysłowość zawsze wygrywa. Szczególnie podobał mi się ten numer ze smarem, kiedy to prześladowcy ślizgają się po niewykończonym tarasie.

Nie przepadam za horrorami. W tym konkretnym ginie jakieś dwadzieścia osób, zabitych w różny sposób, z dużą ilością tryskającej krwi, wydłubywaniem różnych elementów ciała i nabijaniem na pal. (Nie mam pojęcia, po co Margolianie biegali z tymi długimi pogrzebaczkami, skoro mogli wyposażyć swoich ludzi w paralizatory). Taka liczba zamordowanych ofiar w jeden wieczór to za dużo jak na moje możliwości. Ale chciałam uchwycić, co ludzie mogli wymyślić na podstawie historii o Margolianach.

*Wniknięcie* było dość zabawne, w jakiś dziecinny sposób. Ale coś takiego nie mogłoby się wydarzyć.

# JEDENAŚCIE

Opuszczamy tę planetę na zawsze i zamierzamy polecieć tak daleko, że sam Bóg nas tam nie znajdzie.

Przypisywane Harry'emu Williamsowi

(Uwagi podczas przygotowań Margolian

do opuszczenia Ziemi)

Zrobiłam kilka zdjęć białej koszuli i pokazałam je Aleksowi.

–Sądysz, że jest autentyczna? – spytał.

–Nie da się ustalić na podstawie samych oględzin. Ale Delia chyba nie miała powodu, by kłamać.

–Pewnie tak. – Alex nie mógł powstrzymać uśmiechu, który nieomal rozjaśniał cały pokój. – Chase, nie mogę w to uwierzyć. Gdzieś tam jest statek.

–Szkoda, że nie zachowały się dyski z danymi Wescottów.

–Ciotka naprawdę je wyrzuciła?

–Tak twierdzi Delia.

–A zapytałaś? To znaczy ciotkę?

–Nie. Nie widziałam powodu.

–Spróbuj. Może jednak coś zatrzymała. Może wie, dokąd zostały zabrane. Może jeszcze uda się je znaleźć.

–Zachowujesz się jak desperat, Aleksie.

Ale zadzwoniłam. Delia dała mi kod ciotki. Ciotka zaczęła się zastanawiać, czy jestem zdrowa na umyśle. Wyrzuciła je do śmieci trzydzieści lat temu.

Najwcześniejsze poważne próby osiedlania się na innych planetach podjęto dwieście lat przed lotami „Poszukiwacza” i „Bremerhaven”. Według podręcznika historii pionierami kierowała nie tyle desperacja, co poszukiwanie przygód, chęć ucieczki przed monotonią cywilizacji i niektórymi jej niebezpieczeństwami. Mieli też nadzieję na zabicie fortuny na dzikim pograniczu. Polecieli na Syriusza, Groombridge, Epsilon Erydana i 61 w gwiazdozbiornie Łabędzia.

**Pierwsze statki międzygwiazdne były wolne, więc stosunkowo krótkie loty do najbliższej gwiazdy trwały wiele miesięcy. Ale tysiące ludzi zdecydowało się na opuszczenie Ziemi, zabierając rodziny, i osiedlały się na planetach uznanych za nadające się do zamieszkania.**

**Jednak żadna z tych wczesnych akcji nie zakończyła się sukcesem.**

**Kolonie, które teoretycznie miały być samowystarczalne, napotykały różne trudności, na które nie mogły nic poradzić, jak cykle zmiany klimatu, wirusy, problemy z uprawami. Pomoc techniczna z ojczystej planety, na początku stała, z czasem stawała się sporadyczna, aż w końcu zanikła.**

**Ci, którzy przeżyli, wrócili do domu.**

**Na pierwszą kolonię, której się naprawdę udało, przyszło poczekać jeszcze kolejny tysiąc lat. Osiemset lat po wyprawie Margolian.**

**Na fali eksplozji nieskrępowanego optymizmu „Poszukiwacza” zaprojektowano tak, by można było nim transportować całe populacje na planety przeznaczone do kolonizacji. Podczas margoliańskiej misji jego kapitanem była Taja Korinda, wcześniej pilotująca „La Pierre” w ramach misji, która odkryła obdarzoną życiem planetę w układzie Antaresa. Pierwszym oficerem był Abraham Faulkner. Faulkner był najpierw politykiem i dostrzegł, w jakim kierunku to wszystko zmierza; legenda głosiła, że przerzucił się na pilotaż, by móc uciec, kiedy tylko pojawi się taka potrzeba.**

**Znalazłam hologramy Korindy i Faulknera. Kiedy pokazałam je Aleksowi, powiedział, że Korinda jest bardzo do mnie podobna. Była atrakcyjną kobietą i w ten niezgrabny sposób Alex próbował obdarzyć mnie komplementem. Doskonale sobie radzi z klientami, ale w kontaktach ze mną chyba ma problemy.**

**Faulkner wyglądał na faceta o zdecydowanych poglądach. Wysoki, krzepki, szeroki w ramionach, stanowczo przyzwyczajony do wydawania rozkazów. Miał jakieś czterdzieści lat. Typ faceta, którego wszyscy traktują poważnie.**

**–Ale tak naprawdę to chcielibyśmy pogadać z Harrym – powiedział. – To on był duszą i sercem całej tej operacji.**

**Wtedy nie znano jeszcze awatarów, ale Jacob mógł jakiegoś spreparować w oparciu o dostępne dane na temat Williamsa. Problem w tym, że nie były one szczególnie dokładne. Ale z awatarami zawsze był taki problem.**

**–Nie ma zbyt wielu danych – poskarżył się Jacob. – A autentyczność niektórych informacji jest kwestionowana.**

**–Zrób, co możesz – poprosił Alex.**

–To potrwa parę minut. Muszę wykonać kilka połączeń i zasięgnąć opinii.

–Dobrze. Daj znać, kiedy będziesz gotowy.

Tego ranka Alex wydawał się jakiś roztargniony. Czekanie umiłił sobie spacerowaniem po domu, ustawianiem krzeseł i poprawianiem zasłon. Zatrzymał się przed jedną z biblioteczek i spojrzął na tomy.

–Aleksie, wszystko w porządku? – spytałam.

–Pewnie. – Podeszedł do okna i spojrzął w czerwonawe, zasnuwane chmurami niebo.

–Myślisz o tych dyskach.

–Tak. Że ta idiotka po prostu je wyrzuciła.

–To nie jej wina. Skąd mogła wiedzieć?

Skinął głową.

–Dobrze, że przynajmniej nie wyrzuciła tej koszuli.

–Sądzisz, że jest choć cień szansy, żeby taka kolonia mogła przetrwać? – spytałam. – Może gdzieś nadal istnieje?

–Margolanie? Po dziewięciu tysiącach lat? – Zrobił tęskną minę. – Fajnie byłoby coś takiego znaleźć. Ale nic z tego. Nie ma szans.

Głupie pytanie. Jeśli gdzieś istnieją, jak wyjaśnić to, że przez ten cały czas nikt nie próbował się z nami kontaktować?

–Może gdzieś tam są, tylko nie chcą, żeby ich znaleźiono.

–Może. Gdyby babcia miała wąsy – odparł.

–Gdybym pisała powieść, to wymyśliłabym, że to oni wywołali trzęsienie ziemi, które zabiło Wescottów i zakończyło ich poszukiwania.

–A po co mieliby trzymać swoje istnienie w tajemnicy?

–W ich oczach jesteśmy barbarzyńcami.

–Mów za siebie, Chase. – Odchrząknął i opadł na sofę. – Musieli wymrzeć, i to szybko.

–Czemu tak sądzisz?

–Bo ich potomkowie nie mieliby ochoty pielęgnować urazy Harry’ego Williamsa i jego przyjaciół. To po prostu niemożliwe. Skontaktowaliby się. Kiedyś. I wszystkim wyszłoby to na dobre. – Przymknął oczy. – Musieliby. Choćby z jednego powodu: po kilkuset latach byłiby równie ciekawi nas, jak my ich. Ale miejsce, gdzie założyli kolonię, gdzieś tam jest. I mówię ci, Chase, że jeśli ściągniemy stamtąd jakieś artefakty, zarobimy na tym mnóstwo pieniędzy.

Zapadło długie milczenie. Po chwili dotarło do mnie, że ktoś za mną stoi, koło drzwi do biura. Był to wysoki, ciemnoskóry mężczyzna w średnim wieku, odziany w strój z innej epoki. Kremowa kamizelka, luźna czarna koszula rozpięta do pępka, białe spodnie, jakie zwykle nosi się nad morzem. Wszystko odrobinę bardziej krzykliwe niż obecnie. Uśmiechnął się, spojrzał na mnie, następnie na Aleksa, po czym odezwał się najgłębszym barytonem, jaki w życiu słyszałam.

–Harry Williams – rzekł Alex, prostując się.

–Do usług, proszę pana. Pani Kolpath, ja bym tak pochopnie nie odrzucał tej możliwości, że kolonia przetrwała.

–Przemaszerował przez pokój i zajął krzesło obok Aleksa.

–Sądzi pan, że potrafilibyście znaleźć planetę, na której założono kolonię?

Zatrzymałam projekcję.

–Aleksie, o ile mi wiadomo, nie zachowała się żadna podobizna.

–Trzeba być upartym. – Wyszczерzył się. – Nigdy się nie poddawaj. To moje motto.

–Gdzie to znalazłeś?

–Kilka jednak się zachowało. Ta pochodzi z serii pamiątek kogoś, kto żył w jego czasach.

Ten facet nieźle wyglądał. Jakoś szlachetnie i tak dalej. Byłam w stanie zrozumieć, dlaczego ludzie byli gotowi za nim pójść. Nawet bardzo daleko, do miejsc, gdzie nie ma restauracji. Alex pstryknął swoim notesem i znów uruchomił Harry’ego.

–Waszym celem były „wolne umysły w wolnym społeczeństwie”. To pańskie słowa, prawda?

–Tak.

–Szlachetne zamierzenie.

Skinął głową.

–Niestety, w rzeczywistości jest to tylko ładna przenośnia. Nikt nie żyje w wolnym społeczeństwie.

–My żyjemy.

–Wątpię. Wszyscy wierzymy w to, w co wierzyli nasi rodzice. W ciągu pierwszych lat życia, kiedy jesteśmy otwarci na wszystko, chłoniemy to, co nam podstawiają dorośli, bo zakładamy, że oni wiedzą, o co w tym chodzi. Jesteśmy podatni. A potem, jeśli zdecydujemy się na odrzucenie lokalnej mitologii, płacimy za to wysoką cenę. Rodzice marszczą gniewnie brwi, przyjaciele doznają szoku, spotka nas ostracyzm. Nie ma niczego takiego jak wolne społeczeństwo.

Pojawiła się sofa, a on opadł na nią.

–Chyba nie mówi pan o nas.

Uśmiechnął się.

–Wolność to złudzenie.

Patrzyliśmy na siebie przez szerokość pokoju. Równie dobrze mogły nas dzielić lata świetlne. Alex uśmiechnął się złośliwie. Naprawdę zamierzasz dyskutować o filozofii z tym facetem?

Brnęłam dalej.

–Nie sądzi pan, że to lekka przesada?

–Jesteśmy istotami plemiennymi, pani Kolpath. Możemy mówić o wolności, ale lepiej nie mówić rzeczy, których plemię nie chce usłyszeć. I nie postępować tak, by łamać ustalone normy.

–Na przykład?

–Nie wiem, gdzie jestem. – Rozejrzał się po biurze, spojrzął na antyki przygotowane dla klientów i na kilka oprawionych dyplomów. – Zbieracie artefakty.

–Tak.

–Zarabiacie tym na życie.

–Zgadza się – odparłam.

–Pozyskujecie je bezpośrednio w miejscach, skąd pochodzą?

Można było się tego domyślić, czytając oprawiony zwój od Uniwersytetu Coryn.

–Tak. Czasami.

Spojrzał na Aleksa.

–Nazwano was kiedyś hienami cementarnymi?

–Doskonały przykład – rzekł Alex.

–Więc jeśli chodzi o wolne społeczeństwo, to chyba byłoby tyle.

–To co innego.

–Dlaczego co innego? Zarabiacie uczciwie na życie, czyż nie? Ale jest coś takiego jak instynkt plemienny nakazujący uznanie miejsc pochówku za święte. Chyba że ktoś pracuje dla muzeum.

–Może na ten temat porozmawiamy innym razem – wtrącił Alex. – Harry, chcielibyśmy znaleźć planetę, na której założono kolonię. Wie pan, gdzie ona może być?

–Nie mam zielonego pojęcia. Źródła, których użył Jacob do utworzenia tego programu, nie zawierały takiej informacji.

–Szkoda.

Ten facet miał charyzmę. Czy raczej: czuło się jego obecność. Siedziałam, mając wrażenie, że obok mnie jest ktoś ważny. Sposób, w jaki się uśmiechał, w jaki zakładał nogę na nogę, w jaki z nami rozmawiał. Był przyzwyczajony do wydawania rozkazów, przejmowania dowodzenia, stawiania czoła temu, co stanęło mu na drodze. Wiedziałam, że to wszystko po prostu program i prawdziwy Harry Williams mógł być zupełnie inny. Ale jednak jego osobowość i sposób mówienia ustalono w oparciu o to, co o nim wiedzieliśmy.

–Ile czasu minęło? – spytał.

–Dziewięć tysięcy lat.

Otworzył szeroko oczy. Przełknął i zaczerpnął głęboko powietrza. Dostrzegłam w jego oczach strach.

–Naprawdę chcecie mi powiedzieć, że nie wiadomo, gdzie oni są?

–Naprawdę.

–Jak to możliwe?

–Nigdy już o nich nie słyszano. Nigdy.

–Od kiedy?

–Odkąd opuścili Ziemię.

Prawie przestał oddychać.



–Mój Boże. – Odrzucił głowę do tyłu. – Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać. Czy mogę spytać, gdzie się znajdujemy?

–Nie jesteśmy na Ziemi.

–Zdumiewające. – Uśmiechnął się. – To nie żart, prawda?

Alex potrząsnął głową. Nie.

Harry wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

–Wygląda jak Ziemia.

–Większość roślin w ogrodzie została specjalnie zaprojektowana. Ale reszta, czyli drzewa, trawa, co tam jeszcze, to rodzime gatunki z Rimway.

–Tak się nazywa ten świat? Ta planeta?

–Tak. Jesteśmy prawie na skraju Ramienia Oriona. Kiedyś była to najbardziej oddalona od Ziemi kolonia ludzka.

–Cudownie – rzekł. Ale w oczach miał łzy. – I nigdy nie natrafiliście na ślad tamtej kolonii?

–Nigdy.

–Przez dziewięć tysięcy lat?

–Tak.

–Niewiarygodne. Zrobiło się mi go żal.

–I nie było z nimi żadnego kontaktu, odkąd opuścili Ziemię?

–Nic nam o tym nie wiadomo.

–Cóż – rzekł. – Mieliśmy jakiś plan. Może wykazaliśmy się nadmiernym optymizmem.

Usłyszałam jakieś głosy na zewnątrz. W pobliżu bawiły się dzieci.

–Harry, udało się wam dochować tajemnicy aż za dobrze. Więc nie mamy żadnych informacji. A zatem pan też ich nie ma.

–Coś poszło nie tak, jak powinno.

–Zapewne.

–Trudno mi pojąć, co takiego mogło się stać. Planowaliśmy, że będziemy sobie radzić sami,

**dopóki nie zdołamy stworzyć takiego społeczeństwa, jak chcemy. Ale żeby całkowicie zniknąć? Niepojęte.**

**–To było ryzykowne przedsięwzięcie – powiedziałam. – Na pewno pan o tym wie.**

**–Braliśmy pod uwagę każdą ewentualność.**

**–Coś pominęliście.**

**–Tak. Zapewne tak.**

**Alex potrząsnął głową, zaskoczony.**

**–Harry, nie mieliście wtedy komunikacji nadświetlnej, prawda?**

**–Nie.**

**–Jeśli więc pojawił się jakiś poważny problem, uzyskanie pomocy było niemożliwe. „Poszukiwacz” albo „Bremerhaven” mogły najwyżej wrócić.**

**–Zgadza się.**

**–Co oznaczało, że na pomoc trzeba było czekać dwa lata.**

**–Tak.**

**–Aleksie, do czego ty zmierzasz?**

**–Mattie Clendennon powiedziała, że Wescottowie znaleźli dryfującego „Poszukiwacza”. Że w chwili, kiedy doszło do awarii, czy co tam się stało, miał na pokładzie komplet pasażerów. – Zwrócił się do Harry’ego. – Czy były jakieś plany przewiezienia znacznej części populacji w jakieś inne miejsce? Już po skolonizowaniu Margolii?**

**–Przewidywaliśmy, że kiedyś może zajść taka potrzeba. Kiedyś. Ale nie mieliśmy żadnych konkretnych planów przeprowadzki. Było nas wtedy za mało, żeby w ogóle o tym myśleć.**

**–Dokąd więc polecili?**

**Kiedy Harry potrząsnął głową, Alex spytał, czy w tej grupie były jeszcze jakieś inne statki.**

**–Nie. Tylko te dwa transportowce.**

**–Te statki międzygwiazdne były dość stare, kiedy je kupiliście, prawda?**

**–Tak. Zgadza się. Ale przeszły proces certyfikacji. Zapłaciliśmy za ich zbadanie i naprawę.**

–Tylko że jeśli wierzyć naszym danym, po każdej misji powinny przejść remont. Gdyby oba uległy awarii, albo zostały doprowadzone do takiego stanu, że naprawa byłaby niemożliwa, wasi ludzie mogli łatwo gdzieś utknąć.

–Ale szansa na to, że zepsują się oba, nie była zbyt duża.

–Nie byłbym tego taki pewien. Oba wymagały napraw. Byliście przygotowani na ich naprawianie? W dłuższym okresie?

–Tak. Mieliśmy personel serwisowy.

–A mieliście jakiś plan na wypadek śmierci fachowców w pierwszym pokoleniu? Jakiś plan, żeby ich zastąpić?

–W chwili startu oczywiście nie. Nie była to jedna z tych rzeczy, którymi wtedy jakoś szczególnie się zajmowaliśmy. Posłuchajcie, przecież lecieliśmy na nadającą się do zamieszkania planetę. Gdzie było bezpiecznie. Zabieraliśmy ze sobą – wszystkie rozwiązania techniczne, które były nam potrzebne. Nie chcieliśmy kontaktować się z Ziemią, więc zorganizowaliśmy wszystko tak, żeby nie było to potrzebne. – Wziął głęboki oddech. – Nie mogę ogarnąć tego upływu czasu – powiedział. – Dziewięć tysięcy lat to za długo. Czy na Ziemi nadal istnieje jakiś zorganizowany system polityczny?

–Tak, Harry – odparł Alex.

–Jaki to system? A w jakim systemie politycznym żyjecie wy, tutaj?

–Mamy republikę. Ziemia zresztą też. Ludzkość zamieszkuje ponad sto planet. I na pewno ucieszy pana informacja, że żyje nam się dobrze, mamy wolne organizacje, według każdej rozsądnej definicji. Życie jest naprawdę w porządku.

–Nie mogę wyjść z podziwu.

–Nie przypuszczał pan, że sobie poradzimy?

–W moich czasach sobie nie radziliśmy. – Wyrzwał na trawnik. Robiło się późno, niebo było szare i chłodne. – To wygląda zupełnie jak Ziemia.

Coś przeleciało tak szybko, że nie można było mu się dobrze przyjrzeć. Spojrzał w tym kierunku.

–Nie mogę uwierzyć, że naprawdę jestem na obcej planecie.

–Nie myślimy o tym w ten sposób.

–Pewnie nie. Czy tam jest cmentarz?

–Tak, tuż za granicą posiadłości.

–Wygląda na stary.

–Był tu już, kiedy byłem mały. Wychowałem się tutaj. – Alex uśmiechnął się. – Zawsze się go bałem.

–Od jak dawna tu jesteście? To znaczy ludzie, na Rimway?

–Długo. Ponad sześć tysięcy lat.

Potrząsnął głową.

–To dłużej, niż istniała cywilizacja na Ziemi w moich czasach.

–Podobnie. – Alex wpatrywał się w niego intensywnie.

–Więc nie podobało się wam życie w Amerykańskiej Republice?

–Szukaliśmy lepszego miejsca.

–A gdzie kupiliście statki?

–„Poszukiwacz” został kupiony od firmy Interworld. Handlarza wrakami. „Bremerhaven” zbudowali Chińczycy. W swoim czasie był słynny. Należał do floty, która transportowała ludzi i sprzęt na Utopię.

–Utopię? – spytałam.

Harry westchnął.

–Jedno z pierwszych przedsięwzięć kolonizacyjnych. Też nie odniosło sukcesu. – Przespacerował się wzdłuż biblioteczki, odczytując tytuły. – Nigdy nie słyszałem o tych autorach – powiedział.

Alex zignorował tę uwagę.

–Czy lot do gwiazd był pana pomysłem? – spytał.

Harry rzucił mu znużone spojrzenie.

–Nie przypuszczam, by mógł to być pomysł jednego człowieka. – Zrobił minę, jakby próbował sobie coś przypomnieć. – Ta idea pewnie zakiełkowała w jakiejś grupie. Nie przypominam sobie, żeby wystąpiła z nią jedna osoba. Było dużo rozmów o ucieczce. Czy zdołamy zdobyć statek? Czy uda nam się znaleźć odpowiednią planetę? Na początku to były tylko dyskusje. – Wyglądał, jakby emocje go pokonały. – „Nasze własne miejsce”. To było jak mantra.

**–Jak udało się wam znaleźć pięć tysięcy chętnych do lotu?**

**–Blizsza prawdy byłaby liczba pięć tysięcy trzysta. Zaczęliśmy od osiemdziesięciu. Ale to za mało z punktu widzenia genetyki, więc rozpowszechniliśmy plan wśród znajomych. Takich, którzy również byli znużeni społeczeństwem, w jakim przyszło nam żyć.**

**–I tak po prostu podjęli decyzję?**

**Zaśmiał się.**

**–Niewielu ludzi, nawet najbardziej odważnych, chce na zawsze opuścić dom. Ale mieliśmy stały napływ chętnych, aż w końcu musieliśmy zakończyć nabór.**

**–Były inne próby kolonizacji. Wspomniał pan o Utopii.**

**–Tak. Zanim my byliśmy gotowi, już doszły nas słuchy, że się nie udało. Kiedy wylatywaliśmy, było o tym wiadomo od dawna.**

**–Jak zareagował rząd? Podejmował jakieś kroki, żeby was powstrzymać?**

**–Cieszyli się, że się nas pozbędą. Nieoficjalni opiniodawcy, a na końcu cała opinia społeczna, uznali, że brak nam patriotyzmu. Ale oferowano nam wszelką pomoc.**

**–Kto zdecydował, gdzie się osiedlicie?**

**–To nie była decyzja jednej osoby. Wysłaliśmy grupę, paru naukowców, kilku innych specjalistów. Znaleźli odpowiednie miejsce...**

**–I poprzysięgli zachować je w tajemnicy?**

**–Tak.**

**–Moim zdaniem zachowanie czegoś takiego w tajemnicy jest niemożliwe.**

**–Drogi panie – odparł – wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że jeśli ktoś zdradzi miejsce położenia kolonii, podąży za nami całe zło i głupota, przed którymi chcieliśmy uciec. Wie pan, gdzie znajduje się Margolia?**

**–Przecież pan wie, że nie.**

**–W takim razie wygląda na to, że im się udało.**

**–To co teraz robimy?**

**–Nie wiem – odparł Alex. – Masz jakiś pomysł?**

–Moglibyśmy przeszukać wszystkie układy figurujące w zapisach Wescottów. Ale i tak nie będziemy mieli gwarancji, że „Poszukiwacz” nie znajduje się w zupełnie innym miejscu.

–Chase, mówiłaś, że podczas każdej misji przydziela się jakiś określony obszar nieba. Jak duży jest taki obszar?

–Duży.

–A konkretnie?

–Tam, gdzie byli Wescottowie, pewnie zmieści się ze trzydzieści tysięcy gwiazd klasy G.

–Cóż, zawsze to jakieś przybliżenie. – Spojrzał na panel sterowania Jacoba. – A SI?

–Co masz na myśli?

–Może zabieramy się do tego od niewłaściwej strony. Może zamiast próbować odnaleźć ich wynajęty statek, trzeba poszukać statku Agencji, z którego korzystali.

–„Sokoła”.

–Tak się nazywał?

–Tak.

–Czy SI zarejestrowałyby wszystko?

–Tak. Ale Wescottowie mogli usunąć coś, czego nie chcieli ujawnić.

–To chyba poważne przestępstwo, prawda? Gdyby ich złapano...

–Tak.

–Powiedziałaś, że nikt nie sprawdza SI. Więc po co mieliby zadawać sobie trud manipulowania przy niej?

–Słuszna uwaga – odparłam. – Ale zanim zaczniesz się nadmiernie podniecać tą perspektywą, przypomnę ci, że Agencja co kilka lat przeprowadza remont SI. Wpadają, czyszczą system, czasem dokonują jakiejś aktualizacji, a potem instalują wszystko od nowa.

–Co kilka lat?

–Tak. SI, z której korzystali Wescottowie, została skasowana wiele lat temu.

Posiedział przez chwilę w milczeniu, po czym wygłosił kilka uwag ogólnych: o pogodzie, o cmentarzu, o sprawach związanych z firmą. Uznałam, że zamknęliśmy temat, jednak po chwili

**Alex nagle się odezwał.**

**–Spróbujmy i tak.**

**–Co takiego?**

**–Z SI. Może nam się poszczęści.**

**–Aleksie, to nie ma sensu.**

**–Nie mamy nic do stracenia. Zadzwoń i zapytaj. Może mają jakieś centralne archiwum, do którego wszystko ładują. Kto wie?**

**–Wyszedł na lunch z klientem, a ja zadzwoniłam do Agencji. Przywitał mnie jeden z awatarów. Tym razem przedstawiający starszego mężczyznę z brodą.**

**–Witam panią – powiedział. – Czym mogę służyć? Powiedziałam mu, czego szukam: szczegółowych danych na temat lotów Wescottów w latach 80 i na początku 90. Mam nadzieję, że dane z „Sokoła” są jeszcze dostępne.**

**–Wie pani, mamy oficjalne dzienniki w archiwum – powiedział, jakby to mogło mi się do czegokolwiek przydać.**

**–Tak, oczywiście. Ale przypuszczamy, że może w nich tkwić błąd. Chcielibyśmy odtworzyć SI, jeśli to możliwe.**

**–Odtworzyć SI?**

**–Tak.**

**–Proszę chwilę poczekać.**

**Znikł. Agencja nie różni się od wszystkich innych biurokratycznych instytucji. Kiedy proszą, byś poczekał, serwują ci obrazy wodospadów, piaszczystych plaż i górskich szczytów, puszcza jakąś muzykę, a ty czekasz przez godzinę. Tym razem jednak było inaczej. Pojawił się wodospad, ale znikł już po minucie i zastąpił go jakiś człowiek.**

**–Cześć, Chase – powiedział. – Jestem Aaron Winslow. Możesz mnie nie pamiętać, ale poznaliśmy się w zeszłym roku, podczas tej imprezy związanej z „Polaris”.**

**–Kiedy doszło do zamachu.**

**–Tak. Co za straszna historia. Dobrze, że prawie nikomu nic się nie stało. Czym mogę służyć?**

**–Aaronie, pracuję dla Rainbow.**

**–Tak, wiem. Firmy Alexandra Benedicta.**

**–Właśnie. Usiłuję coś znaleźć na temat śmierci Wescottów w 1398 roku. Miałam nadzieję, że może przetrwała gdzieś SI ich statku, „Sokoła”.**

**–Po trzydziestu latach? Nie przypuszczam, Chase. Zasada przeprogramowania SI co sześć misji to nieomal nakaz religijny. – Przygryzł dolną wargę. – Twierdzisz, że korzystali z „Sokoła”?**

**–Tak.**

**–Nic mi to nie mówi. – Spojrzał w bok, pewnie na ekran z danymi. – Poczekaj chwile.**

**–Dobrze.**

**–Z „Sokoła” korzystano, zanim zacząłem tu pracować. Zresztą po ostatniej misji Wescottów został sprzedany.**

**–Coś mu dolegało?**

**–Nie. Po prostu latał już od czterdziestu lat, a wtedy przez taki właśnie okres wykorzystywaliśmy statki.**

**–Teraz trwa to dłużej?**

**–Pięćdziesiąt pięć lat. Kupujemy lepszy towar.**

**–A co się dzieje, kiedy ten okres minie?**

**–Jak się da, sprzedajemy. Jak się nie da, oddajemy na złom.**

**–I wtedy kasuje się SI?**

**Zrobił zaskoczoną minę.**

**–Wiesz, nie mam pojęcia. Nie przyszło mi nigdy do głowy, żeby o to zapytać. – Skrzywił się i zabębnił palcami po jakiejś płaskiej powierzchni. Pewnie po biurku.**

**–Poczekaj sekundę, Chase.**

**Znów pojawiły się ładne obrazki. Tym razem wydmy. I muzyka, która sprawiała, że żywiłeś wobec Agencji przyjazne uczucia. Po chwili znów pojawił się Aaron.**

**–Dowiedziałem się, że tak się teraz robi. Ale nie wiemy, czy na przełomie wieków ktoś zwracał sobie tym głowę. Osiemnaście lat temu mieliśmy związaną z tym sprawę sądową i zaczęliśmy to poważnie traktować, więc teraz wszystko się usuwa.**



**–A byłbyś w stanie sprawdzić, co dokładnie stało się z „Sokołem”?**

**–Zaraz sprawdzę – odparł. – Oddzwonię do ciebie.**

**Nie miałam dużych nadziei w związku z tym rozpytywaniem, ale Alex mi ufał i wiedział, że postaram się wszystko sprawdzić.**

**Kiedy Aaron oddzwonił, trzymał w ręce kawałek papieru.**

**–Chase – powiedział – w 1392 roku odkupiła go Fundacja Hennessy’ego.**

**–Hennessy’ego – powtórzyłam.**

**–Która zajmuje się propagowaniem pokoju z niemotami.**

# DWANAŚCIE

Takmandu jest najpiękniejszym ze światów zamieszkanym przez ludzi. Ma gęste lasy, morza spowite mgłą i zapierające dech trzy księżyce. Jest bardzo oddalone od podniebnych pasażerów i zatłoczonych parków planet Wewnętrznej Konfederacji, a bliskość opanowanych przez demony Aszijurów gwarantuje, że tak już zostanie.

Hyman Kossel, *Podróże*, 1402

Stoki narciarskie też są znakomite.

Leslie Park, cytowany w: *Turysta idealny*, 1403

Fundacja Hennessy'ego mieściła się na Takmandu, w Skupisku Coroli. Takmandu przez kilkaset lat było ośrodkiem politycznym oddalonych planet. Byłam tam raz, jako nastolatka, na wycieczce szkolnej. Wtedy opuściłam Rimway po raz pierwszy i było to jedno z wydarzeń, które zmieniły moje życie. Zwiedzanie historycznych miejsc, będące celem wycieczki, niespecjalnie mnie zajmowało, ale zakochałam się w statku. Nazywał się „Gwiazdny Pył”. I w samym locie. Wróciłam z mocnym postanowieniem, że zostanę pilotem.

Ponieważ teraz na odległości międzygwiazdne można się szybciej komunikować, podróżując fizycznie, niż korzystając z innych sposobów, wiedziałam, że znowu czeka mnie wyprawa. Alex wykręcił się koniecznością zajmowania się firmą. Spotkania z klientami. Troska o ich zadowolenie. Wiesz, jak to jest, Chase.

–Tak czy inaczej – powiedział – nie mam pojęcia o pokładowych SI. Znajdź „Sokoła”. I zobaczmy, czego zdołamy się dowiedzieć od SI.

–Jeśli w ogóle czegoś – odparłam.

Obrzucił mnie spojrzeniem, w którym czaił się optymizm.

–Nie mamy nic do stracenia – rzekł.

Zapakowałam więc kilka dobrych powieści i pustą kość, kompatybilną z urządzeniami „Sokoła”, żeby mieć na co zrzucić dane z SI statku, i wkroczyłam na pokład „Belle Marie”. Pierwszego dnia nowego roku wyruszyłam ku Takmandu i Fundacji Hennessy'ego, której celem było lepsze wzajemne zrozumienie między nami a Aszijurami.

Nigdy nie widziałam żadnego niemoty na żywo. Alex kiedyś z jednym rozmawiał. Jeśli to jest właściwe słowo. Są telepatami i w ich fizjonomii jest coś, co przyprawia o dreszcze. Że nie wspomnę o czytaniu w myślach. Alex opisał to doświadczenie w swoich pamiętnikach. Powiedział mi, że nam i niemotom potrzebne jest nie zrozumienie, ale dystans. „Nie stworzono nas takimi, byśmy mogli koegzystować”.

**–Fundacja istnieje ponad pół wieku – powiedział. – Już powinni zdawać sobie sprawę z tego, jak to wygląda.**

**–Pewnie nadal próbują – powiedziałam.**

**–Taaa. Czasem przychodzi mi do głowy, że to oszuści i naciągacze.**

**Po drodze przeczytałam wszystkie dostępne materiały o Fundacji Hennessy’ego. Prowadzili kilka programów wymiany i różne seminaria: o tym, jak się z nimi komunikować, o naturze psychologii niemot, o tym, jak opanować naturalną odrazę w ich obecności. Niemoty nie wyglądały jakoś przerażająco. Były humanoidalne, ale miały w sobie coś owadziego. Zdjęcia nie zrobiły na mnie większego wrażenia, ale Alex ostrzegł mnie, że to, co głosi wieść gminna, jest prawdą: jeśli tylko znajdziesz się w pobliżu któregoś z nich, włosy staną ci dęba.**

**SI stworzyła mi awatar niemoty, żebym mogła z nim porozmawiać. Rzeczywiście wyglądał odrażająco, jak potwór z horroru. Czerwone oczy, kły, szpony i uśmiezek, który sugerował, że będę jego następnym daniem do konsumpcji. Mimo to nie czułam jakiejś szczególnej odrazy, przed którą mnie ostrzegano.**

**–To dlatego – wyjaśnił Alex – że tak naprawdę go tam nie było i doskonale o tym wiedziałaś.**

**Bez względu na to, co mówił Alex, Fundacja miała na koncie pewne sukcesy. Okazjonalne napaści i potyczki między niemotami a ludźmi ustały. Goście z każdej ze stron spędzali trochę czasu wśród otwartych społeczności, było nawet towarzystwo przyjaźni aszijursko-ludzkiej. Motto Fundacji brzmiało następująco: „Dwa inteligentne gatunki, jeden cel”.**

**Celem, skomentował Alex, było trzymanie się od siebie z daleka.**

**Historyk Wilrord Brockman twierdził kiedyś, że mieliśmy dużo szczęścia, odkrywając niemoty, gdyż to dzięki nim zjednoczyła się ludzka rasa. Pojawiły się kilkaset lat temu i od tego czasu doszło tylko do jednej wojny między ludźmi. Ostatnie kilkaset lat było okresem prawie nieprzerwanego pokoju.**

**Co ciekawe, ten sam efekt można było zaobserwować po stronie niemot. Również miały za sobą długą historię walk wewnętrznych, których liczba wtedy wyraźnie spadła. Nic tak nie jednoczy jak wspólny wróg, czy to w przypadku ludzi, czy niemot.**

**Wyszłam ze skoku jakieś trzy dni lotu od Takmandu. Dałam znać kontroli lotów, że jestem w pobliżu, i zajęłam się czytaniem jednego z kryminałów.**

**Nie jestem jednak w stanie czytać non stop przez sześć albo siedem godzin, więc obejrzałam kilka symulacji na temat legendy o Margolii. W filmie *Ludzie tygrysy z zaginionego świata* misja znajduje zaginioną kolonię, ale planeta jest pokryta bezkresnymi lasami, a ludzie zmienili się w wiecznie wygłodniałe bestie. (Nie wyjaśniono, jak to się mogło stać w ciągu zaledwie kilku tysięcy lat). W *Uwaga, wampir* występuje frachtowiec, który spotyka margoliański statek z**

samotnym pilotem, ten zaś okazuje się... cóż, zgadnijcie sami.

Większość książek na ten temat nie była poważna. Pisali je przeważnie fanatyczni wyznawcy jakiejś doktryny, zwykle lansujący okultystyczne wizje tego, co się stało, czasem sugerujący, że zaginiona kolonia wywiera mistyczny wpływ na ludzi. („Przyślij nam trochę pieniędzy, a nauczysz się, jak wykorzystać w życiu potęgę Margolian”).

Najpopularniejsza teoria, która powstała zaraz po odlocie kolonistów, wprowadzała pojęcie demonicznej gwiazdy. Cytowano nieustannie wypowiedź Harry’ego Williamsa, w której twierdzi on, że polecą tak daleko, iż sam Bóg ich nie znajdzie, co sugeruje istnienie jakiegoś motywu antyreligijnego. Wyznawcy tej teorii głosili, że misja Margolian była od początku skazana na niepowodzenie. Ktoś zasugerował, że w układzie wybranym przez kolonistów pojawiła się czerwona gwiazda, oko Boga, która spowodowała zniszczenie całej kolonii.

Zaczęły krążyć plotki, że wielu ludzi, którzy przeznaczyli czas i pieniądze na misję Margolian, przedwcześnie zmarło. Kiedy mijały lata i nie napływały żadne wiadomości, opowieści o klątwie zyskały coraz większą popularność. Oko Boga przestało być czymś zupełnie abstrakcyjnym.

Zacząłam się zastanawiać, co może osiągnąć naprawdę wolne społeczeństwo przez dziewięć tysięcy lat. Uchodźcy pod wodzą Harry’ego Williamsa wyruszyli z zamiarem odcięcia się od starych błędów i wyciągnięcia wniosków z lekcji, jakiej udzieliła im historia. Ich społeczeństwo miało odrzucać wszelkie ograniczenia z wyjątkiem tych nakładanych przez współczucie i zdrowy rozsądek. Edukacja miała skupiać się na naukach ścisłych i filozofii oraz podkreślać wartość niezależnego myślenia. Wszystko można było kwestionować. Zawodowe zajmowanie się polityką miało być zakazane.

Nieźle to brzmiało. Ale wszystkich nas uwarunkowano jakoś tak, że utopijne pomysły są, cóż, utopijne. Niezbyt praktyczne. Utopie zawsze się rozpadają.

Siedziałam na mostku „Belle Marie”, patrząc na powoli rosnącą tarczę Takmandu. Na bakburcie było widać wielkie skupiska gwiazdne Mgławicy Damy z Woalką, w tym małą, mglistą grupę w pobliżu czegoś, w czym niektórzy dostrzegali prawie ucho postaci. Było to Skupisko Wersenijskie – jak głosiła kompletnie pozbawiona podstaw legenda, właśnie tam Margolianie założyli kolonię. W tej grupie znajdowały się jednak dziesiątki tysięcy gwiazd. Zastanawiałam się, czy w tej chwili widzę światło tego samego słońca, które świeciło Margolianom.

Fundacja Josefa Hennessy’ego ma swoje biura na orbicie. Skontaktowałam się z nimi i zapowiedziałam swoją wizytę, informując, że prowadzę badania naukowe.

Takmandu to wysunięta placówka. Blżej krainy niemot nie ma już żadnej planety Konfederacji. Aszijurska planeta Kappalani znajduje się w odległości mniejszej niż trzy lata świetlne. Dlatego też wypatrywałam jakichś oznak ich bliskości. Zacumowanego statku. Czy nawet samych niemot przechadzających się w hali.

Nic podobnego. Potem dowiedziałam się, że czasem pojawiają się goście stamtąd, ale było to doświadczenie tak nieprzyjemne dla obu stron, że w końcu zawarto umowę. Gdy przylatywali, eskortowano ich w drodze ze statku i wszyscy schodzili im z drogi, tak że nie widzieli żadnych ludzi poza specjalnie szkoloną eskortą.

Stacja Takmandu jest prawdopodobnie największą działającą stacją orbitalną, jaką widziałam w życiu. Roztacza się z niej wspaniały widok na Mgławicę Damy z Woalką, który przyciąga tysiące turystów, zaś na pobliskiej Gammie znajduje się baza wojskowa, więc ruch jest duży, a ze znalezieniem noclegu nie ma problemu. W halach jest mnóstwo klubów, kin VR, sklepów z pamiątkami, a nawet prawdziwy teatr.

Zameldowałam się w hotelu, wzięłam prysznic, zmieniłam ubranie i ruszyłam załatwiać sprawy.

Na kilku pokładach rozmieszczono tam mnóstwo biur instytucji przemysłowych, operacyjnych i naukowych, rozsianych wokół szerokich, malowanych na żywe kolory, łagodnie zakręcających pasaży.

Fundacja mieściła się między biurem podróży a punktem pierwszej pomocy. Dostrzegłam w środku kobietę przy biurku, najwyraźniej pochłoniętą tym, co widniało na ekranie z danymi. Na ścianie za nią wisiał transparent z napisem „ASZIJUROWIE, NASI PRZYJACIELE”. Zatrzymałam się przed drzwiami i przedstawiłam się. Usłyszałam, że ktoś cieszy się z mojego przybycia, i drzwi się otworzyły.

Kobieta w środku uniosła wzrok i uśmiechnęła się.

–Pani Kolpath – powiedziała. – Witam w Fundacji Hennessy’ego. – Przekrzywiła głowę. – Czy może doktor Kolpath?

–„Pani” wystarczy. Albo po prostu „Chase”.

–Cóż, w takim razie witam panią, Chase. – Wyciągnęła rękę. – Jestem Teesha Oranya. – Miała rude włosy, a w oczach niespożytą energię społecznika. – Czym mogę służyć?

–Interesują mnie działania Fundacji – powiedziałam. – Chciałabym zadać kilka pytań.

–Ależ oczywiście. Słucham.

–Próbujecie nawiązywać dobre relacje z niemotami. A dokładnie w jaki sposób to robicie?

–Z Aszijurami – poprawiła. Przez sekundę miała urażoną minę, jakby przed nią objawiło się nagle oblicze jakiegoś fanatyka. – Zasadniczo nawołujemy do otwartego dialogu. Rozmawiamy z nimi. Uczymy innych ludzi, jak z nimi rozmawiać. I uczymy się nie zwracać uwagi na różnice.

–Jakich ludzi? Dyplomatów? Turystów?

**Wskazała mi gestem krzesło.**

**–Handlowców. Ludzi z floty. Badaczy. Czasem ludzi, którzy po prostu chcą się z nimi spotkać i przywitać.**

**Na biurku stało oprawione zdjęcie. Teesha pod drzewem z jakimś niemotą. Zauważyła moje spojrzenie i uśmiechnęła się.**

**–To Kanta Toman – powiedziała. – Sam nazywa siebie „Kanta Wspaniały”.**

**–Poważnie?**

**Zaśmiała się i potrząsnęła głową, dziwiąc się mojemu brakowi obycia.**

**–Jest moim odpowiednikiem. Pracuje dla organizacji dość podobnej do tej. Oni także mają biurokrację, Chase. On w takiej działa i czasem czuje się małym trybikiem.**

**–To mi wygląda na bardzo ludzką reakcję.**

**–Aszijurowie i ludzie mają o wiele więcej cech wspólnych niż różnic. Kły nie powinny pani zmylić. Ani telepatia. Troskliwie zajmują się swoimi młodymi. Jeśli decydują się coś robić, to chcą być w tym dobrzy. Pragną uczucia. Chcą być traktowani przyzwoicie. I przestrzegają zasad etycznych bardzo podobnych do naszych.**

**Kanta Wspaniały był o połowę niższy od niej. Miał szarą skórę i szeroko rozstawione oczy w czerwonych obwódkach. Oczy drapieźnika. Pysk miał otwarty w czymś, co zapewne miało być uśmiechem, ale trudno było dostrzec coś poza zębami przedtrzonowymi, ostrymi jak sztylety. Miał na głowie jakiś idiotyczny kapelusz z szerokim rondem, luźne czerwone spodnie i biały pulower z napisem UNIWERSYTET BELLINGHAM.**

**–To uczelnia dyrektora – wyjaśniła.**

**–Kiedy zrobiono to zdjęcie?**

**–Podczas jego wizyty dwa lata temu. – Westchnęła. – Co za szczęście, że miał poczucie humoru.**

**–Dlaczego?**

**–Była pani kiedyś w jednym pomieszczeniu z Aszijurem?**

**–Nie – odparłam.**

**–Kiedy tu był, zaprosiłam parę osób z hali, żeby się z nim przywitały. Zwykłych podróżnych. Byłam wtedy nowa. – Potrząsnęła głową. – Kilku trzeba było udzielić pomocy.**

**–Naprawdę?**

**–Przyczyna prawdopodobnie była taka, że usiłowali nie myśleć o niczym. Próbowali nie doświadczać żadnych myśli. Jeśli między naszymi gatunkami istnieje jakaś duża różnica, to taka, że panią i mnie łatwiej zaszokować. I jesteśmy mniej uczciwi. W społeczeństwie, gdzie wszyscy znają myśli innych, hipokryzja prawie nie występuje.**

**–To jak stać nago na rogu ulicy.**

**–Otóż to.**

**–Ale pani sobie jakoś radzi.**

**–Dobre szkolenie – odparła. – Ale wróćmy do pani spraw. Co jeszcze chciałaby pani wiedzieć?**

**–Interesuje mnie pewien statek nadświetlny, który Fundacja nabyła w 1392 roku.**

**Uniosła brwi.**

**–W 1392?**

**–Tak. Jeśli SI się zachowała, być może zawiera jakieś informacje, które mogą mi się przydać.**

**–Hm, to ciekawe. – Rozsiadła się wygodnie i poprosiła mnie o wyjaśnienie.**

**–To skomplikowana sprawa – odparłam. – Wiąże się z moim projektem badawczym.**

**Skinęła głową.**

**–Cóż, procedury Fundacji zabraniają osobom postronnym wstępu na pokład.**

**–A byłaby możliwość uzyskania pozwolenia?**

**–A powie mi pani dokładnie, czego szuka?**

**Cóż, to nie była przecież tajemnica wojskowa. Powiedziałam jej więc, że mam powód przypuszczać, iż „Sokół” mógł być porzuconym wrakiem. A zapisy Agencji były niekompletne.**

**–Dobrze. – Wzruszyła ramionami. – W naszej flocie nie mamy żadnego „Sokoła”, więc pewnie zmieniliśmy nazwę. Zaraz zobaczę, co da się zrobić.**

**–Dziękuję.**

**–Rozumie pani, ktoś z techników będzie musiał wejść z panią na pokład.**

**–Oczywiście. Żaden problem.**

**–Dobrze. Zobaczmy, gdzie jest ten „Sokół”. Zwróciła się w kierunku ekranu danych i wydała kilka poleceń. Pojawiły się jakieś informacje. Postukała w ekran, powiedziała coś do siebie i wyświetliła następną stronę. Najwyraźniej nie znalazła tego, czego szukała.**

**–Tu nie ma – powiedziała.**

**–Chce pani powiedzieć, że gdzieś poleciał?**

**–Nie. Że nie ma go w spisie.**

**–Ile macie statków?**

**–Siedem.**

**–I żaden z nich nie jest ani nie był „Sokołem”?**

**–Na to wygląda.**

**Otworzyły się drzwi. Stanęli w nich mężczyzna i kobieta, którzy najwyraźniej się zegnali. Mężczyzna miał białą brodę. Bruzdy na jego twarzy świadczyły o tym, że kiedyś zjadł coś, co mu wybitnie nie podeszło, a skutki okazały się trwałe. Kobieta weszła, mężczyzna wycofał się i zamknął drzwi.**

**Była drobniutka, pewnie ze dwadzieścia lat młodsza od Teeshy, schludnie ubrana w błękitny, formalny kostium. Przeszła koło mnie, jakby mnie nie zauważyła. Teesha machnęła w jej stronę i skinęła w moją. Kobieta zerknęła na mnie i dała mi do zrozumienia, że ma ważniejsze rzeczy do roboty.**

**–Emmo – spytała Teesha – czy mieliśmy kiedykolwiek statek o nazwie „Sokół”?**

**Emma przymknęła oczy. Była zbyt zajęta, żeby zajmować się takimi drobiazgami.**

**–Nie – odparła. – Przynajmniej za moich czasów. Pomaszerowała w stronę drzwi i znikła.**

**–Jak długo tu pracuje? – spytałam.**

**–Jakieś piętnaście lat. Długo. Jest naszym dyrektorem do spraw stosunków międzygatunkowych.**

**–Zajmuje się dyplomacją?**

**–Można to tak ująć.**

**Poszłam na pokład konserwacyjny i przywitałam się z mechanikiem na dyżurze. Był to niski facet o oliwkowej skórze.**



Miał jakieś sześćdziesiąt lat, sporą nadwagę i świszczący oddech. Nazywał się Mark Woolley. Wyglądał na kogoś, kto potrzebuje pomocy medycznej, i miałam nadzieję, że ma do niej dostęp.

–„Sokół”? – spytał, krzywiąc się i potrząsając głową. – Nic takiego nie mamy. I nie mieliśmy. Przynajmniej za moich czasów.

–To mogło być dość dawno temu.

Miał na sobie kombinezon z naszywką „STARTECH INDUSTRIES” na jednej kieszeni i napisem „MARK” na drugiej. Wyglądał na zmęczonego.

–Spędziłem tu większość życia – rzekł. – Nigdy nie mieliśmy statku o takiej nazwie.

–Rozumiem. Ale Fundacja zakupiła go w 1392 roku od Agencji. Mogli zmienić nazwę.

Zaprowadził mnie do kantorka wypchanego częściami, dyskami, narzędziami, przyrządami. Okno wychodziło na jeden z doków. Stały tam teraz dwa statki z logo Fundacji, podpięte przewodami. Maszynownia jednego z nich, klasy Monitor, była otwarta i pracowało w niej kilka robotów.

Usiadł, przesunął się w prawo w fotelu na kółkach, uruchomił ekran i zażądał danych z napraw albo jakichkolwiek informacji dotyczących statku, który obecnie lub w przeszłości mógł nosić nazwę „Sokół”.

–Przyjmij okres ostatnich pięćdziesięciu lat – dodał.

–W bazie brak danych o statku o nazwie „Sokół” dla wskazanego okresu – odparła po chwili SI. – Brak także statku uprzednio noszącego tę nazwę.

–Trudno – powiedziałam. – Coś tu nie gra. Mark wzruszył ramionami.

–Nie mam pojęcia.

Już tego wieczora mogłam wyruszyć w drogę i powiedzieć Aleksowi, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek, ale właśnie miałam za sobą kilka dni na pokładzie „Belle Marie” i uznałam, że przydałaby mi się jakaś odmiana.

Przebrałam się, wybierając coś ciekawszego niż formalny kostium, który wcześniej nosiłam. Coś czarnego i obcisłego. Następnie ruszyłam do klubu „Anioły Piekieł”, który – jeśli wierzyć dostępnym informacjom – był najbardziej elegancką restauracją na stacji.

Na stacjach kosmicznych pora dnia się nie zmienia. W takich miejscach jak „Anioły Piekieł” panuje zawsze wieczór, bo statki cały czas startują i przybywają, a każdy jest w innej strefie czasowej. Dodatkowe zamieszanie powoduje fakt, że ludzie żyją według różnych rodzajów zegara – niektórzy mają osiemnastogodzinną dobę, inni trzydziestogodzinną, ze wszelkimi

możliwymi wariantami pośrednimi. Restauracje więc specjalizują się. Jedne zawsze serwują śniadania. W innych jest zawsze po 20:00, a w każdym razie panuje coś, co jest odpowiednikiem tej pory w twojej części Konfederacji.

Wybrałam stolik w pobliżu kwitnącego drzewka z gatunku, którego nigdy nie widziałam, zamówiłam drinka i przybrałam pozę dostępnej. Miałam nadzieję, że nie spędzę wieczoru samotnie.

W „Aniołach Piekieł” było wszystko: dyskretna muzyka, przyćmione światła, świece, piźmowe wonie, piękny widok na Mgławicę Damy z Woalką. Było to skupisko złożone z milionów gwiazd. Trzeba było sporej wyobraźni, żeby dopatrzeć się tam kobiecej postaci. Ale to nie miało znaczenia. Poniżej, na powierzchni planety, robiło się ciemno i zaczynały zapalać się światła.

Przeniosłam uwagę na wchodzących facetów, wypatrując kogoś interesującego, i nagle dostrzegłam gościa z białą bródką, tego o cierpięcym wyrazie twarzy, którego spotkałam w biurze Fundacji. Miał na sobie smoking. Towarzyszyła mu starsza kobieta. Oboje stali przy wejściu.

Spróbowałam sobie przypomnieć, czy na drzwiach było jego nazwisko albo czy Teesha wymieniła je, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Wraz z towarzyszką został zaprowadzony do stolika po drugiej stronie sali. Mój kelner wrócił i zamówiłam coś niewielkiego do jedzenia.

Próbowałam zadzwonić do Teeshy, do biura, ale już wyszła, a SI nie mogła udzielić mi żadnych informacji. Od razu zapowiadam, że nie miałam wielkich nadziei co do udzielenia mi przez tego osobnika informacji na temat „Sokoła”, ale nigdy nic nie wiadomo.

Wzięłam więc swojego drinka i powędrowałam do ich stolika. Unieśli wzrok; on zmarszczył brwi, jakby próbował sobie przypomnieć, skąd mnie zna.

–Przepraszam – powiedziałam. – Nazywam się Chase Kolpath. Chyba widziałam pana dziś w biurze Fundacji.

Uśmiechnął się.

–Och, tak – odparł, wstając. Przedstawił się i swoją towarzyszkę. Nazywał się Jacques Corvier. – Mam nadzieję, że znalazła pani to, czego szukała.

Powiedziałam mu więc. Wyjaśniłam, na tyle, na ile mogłam, że biorę udział w pewnym projekcie badawczym, że „Sokół” został sprzedany Fundacji i że bardzo chciałabym porozmawiać z jego SI.

Udał zainteresowanie. Odniosłam wrażenie, że robi to ze względu na swoją towarzyszkę.

–Chyba wiem, co się mogło stać – powiedział, kiedy skończyłam.

Miałam wrażenie, że gdyby nie obecność drugiej kobiety, zaprosiłby mnie do biura, byśmy razem przejrżeli archiwum. W tej sytuacji jednak powiedział coś do komunikatora i zaoferował mi krzesło. Słuchał przez chwilę odpowiedzi.

–Tak – odpowiedział komuś, po czym spojrział na mnie. – Chase, „Sokół” nigdy nie należał do floty Fundacji. Został kupiony od Agencji w celu przekazania go Aszijurom.

–Aszijurom?

–Proszę zrozumieć, to nie było za moich czasów. Niemniej jednak – tak. Potrzebowali statku na jakąś wystawę czy do muzeum. Nie wiem dokładnie. I statek został im natychmiast przekazany. W naszych rękach był tylko tyle, ile trwała cała transakcja.

–A wie pan może, komu został przekazany?

–Powtórzył pytanie do komunikatora i potrząsnął głową.

–Nie wiemy.

Przy głównym deptaku znajdowało się biuro odpraw niemot dla podróżujących na aszijurskie planety. W pakiecie informacyjnym stacji była wzmianka, że co cztery dni odbywa się kurs na Xialę, punkt startowy do terytorium Aszijurów. Powinnam przy okazji wspomnieć, że Xiala to słowo wymyślone przez ludzi. To znaczy wiemy, jak wygląda na piśmie, ale niemoty nie mówią, więc nie ma niczego takiego jak właściwa wymowa – czy wymowa w ogóle. Mimo wszystko jednak można było wymyślić coś lepszego niż „Xiala”.

Poszłam do biura odpraw, gdzie przywitał mnie ludzki awatar. Była to powściągliwa, uprzejma, konserwatywnie ubrana kobieta w czerwonym kostiumie ze srebrnymi obszyciami. Gdy weszłam, uśmiechnęła się i przywitała mnie. Czym może służyć?

Biuro było urządzone w sposób niewymyślny. Lada, parę krzeseł, wewnętrzne drzwi. Plakaty z napisami „PODRÓŻE NA PLANETY ASZIJURÓW” i „TUTAJ DOKUMENTY PODRÓŻNE”. Na elektronicznej tablicy wyświetlano rozkład przylotów i odlotów na następne dwa tygodnie.

Kusiło mnie, żeby poprosić o spotkanie z niemotą, który był tu szefem, ale powstrzymałam się.

–Mam pytanie. Czy jest tu ktoś, z kim mogłabym porozmawiać? Ktoś, kto jakiś czas już tu pracuje?

–Jest pani pewna, że ja nie będę w stanie odpowiedzieć?

Spróbowałam. Fundacja przekazała statek kilkadziesiąt lat temu, prawdopodobnie do aszijurskiego muzeum. Nazywał się „Sokół”. Może ona wie, co się z nim stało? Nie miała pojęcia. Nigdy o tym nie słyszała.

**–Proszę sekundę poczekać. Spytam mojego przełożonego. Wyłączyła się. Chwilę później usłyszałam dźwięki zza drzwi. I szuranie krzesła po podłodze. Kroki.**

**Zebrałam siły, oczekując na pierwszy kontakt. Przypomniałam sobie, ilu ludzi po prostu przechadza się na zewnątrz. Skarciłam siebie, że może nie być aż tak źle, jak słyszałam.**

**Drzwi otworzyły się i stanęła w nich młoda kobieta. To ona posłużyła za model dla awatara. Z jednym wyjątkiem – oryginał był sympatyczniejszy.**

**–Dzień dobry – rzekła energicznie. (Mimo wszystko w świecie biznesu stacji był środek dnia).  
– Nazywam się Indeila Caldwell. Chciała pani porozmawiać na temat statku?**

**–Tak.**

**–Który został sprzedany aszijurskiej organizacji przez Fundację?**

**–Zgadza się.**

**–I Fundacja nie wie komu?**

**–Nie wiedzą, co się z nim stało po przekazaniu go... – zamilkłam na sekundę -... Aszijurom.**

**Stała w drzwiach, zastanawiając się, jak się mnie pozbyć.**

**–Nie wiem, doprawdy, skąd wziąć taką informację. Ponad trzydzieści lat... – Wpatrywała się intensywnie w plakat z napisem „TUTAJ DOKUMENTY PODRÓŻNE”, jakby tam mogła skrywać się odpowiedź. – My tylko zajmujemy się przygotowaniem dokumentów elektronicznych dla latających na Xialę i z powrotem.**

**–Rozumiem – odparłam. – A jest tu może jakiś aszijurski urząd? Może ambasada? Ktoś, z kim mogłabym porozmawiać, a kto może mieć dostęp do takich informacji? Albo może ktoś, kto pamięta? – Zanim dokończyłam zdanie, zaczęłam się zastanawiać, czy ta uwaga nie jest nieuprzejma, bo niemożności przecież nie mówią. Nie potrafią, chyba że za pomocą skrzynek głosowych.**

**–Nikogo poza mną tu nie ma.**

**–Rozumiem.**

**–Oczywiście w tej chwili. W sumie pracują tu na zmiany cztery osoby. Ale nie ma żadnego Aszijura.**

**–A jest tu jakaś ambasada?**

**Skinęła głową.**

**-Na powierzchni planety.**

# TRZYNAŚCIE

Dobrze jest nauczyć się patrzeć bez zdziwienia czy niechęci na słabości, które wykazują nawet najsilniejsze umysły.

T. B. Macauley, *Warren Hastings*, „Edinburgh Review”,

październik 1841 r.

Kusiło mnie, żeby wysłać Aleksowi wiadomość z sugestią, że jeśli chce kontynuować śledztwo, to raczej on będzie właściwą osobą, bo ma doświadczenie w kontaktach z Aszijurami. Problem w tym, że wiedziałam, co odpowie: przecież już tam jesteś, Chase. Zmobilizuj się i porozmawiaj z nimi. Sprawdź, czego można się dowiedzieć.

Zabrałam się więc do pracy. Wysłałam mu wiadomość, streszczając, czego się dotąd dowiedziałam, i donosząc, że spróbuję się dowiedzieć, w którym posiadaniu jest „Sokół”, a jeśli mi się uda, polecę na Xialę. Poinformowałam go także, że za mało mi płaci.

Potem połączyłam się z ambasadą niemot i zdziwiłam się, kiedy odebrał młody mężczyzna. Przypuszczałam, że wołą, by interesantów witała ludzka twarz, ale spodziewałam się raczej awatara. Facet po drugiej stronie sprawiał wrażenie żywego człowieka, a kiedy zapytałam wprost, czy tak jest w istocie, potwierdził.

–Pewnie chcemy wszystkich przekonać, że nie ma się czego obawiać – dodał ze śmiechem. Wyszzerzył się. – Dobrze, pani Kolpath, co mogę dla pani zrobić?

Nosił dziwaczne imię Ralf, a kiedy mu powiedziałam, że szukam pewnych informacji, zachęcił mnie, żebym powiedziała coś więcej. Był sympatyczny, chętny do pomocy, wygadany. Kasztanowe włosy, brązowe oczy, miły uśmiech. Jakieś trzydzieści lat. Doskonały wybór na osobę pierwszego kontaktu.

Kiedy skończyłam wyjaśniać, potrząsnął głową.

–Nie – powiedział. – Nic o tym nie wiem. Ale proszę poczekać. Sprawdźę. – Przyjrzał się jakimś danym na ekranie, skinął parę razy głową i postukał w ekran. – To chyba to – powiedział. – Jest. „Sokół”, tak?

–Zgadza się.

Odczytał datę i godzinę przekazania. Oraz odbiorcę. Jakaś kolejna fundacja.

–Dobrze – powiedziałam. – Czy mogę jakoś zobaczyć ten statek? – Przeszłam do opowiadania o moim programie badawczym.

–Nie mam pojęcia – odparł. – Mogę pani powiedzieć, gdzie jest. A przynajmniej, dokąd go

**przekazano. Musi się pani z nimi skontaktować.**

**–Dobrze – odparłam. – Gdzie on jest?**

**–Przekazano go do Muzeum Obcych Form Życia Provno. Na Borkaracie.**

**–Na Borkaracie?**

**–Tak. Ma pani dokument podróży?**

**Mówił o wystawianym w Konfederacji zezwoleniu na lot do części kosmosu opanowanej przez niemoty.**

**–Nie – odparłam.**

**–Proszę o taki wystąpić. Na stacji jest biuro. Potem proszę się skontaktować z naszymi ludźmi zajmującymi się organizacją podróży. Musi pani także złożyć wniosek u nas. To może potrwać parę dni.**

**Włączyłam się po stacji przez dwa tygodnie, przeklinając Aleksa w duchu, zanim dostałam moje dokumenty i przyleciał mój statek. Nie wolno mi było polecieć „Belle Marie” do części kosmosu zajętej przez niemoty. Był to zakaz wprowadzony przez Konfederację po odkryciu napędu kwantowego. Konfederacja chciała utrzymać posiadanie tego systemu w tajemnicy, by nie wpadł w ręce niemot. To oczywiście okazało się niemożliwe. Nie da się używać setek statków z danym napędem i ludzić się, że prędko nie pojawi się u sąsiadów. Niemoty zawsze twierdziły, że swoją wersję odkryły same, ale nikt w to nie wierzył.**

**Dziwna rzecz: kiedy ich odkryliśmy, wszyscy przypuszczali, że gatunek używający telepatii zamiast mowy nie będzie w stanie kłamać, nie będzie w ogóle wiedział, co to oszustwo. Tymczasem bynajmniej nie okazali się uczciwsi od nas. I to wcale nie od chwili, gdy odkryli, że ludzie nie potrafią przeniknąć ich myśli.**

**Informowałam Aleksa na bieżąco. Przypomniałam mu, że to będzie kosztowne: polecę na Xialę statkiem o nazwie „Diponga”, czy – jako go zwali ludzie – „Dipsy-Doodle”. Dałam mu także do zrozumienia, że nie zachwyca mnie fakt, iż robi się z tego mała krucjata. Zasugerowałam, że gdyby chciał zrezygnować, nie będę szczególnie nalegać. I że poczekam na jego odpowiedź, zanim podejmę dalsze kroki.**

**Jego odpowiedź była z grubsza taka, jakiej się spodziewałam. Siedział przy moim biurku z zadowoloną miną, z pokrytym śniegiem lasem za oknem, i mówił, jak bardzo się cieszy, że tak świetnie mi idzie, i jak to dobrze mieć pracownika cechującego się takim uporem.**

**–Chase, większość ludzi już dawno by się poddała – powiedział.**

**Większość ludzi nie byłaby taka głupia.**

Zastanawiałam się nad zapisaniem na kurs Fundacji Hennessy'ego „Jak kontrolować reakcje psychiczne przy kontaktowaniu się z Aszijurami”, ale pomyślałam, że trudno sprawdzić skuteczność takiej nauki, jeśli nie dostarczą na zajęcia prawdziwego niemoty. Poza tym wydawało mi się to jakieś tchórzliwe.

Kiedy wszystko było załatwione, wkroczyłam na pokład „Dipsy-Doodle” wraz z ósemką innych ludzkich pasażerów.

Posadzili nas wszystkich we wspólnej sali i starszy mężczyzna w szarym mundurze ze skomplikowanymi symbolami na kieszeni, które pewnie oznaczały „TRANSPORT ASZIJURSKI, przywitał nas na pokładzie, przedstawił się jako Frank i powiedział, że leci z nami, a jego zadaniem będzie opieka nad nami podczas lotu, więc jeśli czegoś potrzebujemy, należy zwracać się do niego. Startujemy za jakąś godzinę. Wyjaśnił, że lot na Xiałę potrwa mniej więcej cztery standardowe dni. Czy są jakieś pytania?

Współpasażerowie wyglądali na biznesmenów. Nikt z nich nie był specjalnie młody, nikt też nie wyglądał na specjalnie przejętego. Zaskoczyło mnie, że wszyscy są ludźmi. Nikt spośród niemot nie wracał do domu?

Potem Frank zaprowadził nas do kajut i poprosił, żebyśmy wrócili do wspólnej sali po zainstalowaniu się w nich. O 19:00. Dziękuje bardzo.

Rozpakowałam rzeczy. Cztery dni lotu na Xiałę. Potem kolejne na Borkarat, który leżał w środku terytorium niemot. (Dziwny aspekt podróży z napędem kwantowym polegał na tym, że każda podróż wymagająca tylko jednego skoku trwała trzy albo cztery dni. W zależności od tego, w jakiej odległości od portu docelowego statek wyszedł ze skoku). Zaczynałam się zastanawiać, czy jednak nie poszukać sobie innej pracy.

Kiedy dołączyliśmy do Franka, przez kilka minut mówił najpierw o procedurach, o godzinach posiłków, o korzystaniu z łazienek i tak dalej. Następnie wyjaśnił, że kapitan chciałby się przedstawić.

Jak na komendę otworzyły się drzwi na mostek i do pomieszczenia wkroczył pierwszy niemota, jakiego zobaczyłam na żywo. Miał szarą, cętkowaną skórę, głęboko osadzone oczy pod grubymi łukami brwiowymi, ramiona za długie w stosunku do wzrostu i ogólny wygląd czegoś, czemu przydałoby się więcej przebywania na słońcu. Miał na sobie mundur podobny do tego, jaki nosił Frank.

Na podstawie wszystkich znanych mi relacji spodziewałam się ataku paniki, której miało towarzyszyć uświadomienie sobie, że ktoś zna moje myśli. Ale nic takiego nie nastąpiło. Pewnie, wolałabym nie spotkać kapitana w ciemnej uliczce. Ale nie dlatego, że miał przerażający wygląd. (Miałam wrażenie, że jest samcem, ale nie sprawiał wrażenia, jakby zamierzał schrupać mnie na przystawkę). Było w nim raczej coś odpychającego, jak u pająka albo u owadów w ogóle. Mimo to ani trochę nie przypominał mi owada. Może dlatego, że jego



skóra lśniła.

–Dobry wieczór, panie i panowie – powiedział, korzystając ze skrzynki głosowej. – Jestem kapitan Japuhr. Frank i ja z przyjemnością witamy państwa na pokładzie statku „Diponga”. Czy raczej, jak nazywa go Frank i ludzie na stacji, „Dipsy-Doodle”. – Wymawiał to raczej jak „Double”. – Mam nadzieję, że lot będzie przyjemny, a jeśli będą państwo mieli jakieś życzenia, proszę się do nas natychmiast zwracać.

Skinął do Franka, a Frank uśmiechnął się.

Wszystkie włosy, jakie miałam na ciele, stanęły mi dęba. I do głowy przyszła mi myśl: „On wie, co ja myślę. Wie, że jest dla mnie odrażający”. A na potwierdzenie moich najgorszych obaw kapitan spojrział na mnie i skinął głową. Nie było to ludzkie skiniecie, raczej opuszczenie całej głowy i szyi; pewnie byli zbudowani jakoś inaczej. Ale zrozumiałam ten gest. Witał się ze mną. Wychwycił moją reakcję i nie czuł się obrażony.

Nie było źle. Ale co się stanie, kiedy znajdę się z dala od kapitana, na ulicach wypełnionych niemotami? W co ja się wpakowałam?

Kiedy walczyłam z mdłościami, kapitan Japuhr zbliżył się. Spojrział mi w oczy – jego były czerwone, spokojne i trochę za duże; moje – cóż, czułam się spętana czyimś spojrzeniem. I w tej chwili, kiedy usiłowałam walczyć z falą, myśląc: „nie, o niczym nie wiesz, nie potrafisz czytać mi w myślach”, jego wargi rozdzieliły się, co zapewne miało być próbą uśmiechu.

–Wszystko w porządku, pani Kolpath – powiedział. – Za pierwszym razem każdy tak reaguje.

Wtedy po raz pierwszy i ostatni zobaczyłam jego kły.

Podczas lotu kapitan większość czasu spędzał na mostku i w swojej kajucie, która znajdowała się w pobliżu mostka i nie była dostępna dla pasażerów. Współpasażerowie wyjaśnili mi, że Aszijurowie – na pokładzie nikt nie używał nazwy „niemoty” – zdawali sobie sprawę z naszej instynktownej reakcji i musieli zмагаć się z własną, podobną. Dla nich też byliśmy odrażający. Próbowali więc załagodzić sytuację w takim stopniu, w jakim tylko mogli.

Frank wyjaśnił, że z tego samego powodu na statku nie było żadnych aszijurskich pasażerów. Podczas lotu na statku zawsze byli pasażerowie jednego gatunku. Spytałam, czy dotyczy to także jego. Czy latał z obcymi pasażerami?

–Nie – odparł. – To wbrew zasadom.

Lecieliśmy od prawie dwunastu godzin, kiedy dokonaliśmy skoku. Jedna z pasażerek dostała mdłości, ale już po kilku minutach od przejścia dolegliwości minęły i jej twarz odzyskała normalne kolory. Frank powiedział, że przylecimy na Xiałę szesnaście godzin przed czasem. Oznaczało to, że będę mieć do dyspozycji dziewiętnaście godzin na stacji, zanim złapię następny lot.

–Widziałem listę pasażerów – powiedział Frank. – Poleci pani na pokładzie „Komara”, jako jedyny człowiek.

–Nie ma problemu – odparłam. Przypuszczałam, że tak będzie.

–Czy już podróżowała pani po Nagromadzeniu? – Było to najbliższe w standardowym języku określenie tej części Ramienia Oriona, którą zamieszkiwały niemoty. Powinnam dodać, że ich organizacja polityczna jest luźniejsza niż ta łącząca ludzkie planety. Istnieje centralna rada, ale jest wyłącznie organem dyskusyjnym. Nie ma władzy wykonawczej. Planety i grupy światów funkcjonują oddzielnie. Z drugiej strony, boleśnie się przekonaliśmy, jak szybko potrafią się zjednoczyć w razie wspólnego zagrożenia.

–Nie – odparłam. – To mój pierwszy raz.

Dał mi do zrozumienia, że mu się to nie podoba.

–Nie powinna pani podróżować sama.

Wzruszyłam ramionami.

–Nie było nikogo, kto mógłby ze mną lecieć. A czemu pan tak sądzi? Grozi mi jakieś fizyczne niebezpieczeństwo?

–Och, nie – odparł. – Nic podobnego. Ale spędzi pani mnóstwo czasu bez ludzi.

–Nie pierwszy raz będę spędzać czas sama.

–Nie będzie pani sama. Będzie pani mieć towarzystwo. – Potrząsnął rękami na znak, że i tak nie ma na to rady. – Nie chcę, żeby pani odniosła jakieś mylne wrażenie. Na pewno w razie potrzeby pomoże pani ktoś z podróżnych. – Kolejne wahanie. – A mogę spytać, dokąd pani leci? Czy z Borkaratu udaje się pani jeszcze gdzieś?

–Nie – odparłam.

–Kiedy pani wraca?

–Kiedy załatwię swoje sprawy.

–Dobrze – rzekł. – Na pewno sobie pani poradzi.

Pierwszej nocy poszłam spać nad ranem. Podobnie jak reszta pasażerów. Nieźle zabalowaliśmy, a kiedy mieliśmy już dobrze w czubie, pojawił się kapitan i ani trochę nie popsuło to nastroju.

Kiedy w końcu dotarłam do kajuty, byłam w wyjątkowo dobrym humorze. Przez kilka ostatnich godzin nie myślałam w ogóle o kapitanie Japuhrze, kiedy jednak zgasiłam światło i

wsunęłam się do łóżka, zaczęłam rozmyślać o zdolnościach niemot. („Myśl o nich jako o Aszijurach”, upomniałam siebie). Moja kajuta była oddalona od mostka i przylegającej do niego kwatery kapitana o jakieś trzydzieści metrów. Poza tym na pewno już spał. A jeśli nie? Czy teraz czytał mi w myślach? Czy byłam narażona na kontakt?

Rankiem zapytałam Franka. Powiedział, że to cecha osobnicza.

–Niektórzy potrafią czytać w myślach przez kilka pomieszczeń. Ale z ludźmi jest im trudniej niż z własnym gatunkiem.

Ciekawe, czy była to umiejętność bierna? Czy może miała jakiś element aktywny? Czy oni po prostu czytali w myślach, czy umieli też je wysyłać?

We wspólnej sali było nas pięcioro. Jedliśmy śniadanie. Frank przekazał moje pytanie Joemu Klaymoorowi. Joe miał jakieś siedemdziesiąt lat, był niski, siwy, i przez moment wzięłam go za introwertyka, ale jakież introwertyk wybierałby się do krainy niemot? Może był po prostu powściągliwy. Był sympatyczny. Całe doświadczenie traktował z poczuciem humoru. Śmiał się z tego.

–Nie mam niczego do ukrycia – powiedział. – Czego trochę żałuję. – Przez jakiś czas był to dla nich poważny problem filozoficzny – mówił dalej. – Podobny do tego, który mieliśmy my, kiedy zastanawialiśmy się, czy nasze oczy potrafią emitować promienie, dzięki którym widzimy. Czy może coś w świecie zewnętrznym wysyła te promienie. Podobnie jak nasze oczy, Aszijurowie są tylko odbiornikami. Zbierają to, co jest wysyłane w ich kierunku. Nie tylko myśli. Obrazy, emocje, wszystko, co się pojawia na świadomym poziomie i unosi się na powierzchni. – Chwilami wyglądał trochę niepewnie. – Choć „unosi się na powierzchni” pewnie nie jest najlepszym określeniem.

–A jakie byłoby lepsze? – spytała jedna z pasażerek, Mary DiPalma, która była iluzjonistką z Londynu.

–Może raczej „płynie z nieuregulowanym strumieniem”. Ich zdaniem psychika ludzka jest bardzo chaotyczna.

Świetnie. Skoro tak uważają, nic dziwnego, że mają nas wszystkich za idiotów.

–Na poziomie świadomym – powiedziałam. – Ale nie w podświadomości?

–Twierdzą, że nie – rzekł Joe. Oparł głowę na oparciu fotela. – A tak poza tym, to dopiero kiedy nas poznali, rozwiązali problem nadawania i odbierania.

–Naprawdę? A dlaczego?

–Rozumieli dużo z tego, co myśleliśmy, choć spora część była zniekształcona z powodu problemów językowych. Ale – kiedy próbowali nam coś wysłać, najwyżej się na nich gapiliśmy.

**Ktoś inny, nie pamiętam kto, zapytał o zwierzęta. Czy myśli zwierząt też potrafią odbierać? Joe skinął głową.**

**–W pewnym stopniu, w przypadku wyższych gatunków.**

**–A ból? – spytała Mary DiPalma.**

**–Och, tak, oczywiście.**

**–To musi być dla nich problem.**

**Frank wziął głęboki oddech.**

**–Ciekawe, na czym polega przewaga ewolucyjna w tym przypadku? – spytał. – Przypuszczam, że istota odbierająca cały ból z otoczenia długo by nie wytrzymała.**

**Joe zastanowił się.**

**–Ewolucja przebiega dwutorowo – powiedział. – Jeden tor jest indywidualny, drugi służy przżyciu całego gatunku. A przynajmniej w taki sposób mnie to wyjaśniono. To nie moja dziedzina.**

**–W takim razie nie są drapieżnikami – podsunęłam.**

**Jedna z kobiet roześmiała się.**

**–Nie są drapieżnikami? A widziała pani te zęby przedtrzonowe? I oczy? To są myśliwi, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.**

**–To prawda – rzekł Joe. – Z tego, co wiem, nie czytają w myślach gatunków będących ich naturalnymi ofiarami. Poza tym rozwinęli zdolności telepatyczne stosunkowo późno. Przypominam, że są gatunkiem o wiele starszym od nas.**

**–Ciekawe, czy kiedyś my rozwinemy zdolności telepatyczne – zastanawiał się jeden z mężczyzn.**

**Jedna z kobiet wyprostowała się gwałtownie.**

**–Mam nadzieję, że nie – mruknęła.**

**Mary zaśmiała się.**

**–Ja potrafię czytać w myślach.**

**–Proszę mi pokazać – rzekł Larry, najmłodszy z pasażerów.**

**Mary zwróciła się do mnie.**

**–Potrafisz czytać mu w myślach, Chase?**

**–Pewnie!**

**Nikt nie spieszył się z udaniem się na spoczynek. Frank co wieczór przygotowywał drinki i odbywała się impreza. Mary ostrzegła mnie, że do dziś pamięta swoją pierwszą podróż w kosmos zamieszkaną przez obcych i że było to bardzo stresujące doświadczenie.**

**–Ale nie martw się, Chase – powiedziała. – To będzie naprawdę niezapomniane przeżycie.**

**Przyjemnie spędzaliśmy czas na pokładzie „Dipsy-Doodle”.**

**Przede wszystkim powinnam podkreślić, że podczas mojej wizyty w krainie niemot żaden Aszijur nie potraktował mnie źle; spotykałam się wyłącznie z uprzejmością. Ale podczas lotu cały czas byliśmy świadomi obecności tego czegoś na mostku, i tego, że się od nas różni, nie tylko fizycznie, ale i duchowo. I świadomość obecności innego, choć zupełnie niegroźnego, sprawiała, że trzymaliśmy się razem. Instynkt stadny w akcji.**

**Podczas tego lotu zaprzyjaźniłam się z kilkoma osobami, z którymi nadal utrzymuję kontakty. Na przykład z Joem Klaymoorem, socjologiem z Toksykonu, który bada wpływ rozpowszechnionej telepatii. I z Mary DiPalmą ze starożytnego Londynu, która pokazała mi wystarczająco dużo, bym uwierzyła w magię. I z Tolmanem Edwardem, który reprezentował firmę handlową. Tolman, podobnie jak ja, nigdy dotąd nie odwiedził Nagromadzenia. Lecił w głąb terytorium, by podjąć próbę rozwiązania jakiegoś problemu handlowego.**

**Pomyślałam, że cała akcja z poszukiwaniem „Sokoła” nie poszła na marne: warto było spędzić z nimi te parę dni. A wszystko zaczęło się od zwykłego kubka z emblematem statku. Teraz, gdy piszę te słowa, na moim biurku także stoi kubek ze statku. Z napisami w nieznanym mi języku. Tylko zamiast orła jest siedmioramienna gwiazda i pochodzi on nie z „Poszukiwacza” ale z „Dipsy-Doodle”.**

**Wszystko jednak kiedyś się kończy. Kiedy kapitan Japuhr pojawił się, by powiedzieć, że za czternaście godzin cumujemy, wszyscy odnieśliśmy wrażenie, że coś tracimy. Podobnie jak moi towarzysze, odbyłam już wiele lotów, wylatałam się za całe życie, ale coś takiego przytrafiło mi się po raz pierwszy. Kapitan spytał, czy czegoś nam nie trzeba i czy wszystko w porządku, po czym wrócił do siebie.**

**Frank odciągnął mnie na bok.**

**–Wymyśliłaś już, jak zamierzasz się porozumiewać?**

**–Co masz na myśli?**

–Barierę językową.

–Czemu? – Założyłam, że komunikacja z rasą telepatów będzie łatwa.

–Myślisz w języku standardowym. Oni potrafią odczytać obrazy, ale nie język. A jeśli nawet zrozumieją cię, to ty nie zrozumiesz ich.

–W takim razie co proponujesz?

Otworzył szafkę i wyjął elektroniczny notes.

–To się przyda – powiedział. Włączył go i zaczął mówić: – Proszę o pomoc, zgubiłem się, nie wiem, gdzie jestem. – Na ekranie pojawiły się jakieś słowa wypisane alfabetem niemot.

–Wystarczy im pokazać. Odczytają i wpiszą odpowiedź.

–Uśmiechnął się. – Chyba nie przypuszczasz, że będą nosić przy sobie skrzynki głosowe.

–A jak odczytam odpowiedź? – Urządzenie miało klawiaturę z alfabetem niemot.

–Wpiszą to, co chcą powiedzieć, a translator przetłumaczy i wyświetli. – Popatrzył na urządzenie i zmarszczył czoło.

–Przy długich rozmowach nie jest to zbyt praktyczne, ale wystarczy, żeby zamówić jedzenie i znaleźć hotel.

–Mogę pożyczyć?

–Za opłatą.

–Jasne – odparłam. Nie było tanie, ale za wszystko płacił Rainbow. – A co z jedzeniem? Będzie z tym jakiś problem?

–W większych hotelach dostaniesz coś odpowiedniego. Nie próbuj jeść tego, co jedzą Aszijurowie.

Widziałam zdjęcia tego, co oni jedzą, i nie zamierzałam próbować.

–Jeszcze jedno, Chase. W naszym punkcie obsługi klienta zawsze się znajdzie ktoś, kto mówi standardem. Możesz też skorzystać z komunikatora. Zawsze ci pomożemy.

Wieczorem wysiedliśmy na stacji orbitalnej Xiali, zabraliśmy nasze bagaże i wylewnie się żegnaliśmy. Powodzenia i takie tam. Kapitan Japuhr przyszedł, żeby się pożegnać. Wszyscy ściskali sobie dłonie i wymieniali uściski. Potem zbiliśmy się w grupę i wyszliśmy do hali wypełnionej niemotami. Aszijurowie górowali nad nami wzrostem, mieli po sześć palców u każdej ręki i nosili skromne ubrania, z wyjątkiem jednej samicy, która miała na głowie złoty

kapelusz, wyglądający jak sombrero. Przyglądali się nam, jakbyśmy, jak mówi stare powiedzenie, pochodzili z Baszubalu. Frank chwilę pokręcił się przy nas, mówiąc, że wszystko będzie dobrze, i życzył nam powodzenia. Najwyraźniej martwił się o mnie. Aż wreszcie zostałam sama.

Dwa razy w moim życiu opuszczali mnie ukochani, faceci, do których byłam autentycznie przywiązana i za którymi nadal tęsknię. Ale nikt dotąd nie opuszczał mnie z taką troską i niepokojem jak on.

Minęła mnie samica z dwoma młodymi i szybko przesunęła się między mnie a dzieci, jakbym mogła być niebezpieczna. Zastanawiałam się, czy ona – i one też – wyczuła nagłą odrazę, jakiej doznałam, jaki był sens w posiadaniu zdolności telepatycznych, jeśli nie towarzyszyła im empatia?

Hala była prawie pusta, za co byłam głęboko wdzięczna losowi. Podeszłam do jednego z iluminatorów i wyjrzałam na zewnątrz. Słońce właśnie zachodziło za krzywizną planety. Tuż pod nami widać było spory skrawek lądu. Dostrzegłam też jeden większy księżyc Zachodził na zachodzie, a jego delikatna poświata oświetlała szczyty górskie.

Punkt obsługi nieźle mnie zaskoczył. Awatar był moją kopią.

–Czym mogę służyć? – spytała.

Potwierdziła mój przelot na Borkarat. Statek miał odlatywać następnego dnia po południu. Poleciała mi hotel, wykonała rezerwację i życzyła mi miłego wieczoru.

Muszę przyznać, że nieźle wyglądała.

Ogólna budowa anatomiczna niemot jest podobna do naszej, przynajmniej jeśli chodzi o wydalanie. Przypuszczam, że liczba opcji dla inteligentnych gatunków jest ograniczona. Wszędzie istnieje grawitacja, więc punkt przyjęcia źródła energii musi znajdować się w górnej części ciała, funkcje przetwórcze w środku, a wydalanie na dole obszaru roboczego. W ten sposób chcę wam dać do zrozumienia, że pokoje przydzielane ludziom w hotelu Cobul były pokojami dla niemot. Wszystko było większe i muszę wyznać, że skorzystanie z toalety okazało się swoistym wyzwaniem.

Postanowiłam zjeść pierwszy posiłek w restauracji, żeby się przyzwyczajać do gospodarzy. I siedziałam tam jak idiotka, przekonana, że wszyscy na mnie patrzą, na moje prawdziwe ja, a nie zewnętrzną skorupę, którą zwykle pokazuję. Najtrudniejsze było to, że czułam się tam fatalnie, nie mogłam znieść ich obecności, walczyłam, by ukryć swe uczucia, doskonale przy tym wiedząc, że i tak każdy, kto tylko ma ochotę, wszystko widzi. Joe Klaymoor powiedział mi, że niemoty są w stanie w pewnym stopniu ukrywać przed sobą myśli. Mówił też, że prawdopodobnie ewoluują w kierunku zbiorowej świadomości. Ale jeszcze nic takiego nie nastąpiło. I dodał – co mnie przeraziło – że ludzkość może czekać ten sam los.

Dwóch z nich podeszło się przedstawić, a ja przywitałam się z nimi, korzystając z mojego notesu, ale były to dość nieporadne działania. Powiedzieli mi, że nigdy dotąd nie widzieli prawdziwego człowieka i że to miało zabrzmieć uprzejmie. Ale czułam się jak zwierzę w zoo.

Po paru minutach odeszli. Pojawiło się moje jedzenie i zaczęłam pospiesznie jeść, próbując się uśmiechać do otaczających mnie niemot, które gapiły się na mnie, kiedy wydawało im się, że tego nie widzę. Z ulgą wróciłam do pokoju.

Miałam ochotę wszystko odwołać. Niech Alex szuka sobie „Sokoła” sam.

Pewnie by mu się udało.

Nie powiedziałby mi złego słowa, nie skrytykowałby mojej decyzji. Ale znałam go i wiedziałam, co by sobie pomyślał. Kazał pan – musiał sam.

Rankiem weszłam na pokład „Komara”. Bezpośredni lot na Borkarat, jedną z głównych planet Nagromadzenia. Osiemdziesiąt sześć lat świetlnych od Xiali.

Oprócz mnie leciało jeszcze dwudziestu jeden pasażerów. Wyłącznie niemoty. Większość z nich była we wspólnej sali, kiedy wkroczyłam z fasonem, i to jest dobre określenie. Dostrzegł mnie młody samiec. Nikt inny nie spojrzał w moją stronę, ale wszyscy stali się czujni. Nie pytajcie mnie, skąd wiedziałam. Nagle odniosłam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą za pośrednictwem tej jednej pary oczu.

Młode schowało głowę pod ubranie matki.

Od razu zrozumiałam, że to będzie przyjemny lot. Uśmiechnęłam się nieporadnie do młodego samca. Uśmiechanie się niemotom nie wychodzi. Może nie muszą tego robić. Ci, którzy przebywali wśród nas, trochę się nauczyli, ale nie robią tego naturalnie, więc człowiek zawsze ma ochotę wyskoczyć ze strachu ze spodni, kiedy to widzi.

Kolejny aspekt spędzania czasu z niemotami jest taki, że one nie rozmawiają. Jesteś w pomieszczeniu z ponad dwudziestoma osobami i wszystkie siedzą w milczeniu, spoglądając na siebie. I nikt nie odzywa się ani słowem.

Próbowali być upzejmi. Wykonywali jakieś gesty pod moim adresem. Nawiązywali ze mną kontakt wzrokowy. Kilku uniosło ręce w geście pozdrowienia.

Po kilku minutach, choć wcześniej zarzekałam się w duchu, że tego nie zrobię, uciekłam do swojej kajuty i zamknęłam drzwi, żalując, że nie mogę zatrzaskać za sobą umysłu. Na zewnątrz, po krótkiej chwili, zamknęły się włazy. Usłyszałam szum silników. I pukanie do drzwi.

Otworzyłam. Stał tam niemota w takim samym szarym mundurze, jaki nosił Frank. Podał mi białą tabliczkę. Był na niej tekst: „Witamy na pokładzie. Prosimy zapiąć pasy. Jesteśmy gotowi



do startu”, a potem drugą: „Czy potrzebna będzie jakaś pomoc?”.

Pochyliłam się i postukałam się w czoło, jak głupek. Chciałam dać mu do zrozumienia, że myślę. I wyobraziłam sobie słowo *NIE*, a potem: *Nie, dziękuję, poradzę sobie*.

I przypomniałam sobie, że prawdopodobnie nie rozumie standardu. Skinął głową.

*Wiem, że fotele są wyposażone w uprzęż. Użyję jej*. Wyobraziłam sobie, jak zapinam uprzęż.

Skłonił się znów i odszedł.

*Jestem małym, niebieskim pudelkiem herbatników*.

Ukryłam się w swojej kajucie z zamiarem wychodzenia tylko w celu skorzystania z łazienki i spożywania posiłków – które były nawet znośne. (Zapewne poczyniono specjalne przygotowania w związku z moim pobytem na pokładzie). Cztery dni to nie tak dużo. Wytrzymam.

Po jakiejś godzinie lotu pukanie znów się rozległo. Tym razem nie był to nikt z obsługi. W drzwiach stał samiec w nieokreślonym wieku, wysoki nawet jak na niemotę. Nie mieścił się w drzwiach i musiał się schylać. Spojrzał na mnie oczami zimnymi jak kamień i zaczęłam się zastanawiać, czy odbiera mój niepokój. Miał na sobie bładoniebieskie spodnie i luźną koszulę. Takie stroje widywało się wśród nich, ale większość wolała jednak długie szaty.

Stałam i patrzyłam na niego. Po chwili usłyszałam pstryknięcie i rozległ się elektroniczny głos:

–Witaj. Dobrze się czujesz?

Próbowałam ukryć wszystko w głowie z wyjątkiem odwzajemnionego pozdrowienia.

–Witaj – odparłam. – Wszystko w porządku, dziękuję.

–To dobrze. Wiem, jak coś takiego może wyprowadzić z równowagi.

–Nie. Nic mi nie jest. Nie ma problemu.

I od razu pomyślałam, jaką głupotą jest próba okłamywania telepaty.

–Mogę jakoś pomóc?

–Chyba właśnie pomogłeś.

–Doskonale. – Głos dochodził z czegoś, co wyglądało jak amulet. – Bez względu na to, co ci się może wydawać, pamiętaj, że jesteś wśród przyjaciół.

Naga wśród przyjaciół. Ten obraz też próbowałam ukryć.

**Zawahał się. Zaczęłam rozumieć, dlaczego nie chce okazywać, że cały czas mnie sonduje.**

**Próbowałam rozstrzygnąć, czy powinnam zaprosić go do środka.**

**–Doceniam twoją troskę.**

**–Nie powinnaś podchodzić do tego tak serio. Będziemy przebywać w swoim towarzystwie jakieś cztery dni. Potem każdy pójdzie w swoją stronę. Więc nic, co tu się dzieje, nie może ci zaszkodzić.**

**–Oczywiście, masz rację.**

**–Może chcesz do nas dołączyć? Bardzo chętnie byśmy cię poznali bliżej.**

**–Tak. Pewnie. – Cofnął się i zrobił mi miejsce. Poszłam za nim, zamykając za sobą drzwi. – Mam na imię Chase.**

**–Mojego pewnie nie zdołałabyś wymówić. Mów mi... – w tej chwili dosłownie poczułam jego obecność w głowie -...mów mi Frank.**

**Czy zdarzyło mi się przedtem myśleć o stewardzie z „Dipsy-Doodle”?**

**–Dobrze, Frank. Wyciągnęłam rękę.**

**Puściłam mój elektroniczny notes wkoło i pozostali pasażerowie mogli za jego pomocą zadawać mi pytania. Czy już byłam w Nagromadzeniu? Dokąd lecę? Dlaczego się tak boję? (Ostatnie zadał dzieciak, który uczestniczył w tym niechętnie i chyba bał się tak samo jak ja). Frank świetnie sobie radził.**

**–W twoim umyśle nie może się pojawić nic, czego byśmy już nie znali. Może z wyjątkiem nadmiernej wstydlivości, jaką przy nas wykazujesz – powiedział.**

**Nie żałuj sobie, chłopie. Jakoś to przeżyję.**

**Kilku z nich poszturchiwało się i kiwało głowami w sposób, który wzięłam za śmiech.**

**Spytałam Franka, czy ich to nie rozprasza: cały czas doświadczać przepływu myśli i emocji innych.**

**–Nie wyobrażam sobie życia bez tego – wyjaśnił. – Czułbym się odcięty. – Spojrzał na mnie tymi czerwonymi oczami. – Nie czujesz się czasem odizolowana? Samotna?**

**Podczas podróży dowiedziałam się, że jednoczenie umysłów nadaje nowy wymiar temu, co czują do siebie zakochani. Albo przyjaciele. I że telepatia ułatwia głębsze porozumienie. Oraz że nic im nie wiadomo, jakoby zachodziła jakaś ewolucja w kierunku zbiorowego umysłu. Śmiali się, kiedy streściłam im teorię Joego.**

**–Chase – wyjaśnił jeden z nich – my jesteśmy odrębnymi bytami dlatego, że tak wyraźnie dostrzegamy różnicę między nami a innymi.**

**–Nie możemy się ukryć przed tym, co myślimy – powiedział mi Frank następnego dnia. – Ani przed tym, co czujemy. Wiemy o tym. Rozumiem to tak, że ludzie nie zawsze są uczciwi nawet wobec samych siebie. Nie do końca pojmuję, jak to działa, ale to fascynujący pomysł. A jeśli mówimy o innych rzeczach, to jesteśmy świadomi tego, że zmagasz się z niektórymi mrocznymi problemami. Tylko – że my wszyscy je mamy. Więc nie przejmuj się tym. To jest część tego, czym jesteśmy, czym ty jesteś, więc należy to zaakceptować.**

**–A przy okazji, nie ma się co wstydzić odruchowej reakcji na nasz wygląd. Dla nas też nie jesteś atrakcyjna. – Zamilkł i rozejrzał się dookoła. Do tego czasu nauczyłam się już rozpoznawać niektóre sygnały mowy ciała, więc wiedziałam, że kilka osób dało mu do zrozumienia, iż nie podoba im się ta wypowiedź. – Może powinienem to raczej ująć tak, że dla nas jesteś fizycznie nieatrakcyjna. Ale zaczynamy poznawać twoje wnętrze, twoją psychę. I dochodzimy do wniosku, że jesteś jedną z nas.**

# CZTERNAŚCIE

Człowiek zawsze uważał się za ukoronowanie stworzenia, część myślącego kosmosu, cel wszystkiego. To niewątpliwie myśl, która cieszy, ale kosmos może mieć na ten temat zupełnie inne zdanie.

Marik Kloestner, *Dzienniki*, 1388

Choć Borkarat nie był ojczystą planetą niemot, cieszył się sporymi wpływami. Tutaj właśnie stworzono strategię postępowania wobec ludzi i gdzie tylko było to możliwe, przekonano do niej inne niezależne politycznie jednostki Nagromadzenia. Tu spotykali się przedstawiciele. I stąd kierowano działaniami podczas regularnie powracających okresów wrogości wobec ludzi.

Od kilku lat statki niemot i ludzi nie wymieniły żadnych strzałów, ale stary konflikt nadal się tlił. Nikt już nie wiedział, o co w nim naprawdę chodziło. Żadna strona nie była zainteresowana terytoriami należącymi do strony przeciwnej. Żadna aktywnie nie zagrażała drugiej. A mimo to nadal istniała jakaś antypatia, od stuleci. Politycy po obu stronach zdobywali głosy deklarując, że będą bezwzględni wobec obcych. (Zastanawiało mnie, jakim cudem niemoty mogą mieć polityków, skoro ich umysły były mniej więcej otwarte dla wszystkich).

Określenie „Nagromadzenie” nie było idealne. Luźna grupa należących do niemot państw, planet, księstw, stacji, miast na orbicie i temu podobnych była raczej stowarzyszeniem społecznym niż formalną strukturą polityczną. Mimo to potrafili się zjednoczyć ze zdumiewającą skutecznością. Niektórzy z obserwatorów twierdzili, że dostrzegają przejawy działania zbiorowego umysłu.

Opuściłam pokład „Komara” z ulgą. Zatrzymałam się w biurze obsługi, gdzie inny ludzki awatar przypominający mnie przedstawił się i przekazał mi wskazówki, jak dostać się do muzeum w Provno.

Wahadłowiec, którym miałam lecieć, był oznaczony symbolem błyskawicy. Panował w nim tłok i musiałam się przeciskać. Wsiadanie do pojazdu jest fantastyczną okazją, by zaobserwować społeczne zachowania niemot w akcji: patrzyłam, jak się porozumiewają, ustępują sobie miejsca, upychają bagaże, sadzają dzieci, ustalają, kto siedzi przy oknie, a wszystko to w absolutnej ciszy. No, może nie tak całkiem absolutnej. Oczywiście, rozlegały się odgłosy szeleszczącej tkaniny, zamykanych drzwi, powietrza uciekającego z poduszek. Pstryknięcia zatraskiwanych zapieć. Ale nikt nie wydał z siebie głosu.

Już od ponad tygodnia przebywałam w wyłącznym towarzystwie niemot i nauczyłam się ignorować uczucie, że wszyscy na mnie patrzą. Po prostu nie przejmuj się, mówiłam sobie. Nie mogłam jednak czasem się oprzeć spojrzeniu na współpasażera przy równoczesnym wyobrażaniu sobie, że macham mu na powitanie.

Czasem dostrzegałam jakąś fizyczną reakcję: spojrzenie mi w oczy, uniesienie brwi,

**cokolwiek. Czasem machali do mnie.**

**Próbowałam myśleć o czymś przyjemnym i nieokreślonym. Poza tym moja pierwotna reakcja na ich obecność, pierwotne uczucie strachu i odrazy, jakiego doznawałam, z każdym dniem malało. Kiedy jednak siedziałam w tym wahadłowcu, próbowałam coś czytać i nie rozumiałam ani słowa, byłam daleka od uznania, że czuję się naprawdę komfortowo.**

**Zanurzyliśmy się w atmosferze, zanurkowaliśmy na tle mrocznego nieba, wpadliśmy w jakąś turbulencję i burzę, wreszcie wynurzyliśmy się z chmur pod sklepieniem upstrzonym gwiazdami. Poniżej zobaczyłam rozświetlone miasta.**

**Stewardesa zatrzymała się koło mojego fotela.**

**–Lądujemy za siedem minut – powiedziała. Nie byłam w stanie określić, skąd dochodzi głos.**

**Spędziłam noc w hotelu przy nadrzecznym bulwarze. Aszijurski styl architektoniczny, przynajmniej to, co widziałam na Borkaracie, nieco się różni od tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. Ludzkie budowle, bez względu na tendencje kulturowe, są statyczne. Są symetryczne i niezależnie od tego, jak eklektyczny jest projekt, zawsze można wykryć jakąś równowagę i proporcje. W przypadku budynków niemoty jest zupełnie inaczej – to istne studium ruchu, przepływu, energii. Brak jakiegokolwiek symetrii. Z pewnej odległości mój hotel wyglądał na niewykończony, jakby jego część zniknęła w innym wymiarze.**

**Zjadłam w restauracji, otoczona niemotami. Z dumą muszę wyznać, że niezłe się trzymałam. Zostałam przy moim stoliku, spożyłam spokojnie posiłek i nawet nie mrugnęłam, gdy przy sąsiednim stoliku niemowlę rzuciło mi przerażone spojrzenie, a potem próbowało się zagrzebać w gruczołach mlecznych matki.**

**Zastanawiałam się, na którym etapie rozwoju osobniczego pojawia się telepatia. Czy dziecko w łonie matki potrafi się komunikować?**

**Pojawiła się para ludzi, mężczyzna i kobieta. Dostrzegli mnie i podeszli. Zachowywali się, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi. Zaprosiłam ich do swojego stolika i przez następną godzinę gadaliśmy o wszystkim i o niczym. Byli z Sankt Petersburga, jednego ze starożytnych miast na Ziemi.**

**Chyba już wspominałam, że Aszijurowie nie spożywają żadnego alkoholu. Czytałam gdzieś, że nie znają niczego, co mogłoby odpowiadać naszym narkotykom, i nie pojmują ludzkich ciągót do znieczulania się. Wznosiliśmy więc toasty jakimś zupełnie nieszkodliwym trunkiem i obiecywaliśmy sobie, że nadrobimy to po powrocie do domu. Zdumiewające, jak bliskie nagle wydały się dwa tak odległe miejsca jak Andiquar i Sankt Petersburg.**

**Spałam dobrze, jeśli nie liczyć obudzenia się w środku nocy po wyjątkowo realistycznym seksualnym śnie. I znów zaczęłam się zastanawiać, czy niemoty potrafią wyłapać także sny. Przeraziłam dzieci na trzech piętrach? Nic dziwnego, że nie lubili przebywać w pobliżu ludzi.**

Pomyślałam o parze, którą spotkałam przy kolacji. Byli młodzi, zaraz po ślubie. Ale gotowa byłam się założyć, że tej nocy spali oddzielnie i aż promieniowali emocjami, odbieranymi przez wszystkie anteny niemot w pobliżu, w większym natężeniu niż podczas zwykłych, tradycyjnych igraszek. Planeta niemot to nie jest dobre miejsce na miesiąc miodowy.

Muzeum Obcych Form Życia znajdowało się w wielkim parku na Provno, jednej z wysp dużego archipelagu na jednym z mórz południowych. Na terenach parkowych znajdują się głównie budynki publiczne i rezerwaty historyczne. Wiele starannie utrzymanych miejsc jest odizolowanych: upamiętniają postaci historyczne, a czasem po prostu są miejscami służącymi cichej refleksji. Są tam strumienie i całe stada małych zwierzątek, które przychodzą prosić o poczęstunek.

Architektura miała charakter hiperboliczny: dachy w kształcie fal oceanu, spiczaste wieżyczki, pełzające odnogi. Tłumy snuły się po łagodnie zakręcających chodnikach, które czasem wspinały się na wyższe poziomy. Wszędzie było mnóstwo ocienionych roślinnością zakątków, gdzie można sobie po prostu siedzieć, napawając się przyjemnością przebywania na łonie przyrody. Wszystko wydawało się lekkie i delikatne, eteryczne jak światło słońca.

W parku nie wolno było się poruszać prywatnymi pojazdami. Zwiedzający przybywali taksówkami powietrznymi oraz poruszającym się nad wodą pociągiem magnetycznym. Nigdy dotąd takiego nie widziałam i nie miałam pojęcia, jak to działa.

Muzeum znajdowało się między dwoma podobnymi, lecz nie identycznymi obeliskami. Budynek wykonano z białego marmuru i miał mnóstwo łuków, kolumn i estakad; przypominał trochę te układanki dla dzieci, które można rozłożyć i złożyć ponownie, ale zawsze wyglądają inaczej. Ruchoma rampa zawiozła mnie pod wejście, gdzie znajdowała się ściana, cała zapisana pismem niemot. Włączyłam mój translator. Powiedział, że muzeum zostało założone w bliżej nieokreślonym czasie (nie był zbyt dobry w konwertowaniu dat i godzin) i że wszystkie formy życia z całej galaktyki są mile widziane.

Weszłam do środka. Młode niemoty na zmianę patrzyły na mnie i na napis, a inne tylko się gapiły. Część zaczęła się wycofywać z przerażeniem. Ale uśmiechnęłam się uprzejmie i przeszłam obok nich.

Można by przypuszczać, że muzeum poświęcone różnym systemom biologicznym z innych planet będzie wypełnione hologramami rozmaitych form życia w akcji. Tymczasem było zupełnie inaczej. Przecież zwiedzający mogą sobie obejrzeć hologramy w domach. Tutaj wystawiono więc gabloty wypełnione wypchanymi skórami i głowami.

Pewnie wybrano je tak, żeby robiły jak największe wrażenie. Olbrzymie stwory o paszczach tak wielkich, że mogły połknąć lądowik. Węże tak ogromne, że mogłyby używać mnie w charakterze wykałaczki. Drapieżniki wszelkich kształtów i rozmiarów, niektóre niewyobrażalnie przerażające. I ich ofiary, śliczne, malutkie, futrzaste zwierzątka, które potrafiły szybko biegać. Mam nadzieję, że naprawdę szybko.

Były tam rośliny zdolne pożreć technika średniego wzrostu i obdarzone wieloma kończynami stworzenia, które żyły na drzewach na Barinorze (bez względu na to, gdzie się znajdował) i porywały dzieci. Zastanawiałam się, kto i po co chciałby mieszkać na takiej planecie. Przynajmniej z dziećmi.

Z przyjemnością donoszę, że wypchanych ludzi tam nie było. Może był to ukłon w naszą stronę ludzcy goście czasem się tu trafiali. Zobaczyłam trochę ptaków i jaszczurek z Rimway oraz tygrysa z Ziemi, jedynym człowiekiem był awatar, brodaty facet, który wyglądał na neandertalczyka. Miał nawet włócznię. Kiedy podeszłam bliżej, warknął.

Nieźła reprezentacja, pomyślałam. Ciekawe, ile dzieci niemot ma pierwszy kontakt z wizerunkiem ludzi w osobie tego faceta.

Stał na straży Sali Ludzi, całego skrzydła poświęconego ludzkiej rasie. *Jedyna poza nami znana cywilizacja techniczna*. Sala była wielka, ze sklepieniem sufitem, wysoka na trzy piętra. Wszędzie stały gabloty i stoły z eksponatami. Pokazano tam broń, prymitywną i współczesną, wizerunki różnych bóstw, instrumenty muzyczne, ubiory z różnych epok, szachownicę w trakcie partii szachów, trochę naczyń. Urządzono pomieszczenie, które wyglądało na biuro jakiejś firmy. Większość eksponatów, o ile tylko było to możliwe, oznaczono datą i nazwą planety, z której pochodziły. Były tam słuchawki, przez które można było wysłuchać historii różnych przedmiotów. I całe mnóstwo książek przetłumaczonych na podstawowy język niemot. Przejrzałam je i znalazłam *Republikę*, *Ostatnie dni państwa amerykańskiego Burnella*, *Cztery powieści Hardy'ego Bosheara* i całe mnóstwo innych dzieł. Ale zbiór jako całość nie był reprezentatywny. W większości byli to pisarze współcześni, bardzo niewielu klasyków.

W środku pomieszczenia, na podeście, znajdował się mój cel. „Sokół”. Niemoty tłoczyły się na rampie, czekając, aż nadejdzie ich kolej, by wejść do służby. Wychodziły z drugiej strony, przez wyjście, które wycięto w kadłubie.

W pobliżu mostka widniał napis AGENCJA BADAŃ PLANETARNYCH i oznaczenie kodowe: TIV114. I oczywiście nazwa „Sokół”. Światła nawigacyjne były włączone. To dobry znak: statek miał zasilanie. Na wszelki wypadek zabrałam ze sobą niewielki generator, gdybym musiała zadbać o to sama.

W sali było około czterdziestu Aszijurów, ale żaden z nich nie przemieszczał się. Wszyscy patrzyli prosto przed siebie, udając, że oglądają różne eksponaty, ale fakt, że zastygli w jednym miejscu, zdradził ich. Jedna samica, stojąca przy posągach starożytnych bogów, obserwowała mnie, a wszyscy pozostali patrzyli jej oczami.

Uniosła rękę. *Witaj*.

Uśmiechnęłam się i przeniosłam uwagę na „Sokoła”, powtarzając sobie w duchu, jakie ma zgrabne kształty i jak przyjemnie by się go pilotowało. Próbowałam nie myśleć o prawdziwym powodzie mojej wizyty. Zwiedzający powoli zaczęli się znowu przemieszczać. O ile mogłam

ocenić, nikt nie próbował nawet rzucać ukradkowego spojrzenia.

Przechadzałam się między gablotami, obracając w palcach kość, na którą chciałam zrzucić dane z SI.

Znajdowały się tam stanowiska informacyjne, gdzie można było się dowiedzieć czegoś o ludziach. Użyłam mojego translatora i odkryłam, że jesteśmy wysoko rozwinięci, ale mimo to krok za Aszijurami. Przewodnik objaśniał, że uważamy się za istoty rozumne i w pewnym stopniu na pewno takimi jesteśmy, mimo że naszą główną metodą porozumiewania się jest „szczekanie”. No dobrze, to już moje własne tłumaczenie. W oryginale było „wydawanie dźwięku lub hałasu”. Wybierzcie sobie.

Opisywano nas jako istoty o przyjaznym usposobieniu. Byliśmy lojalni, w pewnym stopniu inteligentni, współczujący, potrafiliśmy okazywać życzliwość. Z drugiej strony znano nas jako stworzenia nieuczciwe, nikczemne, gwałtowne, rozwiązłe, zdradliwe i pełne hipokryzji, a w naszych społeczeństwach ważną rolę odgrywała policja.

„Poszczególne osobniki bywają uległe”, głosił przewodnik, „i zwykle można bezpiecznie się do nich zbliżyć. Kiedy jednak ludzie gromadzą się w grupy, ich zachowanie się zmienia i staje się problematyczne. Wolą akceptować poglądy wyznawane przez większość niż poszukiwać własnego zdania”. A w innym miejscu: „Wydaje się, że istnieje bezpośredni związek między wielkością grupy a jej skłonnością do uciekania się do przemocy czy innych wątpliwych zachowań, oraz upodobaniem poszczególnych osobników do podążania za przywódcą proponującym rozwiązania oparte na przemocy czy inne uproszczone rozwiązania postrzeganych problemów. Jest to tzw. zjawisko reakcji zbiorowej”.

Kilka ksiązek opisywano jako szczególnie wnikliwą analizę ludzkich ograniczeń psychicznych. Zaczynałam się doskonale bawić.

Okrążając salę, nie spuszczałam „Sokoła” z oka, próbując tłumić myśli i znów zastanawiając się, jaki jest zasięg ich zdolności telepatycznych. Pojawiło się jeszcze więcej Aszijurów i kiedy wędrowałam sobie pozornie bez celu między eksponatami, ustawili się w kolejce.

Pojęłam, że ta kolejka nigdy nie zniknie, więc zajęłam miejsce na końcu. Przedemną było ich kilkunastu; dwóch młodych, jeszcze nie dorosłych, już nie dzieci. To były samice. Zobaczyłam, że zareagowały, dostrzegłam, że jedna dotyka łokcia drugiej i owija się ciasniej szatą.

Wtedy już miałam dość. Spróbowałam wysłać wiadomość. Do wszystkich, którzy byli na nasłuchu. „Istoty, które odczuwają wyższość tylko z powodu miejsca urodzenia, są durne”. Nie wiedziałam, jak to zwizualizować, ale poczułam się po tym znacznie lepiej.

Właz na mostek był otwarty, widziałam więc wszystkie przyrządy i fotel pilota. Wejście było przegrodzone niebieskim sznurem, widniał tam też znak „NIE WCHODZIĆ”. Fotele były dwa, jeden dla pilota, drugi dla gościa lub technika. To tu siedzieli, pomyślałam, Margaret Wescott w fotelu pilota, a Adam obok. Spojrzałam przez iluminator na szare ściany muzeum i



**zastanowiłam się, co oni przez niego oglądali.**

**Przed fotelem pilota, nieco z prawej strony, był czytnik. Sięgnęłam do kieszeni i dotknęłam kości.**

**SI miała na imię James.**

**Przechyliłam się przez sznur, cały czas świadoma obecności innych, otaczających mnie. Wolałabym tu spędzić parę minut w samotności.**

**–James – szepnęłam – jesteś tu?**

**Nie padła żadna odpowiedź, ale zapaliła się zielona lampka. Nie wiedziałam, jak działa panel sterowania „Sokoła”. Pewne funkcje jednak są identyczne w większości statków, niezależnie od epoki. Zielona lampka oznacza, że SI działa. Pierwsza przeszkoda za nami. (Przypuszczałam, że wyłączyli głos, by James nikogo nie wystraszył).**

**Sznur był na takiej wysokości, że nie dałabym rady przejść nad nim, więc uniosłam go i przeszłam pod nim, po czym podeszłam prosto do czytnika, ignorując poruszenie, jakie wyczułam za sobą. Włożyłam kość.**

**James – powiedziałam – zrzuć dzienniki nawigacyjne. Wszystkie powiązane z doktorem Adamem Wescottem.**

**Zapaliła się kolejna lampka. Biała. Usłyszałam, że zaczyna się transmisja danych. Odwróciłam się i uśmiechnęłam do niemot stojących za mną. Cześć. Jak się macie. Podoba wam się tutaj? Próbowałam sobie wyobrazić, że to, co robię, to jakieś rutynowe naprawy. Tymczasem przyszło mi do głowy, że oni mogą myśleć, iż zamierzam ukraść statek: wystartować, rozwalając budynek, i uciec na Rimway. Z pogonią niemot na ogonie. Prawie widziałam „Sokoła” wznoszącego się ponad wieże Borkarat i przyspieszającego w stronę otwartego kosmosu. Nie byłam w stanie pozbyć się z głowy tego obrazu.**

**Żaden taki scenariusz nie był oczywiście możliwy. Muzeum usunęło fragment konstrukcji, żeby umieścić tu statek, a następnie włożyło go z powrotem. Silniki były co najmniej odłączone, a być może w ogóle ich nie było. I na pewno nie było żadnego paliwa.**

**Czytnik szumiał i zgrzytał, a dane, liczące dziesiątki lat, przepływały przez system. Spojrzałam na inne przyrządy, tak jak mógłby na nie patrzeć technik dokonujących jakichś drobnych napraw, o, tu trzeba trochę podkręcić ciąg.**

**Coraz większa liczba niemot tłoczyła się za sznurem, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wyobraziłam sobie, jak zaglądają mi do głowy, żeby sprawdzić, czy nie jestem stuknięta. Przyszło mi na myśl, że mogą dojść do wniosku, iż po prostu tak się zachowują osobniki pośledniejszego gatunku, i przejść nad tym do porządku dziennego. I zastanawiałam się, czy to moja własna myśl, czy przyszła gdzieś z zewnątrz.**

Kilku z nich odeszło, ale reszta trwała na posterunku. Patrzyłam na światła, czekając, aż biała lampka zmieni kolor, wskazując, że operacja została zakończona.

Wyprostowałam fotele. Wyjrzałam przez iluminatory. Sprawdziłam ustawienie ekranów. Poprawiłam bluzkę.

Szkoda, że nie miałam przy sobie ściereczki do kurzu.

Wyjrzałam znów przez iluminator. Do „Sokoła” zbliżała się para niemot w błękitnych mundurach.

Lampka nadal była biała.

Tłum za mną zaczął się przetasowywać, żeby zrobić im miejsce. Usłyszałam ciężkie kroki. I oczywiście ani jednego dźwięku.

Wkroczyli. Obaj w mundurach, z groźnymi minami. Tylko czy to tak łatwo określić w przypadku Aszijurów? Próbowałam o tym nie myśleć. Próbowałam nadać komunikat: *już kończę. Poczekajcie jeszcze chwilkę.*

Przeszli nad sznurem. Jeden wziął mnie za rękę i odciągnął mnie od czytnika. Obejrzałam się. Lampka była nadal biała.

Chcieli, żebym z nimi poszła, a ja nie miałam żadnych możliwości, żeby im się przeciwstawić. Prawie wywelekli mnie przez śluzę, przez gapiący się tłum, który nawet już nie udawał, że nie patrzy. Wyszliśmy z sali, zeszliśmy po rampie, przemierzyliśmy hall i zanurzyliśmy się w korytarzu.

Byłam bezradna. Staralam się wysłać wszelkie możliwe rodzaje protestów. Ale nic nie działało. Nie mogłam z nimi porozmawiać. Nie mogłam używać sygnałów niewerbalnych. Nie mogłam nawet użyć mojego zwykłego uroku.

Wyprawdzili mnie przez podwójne drzwi, a potem korytarzem, po obu stronach którego znajdowały się jakieś biura.

Uświadomiłam sobie, że to coś więcej niż wyrzucenie mnie. Zmierzaaliśmy na tyły muzeum.

Drzwi były wykonane z ciemnego szkła i wyświetlały się na nich jakieś symbole w języku niemot. Jedne otworzyły się i wepchnięto mnie do środka. Było to puste biuro. Dostrzegłam wewnętrzne drzwi, kilka stołów i trzy albo cztery krzesła. Wszystkie w standardowym rozmiarze dla tubylców. Moja obstawa puściła mnie i gestem nakazała mi, bym usiadła.

Zostali ze mną. Oboje stali: jeden przy drzwiach, którymi weszliśmy, drugi przy wewnętrznych. Zastanawiałam się, czy SI zrzuciła już dane na moją kość.

Czekaliśmy jakieś pięć minut, aż usłyszałam hałasy po drugiej stronie drzwi, które zaraz, się otworzyły. Pojawiła się samica, odziana w coś, co wyglądało jak dres w kolorze złamanej bieli, z opadającym na ramiona kapturem.

Spojrzała na mnie, a potem na moją obstawę. Najwyraźniej wymieniali jakieś informacje. W końcu obstawa wstała i wyszła z pomieszczenia. Widocznie uznali mnie za niegroźną.

Samica sięgnęła do kieszeni, wyjęła translator na łańcuszku i zawiesiła go sobie na szyi.

–Witaj, Chase – powiedziała. – Jestem Selotta Movia Kabis. Mów mi Selotta.

Nawet w tych okolicznościach trudno było się nie roześmiać. Przedstawiłam się i przywitałam. Gapiała się na mnie.

–Miło nam, że zdecydowałaś się nas dziś odwiedzić.

–Mnie również – odparłam. To ładne muzeum.

–Tak. – Okrążyła mnie i zajęła krzesło po przeciwnej stronie. – A mogę spytać, co takiego robiłaś na pokładzie „Sokoła”?

Kłamstwo nie miało sensu. Translator nie czytał mi w myślach, ale zastanawiałam się, czy w ogóle jest jej potrzebny.

–Próbowałam skopiować dzienniki nawigacyjne.

–Ale po co? „Sokół” jest w Sali Ludzi, odkąd tu pracuję. Czyli co najmniej jakieś dwadzieścia pięć lat.

–Zgadza się, minęło sporo czasu – przytaknęłam.

Skupiła się na mnie. Nie ukrywała, że szpera w mojej głowie.

–Co to jest „Poszukiwacz”? – spytała.

Wyjaśniłam. Opisałam związek z Margolią, po czym wytłumaczyłam, czym była Margolia.

–Dziewięć tysięcy lat?

–Tak.

–I chcecie znaleźć to miejsce? Margolię?

–Wiemy, że to trochę zbytek optymizmu. Ale mamy nadzieję, że znajdziemy statek.

Szare powieki opadły na oczy i znów się uniosły. Rogówki miała czarne, o kształcie rombu.

**Przyglądała mi się przez chwilę.**

**–Kto wie? – powiedziała w końcu. – Może jedno znalezisko doprowadzi do drugiego.**

**–Teraz rozumiecie, dlaczego potrzebna mi była wasza pomoc w wydobyciu informacji z „Sokoła”.**

**Siedziała w milczeniu i rozmyślała. W końcu chyba podjęła jakąś decyzję. Drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się. Obróciłam się i zobaczyłam jednego ze strażników. Selotta dała mi gestem do zrozumienia, żeby podszedł. W prawej ręce miał moją kość. Zaczęłam się zastanawiać, czy po prostu nie wyrwać mu jej z ręki i nie zacząć uciekać.**

**–Nie – powiedziała Selotta. – To nie byłby dobry pomysł.**

**Podał jej kość, odwrócił się i wyszedł. Przyjrzała się jej, włączyła lampę i zaczęła dokładne oględziny. Kiedy skończyła, spojrzała znów na mnie tymi oczami w kształcie rombu. Doznałam wrażenia, że do mnie mówi. Nagle zrobiła zdumioną minę. Potrząsnęła głową w geście, który bardzo przypominał ludzki, i postukała w translator.**

**–Czasem trudno pamiętać, że muszę mówić.**

**–Pewnie tak – odparłam.**

**–Chciałam zapytać, czy nie macie jakichś skrupułów co do tego, że tam może istnieć żywa cywilizacja. Przedstawiciele – waszego gatunku po dziewięciu tysiącach lat. Nie macie pojęcia, co tam może być.**

**–Wiem.**

**–Bez urazy, ale ludzie bywają nieprzewidywalni.**

**–Czasem – odparłam. – Nie mamy nadziei, że znajdziemy tam żywych ludzi. Ale może znajdziemy resztki pierwotnej osady, jakieś artefakty. Będą bardzo cenne.**

**–Niewątpliwie.**

**Czekałam w nadziei, że po prostu poda mi kość i każe odejść z Bogiem.**

**–Może uda nam się dogadać.**

**–Co masz na myśli?**

**–Możesz zabrać swoją kość.**

**–Pod warunkiem?**

**–Że jeśli znajdziecie to, czego szukacie, podzielicie się z nami.**

**–Chcecie trochę artefaktów?**

**–Myślę, że to uczciwa umowa. Cóż, szczegóły pozostawiam waszej hojności. Sadzę, że mogę ci zaufać.**

**Wstała.**

**–Dziękuję, Selotto. Tak. Jeśli nam się uda, zadbam o to, żeby muzeum było zadowolone.**

**–Skontaktuj się bezpośrednio ze mną.**

**–Oczywiście.**

**Nie wykonała żadnego ruchu, żeby podać mi kość.**

**–Chase – powiedziała. – Dziwi mnie, że po prostu nie zwróciłaś się do nas bezpośrednio.**

**Stałam tam i próbowałam sprawiać wrażenie, jakby próba kradzieży była działaniem zupełnie racjonalnym.**

**–Przepraszam – odparłam. – Powinnam była. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, czy mi na to pozwolicie.**

**–Czy po prostu nie zagarniecie wszystkiego dla siebie.**

**–Tego nie powiedziałam.**

**–Ale pomyślałaś. – Położyła kość na stole. – Czekam z niecierpliwością na wieści, Chase.**

# PIĘTNAŚCIE

Przed decyzjami, które są naprawdę ważne, stajemy tylko raz w życiu. Czy chodzi o wybór partnera życiowego, czy szlaku inwazji – taka okazja już nigdy się nie powtórzy. Musimy wybrać dobrze za pierwszym razem.

Mara Delona, *Podróże z biskupem*, 1404

Już w pokoju hotelowym użyłam notatnika do uruchomienia kości. Najpierw wyszukałam wszelkie odwołania do Margolii, wraku czy dowolnego artefaktu.

–Brak wyników wyszukiwania – zameldowało urządzenie.

–Trudno. W takim razie wydrukuj wszystko i zobaczmy, co tam mamy.

–Potwierdzam, Chase. Dane obejmują dziesięć misji, od roku 1381 do 1392.

Hotel oferował gościom kilka wersji różnych napojów bezalkoholowych. W oczekiwaniu na wydruk skosztowałam jednego z nich. Miał trochę cytrynowy smak i był dość dobry.

Podczas ostatniego lotu z Wescottami „Sokół” odwiedził okolice dziewięciu gwiazd. Żadna z nich nie była podwójna. Dane obejmowały zwykle parametry każdej: masę, temperaturę, wiek i całe mnóstwo dodatkowych informacji. Były tam także dane na temat układów planetarnych, jeśli takie istniały. (Jeden z celów, Branweis 4441, nie posiadał planet). Wszystko to już mieliśmy w oryginalnych raportach i nie byłam w stanie znaleźć niczego nowego. I wszystko się zgadzało.

Przyjrzałam się kolejnej misji, przeprowadzonej w latach 1390-1391. Wtedy zbadali dziesięć gwiazd i znowu wszystko się zgadzało.

Przejrzałam resztę lotów, aż do pierwszej misji Adama na pokładzie „Sokoła”. I znów nie dostrzegłam niczego niezwykłego.

Tydzień później znalazłam się na Takmandu, gdzie czekała na mnie wiadomość od Aleksa. „Nie odpuszczaj. Jeśli wrócisz z nagrodą, zostaniesz, moją współpracowniczką”.

Jasne, Aleksie. A tymczasem zdobyłam tylko kopię tego, co i tak już mieliśmy.

Byłam w dobrym nastroju, kiedy wymeldowałam się z hotelu i wsiadłam do wahadłowca, który miał zawieźć mnie na stację. I nie potrafię opisać mych odczuć, gdy dziesięć dni później zobaczyłam znów „Belle Marie”.

Wkroczyłam na pokład, nagadałam facetom z kontroli lotów trochę miłych rzeczy, żeby pozwolili mi szybko wystartować, powiedziałam Belle, że za nią tęskniłam, rozsiadłam się na mostku i prześledziłam listę kontrolną. Kwadrans później byłam już w drodze.

**Lot trwał cztery dni. Spędziłam go głównie wściekając się z powodu zainwestowania czasu i wysiłku w coś, co nie dało żadnych wyników. Czytałam, oglądałam jakieś symulacje, a kiedy znalazłam się w zasięgu, połączyłam się z Alekssem.**

**–I jak sobie poradziłaś? – spytał.**

**–Ściągnęłam zawartość SI. Ale nie było tam nic nowego. Nadal możliwe było wyłącznie połączenie głosowe, a opóźnienie wynosiło dwanaście minut tam i z powrotem. Rozsiadłam się wygodnie.**

**–Dobrze. Zatrzymaj dane. Sprawdzimy to jeszcze raz. Może coś znajdziemy.**

**Czy on naprawdę myślał, że wyrzucę kość za burtę?**

**–Nie byłabym taką optymistką – rzekłam.**

**Kiedy zacumowałam, czekał na pokładzie stacji Skydeck, cały w uśmiechach, próbując dodać mi otuchy. To nie była twoja wina, powiedział. Nie martw się. Przyjrzymy się temu jeszcze raz. Kto wie, może coś znajdziemy?**

**–Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradził, Chase – dodał.**

**Pewnie sądził, że muszę czuć się okropnie. Ja tymczasem byłam przede wszystkim sfrustrowana. Trzy tygodnie na kompletnie niestrawnym jedzeniu i graniu w mentalne uniki z niemojami. I nic w zamian.**

**–Gdzie ta kopia? – spytał.**

**Była w jednej z moich toreb.**

**–Dobrze – mówił, jakby starał się dodać mi otuchy. – Może ją wyjmiesz i przyjrzymy się jej podczas lotu z orbity?**

**–Nie różni się od tego, co było w oficjalnych raportach. Czekał, aż wykonam polecenie, a kiedy wziął wydruk, ruszyliśmy w stronę pokładu wahadłowców. Przeszliśmy może pięć kroków, kiedy rozpromienił się, po czym włożył wydruk do tuby i tryumfalnie uniósł go nad głowę.**

**–Co? – spytałam.**

**–Podano tu daty poszczególnych akcji. Mamy kolejność, w jakiej odwiedzali poszczególne układy. Dobra robota, Chase. Jesteś genialna.**

**–A czemu to jest istotne?**

**–Zastanów się. Służyłaś w Agencji, zanim pojawił się napęd kwantowy. Kiedy odległości**

**naprawdę miały znaczenie.**

**–No i?**

**–Powiedzmy, że masz tuzin gwiazd do zbadania podczas jednej misji. Jak określisz kolejność?**

**To było dość proste.**

**–Ustalaliśmy wszystko tak, żeby odległości były jak najmniejsze.**

**–Tak. – Chwył mnie za rękę. – Teraz możemy więc określić, czy w dokumentacji podano rzeczywistą kolejność.**

**–Jeśli nie lecieli tak, by odległości były jak najmniejsze, oznacza to, że coś zmienili. I może będziemy w stanie określić, gdzie jest „Poszukiwacz”.**

**Kiedy usiłowałam z niego wydobyć, jak to miałyby się odbyć, zaczął mi opowiadać o ekonomicznym zużyciu paliwa.**

**–Twoja przyjaciółka Shara jest na urlopie. Kiedy wróci, pogadamy z nią i zobaczymy, czy jej się uda coś ustalić.**

**–Dobrze – odparłam.**

**–A poza tym Delia dzwoniła. Skontaktuj się z nią w wolnej chwili, dobrze?**

**Następnego dnia wieczorem spotkałam się z nią w „Długim Drzewie”, bistrze w centrum, które mieściło się tuż w pobliżu Parku Konfederacji. Mroczne zakamarki, bejcowana boazeria, świece, dyskretna muzyka. To ona zaproponowała to miejsce, ale należało do moich ulubionych.**

**Kiedy weszłam, już na mnie czekała. Na jej ładnej twarzy otoczonej ciemnymi włosami widać było niepokój. Była skromnie ubrana w bladoniebieską spódnicę, białą bluzkę i koronkową kamizelkę. Jediną oznaką jej zamożności był komunikator: osadzono go w złotej bransoletce, którą nosiła na nadgarstku.**

**–Cieszę się, że mogę się z tobą spotkać, Chase – powiedziała. – Dobrze, że przyszedłś.**

**Przez parę minut rozmawialiśmy o pogodzie. Potem dałam jej do zrozumienia, że dziwi mnie jej wizyta w Andiquarze.**

**–Przyleciałam specjalnie po to, żeby się z tobą zobaczyć – wyjaśniła.**

**Pojawił się automatyczny kelner, przedstawił się i przyjął zamówienie na drinki, po czym szybko się oddalił.**

**–Mam wieści – powiedziałam. – Znaleźliśmy SI „Sokoła”. Dane pokrywają się z oficjalnymi**



raportami.

–Dobrze. – Uśmiechnęła się defensywnie. – Więc to tylko kwestia czasu, prawda?

–Nie wiem.

–Nie podoba mi się ta sytuacja.

–Nie dziwię ci się.

Pojawiły się nasze drinki. Przyjrzała się swojemu, po czym uniosła szklankę.

–Za „Poszukiwacza” – powiedziała. – Bez względu na to, gdzie się znajduje.

–Za „Poszukiwacza” – przytaknęłam.

–Oni chcieliby, żebyś go znalazła powiedziała. – Wiem, że nie chcieli, żeby zapomniano o całej sprawie.

–Pewnie tak było.

Delia poprawiła kołnierzyk takim gestem, jakby chciała go zapiąć; jakby się przed czymś chroniła.

–Chase, wiem, że te poszukiwania tak naprawdę dotyczą moich rodziców. To musi mieć na mnie jakiś wpływ.

–Przecież nie chodzi o twoich rodziców, ale o ich misje.

–Ujmij to jak chcesz, ale w gruncie rzeczy to jest to samo. O całej sprawie zrobiło się już głośno i ludzie zaczynają mnie wypytywać, co takiego ukrywali moi rodzice.

–Przykro mi odparłam. – Próbowaliśmy zachować ostrożność. Nikt jak dotąd nikogo o nic nie oskarża.

–Już sam fakt prowadzenia poszukiwań wystarczy. Sam w sobie jest oskarżeniem. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale chciałabym, żebyście zaprzestali poszukiwań.

Wyjrzałam przez okno. Ludzie przemykali, uciekając przed chłodem nocy.

–Nie mogę tego zrobić odparłam.

–Postaram się wam to jakoś zrekompensować.

–Przecież właśnie powiedziałaś, że twoi rodzice chcieliby, by znaleziono „Poszukiwacza”.

**–Tak, oni by chcieli. Ale ja nie chcę, by wystawiano na szwank dobre imię rodziny.**

**–Przykro mi – rzekłam. – Naprawdę.**

**Już nie sprawiała wrażenia sympatycznej.**

**–Oni nie żyją i nie mogą się bronić.**

**–Delio, przecież nikt nikogo nie oskarża. Nikt nie twierdzi, że zrobili coś złego.**

**–Jeśli fałszowali raporty, to już jest przestępstwo, prawda?**

**–Tak.**

**–Tak przypuszczam.**

**Łzy pociekły jej po policzkach.**

**–Proszę, zastanów się przez chwilę, ile to wszystko dla mnie znaczy.**

**Pojawił się kelner, by przyjąć zamówienie na dania obiadowe. Nie byłam pewna, czy w tej sytuacji uda mi się coś zjeść. Delia spojrzała na mnie, przeniosła wzrok na menu, już miała coś powiedzieć, ale potrząsnęła głową.**

**–Danie specjalne – powiedziała. – Krwiste. Czerwone mięso.**

**Poprosiłam o zapiekanekę z ryby boka, która – wyjaśnię moim czytelnikom z innych planet – smakuje trochę jak tuńczyk. Zamówiłam też drugą kolejkę drinków i rozsiadłam się wygodnie.**

**–Wiesz – odezwała się w końcu – miałam wizytę jeszcze innego gościa, którego interesowali moi rodzice.**

**–Tak? Kto to był?**

**–Nazywa się Corbin. Chyba Josh Corbin. – Zagryzła wargę. – Tak, zgadza się, Josh. Młody mężczyzna. Dwadzieścia parę lat.**

**–Dlaczego go to interesuje?**

**–Twierdzi, że pisze reportaż o pracy Agencji.**

**–Pytał o „Poszukiwacza”?**

**–Tak.**

**Jakby we mnie piorun trafił. Wiedział o tym ktoś jeszcze.**

**–Co mu powiedziałaś?**

**–Nie widziałam powodu, dla którego miałabym utrzymywać to w tajemnicy. Powiedziałam mu z grubsza to samo co tobie.**

**Kiedy ja miło spędzałam czas z Delią, do Aleksa zadzwonił producent programu Petera McCoveya. Dowiedzieli się o poszukiwaniu Margolii i chcieli powiedzieć „kilka słów” w najbliższym wydaniu. Zaproszono kilku gości. Może chcialby dołączyć?**

**Alex nie był zadowolony z tego, że wieści o naszych działaniach już się rozeszły, ale w tych okolicznościach trzymanie sprawy w tajemnicy chyba było już niemożliwe. Próbował się wykręcić, ale powiedziano mu, że wszyscy będą zainteresowani spotkaniem się właśnie z nim. Jeśli będzie uporczywie odmawiał, oznajmił producent, nie będą mieli wyboru: poinformują wszystkich, że został zaproszony i odmówił. I postawią puste krzesło, które będzie symbolizować jego nieobecność.**

**Alex już występował w takich programach i zawsze był w nich atakowany.**

**–Nie pozwalają człowiekowi dojść do słowa – poskarżył się raz po jednym z nich. – Prowadzący zadaje pytania, steruje rozmową, nigdy nie pozwalają dokończyć, jeśli nie podoba im się to, co mówisz.**

**Fakt, że zawsze był postrzegany jako ktoś, kto jest zainteresowany bardziej zarabianiem pieniędzy niż ujawnianiem prawdy, nie pomagał mu specjalnie. Zawsze przedstawiali wszystko tak, jakby robił coś niegodziwego dla zysku.**

**Alex pomyślał, że puste krzesło nie będzie dobrze wyglądać, więc się zgodził.**

**Następnego wieczora pojechałam więc z nim do studia. Oczywiście mogli zorganizować wszystko zdalnie, ale woleli, kiedy goście pojawiali się w studiu osobiście. Wtedy mogli komuś poprawić makijaż i wykonać wokół niego te wszystkie działania, które nazywali „indywidualną rozmową”, a które w gruncie rzeczy zmierzały do tego, żeby ofiara rozluźniła się i przestała wykazywać czujność. Był to ten sam facet, który otwarcie oskarżył Aleksa o brak patriotyzmu, kiedy wyszła na jaw sprawa Christophera Sima.**

**Peter McCovey jest niski i przysadzisty, ma czarną bródkę i przyklejony uśmiezek, który nigdy nie znika mu z ust i nigdy się nie zmienia. Miał na sobie charakterystyczną dla niego niebieską marynarkę z białą chustką pod szyją i taką samą w butonierce. Wyglądało to trochę pretensjonalnie, co sam przyznał, ale takie były oczekiwania publiczności.**

**Przybyło jeszcze dwóch innych uczestników: doktor Emily Clark, która sądziła, że Margolianom nigdy nie udało się założyć kolonii na wybranej przez nich planecie, bez względu na to, gdzie się znajdowała, i niejaki Jerry Rhino, który upierał się, że Margolia nie tylko przetrwała wczesne lata, ale wywierała nieustanny wpływ na nasze życie, manipulując nami za pomocą technik podprogowych i promieniowania magnetycznego.**

**–To źródło naszej duchowej mocy – powiedział. Rhino napisał na ten temat kilka książek, które cieszyły się ogromną popularnością wśród wyznawców okultyzmu.**

**Program nadawano na tle scenografii przypominającej gabinet wypełniony książkami. McCovey przedstawił gości i rozpoczął dyskusję, pytając Aleksa, co naprawdę stało się z Margolianami.**

**Alex oczywiście nie wiedział.**

**–Tego nikt nie wie – dodał.**

**Rhino stwierdził, że on wie, i dyskusja błyskawicznie zmieniła się w kłótnię. McCovey uwielbiał, jak goście się kłócą. Był jednym z najbardziej cenionych gospodarzy takich programów.**

**Clark przez cały czas się uśmiechała, skutecznie dając wszystkim do zrozumienia, że każdy, kto bierze to wszystko serio, jest idiotą. Kiedy Alex próbował sugerować, że przecież kolonia mogła przetrwać i może nadal gdzieś prosperuje, przewracała oczami i zastanawiała się głośno, gdzie się podział zdrowy rozsądek. Widać było, że nie trawi Rhina i próbuje cały czas gasić go sarkazmem.**

**Jerry, niezrażony, brnął dalej. Margolianie nawiązali kontakt z duchowymi siłami kosmosu. Odcięci od przyziemnych działań ojczystej planety, osiągnęli coś w rodzaju nirwany. I tak dalej. Czasem spoglądał na Aleksa, szukając wsparcia. Odniosłam wrażenie, że Alex najchętniej by się gdzieś schował.**

**McCovey zawsze twierdził, że nie staje po stronie żadnego dyskutanta, ale nie powstrzymywało go to przed użyciem mocniejszego słowa. W pewnej chwili zażądał od Aleksa wyjaśnienia, jakim to niby cudem nie uważa się za wandalę, a Rhinowi powiedział, że jest obłąkany. Zauważyłam, że zwykle zaprasza ludzi, których łatwo zaatakować, bo niechętnie się bronią. Aleksowi nigdy o tym nie powiedziałam.**

**W każdym razie Alex opuścił studio w kiepskim nastroju, przysięgając, że nigdy już nie da się wplątać w nic podobnego. Wpadliśmy do pubu „Pod Srebrną Laską”, gdzie wlał w siebie trzy albo cztery drinki, znacznie powyżej swojej normy.**

**Prawdziwa ofensywa rozpoczęła się jednak następnego dnia, kiedy w „Śniadaniu z Jennifer” pojawił się Casmir Kolchevsky.**

**–Należy wprowadzić przepisy, które uniemożliwią działalność takim ludziom jak Benedict głosił. – To rabusie. Zagarniają skarby, które należą do wszystkich, i sprzedają je temu, kto da najwięcej. To skandaliczne.**

**Przemawiał w tym tonie przez jakiś kwadrans. Na zakończenie programu Jennifer zaprosiła Aleksa, by wystąpił w swojej obronie. Alex przyznał, że dzwonił do niego. Powiedzieli, że**

**powiniennem oglądać.**

**–I co zamierzasz zrobić?**

**–Nie wiem – odparł. – Nie wiem, czy przypadkiem tylko nie pogorszę sprawy. – Westchnął. – Jestem już tym zmęczony. Tych ludzi nigdy nie zadowolisz. Osobnicy tacy jak Kolchevsky, którzy nigdy sami niczego nie znaleźli, twierdzą, że kradniemy coś, co należy do społeczeństwa. Tymczasem to wszystko nie należy do nikogo. A raczej należy do kogoś, kto wykaże trochę ambicji i włoży w to odrobinę pracy. Gdyby nie my, to wszystko by się gdzieś walało, zapomniane.**

**–Pewnie – odparłam. – Tylko że powinienes powiedzieć to im, Aleksie. Nie możesz pozwalać na to, żeby wygadywali takie rzeczy, i nie reagować. To wygląda na przyznanie się do winy.**

**Skinął głową.**

**–Umów mnie z nią. Poza tym twoja koleżanka Shara jutro wraca. Już cię z nią umówiłem.**

**–Dobrze.**

**–Pokaż jej wydruk z dziennika SI. Zdziwię się, jak nie będzie nam w stanie powiedzieć, gdzie jest „Poszukiwacz”.**

**Wieczorem zadzwoniła Windy.**

**–Nie chciałam dzwonić z pracy. Bałam się, żeby nas ktoś nie podsłuchał.**

**–Co się stało? – spytałam.**

**–Chyba wiem, jak wyciekła ta informacja. Wczoraj wieczorem ktoś z moich ludzi widział jedna z moich pracownic biura dyrektora w barze z jednym ze specjalistów Olliego Boltona.**

**–Boltona?**

**–Oczywiście nie mam na to żadnych konkretnych dowodów. – Wzruszyła ramionami – Ale...**

**–Masz jakieś poufne informacje, którymi Bolton może być zainteresowany?**

**–Pewnie – odparła. – Zawsze mamy coś związanego z projektami albo jakieś spekulacje, i jestem pewna, że ty albo Alex chcielibyście to zobaczyć.**

**–To niczego nie dowodzi.**

**–Nie dowodzi. – W jej głosie pojawił się chłód. – Ale zamierzamy rano do niej zadzwonić i porozmawiać.**

**Zawahałam się.**

**–A może lepiej jej nie ruszać, tylko patrzeć jej na ręce? Windy nie przepadała za niełojalnością.**

**–Nienawidzę takich sytuacji, Chase. Jeśli ta kobieta z nimi kolaboruje, należy się jej pozbyć.**

**Uznałam, że lepiej nie naciskać.**

**–Ale tego nigdy nie wiesz na pewno. Więc nic się nie da zrobić. Dajmy temu na razie spokój.**

# SZESNAŚCIE

**Czas to rzeka wydarzeń, a jej prąd jest silny. Przedmioty pojawiają się w jej nurcie dopiero wtedy, gdy zostaną porwane, a kolejne zajmują ich miejsce, gdy pierwsze zostaną uniesione poza zasięg wzroku.**

**Marek Aureliusz, *Rozmyślania***

**Następnego dnia zjawiłam się w biurze Shary, by wyjaśnić, o co nam chodzi. W raportach z misji wymieniono, które gwiazdy badali Wescottowie podczas różnych lotów. Dzięki zapisom z SI „Sokoła” mogliśmy teraz dla każdej misji określić kolejność tych odwiedzin.**

**–Alex przypuszcza, że będziesz w stanie sprawdzić, czy kolejność zgadza się z pierwotną propozycją.**

**–Przecież propozycje już nie istnieją – odparta Shara. – Rozmawialiśmy o tym.**

**–Wiem – przytaknęłam. – Tylko że zanim wprowadzono napęd kwantowy, statki Agencji zawsze obliczały dla danej misji najkrótszą możliwą trasę.**

**Patrzyłam, jak zakłopotana mina ustępuje uśmiechowi.**

**–Rzeczywiście – odparła.**

**–I wiemy, że Wescottowie interesowali się gwiazdami typu G, zbliżającymi się do końca cyklu spalania wodoru.**

**–Zgadza się.**

**–Jesteśmy prawie pewni, że znaleźli coś w jednym z tych układów i usunęli tę gwiazdę z raportu. Polecili gdzieś indziej i wstawili tę gwiazdę zamiast podanej w pierwotnej propozycji. Jeśli ustalimy, która z gwiazd została usunięta...**

**–...będziecie wiedzieć, gdzie jest „Poszukiwacz”.**

**–Możemy to zrobić?**

**–Bez dostępu do pierwotnej propozycji?**

**–Bez.**

**–Jasne. – Patrzyła w jakiś punkt w przestrzeni. Przeleciało Kolo nas stadko kolipszczół, korzystających z pomyślnego wiatru. SI poinformowała o połączeniu przychodzącym.**

**–Nie teraz – zwróciła się do niej Shara. – Chase, pokaż mi, co macie.**

**Podalam jej dysk. Wlozyla go do czytnika i wydalala polecenie zaciemnienia pokoju.**

**–Czy możemy założyć, że to się stało podczas ostatniej misji?**

**–To dobry punkt wyjścia.**

**Polecila SI wyświetlenie obszaru poszukiwań dla misji z lat 1391 1392.**

**Biuro znikło i unosiliśmy się pośród gwiazd.**

**–Zaciemniłem wszystko poza obszarem poszukiwań – wyjaśniła SI. W polu widzenia znajduje się tysiąc trzysta gwiazd. Większość z nich była typami G. Jedna, w pobliżu biblioteczki pod ścianą, rozjaśniła się. – To Taio 4776, którą odwiedzili jako pierwszą. Z gwiazdy wyrosła linia, która połączyła ją z sąsiednią gwiazdą, w odległości pół metra. – Igloo 27651. – Następnie linia pomknęła do trzeciej, wiszącej w pobliżu lampy na biurku. – Koestler 2294. – I do góry, do gwiazdy wiszącej pod sufitem. Potem linia wyrosła wzdłuż sofy, dotknęła dwóch następnych gwiazd i skręciła gwałtownie, przecinając pokój. Miałyśmy przed sobą lśniący zygzak. – Odległość między dwoma najbardziej oddalonymi punktami wynosi trzydzieści dwa i cztery dziesiąte roku świetlnego. Suma odległości pokonanych podczas całej misji to osiemdziesiąt dziewięć i siedem dziesiątych roku świetlnego. Odwiedzono dziesięć gwiazd.**

**–Marku – zwróciła się do SI Shara W obrębie tego samego obszaru zaznacz gwiazdy, które znajdują się w końcowym okresie cyklu spalania wodoru. Powiedzmy, gwiazdy, w przypadku których spalanie helu zacznie się w ciągu połowy miliona lat. Wygaś wszystkie pozostałe.**

**–Sharo, to chwilę potrwa.**

**–Nie ma problemu.**

**–Sharo, czy przypadkiem ktoś nie musiał odwiedzić tych układów wcześniej, skoro Adam wiedział, że te słońca zbliżają się do końca cyklu spalania wodoru? – spytałam.**

**–Ależ skąd. Analiza spektrograficzna dostarcza wszelkich danych wystarczających do zaplanowania misji.**

**–Gotowe – oznajmił Mark.**

**–Doskonale. Gwiazdy zaczęły gasnąć. Zobaczmy, co tu mamy.**

**Zostało około trzydziestu gwiazd, w tym dziesięć zbadanych przez Wescottow. Trasa „Sokoła” została wyraźnie zaznaczona.**

**–Zachowaj ten wzorzec powiedziała Shara.**

**Linia znikła.**



–Dobrze, Marku. A teraz zaplanuj trasę lotu tak, by uwzględniała te dziesięć gwiazd i przebiegała w najkrótszym możliwym czasie. Zaczynaj od tej samej gwiazdy, którą „Sokół” odwiedził jako pierwszą. Taio coś tam. Kiedy skończysz, wyświetl trasę.

Taio 4776 rozjaśniła się, linia ponownie wynurzyła się z niej, przemieściła się w stronę Igloo, następnie w stronę gwiazdy w pobliżu lampy. Kiedy SI skończyła, w powietrzu przed nami wisiał zygzak.

–Chyba wygląda podobnie mruknęłam.

–Zaraz sprawdzimy. Marku, zmniejsz tę trasę i wyświetl znów pierwszy wzorzec. Nałóż je na siebie.

Przesunął obie trasy, aż znalazły się obok siebie, a potem je nałożył.

Identyczne.

–Spróbujmy z poprzednią misją – zaproponowałam.

Znaleźliśmy ją w misji z lat 1386-1387.

Wzorce były prawie identyczne. Także podczas tej misji Wescottowie odwiedzili dziesięć układów planetarnych. Tylko że tym razem nie podążali trasą optymalną z punktu widzenia zużycia paliwa. Przy szóstej gwiazdzie pojawiło się odchylenie.

Tinicum 2502.

Nie była to duża zmiana, ale wystarczyła, by nam podpowiedzieć, że coś jest nie tak.

Siedzialiśmy i patrzyliśmy. Gdyby postępowali zgodnie ze wzorcem, nie poleciliby do układu Tinicum.

–Dobrze – odezwałam się. – A którą gwiazdę powinni byli zbadać? Która pasuje do reszty wzorca?

Shara przekazała pytanie SI.

–Załóżmy, że po Tinicum 2502 powrócili na pierwotną trasę.

–Tutaj – rzekł Mark, podświetlając pobliską gwiazdę. Tinicum 2116.

–Fantastycznie, Sharo.

Uśmiechnęła się.

–Czasem mnie też się coś udaje.

Zabrałam ją na lunch. Tyle mogłam zrobić. Poszliśmy do „Hillside”, zajęliśmy stolik przy oknie, rozsiadaliśmy się wygodnie i zaczęliśmy rozmawiać o zaginionych statkach międzygwiazdnych.

–Układ planetarny Tinicum ma pewnie średnicę rzędu ośmiu miliardów kilometrów – powiedziała. – Oddziaływanie grawitacyjne gwiazdy zapewne sięga kilkakrotnie dalej. Jeśli „Poszukiwacz” znajduje się na orbicie jednej z planet, znajdziecie go bez problemu.

–Ale jeśli jest na orbicie gwiazdy...

–...to musicie zabrać ze sobą niezłe zapasy jedzenia.

Tak. To było następne zadanie do wykonania. Z „Belle Marie”, wyposażoną tylko w podstawowy sprzęt nawigacyjny, takie poszukiwania potrwać długie miesiące. Może lata.

–Czy Agencja mogłaby nam jakoś pomóc?

–Mogę wam pożyczyć trochę sprzętu, na przykład teleskop, który powinien przyspieszyć poszukiwania.

–Sharo – oznajmiłam – jesteś cudownym, życzliwym człowiekiem.

–Wiem. I co z tego mam?

–Postawię ci lunch.

–To już ustaliłyśmy.

–Rzeczywiście. – Zastanowiłam się. – Może chcesz lecieć z nami? I być świadkiem odkrycia?

Skrzywiła się, jakbym właśnie podsunęła jej talerz z posiekaną ośmiornicą.

–Raczej nie. Wiem, że z historycznego punktu widzenia to wielka sprawa, ale nie jestem entuzjastką takich historii. Nie mam aż tyle wolnego czasu, żeby się wybrać na taką wyprawę. To może potrwać miesiąc albo i dwa.

Pojawił się nasz lunch. Kanapki i drinki. Przy stoliku obok okna siedział jakiś facet, który usiłował zwrócić na siebie uwagę Shary, ale sprawiała wrażenie, że tego nie widzi.

–Kiedy go znajdziecie, publicznie ogłóście, że Agencja się do tego przyczyniła.

–Załatwione.

–I udostępnicie nam znalezisko. Przez co rozumiem, że twój szef nie rozbierze statku na części, póki go nie obejrzymy.

–My tylko chcemy zabrać trochę rzeczy. Tylko trochę.

–Potraficie zachować umiar?

–Pewnie.

Spojrzała na mnie.

–Ja mówię serio, Chase.

–Wiem. Nie będzie problemu – odparłam.

–Dobrze – skosztowała drinka, ale widziałam, że myśli o czymś innym. – Wiesz, co naprawdę jest celem działania Agencji? – odezwała się po chwili wahania. – Nie przyznajemy się do tego publicznie, ale najbardziej interesuje nas znalezienie innej cywilizacji. To oczywiście nie jest nasze oficjalne stanowisko. Oficjalnie po prostu katalogujemy wszystko, co tam jest. Każdy układ zostaje wpisany do katalogu. Dane fizyczne gwiazd i planet. Charakterystyka i rozkład planet w układzie. Wszelkie cechy nietypowe i tak dalej. Ale ludzie, którzy podróżują tymi statkami, wiedzą, że większość informacji służy do tego, żeby je zarchiwizować i zapomnieć. Kogo obchodzi temperatura powierzchni jeszcze jednego giganta gazowego?

–Więc chcesz powiedzieć, że...

–Badania gigantów gazowych przeprowadza się zwykle na dużą odległość i robi się to błyskawicznie. Tak samo z planetami, które są za daleko lub za blisko słońc. Statki mają zbadać wszystko w układzie, ale raczej się nie zagłębiają. To dla ciebie żadna nowość. Pracowałaś dla nas. To oznacza, że jeśli „Poszukiwacz” znajduje się na orbicie jakiejś planety, prawdopodobnie będzie to planeta w strefie, gdzie może występować życie. Od tego należy więc zacząć.

–Zatem nie wiemy nawet, czy jest w układzie. I dlatego to nie będzie łatwe zadanie. – Odgryzła kęs kanapki. – Smaczne – powiedziała. – Lubię to miejsce. Opowiedz mi coś o tym teleskopie.

–Dobrze, załatwię, żebyście go dostali. – Zauważyła faceta, który próbował ją poderwać, i zrobiła znudzoną minę. – Kiedy wyruszą?

Wróciwszy do biura, streściłam rozmowę Aleksowi, który tryumfalnym gestem uniósł pięść do góry.

–Chyba coś się zaczyna dziać – powiedział. Powiedziałam mu także o rozmowie z Windy.

–Ollie Bolton. – Skrzywił się. – Czemu mnie to nie dziwi?

–Chyba niewiele możemy zrobić. Poza daniem mu w łeb.

**–Też tak sędę.**

**–Nie wyglądasz na szczególnie wkurzonego.**

**–Tak to już bywa w biznesie. Przechytrzyli nas.**

**–Tak nie powinno być w biznesie. To zwykle przekupstwo.**

**–Chase, nie zwracajmy sobie tym na razie głowy. Mamy ważniejsze rzeczy do roboty.**

**„Belle Marie” nie miała mocowania dla teleskopu, minęło więc kilka dni, zanim przygotowaliśmy i zamontowaliśmy na kadłubie specjalny uchwyt.**

**Kiedy prace jeszcze trwały, Alex spróbował dowiedzieć się czegoś na temat Josha Corbina, mężczyzny, który złożył wizytę Delii i wypytywał ją o „Poszukiwacza”. Nie dowiedzieliśmy się jednak niczego nowego: czasem pracował jako konsultant dla Boltona.**

**Tymczasem do biura przysła przesyłkę. Dołączono do niej kartkę okolicznościową następującej treści: „Chase, nigdy o Tobie nie zapomniałem. To, że pozwoliłem Ci odejść, było najgłupszą rzeczą, jaką zrobiłem w życiu. Zadzwoń wieczorem. Jerry”.**

**Kilka lat temu w moim życiu pojawił się niejaki Jerry Unterketler, ale jakoś nie utkwił mi w pamięci jako sentymentalny typ.**

**Rok wcześniej, kiedy podczas afery z „Polaris” doszło do kilku prób zamachu na nasze życie, zdecydowaliśmy się na zakup najwyższej klasy systemów zabezpieczających i teraz nam się to opłaciło. Kiedy miałam otworzyć przesyłkę, Jacob kazał mi odłożyć ją delikatnie, ostrzec Aleksa i uciekać z domu.**

**Godzinę później policja wyniosła paczkę.**

**–Nanoboty burzące – wyjaśnił Fenn. – Były zaprogramowane na przekształcenie domu w park w ciągu jakichś czterech minut. Park z trzema kamiennymi ławkami. – Spojrzał na mnie. A ty byłąbyś jedną z tych ławek.**

**Przeróżające.**

**–Jak sądzicie, kto mógłby chcieć was zabić? – spytał.**

**Nie mieliśmy pojęcia, kto mógłby się posunąć tak daleko, żeby nastawać na nasze życie. Spędziliśmy z policją godzinę, odpowiadając na pytania i próbując wytypować jakichś podejrzanych. Powiedzieliśmy im o „Poszukiwaczu” i Joshu Corhinie. O Olliem Boltonie.**

**–Sądzicie, że może za tym stać Bolton?**

**Alex odparł, że nie wie. Ja zaś nie przepadam za Boltonem, ale nie przypuszczam, żeby był**

**zdolny do morderstwa.**

**–A skąd się bierze takie rzeczy? – spytałam. – To znaczy nanoboty?**

**–Próbujemy sprawdzić. Są przeznaczone do zastosowań przemysłowych. Niestety, zdobycie ich nie jest takie trudne.**

**Tego wieczora znaleźli Jerry'ego Unterkeflera i zabrali go na przesłuchanie. Milo go było znowu zobaczyć. Wiedziałam jednak, że to nie on za tym stoi.**

**Fenn zadzwonił i powiedział, żebyśmy uważali: żadnego ryzyka i mamy natychmiast informować, jeśli coś nas zaniepokoi.**

**W rzeczywistości niepokój nas nie opuszczał i cieszyliśmy się, że zaraz czeka nas kolejny lot na pokładzie „Belle Marie”.**

**Dwóch facetów z obsługi technicznej zainstalowało urządzenie, które nazywali teleskopem Martina – na pamiątkę jego wynalazcy, Chrisa Martina. Nieomal prehistoria, Podłączyli je do SI statku, wykonali parę testów i powiedzieli, że wszystko działa.**

**Tym razem, rzecz jasna, Alex leciał ze mną. Chcieliśmy wystartować rano, ale nie udało nam się zarezerwować pokoju w hotelu na stacji Skydeck, więc musieliśmy spać na pokładzie, zjedliśmy obiad w spokojnej dellakondyjskiej restauracji „U Karla”. To ulubione miejsce Aleksa na Skydecku. Potem Alex wrócił na statek, a ja udałam się na poszukiwanie jakiegoś towarzystwa i wróciłam na pokład dopiero na kilka godzin przed startem. Ale nie miało to znaczenia, bo po oddaleniu się od statku musieliśmy czekać dziewięć godzin, aż ogniwa się naładują, więc zostało mi mnóstwo czasu na sen. Alex nie spał, kiedy się pojawiłam, i spojrzał na mnie z dezaprobatą, ale nie powiedział ani słowa.**

**Zanim wyszliśmy na kolację, podałam Belle informacje na temat naszego celu. Maksymalny zasięg „Belle Marie” podczas pojedynczego skoku wynosi niecały tysiąc lat świetlnych. Tinicum 2116, nasz cel, znajdował się w odległości tysiąca sześciuset. Musieliśmy więc zatrzymać się i doładować ogniwa. Cała podróż, od chwili startu ze stacji Skydeck do pojawienia się w układzie docelowym, miała trwać niecałe dziewiętnaście godzin. Gdybyśmy lecieli „Sokołem”, trwałoby to jakieś sześć tygodni.**

**Wzięłam prysznic, przebrałam się i zasiadłam w fotelu pilota, kiedy obsługa przypomniała, że został nam kwadrans do startu. Magnetyczne zaczepy ujęły statek i przesunęły go do kolejki.**

**Alex siedział z prawej strony. Był nienaturalnie milczący i dopiero na parę sekund przed startem spojrzał na mnie. – Jesteś pewna, że nie śpisz?**

**W drodze do punktu skoku obejrzelśmy jakąś symulację przygodową i zagraliśmy w szachy. Nie jestem dla niego godnym przeciwnikiem. I chyba dobrze, bo traktuje grę bardzo poważnie. Obejrzelśmy też kinową wersję musicalu *Drugi raz z rzędu*.**

Późnym popołudniem czasu pokładowego napęd kwantowy osiągnął stan pełnego naładowania. Dokonaliśmy więc pierwszego skoku. Łatwiej jest dokonać skoku, który jest krótszy niż pełny zasięg systemu, więc po prostu podzieliłam cały dystans na pół.

Wynurzyliśmy się pośrodku pustki, w ciemności między gwiazdami.

Włączyłam ładowanie i poinformowałam Aleksa, że system będzie gotowy koło 2:00. Nie jest to najlepsza pora.

Pewnie gdybyśmy sądzili, że dokonamy skoku i od razu znajdziemy „Poszukiwacza”, zerwalibyśmy się o tej drugiej nad ranem, gotowi do działania, ale wiedzieliśmy, że to będzie długi proces. Uznałam więc, że lepiej będzie solidnie się wyspać i wykonać następny skok na Tinicum rankiem.

Po kolacji Alex oglądał jakiś program, w którym kilku ekspertów spierało się na tematy polityczne. (Zabraliśmy kilka gości, żeby uzupełnić bibliotekę statku). Przez jakiś czas oddawałam się rozrywkom w postaci VR, odbywając jedną z tych podróży międzygwiazdnych, podczas których siedzi się w fotelu i żegluje między pierścieniami gazowego giganta, a miły głos opowiada, jak powstały i dlaczego tak wyglądają. Przeleciałam przez supernową, co z jakiegoś powodu było mniej przerażające niż podróż w atmosferze Neptuna. Narrator uważał go za niesamowitą planetę. Pewnie nigdy tam nie był. Ja też nie, ale bywałam na podobnych planetach i wiercie mi, kiedy się je ogląda z bliska, myśli się o innych rzeczach niż estetyka.

Poczytałam przez godzinę i położyłam się o północy, instruując Belle, żeby mnie nie budziła.

–Nie muszę wiedzieć, kiedy skończymy ładowanie – oświadczyłam.

–Dobrze, Chase – odparła. Pojawiła się obok mnie w postaci dwudziestoletniej dziewczyny, skromnej, atrakcyjnej i z parą skrzydełek.

–Zamierzasz gdzieś polecieć? – spytałam.

Uśmiechnęła się.

–Zawsze uważałam, że ludzie wyglądają bardziej egzotycznie wyposażeni w coś, co umożliwia latanie.

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć.

–Nie budź mnie, chyba że pojawi się jakiś problem – powiedziałam.

Ale to nie miało sensu. Po zakończeniu ładowania zmienia się nieco odgłos, jaki wydają silniki, i to zawsze mnie budzi.

Dokonaliśmy drugiego skoku zgodnie z planem, kiedy tylko się obudziliśmy; kontrolki

zamrugały, a potem zapaliły się na zielono. Poczulałam ucisk w brzuchu. Zawsze tak odczuwam skok. Tym razem pojawiło się słońce i Belle zidentyfikowała je jako Tinicum 2116.

To był układ, który „Sokół” powinien był odwiedzić zgodnie z raportem, ale tam nie poleciał.

–Znajdujemy się w odległości trzech i jednej dziesiątej jednostki astronomicznej od gwiazdy centralnej – poinformowała Belle. – W połowie tej odległości mieści się biostrefa.

–Dobrze. Zaczynaj skanowanie o dalekim zasięgu. Musimy sprawdzić, jak wygląda układ planetarny.

–Dostosowuję kurs – odparła Belle. – Lecimy w kierunku środka układu.

–I zagon Martina do pracy. Sprawdźmy, czy nie ma czegoś przypominającego wrak.

Technologia, którą wykorzystywał Martin, była dość prosta. Był to trzymetrowy teleskop badający wycinki nieba w promieniu dziesięciu stopni z każdej strony osi. Przeszukiwał jeden wycinek na minutę w paśmie od ultrafioletu po podczerwień i zapisywał wyniki. W ten sposób tworzył obraz całego nieba w ciągu sześciu godzin, po czym proces ten zaczynał się od nowa.

Dzięki temu można było stworzyć katalog wszystkich poruszających się obiektów: planet, księżyców, asteroid i co tylko chcecie. Obiekt, którego poszukiwaliśmy, miał odbijający światło kadłub. Co oznaczało wysokie albedo. Jeśli rzeczywiście gdzieś tam był, powinniśmy go namierzyć w ciągu paru dni.

Zaprosiłam Aleksa, żeby nacisnął guzik uruchamiający całą operację, ale odmówił.

–Ty odwaliałś całą brudną robotę, Chase, więc tobie powinien przyspaść ten zaszczyt.

Tak więc zrobiłam. Zamigotały kontrolki i pojawiła się Belle w odzieży barwy khaki i korkowym hełmie.

–Poszukiwania rozpoczęte – oznajmiła.

Podpięłam teleskop Martina do ekranu nawigacyjnego, żebyśmy mogli oglądać. Alex posiedział chwilę, znudził się i wrócił do wspólnej sali.

Podczas następnych kilku godzin skanowanie dalekiego zasięgu wykryło gazowego giganta w odległości dziesięciu jednostek astronomicznych od słońca i kolejnego w odległości czternastu. I to już było wszystko tego dnia. Alex nie krył rozczarowania, ale przypomniałam mu, że układ słoneczny to ogromna przestrzeń i nie da się wszystkiego znaleźć natychmiast.

Spędziłam większość pierwszego dnia na mostku, obserwując rosnące w miarę zbliżania się słońce. Alex snuł się między swoją kajutą a wspólną salą albo zajmował się wyszukiwaniem informacji o dostępnych na rynku antykach. Po obiedzie dołączył do mnie na mostku, jakby to

**mogło w jakiś sposób przyczynić się do ponaglenia Belle.**

**–Belle, czy coś widać? – spytał.**

**–Nie, Aleksie. Jest jeszcze za wcześnie.**

**–Ile czasu nam potrzeba na znalezienie jakiejś planety?**

**–Może dzień albo dwa.**

**Spojrzał na mnie.**

**–Jak sądzę, teleskop Martina niczego nie znalazł?**

**–Nie. Będziesz pierwszym, który się dowie.**

**–Jakoś nie mogę uwierzyć, że statkom Agencji tyle czasu zajmuje ustalenie, jak wygląda układ planetarny.**

**–Nie mamy pełnego wyposażenia służącego do badania układów planetarnych wyjaśniłam. – Nasz sprzęt służy do szukania niewielkich obiektów, które odbijają dużo światła. Wraków, stacji, takich tam. Skanowanie dalekiego zasięgu działa, ale byłoby szybciej, gdybyśmy mieli bardziej wyspecjalizowany sprzęt.**

**–To dlaczego przed tą wyprawą nie wyposażyłaś statku w coś bardziej wyspecjalizowanego? Mamy teleskop Martina do polowania na „Poszukiwacza”. Czemu nie mamy czegoś do poszukiwania planet?**

**–Nie wiem – odparłam, starając się nie podnosić głosu. – Myślałam, że zamierzamy szukać wraku, nie rozmyślałam o próbach tworzenia mapy układu słonecznego.**

**–Cóż – odparł Alex – pewnie to nie szkodzi. Jeśli tam coś jest, znajdziemy to.**

**Wyglądał na zniechęconego i chyba nie tylko dlatego, że nie miał do roboty nic poza czekaniem.**

**–Nic ci nie jest? – spytałam.**

**–Nie, wszystko gra.**

**–Coś cię trapi.**

**–Nie – odparł. – Nic ważnego.**

**Pewnie myślał, że po prostu przylecimy, w ciągu pierwszych paru minut znajdziemy w biostrefie planetę klasy K, z wodą w stanie ciekłym i poziomem grawitacji odpowiednim dla**



ludzi. A jeśli tak się nie stało, zaczynał się martwić, że niczego takiego tu nie ma.

Tak naprawdę nie szukaliśmy wraku. On chciał znaleźć Margolę.

–Aleksie, takie poszukiwania muszą trochę potrwać. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

Westchnął.

–Gdyby tu była planeta klasy K w biostrefie, już byśmy ją wykryli, prawda?

Nie chciałam go okłamywać.

–Pewnie tak. Ale wyluzuj.

Wzruszył ramionami.

–Jestem zawsze wyluzowany. Nie ma bardziej wyluzowanego człowieka ode mnie.

Czwartego dnia naszego pobytu w układzie Belle zameldowała o kolejnym znalezisku.

–Planeta podobna do Ziemi. Nie zauważyliśmy jej dotąd, bo była po drugiej stronie słońca.

–Gdzie się znajduje?

–W biostrefie.

Bingo. Podskoczył w fotelu i uścisnął moją rękę.

–Miejmy nadzieję, że coś z tego wyjdzie. – Wyjrzał przez iluminator. – Widać ją stąd?

Belle wskazała słabo świecącą gwiazdę.

–Przyjrzyjmy się jej.

Belle potwierdziła polecenie i zmieniliśmy kurs. Potrzebne nam było jakieś dziesięć godzin ładowania, a następnie mogliśmy dokonać skoku, żeby przemieścić się bliżej.

–Ma atmosferę – poinformowała Belle. – Jej średnica równikowa to trzynaście tysięcy kilometrów. Odległość od słońca wynosi sto czterdzieści dwa miliony.

–Pięknie – rzekł Alex. – Druga Rimway.

–Brak dowodów na występowanie satelitów.

–A transmisje radiowe? – spytał. – Odbieramy coś?

–Nie wykryłam niczego. Ale jesteśmy dość daleko. Chyba nic nie mogło zepsuć mu humoru.

**–Nie przypuszczam, żeby przetrwali tyle lat.**

**Musiałam się z tym zgodzić.**

**–Nie spodziewaj się cudów – powiedziałam. Miałam złe przeczucia.**

**–Wykryłam obecność oceanów – oznajmiła Belle.**

**–Doskonale! – Alex pochylił się jak chart wyścigowy.**

**–Mam jedno pytanie – mruknęłam.**

**–Wal.**

**–Jeśli to naprawdę Margolia, dlaczego Wescottowie nic nie powiedzieli? Byli tu – w 1386? W 1387? Propozycje misji zostały skasowane najpóźniej w 1390 roku. A oni zachowali milczenie aż do 1395.**

**–Pojawiły się jakieś podejrzenia – powiedział.**

**–I co z tego? Kiedyś musieliby zaryzykować i to ogłosić.**

**Potrząsnął głową.**

**–Może chcieli jeszcze trochę poczekać.**

**–Aleksie, nie chciałabym, żebyś pielęgnował jakieś złudne nadzieje.**

**Ta ekscytacja była zupełnie nie w jego stylu. Tylko że przy tak wielkim potencjale Alex po prostu nie potrafił się powstrzymać. I nie mam tu na myśli aspektu finansowego. Pod maską bezwzględne go biznesmena Alex w gruncie rzeczy był romantykiem. A to była niezmiernie romantyczna okoliczność.**

**Nadal byliśmy podekscytowani, kiedy kilka godzin później Belle oznajmiła:**

**–Chyba nie mam dobrych wieści.**

**Na mostku natychmiast zapanowała ponura atmosfera.**

**–Mów, Belle.**

**–Ta planeta nie nadaje się do kolonizacji. Prawdopodobnie nawet nie mogliby tam żyć ludzie.**

**Alex jęknął.**

**–Wydawało mi się, że znajduje się w biostrefie, prawda, Belle?**

–Oddała się od słońca.

–To znaczy? – dopytywał się Alex.

–Ma bardzo wydłużoną orbitę eliptyczną. Nie mam jeszcze dokładnych danych liczbowych, ale oceniam, że oddała się o jakieś czterysta milionów kilometrów.

–Czyli zima tam jest bardzo mroźna – podsunęłam.

–A w lecie zbliża się na odległość czterdziestu milionów. Możliwy błąd oceny to jakieś dziesięć procent, ale przy tej odległości to bez znaczenia.

–Kiedy dociera do peryhelium, okolice jej równika otrzymują czternaście razy tyle światła słonecznego na centymetr kwadratowy co Rimway.

–A co się dzieje z oceanami, kiedy znajdzie się w najbardziej oddalonym punkcie orbity?

–Nie mam jeszcze wystarczających danych.

Planetę spowijały białe cumulusy. Oceany pokrywały ponad połowę jej powierzchni. Łądy zieleniły się.

–Nachylenie osi to dziesięć stopni – poinformowała Belle.

Potwierdziła, że nie ma żadnego księżyca.

–Przy odległości czterdziestu milionów kilometrów musi się gotować – rzekł Alex.

–Aleksie, kiedy zbliża się do peryhelium, przyspiesza. W okresie, w którym otrzymuje maksymalną dawkę promieniowania, porusza się bardzo szybko.

–Musi zdrowo zasuwać – mruknął Alex.

–Och, zdecydowanie. Kiedy jest w najbardziej oddalonym punkcie, porusza się wolniej. Przez większość czasu na tej planecie panuje sroga zima.

–Belle, ale czy przy takim rodzaju orbity oceany nie wyparowałyby i nie znikły?

–Brak mi wystarczających danych – odparła. – Przypuszczam jednak, że ich obecność zapewnia jakąś ochronę przed wysoką temperaturą w lecie.

–W jaki sposób? – spytałam.

–Kiedy planeta znajdzie się bliżej słońca, oceany silnie parują. Poziom morza może wtedy opaść nawet o trzydzieści metrów. Para wodna zasłania niebo, jak teraz: optycznie nieprzenikliwe chmury burzowe, które chronią przed promieniowaniem.

Czujniki były w stanie przeniknąć przez grubą atmosferę i zobaczyliśmy zdjęcia. Doliny rzek. Szerokie wąwozy. I pokryte śniegiem góry.

–Przypuszczam, że oceany tracą wodę – podsunęłam. – Jeszcze parę milionów lat i będzie po nich.

–W oceanach występują jakieś duże formy życia – poinformowała Belle.

–To one nie zamarzają? – zdziwił się Alex. – Jak wygląda rok tej planety?

–Rok trwa około dwadzieścia jeden i pół standardowego miesiąca. Przez dziewięć miesięcy temperatury są dość znośne. Nawet przyjemne. W najzimniejszych sześciu miesiącach oceany częściowo zamarzają. Nie jestem w stanie jeszcze określić, do jakiej głębokości. Prawdopodobnie aż do stu metrów. To zapewnia izolację przed nadmierną utratą ciepła.

–I dzięki temu formy życia mogą przetrwać.

–Tak.

–A możesz nam powiedzieć, co to za formy życia?

–Nie. Potrafię wykryć ruch, ale nie dysponuję jeszcze szczegółami.

Nie było żadnych oznak świadczących o tym, że planeta jest zamieszkana. Nic nie sugerowało, że ktoś kiedyś postawił na niej stopę. Łądy pokrywała bujna roślinność. Wyglądała wręcz, jak dżungla. Nie dostrzegliśmy żadnych dużych zwierząt. Ba, w ogóle żadnych zwierząt.

Opadliśmy na niższą orbitę i Alex zaczął wpatrywać się w planetę. Z tej wysokości wyglądała ciepło i przytulnie: idylliczne miejsce, idealne do osiedlenia się.

Było tam kilka oddalonych od siebie pustyń. Poza nimi jak okiem sięgnąć ciągnęła się dżungla.

–Nic nie rozumiem – oznajmiłam. – Ta planeta mija słońce w odległości rzutu beretem i to wszystko dalej żyje? Dlaczego nie zmieniła się cała w pustynię? Albo wyżarzony kawałek skały?

–Okresowe przebywanie w pobliżu słońca zapewnia gorący i wilgotny klimat. Idealny do rozwoju dżungli. I jak już wspominałam, chmury w pewnym stopniu chronią przez żarem.

Alex myślał o czymś zupełnie innym.

–Belle, czy nie ma tam śladów jakichś konstrukcji? Budowli? Dróg? Może jakaś przystań? Cokolwiek podobnego?

–Niczego takiego dotąd nie wykryłam. Ale skanowanie całej planety trochę potrwa.

–Jasne.

–W tej chwili temperatura na średnich szerokościach geograficznych wynosi od dwudziestu trzech do pięćdziesięciu stopni Celsjusza.

–Trochę ciepło – mruknął Alex.

–Atmosfera składa się z azotu, tlenu i argonu. Nadaje się do oddychania. Może trochę za dużo w niej tlenu. Ciśnienie powietrza na poziomie gruntu wynosi prawdopodobnie koło tysiąca milibarów.

–Jak w domu.

–Nie widzę powodu, dla którego miałyby być inaczej.

Alex spojrzał na dżunglę.

–Co o tym sądzisz, Chase?

–Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś chciał się tu osiedlić.

Pojawiła się Belle. Tym razem wyglądała jak starsza pani, bibliotekarka albo stateczna matrona. Zmarszczki, siwe włosy, uspokajający uśmiech.

–Wykryłam aktywność wulkaniczną na południowej półkuli.

Chciałam z kimś porozmawiać, więc uruchomiłam awatar Harry'ego Williamsa. Pojawił się w fotelu z prawej strony, uśmiechnął przyjaźnie i przywitał się. Harry był wysoki – a przynajmniej taki był jego awatar. Rozejrzał się po mostku, jakby był właścicielem statku.

–Niezły macie statek – oznajmił. – Szkoda, że paru takich nie miałem.

Biała marynarka z wysokim kołnierzem odcinała się wyraźnie od jego ciemnej skóry. Był ubrany nieformalnie, jak ktoś, kto wybiera się na przechadzkę do parku. W jego oczach i kształcie szczęki malowała się determinacja. To był ktoś, komu lepiej nie wchodzić w drogę.

–Gdzie jesteśmy?

–To Tinicum 2116.

–Gdzie?

Nie było szans, żeby mu to coś powiedziało. System katalogowania był zmieniany parę razy. Machnęłam ręką w stronę iluminatora.

–Przypuszczaliśmy, że to może być Margolia.

**–Nie wiem odparł.**

**Pokazałam mu kilka zbliżeń. Dżungla. Jeszcze więcej dżungli.**

**–Nie – odparł. – To nie to. Margolia była planetą, na której panowało lato. Zielono, wilgotno, jasne niebo, głębokie lasy, szerokie oceany.**

**–Szkoda, że pan nie wie, gdzie się znajdowała.**

**–Też żałuję.**

**–Rozpoznałby pan ją, gdyby ją pan zobaczył?**

**–Nie. Nie mam żadnych danych na ten temat. – W jego oczach pojawiło się coś na kształt bólu. Dlaczego przypuszczacie, że jest w tym układzie?**

**Próbowałam mu to wyjaśnić, ale zaczynał się niecierpliwić. Prosił, żebym dała spokój.**

**–To bez znaczenia. To nie to. – Zamilkł na chwilę. – Margolia – powiedział w końcu. – Tak ją nazywacie? Naszą planetę?**

**–Tak. Chyba tak.**

**–Mogłoby być gorzej. Był wielkim człowiekiem. Czytała pani jego dzieła?**

**–Nie. Prawie nic.**

**–Był filozofem z dwudziestego piątego wieku. I brytyjskim premierem.**

**–Więc co takiego w jego poglądach do was przemówiło?**

**–Przykładał do wszystkiego miarę zdrowego rozsądku. Żadnych zawitych abstrakcji. Żadnych świętych tekstów. Nie akceptuj żadnych autorytetów. Jak mawiano w dawnych epokach, „Pokaż mi dowody”.**

**–Brzmi sensownie.**

**–„Nigdy nie trać z oczu rzeczywistości. Czas trwania życia jednego człowieka jest bardzo krótki i w dłuższej perspektywie nieznaczący. Jednego dnia jesteśmy dziećmi, drugiego – umieramy. W krótkim czasie, który nam przypisano, powinniśmy więc żyć rozsądnie, wykazywać współczucie i akceptować nasz los z godnością, kiedy przyjdzie nasza godzina. Nie wolno nam zapomnieć, że ta garstka godzin to najpiękniejszy dar, jaki nam ofiarowano. Użyjmy go mądrze, nie trwońmy ich i pamiętajmy, że nasze życie to nie coś, do czego mamy prawo”.**

**–„A przede wszystkim żyjmy wolni. Wolni od ograniczeń społecznych i politycznych. Jeśli jest**

**coś takiego jak dusza, na pewno ma takie składowe”.**

**–Czy Margolis poleciałby z wami?**

**–Rozmawiałem z jego awatarem. To było jedno z pierwszych pytań, jakie zadałem.**

**–I co odpowiedział?**

**–Powiedział, że nie. Że najprawdopodobniej nie.**

**–Powiedział dlaczego?**

**Uśmiech pogłębił zmarszczki w kącikach jego ust.**

**–Powiedział, że ten plan jest zbyt ambitny.**

**–Cóż. – powiedziałam – chyba rzeczywiście.**

**Zapadło milczenie i cisza była tak intensywna, że słyszałam szum elektroniki. W końcu zapytałam, czy poleciał tam sam.**

**–Miał pan rodzinę?**

**–Żonę. Miała na imię Samantha. I dwóch synów. Harry'ego juniora i Thomasa. Tommy'ego.**

**–Ile lat byliście małżeństwem?**

**–Kiedy odlatywaliśmy, osiem. – W jego oczach pojawił się wyraz skupienia. – Nie wiem nawet, jak wyglądali.**

**–Nie zachowały się zdjęcia?**

**–Nie. Ktoś, kto rekonstruował moją osobowość, nie miał do nich dostępu albo uznał, że to nieistotne.**

**–Przykro mi – mruknęłam.**

**Alex zawsze mi przypomina, że awatary nie są obdarzone uczuciami w większym stopniu niż krzesło, na którym siedzę. To tylko iluzja. Program, nic więcej.**

# SIEDEMNAŚCIE

Wiemy, że czas jest elastyczny. Że mija szybciej na dachu niż w piwnicy, a w poruszającym się pojeździe szybciej niż wszędzie indziej. Wiemy, że są obiekty, które zajmują miejsce w kosmosie od kilkuset milionów lat, choć same nie mają nawet sześćdziesięciu milionów lat. Przyzwyczailiśmy się do tego, że obserwowanie czasu daje się we znaki w fizycznym świecie. Budynki się zawalają. Ludzie znikają. Piramidy się rozsypują. Ale w wielkiej próżni, która nas otacza, można odnieść wrażenie, że czas się zatrzymał. Odciski stóp, zostawione na powierzchni Księżyca dziesięć tysięcy lat temu, nadal tam są.

Orianda Koval, *Czas i przyływ*, 1407

Już mieliśmy się poddać i wrócić do domu. Jeśli Margolii nie ma w tym układzie, pewnie nie ma też „Poszukiwacza”. Musieliśmy się pomylić.

Tylko że już nieźle się napracowaliśmy i nie mieliśmy innego pomysłu. Więc zostaliśmy i czekaliśmy, co znajdzie teleskop Martina. Dwa dni później Belle poinformowała o podejrzanym obiekcie.

–Obiekt o wysokim albedo – poinformowała. Czyli intensywnie odbijający światło.

–Gdzie? – spytałam.

Pokazała mi go.

–W odległości ośmiu jednostek astronomicznych od naszego obecnego położenia.

–Możesz podać więcej informacji? – poprosił Alex.

–Jest na orbicie okołosłonecznej.

–Naprawdę? Możesz go pokazać?

Na ekranie pojawił się punkcik świetlny. Niewyraźna gwiazda.

–Powiększ – polecił Alex.

–Już jest powiększony.

Alex nie sprawiał wrażenia kogoś ogarniętego nadzieją. Nie mieliśmy jednak nic do stracenia.

–Przyjrzyjmy się – powiedział.

Belle dokonała korekty kursu i rozpoczęła ładowanie ogniw. W ciągu następnych kilku godzin podała trochę szczegółów.



–Wstępna analiza wykazuje, że znajduje się na wydłużonej orbicie eliptycznej. W tej chwili oddała się od słońca i osiągnie atelium w odległości siedmiu i dwóch dziesiątych jednostki astronomicznej.

–Wygląda na kometę – rzekł Alex.

–Ma inne albedo – rzekła Bella. Zapięliśmy pasy, przygotowując się do skoku. – Wygląda na to, że jego pełny obieg po orbicie trwa około osiemdziesięciu lat.

Alex dopił kawę i odłożył kubek do uchwytu.

–Wygląda też na to, że jest wykonany z metalu. Prawdopodobieństwo dziewięćdziesiąt osiem procent.

Następnego skoku dokonaliśmy w ciągu dwóch dni, a po kolejnych czterech godzinach mogliśmy obejrzeć obiekt przez teleskop. Istotnie, był to wrak. Kiedy to ustaliliśmy, Alex rozpromienił się. Cały czas wiedział, że się uda.

Obracał się wolno, z dyszami wycelowanymi w kierunku jednego z gazowych gigantów, miliony kilometrów stąd.

Sześć godzin później byliśmy w stanie dostrzec szczegóły: opływowy kształt, silniki sterujące, mocowania czujników. Na śródkręciu miał emblemat ze wzbijającym się w powietrze orłem, takim samym jak ten na kubku. „Poszukiwacz”!

–To chyba on – powiedział Alex. – Ale co on tu robi, u licha?

Po dziewięciu godzinach byliśmy w stanie odczytać jego nazwę na kadłubie, wypisaną angielskimi literami, które nie wydawały się nam już tak dziwne.

Gdy się zbliżaliśmy, zaczęliśmy zdawać sobie sprawę z jego niezwykłych rozmiarów. Był wielkości małego miasteczka. Na rufie miał osiem ogromnych dysz, z których każda mogła połknąć „Belle Marie”. Sześć rzędów iluminatorów. Kadłub, którego okrążenie pieszo trwałoby jakieś dwadzieścia minut. Cały las zasobników i anten.

Oraz...

–Hm...

Alex odwrócił się w moją stronę.

–O co chodzi, Chase?

Dwa z ośmiu silników sterujących wyglądały na wygięte. Sterczały pod dziwnym kątem, odchylone o kilka stopni od innych i od linii poprowadzonej równoległe do osi statku.

Kilka lat wcześniej widziałam zdjęcia „Crossmeera”, którego silniki eksplodowały. Wszyscy zginęli, bo eksplozja wyrwała dziury w kadłubie i powietrze uciekło, zanim zamknęły się wewnętrzne włazy. Te dysze wyglądały podobnie.

–Chyba doszło do jakiejś katastrofy – powiedziałam.

Alex oderwał wzrok od monitorów.

–Tak. Na to wygląda. – Wypuścił powietrze i wyskoczył z dziwnym pytaniem: – Jak sądzisz, czy ktoś mógł przeżyć? – Jakby katastrofa miała miejsce wczoraj i nadal były szanse na uratowanie kogoś. Podczas podróży kosmicznych człowiek przestaje zdawać sobie sprawę z upływu czasu. Z dala od wiatru i deszczu można odnieść wrażenie, że nic się nie zmienia.

–To wielki statek – odparłam. – Sama nie wiem. Wszystko zależy od tego, w których punktach doszło do przebicia kadłuba.

–To nie jest najlepsze miejsce – powiedział. – Tutaj.

Nie przypuszczałam, żeby gdzieś było dobre miejsce, ale nic nie powiedziałam.

Trudno było pojąć, skąd „Poszukiwacz” się tu wziął. W układzie nie było nadającej się do zamieszkania planety. Co on tu robił?

–Minęło dużo czasu – powiedział Alex. – Może skądś przydryfował.

–Skąd?

–Stamtąd, gdzie jest Margolia.

–Najbliższa gwiazda jest prawie trzy lata świetlne stąd. To za daleko, żeby mógł przydryfować.

–Chase, minęło dziewięć tysięcy lat.

–To za daleko. Na zwykłych silnikach, bez skoków, potrzebowałyby co najmniej dwudziestu pięciu tysięcy lat, żeby tu dolecieć.

Potrząsnął głową.

–Może znajdował się w hiperprzestrzeni. Silniki eksplodowały, a pilot jeszcze zdołał się wynurzyć. – Miał taki wyraz twarzy jak zawsze, kiedy stawał w obliczu niełatwego zadania. – Właśnie tak musiało się stać.

–Pewnie to równie dobra teoria jak inna. Ale mało prawdopodobna.

I tak nie mogliśmy nic zrobić, dopóki nie dolecimy, więc Alex ogłosił, że wraca do swojej

kajuty.

–Daj mi znać, gdyby coś się pojawiło.

–Dobrze.

–A teraz muszę popracować.

–Nad czym?

–Nad medalionami z Blackmoor. Zrabowano je podczas zamieszek na Morindzie, trzysta lat temu, i od tego czasu ich nie widziano. Będą warte miliony.

–Wiesz, gdzie są?

–Pracuję nad tym.

Zbliżyliśmy się do statku, a jego rozmiary zrobiły wrażenie nawet na Belle. Angielski napis z nazwą musiał mieć ze dwadzieścia metrów wysokości. Wrak trzykrotnie przewyższał rozmiarami „Madryt”, który był największym statkiem współcześnie pełniącym służbę.

Eksplozja wyrwała duże kawałki w tylnej części statku. Kilka dysz uległo poważnemu uszkodzeniu. W ciemności unosiła się wiązka przewodów.

Belle skierowała statek w pobliże uszkodzonego obszaru, dostosowując prędkość i kierunek lotu do ruchu wraku, więc mieliśmy wrażenie, że jest nieruchomy, i ostrożnie zaczęliśmy zbliżać się do kadłuba. Zajrzałam przez wyrwę do środka.

–Co może spowodować eksplozję silników? – spytał Alex.

–Wiele różnych rzeczy – odparłam. – Ten statek jest dość prymitywny, a oni pewnie nie mieli większości zabezpieczeń, z jakich my korzystamy. Przyczyną mogło być paliwo. Albo brak równowagi, do którego dochodzi, kiedy próbuje się dokonać skoku, zanim silniki będą gotowe.

–To był napęd międzygwiazdny?

–Trudno powiedzieć. Nie da się stąd określić. I nie jestem pewna, czy wiem o tego typu statkach aż tyle, żeby to określić nawet ze środka. Ale założę się, że tak.

Statek był upstrzony zarysowaniami i rozdarciami. Belle oświetliła go i światło od czasu do czasu wpadało przez jeden z otworów, ale nie było za dużo widać. Przelecieliśmy koło luków ładowni. Obok rzędów iluminatorów. Obok wąskich skrzydeł i czegoś przypominającego kształtem żagiel, co służyło wyłącznie za mocowanie sterów wysokości.

Angielskie litery, proste i nieozdobne, przepłynęły koło nas. Potem była seria jakichś innych napisów i kolorowa plama. Flaga. Nie rozpoznałam jej. Wydawało mi się to sprzeczne z

**poglądami Margolian, ale prawdopodobnie po prostu była tam już wcześniej.**

**Potem przelecieliśmy obok głównych śluz. Było ich sześć. Wszystkie zamknięte.**

**Wreszcie zbliżyliśmy się do dziobu.**

**Alex natychmiast zauważył otwarty luk na prawej burcie. Może właśnie wtedy dostali się tam Wescottowie.**

**–Przybij – wydałam polecenie Belle.**

**Silniki wysokości zadziałały krótko i podeszliśmy tak blisko, że mogłam prawie wyciągnąć rękę i dotknąć statku.**

**Spojrzałam na wielki, ciemny kadłub i przysła mi do głowy Delia Wescott: rozumiałam, dlaczego się bała.**

**Włożyliśmy skafandry i wyszliśmy na zewnątrz. Alex uwielbia w takich sytuacjach pokazywać, że to on tu rządzi, więc wydał mi polecenie, żebym się nie oddalała. Zabawny jest, kiedy tak się zachowuje. Nie wiem, co by nam to dało, gdybyśmy znaleźli się w prawdziwym niebezpieczeństwie, ale to zawsze miło mieć koło siebie opiekuńczego mężczyznę.**

**Właz nie został otwarty. Został wycięty. Najwyraźniej Wescottowie nie byli w stanie otworzyć go ręcznie. Po tak długim czasie byłabym zdziwiona, gdyby coś jeszcze działało.**

**Zdjęli także wewnętrzne drzwi śluzy. Zajrzeliśmy przez nie do wąskiego pomieszczenia. Do pokładu przymocowano ławkę. Wzdłuż grodzi ciągnęły się szafki. Oczywiście nie było grawitacji. Mieliśmy buty magnetyczne.**

**Alex oświetlił pomieszczenie latarką, przeszedł wzdłuż szafek i spróbował jedną otworzyć, ale wszystkie spaczyły się z powodu zimna.**

**Ruszyliśmy korytarzem. Miał po każdej stronie troje drzwi, a dalej przecinał inny korytarz, gdzie drzwi było jeszcze więcej. Żadnych z nich nie udało się otworzyć.**

**Alex wybrał jedne na chybił trafił, a ja użyłam lasera, żeby je rozciąć. Kiedy zdjęłam je z futryny, dostrzegłam w środku ruch. Alex aż podskoczył i ja chyba też.**

**W środku dryfowały jakieś szczątki, rozwleczone po całym pomieszczeniu, i dopiero po paru minutach zrozumieliśmy, że jest tam trup. A raczej to, co z niego zostało. Patrzyliśmy, jak część tych resztek pełźnie po grodzi, a następnie przepływa nad nami zgodnie z ruchem statku.**

**Nie było tego aż tyle, by określić, czy szczątki należały do mężczyzny, czy do kobiety, a nawet, czy były to szczątki dorosłego, czy dziecka. Staliśmy tam przez dłuższą chwilę usiłując je zignorować, świecąc latarkami po całym pomieszczeniu. Unosiły się tam też inne przedmioty,**

**kawałki plastiku, elementy mebli, grzebień, strzępy diabli wiedzą czego.**

**–Nie oddalaj się – rzekł Alex. Marzyłam tylko o tym, żebyśmy założyli drzwi i zamknęli to pomieszczenie.**

**Korytarz poprzeczny łączył się z mniejszymi, a tam było więcej drzwi. Otworzyliśmy drugą kajutę i znaleźliśmy ją mniej więcej w tym samym stanie, tym razem bez mieszkańca.**

**–Wygląda na to, że kajuty były dwuosobowe – zauważył Alex. – Ile tu było w sumie osób, dziewięćset?**

**–Tak.**

**–To warunki miały nienajgorsze. Wyobrażałem sobie, że panował tu większy tłok.**

**–Aleksie, może przejdziemy w stronę rufy? – zaproponowałam. – Spróbujemy określić, co się stało.**

**Odsunął się i zrobił mi miejsce.**

**–Prowadź.**

**Wydawał się jakiś nienaturalnie przygaszony. Alex ma w sobie sporo tupetu. Jest dobry w tym, co robi, i doskonale o tym wie. Ale próbuje nie obnosić się ze swoją wiedzą.**

**–Podczas pierwszej godziny pobytu na pokładzie „Poszukiwacza” chyba cała energia go opuściła. Wyglądał na przytłoczonego.**

**Powędrowaliśmy w stronę rufy. Znaleźliśmy jeszcze więcej dryfujących szczątków pasażerów. Nie wiem nawet ilu.**

**Znaleźliśmy też łazienki, wspólne sale, pomieszczenia do VR i salę gimnastyczną. Wszędzie były angielskie napisy. Pokazałam je Belle, a ona tłumaczyła: WYJSCIE, POKŁAD 5, NACISNAĆ W RAZIE NIEBEZPIECZEŃSTWA, DLA PAŃ.**

**Wewnętrzne śluzy zamknęły się, pewnie wtedy, gdy eksplodowały silniki. Ktoś, pewnie Wescottowie, porzycinał je.**

**–Poza tym w środku nie ma żadnych uszkodzeń, które wyglądałyby na powstałe w chwili wybuchu. Ci, którzy byli na pokładzie, przeżyli, póki nie skończyło się powietrze.**

**Drzwi w części rufowej były rozmieszczone w większych odstępach. Otworzyliśmy jedne i zajrzeliśmy do czegoś, co musiało być komorą chroniącą przed przeciążeniami. Dwadzieścia leżanek, cztery na pięć.**

**Wszystkie z zawartością.**

**Mój Boże.**

**Przypomniała mi się Mattie Clendennon. „Wymarły statek”. Jej szarozielone oczy rozszerzyły się, gdy wymawiała te słowa. „Z pełną obsadą”.**

**Większość ofiar była nadal przypięta pasami, choć różne części ich ciał oderwały się i unosiły w pomieszczeniu. Jak również kilka całych ciał.**

**Zrozumieliśmy, kim byli pasażerowie.**

**–To dzieci – powiedział Alex.**

**W ciągu następnych kilku minut znaleźliśmy jeszcze trzy takie miejsca. Wszystkie wypełnione zwłokami dzieci. Potem nie otwieraliśmy już drzwi.**

**Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy wreszcie dotarliśmy do maszynowni. Siła eksplozji wywinęła grodzie na zewnątrz. Główne silniki były poczerńiałe, ale całe. Ekspłodował moduł napędu międzygwiazdowego. Szkody były jednak tak rozległe, a same urządzenia tak inne od tego, co znałam, że trudno mi było ocenić, co się stało.**

**–Przypuszczam, że stało się to podczas skoku w hiperprzestrzeń lub wyjścia z niej.**

**Skinął głową.**

**–Choć to bez znaczenia.**

**–Nic podobnego – odparł. – To ma znaczenie. Jeśli ustalimy, co się tu stało, może będziemy w stanie określić, gdzie jest Margolia.**

**Nie chciałam się z nim spierać. W tej chwili niewiele mnie obchodziło, gdzie jest Margolia. I choć wiedziałam, że te dzieci zginęły tysiące lat temu i że oplakiwanie ich teraz jest głupie, ciągle stawały mi przed oczami sceny, jakie musiały się tu rozegrać w ostatnich chwilach ich życia.**

**–Nie myśl o tym – powiedział Alex. – Szybko było po wszystkim.**

**Spojrzeliliśmy przez dziurę w kadłubie na gwiazdy i pobliskiego gazowego giganta oraz słońce, z tej odległości blade i chłodne. Było po prostu jedną z wielu jasnych gwiazd na firmamencie. Kiedy wychyliłam się na zewnątrz i spojrzałam w stronę dziobu, dostrzegłam „Belle Marie”.**

**–Jesteś w stanie określić, co się stało?**

**Potrząsnęłam głową.**

**–Niespecjalnie. Pasażerowie byli przypięci, co potwierdza, że musieli wykonywać jakiś manewr. I tylko to wiem na pewno.**

Przeszliśmy na niższe pokłady i powędrowaliśmy korytarzami. Znaleźliśmy salę gimnastyczną. Było w niej pełno urządzeń, na których pasażerowie mogli biegać, pedałować czy symulować podnoszenie ciężarów. Wygląd sprzętu sugerował, że nie mieli sztucznej grawitacji. Zapytałam o to Belle. Powiedziała, że wynaleziono ją dopiero kilkaset lat po starcie „Poszukiwacza”.

Większość sprzętu przymocowano do pokładu i grodzi, ale kilka elementów unosiło się swobodnie. Poza tym były tam też ręczniki i dresy.

Komory zabezpieczające przez przeciążeniami w dziobowej części statku, z dala od uszkodzonej maszynowni, były puste. Śluzy ich uratowały. Tylko na jakiś czas. W dalszych częściach było pełno unoszących się szczątków ludzkich.

Wyglądało na to, że „Poszukiwacz” istotnie przewoził komplet pasażerów. Dziewięćset osób. Czy to były same dzieci?

–Dokąd oni lecieli? – spytałam. Przecież na statku, który wyleciał, by założyć kolonię, nie umieszczono samych dzieci.

–To była ewakuacja – oznajmił Alex.

–Przed czym?

–Nie mam pojęcia. – Odepchnął coś, co unosiło się przed nim. – Tu wszystko przebiegałoby wolniej.

Wiedziałam, co ma na myśli, ale nie chciałam nawet o tym myśleć.

Przycisnął odzianą w rękawicę dłoń do grodzi, jakby chciał odczytać jej sekrety.

–Skąd oni lecieli?

Kończyło nam się powietrze, więc wróciliśmy na pokład „Belle Marie”. Żadne z nas nie miało ochoty na rozmowę. Gdyby to ode mnie zależało, zostawiłabym to wszystko i wróciła do domu. Niech Agencja albo ktoś inny się tym zajmie. Dziwne uczucie, zwiedziłam już z Aleksem wiele stanowisk archeologicznych, ale to było coś, czego nigdy dotąd nie doświadczyłam. I pewnie nie doświadczę.

Alex bardzo jednak chciał się dowiedzieć, co się stało. Wzięliśmy więc prysznic i po jakiejś godzinie wyruszyliśmy zaopatrzywszy się w nowe butle.

Najpierw zatrzymaliśmy się na mostku. Znaleźliśmy go na czwartym pokładzie. Był mniejszy, niż się spodziewaliśmy. (Wyobrażaliśmy sobie, że wielki statek powinien mieć wielki mostek). W fotelach nie było nikogo, za co byłam wdzięczna losowi. Ciekawe, o czym myślał wtedy kapitan.

Nie rozpoznawałam zbyt wielu elementów wyposażenia. Były tam jakieś przełączniki i przyciski. Ale nie było zasilania, więc całe pomieszczenie stało się po prostu pustą kłitką z dwoma fotelami, pustymi ekranami i grodziami, choć i tak bez pomocy Belle nie byłabym w stanie odczytać tego języka.

–Są jakieś szanse na zajrzenie do dziennika pokładowego – spytał Alex.

–Żadnych. Jeśli coś było zapisane, to tego zapisu już dawno nie ma.

–Szkoda.

Rozejrzał się dookoła, jakby chciał znaleźć jakieś pocieszenie w niełatwej chwili. Na grodzi, z lewej strony fotela pilota, zamocowana była jakaś tablica. Widniała na niej sylwetka „Poszukiwacza”, a kiedy przesłałam jej obraz Belle, powiedziała, że upamiętnia ona przewiezienie pierwszych osadników na Abudai.

–Gdzie? – spytał Alex.

–Na Abudai.

Spojrzął na mnie.

–Słyszałaś o czymś takim?

–Nie.

–Kolonię zlikwidowano po jakichś czterdziestu latach – poinformowała Belle. – Założyła ją grupa ludzi, którzy byli przeciwnikami techniki. Próbowali żyć jak za dawnych lat.

–I co się stało?

–Koncepcja się nie sprawdziła. Dzieci, które dorastały, pakowały się i wracały na Ziemię.

Przyniosłam generator i próbowałam go podłączyć, ale był to próżny wysiłek. System nie uruchamiał się. Statek był martwy jak kamień.

–Nie byłbym zdziwiony – rzekł Alex – gdyby Agencja zrobiła z tego statku pomnik, a przynajmniej rezerwat.

Nie wiedziałam, które siedzenie jest fotelem pilota. Wyobraziłam sobie Taję i Abrahama Faulknera, jak siedzą tu podczas długiego lotu z Ziemi. Zastanawiałam się, o czym rozmawiali. Co myśleli o Harrym Williamsie. Co sądzili o pasażerach. Czy któreś z nich było na pokładzie podczas tego ostatniego lotu.

Musiałam wymienić nazwiska pilotów, bo Alex powiedział, że tak naprawdę nie wiemy, czy „Poszukiwacz” dokonał żywota tam, gdzie go znaleźliśmy.



**–To mogło się stać dawno po przybyciu osadników – powiedział. – Taja i Faulkner mogli już nie żyć od setek lat, gdy to się stało.**

**–Wątpię – odparłam. – „Poszukiwacz” nie przetrwałby kolejnego stulecia. Nawet przy najlepszych remontach.**

**Otworzyłam jeden z paneli i zajrzałam do środka, żeby sprawdzić, w jakim stanie są czarne skrzynki. Były tam systemy sterujące łącznością, nawigacją, zasilaniem, podtrzymywaniem życia i tak dalej. I pewnie SI, jeśli z niej korzystali.**

**I wtedy zauważyłam coś dziwnego.**

**Skrzynki były oznakowane. Na płytkach wryto symbole, które pewnie oznaczały producenta i numer katalogowy. Może też i datę. Na niektórych widniała znana mi już grupa liter: wiedziałam, że to „Poszukiwacz”. Na innych była jakaś inna grupa symboli, w tym samym stylu. Zawsze taka sama.**

**–Belle – spytałam – co to znaczy?**

**–Podnieś wyżej, żebym mogła zobaczyć. Ach, tak. Tam jest napis „Bremerhaven”.**

**–Bremerhaven? – zdziwił się Alex.**

**–Zgadza się.**

**–Drugi ze statków, które brały udział w misji. – Zmarszczył czoło. – Ale przecież to jest „Poszukiwacz”.**

**–Tak jest.**

**–W takim razie to są części wymontowane z „Bremerhaven”. Bo pewnie coś takiego musi to oznaczać, tak, Chase?**

**–Tak przypuszczam.**

**–Czy to są jakieś bardzo ważne części?**

**–Nie znam się na statkach z trzeciego tysiąclecia. To jest naprawdę bardzo stare.**

**–A gdybyś miała zgadnąć?**

**–Należą do podstawowego zestawu. Są na mostku. Podłączone do wszystkich układów sterowania, jakie ma kapitan. Tak. Powiedziałabym, że to coś bardzo istotnego.**

**Było tam mnóstwo magazynów, w niektórych pozostały zapasy, których nigdy nie użyto, w innych stały rzędy szafek. Włamaliśmy się do kilku i znaleźliśmy bagaże. Teraz zamrożnięte na**

kość.

Artefaktów było pod dostatkiem. Szklanki i kubki, podobne do tego, który przyniosła Amy Kolmer, przechowywano w szafkach w mesie. Większość naczyń potłukła się, ale niektóre przetrwały w idealnym stanie. Napełniliśmy nimi kilka skrzyń.

–Nie będzie problemu z wywiązaniem się z umowy z Sharą – zauważył Alex. – Wystarczy dla wszystkich.

Nasi klienci będą zachwyceni. Zabraliśmy trochę lamp, zastawy, ołówków, drobiazgów. Podobało nam się zwłaszcza wszystko, co miało napis „Poszukiwacz”. Na statku było też bardzo dużo zabawek. Wypchane zwierzęta, książki dla dzieci, zabawki na kółkach, klocki, zabawkowe pistolety. Niewiele z nich przetrwało w idealnym stanie. Ale biorąc pod uwagę ich wiek, było nienajgorzej.

Wolałabym zakończyć odwiedzin, zanim zaczęliśmy pakowanie, ale statek był tak wielki i tyle tego było. Przechodziliśmy z pomieszczenia do pomieszczenia i Alex mówił: o, tu jest czytnik, a może jakieś niezidentyfikowane urządzenie, a tu jest ręcznik – sztywny jak deska, ale widać, że to ręcznik – pakowaliśmy je więc i po chwili mieliśmy ze sobą mnóstwo rzeczy. Zanieśliśmy wszystko na pokład „Belle Marie”. Kiedy wychodziliśmy, Alex, mając pełne ręce, odpadł i część przedmiotów odplynęła, ale uratowaliśmy tabliczkę informującą o Abudai.

Wspominam o tym wszystkim, żeby jakoś dać czytelnikom obraz tego, jak chaotycznie działaliśmy. Kierowały nami dwa sprzeczne pragnienia: dążenie do tego, by się dowiedzieć, co się stało z „Poszukiwaczem” i Margolią, i chęć znalezienia artefaktów, które można by sprzedać. I może lekkie poczucie winy wywołane zabieraniem czegoś z tego szczególnego miejsca. Nie pytajcie mnie czemu. Nigdy dotąd nie mieliśmy takich problemów.

–Nieomal żałuję, że tyle tego tu jest – powiedział Alex. Wiedziała, co ma na myśli. Gdybyśmy przywieźli tylko parę artefaktów z pokładu „Poszukiwacza”, osiągnęłyby szalone ceny. Ale jeśli zabierze się ich stąd mnóstwo, to choćby były przeznaczone wyłącznie dla Agencji i muzeów, już sam fakt ich istnienia wpłynie na obniżenie wartości tego, co będziemy chcieli sprzedać.

Cóż, nie było na to rady.

Właśnie wchodziliśmy do środka, kiedy odezwała się Belle.

–Chyba wykryłam inny statek. Zresztą to mogło być coś innego. Było w zasięgu zbyt krótko, żeby dało się zidentyfikować.

–Blisko?

–Trzydzieści milionów kilometrów stąd. Tam zaczyna się pas asteroid.

**–Dobrze. Daj nam znać, jeśli się znów pojawi.**

# OSIEMNAŚCIE

Nowoczesna technika umożliwiła podróże w czasie. Oczywiście nie w dosłownym znaczeniu tego słowa. Skakanie tam i z powrotem między stuleciami wydaje się na zawsze pozostawać poza naszym zasięgiem. Nie możemy wrócić i ostrzec Cezara, żeby w marcu trzymał się z dala od forum. Ale możemy powrócić do jego świata, dowiedzieć się, co myślał, i posłuchać bicia jego serca.

Jasmine Kalanna, *Podróże*, 1365

Wędrując po czymś takim jak „Poszukiwacz”, człowiek rozmyśla o tym, że całe federacje i rządy istniały i wymierały, podczas gdy ten statek i jego milczący pasażerowie przemieszczali się po osamotnionej orbicie. Przeżywaliśmy upadki, komercyjne rewolucje i ekologiczne katastrofy. Religie rodziły się, rozkwitały i zniknęły. Widzieliśmy wojny, dyktatorów, pogromy, bunty, klęski. Doświadczaliśmy złotych wieków, okresów znaczącej prosperity, tryumfów społecznych i artystycznych. Wielcy ludzie rodzili się i umierali, podobnie jak zbrodniarze, wizjonerzy, buntownicy i artyści. W nauce dochodziło zarówno do postępów, jak i upadku, Brooking święcił dotarcie do M4 (i miał sporo szczęścia, że uszedł z życiem). Miliardy istnień ludzkich pojawiły się i przeminęły. Uplłynęła ponad połowa okresu, w którym spisywano historie.

–Byłeś kiedyś na starszym stanowisku? – spytałam Aleksa.

–Tak, ale na powierzchni planety – odparł. – Nigdy dotąd nie spotkałem się z czymś takim.

Znajdowaliśmy się w mesie. Grodzie w świetle naszych lamp wyglądały na szare i chłodne. Na jednej, w pobliżu drzwi, była ledwie widoczna plama. Może wyciek wody. Może rozlana kawa. (Czy wtedy pijano kawę?). Przypomniało nam to, że kiedyś w tym pomieszczeniu przebywali ludzie, rozmawiali i żuli kanapki. Pili zimne piwo. Zastanawiałam się, czy Harry Williams kiedyś siedział przy jednym z tych stolików.

Zapakowaliśmy kolejną skrzynkę z artefaktami, już czwartą. Zawierała między innymi białą koszulę i marynarkę. Koszula miała logo statku na prawej piersi, zaś na plecach marynarki wyhaftowano jego sylwetkę. Obie były w zadziwiająco dobrym stanie. Sztywne jak deska, ale po przeniesieniu na pokład „Belle Marie” wróciły do właściwego stanu.

Spisaliśmy wszystko i zgromadziliśmy we wspólnej sali. Choć odnieśliśmy sukces, Alex był w ponurym nastroju. Dokonał największego odkrycia w swojej karierze, może nawet w czyjejkolwiek karierze, ale nie wyglądał na zadowolonego z siebie.

–Chase, to naprawdę nie jest nasze odkrycie – powiedział. – Wescottowie go znaleźli.

Oczywiście nie to stanowiło problem. Ale podjęłam tę grę.

–Kolumb też nie odkrył Ameryki, ale był na tyle sprytny, żeby to ogłosić, więc zasługa

**przypadła jemu. W całości.**

**–PR – odparł.**

**A co za różnica?**

**Patrzył na gródź.**

**–Chyba powinniśmy znowu pogadać z. Harrym – za proponował.**

**–A po co? – spytałam. – Czego zamierzasz się dowiedzieć? Nie wie nic więcej... – spojrzałam w kierunku „Poszukiwacza” -...niż my.**

**–Wiem. Ale mimo to chciałbym z nim porozmawiać. Belle wykonała polecenie i pojawił się Harry Williams, siedzący w wygodnym fotelu.**

**–Witam – rzekł radośnie. – Miło was znowu widzieć, Gdzie teraz jesteście? Znow jakaś dziwna planeta? – Zanim jednak któreś z nas odpowiedziało, dostrzegł „Poszukiwacza” przez iluminator na mostku i w jego oczach coś stężało. – Co się tam stało? – spytał.**

**–Silniki eksplodowały – wyjaśnił Alex. – Nic więcej niewierny.**

**Harry podszedł do iluminatora i wyjrzał. Wydawał się przerażony.**

**–Wygląda na to, że wieźli pełną obsadę pasażerów – mówił dalej Alex. – I większość z nich była dziećmi.**

**–Kiedy to się stało?**

**–Tego również nie wiemy – odparł Alex. – Nie wiemy więcej niż pan.**

**–A co się stało z kolonią?**

**–Nawet nie doszliśmy jeszcze do tego, gdzie była.**

**Głos mu się załamał.**

**–Znaleźliście „Poszukiwacza”, ale nie wiecie, gdzie była kolonia? Jak to możliwe?**

**–Statek dryfuje w układzie, w którym nie ma niczego choćby zbliżonego do planety, jaka byłaby wam potrzebna. Nie mamy pojęcia, dlaczego tu jest ani skąd przyleciał.**

**–To przecież chyba nie takie trudne? Wystarczy poszukać planety klasy K.**

**–Harry, chyba nie słucha pan uważnie. W tym układzie nie ma planety klasy K.**

**Potrząsnął głową. Niemożliwe.**

**–Gdzie teraz jesteśmy?**

**Powiedziałam mu. Tinicum 2116. Tam, gdzie poprzednim razem.**

**–A pan wie, gdzie założono kolonię? – spytał Alex. Dostrzegłam w jego głosie zniecierpliwienie.**

**–Nie. Już mówiłem. Jestem tylko składanką.**

**–Nie mam na myśli awatara, mam na myśli pana, Harry’ego Williamsa. Kiedy pierwszy lot wystartował z Ziemi, zabierając kolonistów diabli wiedzą dokąd, czy Williams wiedział, dokąd lecą?**

**–Nie.**

**–Nie wiedział pan?**

**–Nie. Nie w tym sensie, o który pan pyta. Nie potrafiłbym nikomu powiedzieć, gdzie to jest. Byłem tam. Wiedziałem, jak wygląda ta planeta. Ale nie wiedziałem niczego o podróżach międzygwiazdnych.**

**–Wiedział pan tylko, że gdzieś tam jest.**

**–Tak. Nie musiałem wiedzieć niczego więcej. Szczegóły nie były mi potrzebne. – Na przekór wszystkiemu zdołał się uśmiechnąć. – Jeśli mi powiecie, że coś znajduje się piętnaście stopni na zachód od Antaresa, nie będę miał pojęcia, o czym mówicie.**

**–Dobrze. Spróbujmy inaczej. Kto pierwotnie planował loty do Margolii?**

**–Clement Esteban.**

**To nazwisko nic mi nie mówiło, ale Alex skinął głową.**

**–Ten, który zrezygnował.**

**–Tak. Zmienił zdanie w ostatniej chwili. Zresztą nie był jedyny.**

**–Jak to się stało?**

**–Esteban był inżynierem. Odbył wiele lotów rekonesansowych. I on znalazł planetę, na której panowało wieczne lato.**

**–Czy to on pierwszy wystąpił z pomysłem założenia kolonii?**

–Nie. Nie przypuszczam. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, kto pierwszy podsunął taką myśl. Ale... – Widać było, że mówienie przychodzi mu z trudem. – Mam nadzieję, że wszystko z nimi w porządku. – Mówił, jakby pierwotni koloniści mogli jeszcze gdzieś żyć.

–Harry – spytał Alex – jakie były długofalowe plany dla „Poszukiwacza” i „Bremerhaven”?

–Po przewiezieniu kolonistów?

–Tak.

–To dość proste. Po trzecim locie statki miały pozostać w kolonii. Miały zostać umieszczone na orbicie na wypadek, gdyby kiedyś były potrzebne.

–Rozumiem. Czyli mieliście zamiar je remontować. Ale czy dysponowaliście odpowiednimi ludźmi i sprzętem?

–Tak. Mieliśmy i jedno, i drugie. Razem z kolonistami wyekspediowaliśmy stację orbitalną. I wszystkie części i sprzęt, jakie mogłyby być potrzebne w przewidywalnej przyszłości. I mieliśmy kilku inżynierów. Może nie byli specjalistami akurat w tej dziedzinie, lecz chcieli się nauczyć. Ale...

–Ale co?

–Ale chyba aż tak nie przejmowaliśmy się statkami. Nie przypuszczaliśmy, że będziemy musieli ich użyć ponownie. Przypuszczaliśmy, że założenie kolonii i doprowadzenie jej do jakiegoś stanu zajmie nam całe lata. Może dziesięciolecia. Nie byliśmy specjalnie zainteresowani możliwością wykonywania lotów międzygwiazdnych. Nie dostrzegaliśmy takiej konieczności.

–Rozumiem.

–Zamierzaliśmy zachować statki, żeby technologia nie zaginęła. Żebyśmy byli w stanie skonstruować własne, kiedy nadejdzie czas.

–A gdyby kolonia popadła w jakieś tarapaty? Nie było łączności dalekiego zasięgu.

–A jakie tarapaty ma pan na myśli?

–Na przykład epidemię – podsunęłam.

–Przecież dla lokalnych drobnoustrojów byliśmy obcą formą życia. Żadna miejscowa bakteria by nas nawet nie tknęła.

–Tego nigdy nie można być pewnym – zaoponował Alex. – Na początku historii podróży międzygwiazdnych opinia, że drobnoustroje mogą zaatakować tylko formy życia z własnego biosystemu, była tylko teorią.

–Rozmawialiśmy z najlepszymi naukowcami. Powiedzieli, że to niemożliwe.

–Mylili się, Harry. Było kilka incydentów.

Odchrząknął. W jego oczach pojawił się ból. Wiedziałam, że to tylko awatar. Że to nie jest prawdziwy człowiek. Ale gdyście to widzieli...

–Belle – powiedziałam – obniż poziom emocjonalne. Chcemy jeszcze z nim porozmawiać.

–Przykro mi, Chase – odparła. – jeśli dostroję mu osobowość, nie będę mogła ręczyć za dokładność tego modelu.

–W porządku – odparł Alex. – Harry, wyobraź sobie, że umieszczasz nagle pięć tysięcy ludzi w zupełnej dziczy. Jakim cudem mogliście być pewni, że nic się nie stanie?

–Byliśmy bardzo ostrożni. Zналиśmy miejsce, do którego się udawaliśmy. Zapewniam, że było bezpieczne.

–A gdyby ktoś chciał zmienić zdanie? I wrócić do domu?

–Kolonia miała być naszym domem.

–Niech pan da spokój, Harry, wie pan, co mam na myśli.

Przymknął na moment oczy.

–Wiedzieliśmy, że coś takiego może się stać, i podjęliśmy odpowiednie kroki.

–Jakie kroki?

–Pomoc psychologiczną. A w razie konieczności powrót.

–W jaki sposób?

–Wiedzieliśmy, że niektórzy ludzie nie będą w stanie się przystosować. Poza tym mieliśmy paru członków załogi, którym musieliśmy to zapewnić. Oni chcieli wracać do domu. Rozumiecie, oni nie byli członkami społeczności.

–Przypuszczałem...

–To źle pan przypuszczał. – W jego głosie pojawiła się złość. – Nie. Abe był jednym z nas. Wszystko stało się z powodu jego dziewczyny. Nie chodziło o zasady. Dwóch inżynierów nie zamierzało zostać. Po jednym z każdego statku. Taja także nie.

–Kapitan „Poszukiwacza”.



–Tak.

–Więc jak oni zamierzali wrócić?

–„Boykins” miał ich zabrać.

–„Boykins”.

–Tak. Miał zabrać ich z powrotem. Razem z resztą, która chciała wrócić.

–Więc ktoś jeszcze wiedział, gdzie jest Margolia?

–Oczywiście. Pilot nazywał się Yurawicz. Marco Yurawicz.

–On tam rzeczywiście poleciał? I jacyś ludzie wrócili? Inni niż członkowie załogi?

–Wykonał trzy loty. Zabrał prawie czterysta osób, które zmieniły zdanie.

–Czterysta?

–Nawet trochę więcej. Wiedzieliśmy, że coś takiego się stanie. Nie wiedzieliśmy tylko, ilu naprawdę będzie chciało wrócić. Nie informowaliśmy ludzi, że będzie taka możliwość, bo wiedzieliśmy, że wtedy wielu zgłosi się tylko po to, żeby spróbować. Zobaczyć, jak tam będzie. A my chcieliśmy wyłącznie ludzi zaangażowanych w sprawę. Musieliśmy jednak wprowadzić jakieś zabezpieczenie.

–Czy nie za dużo osób o tym wiedziało, żeby dało się to utrzymać w tajemnicy?

–To byli tacy ludzie jak ja. Nie mieli pojęcia, gdzie jest Margolia. I chyba nikogo z rządu to naprawdę nie obchodziło.

–I nikt z załogi nie zdradził tajemnicy?

–O ile wiem, nie. To była część umowy. Byli dobrze opłacani i, rzecz jasna, byli to naprawdę rzetelni ludzie.

–A Taja?

–Nigdy nie wróciła na Ziemię. Chyba jej się tam spodobało. Pewnie znalazła kogoś i ustatkowała się.

Następnego dnia wróciliśmy na statek ostatni raz.

Włamaliśmy się do kajuty kapitana i pierwszego oficera, jak również do kajut trzech innych członków załogi. Zachowały się w niezłym stanie. Biurka i krzesła, przynajmniej te przymocowane do pokładu, były prawie nietknięte. Przy każdej kajucie była prywatna

łazienka. Nie mogłam się oprzeć i nacisnęłam przycisk uruchamiający prysznic, ale oczywiście żadna woda nie popłynęła. Na zewnątrz, w korytarzu, grodzie były poplamione w miejscach, gdzie pękły rury z wodą.

Na grodziach wisiało kilka zdjęć. W kajucie, która – jak przypuszczaliśmy – należała do Tai – były zdjęcia mężczyzny, nastolatki, starszej kobiety i dziecka w wieku jakichś pięciu lat. W sąsiedniej kajucie widniało zdjęcie dwóch atrakcyjnych młodych kobiet. Wytłoczone w plastiku. Były też inne. Pewnie członków rodziny. A nawet psa. Zabrałam ze sobą plastikowy worek, na wypadek gdybyśmy znaleźli jeszcze coś ciekawego. Alex zasugerował jednak, byśmy zostawili zdjęcia dla ludzi Windy.

–Jak się pokażemy z czymś takim – powiedział – to oskarżą nas o zbrodnie przeciwko ludzkości.

W pokojach były szafy. Zajrzeliśmy do kilku i znaleźliśmy trochę ubrań. Przeważnie kombinezony robocze. Były w kiepskim stanie. A szkoda, bo miały na ramieniu naszywkę z emblematem „Poszukiwacza”.

Dokonaliśmy także ważnego odkrycia w kajucie kapitana. W kącie szafki, w której poza tym nie było już nic, leżała mała, czarna skrzyneczka z czegoś, co mogło kiedyś być skórą. W środku było plastikowe pudełko z dwunastoma soczewkami. Pokazałam je Aleksowi.

Utkwiły we wnętrzu pudełka, więc nie dało się ich wyjąć. Ale skóra była rozdarta po obu stronach, więc kiedy je przetarłam, przez soczewki można było spojrzeć. Alex przyjrzał się im w świetle latarki. Potem machnął ręką, żebym popatrzyła.

Na każdej z soczewek był jakiś obraz. Ale nie byłam w stanie określić, co to jest.

–Jakieś pomysły? – spytał.

–Żadnych.

–Chcesz poznać moje zdanie? – Wziął ode mnie pudełko i poświecił na nie światłem z latarki. Wypróbował różne kąty padania. Na przeciwległej grodzi pojawiły się obrazy. Alex próbował przesunąć prowizoryczny projektor to do przodu, to do tyłu. Obrazy zmieniały się, ale nie wyostrzały.

–Hologramy – powiedział. Skinęłam głową.

–Pewnie tak. Poprosimy Belle, żeby sprawdziła. Wsunął pudełko do kieszeni w spodniach.

–Do licha, szkoda, że ludzie nie prowadzili lepszych zapisów. Wyobraź sobie, gdybyśmy znaleźli ręczne zapiski kogoś z nich z komentarzami o tym, co się dzieje. – Prychnął z irytacją.  
– Wiesz, ile coś takiego byłoby warte?

**Tak. Tacy ludzie nigdy nie myślą o przyszłości.**

**–Mamy towarzystwo – poinformowała Belle. Popędziliśmy na mostek, ale niczego nie dostrzegliśmy.**

**–Wygląda na to, że to VTI.**

**–Co to jest VTI? – spytał Alex.**

**–W nieoficjalnym żargonie mówimy na to „tropiciel” wyjaśniłam. – Jest w pełni zautomatyzowany. Zwykle używa się ich w charakterze sond.**

**–Czy to możliwe, żeby ktoś go tu zostawił?**

**–Zostawił albo przysłał.**

**–Chase, pytam o to, czy to coś mogło przylecieć tu samodzielnie.**

**– Czy mogło nas śledzić podczas skoku? Nie. Nie istnieje żaden taki sposób. Eksperci twierdzą, że to niemożliwe.**

**–W takim razie albo ktoś znalazł to miejsce, albo...**

**–...albo ktoś wie o „Poszukiwaczu”. Belle, co on robi?**

**–Zbliża się.**

**–Orientacyjny czas kontaktu?**

**–Jakieś jedenaście minut. Zbliża się z bardzo dużą prędkością. Jest na kursie zbieżnym.**

**Spojrzeliliśmy na siebie i przypomnieliśmy sobie nanoboty, które miały przerobić nas na park.**

**– Belle, uruchom silniki. Aleksie, musimy zakładać, że to coś nie ma przyjaznych zamiarów. Lepiej wróćmy na statek, zanim tu dotrze.**

**Nie musiałam go przekonywać. Błyskawicznie opuściliśmy mostek i ruszyliśmy płataniną korytarzy w kierunku śluzy. Gdy pełzaliśmy nieporadnie w nieważkości, Belle przekazała nam złe nowiny.**

**–Namierzyło nas.**

**–O czym ona mówi?**

**–Korzysta z wiązki naprowadzającej. Jeśli nas już namierzyło, dopadnie nas bez problemu.**

**–Musimy wykonać skok.**

**–Gdybyśmy mieli do dyspozycji osiem godzin, czemu nie.**

**Opuściliśmy śluzę i wyszliśmy na kadłub.**

**–To pewnie bomba – rzekł Alex.**

**–Może. Ale nie ma takiej potrzeby. Wystarczy, jak nam solidnie przywali – już po nas.**

**Przeskoczyliśmy na „Belle Marie”.**

**–Orientacyjny czas kontaktu: osiem minut – poinformowała Belle.**

**–Zobaczmy, co tu mamy – powiedziałam, gramoląc się na mostek i rozglądając.**

**Intruz pojawił się na monitorze. Wyglądał jak mała paczka, niewiele większa od modułu silników liniowych albo jednostki napędowej z kilkoma czarnymi skrzynkami z przodu. Był wystarczająco duży, żeby wyeliminować nas z gry.**

**–Jak szybko się zbliża?**

**–Tysiąc osiemset kilometrów na godzinę.**

**–Jak...**

**Leciał prosto na „Poszukiwacza”.**

**–Chase, możemy użyć SKZ?**

**System Kontroli Zagrożeń był miotaczem cząstek i promieni, który pozwalał wyeliminować skały czy odłamy lodu stanowiące zagrożenie.**

**–Nie – odparłam. – Ma funkcję zabezpieczającą i nie wolno z niego strzelać do statków i urządzeń.**

**–Nie można tego wyłączyć?**

**–Pewnie. Gdybyśmy mieli na to czas.**

**–W takim razie co można zrobić? Nie możemy dokonać skoku.**

**–Patrz i ucz się, szefie. Patrz i ucz się. – Zająłam fotel pilota, zapięłam uprząż i dałam Aleksowi znak, żeby zrobił to samo. – Belle, przełącz sterowanie na ręczne.**

**Kontrolka stanu zmieniła barwę.**

**–Gotowe, Chase.**

**Przesunęłam „Belle Marie” do przodu, w kierunku nadlatującego tropiciela.**

**–Odległość dwieście dziesięć kilometrów – powiedziała Belle.**

**Na dziobie „Poszukiwacza” widać było szkarłatną plamę światła. Ustawiłam się na linii między intruzem a tą plamą.**

**–Te urządzenia projektuje się, żeby polować na asteroidy – poinformowałam. – Albo komety. Kosmiczne śmieci. Ale niekoniecznie coś, co może manewrować.**

**–Co więc zamierzamy zrobić?**

**–Siedzieć i czekać, aż nadleci. A kiedy się pojawi, zrobimy unik i walnie w „Poszukiwacza”.**

**–Nie ma lepszego sposobu?**

**–Ciesz się, że w ogóle jakiś jest. Wyjrzał i popatrzył na statek.**

**–Nie podoba mi się, że go jeszcze bardziej uszkodzimy. – Rysy mu stężały. – Jeśli dostanę w swoje ręce Boltona...**

**–A myślisz, że to on?**

**–A któż inny?**

**–Pewnie on. Gdyby nas wyeliminował, mógłby zagarnąć „Poszukiwacza” i wszystko inne dla siebie.**

**–Chase – zameldowała Belle – to się obraca. Wygląda na to, że wykonuje obrót o 180 stopni.**

**Widziałam na ekranie, jak intruz obraca się, aż dysze silników zostają wycelowane w naszym kierunku. Silniki uruchomiły się.**

**–Hamuje – rzekła Belle.**

**–Nie jest aż tak durne, na jakie wygląda.**

**–Co masz na myśli?**

**–Wykryto niebezpieczeństwo i zwalnia. Nie było gdzie się ukryć.**

**Kontrolka stanu Belle zamigotała.**

**–Co chcesz zrobić, Chase?**

–Myślę.

–Przy aktualnym przyspieszeniu ujemnym w chwili kontaktu będzie miało prędkość dwadzieścia kilometrów na godzinę.

–Podaj mi nowy orientacyjny czas kontaktu, Belle.

–Dziesięć minut czterdzieści cztery sekundy, zakładając, że aktualne warunki się nie zmieniają.

Przynajmniej zyskaliśmy trochę czasu. Uruchomiłam silniki korygujące i obróciłam „Belle Marie”. Tropiciel pojawił się w iluminatorze. Leciał prosto na nas. Ustawiałam nas przodem do niego, ostrzegłam Aleksa, że będziemy manewrować, i uruchomiłam główne silniki. Zaczęliśmy przyspieszać.

Alex wytarł usta wierzchem dłoni, ale zachował spokój.

Przełączyłam na maksymalny ciąg. Wbiło nas w fotele, a „Poszukiwacz” odpłynął do tyłu.

–Zwiększył moc silników – poinformowała Belle.

–Hamuje z pełną mocą – powiedziałam Aleksowi. – Wykrył, że próbujemy uciekać, więc zwalnia do takiej prędkości, żeby mógł wykonać jakiś manewr.

–Jeśli utrzymamy aktualne przyspieszenie – wtrąciła Belle – w chwili kontaktu będzie się poruszać z prędkością jednego i jednej dziesiątej kilometra na sekundę.

–Mam pytanie – odezwał się Alex.

–Wal.

–Zamierzasz skrócić w ostatniej sekundzie, tak? Prześliznąć się tuż obok niego?

–Tak.

–Co się stanie, jeśli on zrobi to samo co my?

–Mała szansa. Ale to jeszcze nic. Jeśli poleci za nami i usiądzie nam na ogonie, pozbycie się go będzie bardzo trudne. Nie uda nam się uciec.

–Rozumiem.

–Więc będziemy musieli go zdjąć, zanim przyklei nam się do ogona. Chciałabym, żebyś coś zrobił.

–Mów.

–Za chwilę wyłączę silniki. Kiedy to zrobię, weź jakąś skrzynkę i włóż do niej najcięższe przedmioty, jakie mamy.

–Rozumiem.

Intruza nie było widać w iluminatorze, ale obraz na monitorze rósł.

–Belle, przejmij stery, dopóki nie wrócę.

–Przejęłam, Chase.

Wypięłam się z uprzęży i wzięłam linkę oraz skafander ciśnieniowy, które zaniiosłam do wspólnej sali, gdzie Alex pakował skrzynkę.

–Masz – powiedziałam. – Włóż to.

–Po co? – spytał, zdziwiony. – Mam wyjść na zewnątrz?

–Później pogadamy – przerwałam mu. Skończyłam pakowanie skrzynki i zamknęłam ją. Alex wskoczył do skafandra, a ja skróciłam linkę, przycięłam ją do długości około półtora metra i przypięłam mu ją do pasa.

–Sześć minut – poinformowała Belle.

–Dobrze – zwróciłam się do niej. – Wyłącz grawitację. Wykonała polecenie, a ja podniosłam skrzynkę.

–Idziemy.

Otworzyłam śluzę i Alex wyszedł na zewnątrz. Podałam mu skrzynkę.

–Co mam z tym zrobić?

–Użyj jej do uratowania nam tyłków.

Zamknęłam właz i przypięłam się. Przed nami coś się jarzyło.

–To on – powiedziała Belle. – Silniki nadal pracują.

–Dobrze.

–Pięć minut.

–Aleksie, słyszysz mnie?

–Głośno i wyraźnie.

**–Zaczynij wypompowywać powietrze.**

**–Już jest wypompowywane.**

**–Dobrze. Przypnij się linką do jednego z uchwytów. Nie wychodź na zewnątrz.**

**–Czekaj chwilę.**

**Patrzyłam, jak blask robi się coraz intensywniejszy. No, Alex, jazda.**

**–Jak to działa?**

**–To zwykły zaczepek.**

**–Jest zepsuty.**

**–To przywiąż się węzłem.**

**–Cztery minuty.**

**–Dobrze, gotowe.**

**–Szarpnij solidnie i sprawdź, czy trzyma.**

**–Wszystko gra.**

**Instynkt podpowiadał mi, że należy gwałtownie zahamować.**

**–Dobrze. Za chwilę będziemy mieli próżnię.**

**–Rozumiem.**

**–Kiedy ciśnienie wyniesie zero, czyli kiedy zapali się zielona lampka na włączniku, otwórz go.**

**–Dobrze. Mam nadzieję, że nie każesz mi rzucać w tropiciela skrzynką.**

**–Chcesz nadal oddychać?**

**–Wciąż jest na kursie zbieżnym, Chase – zameldowała Belle.**

**–Nie mamy czegoś innego, żeby w niego rzucić?**

**–Gdybyśmy mieli więcej czasu, to moglibyśmy zdemontować umywalkę.**

**–Dwie minuty.**

**–Belle, uruchom silniki. Przygotowujemy się do manewru.**



–Ciśnienie wynosi zero – doniósł Alex.

–Nadal kurs na zderzenie – zameldowała Belle.

–Aleksie, minuta dwadzieścia.

Tropiciel wciąż hamował.

–Otwieram zewnętrzny właz.

Śluzą znajdowała się na bakburcie.

–Kiedy będziesz wystawiał skrzynkę, zrób to delikatnie. Nie rzucaj.

–Rozumiem.

–Po prostu ja wysuń. Daj mi znać, jak skończysz.

–Jasne.

–Gotów?

–Tak.

–Do dzieła.

Usłyszałam, jak coś mruczy, po czym oznajmił:

–Gotowe.

–Świetnie. Nie próbuj zamykać włazu. Trzymaj się. Manewr za dziesięć minut.

–Dobrze.

–Dziewięć, osiem...

Jedynym poważnym niebezpieczeństwem, które miał na myśli Alex, było takie, że tropiciel odkryje, co robimy, czy nawet zareaguje wystarczająco szybko, żeby zmienić kurs. Ale osobiście w to wątpiłam. Bardziej prawdopodobne było, że wykonam manewr za ciasno i sama wpakuję się w to paskudztwo.

–Cztery, trzy...

Silniki tropiciela nadal pracowały, ciągle hamował.

–Dwa...

**Uruchomiłam silniki sterujące na bakburcie i wykonałam ostry skręt na sterburcie. Silniki sterujące tropiciela odpowiedziały ogniem, jakby próbował powtórzyć ten manewr, ale było za późno. Przelecieliśmy koło niego, a ciężka skrzynka wylądowała prosto na jego dziobie z łączną prędkością dwóch tysięcy kilometrów na godzinę.**

**Niebo za nami rozbłysło. Alex wymamrotał, że sam nie wierzy w to, co zrobił. Musiał być jakiś lepszy sposób. Uświadomiłam sobie, że mogliśmy napęlić skrzynkę wodą. Trudno.**

**Wykonaliśmy jeszcze kilka skrętów, żeby się upewnić, że nic za nami nie leci.**

# DZIEWIĘTNAŚCIE

Orbity, wektory, przecięcia. Kiedy się je zrozumie, wszystko staje się jasne.

Korim Maas, *W laboratorium*, 1411

Następną czynnością do wykonania było oczyszczenie soczewek. To delikatna robota, więc pozostawiłam ją Aleksowi, który jest prawdziwym fachowcem. Kiedy już był zadowolony z efektu, pokazaliśmy je Belle.

–Co o tym sądzisz?

Patrzyliśmy na grę świateł. Belle skomentowała, że biorąc pod uwagę ich wiek, były w bardzo przyzwoitym stanie.

–Jesteś w stanie odtworzyć te obrazy?

–Pewnie tak. Włóż je do czytnika, to zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Wróciliśmy do wspólnej sali i włożyłam pierwszą soczewkę.

–Tak może być – rzekła Belle.

Światło przygasło. Patrzyliśmy na krajobraz pod rozgwieżdzonym niebem. Z lewej strony widać było grupę ciemnych drzew. Na pierwszym planie przy drewnianej furtce stały dwie osoby. Mała dziewczynka i kobieta, która wyglądała na jej matkę. Za furtką był trawnik, drzewo z huśtawką i dom. Za domem rozciągała się rzeka.

Wszystko było trochę rozmazane.

–Poczekajcie – rzekła Belle. Wiem, na czym polega problem.

Obraz wyostrzył się i Belle włączyła efekt VR. Teraz staliśmy na polu. Gdzieś daleko była rzeka, a w ciemności lśnił pierścień światła.

–To chyba miasto powiedział Alex. – Gdzie my jesteśmy? Czy to Ziemia?

–Nie wiem. To może być gdziekolwiek. Dziewczynka, mniej więcej dziewięcioletnia, miała na sobie błękitny kombinezon, a w kasztanowych włosach podobnej barwy wstążkę. Patrzyła prosto na nas, uśmiechała się i machała ręką. Oczy jej matki także były w nas utkwione. Ubrana w strój barwy khaki, stała z przechyloną głową, uśmiechając się z pewnością siebie i czekając cierpliwie, aż sesja fotograficzna się skończy.

Miałam wrażenie, jakby zanosilo się na deszcz. Wiatr szeptał pośród drzew. Żółta poświata na zachmurzonym niebie sugerowała obecność księżycy. Dziewczynka wyglądała, jakby chciała

**podbiec i uściskać nas, ale pewnie kazano jej grzecznie pozować, więc po prostu stała.**

**–Wystarczy? – spytał Alex.**

**–Tak – odparłam. – Belle, daj następny.**

**Te same dwie osoby na werandzie domu, który wyglądał na zamieszkany, frontowe schody wyglądały, jakby trochę rozmijały się z werandą, słup z latarnią był przekrzywiony pod dziwnym kątem, w dachu brakowało paru dachówek, a futryny wielkich okien od dawna wymagały malowania. To nie był dom służący do wywierania wrażenia na znajomych. Ale rosło przed nim mnóstwo kwitnących krzewów i wyglądał na wygodny.**

**Chmury rozproszyły się trochę i zobaczyliśmy księżyc. Był jasny i w pełni, odrobinę większy od satelity Rimway. Przez okna sączyło się światło. Kobieta tym razem się śmiała, bardziej swobodna, i pochylała się, najwyraźniej zamierzając wziąć dziecko na ręce. Była atrakcyjna. Miała włosy tego samego koloru co dziewczynka, kasztanowe z odcieniem czerwieni. Ubrana w białą bluzkę i czarne spodnie, wyglądała na szczęśliwą i całkowicie beztroską.**

**–Ciekawe, kim są – powiedział Alex.**

**Wzruszyłam ramionami.**

**–Może została kapitanem „Poszukiwacza”.**

**–Nie wygląda na kogoś, kto pilotuje statki międzygwiazdne. Raczej zajmuje się dzieckiem.**

**–Miałam na myśli tę dziewczynkę – rzekłam.**

**–To nie Ziemia – powiedziała Belle.**

**Odnieśliśmy wrażenie, że jej głos dochodzi z kępy drzew.**

**–Skąd wiesz? – spytał Alex.**

**–To nie jest księżyc Ziemi.**

**Trzy z hologramów przedstawiały rzekę, szeroką i na oko spokojną. Na jednym z nich była kobieta; stała przy drzewie i w zadumie patrzyła na drugi brzeg.**

**Z dwóch nie dało się odczytać obrazu. Pozostałe siedem wykonano w pobliżu domu. Na jednym z nich matka i dziecko stały w otwartych drzwiach i tylko na tym widać było fragment wnętrza. Dostrzegłam fotel i stół z lampą. Na wszystkich siedmiu hologramach była dziewczynka.**

**Na werandzie stały krzesła – na jednym z nich spoczywała rzucona niedbale kurtka – i stolik z rośliną doniczkową. Na trawniku przed domem leżał wózek zabawka. I dostrzegliśmy ścieżkę prowadzącą od furtki do domu.**

Wróciliśmy do oglądania rzeki i przyjrzeliliśmy się bliżej pierścieniowi światła po drugiej stronie.

–Możemy to przybliżyć? – zwróciłam się do Belle.

Wyostrzyła pierścień, a potem zbliżyła obraz. Pierścień urósł i rozdzielił się na poszczególne światła. Wyglądały, jakby były światłami pojazdów.

–Dobrze – rzekł Alex. – Przyjrzyjmy się znów kombinezonowi dziewczynki. Daj zbliżenie.

Dziecko pojawiło się z przodu, pośrodku. Śmiało się i wyciągało ręce do matki. Na ramieniu kombinezonu miało naszywkę.

Poznałam je. Kombinezon i naszywkę.

–To z „Poszukiwacza”.

–Wykonano je specjalnie dla dziecka – przytaknęła Alex. – To pewnie pamiątka. – Spojrzał na niebo, ale nie było na nim widać gwiazd. – To Margolia powiedział.

Poszłam do łóżka, zastanawiając się, ile jeszcze czasu minie, zanim wrócę do domu, i właśnie zasypiałam, kiedy Alex zapukał do mojej kajuty. Włączyłam światło, sięgnęłam po szlafrok i powiedziałam mu, żeby wszedł. Trzymał w ręce kubek z kawą.

–Przepraszam, że zawracam ci głowę, Chase.

–Nie szkodzi. Co się stało?

–Po prostu coś przyszło mi do głowy i pomyślałem, że spytam, co o tym myślisz.

W kajucie było tylko jedno krzesło; wskazałam mu je i usiadłam na łóżku.

–Słucham – rzekłam.

–Zastanawialiśmy się nad jakąś katastrofą. To jedyny prawdopodobny powód, dla którego mogli zapakować wszystkie dzieci na „Poszukiwacza”. To była akcja ratunkowa.

–Pewnie. Musiało tak być. Kolonia wpadła w jakieś tarapaty. Wirus. Głód. Może obcy.

–Ech, nie masz bujnej wyobraźni, Chase.

–Nie mam wyobraźni? Bo przychodzą mi do głowy obcy?

–Wiemy, że tutejszy układ planetarny jest jakiś pokręcony. Znaleźliśmy tylko trzy planety i w dodatku jedna z nich ma dziwną orbitę.

–Aleksie, nie ma w tym niczego niezwykłego. Pokręcone układy planetarne są wszędzie.

–Ale właśnie tu znaleźliśmy „Poszukiwacza”. To sugeruje jakiś związek.

–Aleksie, o czym ty mówisz?

–Wyobraź sobie katastrofę na skalę planetarną.

–Ach, tak.

–Może coś pojawiło się w układzie i przeorało planetę, którą skolonizowali, albo wyrzuciło ją z układu.

–Albo uderzyło w słońce. To możliwe. Ale bardzo mało prawdopodobne. – Szanse na kolizję były naprawdę niewielkie. Gdyby jednak coś takiego się stało...

Miał minę, jakby myślami był daleko.

–Sądzę, że to jest całkiem prawdopodobne – oznajmił – i właśnie coś takiego się stało. Przylecieli tu i osiedlili się na przyjemnej planecie, którą możemy oglądać na hologramach. Zbudowali miasto. Trochę się rozprzestrzenili. Zbudowali sielskie domki na wsi, z werandami i huśtawkami. Byli tu na tyle długo, że oba statki zaczęły się psuć. Dom, który widzieliśmy, też wymagał remontu. I wtedy coś się stało.

–Możliwe.

–Może w pobliżu pojawiła się jakaś zbłąkana planeta. Nie wiem. Nie jestem planetologiem. Powinniśmy byli zabrać tu twoją przyjaciółkę.

–Shareę.

–Tak. Shareę. Może ona podsunęłaby nam lepszy pomysł.

–To by wszystko wyjaśniało. Jeśli nie remontowali statków, albo po prostu się zestarzały...

–Żaden z nich nie był sprawny. Żaden nie był w stanie lecieć o własnych siłach. Więc wymontowali części z jednego, żeby naprawić drugi. Pewnie chcieli wysłać go po pomoc. Pod warunkiem, że byt na to czas. Jak daleko jest Ziemia? O rok lotu? I kolejny rok lotu z powrotem.

–Skoro zabrali dzieci, to nie mieli za dużo czasu – zasugerowałam.

–Albo wydawało im się, że rozwiązali problem z „Poszukiwaczem”.

Wziął głęboki oddech.

**–Chciałbym wiedzieć, co się tam naprawdę stało.**

**–Jeśli planeta została wyrzucona z układu, to się nie dowiemy.**

**–Pewnie nie. – Postukał palcem w mój monitor nawigacyjny. – A może wykonamy test? Sprawdźmy, czy da się potwierdzić, że kolonia naprawdę znajdowała się w tym układzie?**

**–Co masz na myśli?**

**–Poszukamy księżycy.**

**–Księżycy?**

**–Księżycy. Margolia miała księżyc. A my mamy jego zdjęcie.**

**–Cóż, możemy, ale pamiętaj, że w takiej sytuacji księżyc także zostałby wyrzucony z układu.**

**–Tego nie wiemy. I nie zaszkodzi sprawdzić.**

**–Dobrze – odparłam. – Jeśli nadal jest w układzie, znalezienie go nie powinno być trudne.**

**Wiedzieliśmy, jak wygląda. A w układzie było mnóstwo śmieci, ale nie o tak regularnych kształtach.**

**Alex poszedł na mostek. Powlokłam się za nim boso i poleciliśmy Belle ponowne przejrzenie obrazów.**

**Księżyc był widoczny na trzech hologramach. Wyświetlała je jeden po drugim. Mieliśmy do dyspozycji tylko jedną stronę, ale to powinno starczyć. Przyjrzeliliśmy się szczegółom i rozmieszczeniu kraterów. Wąwozy rozciągały się w stronę bieguna. Pasma górskie tu i tam.**

**–Jesteśmy gotowi do poszukiwań, Belle? – spytałam.**

**–Wystarczy słówko.**

**Uznaliśmy, że księżyc prawdopodobnie znalazłby się na orbicie okołosłonecznej i zgodnie z tym założeniem zaczęliśmy szukać.**

**Pierwszego dnia znaleźliśmy czterech kandydatów, ale szybko ich wyeliminowaliśmy. Alex bardzo zaangażował się w poszukiwania. Cały czas rozmawiał z Belle, wypytując ją, gdzie konkretnie szukamy, czy przypadkiem nie tracimy czasu na takiego czy innego kandydata, czy nadal korzysta z parametrów wyszukiwania, jakie jej podał.**

**Belle sprawiała wrażenie, jakby zaczęta się złościć. Na początku czwartego dnia, kiedy byliśmy daleko od słońca, gdzieś w układzie, i nie mieliśmy w zasięgu teleskopu niczego przypominającego księżyc, straciła cierpliwość i powiedziała, że powiadomi nas, jeśli znajdzie**

coś ciekawego.

–A tymczasem – oznajmiła – musimy szukać bardzo starannie. Jeśli nawet coś nie wygląda obiecująco, musimy bardzo dokładnie przeszukać dany obszar, by go z dużą pewnością wyeliminować i nie zastanawiać się później, czy przypadkiem czegoś nie przegapiliśmy i nie trzeba do niego wrócić.

Alex przewrócił oczami.

–Drocę się z komputerem – mruknął do mnie.

Wielokrotnie już zdarzało mi się podróżować daleko z Aleksem i podczas długich rejsów jest całkiem dobrym towarzyszem. Podtrzymuje rozmowę. Ma poczucie humoru. Jest raczej cierpliwy. I zwykle wie, kiedy powinien się zamknąć. Mimo to, jeśli zamyka się dwoje ludzi w ograniczonej przestrzeni na dłuższy czas, bez chwili oddechu, sytuacja może być drażliwa. Widziałam kiedyś wyniki badań, w których sugerowano, że problemem jest raczej ograniczona przestrzeń, a nie oglądanie tej samej osoby dzień po dniu. Gdyby te same osoby umieścić na bezludnej wyspie, gdzie jest słońce, wiatr i morze, nic podobnego by nie wystąpiło.

Korzystaliśmy więc, ile się dało, z możliwości, jakie oferowała VR. Chodziliśmy do teatru i na koncerty, siedzieliśmy na plaży z tłumami innych ludzi, jadaliliśmy w wirtualnych restauracjach, odwiedzaliśmy wydarzenia sportowe i próbowaliśmy wrzeszczeć razem z tłumem. Graliśmy na turniejach szachowych w Indiach, spacerowaliśmy wybrzeżem przy Bramie Morskiej, oglądaliśmy Parvisa Kuneya w komedii w Royale i wędrowaliśmy po starożytnym Luwrze.

Problem polegał jednak na tym, że to wszystko jest wirtualne i w miarę upływu czasu ludzie stają się coraz bardziej tego świadomi. Nie było niczego konkretnego do zrobienia. Alex zapoznawał się z ostatnimi nowościami ze świata antyków. Ja czytałam kryminały. I po jakimś czasie wszystko stało się nudne.

Tak powie wam każda kobieta we właściwym wieku, nic nie może się równać życiu ze świadomością, że kiedyś spotkamy Tego Jedynego. Tego, który natychmiast przyprawi wasze serca o szybsze bicie, którego – wiecie to od pierwszego wejrzenia – już nigdy nie zapomnicie. No dobrze. Nigdy nie widziałam żadnego z nich we własnej osobie i wątpię, czy w ogóle istnieją. Kiedy jednak oglądałam wieczorną symulację, w której Choelo Tabor zagłębiał się w tajniki duszy awatara Chase Kolpath, gdy patrzyłam, jak tych dwoje zakochuje się w sobie, gdy deszcz bębni o dach chatki, a muzyka w tle narasta i potężnieje – cóż, powiem wam, że Choelo mógłby mnie zdobyć w każdej chwili. Wiedziałam jednak, że go nie spotkam. Tu zresztą nikogo nie spotkam – w tej okolicy Bubsilonu Delta, czy gdzie się obecnie znajdowaliśmy.

Odnotaliśmy też znaczne zużycie paliwa. Krótkie skoki są... no cóż, krótkie; ale sporo ich robiliśmy i spaliliśmy równie dużo paliwa co przy skoku na duże odległości.

W końcu przenieśliśmy się z poszukiwaniami na drugą stronę słońca. Wtedy już zamierzaliśmy poprzestać na szybkim rzucie oka, zobaczyć, czy coś wygląda obiecująco, i ewentualnie



**przemyśleć sprawę jeszcze raz.**

**Wreszcie, dziewiątego dnia, Belle ogłosiła, że coś odkryła.**

**–Księżyc? – spytałam.**

**–Niekoniecznie. – Belle wykazuje jedną dziwnie ludzką cechę. Uwielbia być panią sytuacji i wykorzystuje to przy każdej okazji. – Zobaczcie.**

**–Co? – spytał Alex. – Co to jest?**

**–Kolejny obiekt o wysokim albedo.**

**–Kolejny tropiciel? – Wstrzymałam oddech.**

**–Nie. Nie przypuszczam.**

**–Kolejny statek?**

**–To możliwe.**

**–„Bremerhaven”? – spytałam.**

**–Nie jestem w stanie określić na pewno. Ale czymkolwiek by nie był, jest blisko.**

**To nie był „Bremerhaven”. I nie był to kolejny gość. Była to stacja. Miała jakiś kilometr długości, dwa doki dla lądowników, terminal, coś, co musiało być magazynem, i całe mnóstwo wypustek, elementów poprzecznych i zbiorników. Dryfowała, obracając się wolno, obrót za obrotem, ciągnąc za sobą jakieś elementy i przewody. Docki były otwarte i puste.**

**Zrównaliśmy się z nią. Alex już wkładał skafander. Spytałam, czy bierze ze sobą jakiś worek na lupy.**

**–Chcę tylko rzucić okiem – powiedział. – Zobaczę, co tam jest.**

**Nadal był trochę przybity.**

**Zabrałam ze sobą laser i poleciliśmy. Przypuszczaliśmy, że w niektórych częściach stacji nadal znajduje się powietrze, i okazało się, że istotnie tak jest. Przeszliśmy przez jeden z doków i musieliśmy wyciąć sobie drogę w grodzi. Tym razem nigdzie nie było szczątków ludzkich, za co byłam wdzięczna losowi.**

**Szliśmy ciemnym korytarzem, trochę mniej spięci niż na „Poszukiwaczu”, ale jakoś nie mieliśmy ochoty na nasze zwykłe polowanie na artefakty. Zresztą, szczerze mówiąc, niewiele tam było.**

Nie było też unoszącego się w ciemności pyłu. Znaleźliśmy obserwatorium, warsztaty naprawcze i kambuz. Były tam też dwa rękawy pasażerskie. Oba wciągnięte do środka i umocowane w zaczepach.

Wróciliśmy do doku, gdzie – jak przypuszczaliśmy – kiedyś cumowały „Bremerhaven” i „Poszukiwacz”.

–Jak oni to robili?

Przy rozmiarach obu statków stacja wyglądała na malutką. Znaleźliśmy cumy. Były cienkie i trudno było sobie wyobrazić, że za ich pomocą cumowano takie giganty.

–Dok ma fartuch magnetyczny – wyjaśniłam. – Wystarczy zacumować i już.

–Przypuszczałem, że znajdziemy coś zepsutego.

–Co masz na myśli?

–Może się mylę, ale zakładam, że „Bremerhaven” już nie nadawał się do użytku po wymontowaniu części, które widzieliśmy na „Poszukiwaczu”.

–Nie potrafię tego stwierdzić z całą pewnością, ale najprawdopodobniej masz rację.

–Co się z nim stało?

Spojrzałam na zwinięte cumy. Wszystko było uporządkowane.

–Pewnie puścili go wolno.

–Dlaczego?

–Może nie chcieli mieć wraku na stacji.

–Chase, ta stacja przebyła daleką drogę. Naprawdę myślisz, że nie wiedzieli, co się stanie?

–Nie mam pojęcia, Aleksie.

Dotknął jednej z cum. Straciła już elastyczność.

–Po co mieliby puszczać wolno statek, który nie mógłby nigdzie dolecieć? – spytał.

–Nie wiem. Może nie chcieli, żeby spadł im na głowy, kiedy działo się tam to, co się działo. Więc się go pozbyli.

–Może. – Patrzył na mnie przez długą chwilę, ale przez wizjer hełmu nie byłam w stanie dostrzec wyrazu jego twarzy. – To jakieś dziwne.

–Mamy kandydata na księżyc – wtrąciła Belle.

Kiedy tylko znaleźliśmy się w zasięgu, zrozumieliśmy, że to satelita z hologramów, tych kraterów i pasm górskich nie można było z niczym pomylić.

Belle zwykle miała problem ze zrozumieniem zawłości ludzkiego zachowania. Sądziła, że odkrycie to dobra okazja do świętowania, więc pojawiła się w czarnej sukni odsłaniającej ramiona, jak modelka z czasopisma „Piasek i Morze”. Uniosła obie pięści nad głowę, demonstrując falujące piersi, i obsypała nas gratulacjami. Nastrój na pokładzie pozostał jednak ponury.

Podobnie jak „Poszukiwacz” i stacja, były satelita także znalazł się na orbicie okołosłonecznej.

–Średnica równikowa wynosi trzy tysiące pięćset kilometrów – ogłosiła Belle. Dużo jak na księżyc, nawet jeśli pamiętać o sporym satelicie Rimway. – Nie wykrywam żadnych śladów jakichś katastrofalnych zmian.

Obejrzenie jednego księżyca jest właściwie równoznaczne z obejrzeniem wszystkich. Ten miał sporo kraterów po jednej stronie, po tej, którą znaliśmy z hologramów. Druga była stosunkowo gładka, pewnie wytwór starożytnego wypływu lawy. Poleciliśmy na orbitę i zaczęliśmy szukać czegokolwiek, co mogło nam podpowiedzieć, jak się tu znalazł.

Alex porobił zdjęcia i przygotowaliśmy mapę tego ciała niebieskiego. Zmierzyliśmy je i przeskanowaliśmy. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy jakieś ślady tego, iż ktoś tam był. Bazę, monument, klucz upuszczony w pyle. Cokolwiek. Jeśli jednak coś tam było, nie znaleźliśmy tego.

Okres obiegu wynosi w przybliżeniu siedemset trzydzieści pięć dni. W tej chwili księżyc znajduje się w połowie drogi między atelium a peryhelium.

–Mamy stację i księżyc – mruknęłam. – Może będziemy w stanie dojść do tego, co się stało.

Alex skinął głową.

–No to do roboty.

Teraz mogłam zabłysnąć.

–Belle – powiedziałam – prześledź orbity księżyca i stacji do dziewięciu tysięcy lat wstecz. Czy kiedykolwiek się przecinały?

–Przystępuję do pracy – zameldowała Belle.

–Doskonale, Chase – oznajmił Alex. – Może przed tobą świetlana przyszłość matematyka.

**–To byłby krok wstecz.**

**Belle była gotowa.**

**–Nie. Nie przecinają się. Ale są blisko.**

**–Jak blisko?**

**–Znajdowały się w odległości 2,3 miliona kilometrów w dniu 3 marca 2745 roku według ziemskiego kalendarza.**

**–Pięćdziesiąt pięć lat po pierwszym lądowaniu – rzekł Alex.**

**–Przyjrzyjmy się temu, Belle. Pokaż nam też biosferę. Przygasła światło i wyświetliła słońce. Narysowała dookoła niego szeroki krąg oznaczający biostrefę. Dodała jasnożółty łuk.**

**–To stacja.**

**Następnie dorzuciła drugi łuk, obok stacji.**

**–Księżyc.**

**Punkt zbliżenia znajdował się na wewnętrznej krawędzi biostrefy.**

**–Belle, pokaż nam, gdzie wtedy była planeta o cechach zbliżonych do Ziemi – zażądał Alex.**

**–Trudno to ustalić na pewno, bo orbita planety przed zdarzeniem mogła być inna.**

**–Musiałaby być inna, Belle – rzekłam.**

**–W takim razie czego mam szukać? – W jej głosie pobrzmiwała irytacja.**

**–Załóżmy, że planeta o cechach zbliżonych do Ziemi miała standardową orbitę w biostrefie, blisko wewnętrznej krawędzi. Gdzie by wtedy była?**

**–Momencik. Zapadła cisza.**

**W odległości dłoni od księżyca pojawił się migający znacznik. Jeszcze dalej od stacji.**

**–To niespecjalnie wygląda na przecięcie – rzekł Alex.**

# DWADZIEŚCIA

Położymy kres ideologicznym nonsensom, przekazywanym z pokolenia na pokolenie, bez względu na ich charakter: polityczny, religijny czy społeczny. Zaczniemy wszystko na nowo, stosując nowe podejście. Naszą nauczycielką będzie historia, i odrzucimy doktryny, które na wieki przykuły ludzką rasę do kakofonii niezgody i chaosu. Zawsze zdawaliśmy sobie sprawę z potencjału wielkości, bo wiemy, co się dzieje, gdy jednostka odrzuci okowy konformizmu. Teraz wykażemy, co można osiągnąć, gdy całe społeczeństwo postawi na wolność umysłu.

Harry Williams, przemówienie podczas obchodów Dnia

Wolności w Berlinie, 3 marca 2684 n.e.

Znajdowaliśmy się nadal na orbicie księżyca, kiedy Belle poinformowała o znalezieniu „Bremerhaven”.

–Ostatni element – powiedziałam.

–Zobaczmy.

Był mniejszy, smuklejszy i dłuższy od „Poszukiwacza”. Żadnych oznak eksplozji silników. Żadnych uszkodzeń poza paroma wgnieceniami w miejscach, gdzie pewnie uderzył kawałek lodu lub skały. Na kadłubie widać było taką samą flagę i podobny wijący się napis.

W środku nie znaleźliśmy ludzkich szczątków. Było parę przedmiotów, które nieźle wyglądałyby w ofercie Rainbow, ale Alex zdecydował, nawet nie wyjaśniając przyczyny, że z „Bremerhaven” nie będziemy niczego zabierali.

–Zostawimy to dla Windy – powiedział.

Na mostku otworzyliśmy panele i spojrzeliśmy na odłączone kable zasilające. I na puste miejsce po modułach sterujących. Alex pokręcił się po pomieszczeniu, wtykając latarkę we wszystkie puste miejsca.

–Chase – odezwał się w końcu – czy możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie? Kiedy przenieśli te moduły na „Poszukiwacza”, czy ten statek był w stanie dokądkolwiek polecieć? O własnych siłach?

–Wątpię.

–Ale pewna nie jesteś.

–Nie znam tego typu statku. Nie można wykluczyć, że gdzieś na pokładzie jest dodatkowy moduł sterujący.

**–Dobrze – odparł. – A jesteśmy w stanie to sprawdzić?**

**Przypomniałam sobie moduł przekaźników zasilania w maszynowni „Poszukiwacza”.**

**–Rzućmy okiem na napęd.**

**Już wspominałam, że nie wiem za wiele o technice z trzeciego tysiąclecia. Ale nie trzeba za dużo wiedzieć, jeśli po prostu sprawdza się, czy nie brak jakichś części albo czy nie odłączono kabli. Wystarczył szybki rzut oka, by się przekonać, że „Bremerhaven” nie odleciałby nigdzie o własnych siłach. Nie zabraliśmy niczego. Zarejestrowaliśmy trochę materiału wizualnego. Potem wróciliśmy na pokład „Belle Marie” i zrobiliśmy kawę.**

**Alex sprawiał wrażenie nieobecnego.**

**–Co się dzieje? – spytałam w końcu. Pociągnął długi łyk.**

**–Przypuszczam, że ta planeta z dżunglą to Margolia.**

**–Mimo że orbita nie pasuje?**

**–Nie wiem dlaczego, ale jestem przekonany, że oni zostali gdzieś na tej planecie.**

**Nigdzie nie było śladów żadnych osad, ale trzeba pamiętać, że minęło kilka tysięcy lat, a na planecie występowała bujna roślinność. Wylądowaliśmy i pospacerowaliśmy trochę na powierzchni, szukając dowodów. Niczego jednak nie znaleźliśmy. Rozstrzygnięcie w jedną albo w drugą stronę wymagałoby użycia specjalistycznego sprzętu.**

**–Chase?**

**–Tak, Belle?**

**Drzemałam na mostku, a Alex oglądał obrazy z powierzchni.**

**–Przyjrzałam się orbicie „Bremerhaven”.**

**–No i?**

**–W dniu 3 marca 2745 był trzydzieści milionów kilometrów stąd.**

**–Od tej planety?**

**–Tak.**

**Spojrzeliliśmy po sobie.**

**–Można to jakoś wyjaśnić?**

**–Na razie można tylko nazwać to anomalią – odparł Alex.**

# DWADZIEŚCIA JEDEN

Nieszczęście spadło na nas w samo święto.

Kory Tyler, *Rozważania*, 1312

Po zakończeniu lotu, o którym ludzie pewnie będą dyskutować za tysiąc lat, wracaliśmy na ojczystą planetę. Znaleźliśmy naszą Atlantyde, ale rozczarowanie było tak wielkie, że przytłumiło wszystkie inne kwestie. Czy zapewniliśmy sobie niezłe zyski? Zdecydowanie. Czy będziemy sławni? Wyobraziłam sobie, jak udzielam wywiadów we wszystkich programach, od „Okrągłego Stołu” po „Śniadanie z Jennifer”. Kasy będzie jak lodu. Zaczynałam też myśleć o napisaniu książki. Mimo to mieliśmy nadzieję, że ta Atlantyda będzie żyć i funkcjonować. A przynajmniej będzie widoczna.

–Jak ją zatytułujesz? – spytał Alex.

–*Ostatnia misja* - odparłam.

Przycisnął palce do skroni i zaczął mówić tonem, jakiego zwykle używał w rozmowach z dziećmi.

–Mam nadzieję, że nie zamierzasz rezygnować z pracy. No i chyba ta książka nie będzie o tobie.

–Nie, nie będzie o mnie. I nie zamierzam rezygnować z pracy, Aleksie. Książka będzie o „Poszukiwaczu”. O tym, jak szukali pomocy ze statkiem wypełnionym dziećmi i zawiodły silniki. A w odległości wielu lat świetlnych nie było nikogo, kto mógłby im pomóc. O tym, jak wszyscy na pokładzie zginęli, a Margolia straciła jedyną szansę. To będzie tragiczna opowieść.

–Tak – odparł. – Rzeczywiście, wygląda na to, że będzie to coś przygnębiającego. Chyba powinnaś wprowadzić tam jakiś optymistyczny akcent. – Siedział we wspólnej sali, nad szachownicą z jakimś zadaniem, które chyba niespecjalnie go zaprzętało. Kiedy spytałam, w jaki sposób ma zamiar poinformować o naszym odkryciu, zrobił niepewną minę. – Jeszcze o tym nie myślałem – odparł. – A jakie jest twoje zdanie?

–Powinniśmy zwołać konferencję prasową. Razem z Windy.

Podniósł czarnego króla, przyjrzał mu się i odłożył go z powrotem.

–Wcale się nie palę, żeby to zrobić. Nie mam ochoty drażnić Kolchevsky’ego i innych idiotów. Może nie powinniśmy się z tym za bardzo obnosić, tylko po cichu upłynnić trochę towaru?

–Wiesz doskonale, że na to nie ma szans. Kiedy się rozniesie, że znaleźliśmy Margolię, pod twoje drzwi zlecą się dziennikarze z całej planety. Musimy wiedzieć, co zamierzamy ujawnić.



Zbliżyliśmy się, zacumowaliśmy i wkroczyliśmy na pokład, na którym panowała nieważkość; wybraliśmy taki, bo mieliśmy trzy skrzynie z artefaktami.

Kiedy wmaszerowaliśmy do głównej hali, podszedł do nas wysoki młody człowiek.

–Charlie Kverson – przestawił się. – Jak minęła podróż, panie Benedict?

–W porządku. – Alex spojrzał w moją stronę. Czy go rozpoznaję? Skąd, nigdy go nie widziałam. Miał czarne włosy i nosił się konserwatywnie, ale było w nim coś, co przywodzi na myśl tych facetów, którzy zawsze starają się wyrzeć na otoczeniu wrażenie swoją pozycją.

–Windy mnie przysłała – wyjaśnił. – Chciała się dowiedzieć, jak poszło.

–Proszę jej powiedzieć, że wyprawa zakończyła się sukcesem, jutro z samego rana skontaktujemy się z nią.

–Doskonale. – Wyglądał na zadowolonego. – Na pewno się niecierpliwi i chce się dowiedzieć czegoś o szczegółach.

Przypuszczałam, że będzie nas wypytywał, spyta, co znaleźliśmy, ale tylko wetknął ręce głębiej do kieszeni i powiedział, że Windy mówiła coś o zorganizowaniu kolacji na naszą cześć.

–A tak przy okazji – rzekł – załatwiliśmy państwu przelot wahadłowcem. – Miał brązowe oczy. Cały czas patrzył na skrzynki. – Na koszt Agencji.

–To bardzo miłe – odparł Alex. – Dziękujemy.

–Cała przyjemność po naszej stronie. Artefakty są w tych skrzyniach?

–Tak – odparł Alex.

–Cudownie. Znów się uśmiechnął. Spojrzał na mnie. Pewnie w gruncie rzeczy jest nieśmiały, pomyślałam. To ktoś, kto rzadko dobrze się bawi. – Gratuluję, panie Benedict.

–Dziękuję.

–Dam znać Windy. I powiem, że skontaktujecie się jutro.

Wymieniliśmy uściski dłoni.

–Miło było was poznać. – Ruszył, po czym odwrócił się. Wahadłowiec startuje o szóstej, panie Benedict. Rezerwacja jest na pana nazwisko.

Alex podziękował mu jeszcze raz i Kverson oddalił się, wyjaśniając, że musi jeszcze coś załatwić.

Zorganizowaliśmy transport skrzyń. Miałam przy sobie kilka delikatnych przedmiotów, które zamierzałam zabrać na pokład wahadłowca. Na początku powiedzieli nam, że nie mają już miejsca na ładunek, ale Alex pomachał im przed nosem pieniędzmi i miejsce się znalazło.

Kiedy wychodziliśmy z biura, została nam prawie godzina do startu. Alex miał niepewną minę. Co się dzieje? – spytałam.

–Jestem głodny.

Na stacji było mnóstwo barów z przekąskami, ale Alex uparł się, żeby pójść do Karła, gdzie są świece, dyskretna muzyka i skwierczący kurczak, przyrządzany na sposób dellakondyjski.

–Nie mamy czasu – odparłam. Godzina na Rimway jest istotnie nieco dłuższa od ziemskiej, ale i tak nie zdążylibyśmy na ten lot. U Karła należy się zrelaksować, cieszyć wystrojem i napawać kolejnymi daniami.

Skrzywił się.

–Jest kolejny lot o dziewiątej. – Spojrzał na mnie błagalnie. Chase, daj spokój, byliśmy zapuszkowani przez parę tygodni. Należy nam się odrobina komfortu. – Chodźmy się trochę wyluzować, dobrze? Skorzystajmy z okazji, co?

Był to wybór między solidną kolacją a kanapkami na pokładzie wahadłowca.

Zadzwoniliśmy więc do biura rezerwacji, żeby zmienić godzinę wylotu, i ruszyliśmy na pokład B, po drodze zaglądając do paru sklepików z pamiątkami. Kupiłam koszulkę dla siostrzeńca, a Alex nabył jakieś czekoladki, żeby mieć co jeść podczas lotu. Potem poszliśmy do Karła.

Choć mieliśmy mieszane uczucia co do wyniku naszej misji, mieliśmy też powody do świętowania. Zaprowadzono nas do stolika i usadzono, a ja położyłam pudełko i torby z pamiątkami na krześle, prosząc Aleksa, żeby mi o nich przypomniał. Po drugiej stronie sali ktoś grał na pianinie zmysłową melodię. Zamówiliśmy drinki i spojrzeliśmy sobie w oczy jak para zakochanych. Mówiliśmy, jacy jesteśmy świetni i jak to cały świat padnie do naszych stóp, pytając, jak to się nam udało. Zamówiliśmy owoce morza. Białe skoble z Morza Wewnętrznego. Rozkoszowałam się każdym kęsem. To zabawne, ale pamiętam każdy szczegół tej kolacji: jak wyglądała sałatka, jakiego sosu dodałam, jaki kształt miały kieliszki; jakby to się wydarzyło wczoraj. Nadal łatwo przywołuję z pamięci widok kandelabru i wypełnionej w połowie sali. Widzę Aleksa targanego sprzecznymi emocjami: jest u szczytu kariery, ale zarazem zachwycony i zasmucony. Trudna sytuacja, w jakiej znaleźli się ci ludzie, tysiące lat temu, zrobiła na nim takie wrażenie. Gdybym ja się tak zachowywała, powiedziałby mi, że bym wzięła się w garść. Wszyscy kiedyś umrzemy. To dawna historia. Cóż, tak to było.

Pamiętam, jak zażartował, że gdzieś powinna być galeria sławy handlarzy antykami. Najwyższy czas, żeby obdarzyć ich uznaniem, na które tak zasługują. Podziękował mi za mój wkład w to przedsięwzięcie. Chyba wtedy już trochę za dużo wypił.

Pianista był żywy, nie wirtualny: wysoki, poważny facet z lśniącym wąsem i szarymi oczami, które jakoś nie pasowały do tej romantycznej muzyki. Nadal pamiętam, co grał i że miał w klapie czerwony goździk, i że wyglądał na zasmuconego. Pamiętam, jak pomyślałam, że to może z powodu nostalgicznego repertuaru. *Bez ciebie zginę. Bezksiężycowa noc. I chandra.*

Nie pamiętam dokładnie, kiedy uświadomiłam sobie, że nastrój dookoła nas jakoś się zmienił. Skończyliśmy już jeść i po prostu siedzieliśmy, piliśmy, cieszyliśmy się tym wieczorem. Zaczęłam się zastanawiać, czy zdążymy na lot o dziewiątej. Aż spostrzegłam, że atmosfera dookoła nas stała się jakaś ciężka. Spontaniczność gdzieś wyparowała, ludzie zaczęli szeptać, rozglądać się dookoła i potrząsać głowami. Alex też to dostrzegł. Kiedy kelner podszedł, by dolać nam wina, Alex spytał, czy coś się stało.

–Wahadłowiec eksplodował podczas lotu na Rimway – wyjaśnił.

Muszę przyznać, że moja pierwsza myśl nie dotyczyła ofiar, ale nas: otarliśmy się o śmierć. Gdyby nie apetyt Aleksa, jego upodobanie do odwiedzania Karla przy każdej okazji...

Ofiary. Kilka godzin temu spacerowały po hali, ramię w ramię z nami. A ten nieśmiały facecik, Charlie? Czy też był na pokładzie?

Nie przypominam sobie, żeby którekolwiek z nas potem jeszcze coś jadło albo piło. Kelner nie znał szczegółów. Usłyszałam, jak w hali, na zewnątrz, ktoś szlocha. Pamiętam, że wstałam od stolika, a Alex płacił. Wyszliśmy z restauracji oszołomieni.

–Takie rzeczy się zdarzają – powiedziałam.

Obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem i potrząsnął głową. Nie wiem, jak to się stało, ale znalazłam się w jego ramionach.

–Już w porządku – uspokajał mnie.

Przytuliłam się mocniej.

Alex przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

–Co się dzieje? – spytałam.

–Artefakty – powiedział.

Zadzwoił do firmy przewozowej. Tak, było im bardzo przykro, ale skrzynie znajdowały się na pokładzie wahadłowca, który odleciał o szóstej. Ale przecież były ubezpieczone, proszę się nie martwić, panie Benedict.

Ubezpieczone na nominalną kwotę, firma przewozowa odmówiłaby ubezpieczenia ich na ich rzeczywistą wartość albo w ogóle ich przewozu.

**W tym momencie przypomniałam sobie o pudełku z ocalałymi artefaktami. Zostawiałam je przy stoliku. Pobiegnęłam z powrotem, nieomal wpadając na kelnera, który siedł w moim kierunku z zakupami i pudełkiem.**

**Próbowaliśmy skontaktować się z Windy, ale jej SI poinformowała, że prowadzi inną rozmowę i jest bardzo zajęta. Organizuje jutro konferencję.**

**Spytałam, czy wie o katastrofie wahadłowca.**

**–Tak – odparł. – Doktor Yashevik już wie.**

**–Chciałem o coś zapytać odezwał się Alex. Czy w zespole Windy pracuje niejaki Charlie Ewerson?**

**–Nie. Nie zatrudniamy nikogo o tym nazwisku.**

**Przerwałam połączenie. Alex odciągnął mnie na bok i spojrzał z niepokojem na otaczający nas tłum.**

**–Sądzisz, że to my mieliśmy być celem?**

**–A sądzisz, że nie?**

**–Katastrofy nikt nie przeżył – mówiła prezydentka wiadomości. – Nazwisk ofiar jeszcze nie ujawniono, gdyż trwa proces zawiadamiania najbliższych krewnych. – Przekazała głos innemu dziennikarzowi. Bill, masz jakieś nowe informacje?**

**–Laro, przypuszczamy, że to pierwsza katastrofa wahadłowca od ponad stu lat. Poprzednia miała miejsce...**

**Ludzie zbierali się i patrzyli.**

**Alex skontaktował się z ochroną i poinformował, że w katastrofę wahadłowca może być zamieszany pewien człowiek. A ja go uważałam za nieśmiałego...**

**Dwie minuty później pojawiła się koło nas para funkcjonariuszy i zaczęła zadawać mnóstwo pytań. Kiedy już im wszystko opowiedzieliśmy, miny mieli sceptyczne. Ale podziękowali nam, oświadczyli, że wszystko przekażą, komu trzeba, i poprosili o kontakt w razie dalszych pytań. Może dopadną go, zanim opuści stację.**

**–Miejmy nadzieję.**

**Relacja w wiadomościach trwała.**

**–Korporacja Lotniczo-Kosmiczna opublikuje wkrótce oświadczenie...**

**Jakiś mężczyzna obok nas uspokajał dzieci. Kobieta po drugiej stronie hali zemdlała.**

**–...dwadzieścia dwie osoby, w tym pilot... Rozejrzałam się, jakby Charlie mógł czaić się w pobliżu.**

**Zastanawiałam się, czy podejmie drugą próbę zamachu na nasze życie.**

**–...do oceanu. Ekipy ratunkowe przeszukują miejsce katastrofy...**

**Alex otworzył skrzynkę. Przynajmniej tyle ocalało.**

**–Postaraj się o tym nie myśleć powiedział.**

**–...twierdzą, że nikt nie zgłaszał żadnych problemów, Laro. Żadnego SOS. Nic podobnego. Po prostu znikł z ekranów bez ostrzeżenia...**

**Na ekranie pokazywano schemat L 700: z tego modelu wahadłowca korzystano na stacji Skydeck. Jakiś analityk zaczął objaśniać jego zabezpieczenia.**

**Dwóch paramedyków zajęło się kobietą, która upadła. Rozległy się okrzyki: „Uwaga!” i „Proszę zrobić miejsce!”. Wynieśli ją.**

**–...powiedział nam, że to najbezpieczniejszy wahadłowiec we flocie. Był wykorzystywany w całej konfederacji przez ponad sześćdziesiąt lat. Jest to pierwszy...**

**Wyłoniliśmy się z tłumu i zajęliśmy miejsce w pobliżu jednej z bramek. Chyba dopiero teraz zaczęło do nas docierać, co się stało. Dwadzieścia dwie ofiary. Jedna z najgorszych katastrof naszych czasów. Sama nie wiedziałam, co czuję. Wyobrażałam sobie, jak siedzę w kabinie i nagle wylatuję w powietrze.**

**–Nic ci nie jest? – spytał Alex.**

**–Nie, w porządku.**

**Ludzie z ochrony pojawili się ponownie i zabrali nas do centralnego biura, gdzie jeszcze raz opisaliśmy Charliego specjalście od sporządzania portretów.**

**–Wiesz, że kiedyś w takich miejscach umieszczano kamery? – spytał Alex. – Nagrywali wszystko. – Dodał, że parę lat temu sprzedał jakiemuś kolekcjonerowi takie urządzenie.**

**–Może powinni wprowadzić je z powrotem – powiedziałam.**

**Zanim skończyliśmy, minęła dziewiąta. Choć nie wiedzieliśmy nawet, czy następny wahadłowiec w ogóle odleciał.**

# DWADZIEŚCIA DWA

Nic nie jest większym szokiem dla systemu niż morderstwo. Przypomina nam, że nawet w tych stosunkowo cywilizowanych czasach wśród nas nadal są barbarzyńcy.

*Barringer Tate, Cywilizowani do poziomu błędu, 1418*

Rankiem były już dostępne nazwiska pasażerów. Nie byłam zdziwiona, kiedy nie zobaczyłam tam Charliego Eversona.

–Nikt taki u nas nie pracuje – powiedziała Windy, do której zadzwoniłam. – Nawet nie wiedziałam, że wracacie, dopóki nie zadzwoniłaś.

–Wróciliśmy wczoraj.

–Dzięki Bogu, że nie zdążyliście na ten lot. Naprawdę sądzisz, że to był zamach na ciebie i Aleksa?

–To już trzeci raz.

–Boże święty, co się dzieje?

–Alex przypuszcza, że ktoś chce nas wyeliminować i wystąpić z roszczeniem do „Poszukiwacza”.

Rozchmurzyła się.

–Znaleźliście go?

–Tak.

–Opowiedz mi coś o tym. W jakim jest stanie? Gdzie jest? Znaleźliście Margolię?

Zamilkłam na chwile dla większego efektu.

–Byliśmy na orbicie. Wstrzymała oddech.

–Naprawdę? Nie nabierasz mnie?

–Nie, Windy. Byliśmy tam.

Klasnęła w dłonie, krzyknęła „Super!” i zerwała się z krzesła tak dynamicznie, że odniosłam wrażenie, iż zaraz zmaterializuje się w moim biurze.

–Cudownie!

**–Tam jest już tylko dżungla. Nic nie zostało.**

**–Ale to nie szkodzi! Ważne, że ją znaleźliście! Cudownie! Ale jesteście pewni? Skąd wiecie, że nic nie zostało?**

**Wyjaśnienia zajęły mi kilka minut. Kilka kolejnych minęło na omawianiu potencjalnych skutków, jakie to odkrycie może mieć dla społeczności archeologów. Kiedy już rozpromieniła się na dobre, wróciłyśmy do tematu wahadłowca.**

**–Jak wyglądał ten Charlie?**

**Opisałam go. Potrząsnęła głową.**

**–Nic mi to nie mówi.**

**–W takim razie na pewno nic też nie wiesz o tropicielu?**

**–Nie. O czym ty mówisz?**

**–Ktoś próbował nas stuknąć.**

**–To jakieś szaleństwo – odparła.**

**–Owszem. Choć sądzę, że niebezpieczeństwo już minęło, bo wystąpiliśmy o uznanie naszych praw.**

**–Ale mimo to uważajcie. Kiedy wysłaliście wniosek?**

**–Dziś rano.**

**–Jest tam wzmianka o nas?**

**–Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej.**

**–Dziękuję.**

**–Proszę bardzo. Potrzebujemy jeszcze dwóch rzeczy.**

**–Słucham.**

**–Chcemy jak najszybciej ogłosić odkrycie. I narobić jak najwięcej szumu, żeby do wszystkich wariatów dotarło, że sprawa się rozeszła. Tak na wszelki wypadek, gdyby nie śledzili nowości w biurze odkryć. Chcemy, żeby wszyscy się dowiedzieli, że Margolia przeszła im koło nosa.**

**–Dobrze. Zwołam konferencję na jutro. Coś jeszcze mogę dla was zrobić?**

**–Przypuszczam, że Agencja zamierza wysłać misję?**

**–Oczywiście.**

**–Dobrze. Powinniście w takim razie brać się do roboty. Ci ludzie, bez względu na to, kim są, mają przewagę, a tam zostało jeszcze sporo do wygarnięcia.**

**Gdy tylko skończyłam rozmawiać z Windy, zadzwoniłam do Shary.**

**–Słyszałam, co się stało – powiedziała. – Tak dobrze, że was tam nie było.**

**–To nie jedyny taki przypadek, Sharo. Ktoś próbował nas załatwić podczas lotu.**

**–Jak to się mogło stać? – spytała. – Ktoś wiedział, dokąd lecicie?**

**Zawahałam się.**

**–Nikt poza tobą.**

**Zakryła usta dłonią.**

**–Hej – mruknęła – ja nikomu nie powiedziałam.**

**–Właśnie o to chciałam zapytać. Nikt się nie kręcił i nie wypytywał?**

**–Nie. Nikt.**

**–Czy ktoś mógł mieć dostęp do informacji, które nam przekazałaś?**

**Wzięła głęboki oddech.**

**–Pracownicy.**

**–Jacy pracownicy? Kto konkretnie?**

**–Chase, każdy z pracowników administracyjnych agencji mógł się do tego dostać.**

**–Sharo...**

**–Uruchamiałam program w biurze. Wyniki są dostępne.**

**–Dla wszystkich.**

**–Przykro mi, Chase. Nie mówiłaś, że to poufne.**

**–Myślałam, że to oczywiste.**



**–Niespecjalnie. Przykro mi.**

**–Dobrze. Przynajmniej wiemy, co się stało.**

**–Gdybym wiedziała, zabezpieczyłabym wyniki hasłem.**

**–Trudno, stało się.**

**–Nie wiedziałam...**

**Fenn zadzwonił po południu i porozmawiała z nami para detektywów. Powtórzyliśmy to, co powiedzieliśmy pierwszemu zespołowi, a potem powtórzyliśmy to jeszcze raz. Wypytywali, kto chce nas zabić, i sceptycznie podeszli do oświadczenia, że nie wiemy.**

**–Nie chodzi o to, że nie mamy wrogów – wyjaśnił Alex. – Tego w naszej branży nie da się uniknąć. Po prostu nie kojarzę nikogo, kto mógłby posunąć się do morderstwa.**

**–I sądzi pan, że to ktoś, kto szuka tej Margolii?**

**–Tak.**

**–Wygląda na to, że to rzeczywiście okazja wszech czasów. Ekipa składała się z kobiety i mężczyzny. Byli bardzo poważni, „dziękuję pani”, „czy jest pan absolutnie pewien?”. Mężczyzna był niski i przysadzisty, kobieta wysoka i szczupła. Wyglądało na to, że szefem jest mężczyzna.**

**Pokazali nam zdjęcia wszystkich Charliech Eversonów na planecie. Naszego znajomego wśród nich nie było. Pokazali nam też galerię podejrzanych. Tam również go nie znaleźliśmy.**

**–Czy to była bomba? – spytałam.**

**Kobieta skinęła głową.**

**–Tak. – W jej głosie dało się wyczuć jakieś napięcie. Pewnie tłumioną wściekłość. – Trudno uwierzyć – dodała po chwili – że ktoś jest zdolny umieścić bombę w pojeździe pełnym ludzi. Nie wiem, dokąd to wszystko prowadzi.**

**–Wprowadziliśmy wszystkie możliwe środki ostrożności – powiedział mężczyzna.**

**Alex spytał, czy policja ma jakąś hipotezę na temat tego, kto mógł to zrobić.**

**Odparli, że nie mogą udzielać takich informacji.**

**Polecili nam, byśmy uważali i kontaktowali się z nimi, jeśli zauważymy cokolwiek podejrzanego.**

–Proszę nie zakładać, że skoro złożyli państwo wnioski, to są już bezpieczni – powiedziała kobieta. – Prawdopodobnie lepiej byłoby, gdyby państwo nie podróżowali razem. Dopóki z tym nie skończymy.

Nikt nie był szczególnie zainteresowany odkryciem archeologicznym w obliczu katastrofy wahadłowca, ale Windy robiła, co mogła. Zgodnie z obietnicą zorganizowała konferencję prasową i Alex wygłosił oświadczenie. Wystąpił przed jakąś piętnastką pisarzy i dziennikarzy – zwykle pojawiały się koło setki – i oświadczył, że odkryliśmy Margolię.

Pierwszą reakcją był śmiech i pogardliwe prychnięcia. Pewnie żartuje.

Nie.

–Margolia istnieje. Byliśmy tam.

–Czy kolonia przetrwała? – spytał ktoś, wywołując kolejną falę śmiechu.

–Nie. Nie ma tam nic oprócz dżungli.

–Jest pan pewien? – Zaczęli cichnąć. – To na pewno właściwe miejsce?

–Tak – odparł Alex. – Nie ulega wątpliwości. Przeszedł do opisywania, co widzieliśmy, i opowiadał o naszych przypuszczeniach na temat tego, co się stało. Prawdopodobnie zbłąkana gwiazda.

Publiczność zadawała mu pytania przez ponad godzinę. Jak długo istniała kolonia przed katastrofą? Co czuł, wchodząc na pokład „Poszukiwacza”. Jak się pisze tę nazwę? Jak duża była naszym zdaniem populacja Margolii, kiedy doszło do katastrofy? Czy ktoś zamierza tam polecieć? Jak doszło do odkrycia?

Alex był przygotowany na to ostatnie pytanie.

–Muszę wyznać, że tak naprawdę to nie Chase i ja dokonaliśmy tego odkrycia. „Poszukiwacza” znaleźli Adam i Margaret Wescottowie, prawie czterdzieści lat temu. Była to misja zorganizowana przez Agencję; niestety, kiedy odkrywcy wrócili i zastanawiali się nad znaczeniem swojego odkrycia, zginęli podczas trzęsienia ziemi.

W tym momencie oczywiście publiczność chciała zadać mnóstwo pytań, ale Alex zignorował je.

–Na szczęście przywieźli z „Poszukiwacza” kubek, który naprowadził nas na trop statku.

Kiedy opisywał, jak znaleźliśmy wrak, zapadła na chwilę cisza.

Nie wspominał o trzech skrzyniach z bezcennymi artefaktami, które przetrwały dziewięć tysięcy lat w pobliżu Tinicum, żeby spłonąć w katastrofie wahadłowca.

Nie zdążyliśmy jeszcze wyjść z budynku, kiedy dowiedzieliśmy się, że Casmir Kolchevsky wydał oświadczenie, w którym opisywał nasze działania jako świętokradzwo. Był wstrząśnięty i proponował rozpoczęcie pracy nad ustawą, która „uniemożliwi wandalom i złodziejom dorabianie się na plądrowaniu grobów”.

W drodze powrotnej skontaktowała się z nami Jennifer Cabot, gospodyni programu „Śniadanie z Jennifer”.

–Aleksie, chciałam tylko poinformować, że Casmir wystąpi u mnie jutro. Będzie mówił o Margolii. Pewnie chciałbyś jakoś zareagować.

Casmir. Jej kumpel. Nawet nie próbowała ukrywać, po czyjej jest stronie.

Wynurzyliśmy się z głównego strumienia ruchu i pędziliśmy w stronę nowo zbudowanych domów i pasaży, które znajdowały się na miejscu starego lasu na wschód od Andiquaru. Alex zrobił taką minę jak wtedy, gdy widzi wlatującego do domu owada.

–O której godzinie mam się pojawić? – spytał.

Kiedy wróciliśmy do biura, zapytałam, czy mam mu pomóc w przygotowaniu się do debaty.

–Poradzę sobie – odparł. – Jakoś to będzie. Weź sobie wolne na resztę dnia. Zasłużyłaś na to.

Brzmiało nieźle, ale było zbyt dużo rzeczy do zrobienia. Pojawiliśmy się w najważniejszej informacji dnia i dzwoniłi klienci z całego świata, a każdy z nich myślał, że zaproponujemy mu całą stertę artefaktów. A mieliśmy pięć: trzy kubki, talerzyk i tabliczkę informującą o Abudai.

Otrzymaliśmy także ponad dwadzieścia próśb o udzielenie wywiadu. Taka okazja mogła się prędko nie powtórzyć, więc zamierzaliśmy ją wykorzystać.

Tego wieczora postanowiłam poświęcić parę minut, by porozmawiać z Harrym i poinformować go o najnowszych wydarzeniach. Powinno się tak robić z awatarami, wtedy kolejne rozmawiające z nimi osoby będą miały łatwiejsze zadanie. Niestety, mało kto się tym przejmuje.

Zwykle ja też nie zadawałam sobie trudu. Ale tym razem musiałam.

Powiedziałam mu, że szykuje się następna ekspedycja.

–Chase – rzekł – czy mogę cię prosić o przysługę?

–Pewnie – odparł.

–Gdyby komuś udało się dowiedzieć, co się stało z. Samantha i dziećmi, daj mi znać.

W porządku. To jest głupie. Wiedziałam, że nie pamięta ich, nigdy ich nie znał, nie wie nawet,

**jak wyglądali. To tylko oprogramowanie tak działa.**

**A może ja tak działałam. Postanowiłam, że sprawdzę, czego można się dowiedzieć.**

**Zadzwońłam do Sheparda Marquarda, na wydział zabytków ziemskich na Barcross.**

**–Chciałabym pogadać o Harrym Williamsie, Shep.**

**–Dobrze – odparł. – Ale przede wszystkim gratulacje. Oglądałem konferencję prasową. Niezłe osiągnięcie.**

**–Dzięki.**

**–Szkoda, że nie mogę być z wami. To wielka sprawa. – Odchrząknął. – Nie ma zbyt wielu informacji o Williamsie. Czego szukasz?**

**–Czegoś o jego rodzinie. Ile wiemy o jego najbliższej rodzinie?**

**–A miał jakąś?**

**–Żonę i dwóch synów.**

**–Dobrze. – Opuścił wzrok i spojrzał na coś z prawej strony. – Już szukam. – Zmarszczył brwi, potrząsnął parę razy głową, wpatrzył się w coś, położył palec wskazujący na ustach i wreszcie uniósł wzrok. – Jego żona miała na imię Samantha. I rzeczywiście, miał dwóch synów.**

**–Harry'ego juniora i...**

**–...Thomasa. Thomas był młodszy. Miał jakieś pięć lat, kiedy wyruszyli.**

**–Co jeszcze masz?**

**–Nic więcej.**

**–Nie możesz sprawdzić, czy nie ma czegoś offline?**

**–A możesz się wybrać ze mną na kolację? Będę jutro w mieście. Przypadkiem.**

**–Pewnie, Shep. Chętnie.**

**–Skontaktuję się z tobą.**

# DWADZIEŚCIA TRZY

*W uznaniu wyjątkowych osiągnięć w służbie ludzkości.*

Inskrypcja na statuetce Nagrody Człowieka Roku,

przyznawanej przez Agencję

Shep pojawił się w biurze Rainbow elegancko ubrany i z miną gwiazdy wieczoru. Przyniósł kość z danymi i parę książek.

–Mam trochę informacji na temat Samanthy – oznajmił. – I pomyślałem, że pewnie chciałabyś zobaczyć start „Poszukiwacza”.

–Masz coś takiego? – spytałam.

Uniósł kość na dłoni.

–Nagranie holograficzne – wyjaśnił. – Rekonstrukcja. Z 27 grudnia 2688 roku.

Bardzo chciałam je zobaczyć, ale potrząsnął głową.

–Najpierw kolacja.

–Nie możemy teraz szybko rzucić okiem?

–Nie, bo wtedy ty musiałabyś mnie zaprosić.

–Shep, w biurze mamy lepszy sprzęt.

Uśmiechnął się. Był to piękny, wyrazisty, niemający niczego do ukrycia uśmiech.

–Wątpię.

Zjedliśmy w „Werandzie Światła”, a potem pojechaliśmy do mnie.

Oglądaliśmy kolonistów maszerujących wąskimi korytarzami starożytnej stacji kosmicznej. „Poszukiwacz” był za duży, żeby gdziekolwiek zacumować, więc pasażerów przewożono wahadłowcem, partiami. Z tego, co mówił narrator, wynikało, że przewiezienie prawie dziewięciuset osób na orbitę i na pokład trwało nieomal tydzień. Pasażerowie prezentowali pełną rozpiętość wiekową. Przypuszczałam, że będą tam sami młodzi ludzie, ale okazało się, że nie. I było mnóstwo dzieci. Niektóre niosły baloniki i goniły się po pokładzie, inne płakały. Pewnie nie chciały opuszczać domu.

Reporter przeprowadzał wywiady. Wszystko było tłumaczone na język standardowy. Ruszali

na nowe pogranicze, jak mówili, i mieli nadzieję na lepsze życie. Zdziwiłam się, gdy usłyszałam, że planowano utrzymywanie stosunków między kolonią a ojczystą planetą. „Kiedy już się jakoś urządzimy”. „Urządzimy się” było najczęściej przewijającą się frazą.

Wcześniej miałam wrażenie, że koloniści wywodzili się z zamożniejszych warstw społecznych. Że byli to ludzie majątni. Ale ci na nagraniu wyglądali dość zwyczajnie.

Chyba zabrakło odprowadzających, którzy życzyliby im szczęścia. Przypuszczałam, że ten smutny fakt wziął się stąd, iż lot na stację musiał być znacznie bardziej kosztowny niż dziś. Pożegnania musiały odbyć się jeszcze na Ziemi. A mimo to w tym ostatecznym opuszczeniu planety było coś samotnego i smutnego.

Na siedzeniu zostawiono wizytówkę. Nie byłam w stanie jej odczytać, ale translator poinformował, że napisano na niej „Margolia albo pierś”.

To nie miało sensu. I do dziś nie ma.

Kilku ostatnich pasażerów weszło na wąską rampę i wkroczyło na pokład wahadłowca. Luki zamknęły się i wahadłowiec odleciał, a korespondent mówił coś o nowych pionierach.

Potem znaleźliśmy się w pokoju z kominkiem, gdzie kilka osób dyskutowało o „znaczeniu tego wydarzenia”. Większości z nich kojarzyło się ono z czymś ponurym i przekłętym. Koloniści byli malkontentami. Kwestionowano ich zdrowy rozsądek, jak również patriotyzm, motywy, a nawet moralność. Stawiali swoich bliskich w trudnej sytuacji. Nie popierali rządu, któremu winni byli wdzięczność i posłuszeństwo. „Żał mi tych dzieci” – mówił ktoś.

Po kilku minutach znaleźliśmy się z powrotem na stacji kosmicznej i patrzyliśmy na „Poszukiwacza” przez ścienny iluminator. Statek był połączony z modułami zaopatrzenia. Prowadziły do niego przewody: elektryczny i paliwowy. Wahadłowiec właśnie oderwał się od śluzy i rozpoczął drogę powrotną.

Znów pojawił się korespondent.

–Największa w dziejach ludzkości grupa kolonistów weszła na pokład i jest gotowa do startu. A to dopiero część pierwszej fali. Na tę samą planetę, gdziekolwiek ona jest, pod koniec przyszłego miesiąca odleci „Bremerhaven”.

Odrzucono przewody i liny. Uruchomiono silniki sterujące i gigantyczny statek zaczął się oddalać.

–Za cztery dni – mówił dalej głos zza kadru – „Poszukiwacz” zanurzy się w tajemniczych otchłaniach nadprzestrzeni. A za dziesięć miesięcy, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, koloniści znajdą się na planecie, która stanie się ich nowym domem. Zaś za dwa lata „Poszukiwacz” powróci po następną partię kolonistów.

Korespondent znajdował się na stacji. Miał siwe włosy. Był przejęty, zatroskany, melodramatyczny. Za nim widać było pustą halę.

–Przewodniczący Hoskim wydał dziś rano oświadczenie, w którym wyraził nadzieję, że odlatującym poszczęści się w nowym przedsięwzięciu. zaproponował udzielenie pomocy, gdyby koloniści jej potrzebowali. Przyznał, że odległości, z jakimi wiąże się ta wyprawa, mogą stanowić pewien problem. Inni pracownicy administracji, którzy odmówili podania nazwiska, są zdania, że republika doskonale poradzi sobie bez kolonistów. Cytuję: „Ci ludzie byliby wiecznie niezadowoleni, dopóki nie narzuciliby całej reszcie swojej bezbożnej ideologii”.

–Dziś wieczorem Howard Petrovna będzie gościem w programie Lucii Brent, w którym będziemy dyskutować o tym, czy koloniści są w stanie przetrwać.

–Sabrino, oddaję głos do studia – powiedział korespondent. – Mówił Ernst Maindorf, będący świadkiem startu „Poszukiwacza”.

Jedną z książek była niechętną bohaterce biografią piosenkarki imieniem Amelia, która najwyraźniej była znana w tamtych czasach. Związała swój los z Margolianami i znalazła się w pierwszej fali. Musiała być wśród ludzi, których oglądałam. Zrezygnowała z intratnej kariery i najwyraźniej z tego powodu stała się legendą. Wiele lat później widywano ją w różnych miejscach globu, jakby wcale go nie opuściła.

Jej biograf odrzucał tę możliwość i przedstawiał ją jako pupilkę tych, którzy uważali, że społeczeństwo stało się represyjne. Cytowano jej wypowiedzi: „Rząd zapewnia wszystkim godziwe warunki życia i przyzwoite dochody. A my poddaliśmy się jego nakazom. Nie żyjemy już, wegetujemy. Korzystamy z rozrywek, udajemy, że jesteśmy szczęśliwi, i czerpiemy satysfakcję z naszej pobożności i moralnej wyższości nad resztą świata”. Biograf twierdził jednak, że porzuciła słuszną sprawę i „uciekła w mrok z Harrym Williamsem i jemu podobnymi”. Jego zdaniem był to akt tchórzostwa, lecz całkowicie zrozumiała. Zastanawiałam się, czy on chętnie przeciwstawiłby się przewodniczącemu Hoskinowi.

–To mało prawdopodobne rzekł Shep. – Ludzie wtedy znikali. Czasem wracali, będąc kimś innym. A czasem nie wracali wcale. Jeśli ktoś wszczywał awanturę, narażał się na kłopoty.

Piosenkarkę kilkakrotnie pozbawiono wolności, zwykle za coś, co określano jako „podżeganie do niezadowolenia”.

Autor, który żył sto lat później, w znacznie lepszych czasach, twierdził, że Amelię chciano poddać reorganizacji osobowości, ale była zbyt znana i wiązałyby się to z pewnymi niedogodnościami politycznymi.

Biografia kończyła się opuszczeniem przez Amelię Ziemi na pokładzie „Poszukiwacza”.

Druga książka nosiła tytuł „Wielkie migracje” i napisano ją na początku czwartego tysiąclecia. Omawiała akcje kolonizacyjne podejmowane przez różne niezadowolone grupy na

przestrzeni trzystu lat. Autor wyjaśniał motywację każdej grupy, przedstawiał portrety jej liderów i opisywał historię powstałych w wyniku ich działań kolonii, z których żadna nie przetrwała.

Kilka fal emigracyjnych było większych niż akcja margoliańska, ale trwały dłużej. Margolianie byli czymś niezwykłym, bo wszystko przygotowano w tajemnicy, a kolonia z założenia miała być niezależna od jakichkolwiek ziemskich sił politycznych.

W książce zamieszczono zdjęcie Samantha i Harry'ego. Kobieta siedziała na koniu, zaś Harry stał obok, trzymając lejce i patrząc na nią. Podpis brzmiał: „Przywódca kultu, Harry Williams, ze swoją narzeczoną Samantha Alvarez, na farmie jej rodziców w pobliżu Wilmington, stan Delaware, czerwiec 2679 r.”. Dziewięć lat przed wylotem pierwszej fali. Miała jakieś dwadzieścia lat. Śmiała się, stojąc w strzemionach. Była znacznie niższa od Harry'ego, miała kasztanowe włosy do ramion. Ładna była. Mogła przebierać pośród facetów.

Nie było tam dużo więcej informacji ani o niej, ani o Margolianach. Autor książki wyrażał się z sympatią o różnych działaniach rządu zmierzających do udobruchania niezadowolonych. Twierdził, że na najwyższym poziomie rządu przejawiano dużą troskę o kolonistów, którzy „byli tak daleko od domu”, „musieli radzić sobie sami” i „znajdowali się w rękach przywódców, którzy mieli dobre zamiary, ale byli nieodpowiedzialni”.

Wspominał, że rząd podejmował różne wysiłki zmierzające do uspokojenia buntowników, choć prawdopodobnie były to głównie obietnice niewnoszenia oskarżeń. Zarzuty, jakie stawiano Williamsowi i jego kompanom, zwykle obejmowały „zakłócanie porządku publicznego”. Więziono go dwa razy.

–Nie znalazłem niczego o synach.

–Trudno. Mamy przynajmniej zdjęcie Samantha.

–Była śliczna.

–Owszem.

–Jak ty, Chase.

Większość facetów ma zwykle problemy z wyłączeniem światła w obcym mieszkaniu. Pokazałam mu, jak to zrobić.

Następnego wieczora Alex i ja spotkaliśmy się z Windy, na jej zaproszenie i na koszt Agencji, w Parkwood, w eleganckim klubie wiejskim nad rzeką. Jakoś nigdy nie czuję się komfortowo w takich miejscach. Są jakieś sztywne i formalne. I zawsze odnoszę wrażenie, że ludzie są tam zbyt zajęci wchłanianiem wrażeń (albo wywieraniem wrażenia), by dobrze się bawić. Windy, zawsze punktualna, była tam przed nami.



–Cieszę się, że was widzę – odezwała się, gdy weszliśmy. – Muszę wam powiedzieć, że twoja akcja zrobiła na ludziach Agencji ogromne wrażenie, Aleksie.

–Dziękuję – odparł.

–Mam dla ciebie nowiny. – Alex nadstawił uszu. – Dostaniesz nagrodę dla Człowieka Roku. Na dorocznej ceremonii.

Alex promieniał.

–Dzięki, że mi powiedziałaś.

–Będzie niezła gala. Jedenastego. Dasz radę przyjechać?

–Jasne. Nie przegapiłbym takiej okazji.

–Dobrze. I oczywiście nie muszę wam przypominać, że to na razie poufna wiadomość. Ogłosimy ją dopiero pod koniec tygodnia.

–Jasne.

Pojawiły się nasze drinki i wznieśliśmy toast za Człowieka Roku. Potem mówiliśmy niewiele, jeśli wziąć pod uwagę ostatnie wydarzenia. Może informacja, że z Margolii została tylko dżungla, tak zmartwiła Windy. A może planowała skorzystać z okazji i tego wieczora negocjować prawa Agencji do znaleziska. Nadal czekaliśmy na zamówione dania, kiedy pojawił się dyrektor operacyjny i udał, że jest zaskoczony naszym widokiem.

–Dobra robota, Aleksie. – Był niskim człowieczkiem i dużo machał rękami. – Bardzo chciałbym polecieć tam z wami.

Spojrzałam na Aleksa. Czy powiedział komuś, że zamierzamy tam wracać? Zinterpretował poprawnie mój wyraz twarzy i pokręcił głową. Nie.

A potem weszła Jean Webber z zarządu.

–Postawimy ci pomnik w Skalnym Ogrodzie, Aleksie. Po takim odkryciu powinieneś się tam znaleźć.

Skalny Ogród był galerią sław Agencji. Między kwitnącymi drzewami i szemrzącymi fontannami umieszczano tam tablice i pomniki upamiętniające wielkich odkrywców. Honory te zawsze jednak były pośmiertne.

Alex uwielbiał odgrywać rolę człowieka, na którego zaszczyty nie mają wpływu. Lubił powtarzać, że liczy się dla niego tylko jedno: świadomość, że jego wysiłki na coś się przydały. Oczywiście nie była to prawda. Uwielbiał to zamieszanie, jak każdy. Był zachwycony, kiedy spadł na niego poklask po aferze z Christopherem Simem. Bardzo dotknęła go czyjaś opinia, że

jego odkrycie przyniosło ze sobą więcej szkody niż pożytku i należało zostawić wszystko w spokoju.

Nie miałam problemu, żeby wyobrazić sobie Aleksa, jak z postawionym kołnierzem przemyka do groty, żeby podziwiać swój pomnik, choć teraz upierał się, że to jakiś absurd.

Przyniesiono dania, rybę dla Aleksa i Windy, jakieś danie owocowe dla mnie. Wino lalo się strumieniami i zaczęłam się zastanawiać, czy Windy przypadkiem nie próbuje nas zmiękczać. Wieczór rozwijał się całkiem przyjemnie.

Aż pojawił się Louis Ponzio. Dyrektor Agencji, którego Alex serdecznie nie znosił. Aleksowi zwykle udaje się ukrywać uczucia wobec ludzi, zarówno pozytywne, jak i negatywne. Wyglądało jednak na to, że w tym przypadku nie jest to takie łatwe. Ponzio był nadęty, mówił piskliwym głosem i cały czas był nienaturalnie rozradowany. Alex kiedyś powiedział, że to taki rodzaj typa, którego inne dzieci dręczyły w szkolnych czasach. Ponzio nigdy się tym jednak nie przejmował.

–Dobra robota, Aleksie – rzekł, poklepując go po ramieniu. – Doskonale się spisałeś.

–Dziękuję. Mieliśmy trochę szczęścia.

Ponzio spojrzał na mnie, spróbował przypomnieć sobie, jak mam na imię, zrezygnował i błagalnie spojrzał na Windy. Zrozumiała, o co mu chodzi.

–Doktorze Ponzio, na pewno pamięta pan Chase Kolpath, współpracownicę Aleksa.

–Ależ oczywiście – odparł. – Jak mógłbym zapomnieć o kimś tak uroczym?

Rzeczywiście, jak mógłby?

Nie został długo. Nie opracowaliśmy jeszcze wszystkich szczegółów dotyczących przeniesienia praw do „Poszukiwacza” i Margolii. Pewnie był na tyle inteligentny, by wiedzieć, że Agencja najwięcej zyska, jeśli on będzie się trzymał od wszystkiego z daleka i pozwoli działać Windy.

Bo tak się istotnie stało. Przez cały wieczór Windy negocjowała prawa do pozyskiwania artefaktów z „Poszukiwacza” i Margolii. Alex zachował prawo do jeszcze jednej wyprawy i zabrania kolejnych artefaktów, choć zgodził się na limity.

Windy robiła notatki, piła wino, jadła rybę – wszystko naraz. Z mnóstwem teatralnych gestów.

–Doskonale – powiedziała, kiedy skończyliśmy. – Jeszcze jedno. Zamierzamy zorganizować tę ekspedycję jak najprędzej. Chcielibyśmy, żebyście usiedli z naszymi ludźmi, którzy ją organizują, i w miarę możliwości pomogli im.

**–Jasne – odparł Alex. – Z przyjemnością.**

**–Aleksie?**

**–Tak?**

**–Wiem, że nie całkiem wyszło to tak, jak chcieliście. Ale plony będą wspaniałe. To bardzo ważne znalezisko. Bez względu na to, co się dalej stanie, znajdziecie się w jednym szeregu ze Schliemannem, Matsui i McMillanem.**

# DWADZIEŚCIA CZTERY

Nauki ściśle zawsze pomijały jeden istotny element. Uczni marzyli o świecie wypełnionym fluktuacjami kwantowymi, gumowymi wymiarami i ludźmi, w przypadku których nie można rozstrzygnąć czy są żywi, czy martwi. Ale tak naprawdę liczy się tylko to, co postrzegamy.

*Leona Brachtberg, Ostatnia kobieta na posterunku, 1400*

Przez prawie dwa dni Alex był na ustach całego miasta. Wystąpił w „Śniadaniu z Jennifer”, „Programie codziennym” i „Joe Leonard i spółka”. Sławy akademickie pojawiały się wszędzie, by prawić mu komplementy i objaśniać znaczenie jego odkrycia. Alex stawiał czoło Kolchevsky’emu w „Śniadaniu z Jennifer”, a potem w „Raporcie Dumasa”, wymieniając odkrycia, jakich dokonał na przestrzeni lat, a Kolchevsky nazwał go hieną cmentarną.

Drugiego dnia ktoś na północnym wybrzeżu został oskarżony o zamordowanie żony i wyrzucenie jej ciała z małej łódki, więc historia Margolii zeszła na dalszy plan.

Rola zwycięzcy bardzo Aleksowi odpowiadała, okazał więc nawet życzliwość Kolchevsky’emu.

–On tylko broni tego, w co wierzy – wyjaśnił mi. – Trudno mieć do niego o to pretensje.

Wysłał mu wiadomość, gratulując wspaniałego występu. Z kamienną twarzą upierał się, że się nie nabija.

Mieliśmy tylko jeden nieprzyjemny moment, kiedy Ollie Bolton stanął po naszej stronie.

Podczas rozmowy w programie „W głąb wiadomości” oświadczył, że jest dumny z tego, iż zna Aleksa Benedicta.

–Alex i ja jesteśmy bliskimi przyjaciółmi – oświadczył. – Zawsze był oddany służbie społeczności. Jeśli on popełnił jakiś czyn niegodny, to samo można powiedzieć o mnie. Jeśli wykroczył poza obowiązujące prawo i zasłużył sobie na pogardliwą opinię, ja posunąłem się jeszcze dalej.

–Świątoszkowaty dupek – mruknął Alex.

–Alex Benedict ma rację – mówił dalej Ollie. – Gdyby nie ludzie tacy jak on, wiele tych wspomnień przeszłości unosiłoby się w próżni przez wieki. A niektóre pewnie nigdy nie zostałyby odnalezione.

W dniu, kiedy media opanowało „morderstwo z północnego wybrzeża”, pogoda wreszcie się poprawiła i przyszła wiosna. Ptaki śpiewały, wszystko zaczęło kwitnąć, a zasłonami poruszał pachnący wiatr.

**Windy zadzwoniła do Aleksa, by dołączyć do pochodu pochlebców.**

**–Prawie mnie przekonałeś, że przydałoby się nam więcej handlarzy antykami – powiedziała. – Możesz potraktować to jako uczciwą, choć niechętnie wyrażoną pochwałę.**

**–Dziękuję.**

**–Jest jeszcze coś, o czym chciałam wspomnieć. W biurze dużo mówi się o tym, że przydałbyś się nam jako konsultant. Jesteś zainteresowany?**

**Zastanowił się.**

**–Windy – rzekł wreszcie – wiesz, że zawsze możesz mnie poprosić, o co tylko chcesz, a ja zrobię, co będę mógł, ale nie sądzę, żebyśmy musieli to ujmować w jakimś kontrakcie.**

**Na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.**

**–I nie ma nic, co mogłoby cię przekonać?**

**–Nie. Wybacz. Ale dziękuję.**

**–Przypuszczałam, że tak właśnie powiesz. Posłuchaj jednak przez chwilę. Zatrudnilibyśmy was oboje. Dostawalibyście stałe wynagrodzenie, nie musieli poświęcać na to dużo czasu i mielibyście poczucie satysfakcji z tego, że przyczyniacie się do czegoś ważnego. A my uwiarygodnialibyśmy waszą ofertę. Mielibyście przykrywkę.**

**–I w ten sposób Agencja przejęłaby kontrolę nad firmą.**

**–Aleksie, wszyscy będą z tego czerpać korzyści.**

**–Doceniam twoją propozycję, ale...**

**Zadzwonił także Bolton.**

**–Od jakiegoś czasu próbuję was dopaść – powiedział.**

**–Margolia, co za wspaniałe osiągnięcie. Czy ktokolwiek kiedyś doła was pobić?**

**Wyglądał na szczerze zachwyconego, jakby w ogóle nie był zazdrosny.**

**–Dziękuję, Ollie – odparł Alex obojętnym tonem.**

**–Szkoda, że mnie z wami nie było.**

**Alex nie był w stanie całkowicie ukryć potępienia.**

–Albo przed nami.

–Och, tak, nie zaprzeczę. Tak czy inaczej, wysłałem wam skrzynkę najlepszego wina z Kornotu. Przyjmijcie je wraz z moimi gratulacjami.

–Wiesz – powiedział Alex, kiedy skończył rozmowę – kiedy go słucham, czasem przychodzi mi do głowy, że Windy ma rację i my wszyscy jesteśmy złodziejami.

–Cóż, Aleksie, mam wrażenie, że on istotnie nim jest.

–Tak. – Postukał palcami w podłokietnik. – Cóż, może nadszedł czas, żeby doktor Bolton zapłacił za Gideona V.

Trzy dni później zjawiłam się w biurze Windy z pakietem dokumentów.

–Wiesz, co to są medaliony z Blackmoor?

–Oczywiście. – Zaczerpnęła powietrza. – Chyba nie chcesz, powiedzieć, że właśnie teraz je znaleźliście?

–Nie – odparłam. – Ale chciałabym zasugerować Olliemu Boltonowi, że jesteśmy na tropie.

Położyłam dokumenty na jej biurku. W pierwszym napisano, że z daniem Aleksa znajdują się na pokładzie liczącego trzysta lat imperialnego okrętu wojennego „Baluster”.

Zrobiła niepewną minę, po czym uśmiechnęła się.

–A gdzie on się znajduje?

–Na orbicie olbrzyma o nazwie Palea Bengatta. Statek został uszkodzony podczas walki i po prostu go tam zostawiono. Chciałabym, żeby ta informacja dotarła do pani dyrektor. Do tej kobiety, którą podejrzewamy o przekazywanie informacji Olliemu. Nadal tu pracuje?

–Tak. Nic jej jeszcze nie powiedzieliśmy.

–Dobrze. I przez jakiś czas nie mówcie.

Spojrzała na raport.

–Palea Bengatta? Gdzie to jest?

–Po drugiej stronie obszaru należącego do Konfederacji. W kierunku Ramienia Perseusza.

–Rozumiem.

–To po prostu wrak. Jest ich tam kilka. Zostały po wojnach domowych na Morindzie.

–Więc w czym rzecz?

–„Baluster” to krążownik. Znalezienie go potrwa miesiące. Może lata.

–A macie jakiś pomysł, w jaki sposób te medaliony mogły się tam dostać?

–Wszystko wyjaśniono w przypisach – odparłam. – Szaleństwo władzy.

–I sądzisz, że Bolton to kupi?

–Sądzę, że nie zdoła się oprzeć.

Alex dołączył tam różne dokumenty, autentyczne (wszystkie, jakie znalazł) i sfalszowane: protokoły strat, kopie rozkazów floty, prywatne listy.

–Jedna z opowieści głosi, że pracownik administracji uciekł okrętem wojennym z medalionami, kiedy wszystko zaczęło się sypać. – Wzruszyłam ramionami. – Kto wie, jak było naprawdę?

–Wiecie co, wy jesteście jednak niesamowici.

W dokumentach wspomniano też o planach Rainbow: własna ekspedycja, start za pięć tygodni, gdy tylko ogarniemy najpilniejsze sprawy. Podano tam źródła: wszystkie wyglądały na wiarygodne.

–Zajmę się tym – rzekła.

–Dzięki.

–Nie ma za co. Miło będzie zobaczyć tryumfującą sprawiedliwość. Mam nadzieję, że się uda. A przy okazji, misja margoliańska startuje za tydzień. Mam nadzieję, że ty i Alex pojawicie się na ceremonii pożegnalnej.

–Oczywiście.

–Może Alex chciałby wygłosić małe przemówienie.

Impreza odbyła się w nowo wzniesionej Sali Piersona w kompleksie budynków Agencji. Ponzio oczywiście tam był, w towarzystwie paru polityków. I zespołu badawczego. Było ich dwanaścioro i mieli polecieć dwoma statkami. Po dwóch stronach sali unosiły się hologramy statków „Exeter” i „Gonzalez”. Kiedyś zdarzyło mi się pilotować „Exeter”. Od tego czasu przebudowano go, wyposażając w najnowsze czujniki. „Gonzalez” był wypełniony sprzętem archeologicznym.

Z tej okazji Alex włożył najlepszy, granatowy garnitur, białą koszulę i srebrne spinki. Windy przedstawiła nas gościom.

**–Nie uwierzycie, jak wam powiem, co tu się działo – powiedziała. – Istny cyrk.**

**Hostessy roznosiły przekąski i napoje, a gdy tylko pojawili się wszyscy naukowcy, przeszliśmy do sali konferencyjnej. Na podium pojawił się ktoś, kto wyglądał, jakby był kimś ważnym, i przedstawił Aleksa jako „dżentelmena, który dokonał tego wielkiego odkrycia”.**

**Publiczność obdarzyła Aleksa entuzjastycznymi oklaskami. Alex przedstawił mnie, oświadczył, że beze mnie by tego nie dokonał, i tak dalej. Zgromadzeni zaczęli wykręcać głowy w moją stronę, wstałam, też zaczęli mnie oklaskiwać. Alex opowiedział, jak przebiegała misja, nakreślił aspekty ewentualnych odkryć, które byłyby szczególnie istotne (takich jak znalezienie stacji naziemnej na Margolii, która powinna znajdować się gdzieś w okolicach równika), pokazał parę zdjęć i poprosił o pytania. Pierwsze dotyczyło kwestii nawigacyjnych, więc przekazał je mnie.**

**Kiedy skończyli go przepytować, życzył wszystkim powodzenia i usiadł. Człowiek wyglądający na szefa wrócił na podium. Wygłosił parę krótkich komentarzy, podziękował wszystkim za przybycie i ogłosił koniec spotkania. Potem dowiedziałam się, że był to Emil Brankow szef grupy naukowców i lider zespołu.**

**Gdy maszerowaliśmy w kierunku głównej sali, Alex powiedział mi, że chciałby zbadać, dlaczego eksplodowały silniki „Poszukiwacza”.**

**–Chciałbym się dowiedzieć, czy zgadza się to z datą 2745.**

**–Kiedy orbity były blisko.**

**–Tak. Sądysz, że trudno będzie to określić? Datę awarii silników?**

**–Jeśli będzie tam ktoś obeznany z budową silników na statkach w tym okresie, to powinno dać się zrobić. Statki mają różne zegary i czasomierze. Pewnie wtedy też miały. Wystarczy sprawdzić, kiedy silniki przestały pracować. – Zauważyłam, że jeden z młodszych członków zespołu przygląda mi się z zainteresowaniem. – A czemu cię to interesuje?**

**–Sam nie wiem. Może ciągle mam nadzieję, że coś jeszcze złowię. – W jego oczach pojawił się dziwny wyraz. – Nie wiem, co to jest. Mam wrażenie, że coś nie gra. I jesteśmy im coś winni. Choćby dotarcie do prawdy.**

**–Aleksie, to było tysiące lat temu. Dowiedzieliśmy się, że z misją leci specjalista od technologii nadświetlnych. Nazywał się Spike Numitsu. Starszy facet z długim nosem i intensywnymi, błękitnymi oczami. Alex dopadł go i spytał, czy będzie w stanie ustalić datę awarii.**

**–Prawdopodobnie tak – odparł. – Dam znać.**

**–Nie przychodzi mi do głowy, czemu to miałoby mieć jakiegokolwiek znaczenie – powiedziałam.**



**–Wiem. – Alex patrzył na coś daleko stąd. – Ale chciałbym się dowiedzieć, dlaczego „Bremerhaven” został uwolniony. I dlaczego te orbity nie pasują.**

# DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Przyszły morderca był wyjątkowo wredny, planując uczynek, zanim skończył jeść obiad z ofiarą.

*Etyka Barringtona, wydanie trzecie, 1411*

Misja Agencji wyruszyła zgodnie z planem, a kilka dni później zaczęliśmy otrzymywać raporty z obu statków. Spike i jego zespół byli najwyraźniej mniej poruszeni tym wszystkim niż ja i Alex. Mówili o obecności zmumifikowanych szczątków tak, jakby to był jeszcze jeden wynik, który należało zarejestrować i zarchiwizować.

Tymczasem „Gonzalez” wszedł na orbitę pokrytej dżunglą planety i przeprowadził badania, po czym ogłosił, że skanery wykryły ruiny. Wszystko pokryła dżungla, ale coś tam było. Mieliśmy potwierdzenie. To była Margolia. Tej nocy zaprosiliśmy przyjaciół i świętowaliśmy do rana.

Windy poinformowała nas, że raport o medalionach, jak go określała, został przekazany odpowiedniej osobie. (Oczywiście mieliśmy nadzieję, że jest zamieszana w spisek). Tak czy inaczej, podejrzany element miał dostęp do raportu, więc mogliśmy już tylko czekać, aż Ollie Bolton spakuje walizki i ruszy na drugi koniec przestrzeni należącej do Konfederacji. Nikt już nie podejmował zamachów na nasze życie.

Alex oświadczył, że jest wykończony, uznał, że należą mu się wakacje, i ruszył na Wyspy Guajalla.

–Pilnuj interesu i nie dzwoń do mnie – zapowiedział.

I dlatego byłam sama w biurze, kiedy zadzwonił Bolton. O mało nie zapytałam go, co tu jeszcze robi.

–Chciałem rozmawiać z Aleksem – oznajmił.

Patrząc na niego, zawsze odnosiło się wrażenie, że jest szczery i bezbronny. Musiałam zmagać się ze sobą, żeby go nie lubić.

–Nie ma go – odparłam. – Jest na wakacjach.

–Gdzie?

–Mam jednoznaczne polecenie, żeby nie ujawniać miejsca jego pobytu.

–A możesz się z nim skontaktować?

–Nie.

**Dał mi do zrozumienia, że wie: skłamałam.**

**–A kiedy wraca? Tyle chyba możesz mi zdradzić?**

**–Za tydzień.**

**–Chase...**

**–Przekazać coś?**

**–Chyba raczej wy mi coś przekazaliście.**

**Wziął jakąś kartkę, przyjrzał jej się uważnie i odłożył na biurko.**

**–Przepraszam, ale chyba nie rozumiem.**

**–Palea Bengatta.**

**–Ach.**

**–Chyba tajemnica wyszła na światło dzienne.**

**–Jaka tajemnica?**

**–Nie zamierzam przeproszać.**

**–Nie przypuszczam, byś zamierzał.**

**–Na tym polega konkurencja. To wszystko jest zgodne z prawem.**

**–Pewnie. Ty podłożyłeś bombę w wahadłowcu?**

**Wyglądał na szczerze zszokowanego.**

**–To wy mieliście być celem? – Otworzył szeroko oczy i odniosłam wrażenie, że z trudem łapie oddech. – Chase, naprawdę sądzisz, że byłbym w stanie zrobić coś takiego?**

**W istocie nie podejrzewałam go o to.**

**–A byłbyś?**

**–Nie! Nigdy nikogo nie skrzywdziłem i nie skrzywdziłbym.**

**–Coś jeszcze?**

**–Powiniennem był zauważyć. Że stało się to w dzień waszego powrotu. A teraz to. – Zawahał się. – Jesteś sama?**

**–Tak – odparłam. – A czemu pytasz?**

**Rysy jakoś dziwnie mu się wyostrzyły. Może to wina światła. A może naprawdę się bał.**

**–Uważaj na siebie – powiedział. Nie zabrzmiało to wcale jak groźba.**

**Zadzwoiłam do Windy.**

**–Jakieś wieści od Boltona?**

**–Nie – odparła. – Czemu pytasz?**

**–Właśnie z nim rozmawiałam. Chyba nie połknął przynęty.**

**–Tak mi się wydawało, że go trochę nie doceniacie.**

**–Na to wygląda.**

**–A mogę już pozbyć się tego kontaktu? Dyrektor nie jest zadowolona, że musi stąpać po cienkim lodzie.**

**–Tak. Jasne. Zrób, co uznasz za stosowne. – Zrobiła minę, jakby była rozłoszczona. – Wszystko gra?**

**–Tak. Po prostu złości mnie, że uszło to komuś na sucho.**

**–Wiem. Mnie też.**

**Zastanawiałam się nad tym, czy nie powiadomić Aleksa o telefonie Boltona, ale uznałam, że lepiej nie. Powiem mu, jak wróci. Nie chciałam mu przypominać o całej aferze, kiedy miał odpoczywać.**

**Dwa dni później Windy poinformowała mnie, że Brankov wylądował na Margolii i rozpoczął wykopaliska.**

**–Założyli jedno stanowisko – powiedziała. – Ruiny są jakieś trzydzieści do czterdziestu metrów pod powierzchnią dżungli.**

**–A jak z pogodą?**

**–Gorąco i wilgotno.**

**–Niezbyt dobrze.**

**Jeśli coś zostało po kolonistach, na pewno już rozpadło się w proch.**

Jakąś godzinę później opublikowano pierwszy komunikat o znaleziskach. Były w nim zdjęcia Brankova trzymającego kawałek jakiejś skały, dość gładkiej z jednej strony, która podobno kiedyś była częścią muru.

Tego wieczora, przemawiając podczas kolacji z ludźmi biznesu, dyrektor opisał swoją reakcję na wieści i dodał, jak bardzo ceni sobie osiągnięcia Aleksa Benedicta, tak znanego z „dokładania wszelkich starań, by chronić stanowiska archeologiczne”.

Na te słowa Kolchevsky znów eksplodował. W mediach już się trochę opatrzył, więc nie poświęcono mu zbyt wiele uwagi. Zdołał jednak zmobilizować kilku sojuszników i doszły mnie słuchy, że razem pracują nad propozycją ustawy, która miałaby zakazywać pozyskiwania przedmiotów ze stanowisk archeologicznych poza wyjątkowymi przypadkami, związanymi z udzielaniem licencji przez właściwe instytucje. Alex zawsze upierał się, że taka ustawa nie przejdzie – po prostu nie uda się jej uchwalić. Kiedy wspomniałam o tym Windy, zaskoczyła mnie.

–W końcu i tak będziecie się o tym dowiedzieli – powiedziała – więc równie dobrze mogę ci powiedzieć teraz. Popieram ten pomysł. Chyba mamy spore szanse, żeby tym razem go zrealizować.

Nie wiem dlaczego, ale zaskoczyło mnie to. Przypomniała, że zawsze była chętna pomagać Rainbow.

–...ale wiecie sami, wy nigdy nie macie dość. – Zamilkła i potrząsnęła głową. – Przykro mi.

Następnego dnia przesłała mi wiadomość od Spike’a Numitsu. Przemawiał w miejscu, które wyglądało na jakieś centrum operacyjne.

–Aleksie – powiedział – eksplozja na pokładzie „Poszukiwacza” miała miejsce na początku 2742 roku. Jutro będziemy dokładnie badać maszynownię. Dam ci znać, co znaleźliśmy.

Przesłałam wieść Aleksowi, który byczył się w stroju plażowym z kieliszkiem wina w ręce. Siedział na werandzie, a w tle widać było ocean.

–I co o tym myślisz? – rzekł, najwyraźniej zadowolony. – Co ty na to, Chase?

–Na co?

–Dwa tysiące siedemset czterdzieści dwa.

–Nie łapię.

–Pamiętasz, kiedy to się stało? – Mówił o zbliżeniu orbit stacji, księżycy i Margolii. O dacie katastrofy.

–Tak. 2745.

–Trzy lata po awarii na pokładzie „Poszukiwacza”.

–Do czego zmierzasz?

–Chase, dostali ostrzeżenie z wyprzedzeniem co najmniej trzyletnim. Pomyśl o tym. Trzy lata, żeby się uratować.

–Próbowali – odparłam. – Wyremontowali „Poszukiwacza”. Ale nie udało się.

–Sądziś, że tak łatwo by się poddali?

–Poddali? Aleksie, daj spokój. Byli w sytuacji bez wyjścia. Kiedy eksplodowały silniki, „Poszukiwacz” nie mógł wykonywać lotów międzygwiazdnych. Łączność nadświatlna nie istniała. Co w takim razie mogli zrobić?

–Chase, tam było wielu inteligentnych ludzi. Technicy, fizycy, inżynierowie. Wiedzieli, jak działa napęd nadświatlny.

–To wiele nie pomoże, jeśli nie da się takiego zbudować.

–Ale mieli do dyspozycji trzy lata.

–Powtarzasz to, jakby to miało jakiekolwiek znaczenie. Wyprodukowanie takiej energii wymaga solidnej bazy przemysłowej. Nie da się tego zrobić w dżungli, bez względu na to, jak inteligentnymi ludźmi dysponujesz. Rozmawiałam z Harrym Williamsem tyle razy, że zaczynało mnie to już frustrować. Jeśli ci ludzie byli tak inteligentni, dlaczego nie sprawdzili, co się dzieje w okolicy, zanim się tam osiedlili? I zabrali ze sobą dzieci?

–Nie. – Alex potrząsnął głową. Coś poza zasięgiem kamery przyciągnęło jego uwagę. – Muszę lecieć, Chase. Ale chyba nadal brak nam jakiegoś elementu układanki.

Zapomniałam mu powiedzieć o rozmowie z Boltonem.

Niecałą godzinę później, kiedy już zbierałam się do domu, Bolton znów się objawił.

–Jeszcze nie wrócił – powiedziałam. – Za jakieś dwa albo trzy dni.

–To pilne.

–Co się dzieje, Ollie?

Wyglądał na tak zaniepokojonego, że zapomniałam o mojej niechęci do niego.

–Nie chcę rozmawiać na otwartym kanale. Spotkajmy się gdzieś.

**–Ollie, daj spokój. Nie mam czasu.**

**–Proszę. To ważne.**

**Dałam mu do zrozumienia, że nie jestem z tego zadowolona.**

**–Gdzie i kiedy?**

**–Może być „Brockbee”? O ósmej?**

**–Niech będzie o siódmej.**

**W domu na wsi zawsze mam jakieś ubranie na zmianę, więc nie musiałam nawet wpadać do swojego. Wzięłam prysznic, przebrałam się i choć nie przypuszczałam, żeby Ollie stanowił jakieś zagrożenie, wsunęłam do kieszeni żakietu paralizator. Wzięłam firmowy śmigacz i ruszyłam do miasta. Słońce właśnie dotknęło horyzontu.**

**„Brockbee” to prywatny klub. Jest ogrodzony wysokim murem, a ponieważ stanowi ulubione miejsce różnych grubych ryb ze świata polityki i biznesu, stosują naprawdę poważne środki ostrożności. Podczas podchodzenia do lądowania dokładnie mnie prześwietlili. Przedstawiłam się i wyjaśniłam, że jestem umówiona z doktorem Boltonem.**

**–Chwileczkę. – Śmigacz zaczął zataczać kręgi nad znajdującym się na dachu lądowiskiem. – Doskonale, pani Kolpath. Witamy w „Brockbee”. Proszę przekazać nam sterowanie. Sprowadzimy panią na ziemię.**

**Chwilę później wkroczyłam do sali jadalnej. Obsługa poinformowała mnie, że doktor Bolton jeszcze nie przybył, ale zaprowadziła mnie do stolika. Była dokładnie siódma.**

**Dwadzieścia minut później nadal tam siedziałam. Awatar kelnera pojawił się i zapytał, czy życzę sobie czegoś do picia, co umili mi czekanie. Albo może czegoś do jedzenia.**

**–Mamy dziś doskonale zakąski.**

**Odmówiłam.**

**Po półgodzinie zastanawiałam się, czy do niego nie zadzwonić, ale nie chciało mi się. Wychodząc, powiedziałam obsłudze, żeby przekazała Boltonowi moje pozdrowienia, gdyby się pojawił.**

**Z głębokiego snu wyrwał mnie głos Carmen.**

**–Chase, ktoś dzwoni. To chyba ważne.**

**Moja pierwsza myśl była taka, że to Bolton.**

**–Inspektor Redheld – powiedziała.**

**Było jeszcze ciemno. Czego on może chcieć, u licha? Wystraszyłam się, że coś się stało Aleksowi. Złapałam szlafrok i pobiegłam do salonu.**

**–Połącz go, Carmen.**

**Zmaterializował się w fotelu policyjnego śmigacza. Wyglądał na wykończonego.**

**–Chase, wybacz, że cię budzę o tak nieludzkiej godzinie.**

**–Nie szkodzi, Fenn. Co się stało?**

**Skrzywił się. Złe wieści.**

**–Ollie Bolton nie żyje. Ktoś przeciął mu przewód paliwowy w śmigaczu.**

**Minęła chwila, zanim udało mi się przetrawić to, co powiedział. Bolton nie żyje? Niemożliwe.**

**–Kiedy to się stało?**

**–Nadal próbujemy to ustalić, ale wygląda na to, że kilka godzin temu. Najwyraźniej wystartował, wzniósł się, a potem śmigacz odmówił posłuszeństwa. Rozbił się o własny dom. Sąsiad, który wrócił do domu o północy, zobaczył wrak.**

**–Rozumiem. Jesteście pewni, że to było morderstwo?**

**–Nie mamy żadnych wątpliwości.**

**–A dlaczego do mnie dzwonicie?**

**–Bo jego SI twierdzi, że wczoraj wieczorem byliście umówieni na kolację.**



# DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

U zarania świata

Kiedy ziemia była bliżej nieba

Niż teraz

Robert Browning, *Pippa przechodzi*, 1841 n.e.

Rankiem dziennikarze dopadli Kolchevsky'ego.

–Nie będę udawał, że byłem jego przyjacielem – oświadczył. – Nie będę nawet udawał, że świat bez niego nie stał się lepszym miejscem. Ale wolałbym, gdyby dane mu było zrozumieć, że popełnił błąd. Jestem pewien, że policja dołoży wszelkich starań, by znaleźć sprawcę tego potwornego czynu.

Poinformowałam Aleksa, a ten oznajmił, że kończy wakacje – z których i tak został mu już tylko jeden dzień – i wraca prosto do domu.

–Dopóki sprawca nie zostanie schwytyany, nie możemy wykluczyć, że ty i ja nadal będziemy na czyimś celowniku. Uważaj na siebie.

Fenn wezwał mnie do swojego biura. Powiedział, że wszystko wskazuje na to, iż ofiara właśnie miała udać się na spotkanie ze mną, kiedy doszło do morderstwa.

–Oczywiście nie masz pojęcia, co takiego chciał ci powiedzieć?

–Nie – odparłam. – Nie mam pojęcia. Przypuszczałam, że to mogła być próba podkupienia mnie, ale doszłam do wniosku, że chyba jednak za bardzo pozwoliłam dojść do głosu mojemu ego. A jeśli nawet była to prawda, nie miała żadnego znaczenia dla śledztwa.

Spytał mnie, jakie były relacje między ofiarą a Alekssem. Czy ich wrogość przybierała jakieś widoczne formy?

–Nie – odparłam. – Chyba nie sądzisz, że Alex mógłby mieć z tym coś wspólnego?

Potrząsnął głową.

–Nie. Za dobrze go znam, żebym mógł w coś takiego uwierzyć. Ale jeśli ktoś miał jakiś motyw, to właśnie Alex. A gdzie on właściwie jest?

Powiedział mi, żeby Alex pojawił się u niego, gdy tylko wróci.

Minęła wiosna i zaczęło się lato, a sprawca nadal pozostawał nieznanym. Byliśmy ostrożni. Nikt

nie mógł się zbliżyć do śmigacza Rainbow ani do naszych osobistych pojazdów, nie wywołując alarmu. Oboje cały czas mieliśmy przy sobie broń i nauczyliśmy się bacznie obserwować otoczenie. Nie chciałam tak żyć. Ale mijały tygodnie i nic się nie działo.

Z misji napływały dalsze raporty. „Exeter” zameldował o nowym odkryciu. Na orbicie okołosłonecznej znaleźli przezroczystą kulę. Miała czterdzieści osiem metrów średnicy. W środku była cienka warstwa zamarznętej gleby, a pod nią systemy grzewcze i nawadniające.

Była tam też śluz. I parę wiszących przewodów i kabli.

Spike był zdezorientowany. Obiekt znajdował się w zupełniej pustce.

–To szklarnia – powiedział Alex.

Musiałam przyznać, że też odniosłam takie wrażenie. Ale skąd się tu wzięła? Komu służyła?

Alex przesłał pytanie. Czy lądownik „Bremerhaven” jest nadal na pokładzie?

–A co ci da taka informacja? – spytałam.

–Cierpliwości – odparł. – Mamy szklarnie. Teraz wszystko zależy od lądownika.

Fenn poinformował nas, że śledztwo utknęło w martwym punkcie. Alex spytał, czy nie mają żadnych podejrzanych.

–Żadnych – odparł Fenn. – Bolton miał mnóstwo przyjaciół i wielbicieli. Trudno znaleźć kogoś, kto życzyłby sobie jego śmierci. Poza była żoną. I kilkoma konkurentami. – Rzucił Aleksowi wymowne spojrzenie.

Ogarnęło mnie wtedy uczucie, że muszę się na chwilę od tego wszystkiego uwolnić, więc wzięłam wolny weekend i wyjechałam, by być z dala od Aleksa i mojego aktualnego mężczyzny – ale to już inna historia. Wyłączyłam wszystko, więc nikt nie mógł się ze mną skontaktować. Już wspominałam, że sprawa Margolian nie interesowała mnie aż tak bardzo jak Aleksa. Bez względu na to, co można o nich powiedzieć, nie żyli od dawna i jakoś nie mogłam się nimi przejąć. Cały czas jednak martwiłam się o Aleksa, który miał na ich punkcie solidnego bzika.

Nie byłam więc zdziwiona, kiedy wróciłam do domu i zastałam całe mnóstwo wiadomości od niego.

–Chase, zadzwoń, jak wrócisz.

–Chase, zadzwoń, jak tylko będziesz mogła.

–Chase, mieliśmy rację.

–Znaleźli ludzkie szczątki.

–Wygląda na to, że na biegunie północnym są ich całe tysiące. Ludzi, którzy przeżyli katastrofę.

Zgłosił się też Spike. Na pokładzie „Bremerhaven” nie było lądownika.

–Doskonale – ucieszył się Alex.

–Najwyraźniej próbowali migrować – powiedziała nam Windy pewnego późnoletniego ranka. – W lecie wyruszali w kierunku biegunów, a zimą z powrotem na równik. Zimy były długie, lata krótkie, Emil przypuszcza, że jakiś czas zdołali przetrwać.

–Jak długo? – spytał Alex.

–Nadal próbują ułożyć w jakąś całość wszystkie dowody. Ale wygląda na to, że kilka pokoleń. – Wzięła głęboki oddech. – Aż trudno mi wyobrazić sobie hart ducha tych ludzi. Ciekawe, co trzymało ich przy życiu.

Nadzieja, że pomoc kiedyś nadejdzie, pomyślałam. Nadzieja, że ktoś ich znajdzie.

–Zbudowali kilka pojazdów powietrznych. I Emil mówi, że mieli dość zaawansowane urządzenia do produkcji żywności.

Zaczęliśmy nabierać jakiegoś wyobrażenia o tym, w jakich warunkach żyli. Schronienie na biegunie przekształciło się w dużą, rozległą bazę; większość konstrukcji znajdowała się pod ziemią, co ułatwiało chłodzenie. Kwatery mieszkalne z konieczności były spartańskie, ale funkcjonalne. Wszystko, co zapewniało schronienie przed palącymi promieniami słońca, musiało wyglądać całkiem nieźle.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak to wyglądało, kiedy planeta zbliżała się do słońca. Jak duże było słońce na popołudniowym niebie? Czy dało się w ogóle wystawić głowę na dwór?

Odpowiedź, jaka wyłoniła się z dostępnych danych, była dość zaskakująca. Eksperci twierdzili, że było to możliwe. W najgorętszym okresie lata do biegunów docierała ilość ciepła porównywalna z warunkami, jakie panowały na Rimway na równiku. Tak, było gorąco, ale w porównaniu z tym, co działo się na pozostałej części planety, było to przyjemne ciepło.

Pod koniec roku misja znalazła pozostałości biblioteki. Kiedyś było w niej kilka tysięcy tomów.

–Niestety, nic nie przetrwało – powiedział Brankov. Byliśmy na lunchu z Windy i właśnie wróciliśmy z nią do jej biura, kiedy dotarła do nas ta wiadomość.

„Nic nie przetrwało”.

Brankov pokazał nam bibliotekę. Pomieszczenie w środku, bez okien, półki na ścianach. Na półkach breja.

–Książki nie są specjalnie wytrzymałe nawet w najlepszych warunkach – wyjaśnił. – A tu mamy do czynienia z najgorszymi.

Przypomniałam sobie dżunglę i wilgotne powietrze. W końcu udało się ustalić, jak długo przetrwali.

–Przypuszczamy, że przeżyli tak prawie sześćset lat.

Brankov wyglądał na faceta, który ma coś wspólnego z wojskiem. Koło pięćdziesiątki. Krótko ostrzyżone blond włosy, nieskazitelny kombinezon, idealna wymowa.

–Nie byli w stanie utrzymać się na rozsądnym poziomie technicznym. A przynajmniej nie w nieskończoność, w tych warunkach. Różne rzeczy po prostu się zużywały. – Odwrócił wzrok i potrząsnął głową. – Trzeba być tutaj, żeby zrozumieć, z czym mieli do czynienia. – Znajdował się w składanej z modułów chatce, która służyła za schronienie podczas wędrówek. Przez okno widać było potężną śnieżycę.

–Sześćset lat – rzekł Alex. Tam i z powrotem, z równika na biegun, co dwadzieścia jeden miesięcy, kiedy ich planeta na przemian zamarzała i gotowała się.

Wyjrzałam przez okno i zadumałam się nad łagodnym latem, jakie panuje na Andiquarze.

–Ciekawe, czy ktokolwiek próbował ich szukać – rzekła Windy.

Myślałam, że woleli, by o nich zapomniano.

Gdy przyszła jesień, pojawiły się następnie wieści. Znalezione kilka z pierwotnych miast, które zbudowali pierwsi osadnicy na Margolii. Zastanawiałam się, czy w jakimś domu nie zachowały się hologramy. I co się stało z małą dziewczynką, która pozowała tak radośnie z matką.

Studia nad Margolianami całkowicie pochłonęły Aleksa. Podróżował po bibliotekach na całym kontynencie i na wyspach. Przywoził do domu kopie dokumentów na temat tego ruchu i czytał je z religijnym zapałem. Były to głównie fragmenty książek, które po raz pierwszy ukazały się w dwudziestym ósmym wieku. Kilka z nich opublikowano nakładem autora, poza tym były tam kroniki rodzinne, archiwa kościelne, pamiętniki. Alex skomentował, że takie rzeczy mogą przetrwać, bo zwykle chowa się je do kufrów albo na strych, a kiedy ktoś je znajdzie kilkaset lat później, mają już znaczenie historyczne.

–Więc ludzie dbają o nie. Kopiują je. Jeśli coś przetrwa pierwsze dwieście lat, potem jest już z górki.

Spytałam go, czego szuka, a on roześmiał się i odsunął od siebie stertę dokumentów.

–„Bremerhaven” – odparł. – Próbuję ustalić, co się stało z „Bremerhaven”.

**Zamigotało światelko połączenia przychodzącego. Transmisja do Aleksa.**

**–Doktor Yashevik. Aleksie, oddzwon, jeśli będziesz miał chwilę.**

**Alex powiedział Jacobowi, żeby go połączył, i chwilę później pojawiła się Windy.**

**–Pomyślałam, że chcielibyście się o tym dowiedzieć. Znaleźli to mniej więcej na dwudziestym stopniu południowej szerokości. – Światło zmieniło się i znaleźliśmy się na stanowisku archeologicznym, pośrodku śnieżycy, z widokiem na część budynku. Był to kamień węgielny ze znakami, których nie potrafiliśmy odczytać. Poza liczbą. – Tam jest napis „Szkoła imienia Paula DeRenne. 55”. Nie mamy pojęcia, kim był Paul DeRenne.**

**–A liczba? Rok budowy?**

**–Tak przypuszczamy. Pięćdziesiąt pięć.**

**–Pięćdziesiąt pięć lat od założenia kolonii – podsunął Alex.**

**–Prawdopodobnie tak.**

**–Czy ktoś próbował ustalić, jak długo trwał tam rok przed katastrofą?**

**–Przypuszcza się, że był mniej więcej o dziesięć procent krótszy od standardowego.**

**–A więc szkołę wybudowano jakieś czterdzieści dziewięć lat czasu ziemskiego po lądowaniu.**

**–Jakoś tak.**

**–Jeśli założymy, że kolonie założono w 2690 roku, według ziemskiego kalendarza byłoby to w 2739.**

**–Tak.**

**–A katastrofa nastąpiła w 2745.**

**–Tak. Ciekawe, czy wiedzieli, co się święci, kiedy budowali tę szkołę.**

**Alex potarł czoło.**

**–Raczej nie. Czy z budynku korzystano później? Po katastrofie?**

**–Nie wiem. Nie wiadomo. – Windy westchnęła. – Jeśli tak, przebywanie tam w zimie albo w lecie nie byłoby zbyt przyjemne.**

**–Pewnie nie – mruknął Alex.**

–Strasznie dużo się przemieszczali – powiedziałam.

–Nie mieli wyboru – odparł Alex. – To nie było tak, że mogli przebywać kilka miesięcy na biegunie i resztę roku na równiku. Musieli mieć jakieś bazy pośrednie. Miejsca, gdzie mogli się zatrzymać. Może to było takie miejsce. Wiosenne miasto. Nie przypuszczam, żeby byli w stanie długo przebywać w jednym punkcie.

–Nie mogę się nadziwić, że się nie poddali – rzekła Windy. Miała minę, jakby wieści ją zasmuciły. My wszyscy pewnie wolelibyśmy, żeby koniec nadszedł szybko.

Alex uśmiechnął się.

–Sześć wieków. – Poprosił Jacoba o powiększenie obrazu kamienia węgielnego. – To niewiarygodne. – Na zewnątrz zaczęło się ściemniać. Na zewnątrz, na naszej planecie, zbierały się chmury deszczowe. – Coś jeszcze? – spytał.

–Znaleźliśmy pomnik. Może oznaczał miejsce, gdzie koloniści po raz pierwszy postawili stopę na planecie. Trudno to stwierdzić z całą pewnością. Wszystko jest w kiepskim stanie.

–Jak wygląda?

Światło znów zamrugało i zobaczyliśmy fragmenty kamienia, które pieczołowicie wmurowano w ścianę. Były tam fragmenty inskrypcji. Po przetłumaczeniu dowiedzieliśmy się, że widnieją tam słowa: „w tym miejscu”, „w imieniu”, „stopę”. Oraz zero. Przed zerem była inna cyfra, może dziewięć, może osiem. A potem „n.e. „

–„Naszej ery” – wyjaśniła Windy.

–To rachuba czasu związana z Ziemią – wyjaśnił mi Alex.

–Przypuszczamy – mówiła dalej Windy – że koloniści wylądowali w styczniu 2690. Mniej więcej. Emil mówi, że raczej nie używali ziemskich dat, z wyjątkiem wydarzeń związanych ściśle z Ziemią. Przychodzi na myśl tylko jedno.

Zadzwoiła jeszcze raz, kiedy kończyliśmy pracę.

–Mam coś jeszcze. Emil mówi, że prawdopodobnie znaleźli terminal naziemny służący do lotów na orbitę, jest w południowej strefie temperaturowej.

–Jacobie, pokaż mapę – poprosił Alex.

Nie wiedziałam, że taką mamy. Pojawiła się trójwymiarowa mapa Margolii. Były na niej znajome już wyspy, kontynenty, rzeki, łańcuchy górskie. Zaznaczono bazę na biegunie południowym i różne miejsca odkryte przez misję.

Windy powiedziała nam, gdzie znaleziono terminal, a Jacob posłusznie zaznaczył to miejsce.

–Znajdował się w pobliżu dużego miasta. Oczywiście. To żadna niespodzianka.

–Coś wiadomo na temat lądownika?

–Nie. Przeskanowaliśmy okolicę dość starannie. Emil mówi, że prawdopodobnie pochłonęła go dżungla. Czy na pokładzie „Poszukiwacza” był lądownik?

–Był – odparł Alex.

Zakończył połączenie i spojrzał na mnie, czekając, aż coś powiem.

Czego on ode mnie chce?

–Dlaczego się tak uśmiechasz? – spytałam. – O co chodzi z tym lądownikiem?

–Gdzie on jest?

–Pochłonęła go dżungla.

–Jak dostali się ze stacji na powierzchnię planety?

–Kto?

–Ten, kto odczepił „Bremerhaven” z uwięzi.

–Nie wiem. Może wcale. Może...

–Właśnie. Może weszli na pokład statku.

–Nie. Statek był niesprawny.

–W takim razie gdzie jest lądownik?

–Gdzieś na planecie. Znajdą go. Pewnie jest gdzieś zagrzebany.

–Jest jeszcze jedna możliwość – rzekł.

–Jaka?

–Chase, zrób mi przysługę. Westchnęłam. Głośno.

–Dobrze.

–Rozmawiałem ze wszystkimi historykami, bibliotekarzami i archiwistami, do których mogłem dotrzeć.

–O czym?

**–O wszystkim, co mogłoby nam pomóc. Chcę, żebyś coś sprawdziła.**

**–Dobrze.**

**–Byłaś kiedyś na Ziemi? Nie? Historyczne miejsce. Najwyższy czas, żebyś je zwiedziła.**



# DWADZIEŚCIA SIEDEM

Ojczysta planeta wzywa nas wszystkich syrenim śpiewem. Bez względu na to, jak bardzo się oddalimy i jak długo nas nie ma, czeka cierpliwie. A gdy na nią wracamy, bo musimy, śpiewa nam. W jej lasach zeszliliśmy z drzew, z jej mórz wyszliliśmy na brzeg. Jest w naszej krwi, na dobre i na złe.

Ali Barana, *Przy Arkturze skreć w lewo*, 1411

Ziemia.

Co za dziwne uczucie, widzieć Sol z tak bliska. Planeta unosiła się w pustce, z wielkim, pokrytym bliznami księżycem i kontynentami o kształtach tak znajomych, jakbym tu już była. Jakbym wracała do domu.

„Harmonia”, gigantyczna stacja na orbicie, lśniła na tle nocy. Była ostatnią z całej serii stacji orbitalnych. Gdy ją zbudowano, kilkaset lat temu, była zwykłym terminalem i stacją naprawczą. Potem jednak zaczęto dobudowywać do niej hotele, moduły rekreacyjne, a nawet laboratorium badawcze. Oryginalna konstrukcja była już prawie niewidoczna, ukryta pod licznymi zasobnikami, kopułami i kulami. Od dawna trwał spór, czy należy ją wyremontować, czy zastąpić czymś jeszcze nowszym.

Gdy się zbliżałam, startował właśnie liniowiec. Minął mnie, kierując się na zewnątrz układu, z rozświetlonym mostkiem i rzędami iluminatorów. Był to wielki statek, na pewno nie tej klasy co „Poszukiwacz” i na pewno nie aż tak romantyczny. Uruchomił główne silniki i przyspieszył, by po chwili zmienić się w blednącą gwiazdkę.

Przekazałam sterowanie „Belle Marie” kontrolerom, a oni sprowadzili mnie na obszar cumowniczy wypełniony małymi statkami. Przeważnie były to pojazdy firmowe. Rękaw został zamocowany do wjazdu i wypelzłam na zewnątrz.

Trzy godziny później byłam na Ziemi, na prawdziwej *terra firma*, zasypiając w przedziale pociągu magnetycznego, który pędził na zachód kontynentu północnoamerykańskiego. Rankiem po raz pierwszy zobaczyłam Ocean Spokojny i udało mi się złapać lot na Wyspy Przeznaczenia, dawniej Wyspy Królowej Charlotty, jakieś osiemdziesiąt kilometrów od wybrzeża. Widziałam w dole pojazdy i ludzi na plażach. Na powierzchni oceanu unosiły się całe flotyle żaglówek.

Wyspy Przeznaczenia to ponad 150 wysp na obszarze, którego większość zachowano w stanie naturalnym. Były tam wysokie drzewa, poranne mgły, orły w powietrzu. Nigdy przedtem nie widziałam orła i od razu zrozumiałam, czemu był tak popularnym symbolem podróży międzygwiazdnych. Patrzyłam na pokryte śniegiem góry, błękitne jeziora, wijące się strumienie. Dwa dni później, gdy wracałam, zobaczyłam kilkanaście szarych wielorybów, płynących po spokojnych wodach.

Zarezerwowałam pokój z widokiem na ocean w hotelu „Biała Gołębica” w Rennell Sound. Był przyjemny, z szerokimi oknami i zasłonami, którymi poruszał wiatr. Ocean, przynajmniej na tych szerokościach geograficznych, był spokojniejszy niż Morze Wschodnie na Rimway. Gdy się spoglądało z hotelu na zachód, widać było tylko wodę.

Późnym rankiem udało mi się wreszcie pozbierać. Sprawdziłam nazwisko, które znalazł Alex, Jules Lochlear, i poprosiłam SI o połączenie z Uniwersytetem Ameryk. Poinformowano mnie, że pan Lochlear spotka się ze mną wczesnym popołudniem. „Punktualnie o pierwszej”.

Miał gabinet na jednym z górnych pięter biblioteki uniwersyteckiej. Był to jeden z tych budynków w dawnym stylu, zaprojektowanych przez kogoś z upodobaniem do zwariowanej geometrii. Posiadał liczne dachy i drzwi w nietypowych miejscach. Narożniki poszczególnych elementów budowli rzadko były równoległe, a nawet rampy prowadzące na górne piętra wznosiły się i opadały losowo i pod kątami sugerującymi, że tylko bardzo wysportowana osoba może się po nich poruszać bezpiecznie. Był to styl, który kiedyś ktoś opisał twierdzeniem, że to bardziej eksplozja niż projektowanie.

Znalezienie gabinetu Lochleara sprawiło mi trochę kłopotu, ale to chyba był element gry. Gdy tam weszłam, zastałam go pracującego samotnie przy stole zawalonym książkami i czytnikami. Gabinet był przestronny, ze ścianami udekorowanymi różnymi akademickimi dyplomami i nagrodami. Duże drzwi przesuwne prowadziły na taras, z którego rozciągał się widok na kampus. Kiedy weszłam, Lochlear nie uniósł wzroku i nadal pisał coś w zielonym zeszycie, drugą ręką dając mi znak, bym usiadła na sofie.

Był już mocno posunięty w latach. Chyba przybyłam w samą porę. Szczupły, z opadającymi ramionami. Miał krzaczaste brwi i rzadkie siwe włosy. Jego oczy przypominały powierzchnię wody i wyglądał na równie wątlego.

–To pewnie pani Kolpath – powiedział z dumiewająco silnym głosem, nadal nie odrywając oczu od pracy.

–Zgadza się, panie profesorze.

–Doskonale, młoda damo. Za moment się panią zajmę.

Minęła dłuższa chwila, nim wyraził zadowolenie z wykonywanego zadania, odłożył pióro i zaszczyił mnie spojrzeniem.

–Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Jak człowiek przerwie coś w samym środku, to czasem godzinę trwa przypomnienie sobie, o co mu chodziło.

–Nie szkodzi, panie profesorze. Miło mi pana poznać. – Alex opisał go jako historyka i archiwistę. – Nad czym pan pracuje? – spytałam, żeby jakoś zacząć rozmowę.

–Och, to nic takiego. – Odsunął się od stołu. – Tak się tylko bawię. – Próbował się uśmiechnąć

lekceważąco, ale mu nie wyszło.

–Co to takiego? – nie dawałam za wygraną.

–„Detektywi”.

–„Detektywi”?

–To sztuka. W następnym sezonie będą ją grali w Teatrze Nadmorskim.

–Nie wiedziałam, że jest pan dramaturgiem.

–Och, tak naprawdę nie jestem. Nie takim prawdziwym. Napisałem kilka sztuk, ale wystawił je tylko lokalny teatr. Wie pani, jak to jest.

–Nie miałam pojęcia. Ale oczywiście przytaknęłam.

–Piszę komedie kryminalne – powiedział. – Bardzo chciałbym, żeby któraś została wystawiona w Bentham.

–Udałam, że wiem, co to znaczy.

–To byłoby wspaniale – powiedziałam. – Powodzenia, panie profesorze.

–Dziękuję. Ale nie wykazywałbym dużego optymizmu.

–Czego pan uczy?

–Teraz już niczego – odparł. – Kiedyś uczyłem historii, ale użeranie się z opornymi studentami w końcu mi się znudziło.

–Czym się pan teraz zajmuje?

–Zajmuję Katedrę Capaniego. Co oznacza, że czasem pracuję z doktorantami. Niech ich Bóg ma w swojej opiece.

–Zachichotał i wstał, zachwiał się, ale oparł o stół i śmiał się dalej. – Podłoga nie jest już tak stabilna jak kiedyś. O ile pamiętam, przyleciała tu pani, by... – Zawiesił głos, zaczął szperać w stercie papierzyk, zrezygnował i otworzył szafkę. Po chwili dalszych poszukiwań rozpromienił się. – Tak – powiedział.

–Jest. Pani Kolpath, pozwoli pani ze mną? – Ruszył w stronę tarasu. Otworzył drzwi przesuwne i wyszedł na zewnątrz.

–Proszę uważać – ostrzegł mnie.

W jednej sekundzie nabrał sił. Jego kruchość gdzieś znikła i zaczął się poruszać nieomal z gracją młodego człowieka. Wyszłam na taras za nim i poczułam, jak moja waga maleje. Teraz wszystko się wyjaśniło.

–Moduły antygravitacyjne – powiedziałam.

–Oczywiście. Waży pani teraz jedną trzecią tego co normalnie, Chase. Mogę pani mówić po imieniu? Dobrze. Proszę uważać. Ten efekt czasem sprawia, że ludzie czują się trochę zbyt pewnie. Parę osób spadło.

Wyszliśmy na jedną z ramp, które widziałam z dołu. Miała poręcze z wymyślnie rzeźbionego metalu i prowadziła pod ostrym kątem na jeden z dachów, Lochlear ruszył pod górę, przemieszczając się z wprawą.

Dotarliśmy na szczyt i wyszliśmy na dach. Maszerował z jakąś bez troską nieuwagą, która w połączeniu z jego kruchością i zmniejszoną wagą sprawiła, że zaczęłam się martwić, i zdmuchnie go wiatr, dość silny, wiejący o d oceanu. Dostrzegł moją obawę i zaśmiał się.

–Nie ma się czego bać. Chodzę tędy cały czas. Spojrzałam z dachu na morze.

–Pięknie tu.

–Tu chciałbym być znowu młody. Choć przez kilka minut. – Minęliśmy kilka stolików z krzesłami i weszliśmy do budynku przez podwójne drzwi. Nie wiedziałam, dlaczego tak pędzimy, póki nie zrozumiałam, że Lochlear wszystko robi w biegu.

Wyplątaliśmy się z zasłony i weszliśmy do długiego, wąskiego pokoju wypełnionego półkami, szafami, książkami, kośćmi pamięci i witrynami. W witrynach były jakieś pojedyncze egzemplarze książek.

–Są tu gdzieś – powiedział. – Pomyślałem, że je odłożę, kiedy dostałem wiadomości od pana Benedicta. – Książki w witrynach były stare, z wyblakłymi i zniszczonymi okładkami, a czasem nie miały ich w ogóle. Profesor otworzył jedną szafkę, zajrzał do środka i rozpromienił się. – Jest. – Wyjął jakieś pudło, ustawił je na stole i zaczął przeglądać zawartość. Wyciągnął kilka opatrzonych etykietami pojemników. – Doskonale. – Starł z nich kurz, poukładał je, odłożył kilka z powrotem, a resztę położył przede mną. Pojemniki były cztery. W każdym po osiem dysków. Na etykietach był napis MACIERZ COLLIERARA, NIESEGREGOWANE i numery katalogowe.

–Tarim? – odezwał się.

–Dzień dobry, doktorze Lochlear.

Zwrócił się do mnie.

–Chase, Tarim chętnie ci pomoże.

–Dziękuję.

–Jeszcze jedna rzecz. Są dość cenne. Bądź więc ostrożna. Jeśli chcesz robić kopie, skaner jest tam. Nie możesz wynieść oryginałów z tego pomieszczenia, to chyba jasne. Gdybyś chciała ze mną porozmawiać, powiedz Tarimowi, połączy cię. Kiedy skończysz, zostaw wszystko na stole. Miło cię było poznać, Chase.

I już go nie było. Drzwi zamknęły się za nim z głośnym stuknięciem.

Macierz. Colliera, kiedy ją uruchomiono, była największym teleskopem wszech czasów. Znajdowała się na planecie Castleman, gdzie utrzymywano ją i remontowano przez prawie siedem wieków. Poszczególne moduły znajdowały się na różnych planetach całego układu, więc teleskop miał wirtualną średnicę prawie 400 milionów kilometrów. Był to produkt piątego tysiąclecia i działał do chwili, gdy uległ zniszczeniu podczas nieprzerwanych wojen tego okresu. Jego zniszczenie było umyślnym aktem wandalizmu. Potem już go nie odbudowano.

Macierz przykuła uwagę Aleksa, gdyż Castleman znajdował się w odległości czterech tysięcy lat świetlnych od Tinicum 2116. Światło podróżowało przez cztery tysiące lat, zanim dotarło do licznych soczewek systemu. Uświadomił sobie więc, że jeśli dokonał jakichś zapisów na temat tej gwiazdy, będą one pochodzić sprzed zdarzenia, które zniszczyło życie Margolianom.

Większość danych zebranych przez teleskop Colliera została zniszczona podczas upadku Castlemana pod koniec piątego tysiąclecia. Na początku zeszłego wieku badacze dotarli jednak do przechowywanych nieobrobionych danych w postaci wydruku z teleskopu. Nikt ich nie sortował, bo od tego czasu większość tych danych stała się dostępna z innych źródeł.

Dyski oznaczono datami dla poszczególnych okresów, ale nie było co do nich pewności. Nie miało to jednak znaczenia.

Usiadłam przed czytnikiem, wzięłam zapis Belle z naszego lotu na Tinicum i włożyłam go. Potem wyjęłam pierwszy dysk z pudełka oznaczonego numerem 1 i też go włożyłam.

–Tarimie – powiedziałam – uruchom.

Kontrolki stanu zamrugały.

–Tarimie, próbuję znaleźć Tinicum 2116 w surowych danych z teleskopu Colliera. Wprowadziłam analizę spektrograficzną i układy gwiazd w pobliżu. Uruchom wyszukiwanie.

–Szukam – odparł.

Otworzyłam książkę i rozsiadłam się wygodnie w oczekiwaniu.

Czasem miewam szczęście. Tinicum 2116 została zbadana i Tarim znalazł zapis trzydzieści minut później, na drugim dysku.

Tarim wyświetlił obraz gwiazdy widzianej przez teleskop Colliera. Pod spodem zamieścił wyniki analizy z podaniem zawartości wodoru, helu, żelaza, litu i innych pierwiastków. A na końcu jeszcze jeden wiersz: *Planety – 4*.

Cztery.

Wiedzieliśmy o trzech.

Czwarta była planetą w typie Ziemi.

Nic dziwnego, że orbity nie pasowały.

Dwa giganty gazowe. I dwie planety typu ziemskiego.

Bingo.

Lochlear odezwał się i spytał, czy zjem z nim kolację. Kilku członków grona nauczycielskiego spotykało się prawie co wieczór. Pierwotnie zamierzałam zostać w archiwum i sprawdzić, czy nie ma tam czegoś jeszcze na temat Tinicum, ale nie zanosilo się na to, poza tym kiedy pojawiło się to zaproszenie, byłam już znudzona i zmęczona, chętnie więc skorzystałam.

Lochlear przyszedł po mnie i udaliśmy się do sali jadalnej wydziału, która mieściła się w sąsiednim budynku. Gdy weszliśmy, pojawiło się pięć albo sześć innych osób. Lochlear przedstawił nas i ze zdumieniem zauważyłam, że ci ludzie o mnie słyszeli. Chase Kolpath? Wszędzie dookoła uniesione wysoko brwi. Była pani z Alekssem Benedictem, kiedy odkrył Margolię, tak?

Przytaknęłam.

Wszyscy chcieli uścisnąć moja dłoń.

–Dobra robota, pani Kolpath – powiedział energiczny młody człowiek, który wyglądał, jakby w przerwach między zajęciami zajmował się podnoszeniem ciężarów. Prosili o przekazanie gratulacji Aleksowi z podkreśleniem, że wszyscy są jego dłużnikami. To był przyjemny moment. Kilku pytało też, czy Rainbow nie szuka pracowników oraz co robię na uniwersytecie.

Odparłam, że to tylko badania podstawowe, a wtedy zaśmiali się i kobieta w średnim wieku, o włosach koloru miodu, powiedziała, że gdyby brała udział w takiej grze, w jakiej zwykle uczestniczyliśmy, też wolałaby wyrażać się o tym powściągliwie. Znów się roześmiali. A ja czułam się jak królowa.

Muskularny facet spytał, czy na pewno wiemy, co znaleźliśmy. To naprawdę Margolia?

–Tak – odparłam. – Nie ma wątpliwości.

Unieśli filiżanki z kawą w toaście na cześć Rainbow.

–Uniwersytet Ameryk bardzo ceni to, co państwo robicie – powiedział solidnie zbudowany mężczyzna w czerwonym swetrze. Galan Jak-mu-tam. Specjalizował się w nowoczesnym teatrze. Ciekawiło mnie, co myśli o sztukach Lochleara.

Najwyraźniej nie odczuwali rozczarowania, którego doznaliśmy z Alekssem. Dominował nastrój radosnego podniecenia. Kobieta w średnim wieku przeprosiła i wyszła, a po chwili wróciła z egzemplarzem *Człowieka i olimpijczyka* Christophera Sima i poprosiła, żebym go podpisała.

Mój związek z aferą Sima był już mocno przebrzmiały, zawahałam się więc, zwłaszcza że było to wydanie, jakiego raczej nikt nie niszczy żadnymi adnotacjami: oprawione w skórę, złoczone brzegi, jedwabne zakładki.

–Bardzo proszę – powiedziała. Spełniłam prośbę, czując się nieco głupio.

–Co teraz? – spytał Lochlear.

–Wracam do domu – odparłam.

–Miałem na myśli następne przedsięwzięcie. McCarthy?

Golis McCarthy był archeologiem, który wrócił z planety pogranicza sto lat temu, twierdząc, że ma ze sobą artefakty obcej cywilizacji. Nie niemożliwe. Jakiejś innej. Nie podawał szczegółów, ale w ciągu następnych kilku miesięcy artefakty zaginęły, podobno użyli ich w charakterze balastu, a następnie wrzucili je do morza. McCarthy i jego ludzie, cała siódemka, odmówili wyjaśnień, a po następnych siedmiu miesiącach wszyscy już nie żyli – padli ofiarą różnych wypadków. Zniszczony sen wielbicieli teorii spiskowych.

–Nie – odparłam. – Chyba trochę odpoczniemy. Lochlear podszedł bliżej.

–Znalazłaś to, czego szukałaś?

–Tak – odparłam. Rozpromienił się.

–Cieszę się, że mogłem pomóc.

Umieśniony facet, który miał na imię Albert, powiedział, że gdybyśmy kiedyś planowali jakąś podobną akcję, to chętnie się przyłączy. Powiedziałam, że się skontaktuję.

Kiedy kolacja się zakończyła i wracaliśmy do biblioteki, Lochlear stwierdził, że wszyscy byli zachwyceni. Szkoda, że Aleksa tu nie było.

**Nie mogłam się oprzeć i zafundowałam sobie dzień zwiedzania. Zaliczyłam spływ tratwą, próbowałam pływać kajakiem, udałam się na wycieczkę objazdową po wyspach i pozwoliłam Albertowi zaprosić się na kolację. Było późne lato, zachód słońca był wspaniały, a ja doszłam do wniosku, że jeśli kiedyś będę chciała zmienić miejsce zamieszkania, Wyspy Przeznaczenia znajdują się wysoko na mojej liście.**



# DWADZIEŚCIA OSIEM

Sofokles, Dostojewski, al Imra, Bertolt – oni wszyscy przede wszystkim zajmowali się tworzeniem mitów. Opisywali to, co jest w nas najlepsze, a czasem – najgorsze. Ujawniali, co chcielibyśmy o sobie myśleć albo kim chcielibyśmy być, gdybyśmy tylko mieli odwagę.

Muriel Jean Capaliana,

Wstęp do *Benoir* – *dzieła wszystkie*, 2216 n.e.

Byłam sławna. Kiedy tylko pojawiłam się w naszym układzie, ludzie z centrum operacyjnego powiedzieli, że jest nowa symulacja i pewnie będę chciała ją zobaczyć. O Margolii. (Powiedzieli, że robią jeszcze dwie albo trzy. Wszyscy chcą wykorzystać szum związany z odkryciem). Mogą mi ją przesłać? Nosi tytuł *Pożegnanie z Margolią*.

Udałam, że się zastanawiam. W rzeczywistości na podstawie tego, co mówili, można było dojść do wniosku, że to filmowe ujęcie wyprawy Aleksa i mojej. Przybrałam więc pozornie obojętną minę i rzekłam, że oczywiście, jeśli mają chwilę, chętnie rzucę okiem.

Ku mojemu rozczarowaniu okazało się jednak, że to epicka opowieść o ostatnich dniach kolonii. W ich wersji przyczyną katastrofy była zabłąkana planeta.

Samotny naukowiec przybywa do stolicy i chce się widzieć z Harrym Williamsem. Mówi mu, że przejście przez układ nadciągającej planety będzie miało katastrofalne skutki. Będą trzęsienia ziemi, fale tsunami, wybuchy wulkanów.

–Zmieni też naszą orbitę – dodaje.

–Uda nam się przeżyć?

Naukowiec jest wysoki, chudy, siwy, o wyrazistych rysach. Jak z katalogu.

–Dyrektorze, moim zdaniem nie ma nadziei.

–Ile mamy czasu? – pyta Williams.

–Czternaście miesięcy.

(Scenarzyści nie mieli pojęcia, albo nie przejmowali się tym, że koloniści wiedzieli, co się święci, trzy lata wcześniej)

Towarzysze Williama reagują ze złością. Nic podobnego nie może się przydarzyć. Ta planeta ma sześć miliardów lat. Jak to możliwe, że coś takiego miałyby się stać zaledwie kilka dekad po ich przybyciu?

Kiedy mija okres wyparcia, zaczynają się wzajemne oskarżenia. Williams ogłasza przez radio, co się stanie, i przyjmuje na siebie odpowiedzialność.

–Pracujemy nad rozwiązaniem – mówi słuchaczom. Nie ma czasu, by szukać pomocy. Decydują więc, żeby wpakować jak najwięcej ludzi na oba statki i odesłać ich na Ziemię. Hasłem dnia staje się „Ratujmy dzieci!”. I wtedy nadchodzą ponure wieści od inżynierów. Ani „Poszukiwacz”, ani „Bremerhaven” nie są w stanie odbyć takiego lotu.

Znów zaczynają się wzajemne oskarżenia i ponownie Harry Williams bierze winę na siebie.

–To mój obowiązek – oświadcza Radzie.

A ja, słuchając tego, myślę: „w sumie racja”.

Ach, tak. Szlachetny Harry. Gra go aktor specjalizujący się w takich rolach.

Potem widzimy szaleństwo, jakie ogarnia kolonię, gdy wszystko wychodzi na jaw. Rozjuszony tłum szturmuje budynki rządu. Williams zostaje usunięty ze stanowiska.

Po serii gorących dyskusji zapada decyzja, by zdemontować „Bremerhaven” i użyć pozyskanych w ten sposób części do naprawienia „Poszukiwacza”, który jest w lepszym stanie.

–Niech Bóg ma nas w swojej opiece – mówi jeden z techników. – Nie wiem, czy ten statek doleci do domu. „Domem” znów stała się Ziemia.

W tym momencie zrezygnowałam z oglądania. Nie lubię dołujących symulacji, a i tak wiedziałam, jak to się skończy.

Gdy wahadłowiec wylądował, Alex czekał na mnie na terminalu w pobliżu Andiquaru.

–Dobrze, że wróciłaś – powiedział. – Nazbierało się mnóstwo roboty. – Zaśmiał się, jakby ta uwaga była wyjątkowo zabawna. – Chyba mieliśmy rację.

Miło z jego strony, że użył liczby mnogiej, choć moja zasługa w tym przypadku była niewielka.

–Tak – odparłam. – Była jeszcze jedna planeta w typie Ziemi.

–Doskonale. Ustaliłaś, jaką miała orbitę?

–Nie. Nie było żadnych szczegółów.

–Żadnych?

–Żadnych.

Jechaliśmy windą na dach. Było cicho, niemal pusto.

**–Druha planeta podobna do Ziemi – powiedział. – To znaczy, że musiała być w biostrefie.**

**–To nie jest pewne. Oni nie korzystali ze standardowych kategorii. Ale podano skład atmosfery. Stosunek azotu do tlenu wygląda na standardowy dla klasy K. Najprawdopodobniej była więc w biostrefie. Nie ma innej możliwości.**

**–Dobrze.**

**–Tylko jakie to ma znaczenie? Wiem, co sobie myślisz, ale oni nie byli aż tak głupi, żeby szukać schronienia na planecie, która miała zostać wyrwana ze swojej orbity. Przecież wiedzieli, co się stanie.**

**Dotarliśmy na górę i wyszliśmy. Było deszczowe popołudnie. Podeszliśmy do punktu wsiadania, wzięliśmy taksówkę i ruszyliśmy na zachód.**

**–Chase, oni właśnie tak zrobili.**

**–Przecież to samobójstwo.**

**–Tak się może wydawać.**

**Wznosiliśmy się nad miastem, a Alex wpatrywał się w burzę.**

**Dwadzieścia minut później wkroczyliśmy do domu na wsi. Jacob czekał na nas z kawą i pączkami z galaretką. Usiadłam i poczęstowałam się.**

**–W takim razie co teraz?**

**–Musimy znaleźć zaginioną planetę.**

**Przewidziałam to.**

**–Żartujesz.**

**–To będzie żyła złota dla firmy. Atmosfera tej planety zamarzła, kiedy oddaliła się ona od słońca. Na powierzchni jest więc próżnia, a artefakty zachowały się w idealnym stanie. Nietknięte, Chase. A opowieść o ostatniej grupie kolonistów, jeśli uda nam się ustalić, czy rzeczywiście istniała, osiągnie rozmiary mitu.**

**–A jak mamy znaleźć tę zaginioną planetę? Wątpię, czy to się uda.**

**–To twoja działka, Chase. Coś wymyślisz.**

**Jak znaleźć ciemny obiekt zagubiony wśród gwiazd?**

**Przejrzałam wszystko, co tylko wiedziałam o technologiach wykorzystywanych w czujnikach.**

Nie było tego wiele. Odbyłam kilka rozmów i w końcu natrafiłam na nazwisko Avola DesPlaine. Polecono mi go jako najlepszego specjalistę w tej dziedzinie.

Poprosiłam Jacoba, żeby się z nim skontaktował. Zostawiliśmy wiadomość, a rankiem oddzwonił. Powiedział, że ma wolną chwilę.

Nigdy dotąd nie widziałam człowieka o tak ciemnej skórze. W przypadku osób mieszkających poza Ziemią kolor skóry od tysięcy lat nie ma już znaczenia. Wśród tych, którzy opuścili ojczystą planetę, było wiele związków mieszanych. Dlatego też większość ludzi ma skórę o lekko oliwkowym odcieniu. Niektórzy jaśniejszą, inni ciemniejszą, ale różnica nie jest duża.

DesPlaine był wyjątkiem. Zastanawiałam się, czy w jego przypadku ujawniły się jakieś geny, czy też niedawno przybył z Ziemi. Był niski albo siedział w największym fotelu, jaki istniał na planecie. Trudno było to określić.

–Czym mogę służyć, pani Kolpath?

Wyjaśniłam, czego chciałam się dowiedzieć. Dziewięć tysięcy lat temu przechodzące w pobliżu ciało obce wypchnęło z układu słonecznego planetę. Nie wiem, w jakim kierunku poleciała.

–Czy istnieją jakieś metody, które pozwoliłyby ją odnaleźć?

–Jasne – odparł. – Ucieszył się, gdy zrozumiał, o co chodzi. – Pewnie. Ale to strasznie dużo czasu. Ma pani jeszcze jakieś informacje? Cokolwiek?

Miał szeroką głowę z kilkoma kosmykami siwych włosów i głębokie oczy, którymi cały czas się we mnie wpatrywał.

–Nie – odparłam. – Wiemy tylko, z którego układu została wyrzucona. I to wszystko.

–Rozumiem. – Zapisał coś. Nie uśmiechnął się, choć wyczułam, że ma na to ochotę. – Jak duża będzie flota poszukiwawcza?

–Słucham?

–Ile statków będzie brało udział w tej operacji?

–Jeden. Nie mamy do dyspozycji floty.

–Jeden. – Znów o mało się nie uśmiechnął. Kolejna notatka. – Doskonale.

–Jak widzę, to może stanowić problem.

Odchrząknął.

–Czy ta wyrzucona planeta ma jakąś nazwę? Szperałam rozpaczliwie w pamięci, usiłując coś

wymyślić.

**Kiedys miałam kota, który dostał imię po bohaterze starej powieści.**

**–Tak – odparłam. – Nazywano ją Balfour.**

**–Balfour – powtórzył nazwę, jakby chciał jej skosztować. – Skoro ludzie nadali jej nazwę, pewnie ktoś będzie wiedział, w którą stronę się oddaliła. Jeśli nie, czeka was poszukiwanie na ślepo, a prawdopodobieństwo będzie równe prawdopodobieństwu znalezienia monety w sporym lesie. Po ciemku.**

**–Nawet jeśli skorzystamy z najnowszych zdobyczy techniki?**

**Zaśmiał się. W jego głosie słyhać było grzmot. Gdybyśmy korzystali wyłącznie z połączenia dźwiękowego, wyobrażałabym go sobie jako kogoś znacznie większego.**

**–Proszę sobie wyobrazić czujnik jako latarkę. O wąskim promieniu światła.**

**–Nie wygląda to za dobrze, prawda?**

**–Staram się zawsze podchodzić do wszystkiego optymistycznie.**

# DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Bywają ludzie, którzy pojawiają się w naszym życiu na krótko, ale potem już nic nie jest takie samo.

Chile Yarimoto, *Podróże*, 1421

Alex wierzy, że wszystko jest możliwe. Lubi powtarzać, że skoro można podróżować szybciej niż światło, to wszystko inne jest na talerzu. I dlatego nie można po prostu iść i powiedzieć mu, że jakiegoś zadania nie da się wykonać.

Potrzebna mi była pomoc, więc skontaktowałam się z Sharą. Gdy weszłam, była pogrążona w rozmowie ze swoją SI. Dała mi znak, że to potrwa jeszcze minutkę, zadała parę pytań na temat populacji w jakimś regionie kosmosu, o którym nawet nie słyszałam, wysłuchała odpowiedzi, zrobiła parę notatek i zwróciła się do mnie z wielkim uśmiechem.

–Chase, jak to jest być sławną?

–Właśnie szukam jakiegoś sposobu przekucia sławy na gotówkę.

–Jak rozumiem, ktoś chce cię namówić, żebyś pracowała dla Agencji.

–Tak, otrzymałam taką propozycję.

–Nie rób tego. Nie płacą tu za dobrze i chyba nikt nie stał się sławny. – Spoważniała. – W czym mogę ci pomóc?

–Sharo, w układzie Tinicum była jeszcze jedna planeta. Klasy K. Podejrzewamy, że ciało, które zmieniło orbitę Margolii, spowodowało wyrzucenie jej z układu.

–I zastanawiasz się, czy jest jakiś sposób, żeby ją znaleźć?

–Tak.

–Ale po co, u licha? Podejrzewacie, że może tam być jakaś baza?

–Coś w tym stylu.

–Rozumiem – odparła.

–Jak sądzisz, da się ją znaleźć?

–To się stało dziewięć tysięcy lat temu?

–Zgadza się.

–Dobrze. To stosunkowo niedawno. Ale nie wiecie, jakie ciało niebieskie było intruzem? Co wdarło się do układu?

–Nie. Przypuszczamy, że to mogła być czarna dziura.

–Dlaczego?

–Bo nie ma żadnych gwiazd na tyle blisko, żeby mogły to zrobić.

Zrobiła sceptyczną minę.

–To mogły być różne rzeczy.

–Wszystko jedno. Nie obchodzi nas, co to było. Interesuje nas tylko znalezienie tej zaginionej planety.

–Niewykluczone, że to możliwe. Opowiedz mi coś o tym układzie.

–Dobrze – odparłam. – Teraz ma dwa gazowe giganty na normalnych orbitach. No i Margolię, na bardzo wydłużonej eliptycznej orbicie, oraz przemieszczony księżyc.

–Czy ta planeta klasy K ma jakąś nazwę?

–Balfour. – Spodobało mi się.

–I jest też jakiś starożytny statek, tak?

–Tak. I stacja, która zaczęła dryfować w chwili katastrofy. „Poszukiwacz” najwyraźniej próbował dokonać skoku, kiedy silniki eksplodowały.

–Rozumiem. A „Poszukiwacz” wyruszył z dziećmi na pokładzie trzy lata przed katastrofą?

–Zgadza się.

–Czyli pewnie ta wskazówka na nic nam się nie przyda. A ten drugi statek? Jak mu tam?

–„Bremerhaven”. Na podstawie jego orbity można wyliczyć, że nie było go w pobliżu Margolii, kiedy pojawił się intruz.

–To ciekawe.

–Może znajdował się na orbicie Balfoura.

–Mamy jakieś podstawy, żeby tak sądzić, czy zgadujemy?

–Zgadujemy.

–A stacja?

–W chwili katastrofy znajdowała się w pobliżu Margolii.

–A teraz obie są na orbicie okołosłonecznej?

–Tak.

–Podrzuc mi jakieś szczegóły. Wszystko, co macie. Najpierw musimy ustalić, kiedy to się stało.

–To już wiemy.

–Dobrze. Świetnie. Może da się coś zrobić. Przyślij mi dane. Przyjrę się i skontaktuję się z tobą.

–Dzięki, Sharo.

–Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że mogę pomóc. Miła odmiana w codziennej rutynie. Na kiedy tego potrzebujesz?

–To nic pilnego. Skoro czekało tak długo, to może poczekać jeszcze chwilę.

Zaśmiała się.

–Jak mi to dziś przyślesz, spróbuję coś zrobić do jutra.

–Mieiliście rację co do czasu zdarzenia – powiedziała następnego wieczora, kiedy siedzieliśmy w „Długim Drzewie” i sączyliśmy koktajle. – To był 1 marca 2745 roku według ziemskiego kalendarza.

–To zaledwie parę dni różnicy w stosunku do tego, co my wyliczyliśmy.

–Tak, ale pamiętaj, że rozpatrujemy tu raczej kalendarze, a nie sam czas. Trudno to ogarnąć, bo dziwne rzeczy dzieją się z czasem, kiedy obiekty są oddalone od siebie o setki lat świetlnych.

–Dobrze – odparłam. – Wiemy, kiedy to się stało. Co teraz?

Piosenkarka śpiewała *Ogień i lód*. Na zewnątrz było zimno i mokro. W „Długim Drzewie” panował jednak tłok. W jednym skrzydle odbywało się wesele, w drugim jakaś liczna grupa coś świętowała. Nie byłam w stanie określić co. Raz po raz dobiegały stamtąd wybuchy śmiechu. Na środku sali restauracyjnej tańczyło kilka par.

–Chase – powiedziała Shara – wiemy, gdzie były gazowe olbrzymy w chwili zdarzenia.



**–Rozumiem.**

**–Przejdźcie intruza nie zaburzyło ich orbit. To prawdopodobnie wyklucza czarną dziurę. Gdyby intruz miał dużą masę, naprawdę dużą, miałby wpływ także i na nie. A wygląda na to, że nie miał żadnego wpływu na ich orbity.**

**–I co nam daje ta informacja?**

**–Że intruz miał masę mniejszą niż jedna dziesiąta masy słońca.**

**–Rozumiem.**

**Nie pojmowałam, co nam to dawało, ale ona najwyraźniej wiedziała, dokąd zmierza.**

**Dopiła drinka i zamówiła kolejnego.**

**–Trzeba skorzystać, skoro Alex jest tak hojny.**

**Oczywiście Rainbow płaciła za imprezę.**

**–Jasne. Nie krępuj się.**

**–Dobrze. Zatem orbita Margolii uległa wydłużeniu, a księżyc zdryfował na południe. Druga planeta w typie Ziemi, Balfour, została wyrzucona z układu, co sugeruje, że intruz miał masę przynajmniej sto razy większą niż Margolia.**

**–Rozumiem.**

**–Przypuszczam więc, że jego masa plasowała się gdzieś między masą Jowisza a masą karła klasy M.**

**–Sharo, wiem, że cię to bawi z przyczyn naukowych. Ale czy pomoże nam jakoś w znalezieniu Balfoura?**

**–Chase, kiedyś nie byłaś aż tak niecierpliwa, jeśli weźmiemy pod uwagę przedział masy pomiędzy Jowiszem a gwiazdą klasy M, znajdziemy się na terytorium brązowych karłów.**

**–Brązowych karłów?**

**–Tak. To gwiazda, której nigdy nie udało się wystartować. Ma za małą masę. Więc nie doszło w niej do zapłonu.**

**–W takim razie muszą być dość ciemne?**

**–Nie. Niekoniecznie. Mają wystarczającą ilość energii, by świecić. Dość długo pozostają ciepłe.**

**–A co wytwarza tę energię?**

**–Wydzielają ciepło pozostałe z czasów, gdy się tworzyły. Ale one wcale nie wyglądają jak gwiazdy. Nie są jasnymi światełkami na niebie. Jeśli jednak się zbliżymy, zobaczymy, że świecą.**

**–Jak wyglądają? Zastanowiła się.**

**–Przypominają trochę gazowego giganta podświetlonego od środka. Mają chmury i są koloru brązowego błota.**

**–To trochę dziwny kolor.**

**Shara czasem lubiła przechodzić w tryb wykładowy i właśnie teraz jej się to przydarzyło.**

**–Młodsze karły są zwykle krwistoczerwone. Po prostu wypromieniowują ciepło nagromadzone wtedy, gdy się tworzyły. W miarę upływu czasu stygną. W ich atmosferze tworzy się coraz więcej cząsteczek i w ten sposób powstają chmury.**

**–Co to za chmury?**

**–Głównie związki żelaza i krzemu. Występują tam dziwne zjawiska pogodowe. W końcu taka gwiazda staje się ciemnoczerwona, potem czerwono-brązowa, a na końcu brązowa.**

**–Jasne. A jeśli coś takiego pojawi się w układzie planetarnym, potrafi narobić niezłego bałaganu, prawda?**

**–Zgadza się. Wiesz, Chase, one dość sporo ważą. Około jednego procentu standardowej masy słońca. Może się wydawać, że to niewiele, ale jak się znajdziesz w pobliżu czegoś takiego, uważaj.**

**–Jesteś w stanie określić, jaką trasę pokonał intruz w układzie?**

**–Mniej więcej. Raczej mniej.**

**–Wyjaśnisz?**

**–Sprawdziłam miliard kombinacji nachylenia trasy intruza, peryastronu, masy i prędkości.**

**–Czekaj chwilę. A możesz w jakimś ludzkim języku? Co to jest peryastron?**

**–Punkt orbity położony najbliżej gwiazdy.**

**–Rozumiem.**

**–Wypróbowałam więc wszystkie, żeby sprawdzić, czy będę w stanie go wyśledzić. Coś, co**

dałoby takie skutki, z jakimi mamy do czynienia. Powiedzmy, że intruz wszedł do układu i opuścił go trasą nieznacznie nachyloną w stosunku do płaszczyzny orbit planet, zaś peryastron znalazł się między orbitami Margolii i Balfoura. A tak przy okazji, z dwóch planet w typie Ziemi Margolia była położona bliżej słońca.

–To pewne?

–Tak. Możliwości związane z orbitą Margolii są oczywiście ograniczone. Jeśli Balfour także znajdował się w biostrefie, jak twierdzisz, musiał być dość oddalony. Ale jeśli uwzględnimy Balfoura w równaniu, możliwe będzie dopasowanie orbit stacji, księżycy i Margolii.

–Dlatego nie mogliśmy dojść do ładu z tymi orbitami.

–Właśnie. Potrzebna była czwarta planeta. – Oczy jej błyszczały. Lubiała rozprawiać o astrofizyce. – Intruz, musiał ważyć dość sporo. Gdyby zbliżył się do centralnej gwiazdy, rozwaliby ją. Jak to się stało z Delta Karpis w zeszłym stuleciu.

–Rozumiem.

Pojawiły się nasze drinki. Spróbowała swojego i odstawiła go bez komentarza.

–Dobrze – powiedziała. – Wiemy także, że dwa giganty gazowe były po drugiej stronie układu, kiedy karzeł przeciął ich orbity. Jak dotąd wszystko gra. Ale planety w typie Ziemi nie miały tyle szczęścia. Przeszedł blisko nich.

–Sharo, a dlaczego ten brązowy karzeł aż tak nas obchodzi?

Wskazała swojego drinka. Spróbuj. Skorzystałam z propozycji.

–Bo karzeł może nam wskazać, gdzie jest Balfour.

–Cudownie.

–Nie tak szybko. Teraz będą złe nowiny. Nie jestem w stanie nawet w przybliżeniu określić, gdzie może być Balfour, dopóki nie znajdziemy brązowego karła.

–Dlaczego?

–Jeśli znajdziemy karła, określimy jego masę, aktualną pozycję i prędkość. Na tej podstawie będziemy mogli wyliczyć trasę, jaką pokonał w układzie Tinicum. I dopiero wtedy możemy zacząć szukać naszej zaginionej planety.

–Sharo, czy to nie jest ten sam problem, tylko w innym ujęciu? Jak mamy znaleźć tego brązowego karła?

Patrzyła na coś nad moim ramieniem.

–Nie odwracaj się.

Odczekałam kilka sekund i zobaczyłam, jak kelner obok nas prowadzi do stolika w rogu wysokiego bruneta w ciemnej marynarce. Przystojniak. Omiótł Sharę spojrzeniem i zatrzymał na niej wzrok. Odbyla się jakaś wymiana sygnałów niewerbalnych, po czym ruszył dalej. Shara uśmiechnęła się do mnie, gdy wyszedł z jej pola widzenia.

–Niezła okazja.

Chyba nie zmieniła się aż tak bardzo.

–Brązowy karzeł – podpowiedziałam.

–Ach, tak. – Nadal miała nieco roztargnioną minę. – Cóż, dobra nowina brzmi tak, że w ciągu dziewięciu tysięcy lat nie mógł zawędrować za daleko. Jest na pewno w odległości mniejszej niż rok świetlny. W podczerwieni powinien być nadal dość jasny, powiedzmy: jedna dziesiąta, w najgorszym razie jedna piętnasta wielkości gwiazdowej.

Minęła nas kobieta i ruszyła w stronę przystojniaka. Shara potrząsnęła głową.

–Szkoda – mruknęła.

–Możemy więc go znaleźć?

–Ale to będzie kosztowało.

–A co musimy zrobić?

–Wyruszyć na polowanie. Ale najpierw przekonać Agencję, żeby wam pożyczyła statek.

–A po co? Przecież mamy „Belle Marie”.

–Nie nadaje się. Będziecie musieli przerzucić do obszaru poszukiwań parę teleskopów o szerokim polu widzenia. Prywatny jacht jest na to za mały. A Agencja ma statki z takim wyposażeniem.

–Pogadam z Windy.

–Będą chcieli, żeby ktoś z Agencji tam poleciał. Takie są przepisy.

–A co tak naprawdę będziemy musieli zrobić? Jak działają takie teleskopy?

–Tak naprawdę to para teleskopów. Rozstawiamy je dość szeroko i badamy niebo równocześnie. Brązowy karzeł będzie się wyróżniał.

–Jesteś pewna?

**–Zaufaj mi.**

**–Dobrze. Czy pokładowa SI poradzi sobie bez dużej pomocy z mojej strony?**

**–Nie – odparła. – Będziesz musiała dawać jej wskazówki. Statek będzie miał odpowiednie wyposażenie, ale ta operacja będzie się trochę różnić od tego, co zwykle robią SI.**

**Objaśniła mi procedury. Pojawiły się nasze dania. Warzywa, sałatki, plastry kurczaka. Obie byłyśmy głodne. Rzuciła się na jedzenie, a ja w tym czasie próbowałam zapisać wszystko, czego się dowiedziałam.**

**–Nigdy tego nie opanuję – mruknęłam.**

**–Ależ opanujesz. Wiesz co, zanim wystartujecie, wpadnij do mnie na szybkie szkolenie.**

**–Dobrze.**

**–Poradzisz sobie, Chase.**

**–A czy polecisz ze mną ktoś, kogo będę mogła o coś zapytać w razie problemu? Kto wie, jak to działa?**

**–Jedna albo dwie osoby. Nie wiem dokładnie, ale nie martw się, Windy na pewno wyśle z tobą kogoś sensownego.**

**Nie podobał mi się ten układ. Miałam wrażenie, że będzie to jedna z tych sytuacji, kiedy docieram gdzieś i odkrywam, że nie mam pojęcia, co robię, a wysłany ze mną facet jest równie zagubiony i cały czas rzuca kąśliwe uwagi. Zdecydowałam więc, że rzucę się na głęboką wodę.**

**–Posłuchaj, powiedziałaś, że Agencja będzie chciała wysłać z nami swojego człowieka.**

**–Nie mam czasu, Chase.**

**Nabiła na widelec kawałek pomidora i rzuciła ukradkowe spojrzenie w kierunku narożnego stolika. Facet był zajęty swoją towarzyszką.**

**–Już nigdy więcej o nic nie poproszę.**

**–W to nie wątpię. – Postukała paznokciami o kieliszek i zamyśliła się. – To nie jest aż tak trudne, Chase.**

**–To kawałek historii. Nie chciałabyś przy tym być?**

**–Ten kawałek historii już napisano, kochana. Powinnam była wziąć udział w poprzedniej misji.**

**–Sharo, Alex naprawdę ma intuicję. Tam może być coś jeszcze. Coś naprawdę dużego.**

Shara kończyła już danie głównie i wiedziałam, że zaraz sięgnie po menu z deserami. Należała do tych wkurzających osób, które zawsze jadły, co chciały, i nie ponosiły z tego powodu żadnych konsekwencji.

–Chase, to dość długo potrwa. A co z moim życiem towarzyskim?

–Będziemy balangować po drodze.

Zdobycie statku okazało się skomplikowane.

Shara miała rację: przepisy wymagały, żeby w takim locie uczestniczył ktoś z Agencji. Tylko że tym kimś musiał być pilot.

–A teraz nie mamy żadnych dostępnych pilotów – poinformowała mnie Windy. – Mogę sprawdzić, czy ktoś się nie zgłosi na ochotnika. Ale to byłaby praca w nadgodzinach. Szczerze mówiąc, wątpię, czy uda się kogoś znaleźć. – Zaczęła opowiadać, kto jest teraz na urlopie i dlaczego nie ma ochoty wracać do pracy.

–A ja – spytałam. – Przecież mam licencję.

–Na statki klasy Arktura?

Pilotowałam jachty i małe statki handlowe.

–Niezupełnie – odparłam. – Ale to przecież nie jest bardzo skomplikowane?

–Przepisy są przepisami, Chase. Przykro mi. Nie mam wyboru.

Windy wykonała kilka telefonów i zgodnie z przewidywaniami wszyscy dostępni ludzie odmówili. Piloci Agencji są całkiem dobrze opłacani i nie spędzają za dużo czasu w domu. Gdybyśmy byli na jakiejś stacji albo w oddalonej bazie, nie byłoby problemu, ale w Andiquarze nie mieliśmy szans.

Alex zapisał więc mnie na przyspieszony kurs. W taki sposób zdobyłam licencję na kolejną klasę statków nadświetlnych. Teraz mam licencję na statki klasy Longstar, o stopień wyżej niż klasa Arktur. Wcale nie chciałam takiej licencji, ale to już zupełnie inna historia.

Trzy tygodnie po mojej rozmowie z Windy miałam licencję, a ona zatrudniła mnie na kontrakcie na czas określony, żebym mogła zostać zakwalifikowana jako pracownik Agencji.

Tymczasem Shara zastanawiała się, o co ten cały szum.

–Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie płacą takie ogromne kwoty za antyki. Wiem, mają wartość archeologiczną. Ale w tym przypadku nawet ona wydaje się problematyczna. Możemy najwyżej mieć nadzieję, że dowiemy się, jak paru twardzieli spędziło swoje ostatnie dni. Szczerze mówiąc, myślę, że lepiej wyrazilibyśmy szacunek, zostawiając ich w spokoju.

**Upoważniono mnie do zaoferowania jej jednej trzeciej zysków, jakie mogliśmy osiągnąć, jeśli coś znajdziemy i odpalimy odpowiednią działkę Agencji. To ją zainteresowało.**

**–A jakie kwoty wchodzi w grę?**

**Podalam jej przybliżone szacunki w oparciu o to, jakie ceny osiągnęły łupy z „Poszukiwacza”. Zrobiło to na niej wrażenie.**

**–Wiesz, profity mogą być wystarczająco duże, żeby warto było się tam wybrać.**

**–Na to wygląda. Dobra, Chase, takiej oferty nie mogę odrzucić. Ale nadal nie umiem sobie wyobrazić, po co Margolianie mieliby przenosić się na planetę, która i tak miałyby zamarznąć. W porządku. Nie mam niczego do stracenia.**

**Windy pojawiła się parę minut później i Shara oznajmiła, że leci z nami. Windy zbladła.**

**–Miałam o tobie trochę lepsze mniemanie – mruknęła.**

**Chłodnego, wietrznego dnia, późnym latem roku 1430 od powstania Stowarzyszonych Państw Rimway, Alex, Shara i ja poleciliśmy wahadłowcem na stację Skydeck i wkroczyliśmy na pokład VHY-111. Nosił nazwę „Duch”. Po godzinie byliśmy już w drodze w kierunku Margolii.**

# TRZYDZIEŚCI

Trzeba zawsze zaprzęgać swój pług do jakiejś gwiazdy.

Ralph Waldo Emerson,

*Spółczeństwo i samotność*, 1870 n.e.

„Duch” był dwa razy większy od „Belle Marie” i mógł pomieścić jedenastu pasażerów. W części, w której działały systemy podtrzymywania życia, był mostek, dwanaście kajut (w tym jedna dla pilota), dwie łazienki, niewielki magazyn, centrum operacyjne, sala gimnastyczna rozmiarów dużej szafy i wspólna sala. Ta ostatnia była o wiele większa niż ta, do której przywykliśmy ja i Alex, ale na „Belle Marie” było znacznie wygodniej. „Duch” był po prostu pojazdem do przerzucania ludzi z punktu A do punktu B. Nie było tam żadnych wygod.

Wszędzie poniżej, czyli w luku lądownika, głównym magazynie i maszynowni, w normalnych okolicznościach panowała próżnia – dla oszczędności. Był też magazyn części i kanał serwisowy, tuż pod mostkiem.

–Tam są moduły sterujące – wyjaśniłam Sharze – gdyby trzeba było w czymś pogrzebać. I czarne skrzynki SI.

Sprawdziłam wszystko z listą kontrolną i ustawiłam skok na dziewięć godzin po starcie. Potem pomaszero wałam do centrum operacyjnego, gdzie zastałam Sharę przed ekranem.

–Dobrze, że jesteś – powiedziała. – Właśnie chciałam z tobą pogadać.

–O naszym celu?

–Tak. – Pokazała mi gwiazdę i mniejsze światełko. – Tunicum 2116 i Margolia.

–Rozumiem.

–A teraz cofnijmy się o dziewięć tysięcy lat. – Współrzędne po prawej stronie zamigotały, zwolniły i zatrzymały się. Gwiazda przesunęła się przez pół pomieszczenia. – W okresie poprzedzającym wydarzenie przemieściła się o jakieś pół roku świetlnego. Wtedy właśnie pojawił się intruz.

–Na podstawie skutków jego oddziaływania możemy wnioskować, że intruz pojawił się w układzie pod pewnym kątem w stosunku do jego płaszczyzny. Wiemy także, że do chwili obecnej pokonał taką samą odległość jak Tunicum. Mniej więcej pół roku świetlnego.

–Jasne.

–Pamiętaj, że to tylko wartość szacunkowa. Ale powinna być w miarę dokładna. Natomiast nie



wiemy, w którą stronę się przemieszczał.

–Jasne. Jeśli więc narysujemy dookoła punktu oddziaływania okrąg o promieniu połowy roku świetlnego...

–...intruz powinien być gdzieś na obwodzie. Tak. – Narysowała okrąg. – To nasz obszar poszukiwań. Cel może być po drugiej stronie, w środku, trochę powyżej albo trochę poniżej płaszczyzny. Ale tam jest.

–Wygląda na to, że to spory obszar – rzekł Alex.

Nawet nie słyszałam, jak wszedł.

–Zgadza się – przytaknęła. – Ale na tyle niewielki, że da się go przeszukać.

–Jak szybko porusza się karzeł?

–Z taką samą prędkością jak Tinicum. Jakies dwadzieścia kilometrów na sekundę.

–A więc jest możliwe, że to coś nadal znajduje się blisko układu? – spytał Alex. – I przemieszcza się razem z nim?

–„Blisko” to pojęcie względne. Przeszło przez układ, więc musi być jakieś odchylenie.

–Jasne. Gdzie zaczynamy?

–W punkcie wejścia intruza. Jak się tam znajdziemy, wypakujemy teleskopy po przeciwnych stronach. W odległości... – zawahała się -...pięciu jednostek astronomicznych. Odległość między teleskopami będzie wynosić dziesięć jednostek.

Spędziłam kilka następnych godzin, czytając o brązowych karłach. Shara miała rację: było ich całkiem sporo. Z danych Agencji wynikało, że w bezpośrednim sąsiedztwie słońca Rimway jest ich kilkaset. Ta informacja nie wprawiła mnie w zachwyt. Bezpośrednie sąsiedztwo oznacza jednak olbrzymią pustą przestrzeń. Nowoczesna technika umożliwia podróże w mgnieniu oka, przez co zapominamy, jakie to wszystko jest duże. Chyba już o tym kiedyś wspominałam.

Brązowe karły są za małe, żeby doszło w nich do fuzji wodoru w hel, więc nie zachodzi w nich spalanie, jak w normalnej gwiazdzie. Wydzielają jednak sporo ciepła, głównie z powodu efektów pływowych. Można je zaobserwować przez teleskop podczerwony – wyglądają jak coś, co wydziela delikatną poświatę.

Z bliska przeciętny brązowy karzeł wygląda jak ciemna gwiazda. Jego jasność wynosi zaledwie 0,00004 jasności słońca, czy to słońca Ziemi, czy Rimway. Z danych wynika jednak, że są dość gorące. Temperatura ich powierzchni sięga 3200 C. W tej temperaturze takie substancje jak żelazo czy skała przybierają już postać gazową.

Podczas procesu ochładzania się wydzielają metan. Gazy częściowo skraplają się, tworząc chmury, które także przechowują ciepło. Nieustanne ochładzanie powoduje jednak burze, które z kolei likwidują chmury. Promieniowanie podczerwone ucieka wówczas z ogrzanej atmosfery i karzeł wygląda na jaśniejszego.

Shara nie żartowała, mówiąc, że występuje tam pogoda. Na niektórych karłach, tych gorętszych, pada żelazny deszcz.

Na tych, które znacząco już ostygły, może padać deszcz ze zwykłej wody.

Istnieje wiele ich odmian, podzielonych w oparciu o charakterystykę widma.

–Ale wszystkie mogą wykryć nasze teleskopy? – upewniłam się.

Skinęła głową.

–Cała ta zabawa powinna być dość łatwa. A przynajmniej taką mam nadzieję.

–A co, umówiłaś się na randkę?

–Chase, jestem astrofizykiem, ale to nie znaczy, że mam ochotę spędzać w ten sposób weekendy.

Dokonałiśmy skoku zgodnie z planem, ale wynurzyliśmy się w odległości kilku dni drogi od naszego punktu docelowego. Shara nie była zachwycona.

–Wygląda na to, że tę technologię można jeszcze udoskonalić – oświadczyła.

Skontaktowałam się z „Gonzalezem”, statkiem dowodzenia, żeby dać im znać, że się pojawiliśmy w okolicy. Alex skorzystał z okazji i porozmawiał z Emilem Brankovem o najnowszych odkryciach na wykopaliskach.

–Mnóstwo artefaktów – poinformował Brankov. – I trochę ludzkich szczątków. Niewiele z nich zostało, ale są.

Zanim dotarliśmy na miejsce, dużo rozmawialiśmy, oglądaliśmy symulacje i ćwiczyliśmy. Shara grała w jakieś gry, w których rozwala się dużo różnych rzeczy. Nie wiedziałam, czy w ten sposób próbuje mi dać coś do zrozumienia, czy też po prostu daje upust swojej wojowniczej naturze. Zrozumiałam, że od wspólnych lat w college’u jednak trochę się zmieniła. Kiedy raz wspomniałam mimochodem, że czasem mam wrażenie, iż prawie jej nie znam, zapytała, czy zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo ja sama się zmieniłam.

–W jaki sposób?

–Byłaś nieśmiała. Nieporadna. I, o ile pamiętam, dość poważnie traktowałaś autorytety.

**–Ja nadal jestem nieśmiała.**

**Roześmiała się.**

**–Jasne.**

**Lubiłyśmy także bawić się w „Rozmowy z Cezarem”. Jeśli nie znacie tej formy rozrywki: można siedzieć i rozmawiać z awatarami postaci historycznych. Shara uwielbiała słynnych ludzi z czasów starożytnych, spędziłyśmy więc prawie dwa dni na rozmowach o religii z Kleopatrami, o prawach kobiet ze Św. Tomaszem z Akwinu i o PR z Henrykiem VIII. Marinda Harbach wyjaśniła nam, dlaczego historia ludzkości jest tak krwawa:**

**–Prawdziwe drapieżniki nigdy nie zabijają się nawzajem i nigdy tego nie robiły. Tygrys doskonale rozumie, że zaatakowanie innego tygrysa jest niebezpieczne. Nigdy nie wiadomo, kto wygra, a kto przegra.**

**Tylko że ludzie nigdy tak naprawdę nie byli prawdziwymi drapieżnikami. Wręcz przeciwnie, jesteśmy nieszkodliwymi stworzeniami, jemy wszystko, co nam wpadnie w ręce, i nigdy nie wykształciliśmy instynktu unikania sporów.**

**–Kiedy wybucha walka między małpami – wyjaśniła – kończy się najwyżej na paru guzach. One się wtedy świetnie bawią, skanowanie mózgu potwierdza to bez cienia wątpliwości. Kiedy jednak małpy odkryły zaawansowaną broń, było już za późno.**

**Rozmawiałyśmy o wojnie i pokoju z Winstonem Churchillem, a z Taio Myshko o zderzających się wszechświatach. Wszystkie postacie odgrywał Kalu, nasza SI Nikt oczywiście nie wiedział, jak naprawdę mówił Churchill, ale styl Myshko Kalu uchwycił doskonale.**

**Wcielał się także w nas samych. Chyba świetnie się bawił, omawiając zalety antyków jako inwestycji wystudiowanym i chłodnym tonem Aleksa. Udawał Sharę, opowiadając, jak gwiazdy zderzają się w mroku. I zawsze zamawiał przekąski moim głosem.**

**–Przecież ja wcale tyle nie jem – powiedziałam Aleksowi, ale tylko się roześmiał.**

**Kiedy zbliżyliśmy się do wyznaczonego punktu, Shara uznała, że najwyższy czas przejść skrzynie z teleskopami. Nie chciałyśmy pompować powietrza na pokład ładunkowy, wołałyśmy włożyć skafandry.**

**Pokład ładunkowy był podzielony na trzy części, a środkowa była największą z nich. Tam znajdował się lądownik, tam zgromadzono skrzynie. Lądownik – jadowicie żółtego koloru, z napisem AGENCJA BADAŃ PLANETARNYCH I ASTRONOMICZNYCH na kadłubie – był zamocowany w niszy.**

**Dwa teleskopy, niewiele wyższe ode mnie, wyglądały jak kostki z zaokrąglonymi brzegami. Zabezpieczono je osłonami z plastenu. W nieważkości z łatwością przetransportowałyśmy je na**

**szyny wyrzutni.**

**Zdjęliśmy plasten z jednej paczek, by się jej dobrze przyjrzeć. Ten element był czarną, sięgającą mi do ramion metalową misą z kilkoma minisilnikami sterującymi.**

**–To dwumetrowy teleskop – wyjaśniła Shara. – Ma matrycę na podczerwień o rozdzielczości trzydzieści dwa tysiące na trzydzieści dwa tysiące. Może objąć naraz wycinek nieba trzy na trzy stopnie. – Okrążyła urządzenie i przełączyła coś na pilocie. Kontrolki zamrugały. Porównała je z listą kontrolną.**

**–Wszystko gra? – spytałam.**

**–Tak.**

**Podeszliśmy do drugiej paczki, zdjęliśmy osłonę i powtórzyliśmy cały proces. Kiedy Shara skończyła, przyjrzałyśmy się wyrzutni.**

**–Chyba wszystko gotowe – powiedziała w końcu. Wróciliśmy korytarzem, przeszliśmy przez służę na mostek i zdjęliśmy skafandry. Shara stwierdziła, że miło znów poczuć grawitację. Kalu ogłosił, że dotrzemy do punktu docelowego za godzinę.**

**Usiadłyśmy i z jakiegoś nieznanego nam powodu powróciłyśmy we wspomnieniach do dawnych czasów. Odkryłyśmy, że obie umawiałyśmy się z tym samym facetem. Rozmawiałyśmy o nauczycielach, o których nie pamiętałam od piętnastu lat. I o ambicjach, z których część udało nam się zrealizować, a części nie.**

**–Tobie udało się zostać pilotem – powiedziała Shara. – Kiedy cię zobaczyłam, a byłaś jeszcze smarkułą, od razu powiedziałaś, że właśnie o tym marzysz.**

**To była prawda. Kiedyś jeszcze chciałam być rzeźbiarką, ale szybko mi przeszło.**

**–Tak – odparłam. Zawsze chciałam latać. Wydawało mi się to takie romantyczne.**

**–A okazało się, że wcale nie jest.**

**–Z czasem traci na atrakcyjności.**

**Zaśmiała się.**

**–Pamiętam, jak Jerry jak-mu-tam miał być ojcem twoich dzieci.**

**–To było naprawdę dawno temu.**

**–Co się z nim stało?**

**–Został bankierem. Albo doradcą finansowym. Coś w tym stylu.**

**–Widujesz go czasem?**

**–Nie. Nie widziałam go od dziesięciu lat. – I dodałam po chwili: – Ostatnie wieści od niego były takie, że się ożenił i ma dwójkę dzieci.**

**–Nie wyobrażam sobie ciebie w roli żony bankiera.**

**–Ja też nie.**

**Ale czasem nadal go wspominałam i nie miałam nic przeciwko temu, żeby wpaść na niego na jakimś bankiecie. Oczywiście przez przypadek.**

**Kiedy Kalu ogłosił, że za siedem minut znajdziemy się u celu, wróciliśmy do centrum operacyjnego, gdzie czekał Alex. Shara usiadła w fotelu operatora.**

**–Kalu?**

**–Tak, Sharo?**

**–Przygotuj się do wyrzucenia pakietu Alfa.**

**–Czekam na rozkaz.**

**Przed nami rozciągały się rzędy monitorów. Na jednym był widok klapy wyrzutni z zewnątrz. Patrzyliśmy, jak się otwiera.**

**–Kto to jest Kalu, u licha? – spytał Alex.**

**–SI – odparłam.**

**–Wiem. Ale kim był ten gość?**

**–Kiedy rząd chciał zawiesić eksplorację międzygwiazdną dwa wieki temu – wyjaśniła Shara – znalazł się facet, który go od tego odwiódł. Z politycznego punktu widzenia nie ma go to kosztowało, bo ludzie nie chcieli za to płacić. Jeden z oponentów zapytał go, gdzie leży granica.**

**–I co mu odpowiedział?**

**–„Granica jest śmierć”. Był pierwszym sekretarzem Agencji Badań Planetarnych i Astronomicznych.**

**–Pierwszym sekretarzem???**

**–To było dawno temu. Wtedy nie było jeszcze dyrektorów.**

**–Rozumiem.**

**Na jednym z monitorów pojawiła się chmura gwiazd.**

**–Patrzcie – powiedziała Shara. – To Virginium. Dużo gorących, młodych gwiazd. Wystarczy wrócić tam za parę miliardów lat, a znajdziemy kilka nowych cywilizacji. – Uśmiechnęła się do Aleksa. Odniosłam wrażenie, że mu się spodobała. – Czas na start. Chcesz czynić honory?**

**–Nie, ty to zrób.**

**Łaskawość w jego głosie posłużyła mi za kolejną poszlakę. Alex uwielbiał ceremonie i teatralne gesty.**

**–Kalu – rzekła Shara – wystrzel Alfę.**

**Urządzenie wysunęło się przez klapę, silniki kierunkowe uruchomiły się.**

**–Alfa wystartowała – poinformował Kalu.**

**Urządzenie oddaliło się i znikło w ciemnościach. Moja kolej.**

**–Zapnijcie się. Kalu, przygotuj nas do startu.**

**Kalu potwierdził. Shara połączyła się z SI teleskopu Alfa i wydała jej ostatnie polecenia.**

**Kilka minut później na ekranie w pomieszczeniu operacyjnym pojawił się Brankov Wyglądał na zmęczonego.**

**–Znaleźliśmy trochę napisów wyrytych w kamieniu.**

**Pokazał nam jeden z nich. Duży blok marmuru z angielskimi literami. Nie byliśmy w stanie ich odczytać, ale przetłumaczył je dla nas: „Laboratorium Medyczne McCorby”. Poniżej była data: czternasty marca jedenastego roku.**

**–Przy tej ulicy znaleźliśmy też ratusz. I coś, co kiedyś było Ogrodem Botanicznym imienia Chalkoskiego, pół kilometra stąd.**

**Widziałam w oczach Brankova jakiś ogień. To była misja jego życia.**

**Kilka godzin później dokonaliśmy skoku o półtora miliarda kilometrów, żeby znaleźć się po drugiej stronie punktu kontaktu i wystrzelić Betę.**

**–Będziemy prowadzili pełne badanie nieba – wyjaśniła Shara – trzysta sześćdziesiąt stopni długości, dwadzieścia stopni powyżej i poniżej płaszczyzny orbitalnej.**

**Miałam wielką ochotę zapytać ją o tę płaszczyznę orbitalną, bo znajdowaliśmy się pośrodku niczego. Domyśliłam się, że chodzi nam o płaszczyznę układu, taką, jaka była dziewięć tysięcy lat temu.**

–Oba moduły będą pracowały równocześnie – wyjaśniła. – W sumie musimy zbadać czternaście tysięcy czterysta stopni kwadratowych. To oznacza, że potrzebujemy tysiąca sześciuset par obrazów. Pięć minut na naświetlanie plus czas na symulację kolorów.

Alex znów obrzucił ją cielecym spojrzeniem. Shara zrozumiała.

–Oznacza to – wyjaśniła – że powinniśmy zakończyć badanie w ciągu około sześciu dni.

–Doskonale – odparł. – I w którymś momencie znajdziemy tego brązowego karła, tak?

–Tak. A przynajmniej powinniśmy. Nałożymy na ekranie obrazy z teleskopu. – Postukała w środkowy monitor. – Zbadamy ruch w stosunku do gwiazd. Gwiazdy nie będą wykazywać żadnego ruchu przy robieniu kolejnych zdjęć, bo są za daleko. Ale coś, co jest blisko, będzie wyglądać, jakby skakało. I to będzie nasz brązowy karzeł.

–Jak będzie skakało? – spytałam.

–O trzydzieści do sześćdziesięciu sekund kątowych. Alex uśmiechnął się. Ile to jest?

–To nieistotne – odparła Shara. – Wystarczy szukać czegoś, co się oddzieliło. A jeśli je znajdziemy, zmierzmy prędkość kątową. To nam pozwoli w przybliżeniu określić, kiedy obiekt przeszedł przez układ.

–Przecież to już wiemy.

–Ale dobrze będzie potwierdzić. Im dokładniejsze dane, tym łatwiej znajdziemy Balfoura.

–Rozumiem – odparł Alex. – Doskonale.

–Problem w tym, że nie znamy temperatury karła, więc poszukiwania będziemy prowadzić w paśmie od dwóch do dziesięciu mikronów. To umożliwi wykrycie zarówno dość gorących karłów, jak i całkiem zimnych oraz wszystkich wariantów pośrednich. – Uniosła pilota. – Jesteśmy gotowi do startu?

–Oczywiście – odparł Alex.

Wymienili spojrzenia.

–Dziękuję – powiedział. – Ja to zrobię. Zamilkł, sięgnął po pilota i wystrzelił teleskop.

# TRZYDZIEŚCI JEDEN

Planet wystarczy dla wszystkich. Wystarczy polecieć, a zobaczycie kaniony, od których można dostać zawrotu głowy, puste plaże, pierścienie światła i rzeki z żelaza. Ale włóżcie płaszcze.

Tavron Hamm, *Tam i z powrotem*, szóste tysiąclecie

Kiedy rozpoczęły się poszukiwania, nie było już mowy o „Rozmowach z Cezarem”. Alex nigdy nie wychodził z pomieszczenia operacyjnego, chyba że wstanie wyższej konieczności. Obserwował niezamordowanie, jak obrazy zmieniają się co kilka minut, ukazując nowy skrawek nieba. Jeśli jakiś punkcik światła wyglądał na nieco rozmazany, Alex pochylał się nad nim uważnie w nadziei, że Shara zareaguje albo Kalu ogłosi znalezisko.

Czasem rozmawiał z Brankovem, który oświadczył, że jest absolutnie zafascynowany tym, co robimy.

–Życzę wam powodzenia – rzekł. – Mam nadzieję, że go znajdziecie. I że wasze spekulacje się potwierdzą.

Pierwszego dnia Shara tkwiła tam z Alekssem, ale po jakimś czasie dał się jej we znaki – był po prostu zbyt rozgorączkowany. Drugiego ranka powiedziała mu, żeby dał znać, jeśli coś znajdzie, i wyszła do wspólnej sali. Czasem wystawiałam głowę, żeby sprawdzić, co porabia, ale większość czasu spędzałam z Alekssem. Przypuszczam, że z powodu źle pojmowanego poczucia obowiązku.

–Czemu on się tym tak przejmuje? – spytała Shara. – Odkrył już tyle niesamowitych rzeczy. Co mu po tym, że jakaś grupka ludzi schroniła się w jakiejś bazie nie wiadomo gdzie? Czy może ja czegoś nie rozumiem?

–Dobrze rozumiesz – odparłam. – Nigdy nie widziałam go w takim stanie. To chyba ma coś wspólnego z „Poszukiwaczem”. Statek pełen dzieci. To naprawdę nim wstrząsnęło. On chyba nie kupuje pomysłu, że oni wiedzieli, co się stanie z jedną planetą, a nie wiedzieli, co z drugą. Przecież, musieli wiedzieć, że z nich dwóch Margolia jest bezpieczniejsza. Chce się dowiedzieć, czemu wskoczyli prosto w paszczę lwa. Sądzi, że jesteśmy im coś winni: odkrycie, jak było naprawdę.

–Jeśli rzeczywiście tak zrobili. Wcale nie jestem tego taka pewna.

–Ja też nie. Ale on ma jakiś instynkt.

–Chase, instynkt to jest dobry przy jedzeniu i seksie. Z logiką nie ma zbyt wiele wspólnego. – Potrząsnęła głową. – Jeśli oni rzeczywiście wysłali ludzi na Balfoura, to pewnie coś pomieszali w obliczeniach.



**–Ale przecież powinni byli to zauważyć, prawda?**

**–Pewnie – westchnęła. – Ale to już nie moja działka.**

**Potrzebowałyśmy jakiejś zmiany tematu.**

**–Sharo, zdziwiło mnie, że brązowe karły występują tak często. Czy ktoś sporządził jakiś katalog okolicznych?**

**–Żartujesz. – Znów się uśmiechnęła tym swoim łobuzerskim uśmiechem, który mówił: „Ależ nie bądź taka naiwna”. – Nie można zdobyć sławy, katalogując brązowe karły, więc nikt tego nie robi.**

**–Może Rada powinna się tym zająć.**

**–Taaa, jestem pewna, że mają to na porządku obrad, absolutny priorytet. Wspomniałam o tym kiedyś jednemu z ich ludzi, a on mnie spytał, z jakim wyprzedzeniem dowiemy się, jeśli jeden z nich miałby się pojawić w układzie.**

**–Z jakim?**

**–Jakieś dwadzieścia albo trzydzieści lat.**

**–I co powiedział?**

**–Że to wystarczająco dużo czasu, żeby się tym zająć.**

**–Serio? A co byśmy mogli zrobić, gdyby tak się stało?**

**–Nic by się nie dało zrobić. Z wyjątkiem ewakuowania planety.**

**–Ewakuowania planety?! Nie mamy środków, żeby to zrobić, prawda? Żeby przeprowadzić taką akcję?**

**–Ewakuować miliardy ludzi? Wątpię. – Siedziała z książką na kolanach. – Matematyka pewnie nie była jego mocną stroną.**

**Drugiej nocy spałam już, kiedy Alex zapukał do moich drzwi.**

**–Chyba coś znaleźliśmy – powiedział.**

**Obudziłam Sharę. Pojawiła się w szlafroku i siadła, by obejrzeć obrazy na ekranie. Wyglądało to jak dwie gwiazdy, jedna obok drugiej.**

**–To jest to? – spytałam.**

–Niewykluczone, że tak. Kalu, jaką mamy odległość?

–Sześćdziesiąt cztery setne. – Ułamek roku świetlnego.

–Prędkość ucieczki?

–Dwadzieścia dwa kilometry na sekundę. Zapisała liczby w notatniku.

–Wszystko pasuje. To jest prawdopodobnie to.

–Prawdopodobnie? – spytał Alex.

–Nie można tego jeszcze określić z całą pewnością. Powinniśmy przekonfigurować układy optyczne teleskopów, żeby uzyskać lepsze powiększenie.

–Dlaczego?

–Bo wtedy będziemy znali prędkość poprzeczną. Mając obraz trójwymiarowy, będziemy mogli określić, czy to na pewno to.

–Ile czasu nam to zajmie?

–Jakieś czternaście godzin.

–Dobrze. – Alex zatarł dłonie. – Wtedy będziemy mogli wyliczyć, gdzie jest planeta, tak?

–Jeśli hipoteza się potwierdzi.

–Świetnie. Sharo, jesteś prawdziwym skarbem.

Uśmiechnęła się skromnie.

–Robię, co mogę.

Stałam obok nich, czując się zbędna.

–Mogę wam jakoś pomóc?

–Nie. Dzięki. Wszystkim się zajmujemy. Możesz wrócić do łóżka.

–Tak. Doskonale, w takim razie do zobaczenia rano.

Ruszyłam w stronę drzwi. Shara nagle zwróciła się do Aleksa.

–Ale jest coś, co ty możesz dla mnie zrobić.

–Tylko powiedz, co to takiego.

–Nigdy jeszcze nie widziałam brązowego karła. Z bliska. Może zamiast tu siedzieć i czekać, aż dostaniemy wszystkie dane, wyskoczmy i rzucimy okiem?

–W porządku – odparł Alex. Perspektywa dodatkowej wycieczki niespecjalnie go ekscytowała, ale doskonale to ukrywał. Teraz nie miał na to ochoty. Ale wiedział, że jest to winien Sharze. Spojrzał w moją stronę.

–Chase?

–Załatwione, szefie.

–To znaczy – odezwała się Shara – skoro już zalecieliśmy tak daleko, dobrze byłoby go zobaczyć.

Zdziwiłam się.

–Nigdy nie widziałaś karta?

–Nigdy. Jakoś nie było okazji.

–Koniecznie musimy to zmienić.

Zrobiła zachwyconą minę, jak dziecko na przyjęciu urodzinowym.

–Traktujemy je jak coś naturalnego. Jest ich mnóstwo, a właściwie nic nie robią.

–No, czasem rozwalą jakiś układ.

–Owszem. Czasem.

Tuż przed skokiem odebraliśmy transmisję od Brankova. Znaleźli coś, co wyglądało na muzeum upamiętniające pierwszych osadników. Niewiele jednak ocalało. Zarówno eksponaty, jak i gabloty, w których je przechowywano, zostały uszkodzone.

–Ale udało nam się odczytać kilka inskrypcji. I to jest istotne. Kilka ziemskich dat. I nazwisk, których nie rozpoznajemy.

Podczas rozmowy zdołałam wtrącić, że znaleźliśmy brązowego karła.

–Bardzo się cieszę. A zatem potraficie określić, gdzie jest Balfour? Lecicie tam teraz?

–Najpierw polecimy rzucić okiem na karła. Mamy na pokładzie panią, która interesuje się niewielkimi obiektami.

–Rozumiem. Powodzenia. Dajcie znać, co się dzieje.

Wysłaliśmy wiadomość do Windy, żeby ją poinformować o postępach. Podtrzymywanie kontaktów z urzędniczką Agencji zajmującą się PR wydawało mi się sprytnym posunięciem.

Dokonałiśmy skoku i wynurzyliśmy się w odległości jednego dnia lotu. Brązowy karzeł wyglądał jak gazowy gigant, tylko że w pobliżu nie było słońca, więc światło, którym świecił, nie było światłem odbitym. Ogarniające wszystko chmury kryły obiekt o masie jakichś pięciu procent masy słońca.

–Jest trochę za lekki – wyjaśniła Shara. – Gwiazda musi mieć około ośmiu procent masy słońca, żeby zapłonąć. – Żeby stać się prawdziwą gwiazdą. Była tam niezła kolekcja księżyców, w sumie jedenaście, i wstęgowaty pierścień, nie od razu widoczny.

Sam karzeł – co za zabawne określenie na coś tak ogromnego – wyglądał po prostu jak kula z delikatnie podświetlonych chmur barwy błota z paroma czerwonymi smugami i plamkami. Z pomiarów wynikało, że temperatura powierzchni wynosi 800 K.

–Te plamki to burze – rzekła Shara.

Tego dnia wręcz promieniała. Nigdy nie widziałam jej tak rozradowanej. Stała twarzą w twarz z obiektem, który – jak to ujęła – był czymś ważnym w jej życiu.

Stała przy iluminatorze, skąpana w jesiennym świetle.

–Jest wspaniały, prawda?

–Tak – odparłam.

–Klasa T. Dużo metanu. I jest tam woda.

–Woda?

Skinęła głową.

Podeszłam i stanęłam obok niej. Objęła mnie.

–Chase, cofam wszystko, co powiedziałam. Bardzo się cieszę, że tu jestem.

Stałyśmy i nadal wymieniałyśmy uprzejmości, kiedy przerwał nam baryton Kalu.

–Mamy prędkość poprzeczną.

Shara skinęła głową i ruszyła do centrum operacyjnego.

–Zobaczmy, jak to wygląda.

Kalu przedstawił trójwymiarową projekcję. Tutaj brązowy karzeł. Tam linia do chwili wejścia

do układu, a tam, w kierunku zespołu monitorów, Margolia i jej słońce. W punkcie wejścia.

–Nie przecinają się – zauważyłam. – Coś nie gra.

–Kalu, sprawdź to, proszę.

Spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami. Takie rzeczy się zdarzają.

–Projekcja jest poprawna, Sharo.

–To niemożliwe – mruknęłam.

–Tak. Nie przeszedł przez ten układ. – Sprawdziła odległości. – To nie ten. Najbliżej znalazł się w odległości ułamka roku świetlnego, jednej dwudziestej.

Zauważyłam Aleksa, który stał w milczeniu przy włączniku i słuchał.

–Czy to znaczy, że coś pomyliliśmy? – spytałam. – Że w okolicy są dwa brązowe karły?

–To możliwe. – Usiadła przy jednej z konsol operacyjnych i trójwymiarowy obraz znikł. – Istotnie, sześćdziesiąt procent brązowych karłów przemieszcza się w parach.

–Naprawdę?

–Tak. Towarzysz znajduje się zwykle w odległości jednej dziesiątej roku świetlnego. – Wrzuciła na monitory obrazy z teleskopów. Widoki z przodu i z tyłu, z obu promieni. – Nie – jest zbyt prawdopodobne, by to coś przeszło w pobliżu Margolii, gdy jakiś zupełnie inny, niezwiązany karzeł rozwalil układ. Prawdopodobnie więc...

Na tle kosmicznej pustki na sterburcie pojawiła się krwistoczerwona gwiazda. Pierwszej wielkości.

–To jest to?

–Sprawdzę i powiem wam, jak będę wiedzieć.

Znajdował się w odległości mniej niż roku świetlnego od naszej pozycji, a jego prędkość poprzeczna i kątowna były praktycznie identyczne z prędkością brązowego karła.

–To jeden z tych krwistoczerwonych – powiedziałam.

–Na to wygląda.

Postukała przez chwilę w klawisze i spojrzała na przelatujące po ekranie liczby. Zatrzymała je. Zobaczyliśmy współrzędne. Shara wykonała symulację trasy karła do chwili, aż znalazł się w układzie Tinicum. W punkcie wejścia.

**–To jest wasz intruz – oświadczyła. – Bez dwóch zdań.**

**–Wspaniale. – Alex opadł na fotel obok niej. – Teraz dowiedzmy się, co się stało z Balfourem.**

**–Daj mi trochę czasu.**

**Wysłałam wiadomość do Windy, a potem wróciłam do swojej kajuty i usiłowałam czytać. Byłam zmęczona. Leżałam i wsłuchiwałam się w różne odgłosy statku. „Duch” był o wiele bardziej hałaśliwy niż „Belle Marie”. Kajuty były ciasniejsze. I był jakiś bezosobowy. Nie mogę dokładnie określić, czemu. Może z powodu SI Kalu nie był specjalnie charyzmatyczny.**

**W końcu poddałam się, wzięłam prysznic i włożyłam czyste ubranie. Na zewnątrz Shara właśnie coś wyjaśniała. Miała poważną minę. Alex był blady. Shara machnęła w moim kierunku.**

**–...niekoniecznie oznacza, że został połknięty. Alex zaczerpnął powietrza.**

**–Shara przypuszcza, że mogło dojść do kolizji.**

**–Mogło – mruknęła.**

**–Uderzył w Balfoura bezpośrednio?**

**–To możliwe.**

**–Zapadła cisza.**

**–Posłuchaj. – Shara obniżyła głos, jakby chciała powiedzieć: „tylko spokojnie”. – Musimy to wszystko dokładnie sprawdzić. Potrzebuję trochę czasu, żeby dokładnie przejrzeć liczby. Może wtedy będziemy wiedzieli, co się dokładnie stało.**

**Alex spojrzał na mnie.**

**–Chase, skontaktuj się z Emilem. I zabierajmy się stąd.**

**–Dokąd?**

**–Obejrzeć intruza.**

**Przechyliliśmy się na sterburtę. Intruz świecił daleką, czerwoną poświatą. Obraliśmy jego kierunek, podaliśmy odległość Kalu i zapięliśmy pasy.**

**–Tylko nie skacz za blisko – ostrzegła mnie Shara. – Przy takich obiektach trzeba być bardzo ostrożnym.**

**Zawsze byłam osobą, dla której bezpieczeństwo jest najważniejsze. I z tego powodu, jak również dlatego, że napęd kwantowy był tak nieprecyzyjny, wyskoczyliśmy w odległości trzech**

**dni lotu. Wystarczająco blisko.**

**I znów uderzyło mnie podobieństwo karła do gazowego giganta. Tylko że ten był czerwony, nie miał widocznych księżyców ani pierścienia. Na jego powierzchni kłębiły się tornada i cyklony.**

**–To jest żelazo – rzekła Shara.**

**–Co?**

**–Chmury. Poza tym krzemiany i korund.**

**Od czasu do czasu chmury rozpraszały się, odsłaniając widok na jeszcze gorętsze miejsca. Shara nie odstępowała od przyrządów, zaś Alex przyglądał się temu z niepokojem.**

**–Czego szukasz? – spytał.**

**–Może niespodzianki. Mam dobrą nowinę: nie połknął Balfoura. Ale niedawno coś przekąsił.**

**–Co takiego?**

**–Prawdopodobnie księżyc Balfoura. Minął Balfoura w odległości kilkuset tysięcy kilometrów. I założę się, że zabrał mu księżyc. Wiadomo, czy Balfour miał satelitę?**

**–Nie wiadomo.**

**–Dobrze. Założę się, że tak.**

**–Skąd wiesz?**

**Wskazała na linie na centralnym ekranie.**

**–Jego atmosfera jest nasycona krzemianami.**

**–I o czym to świadczy?**

**–Że połknął księżyc. I stało się to mniej więcej w momencie przecięcia.**

**Alex wziął głęboki oddech.**

**–Skąd wiesz, że to nie był Balfour?**

**–To nie była planeta. – Obróciła się, by spojrzeć na niego.**

**–Księżyce planet przypominających Ziemię zbudowane są z tego, co się oderwało od planety podczas solidnego uderzenia. Przypomnijcie sobie, z czego zbudowane jest Rimway. Żelazne**

**jądro i płaszcz z krzemianów. Nasz księżyc jest zbudowany głównie z ubogiego w żelazo materiału płaszcz.**

**–Wskazała na ekran. – Spójrzcie na te linie. Widać, że nie ma tam żelaza.**

**Ja nie widziałam i przypuszczałam, że Alex też nie. Ale to nie miało znaczenia. Shara widziała i to wystarczyło.**

**–Gdzie więc jest Balfour?**

**Uśmiechnęła się szeroko.**

**–Zbliżył się na tyle, że stracił satelitę. A więc najprawdopodobniej po prostu podąża za karłem.**

**–Można go zobaczyć?**

**–Próbowałam. Jeszcze nie.**

**–Dobrze. Mamy czas.**

**–Doskonale. Jest jeszcze jedna możliwość.**

**–Jaka?**

**Kilka minut później druga możliwość objawiła się, gdy zza karła wyłoniła się błękitna gwiazda.**

**–Chase, Aleksie. Cieszcie się tą chwilą. Jeśli tylko całkiem nie spapraliśmy sprawy, właśnie widzicie Balfoura.**



# TRZYDZIEŚCI DWA

Użyj oczu zamiast mózgu, a pożałujesz.

Delis Tolbert, *Przygody Omara Paisleya*, 1417

Chyba nie ma wątpliwości – rzekła Shara. – To jest nasza zaginiona planeta.

Wreszcie uzyskaliśmy przyzwoity obraz z teleskopu. I od razu zobaczyliśmy oceany! I dużo zieleni. Alex wyglądał na wzruszonego.

–Tam jest życie – powiedział.

Shara skinęła głową.

–Na to wygląda. – Po czym zwróciła się do mnie: – W jakiej odległości od karkła się znajduje?

Przekazałam pytanie Kalu.

–Jakiś milion kilometrów. Może trochę więcej. Klasnęła w dłonie.

–Wystarczająco blisko. Kto by pomyślał?

To był cudowny moment. Zaczęliśmy tańczyć, wznosić okrzyki radości i obejmować się. Alex mocno mnie przytulił.

–Jest zwrócona do gwiazdy zawsze tą samą stroną – poinformował Kalu. – Okres orbitalny to około dwa i sześć dziesiątych dnia.

Powrót do rzeczywistości zajął nam kilka minut. Dokonaliśmy szturmu na barek i rozdaliśmy drinki. Wznieśliśmy toast za Balfoura.

–Genialne – rzekł Alex.

–Co takiego? – spytałam. – Co jest genialne?

–To, co zrobili Margolianie. Teraz wiemy, że ewakuowali ludzi na Balfoura.

–Myślisz, że wiedzieli, co się stanie?

–Tak. – Shara miała zdumioną minę. – Przewidzieli to. Może nie mieli pewności. Nie wiem, jakim sprzętem dysponowali. Ale wiedzieli, że Balfour może wyjść z tego cało.

–Więc czemu się tak zasepiłaś?

–Cóż, warunki życia na powierzchni w chwili katastrofy i przez długi czas po niej musiały być

trudne.

–Dlaczego?

–Energia obrotowa musiała ulec rozproszeniu w ciągu kilkudziesięciu lat po przechwyceniu przez karła. – Wprowadziła do notatnika kilka równań. – Musiały tam często występować trzęsienia ziemi, fale tsunami, tajfuny, wybuchy wulkanów. Globalne ocieplenie przez pierwsze sto lat. Znaczące parowanie. Wszędzie musi być dżungla.

–Tu też? – spytałam.

–Tak. Po katastrofach, wskutek których robi się gorąco i mokro, doskonale rozwija się dżungla. – Potrząsnęła głową. – Musieli być nieźle zdesperowani, skoro przenieśli się na Balfoura, i trudno mi określić, czy udało im się tu przeżyć.

Zastanawiałam się, czy nie wolałabym zginąć z ojczystą planetą niż przenosić się na inną, porwaną w otchłań kosmosu przez niesforne go karła.

Po jednej stronie Balfoura cały czas panowała ciemność. Ale i tak wycelowaliśmy w nią teleskopy i wstrzymaliśmy oddech. Nie wiem, czego się spodziewaliśmy ani na co miał nadzieję Alex. Ale nikt nie powiedział ani słowa. Zgodnie z oczekiwaniami, nie pojawiła się tam ani iskierka światła.

–Jeśli w ogóle ktoś przeżył – powiedziała Shara – czyli jeśli byli w stanie założyć tam bazę i utrzymać ją, to i tak nie znajdowałyby się ona po ciemnej stronie. Jest tam za zimno.

Spojrzałam na dane z czujników, które nadal badały brązowego karła, rejestrując jego masę i siłę grawitacji, okres obrotowy i rozkład pierwiastków w chmurach. Temperatura powierzchni wynosiła 1300 K.

–To młoda gwiazda – powiedziała Shara. – O wiele młodsza niż ta pierwsza. Gwiazdy stygną z czasem. – Zaśmiała się. – Jak faceci. – Zza maski astrofizyka wyjrzała dawna dziewczyna, która lubiła się bawić.

–Ile ma lat? – spytałam.

–Koło stu milionów.

–I ona jest młoda?!

–Tak. Stosunkowo.

Uwielbiam styl wyrażania się tych ludzi. Alex przyglądał się obrazom z Balfoura, nie zwracając na nas uwagi.

–Chciałbym polecieć na powierzchnię i sprawdzić, jak to wygląda. Jakie warunki tam panują,

**jak sądzisz?**

**Shara już miała odpowiedzieć, ale zdążyła tylko wspomnieć, że wystarczy dobrze wybrać miejsce, a warunki będą znośne, gdy zobaczyła, że jakaś kontrolka zamigotała, i przerwała w pół słowa. Przełączyłam sygnał na boczny monitor.**

**–Co się dzieje? – spytał Alex.**

**–Odbieramy kod alarmowy. Poprosiłam o potwierdzenie, żeby się upewnić.**

**–Tutaj? – spytała Shara. – A ktoś może być w tarapatach tutaj?**

**–Kalu, mamy coś na optycznej? – spytałam.**

**–Nie, Chase. Próbuje coś namierzyć.**

**–Mamy sygnał głosowy? – odezwała się Shara.**

**–Nie. Tylko brzęczyk.**

**–Dziwne – mruknął Alex. – Tutaj nie powinno nikogo być.**

**–Ale ktoś jednak jest – odparłam.**

**–Chase, mam współrzędne.**

**Spojrzeliliśmy po sobie. Wszyscy mieliśmy złe przeczucia.**

**–Kalu, mamy już coś na optycznej?**

**–Wrzucam na ekran.**

**To była kapsuła-Y. Moduł ratunkowy. Coś, co pozwala przeżyć, aż pojawi się pomoc. Ale włącz był otwarty! Powiększyliśmy obraz.**

**–W fotelu pilota ktoś siedzi – zauważyła Shara. Może ma skafander. Otworzyłam kanał.**

**–Wzywam łódź ratunkową. Opisz swoją sytuację. Przełączyłam na odbiór, ale usłyszałam tylko szum fali nośnej.**

**Alex pochylił się do mikrolonu.**

**–Wzywam łódź ratunkową. – Brzmiał, jakby był niezbyt przyjaźnie nastawiony. – Możecie odpowiedzieć?**

**–Kalu, gdzie to jest?**

**–Pozycja zero-trzy-cztery przez dwa-siedem. Odległość czterysta dwadzieścia pięć kilometrów.**

**–Jakieś ślady po statku?**

**–Jest jakiś, zbieram dane.**

**–Podaj szczegóły.**

**–Wygląda jak prywatny jacht. Na kadłubie ma oznaczenia KY. Reszta nie jest widoczna. Najprawdopodobniej dryfuje. Zasilanie działa, ale na niskiej mocy.**

**–Dobrze – powiedziałam. – Lecimy w stronę kapsuły najkrótszą możliwą drogą. Przypnijcie się.**

**–Czekaj – przerwał Alex. – To pułapka. Jestem pewien.**

**–I pewnie się nie mylisz – odparłam. – Za duży zbieg okoliczności. Ale to bez znaczenia. Nie możemy ryzykować i go zostawić. Ruszajmy się. Nie wiemy, od jak dawna tu jest.**

**Alex skinął głową.**

**–Najpierw musimy podjąć jakieś środki ostrożności.**

**–Kalu, podaj orientacyjny czas kontraktu.**

**–Ile paliwa chcemy zużyć?**

**–Wszystko jedno. Lecimy jak najszybciej.**

**–Rozumiem. Trzynaście minut.**

**–Jakie środki ostrożności?**

**Człowiek w fotelu pilota nie ruszał się. W środku było ciemno i trudno było coś dostrzec.**

**–Lepiej się pospieszmy – powiedziałam, kiedy ustawiliśmy się obok kapsuły. Wstałam z fotela, ale Alex spytał ostrym tonem, co takiego robię.**

**–Idę go zabrać.**

**–Nie. Ja to załatwię.**

**–Nie ustaliliśmy, że to ty masz po niego wyjść.**

**–Może nie wyraziłem się jasno. Wybacz. Ale to nie jest robota dla kobiety.**

**O Boże, znowu.**

**–Aleksie, ja mam więcej doświadczenia w nieważkości.**

**–Co to za problem? Pokonać dziesięć metrów, wyciągnąć go i przywlec?**

**Cóż, w rzeczywistości Alex wcale nie musiałby wychodzić na zewnątrz i mogłam się przy tym upierać. W końcu to ja jestem kapitanem. Ale nie sprawiało to dużej różnicy. A kiedy testosteron buzuje, lepiej się mu po prostu poddać.**

**–Dobrze – oznajmił. – Do roboty. – Rzucił spojrzenie w stronę Shary.**

**Kilka minut później, w skafandrze, pędził do ładowni – przypominam, że panowała tam próżnia. Włączyłam mu światło i otworzyłam klapę ładunkową, gdy się do niej zbliżył.**

**Kalu manewrował ostrożnie silnikami sterującymi i pokierował statkiem tak, że kapsuła wsunęła się przez klapę ładunkową. Potem unieśliśmy się i kapsuła opadła do specjalnej kolebki.**

**–Doskonale – oznajmił Alex. – Zakończyliśmy manewr.**

**Uruchomiłam zamki magnetyczne, żeby zabezpieczyć kapsułę i zapewnić Aleksowi niewielką siłę przyciągania. Podeszedł ostrożnie do otwartej klapy, zajrzał do środka i stanął twarzą w twarz z wycelowanym laserem. Dostrzegłam go w tej samej chwili co on.**

**–Cofnij się – rozległ się z głośników znajomy głos. Mężczyzna. – Żadnych gwałtownych ruchów.**

**Alex zastygł.**

**–Kolpath, zakładam, że też mnie słyszysz. Jeśli będziesz próbować czegokolwiek, ale naprawdę czegokolwiek poza wykonywaniem moich poleceń, zabiję go. Rozumiesz?**

**Po chwali przypominałam sobie. Charlie Kverson. Młody człowiek, który zaproponował nam bilety na wahadłowiec.**

**–Dobrze – odparłam. – Nie rób mu krzywdy. Nie będziemy sprawiali kłopotu.**

**–Doskonale. Mądra dziewczynka.**

**Alex odzyskał głos.**

**–O co w tym chodzi? – spytał. – Czego chcesz, Everson?**

**Charlie wysunął się z kapsuły.**

–Jestem pewien, że wiesz. – Jego głos ociekał pogardą. – A teraz odwróć się, idź prosto przed siebie i niczego nie dotykaj.

Alex ruszył. Charlie trzymał laser wycelowany w jego plecy.

–O co w tym wszystkim chodzi? – dopytywał się Alex.

–Po prostu idź.

Alex zaczął się obracać i Charlie wystrzelił z lasera w pokład. Alex zamarł. Charlie odczekał kilka sekund i wyłączył laser.

–Łatwo mnie przestraszyć – powiedział. – Żadnych zbędnych ruchów.

–Chase – odezwał się Kalu – mamy przebicie dolnego pokładu.

–Wszystko gra – mówił dalej Charlie. – Robicie, co wam każę, a nikomu nie stanie się krzywda.

Miał na sobie żółty skafander bez żadnych oznaczeń. Alex był w standardowym skafandrze Agencji, barwy leśnej zieleni. Dotarli do korytarza, gdzie panowała nieważkość, i wynurzyli się na głównym pokładzie. Usłyszałam, jak wchodzi do śluzy i zamykają właz. Zaczęło się pompowanie powietrza.

Wewnętrzny właz otwierał się prosto na mostek. Odwróciłam się w jego stronę.

–Dla kogo pracujesz? – spytał Alex.

–A po co ci ta informacja?

–To ty podłożyłeś bombę, tak? Wysadziłeś wahadłowiec i zabiłeś dwadzieścia trzy osoby.

–Tak. Pewnie ja. Dokładnej liczby nie pamiętam. – Mówił całkowicie spokojnie, złowieszczco. – Kolpath?

–Czego chcesz, Charlie?

–Chcę ci tylko o czymś przypomnieć. Żadnych niespodzianek, kiedy właz się otworzy. Ty i druga kobieta macie stać tuż przed śluzą. Z rękami w górze. Jeśli was tam nie będzie, zabiję go. Zrozumiano?

–Jaka druga kobieta?

–Przestań sobie stroić żarty. Doskonale wiesz, o kim mówię. O tej Michaels.

–Nie ma jej na pokładzie. I nie ma tu nikogo poza Aleksem i mną.

–Kłamiesz.

–Sprawdź sam.

–Co się z nią stało?

Kontrolka na włązie była pomarańczowa. Pompowanie nadal trwało.

–Ona...

–...przesiadła się na pokład „Gonzaleza”, kiedy zatrzymaliśmy się w pobliżu Margolii – dokończył Alex.

–Po co? – Najwyraźniej nie kupował tej historyjki.

–Miała kochasia na pokładzie – odparł Alex. – Głupia zdzira. Tylko dlatego z nami poleciała.

Cóż, było to lepsze niż moja historyjka. Miałam powiedzieć, że w ostatniej chwili się rozchorowała.

–Kłamiesz.

–Jak mierzysz we mnie z lasera? Głupi pomysł.

Zawahał się i najwyraźniej nie miał pomysłu, co teraz zrobić.

–Jeśli coś się stanie, cokolwiek, co mi się nie spodoba, rozwalę was. Jasne?

–Jasne.

–Jesteś tam, Kolpath?

–Zrobimy, co nam każesz, Charlie.

–Jeśli zobaczę tam kogoś jeszcze, kogokolwiek, rozwalę go.

–Przestań – wtrącił Alex. – Ona się boi.

–I bardzo dobrze. Odrobina strachu w takiej sytuacji to zdrowa reakcja.

–Rób, co ci każe, Chase. To świr.

–Licz się ze słowami – warknął Charlie.

–Czemu? A co mi zrobisz? Zabijesz mnie?

–Skoro tego chcesz.

**–Zostaw go. Zrobimy, co nam każesz.**

**Kontrolka stanu zmieniła kolor na zielony. Zajął miejsce kilka kroków przed służą i podniosłam rękę.**

**–Kalu, otwórz właz.**

**Właz otworzył się na całą szerokość. Charlie kazał Aleksowi wejść, a następnie wetknął głowę i rozejrzał się. Nikogo nie zobaczył. Machnął ręką w stronę grodzi.**

**–Wy oboje, tam. Ręce do góry.**

**Zrobiliśmy, co nam kazał, a on zdjął hełm. Wziął głęboki oddech.**

**–Co za smród.**

**Nie wiedziałam, czy ma na myśli zapach własnego hełmu, czy powietrza na mostku. Alex zdjął hełm.**

**–Skąd wiedziałeś? – zwrócił się do Charliego. – Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?**

**Charlie wzruszył ramionami. A co za problem.**

**–Wiem o wszystkim, co robicie.**

**–Ty psycholu – warknęłam – o co ci chodzi?**

**Najwyraźniej nie miał ochoty wdawać się w polemikę. Wycelował laser w moją stronę. Rzuciłam się na pokład. Wystrzelił jakąś sekundę później. Promień przypalił mi nogę tuż pod kolanem. Krzyknęłam i przetoczyłam się na bok. Alex ruszył w stronę Charliego, ten jednak wycelował broń w jego kierunku.**

**–Nawet nie próbuj. Alex zamarł.**

**–Koniec z pyskowaniem. – Obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem, obrażony. – Jeszcze raz to zrobisz, a uciszę cię permanentnie. – Alex podszedł, by mi pomóc, a Charlie rozglądał się po mostku. Zauważył kilka butli z tlenem.**

**–Chyba nie macie nic przeciwko temu, że je sobie pożyczę na drogę powrotną.**

**–A wybierasz się gdzieś? – spytałam.**

**Noga nie krwawiła, ale bolała jak diabli. Alex próbował wydostać jakąś maść z apteczki, ale Charlie mu zabronił.**

**–Nie rób niczego bez pozwolenia. Drzwi służby nadal były otwarte.**



**–Kalu, zamknij właz – powiedziałam. SI wykonała polecenie.**

**–Nie trzeba było tego robić, Chase – mruknął Charlie. W tym, jak wymawiał moje imię, było coś obscenicznego. – Nie zamierzam tu długo zostać.**

**–Siła przyzwyczajenia. – Spojrzałam na niego wyzywająco.**

**Zajrzał przez drzwi do korytarza.**

**–Sprawdźmy tylko, czy naprawdę jesteśmy sami. Cofnął się, starając się trzymać jak najdalej od nas.**

**–Benedict, ty pierwszy. Jeśli zrobisz coś nie tak, zastrzelę ją.**

**–Ostrożnie z tym – warknął Alex.**

**–Po prostu rób, co ci każę.**

**Wstałam. Nie było to aż tak bolesne, jak byłoby przy pełnym ciąży, ale nadal musiałam starać się odciążać oparzoną nogę.**

**Pokuśtykałam za Alekssem do korytarza, a Charlie siedł za nami. Wszystkie drzwi były zamknięte.**

**–Będziemy je otwierać jedno po drugim – oświadczył Charlie. – Chase, trzymaj się blisko mnie.**

**Poczułam rękę na ramieniu.**

**–Jeśli kogoś znajdę, zginie.**

**–Nikogo tu nie ma, Charlie – rzekł Alex.**

**Jego kajuta była przy samym mostku. Pierwsze pomieszczenie.**

**–Kalu, otwórz pierwszą kajutę. Drzwi schowały się w suficie.**

**–Do środka – polecił Aleksowi Charlie. Poszłam za nim. Zatrzymał się w drzwiach, tak by móc obserwować korytarz. W środku była pojedyncza szafka.**

**–Otwórz – rozkazał Charlie.**

**Alex uruchomił przełącznik i drzwi znikły w grodzi. Kilka koszul, para spodni, marynarka. Poza tym w szafce nie było nic.**

**Ruszyliśmy dalej korytarzem.**

**–To twoja kajuta? – spytał Charlie, patrząc na mnie.**

**Wszędzie walały się ubrania.**

**–Tak.**

**–Niezły burdel. – Otworzyliśmy szafkę. Pełna ubrań. – Zawsze bierzesz ze sobą tyle ciuchów, Chase? – spytał ze złośliwym uśmiechem.**

**–Lubię być przygotowana na wszystko – odparłam. Noga zaczęła już solidnie boleć. Oparłam się ogródz, próbując trzymać się prosto.**

**Następna była kajuta Shary. Alex otworzył drzwi i pokazał Charliemu nieużywane pomieszczenie. W szafie było pusto. Charlie już zobaczył jej ubrania w mojej kajucie. Dał znak, że to mu wystarczy, i ruszyliśmy dalej.**

**Wchodziliśmy po kolei do wszystkich kajut, zgodnie z tą samą procedurą. Zbadaliśmy pomieszczenie operacyjne, wspólną salę, łazienki i niewielki magazyn na końcu korytarza.**

**Charlie miał niepewną minę. Był przekonany, że w końcu znajdzie Sharę Michaels.**

**–Jak udało się wam prowadzić poszukiwania, nie mając na pokładzie jakiegoś technika?**

**–Żaden technik nie jest mi potrzebny – odparłam obrażonym tonem.**

**–Jasne.**

**Machnął laserem, żeby dać nam do zrozumienia, że mamy iść z powrotem na mostek. W jego oczach było coś bezwzględne i chłodne. Czysty lód. Nadal rozglądał się dookoła. Kiedy dotarliśmy na mostek, zauważył właz w pokładzie. Ten, który prowadził do magazynu części.**

**–Co to jest?**

**–Właz – odparłam.**

**W ten sposób zarobiłam cios, który rzucił mnie na kolana. Alex obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. Przestań go prowokować.**

**–Co tam jest? – dopytywał się Charlie. – Tylko bez wygłupów.**

**–Części – odparłam. – Wyposażenie.**

**–Otwórz.**

**Wydałam polecenie Kalu i właz otworzył się. Charlie kazał nam się odsunąć, spojrział w dół i coś mruknął.**

–Dobrze. Możesz zamknąć. Uruchomił komunikator i wyjął słuchawki.

–Wszystko gra – powiedział do kogoś po drugiej stronie. Nie usłyszeliśmy odpowiedzi.

Charlie skinął głową.

–Wszystko pod kontrolą.

Kolejna odpowiedź kogoś, kto był na jachcie.

–Dobra. – Charlie nie spuszczał z nas wzroku. – Za minutę zmieniamy kurs – mówił dalej swojemu wspólnikowi. – Kiedy się zbliżymy, zrównaj się z nami. Na sterburcie. Po prostu jej powiedz, a ona to załatwi. Wracam za parę minut. – Posłuchał i skinął głową. – Dam ci znać, jak będzie gotowe.

Zaczęłam się zastanawiać nad tą zmianą kursu, ale milczałam. Napotkałam wzrok Aleksa i zrozumiałam. Nie jest dobrze.

Charlie nadal słuchał.

–Dobrze – powiedział w końcu. Skinął jeszcze parę razy głową, ale nie słyszeliśmy, czego słucha. Potem przerzucił połączenie na głośnik. – Szef chce z wami gadać.

Alex pokiwał głową.

–Cześć, Windy.

–Och – odezwała się. To był jej głos, przepełniony smutkiem i żalem. Mówiła szeptem. Gdybym siedziała naprzeciwko niej, pewnie dałabym się nabrać. – Więc wiedziałeś.

–Pewnie. Nikt inny nie miał pojęcia, że tu jesteście.

–Doskonale. – Zamilkła na chwilę. – Chciałam wam tylko powiedzieć, że jest mi bardzo przykro, iż tak to wyszło.

–To wszystko twoja robota – mruknęłam.

–Próbowałam ci przemówić do rozsądku, Chase. Ale nie chciałaś mnie słuchać. Ani ty, ani twój świętoszkowaty partner nie chcieliście się wycofać. Plądrowaliście stanowiska archeologiczne, kradliście artefakty i sprzedawaliście je dla zysku. Żal mi was, Chase. – Głos jej zadrżał. – Mogliście robić takie wspaniałe rzeczy. A zmusiliście mnie do czegoś takiego. Nigdy tego nie przeboleję, ale ktoś musiał was powstrzymać.

–Dlaczego zabiłaś Olliego? – spytał Alex.

–Bo na to zasłużył i tu powinniście się ze mną zgodzić. To on spustoszył bazę na Gideonie V.

**Przekupił kogoś z biura. Powiedziałam wam prawdę. Nie okłamywałabym was.**

**–Ale nie mówiłaś całej prawdy.**

**–Sądzisz, że powinnam? Tyle razy was ostrzegałam, że to, co robicie, jest złe.**

**–Więc to ty podłożyłaś bombę w wahadłowcu?**

**–Nie. Nie chciałam tego.**

**–To był mój pomysł – rzekł Charlie. Ta chwila miała w sobie coś surrealistycznego. Charlie stał, uśmiechając się, dumny z siebie. – Plan wydawał się niezawodny. Mało komu zdarza się tak spieprzyć sprawę jak wam.**

**–Trzeba było was jakoś powstrzymać. Powiedziałam mu, żeby się tym zajął, ale miał załatwić to tak, aby wyglądało na wypadek. Nigdy nie przypuszczałam...**

**–Teraz już nie ma co nad tym dumać – mruknął Charlie. – Stało się.**

**Alex spróbował opuścić ręce, ale Charlie dał mu znak, że ma je trzymać w górze.**

**–Nie zabiłaś Olliego dlatego, że splądrował bazę na Gideonie V, prawda? – spytał. – Zabiłaś go, bo zaczynał się domyślać, co się dzieje.**

**–Zabiłam go z powodu bazy na Gideonie V. Ale to prawda, zaczynał kojarzyć fakty. I był aż tak dumny, że zadał mi to samo pytanie co wy: czy katastrofa wahadłowca to moja sprawka. Obraził mnie tym.**

**–W to nie wątpię – mruknął Alex.**

**–Mówię serio. Nie chciałam, żeby ci wszyscy ludzie zginęli. Gdybym tylko wiedziała...**

**–Skąd wiedziałeś? – spytałam Aleksa.**

**–A cóż innego mógł chcieć ci powiedzieć? – odparł. – „Uważajcie na Windy”.**

**–Nie mam dla niego ani odrobiny współczucia. Przecież to była zwykła hiena cmentarna. Która przekupiła jednego z naszych pracowników, żeby mieć dostęp do informacji. Właśnie tym mnie wkurzył. Tacy ludzie jak wy i on są kompletnie amoralni. Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale tak jest. Ty też, Chase. Przekupiłaś Sharę. A tak przy okazji, czemu ona się nie odzywa? Cześć, Sharo. Przykro mi, że dałaś się w to wpakować.**

**–Shary tu nie ma – rzekł Charlie. – Tylko ta dwójka.**

**–Ależ oczywiście, że jest, Blink. Sprawdź dokładnie. I uważaj. Ona tam gdzieś jest. Wywołaj mnie, jak skończysz.**

**Przerwała połączenie, a ja przerwałam je po naszej stronie. Nie chciałam, żeby Windy podsłuchiwała nas przez następne parę minut.**

**–Blink? – spytał Alex. – To ty?**

**–Tak. – Rozejrzał się nerwowo dookoła, jakby się bał, że ktoś go zajdzie od tyłu. – Dobra, gdzie ona jest?**

**–Windy się myli – rzekł Alex. – Shara jest na „Gonzalezie”.**

**Przesunęłam się trochę w prawo. Dalej od Aleksa. Alex odczekał chwilę i przesunął się w moją stronę. Charlie zareagował ruchem w prawo. Wolał trzymać się w pewnej odległości od nas. My zaś chcieliśmy pomału wmanewrować go tak, żeby stał plecami do śluzu ładunkowej.**

**–Jak ty się naprawdę nazywasz, Blink? – spytał Alex.**

**–A jakie to ma znaczenie? Gdzie jest ta zdzira?**

**–Nie ma jej tu.**

**Wycelował Aleksowi laser prosto między oczy. Alex wzdrygnął się, ale nie cofnął.**

**–Powtarzam – powiedział – tu jej nie ma. Wiesz, że jej tu nie ma.**

**–Dobra. To bez znaczenia. – Wycelował broń w fotel pilota. – Siadaj, Chase. Ty też, Benedict.**

**Wykonaliśmy polecenie.**

**–Chase, wprowadź statek na kurs kolizyjny. – Skinął w kierunku brązowego karła.**

**Zaczęłam się odwracać, ale uniósł laser tak, że bym go widziała. Zwłaszcza koniec. Wielki, czarny, śmiercionośny.**

**–Kalu. Nowy kurs. Lecimy w kierunku brązowego karła.**

**–Wchodzimy na orbitę?**

**–Nie. – Zawahałam się.**

**Charlie przycisnął mi laser do szyi. Metal był chłodny.**

**–Powiedz mu – warknął.**

**–Kurs kolizyjny.**

**–Kapitanie, proszę o potwierdzenie.**

**–Potwierdzam.**

**–Rozumiem. Będzie konieczna niewielka poprawka w stosunku do obecnego kursu.**

**–Wykonaj.**

**–Będziemy przyspieszali przez parę sekund. Alex patrzył na mnie.**

**–Wiesz, Charlie, Blink, czy jak ci tam, w końcu cię złapią.**

**–Możliwe. Ale mało prawdopodobne.**

**–Dwie minuty do manewru – oznajmił Kalu.**

**–Doskonale – rzekł Charlie. – Zapiąć pasy. Przypiął się do grodzi.**

**–Mam nadzieję, że nie zamierzacie próbować żadnych sztuczek.**

**„Duch” wykonał skręt i zaczął przyspieszać. Coś huknęło w śluzie.**

**–Co to było? – zaniepokoił się Charlie.**

**–Coś w magazynie – odparł Alex. – Pewnie coś się odpięło podczas manewru.**

**Charlie zajrzał do korytarza. Nikogo tam nie było. Chwycił się monitora, gdy przyspieszenie wgniotło nas w fotele podczas manewru – statek równocześnie skręcał na bakburtę i przyspieszał. Po chwili minęło.**

**–Manewr zakończony – poinformował Kalu. – Znajdujemy się na kursie kolizyjnym z karłem. Zderzenie za cztery godziny, jednaście minut.**

**–Dziękuję, Kalu.**

**Zaczęłam rozpinąć uprząż, ale Charlie warknął, że mam siedzieć. Stanął za mną. Kątem oka dostrzegłam błysk rękojeści lasera. Już myślałam, że zamierza strzelić do mnie, ale on wypalił prosto w stery. Nawet nie celował, po prostu wypalił i omiótł panel wiązką. Rozwalił moduły i monitory. Kable pękały i paliły się. Powiedziałam coś nieuprzejmego i rozpięłam uprząż, ale potrząsnął głową i skierował laser w moim kierunku. Nadal z palcem na spuście. Celował nisko. Poderwałam nogi do góry, a promień odciął podstawę fotela od pokładu. Fotel przewrócił się i razem z nim upadłam na pokład.**

**— Nie wstawaj – mruknął. – Zostań, gdzie jesteś. – Powietrze wypełnił kwaśny odór płonących kabli. Charlie uśmiechnął się do mnie. – Uwierz, przykro mi, że muszę to zrobić, ale nie mam wyboru, mała. Zamarłam. Dotknął swojej szczęki palcem wskazującym. – Nie ma lekko – rzekł. Wreszcie odwrócił się plecami do śluzy.**

–Wiesz – odezwał się Alex – jakie to paskudne, że coś takiego nas spotkało, kiedy byliśmy tak blisko końca misji.

–Tak.

–Że też musiało się to stać właśnie teraz. Akurat teraz. Teraz...

To był sygnał dla Shary. Charlie, nadal zajęty, nie zwrócił uwagi na słowo „teraz”.

Teraz albo nigdy.

Śluzą za nim zaczęła się otwierać.

–Chciałbym zostawić was oboje przy życiu na te parę godzin – oznajmił – ale nie mogę. Przykro mi, ale wolę nie myśleć, co by się stało, gdybym was tu zostawił. Moglibyście na przykład zamknąć mnie w śluzie. Prawda?

–Ależ skąd – odparłam. – Niby jak?

–Dobrze. Ale wolę się upewnić. Czasem po prostu nie można kogoś wypuścić, wicie?

Walczyłam ze sobą, żeby tylko nie patrzeć na właz.

–W takim razie – panie mają pierwszeństwo. Nie wiem do końca, jakie obowiązują zasady w takich przypadkach. – Wycelował we mnie broń. – Żegnaj, Chase. To będzie...

Shara wyskoczyła ze śluzy z kluczem w ręce.

Charlie usłyszał ją i zaczął się odwracać. Rzuciłam się i chwyciłam go za rękę, w której trzymał laser. Shara zamachnęła się w kierunku jego głowy. Uniósł jedną rękę i klucz trafił go w ramię. I tak nieźle. Wrzasnął i upadł. Alex podskoczył i wszyscy razem usiłowaliśmy wyrwać mu broń.

Charlie odepchnął mnie na bok i uderzył Sharę w twarz. Upadła. Alex i Charlie usiłowali nawzajem wyrwać sobie laser. Bron wystrzeliła. Metal trzasnął i zaczął dymić. Charlie wrzasnął i spróbował jeszcze raz wyszarpnąć laser Aleksowi. Broń wyleciała w powietrze i spadła na drugi fotel Charlie i Alex szarpali się, usiłując ją dopaść. Shara była jednak szybsza. Chwyciła laser, obróciła się i strzeliła. Wiązka trafiła Charliego w głowę. Jęknął, zatoczył się, zwinął i zaczął wolno opadać, jak to w niskiej grawitacji.

Shara, która nie ma zwyczaju patyczkować się z, nikim, nie zdjęła palca ze spustu, dopóki nie upadł.

–Wystarczy powiedział Alex i zabrał jej bron. Charlie leżał rozciągnięty na pokładzie. Nie miał już twarzy, a z jego głowy unosiła się smużka dymu.

**Stery wyglądały strasznie: wszystko spalone i pocięte.**

**Shara spojrzała na Aleksa, upewniła się, że nic mu nie jest, i zajęła się mną. Z moją nogą było kiepsko, bolała mnie też szyja.**

**–Już mi przyszło do głowy, że o mnie zapomnieliście – powiedziała Shara.**

**–Niestety, nie było okazji, żebyś wkroczyła wcześniej – odparłam. – Choć na początku miałam nadzieję, że coś zrobisz, zanim wejdzie na pokład.**

**Spojrzała na Aleksa.**

**–Stał za blisko i cały czas celował ci w głowę.**

**–Cóż – odparł. – Wyeliminowaliśmy go i to jest najważniejsze.**

**Nie byłam tego taka pewna.**

**–Kalu, poproszę raport o stanie.**

**–Witaj, Chase. Nie kontroluję już trasy lotu. Układy sterowania głównymi silnikami i stery wysokości nie działają. Silniki kwantowe nie działają. W tej chwili nie mam jeszcze szczegółów. System podtrzymywania życia w normie. – Zaczął wymieniać jeszcze inne problemy, ale przerwałam mu. – Kalu, szczegóły później. Tracimy powietrze?**

**–Kadłub jest cały, jeśli nie liczyć przebicia na dolnym pokładzie.**

**–Możemy w ogóle manewrować?**

**–Mogę obrócić nas centralnie wokół osi. I to wszystko.**

**–Może użyjemy lądownika?**

**–Ma za małą moc. Po prostu lecielibyśmy w ślad za „Duchem”.**

**–Przejdź na sterowanie ręczne – podsunął Alex.**

**–Nie mamy problemu z SI – wyjaśniłam. – Mamy problem ze sterami. Po prostu przestały istnieć. Kalu, wyślij kod alarmowy do „Gonzaleza”. Powiedz, że mają cztery godziny, żeby nas przechwycić.**

**–Nie – przerwał mi Alex. – Czekaj.**

**–O co chodzi?**

**–Komunikator jest wyłączony? – spytał.**



**–Sama go wyłączyłam parę minut temu.**

**–W takim razie Windy nie wie, co się stało?**

**–Nie.**

**–Jeśli wyślesz kod alarmowy, od razu się dowie.**

**–To bez znaczenia, Chase – wtrącił Kalu. – System transmisji dalekiego zasięgu nie działa. Mamy tylko radio.**

**–W takim razie dostaną wiadomość za jakieś sześć miesięcy – rzuciła Shara.**

**Alex zaczął otwierać klapę w pokładzie.**

**–Więc musimy to naprawić – oznajmił. – Mamy części zapasowe.**

**Spojrzałam na mostek.**

**–Mam nadzieję, że mamy ich naprawdę dużo.**

# TRZYDZIEŚCI TRZY

**Przyszłość nie jest bardziej niebezpieczna niż teraźniejszość.**

**Walt Whitman, „Pieśń o toporze”, 1856 n.e.**

**Potrafisz to naprawić? – spytał Alex.**

**Spojrzałam na zniszczenia.**

**–Nie przejawiałabym tu zbytniego optymizmu.**

**Na zewnątrz, w iluminatorze, ogromne czerwone chmury zasłaniały pół nieba.**

**–Nie proszę cię o przejawianie optymizmu, tylko żebyś coś wymyśliła.**

**Patrzyli z nadzieją, jak dokonuję szybkich oględzin.**

**–Mogłabym to doprowadzić do stanu używalności – oznajmiłam – gdybym miała części i czas. Mam Kalu do pomocy. Ale przekaźniki szlag trafił, okablowanie jest spalone, dużo elementów się stopiło. Gdybym miała do dyspozycji tydzień, to pewnie byłabym w stanie coś poskładać.**

**–Zatem jest kiepsko – mruknął Alex.**

**–Bardzo kiepsko. Odpowiedź brzmi „nie da się”.**

**–Mamy trzy godziny i pięćdziesiąt siedem minut – przy pomniął Kalu – do osiągnięcia punktu, w którym zmiana kursu będzie niemożliwa. – Chyba próbował być w ten sposób pomocny.**

**–Spojrzałam na Sharę.**

**–Dlaczego to się nie nazywa „czerwony karzeł”?**

**–Ktoś je kiedyś nazwał brązowymi i tak już zostało.**

**–Jacht to nasza jedyna szansa – rzekł Alex.**

**–Windy raczej nie zaprosi nas na pokład.**

**–Podróżowanie z wami jest naprawdę pełne wrażeń o mruknęła Shara. – Zawsze wam się przydarzają takie rzeczy?**

**–Próbowała trzymać fason, ale widać było, że jest wystraszona.**

**–Czy ktoś ma jakieś pomysły? – Wyjęła maść na oparzenia i zaczęła wcierać mi ją w nogę, a ja siedziałam z zamkniętymi oczami, opierając się głową o ścianę.**

**–Czy Windy wie, że straciliśmy stery? – spytał Alex.**

**–Tak – odparłam. – Tego się nie da nie zauważyć. Teraz czeka, aż Charlie jej powie, że łączność też nie działa i nie możemy się z nikim skontaktować. Potem wystarczy tylko zabrać współlnika i odlecieć.**

**Alex spojrział na ciało.**

**–Jeśli się domyśli, że Charlie dostał to, na co zasłużył, odleci i zostawi nas tutaj.**

**–Patrzcie. – Wskazałam na iluminator. Jacht Windy zbliżał się do nas na sterburcie. Przygotowywała się do przejęcia Charliego.**

**Przyjrzałam mu się szybko.**

**–To „Lotos” – powiedziałam. – Na trzy osoby; pilot plus dwójka pasażerów.**

**–Mój Boże – odezwała się Shara – musi być jakiś sposób.**

**Alex spojrział na zbliżający się jacht.**

**–Pewnie, zwłaszcza jeśli nie będziemy brali Windy pod uwagę, a jestem za takim rozwiązaniem.**

**–Cóż – rzekłam – jest zawsze pewien margines bezpieczeństwa. Zwykle można wziąć na pokład jedną czy dwie osoby więcej. Biorąc pod uwagę rozmiary tego czegoś, powiedziałabym, że jedną. Ale jeśli uda nam się przejąć jacht, skontaktujemy się z Brankovem, a potem wystarczy, jak dotrwamy do ich przybycia.**

**–Jak myślisz, czy tam może być ktoś jeszcze? – spytała Shara.**

**–Nie sędzę – odparł Alex. – To nie jest wycieczka, na którą zabiera się znajomych.**

**Shara stała, opierając się plecami o gródź.**

**–Dobrze, ale jak to zrobić? Przecież nie wpuści nas na pokład.**

**–Czemu nie? – podsunął Alex. – Przecież czeka na Charliego.**

**–Więc musimy zorganizować Charliego.**

**–Otóż to. Kalu, jesteś w stanie imitować głos Charliego?**

**–Przypuszczam, że tak. – Aż podskoczyłam. Przeraziłam się, że Charlie powstał z martwych. – Żadnych gwałtownych ruchów. Robicie, co wam każe, a nikomu nie stanie się krzywda. Żadnych niespodzianek, kiedy właz się otworzy. Przestań sobie stroić żarty. Z rękami w górze.**

**Jeśli was tam nie będzie, zabiję go. Zrozumiano? – Ton i wymowa były idealne.**

**–Świetnie – oznajmił Alex. – Doskonale. A teraz połączymy się z Windy. Kalu odegra Charliego i poinformuje ją, że wszyscy zginęli, a on wraca. Powie jej, żeby otworzyła służę. Jeśli włożę jego skafander, przeskoczę i dostanę się do środka, a ona nawet nie zauważy, że to nie on.**

**–Ty? – spytałam.**

**–A kogo proponujesz? – Wiedział, co się święci, i rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. – Im szybciej się za to zabierzemy, Chase, tym lepiej. – Sprawdził, czy ma przy sobie laser.**

**–To ja powinnam iść – powiedziałam.**

**–Dlaczego?**

**–Z tego samego powodu co poprzednio. Mam więcej doświadczenia w poruszaniu się w próżni. A tym razem od tego, czy nam się uda, zależy nasze życie.**

**–Chase, to zbyt niebezpieczne.**

**–A myślisz, że siedzenie tu i zastanawianie się, co z tego wyjdzie, jest bezpieczne?**

**Wziął głęboki oddech i wypuścił wolno powietrze.**

**–Posłuchaj, przecież to nie dlatego, żebym sądził, że ci się nie uda. Ale masz rację. Teraz od tego zależy nasze życie. I musimy zrobić wszystko, żeby wykorzystać tę szansę. Być może nie będzie innego wyjścia i Windy będzie musiała zginąć. – Wpatrzył się we mnie uważnie. – Jesteś przygotowana na coś takiego?**

**–Jeśli nie będzie innego wyjścia, tak.**

**Shara obserwowała nasz spór.**

**–Wiecie co – wtrąciła się – nie chciałabym stwarzać dalszych problemów, ale ta panna jest stuknięta. Może uznać, że to doskonała okazja, żeby się pozbyć jedynej osoby, która łączy ją z tą sprawą.**

**–Tak sądzisz? – spytałam.**

**–A czemu nie? Gdybym była na jej miejscu i działała w taki sposób, sekundę po tym, jak Charlie zameldowałby, że wszystko załatwione, pożegnałabym się z nim, *hasta la vista*, Charlie, i ruszyłabym w drogę.**

**Wymieniliśmy z Aleksem zaniepokojone spojrzenia.**

–Ma rację – powiedział.

–W takim razie co robimy?

–Lepiej zastanówmy się trzy razy, zanim się z nią skontaktujemy i powiemy jej cokolwiek.

–Musimy wymyślić coś lepszego – rzekła Shara. – A poza tym, jeśli od tego zależy też moje życie, a ktoś ma skakać na pokład „Lotosu”, to chcę, żeby zrobiła to osoba z największym doświadczeniem. – Spojrzała na mnie.

–Dobrze – rzekł Alex. – Chase idzie.

–W porządku.

Alex stał z, dala od iluminatora, próbując wyjrzeć tak, by nie dało się go zauważyć z drugiego statku.

–Mówiłaś, że „Lotos” jest mały. Ma jakieś śluzy wewnętrzne?

–Nie. Tylko kokpit, trzy małe kajuty i pomieszczenie serwisowe.

–Wystarczy więc, jak dostaniesz się do środka. Nie ma tam żadnych przeszkód?

–Żadnych.

–Dobrze. Mam pomysł.

–Tak?

–Jedna rzecz działa na naszą korzyść.

–Co takiego?

–Nasza główna śluza jest na bakburcie.

–I co z tego?

–„Lotos” ustawił się na sterburcie. Nie widać jej stamtąd.

–Dobrze – oznajmił Alex. – Jesteśmy gotowi?

Miał na sobie żółty skafander Charliego. Shara i ja włożyłyśmy skafandry „Ducha”.

–Chyba tak – odparłam.

–Jedno pytanie – rzekł Alex. – Czy jest jakaś szansa, że Windy nas podsłucha, kiedy będziesz, rozmawiać z Kalu?

**–Nie. Kadłub wystarczająco solidnie ekranuje.**

**–Nie zapominaj, że drzwi ładowni będą otwarte – podsunęła Shara.**

**–Zgadza się. Zapomniałam o tym.**

**–Więc raczej będzie w stanie nas podsłuchać.**

**–Może więc lepiej założyć, że tak.**

**–Dobrze – rzekł. – W takim razie niech wszyscy o tym pamiętają. Gotowi?**

**Pokiwaliśmy głowami.**

**–Do roboty.**

**Shara i Alex przeszli przez śluzę ładunkową na dolny pokład. Odczekałam pięć minut, spędzając większość z tego czasu na obserwowaniu zbliżającego się karła. W górnych warstwach atmosfery szalała burza, widoczna w postaci okrągłej plamy otoczonej krwistymi chmurami.**

**Miałam laser Charliego. Sprawdziłam, czy jest naładowany, i przypięłam go do paska. Następnie założyłam butle z tlenem i plecak odrzutowy.**

**Kiedy minęło pięć minut, powiedziałam Kalu, żeby połączył mnie z „Lotosem”.**

**–Windy – odezwał się Kalu głosem Charliego – mamy problem.**

**–Co się dzieje, Blink? Czemu to tyle trwa?**

**Wystukałam odpowiedź dla Kalu.**

**–Rozwaliłem główny panel sterowania. Ale mają w ładowni zapasowy, awaryjny.**

**–No to go rozwal.**

**–Pracuję nad tym.**

**–Co ty wygadujesz, Blink? Co to znaczy? Po prostu go rozwal. Gdzie jest Benedict?**

**–Wydostał się. Udało mu się uwolnić.**

**–Powtórz.**

**–Uwolnił się. Windy, laser nawalił. I w tym problem.**

**–Do cholery, Blink. Kazałam ci wszystko sprawdzić.**

**–Był naładowany. Po prostu wybuchł mi w ręce.**

**–Gdzie teraz jesteś?**

**–Na zapasowym mostku.**

**–Dobrze. Zrób, co trzeba. Po prostu go rozwal. A co z łącznością?**

**–Łączność dalekiego zasięgu działa.**

**–Nie możemy dopuścić, by się z kimś połączyli. Zabij ich.**

**–Kobiety nie żyją.**

**–Przynajmniej to zrobiłeś, jak trzeba.**

**–Benedict uciekł na dół przez służę, kiedy laser wybuchł.**

**–Nie możesz go znaleźć?**

**–Jest gdzieś na dole.**

**–Trudno. Nie przejmuj się nim. Zniszcz stery i rozwal urządzenia łączności. I daj mi znać, jak będzie gotowe.**

**Połączyłam się z Alekssem. Pamiętałam jednak, że Windy może podsłuchiwać, więc nie rozmawialiśmy, tylko otworzyłam kanał na sześć sekund i zamknęłam go. Alex usłyszał falę nośną, a sześć sekund było dla niego informacją, że faza pierwsza przebiegła zgodnie z planem i za pięć minut należy zacząć fazę drugą.**

**Odłączyłam Kalu i włożyłam do kieszeni kości z jego pamięcią. Potem włożyłam hełm i weszłam do głównej służy. Dwie minuty później byłam na zewnątrz, skąpana w ciemnoczerwonym świetle.**

**Gdyby Windy nie obserwowała „Ducha”, nie byłoby problemu. Ale wiedzieliśmy, że patrzy. Jej uwaga powinna być skupiona na służbie ładunkowej, którą przedostał się na pokład Charlie i która nadal była otwarta.**

**Dokładnie pięć minut po tym, jak nadałam do Aleksa falę nośną, wysłałam Windy nagraną wcześniej głosem Charliego wiadomość:**

**–Windy, znalazłem tego skurwiela.**

**Chwilę później – mieliśmy nadzieję, że dobrze wyliczyliśmy czas – dwie odziane w skafandry postaci, jedna w żółtym, z „Lotosu”, druga w zielonym skafandrze Agencji, pojawiły się we władzy, szarpiąc się. W eterze panowała cisza, co miało znaczyć, że radio Charliego uległo**

uszkodzeniu podczas walki. (Nie było możliwości realistycznego skoordynowania odgłosów walki z tym, co mogła zobaczyć Windy).

Udało się.

–Blink! – krzyknęła. – Zabij go! I nie pozwól mu się zbliżyć do tego zapasowego mostka!

Wspięłam się na górę „Ducha”, po czym wystartowałam w kierunku „Lotosu”.

–Blink! Odpowiadaj! Dopadłeś go, to go wykończ! Gdy oddaliłam się od kadłuba i zaczęłam zbliżać do jachtu, zobaczyłam śluzę ładunkową i zauważyłam ruch, ale nie udało mi się określić, co się dzieje.

Przez jakąś minutę znajdowałam się na widoku. Jak na dłoni. Wystarczyło, żeby tylko oderwała się od oglądania przedstawienia.

Śluza „Lotosu” była zamknięta. Wylądowałam obok niej najostrożniej, jak tylko mogłam, i dotknęłam sterowania ręcznego. Właz otworzył się i weszłam do środka.

Zewnętrzny właz zamknął się i zaczęło się pompowanie powietrza, jeśli Windy była czujna, już wiedziała, że ktoś otworzył właz. Zaś domyślenie się, co się dzieje, nie powinno być trudne.

W słuchawkach rozległ się jej głos.

–Kto tam?

Psiakrew.

–Wiem, że tam jesteś, Alex. Nic ci z tego nie przyjdzie.

Słyszałam, jak robi coś przy włazie. Pewnie próbuje wymyślić, jak go zamknąć tak, żebym nie mogła otworzyć. Śluzy jednak tak nie działają. To takie zabezpieczenie. Można zawsze otworzyć właz wewnętrzny, jeśli tylko ciśnienie w środku śluzy jest odpowiednie.

–Wracaj, skąd przyszedłeś. Jeśli tu wejdiesz, nie żyjesz. – Mówiła nienaturalnie piskliwym głosem.

Ciśnienie powietrza osiągnęło normalny poziom i wyłączyłam pompy. Zastanawiałam się, co na mnie czeka po drugiej stronie włazu. Wariatka z drugim laserem. Albo paralizatorem.

Strzelanina mogła się zakończyć dowolnym wynikiem, a stawka była zbyt duża, by ryzykować. Przypomniałam sobie pytanie, które zadał mi Alex. Czy będę gotowa zabić Windy, jeśli będzie to konieczne? I uświadomiłam sobie, że nie mam innego wyjścia.

Przełączyłam sterowanie w śluzie na dekompresję. Natychmiast zobaczyła, co robię.



**–Dobry pomysł. Alex, wynoś się, póki możesz.**

**Znałam rozkład tego jachtu. Za grodzią z prawej strony była kajuta. Z lewej niewielki magazyn.**

**–Przypuszczam, że zabiłeś Blinka – powiedziała. – A to wszystko to po prostu przedstawienie. Trudno. I tak był niespecjalnie kompetentny. Jak ci się to udało?**

**Ciśnienie w śluzie spadło do zera. Otworzyłam zewnętrzny właz i spojrzałam na „Ducha”. Shara i Alex stali w pobliżu włazu ładunkowego i patrzyli. Umówiliśmy się, że dopóki wszystko się nie skończy, będą się trzymać z daleka. I tak nic nie mogli zrobić.**

**–Nie chcesz ze mną rozmawiać, twoja sprawa. To bez znaczenia, Aleksie. Przecież się nie obrażę. Rozumiem, że jesteś wściekły. Przykro mi, że to tak wyszło. To nie jest sprawa osobista, ale nie mogłam pozwolić na dalsze rabowanie stanowisk. Jesteście w tym za dobrzy.**

**–Cześć, Windy – powiedziałam. – Jak leci?**

**–Chase! – Była przerażona. – On cię przysłał? Ten tchórz cię tu przysłał?**

**–To był mój pomysł.**

**–Jest jeszcze większym palantem, niż mi się wydawało.**

**Zastanawiałam się, czy Alex to słyszy.**

**–Przynajmniej nikogo nie zabił.**

**–Ależ ty jesteś bezczelna, wiesz? Robić mi wykłady na temat moralności. Niezły żart.**

**–Przykro mi, że tak myślisz.**

**Obróciłam się w lewą stronę, tam, gdzie była kajuta. Odpięłam laser, wycelowałam w gródz i nacisnęłam spust.**

**–Trzymaj się ode mnie z daleka, Chase. Wracaj, skąd przyszałaś.**

**Czerwony promień dotknął metalu gdzieś na wysokości mojej głowy. Metal zaczął się topić. Czarne krople spływały po grodzi. Patrzyłam na to z zadowoleniem. Wyobraziłam sobie, jak stoi po drugiej stronie. Moja przyjaciółka od tylu lat. Boże, pomóż.**

**–W porządku. Wychodź ze śluzy. Startuję. Jeśli tam będziesz, możesz się zdrowo poobijać.**

**Nie czułam wobec niej ani odrobiny współczucia.**

**–Odejdź, Chase. Wyjdź stamtąd.**

**Poszerzyłam nacięcie, rysując linię o długości około pół metra.**

**–Jesteś tam jeszcze, Chase? Ostatnia szansa.**

**Zrobiłam drugie nacięcie, pół metra niżej. Coraz więcej bąbelków i powietrza.**

**–Chase?**

**–Ciągle tu jestem.**

**Ciśnienie powietrza we wnętrzu jachtu wynosi 32 psi. Powietrze zaczęło wdzierać się do śluzy.**

**Zabłyśła biała kontrolka i zaczęła migać. Sygnalizowała gotowość do manewru. Niebezpieczeństwo. Zapiąć pasy.**

**–Co ty robisz? – krzyknęła Windy. – Chase, przestań!**

**Pobiegła na przód statku, pewnie usiadła w fotelu. Światelko ostrzegawcze nadal migało. Pokład drżał. Rozległ się szum silników.**

**Zrobiłam pionowe nacięcie, łącząc równoległe linie.**

**–Chase, nie wiem, co robisz, ale przestań. Proszę. Otworzę właz.**

**Żegnaj, Windy, pomyślałam. I zaczęłam wykonywać czwarte nacięcie, ostatni bok prostokąta.**

**Gródź rozdarła się, gdy tylko zaczęliśmy przyspieszać. Odrzuciło mnie do tyłu. Do śluzy wdarła się lawina ubrań, przedmiotów z tworzywa i ręczników, i wyleciała przez otwarty właz.**

# TRZYDZIEŚCI CZTERY

Może i macie swoje kwantowo napędzane cuda, pędzące przez najgłębsze otchłanie niebios. Może i skaczeć między galaktykami, zostawiając światło w tyle. Ja jednak wolę patrzeć na to, co jest za oknem. Pragnę rzeńskiego wiatru i szkunera pod pełnymi żaglami.

Kasha Thilby, *Oznaki życia*, 1428

Przyspieszenie przygwoździło mnie do grodzi w śluzie i musiałam przeczekać, aż zmaleje. Po kilku minutach, gdy ustało, byłam w stanie wyjść ze śluzy i ruszyłam do kokpitu. Windy nie żyła. Leżała w fotelu, zaplątana w uprząż, uduszona, spuchnięta, zamarznięta. Niepodobna do siebie.

Zdjęłam ją z fotela i położyłam na pokładzie. SI i tak nie przyjęłaby rozkazów od osoby nieupoważnionej, więc wyłączyłam ją i rozpoczęłam manewr, który miał mnie zaprowadzić z powrotem w pobliże „Ducha”. Potem użyłam systemu łączności „Lotosu” i skontaktowałam się z „Gonzalezem”, informując, że potrzebujemy pomocy. Nic pilnego, już wszystko jest pod kontrolą. Potwierdzili i poinformowali, że za godzinę wyruszą. Zniosłam Windy do jednej z kajut i zamknęłam drzwi. Chyba nie muszę mówić, jakiej ulgi doznali Shara i Alex, kiedy zastopowałam równoległe do „Ducha” i zabrałam ich.

Zamknęliśmy zewnętrzny właz i przywróciliśmy ciśnienie. Opowiedziałam, co się stało, i Alex stał się strasznie opiekuńczy: Dobrze się czujesz? Zrobiłaś to, co konieczne. Nie miałaś wyboru.

Zastanawialiśmy się, czy nie wrócić na „Ducha”, żeby zabrać ciało Charliego, ale doszliśmy do wniosku, że to zbyt niebezpieczne. Byliśmy już dość głęboko w studni grawitacji karła. Zrezygnowaliśmy więc i odlecieliśmy, zaś „Duch” nadal pędził w stronę jaskrawych czerwonych chmur.

Alex rozmawiał z Brankovem, obiecując mu, że zobaczy tu coś, co go ucieszy. Nie chciał zdradzić szczegółów, ale Brankov bez problemu domyślił się, że znaleźliśmy Balfoura.

Przyspawaliśmy łatę w śluzie w miejscu, gdzie wycięłam dziurę, i wszystko znów działało, jak trzeba.

–Chyba już najwyższy czas, żeby rzucić okiem na Balfoura – zaproponował Alex.

Urządzenia optyczne na pokładzie „Lotosu” były skromne. Jacht miał tylko jeden teleskop, przeznaczony wyłącznie do nawigacji, co oznaczało, że nie ma zbyt dalekiego zasięgu i nie da się go precyzyjnie dostroić. Nie mogliśmy więc zobaczyć praktycznie żadnych szczegółów na powierzchni planety, dopóki nie znaleźliśmy się tuż nad nią. Atmosfera, pełna pierzastych chmur, bardzo przypominała ziemską. Po chwili pojawiły się dwa kontynenty, rozmiarem zbliżone raczej do wysp, i olbrzymi ocean, pokrywający prawie całą planetę. Dostrzeżliśmy kilka burz. Wyłoniły się czapy polarne. I łańcuchy górskie, i rzeki.

–Chyba jednak wiedzieli, co robią – mruknął Alex. Shara patrzyła w zamyśleniu.

–To bez różnicy. Mogli nie przetrwać fazy przejściowej. Ale samo próbowanie było niegłupie.

Alex znów spytał, jakie warunki panowały na powierzchni planety, kiedy została wyrwana z orbity.

–Duże zwierzęta lądowe raczej na pewno nie przetrwały – rzekła Shara. – Po początkowym wstrząsie ruch obrotowy planety uległ zaburzeniu i jest ona cały czas zwrócona jedną stroną do gwiazdy. We wczesnej fazie wywołało to poważne konsekwencje. Niestojne oceany, huragany wiejące z prędkością naddźwiękową, wybuchy wulkanów, co tylko chcesz.

–I jak długo to mogło trwać?

–Jakieś czterdzieści lat. Może pięćdziesiąt. Może trochę dłużej. To nie moja specjalność, ale dłużej, niż wiele kolonii jest w stanie przetrwać.

–Teraz wygląda tak spokojnie – powiedziałam. Błękitne wody, chmury, doliny rzek. Nawet dżungle wyglądały kusząco.

–Jest w idealnej odległości od karła – rzekła Shara.

–Jeżeli chodzi o temperaturę na powierzchni, tak?

–Tak. Oczywiście po stronie zwróconej do gwiazdy. Po ciemnej jest dość zimno.

–Czy ocean tam zamrzł?

–Nie mam pojęcia.

Chmury były głównie białymi cumulusami, ale pseudo-słońce nadawało im purpurową barwę. Burze, które zauważyliśmy, przemieszczały się po dość rozległym obszarze oceanu. Na wyższych szczytach gór leżał śnieg.

–Miałas rację z tą dżunglą – powiedział Alex. Rzeczywiście rozciągała się na obu kontynentach. „Lotos” spalił już olbrzymią ilość paliwa. Alex chciał jak najszybciej zobaczyć Balfoura, więc pędziliśmy bardzo szybko.

–Muszę okrążyć planetę, żeby wytracić prędkość – oznajmiłam. – Pokonamy jakieś trzy czwarte orbity, większość z tego po nocnej stronie. Wybaczcie, ale to jedyna możliwość.

–Rozumiem – odparł Alex. – A co potem?

–Wynurzymy się pod takim kątem, że będziemy mogli wejść na orbitę wokół karła. Kiedy wytracimy prędkość, wrócimy. Mniej stresu i mniejsze zużycie paliwa.

**Alex spojrział tęsknie na tarczę planety.**

**–Szkoda, że nie mamy lądownika.**

**–Jest na pokładzie „Gonzaleza”.**

**–Shara zaśmiała się.**

**–Emil na pewno będzie chciał się zabrać z tobą na dół.**

**Znajdowaliśmy się na orbicie wokół karła, kiedy „Gonzalez” połączył się z nami i poinformował, że jest w pobliżu.**

**–Co to jest? – spytał Brankov, mając na myśli karła. – To jest ta obiecana niespodzianka?**

**–Tak – odparł Alex. – To jest to. A przynajmniej częściowo.**

**–A reszta?**

**–Nie wiem, gdzie teraz dokładnie jesteście. Widzicie może błękitną planetę na orbicie wokół karła?**

**–Nie widzimy. – Emil odpowiedział po prawie minucie. A zatem „Gonzalez” nadal znajdował się w znacznej odległości. Emil miał na sobie marynarkę od Berona z mnóstwem kieszeni. – jest tam gdzieś błękitna planeta? – Nie wiedziałam, czy zwraca się do nas, czy do pilota.**

**–Na orbicie wokół karła – rzekł Alex. – Planeta, na której występuje życie.**

**–Serio?**

**–Absolutnie.**

**–Rozumiem. To bardzo ciekawe. Ale co to ma z nami wspólnego?**

**–Ta planeta kiedyś znajdowała się w układzie Tinicum.**

**Brankov uśmiechnął się i zrobił minę z gatunku „No to o której zaczynamy imprezę?”.**

**Kilka godzin później znaleźliśmy się na orbicie równikowej wokół Balfoura. Najpierw poruszaliśmy się po ciemnej stronie i nie widzieliśmy nic poza lądem i wodą.**

**Potem zobaczyliśmy wschód słońca i przekroczyliśmy linię terminatora. Nastął dzień. Wtedy po raz pierwszy mogliśmy spokojnie spojrzeć na planetę. Alex przykleił się do iluminatora, Shara nie odrywała wzroku od monitora. Oboje zareagowali w tej samej chwili. Alex uniósł zaciśniętą pięść w tryumfalnym geście, a Shara podekscytowanym tonem powiedziała mi, bym popatrzyła.**

**Zobaczyłam śródlądowy obszar na jednym z kontynentów. A poza tym...**

**Shara spróbowała wyostrzyć obraz. Alex machnął, żebym podeszła do iluminatora. Tu widać pod dobrym kątem, spójrz na dół.**

**Dżungla kończyła się i zaczynała się siatka prostych linii. W pobliżu wielkiego jeziora.**

**–Miasto? – spytałam.**

**–I tutaj – pokazał Alex. Znów proste linie, dalej na północ. Nad rzeką.**

**Nie pamiętam, co dostrzegłam w tej chwili w jego oczach. Przeważnie, kiedy dokonujemy jakiegoś odkrycia, przybiera minę skromnego geniusza. Czasem, kiedy polowanie było szczególnie długie, nie zadaje sobie tego trudu i po prostu się cieszy. Tym razem nawet nie wiem, który wariant wygrał. Zachwył. Smutek. Tęsknota. Euforia. Wszystkie przeplatające się ze sobą.**

**–Następne – rzekła Shara.**

**Na południowym wybrzeżu, blisko linii terminatora. Naliczyliśmy pięć takich skupisk.**

**–Na drugiej dużej wyspie nie ma nic – zauważył Alex.**

**–Bo światło słoneczne jest tam za ostre – wyjaśniła Shara. – Jest za gorąco. Wszystkie, które widzieliśmy, są w strefie zmiernicy. Warunki pogodowe są tam najkorzystniejsze.**

**Lecieliśmy dalej i miasta znikły nam z oczu. „Lotos” nie miał odpowiedniego teleskopu, żeby można było oglądać to, co zostało w tyle. Alex obdarzył Sharę szerokim uśmiechem.**

**–To chyba tyle, jeśli chodzi o tsunami i tornada. Skrzywiła się.**

**–To nie wydawało mi się możliwe.**

**–A jednak. Polecieli na orbitę w „Bremerhaven”. I zostali tam, dopóki wszystko się nie uspokoiło.**

**–Przez czterdzieści lat?! – krzyknęłyśmy równocześnie z Sharą. Żadna z nas nie kupowała tej historyjki.**

**–Tak. I właśnie dlatego potrzebne im były szklarnie. Posłuchajcie: chcieli jak najszybciej wysłać „Poszukiwacza”, żeby dotarł na Ziemię – tylko w ten sposób można było poprosić – o pomoc. Przypuszczali, że na Margolii ktoś ocaleje. Ale „Poszukiwaczowi” za bardzo nie ufali. Było to najlepsze, co mieli, ale nie mogli mieć pewności. Wiedzieli, że w końcu na Balfourze będzie się dało żyć, a warunki na Margolii staną się ekstremalne. A więc, zanim wymontowali części z „Bremerhaven”, użyli go, żeby przetransportować tu ludzi. Potem zabrali, co było potrzebne, i wysłali „Poszukiwacza” w drogę.**

**–Grupa, która przyleciała na Balfoura, została na orbicie. Przez czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Kiedy warunki na powierzchni stały się znośne, wylądowali i założyli kolonię.**

**–Dlatego właśnie nie ma lądownika – powiedziałam.**

**–Zgadza się. Został gdzieś na planecie.**

**–Jak myślisz, ilu ich było? – spytałam.**

**–Nie wiem. Przypuszczam, że niewielu. Tylu, ilu mogli zabrać. Pewnie kilkuset. Może nawet nie aż tylu. Im mniej ludzi, tym większe szanse. Jaka jest minimalna liczba osób, która umożliwia bezpieczne rozmnażanie się?**

**Nikt z nas nie wiedział.**

**Shara spojrziała na błękitną planetę.**

**–Szkoda – powiedziała.**

**–Co takiego? Co masz na myśli?**

**–Kawaleria przybyła trochę za późno.**

**Nagle znów zobaczyliśmy ocean. Za nami karłowate słońce chowało się za pierścieniem planety. Morze było błękitne, gładkie i spokojne. Pędziliśmy w stronę ciemności.**

**–Ten region to pewnie jedyny obszar na całej planecie, na którym panują umiarkowane temperatury. Powiem wam coś...**

**Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co miała zamiar nam powiedzieć, bo przerwała, a potem pisnęła i wskazała na ekran. Po oceanie coś płynęło.**

**–Możesz to powiększyć? – spytała. – To wygląda... Jak statek!**

**Widać było głównie kilwater. Obiekt, który go zostawiał, był za mały, żeby dało się określić, co to jest.**

**–Może to wielka ryba – podsunął Alex. Próbowałam powiększyć obraz, ale był nieostry. – Do diabła z tym – mruknął.**

**Potwierdzenie nadeszło z „Gonzaleza”, który zbliżał się i był w stanie użyć swoich teleskopów. Nigdy nie zapomnę pierwszych słów Brankova.**

**–Mój Boże! Aleksie, tam ktoś żyje!**

# TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Ludzka egzystencja jest opasana tajemnicą: wąski region doświadczenia to mała wyspa pośrodku bezkresnego morza. By tajemnicę jeszcze bardziej pogłębić, nasza ziemską egzystencja jest nie tylko wyspą w nieskończonej przestrzeni, lecz także w nieskończonym czasie. Przeszłość i przyszłość są przed nami zakryte w równym stopniu: nie znamy ani punktu wyjścia, ani punktu, do którego to wszystko zmierza.

*John Stuart Mill, Trzy eseje o religii, 1874 n.e.*

Kto by pomyślał? Czujniki „Gonzaleza” badały powierzchnię planety i rejestrowały obrazy, które potem przesyłały do nas. Mosty i drogi. Porty i parki. Coś, co wyglądało jak pociąg na torach przerzuconych nad kanionem. Zauważyłam też jakiś pojazd powietrzny.

Brankov znów połączył się z nami.

–Wykryliśmy sygnały radiowe. Oni ze sobą rozmawiają!

W tle usłyszeliśmy wiwaty.

Nie wiem, jak opisać euforię, jaka nas wtedy ogarnęła. Prawie przestały mnie boleć obrażenia odniesione zaledwie parę godzin wcześniej. To były piękne chwile. Pogratulowałam Aleksowi, pocałowałam go i przytuliłam się do niego tak, jak to czasem robię w bardzo wyjątkowej chwili, mając nadzieję, że ta chwila będzie trwać wiecznie.

Zasypała nas istna lawina wiadomości. „Gonzalez” odbierał sygnały: filmy, muzykę, głosy. Trochę udało mi się przechwycić za pomocą urządzeń jachtu. W eterze było tego pełno.

Alex szalał z radości. Shara oznajmiła, że jest oszołomiona.

–Żyli w izolacji przez ponad połowę okresu objętego zapisami historycznymi – mruknęła. – Ci ludzie nie mogli przetrwać!

Ale aż promieniała z zadowolenia.

Kilka godzin później pojawił się „Gonzalez”. Przeszliśmy na jego pokład, żeby wymienić uściski dłoni i poklepać się po plecach. No i napić się. Jak wy na to wpadliście? Oni mają sztuczne satelity! Patrzcie tam. Jakaś gra w piłkę. Z trzema drużynami na boisku. Jak sądzisz, jak długo już tu są?

Wrzucali napływające obrazy na monitory i przesyłali je do Agencji.

Chyba nigdy nie widziałam Aleksa tak szczęśliwego. Przyjmował gratulacje od wszystkich. Mnie i Sharę uściskali wszyscy faceci na pokładzie. To coś niesamowitego. Jak często się to zdarza?



**W oczach Shary kłębiły się emocje. Kiedy trochę się uspokoiło, podeszła do mnie.**

**–Dobra robota, Chase – powiedziała.**

**–To zasługa Aleksa – odparłam. – Ja bym już dawno odpuściła.**

**–Może. Ale zasłużyłaś na specjalną pochwałę. – Uśmiechnęła się. – Pomyśleć, moja koleżanka...**

**Już w pierwszych minutach zostaliśmy zasypani obrazami. Wieża, która musiała być elementem jakiegoś systemu sieci radiowych. Plaża pełna ludzi. Park z fontannami, szerokimi trawnikami i dziećmi.**

**–Chyba dostaliśmy nauczkę – powiedział jeden z naukowców – i dowiedzieliśmy się, że ludzie to cwane małpy. Nie poddają się tak łatwo.**

**Brankov stał dumnie wyprostowany, promieniejąc z zadowolenia jak zwycięski bohater.**

**–Największe odkrycie w historii ludzkości – powiedział.**

**Wzniesli toast za Aleksa, za Margolian, za Sharę, a w końcu za mnie. Gdy piszę te słowa, patrzę na wiszące na ścianie zdjęcie upamiętniające tę piękną chwilę.**

**Znaleźliśmy następne miasta. Wszystkie znajdowały się w pobliżu linii terminatora, gdzie warunki atmosferyczne były najkorzystniejsze. W niektórych, choćby w Mieście na Crag, znajdowały się drapacze chmur, w innych – wielkie parki; kilka z nich rozrastało się dość chaotycznie. Jedno przypominało wielkie koło. Każde z miast powstało wskutek walki z dżunglą, niektóre wręcz odgradzały się od niej murami.**

**Zobaczyliśmy kolejne pojazdy powietrzne.**

**I słuchaliśmy przekazów radiowych.**

**–Nic z tego nie rozumiem – powiedział sfrustrowany Brankov. – Ciekawe, czy już nas zauważyli.**

**Przydzielono SI do analizy języka, by można było rozpocząć tłumaczenie.**

**Brankov przeszedł istną przemianę. Jego sztywność i rezerwa gdzieś wyparowały. Wszystko go teraz cieszyło. Uwielbiał swoją pracę. Uwielbiał pracować w terenie. Kochał być w miejscach, gdzie coś się dzieje. Lunch był pyszny. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać kogoś, kto potrafiłby wykazywać aż taki entuzjazm aż tak długo. Pierwszego wieczora próbował namówić Sharę, żeby poszła z nim do łóżka, a kiedy odmówiła, próbował szczęścia ze mną.**

**–To wspaniały sposób na świętowanie – przekonywał mnie. – Dzięki temu to wydarzenie**

**będzie naprawdę niezapomniane. – Jakby już nie było. A ponieważ nie zareagowałam, dodał: – To taki moment, kiedy człowiekowi wydaje się, że wszystko jest możliwe.**

**W sumie były to piękne chwile.**

**Rozpoczęła się dyskusja na temat tego, czy składanie wizyty naszym kuzynom byłoby rozsądne.**

**–To jest obca kultura – tłumaczył jeden ze specjalistów Brankova. – Nie ma znaczenia, że są ludźmi. Powinniśmy zostawić ich w spokoju, niech się rozwijają, jak chcą. Nie powinniśmy się kontaktować.**

**Nie zapraszano mnie do dyskusji, ale i tak wygłosiłam swoje zdanie. Powiedziałam, że nie wiem nic na temat zakłócania rozwoju cywilizacji, ale wylądowanie tam, żeby się z nimi przywitać, może być nieco niebezpieczne, bo oni nie mają pojęcia, kim jesteśmy i czego chcemy.**

**–Możemy oberwać jakimś pociskiem – powiedziałam. – Byli sami od tak dawna, a tu nagle jacyś obcy spadają im prosto z nieba. Mogą się zdenerwować.**

**Alex mnie poparł.**

**–Teoretycznie nie powinno ich tu być. Zostawmy ich w spokoju, niech żyją dalej w izolacji. Nie widzieli innych planet. Pewnie nie wiedzą, skąd pochodzą. Może myślą, że wywodzą się z Balfoura. Zostawmy ich, niech sobie tu żyją.**

**W zespole była wysoka, kanciasta kobieta, która wyglądała, jakby dużo trenowała. Zapomniałam, jak się nazywała, ale była archeologiem i stanowczo opowiadała się za tym, żeby tam polecieć. Oczywiście chciała znaleźć się w grupie rekonesansowej. Czego my się boimy? Na litość boską, popatrzcie na te zdjęcia. Dzieci w parkach, ludzie spacerujący po ulicach. To nie są barbarzyńcy.**

**Zastanawiałam się, czy jakakolwiek dyktatura, dawno temu, była aż tak krwiożercza, że ludzie nie bywali w parkach i nie spacerowali po ulicach, ale dałam spokój.**

**Udało jej się wywołać w męskiej części zespołu przekonanie, że jeśli tego nie zrobią, są tchórzami, więc ogłosili, że oczywiście, ujawnienie się jest naszym obowiązkiem. Zaryzykujemy, niech się dzieje, co chce.**

**Nawet Alex, który jest bardziej przenikliwy ode mnie, dał się przekonać do idei bezpośredniego kontaktu.**

**Zorganizowaliśmy więc misję. Brankov nieomal się ślinił na myśl, że wyląduje na jakimś trawniku w stolicy, wyjdzie i przywita się. Pani archeolog zachowywała się, jakby miała tam na nas czekać orkiestra dęta i wiwatujący tłum.**

W lądowniku mogło się zmieścić siedem osób plus pilot. Alex oczywiście nie wyobrażał sobie, żeby miało go tam zabraknąć. Czy ja chcę lecieć?

Wolałam zapoznać się z tym wszystkim z drugiej ręki, zanim zdecyduję, czy zechcę udać się tam osobiście. W mojej głowie pojawił się obraz, dzikusów goniących kapitana Cooka.

–Nie, dzięki – odparłam. – Poczekam tu i zobaczę, co z tego wyjdzie.

Shara oznajmiła, że chętnie zajmie moje miejsce.

W misji miał brać udział Brankov i czworo innych archeologów, w tym kobieta. Już nie mogli się doczekać. Ktoś nawet zaproponował, żeby nie czekać, aż SI rozpracuje język, ale Alex się sprzeciwił. Posłuchajmy najpierw, co mają do powiedzenia, zanim zrobimy coś głupiego, upierał się.

Oceniliśmy, że populacja liczy jakieś dwadzieścia milionów ludzi. Mieszkańcy nie mieli do dyspozycji dużej powierzchni. Nocna strona planety była zbyt zimna, a strona dzienna – za gorąca. Teoretycznie nikt nie powinien tam żyć. A jednak znaleźli się pionierzy.

Załadowaliśmy lądownik zapasami i czekaliśmy, co wymyśli SI.

Wiem, że to może wyglądać na nielogiczne, ale byłam zła, że nie lecę. Sądziłam, że Alex zacznie mnie namawiać, kiedy się wycofałam. Gdyby tak zrobił, pewnie bym się zgodziła. Ale chciałam zobaczyć, że mu na tym zależy.

Kiedy czekaliśmy, aż SI opanuje język („Nie mam oprogramowania tłumaczącego, więc będę musiał improwizować”, wyjaśniła), wróciłam na „Lotos”, podpięłam Kalu do systemów jachtu i przywitałam się z nim. Podziękował mi za ratunek i na moją prośbę wyprodukował Harry'ego.

Harry miał na sobie skórzaną kurtkę i wyglądał na zrezygnowanego.

–Mam dobre wieści – oznajmiłam.

W jego oczach pojawiło się coś poza podejrzliwością.

–Co takiego? – spytał.

–Są tu – powiedziałam. – Kolonia przetrwała.

Na monitorach przelatywały obrazy z teleskopów „Gonzaleza”. Dzieci. Statki. Farmy. Pojazdy powietrzne. Miasta. Drogi.

–Modliłem się o to, ale nie śmiałem nawet marzyć. – Zastanowiłam się, czy modlitwy awatara na cokolwiek się zdały. – Nie sądziłem, że to możliwe.

Opisałam, jak im się to udało, a on tylko pokiwał głową, jakby cały czas wiedział, że

**przetrywają.**

**–Czy wiedzą, kim są i skąd przybyli?**

**–Tego jeszcze nie wiemy. Jest za wcześnie.**

**–Rozumiem. Pewnie nadal nie wiadomo, co się stało z Samantha i chłopcami?**

**–Nie – odparłam. – Minęło tyle czasu...**

**–Jasne.**

**–Może gdzieś znajdziemy jakieś informacje.**

**Alex skontaktował się ze mną z pokładu „Gonzaleza”.**

**–Mamy tłumacza – powiedział. – Startujemy.**

**–Uważaj na siebie – powiedziałam. – I przywitaj ich ode mnie.**

**Wróciłam na drugi statek, bo nie chciałam być sama, kiedy coś się zacznie dziać. Dotarłam tam kilka minut przed startem, w samą porę, by usłyszeć, że SI wstrzymała start.**

**–Odbieramy transmisję z planety – powiedział. – Jest skierowana do nas. Nazywają nas „niezidentyfikowanym pojazdem”.**

**–Skąd? – spytał Alex, nadal walcząc ze skafandrem.**

**–Mam zapytać? – upewniła się SI.**

**Brankov i Alex wymienili spojrzenia i obaj uśmiechnęli się radośnie.**

**–Przełącz go – powiedział Brankov. Była to kobieta. Siwe włosy, wyraziste rysy, zielone oczy o intensywnej barwie. Stała przy szafce ze szklanymi drzwiami. Szafka była wypełniona talerzami i kielichami. Obrzuciła wzrokiem niewielką przestrzeń wspólnej sali, spojrzała na Brankova i dwójkę czy trójkę pozostałych. W końcu wybrała Brankova. Zadała pytanie w nieznanym języku, a SI przetłumaczyła, używając kobiecego głosu:**

**–Kim jesteście?**

**Brankov dał Aleksowi znak, by odpowiedział. Alex wziął głęboki oddech.**

**–Nazywam się Alex Benedict – powiedział.**

**–Nie. Pytam, kim jesteście?**

**–Przepraszam – odezwała się SI – ale nie wiem, czy udało mi się to poprawnie przetłumaczyć.**

**Alex zaśmiał się. Wszystko gra. Nie spuszczał wzroku z kobiety.**

**–Szukaliśmy was – powiedział. – To długa historia.**

# EPILOG

Koloniści Harry'ego nie mieli pojęcia, kim są. Planetę, na której żyli, nazywali po prostu Planetą. Innych nie znali. Pamięć o wielkiej migracji pośród gwiazd zaginęła, a epizod z przechwyceniem planety przez brązowego karła i osiedleniem się na powierzchni Balfoura pozostawił ślad tylko w świętych tekstach religijnych. Starożytne pisma głosiły, że ludzie zostali sprowadzeni na planetę przez boskie istoty, które przeprowadziły ich po świetlistym moście. I że wcześniej odbyła się jeszcze jedna próba, ale nie powiodła się, bo uratowani okazali się niewdzięczni i pyszni. I że bogowie kiedyś powrócą, by zabrać wybrańców do raju.

W to jednak wierzyli tylko nieliczni. Margoliańska nauka już tysiące lat temu odkryła, że na planecie są dwa wykluczające się wzajemnie ekosystemy, jeden obejmujący ludzi, szeroki wachlarz jadalnych owoców i warzyw oraz niektóre zwierzęta i ryby. Wszystko inne całkowicie się od nich różniło. Zwierzęta z jednego ekosystemu nie mogły się odżywiać zwierzętami i roślinami z drugiego, drobnoustroje chorobowe też się nie przenosiły. Biolodzy wyjaśniali to w ten sposób, że życie na planecie powstało dwukrotnie. Prawdziwi wyznawcy utrzymywali jednak, że podwójny strumień życia, jak go określano, jest dowodem na prawdziwość opowieści o drugim stworzeniu.

Alex opowiedział całą historię kobiecie po drugiej stronie. Wysłuchała go, zbladła i zrobiła sceptyczną minę. Wezwała kogoś – wysokiego, spoglądającego spode łba mężczyznę, który zachowywał się, jakbyśmy byli handlarzami nieruchomości – i Alex opowiedział całą historię jeszcze raz.

I jeszcze raz, jeszcze wyższemu mężczyźnie w błękitnej szacie.

Emil – mówiliśmy już sobie po imieniu – przejął sprawę i porozmawiał z następną osobą, niskim, krępy, rudym facetem ubranym na biało. Każdy kolejny miał większy gabinet, więc wiedzieliśmy, że przemieszczamy się w górę biurokratycznej drabiny.

Po rozmowie z rudym facetem, czekając, co będzie dalej, przechwyciliśmy transmisję wideo. Był tam Alex rozmawiający z kobietą i wyjaśniający, jak to wszyscy mieszkańcy planety pochodzą z miejsca zwanego Ziemią, z którego ich przodkowie wyemigrowali setki pokoleń temu, i że goście bardzo się cieszą z odnalezienia potomków zaginionych wieki temu kuzynów.

Uśmiechnij się, Aleksie. Jesteś w margoliańskich wiadomościach.

Mimo głozonej na pokładzie obaw, że nasza wizyta wywoła zamieszki na ulicach, Margolianie przyjęli nowiny ze spokojem. W ciągu następnej godziny przechwyciliśmy kilka transmisji z debatami telewizyjnymi i komentarzami, w których zastanawiano się, czy historia opowiedziana przez gości jest wiarygodna, czy też niedorzeczna. Po kolejnych trzydziestu godzinach otrzymaliśmy zaproszenie na spotkanie z liderami społeczności.

Grupa zwiadowcza została przyjęta przyjaźnie. Margolianie śmiali się z naszego języka i

ubioru. My z kolei uznaliśmy, że to, co jedzą, jest kompletnie niestrawne. Zaproszono różnych ważnych ludzi, żeby się z nami przywitali, a oni zadawali nam pytania, które miały im pomóc w ustaleniu, czy mówimy prawdę. Pobrali nam także próbki tkanek i ogłosili, że istotnie jesteśmy spokrewnieni.

W pobliżu terminatora nigdy nie było ciemno. Zachodni wiatr szumiał w koronach drzew, słońce zawsze wisiało tuż nad horyzontem. Nieprzerwanie panował wczesny wieczór.

Margolianie wysyłali statki na ciemną stronę planety, na lodowaty ocean. Zakładali bazy, czasem z powodów militarnych, ale raczej naukowych, w różnych miejscach na planecie. Mówili różnymi językami, wyznawali różne religie, mieli różne systemy polityczne. Dawno temu toczyli z tego powodu wojny, ale do konfliktów zbrojnych nie dochodziło już od wielu lat. Na planecie było bardzo mało miejsca nadającego się do zamieszkania, więc rozsądek nakazywał pokojową koegzystencję. Stworzyli technologie produkcyjne tak wcześnie, że nawet nie istniały zapisy określające, kiedy to nastąpiło.

Ponieważ nie mieli pór roku ani cyklu dzień-noc, nabrali dość ciekawych wyobrażeń na temat czasu. Był on dla nich jedynie pomiarem okresu między wydarzeniami. Uważano, że to wyłącznie wymysł ludzkiego umysłu. Nie było tam drugiego Einsteina.

Poza tym radzili sobie całkiem nieźle. (Rzecz jasna, nikt z nich nie znał nazwy „Margolia”). Prosperowali mimo ograniczonych zasobów naturalnych. Zakładali społeczności w strefie, którą określali jako *bakara*, czyli w pobliżu terminatora, w przyjaznym regionie, gdzie promienie słońca nie padają bezpośrednio i zawsze panuje wczesny wieczór. Wszystkie one działały zgodnie z zasadami demokracji.

Dziś oczywiście można obejrzeć repliki margoliańskich rzeźb i innych dzieł sztuki, a nawet kilka oryginałów, we wszystkich większych muzeach Konfederacji. Niektóre z ich projektów architektonicznych zostały wykorzystane w tak odległych miejscach jak Toksykon czy Prządky. W zeszłym roku bestsellerem stała się powieść rodowitego Bakarańczyka. Muszę też dodać, że ich średnia długość życia jest o prawie dwanaście lat większa niż nasza.

Nigdy nie opuścili swojej planety. Nie mieli księżyca, więc nie dostrzegli żadnego celu dla eksploracji. Wiedza o istnieniu dalekiego kosmosu najwyraźniej zaginęła dość wcześnie, a wielu z nich nadal nie może pojąć, że istnieje coś więcej poza ich światem. Nawet dziś istnieją Margolianie, którzy wyznają pogląd, że Nawiedzenie – tak się określa nasze przybycie – nigdy nie miało miejsca, a cała ta historia to jakiś spisek.

Choć w wielu dziedzinach nauki odnieśli sukcesy, ich astronomia była na poziomie średniowiecznym. To, czym są światelka na nocnym niebie, widoczne oczywiście tylko dla tych, którzy byli na tyle śmiali, by udać się na ciemną stronę, było dla nich tajemnicą, nad którą łamały sobie głowy całe pokolenia naukowców.

Pierwsze tłumaczenia margoliańskich źródeł historycznych pojawiły się kilka miesięcy po

naszym powrocie do domu. Mieli dość dokładne zapisy obejmujące prawie pięć tysięcy ostatnich lat. Relacje sprzed tego okresu są jedynie fragmentaryczne, a jeszcze wcześniejsze gubią się w gąszczu mitów. Najstarsze miasto, o którego istnieniu wiedzieli współcześni Margolianie, nazywało się Argol i zostało zniszczone podczas wojen, a teraz trwają tam szeroko zakrojone prace architektoniczne.

Ich historia, w ogólnym zarysie, nie różni się jakoś specjalnie od historii głównego nurtu ludzkości. Mieli inwazje i masakry, dyktatorów, mroczne wieki i rebelie. A czasem renesans. W modzie były różne systemy filozoficzne, jedne racjonalne, inne niszczycielskie. Od samego początku wyznawali różne religie. Na początku przedstawiciele poszczególnych z nich byli wobec siebie dość tolerancyjni, potem, gdy wspomnienia o Ziemi zanikały, stawali się coraz bardziej niechętni i zachowawczy.

Dużo się teraz mówi o tym, że będziemy w stanie wiele się nauczyć o naturze ludzkiej, porównując doświadczenia z Balfoura z głównym nurtem cywilizacji.

Gdy piszę te słowa, Alex jest ze mną. Zainteresowały go niektóre mity, wspominające o zaginionym mieście. Nazywało się Sakata i było wytworem zaawansowanej techniki, z nikomu nieznanym powodem zbudowanym po ciemnej stronie planety. Alex przypuszcza, że mogła to być pierwotna baza, założona po katastrofie. Twierdzi, że wie, gdzie jej szukać.

Nie powiedziałam mu o Harrym, bo śmiałyby się ze mnie, że jestem sentymentalna. Ale mam nadzieję, że mu się uda i znajdzie dowody na to, iż Samantha, Harry junior i Tommy szczęśliwie dotarli na Balfoura. Przypuszczam, że sam Harry by nie poleciał. Jeśli rzeczywiście był taki, jaki się wydaje – nie poleciałby.

Miło mi donieść, że reputacja państwa Wescottów nie ucierpiała. Osiągnięcie, jakim było odkrycie „Poszukiwacza”, przysłoniło wszystkie drażliwe kwestie związane z zachowaniem informacji o odkryciu dla własnych egoistycznych celów.

Blink występował pod licznymi nazwiskami. W końcu okazało się, że to wyrzucony ze służby pilot, którego oskarżono o morderstwo na zamówienie. Przeszedł rekonstrukcję osobowości; niestety, dawne skłonności znów się ujawniły i sprzedał swoje usługi Windy. Pozostaje najlepiej poznanym przypadkiem recydywy po praniu mózgu.

Amy Kolmer dostała mnóstwo pieniędzy za kubek, ale z tego, co wiem, znów jest bez grosza.

Hap Plotzky został skazany za dwa kolejne akty napaści, których dopuścił się po mojej przygodzie z nim. Po naszym powrocie z Margolii zwrócił się do mnie, czy mogłabym wystawić mu świadectwo moralności podczas jego procesu. Był to niewątpliwie jeden z bardziej bezczelnych pomysłów, z jakimi zetknęłam się w życiu. Teraz przycina żywopłoty i dba o ogród w Kappamong w górach Kawalla. Nie pamięta o latach, kiedy zarabiał na życie jako włamywacz i zbir. Nazywa się chyba Jasperson. W zeszłym roku ludzie z jego miasteczka wybrali go jednym ze stu najlepszych obywateli.



**Jeśli będziecie kiedyś na terytorium Aszijurów, spodoba wam się Muzeum Obcych Form Życia w Provno. Teraz mają tam całe skrzydło poświęcone Margolii. I awatary, Aleksa i mój. Razem z neandertalczykiem jest nas więc troje.**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2011-03-22**

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*